

MICHAEL CRUMMEY

DOSTATEK

Galore

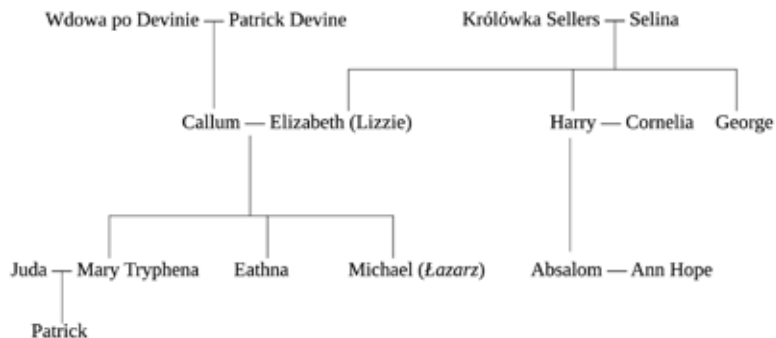
Tłumaczenie: Michał Alenowicz

Wydawnictwo Wiatr od morza

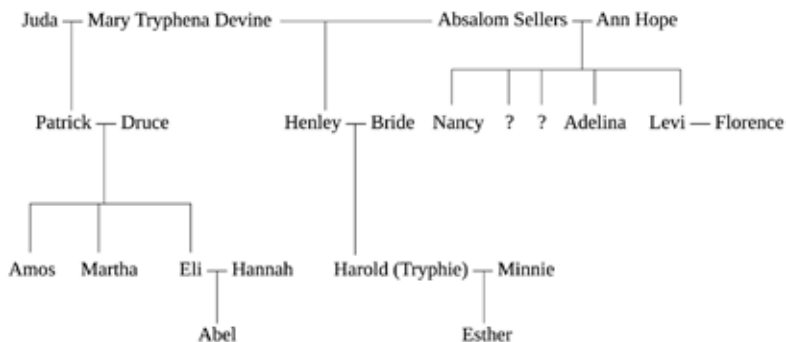
2013

Arielle, Robin i Benowi

CZĘŚĆ PIERWSZA



CZĘŚĆ DRUGA



*[...] tą niewidzialną siłą, która wprawia świat w ruch,
nie są miłości szczęśliwe, ale nieszczęśliwe właśnie.*

GABRIEL GARCÍA MÁRQUEZ

*Rzekł Pan: Wyprowadzę zaś swoich [...] z głębokości
morskiej.*

KSIĘGA PSALMÓW

CZĘŚĆ PIERWSZA



Czas spędzony na wybrzeżu zakończył w prowizorycznej celi dla obłąkanych, odcięty od świata wraz z rzęsistym smrodem ryby towarzyszącym mu w każdym dniu życia. Wielki Biały. Święty Juda, patron spraw beznadziejnych. Morska Sierota. Dłubał gwoździem w ścianach i zdawał się zadowolony ze swojego położenia. Mary Tryphena Devine przynosiła mu chleb i suszone kapelany, jedzenie zostawiał jednak na podłodze, na pastwę much i pleśni.

– Jeśli nie zamierzasz jeść, powiedziała, miej przynajmniej dość przyzwoitości, żeby umrzeć.

Mary Tryphena ujrzała go po raz pierwszy, kiedy była jeszcze małą dziewczynką, całe życie temu. Był koniec kwietnia, łódź skuwający zatokę właśnie stopniał. Większość wymizerowanych mieszkańców wybrzeża – Irlandczyków, Anglików z West Country oraz *bushbornów*^[1] bliżej nieokreślonej proveniencji – koczowała na szarym piasku, czekając na odpowiedni moment, by rozplatać wieloryba, który w święto św. Marka utknął na płyciźnie. Było to w czasach niedostatku, gdy ocean opustoszał, ogródki gniły w strugach nieustępliwego deszczu, a każda kolejna zima gotowa była pogrzebać wszystkich pod zwałami śniegu. Nie byli wielorybnikami, nikt nie wiedział więc, jak zabrać się do zarzynania Lewiatana. Ten niespodziewany dar miał jednak w sobie coś, co sprawiło, że przymierający głodem mężczyźni wzdragali się przed przystąpieniem do rozszarpywania cielska, dopóki humbak jeszcze oddychał – jakby bali się popełnić świętokradztwo.

[1] *Bushborn* – termin oznaczający mieszkańca Nowej Fundlandii urodzonego na wyspie (często Metysa), w odróżnieniu od osób przybyłych ze Starego Kontynentu (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Na razie wspięli się tylko na grzbiet wieloryba i wbili w niego zaostrzony pał, licząc na to, że uda im się przebić jakiś istotny narząd. Jednak wieloryb zaczął po prostu wykrwawiać się miarowo, nie widzieli wobec tego innej możliwości, niż poczekać, aż Bóg sam dopełni swego dzieła. Usiedli na brzegu ze swoimi nożami do ryb, osękami, podbierakami, siekierami, piłami i beczkami. Dął przenikliwy wiatr; Mary Tryphena straciła czucie w dłoniach i stopach, jej mały tyłek ścierpł od siedzenia na piasku. Życie wciąż uchodziło z wieloryba niedostrzegalnymi dla zmysłów porcjami. Co jakiś czas Jabez Trim wchodził do wody i trącał tłustą tarczę wielorybiego oka, aby po powrocie na brzeg zameldować o postępach poczynionych przez Pana.

Pośrodku plaży Królówka Sellers rozgrywał z wnukiem turniej warcabów. Wcześniej przykuśtykał z magazynu, aby ogłosić swoje prawo do zwierzęcia, które wylądowało dokładnie naprzeciw działki należącej do kompanii Spurrierów. Rybacy oznajmili, że plaża nie została przez nikogo zabudowana i zgodnie z tradycją stanowi wspólny grunt, co oznacza, że wieloryb również należy do wszystkich, podobnie jak wyrzucane na brzeg szczątki rozbitych statków. Sellers poprzysiągł im, że jeśli nie dostanie wątroby wieloryba i ośmiu beczek oleju, postawi ich wszystkich przed sądem, w którym zresztą sam był sędzią.

Gdy warunki podziału zostały ustalone, Królówka kazał wnukowi znieść na plażę jego odrapaną, drewnianą planszę do warcabów, po czym ułożył na niej płaskie kamienie zastępujące pionki pogubione przez lata. Chłopak był jedyną osobą chętną do gry z Sellersem, który słyszał z tego, że naginał zasady do swoich potrzeb i nie cofał się przed najbardziej bezczelnymi oszustwami, byleby tylko wygrać. Był właścicielem planszy – zwykł wyjaśniać graczom zgłaszającym sprzeciw – co w jego mniemaniu oznaczało, iż podlegały mu również panujące na niej prawa. Jego okrzyki „Królówka!” były jedynym ludzkim dźwiękiem wcinającym

się co jakiś czas w ciszę ich oczekiwania.

Mary Tryphena spała, kiedy mężczyźni wreszcie ruszyli na płyciznę, a Callum krzyknął do niej, żeby sprowadziła Wdowę po Devinie. Zgodnie z nakazem ojca zeszła z plaży i ruszyła przez Paradise Deep ścieżką od strony wody, po czym wspięła się stromą Tolt Road. Pokonawszy wzniesienie górujące nad dwiema zatokami ruszyła w stronę Trzewia, gdzie jeszcze tego samego dnia rano babka odebrała poród jej małego braciszka. Gdy Mary Tryphena wróciła ze staruszką na brzeg, plaża była już czerwona od krwi, a na powierzchni zatoki unosił się kożuch tłuszczu. Serce i wątroba zostały już odniesione na noszach na ryby do magazynów Sellersa na brzegu. Dwaj mężczyźni za pomocą siekier odłupywali kawałki fiszbinu z podniebienia zwierzęcia. Kobiety i dzieci brodziły na płyciznie, pchając przed sobą beczki i zbierając do nich poszarpane płyty tłuszczu rzucane z góry przez mężczyzn. Babka Mary Trypheny sposepniała; podwiązała spódnicę i weszła do wody.

Obrzydliwa praca trwała przez cały dzień. Na plaży zapłonęły czarne ogniska, na których wytapiano olej z wielorybiego sadła. Odór spowił całą przystań, czuli się tak, jakby pracowali w nisko zadaszonym magazynie. Na odcinku, na którym cielsko przechyliło się na bok, białe podbrzusze wieloryba było odkryte, a błona żołądka unosiła się swobodnie w płytkiej wodzie. Gdy trojczki Toucherów dla zabicia czasu zaczęły dźgać ogromny flak nożami i osøkami, z otwartej przez nich rany wypłynęła brudna woda, struga krwi oraz ławica nieprzetrawionych kapelanów i śledzi. Kiedy ukazała się głowa, chłopcy wrzasnęli i się rozpierzchli. Porośnięta siwymi włosami głowa człowieka. Blade ramię wysunęło się z poszarpanej rany i opadło bezwładnie do wody.

Wszyscy zamilkli i na jakiś czas zamarli w bezruchu, wpatrując się w mężczyznę tak, jakby spodziewali się, że zaraz wstanie i wyjdzie na brzeg o własnych siłach. W końcu Wdowa po Devinie podeszła do

wieloryba i zakończyła sprawę, rozcinając błonę i pozwalając, by ciało mężczyzny wyslizgnęło się do wody. Wszyscy katolicy przeżegnali się jak na komendę, a Jabez Trim powiedział, *Nagim wyszedł z żywota matki mojej.*

Ciało zostało wyciągnięte na brzeg przez ojca Mary Trypheny i Wdowę po Devinie. Nikt inny nie odważył się go dotknąć, chociaż wszyscy tłoczyli się wokół, żeby popatrzeć. Twarz miał młodą, jednak przedziwny wygląd uniemożliwiał odgadnięcie jego wieku. Miał siwe brwi i rzęsy, kępka włosów w kroczu była biała jak sól. Nawet wargi były bezbarwne, a sutki tak blade, że trudno było je dostrzec na piersi. Mary Tryphena przytuliła się do uda ojca, Callum przytrzymał ją za ramię, by przypadkiem nie zbliżyła się do mężczyzny.

Królówka Sellers szturchnął zwłoki końcem laski. Spojrzał na Wdowę po Devinie, następnie powiódł wzrokiem po wszystkich obecnych. – To jej sprawka, stwierdził. – Ma w sobie samego diabła. To ona przywołała to stworzenie do naszej przystani, Bóg jeden raczy wiedzieć, w jakim celu.

– Znaczy, wyczarowała? spytał James Woundy.

Upłynęło już sporo czasu od ostatniego razu, kiedy Królówka oskarżał Wdowę po Devinie o podobne występki, więc niektórzy z gapiów byli nawet skłonni traktować go poważnie. Być może zdołałby przekonać również pozostałych, gdyby darował sobie wzmianki o swojej trzodzie. – Wiecie, co zrobiła z moją krową, powiedział, i z wszystkimi cielakami z niej narodzonymi.

Żart o krowie Sellersa od dawna krążył po wybrzeżu, pomruk lekceważenia zdążył więc rozejść się po tłumie jeszcze zanim Wdowa po Devinie pochyliła się nad ciałem i czubkiem noża trąciła skurczonego penisa. – Gdyby to była moja robota, powiedziała, wyposażyłabym biedaka nieco lepiej.

Królówka przeciskał się przez zbiorowisko, żegnany gromkim

śmiechem gapiów. Na odchodnym oznajmił, że nie będzie miał nic wspólnego z tym diabelstwem. Nikt nie poszedł w jego ślady, wszyscy stali tak jeszcze przez jakiś czas, dyskutując o dziwnym zjawisku: zapewne sztormowe fale zmyły jakiegoś rybaka z pokładu, a może po wielu miesiącach spędzonych na morzu oszalał i rzucił się za burtę. W swoich niepewnych domysłach nie zdołali jednak odnieść się ani do przedziwnego wyglądu mężczyzny, ani do tego, że za grób robił mu brzuch wieloryba. Ostatecznie orzekli zgodnie, że życie jest niezgłębianą tajemnicą oraz cudem niepojętym dla ludzkiego umysłu – był to dla nich wniosek wygodny, jakkolwiek niezbyt pocieszający. Tymczasem nieszczęśnikowi należał się chrześcijański pochówek, a przecież mieli przed sobą jeszcze cały dzień pracy.

Na wybrzeżu nie było kościoła. Wędrowny dominikanin imieniem Phelan odprawiał mszę świętą za każdym razem, gdy odwiedzał okolicę w ramach swych duszpasterskich podróży. Natomiast Jabez Trim przewodził co tydzień protestanckiemu nabożeństwu w jednym z magazynów Sellersa. Gromadzili się na nich zresztą przedstawiciele obu wyznań, jeśli szlaki wędrowek ojca Phelana wiodły akurat przez inne miejscowości. Trim nie mógł pochwalić się żadnymi kwalifikacjami poza tym, że umiał czytać i był właścicielem wybrakowanego egzemplarza Biblii, ale i tak wszystkie dusze z wybrzeża tłoczyły się w magazynie, chcąc choć na chwilę zanurzyć się w balsamie Słowa. To była godzina wytchnienia od soli i codziennej udręki, godzina mirry, aloesu i hyzopu, godzina owoców granatu, zielonych fig i winogron, godzina strączyńca i cedrowych belek, godzina mieczy kuty w srebrze. Jabez udzielał protestantom ślubów, chrzczył ich dzieci i chował ich zmarłych. Teraz zgodził się powiedzieć parę słów nad ciałem, które zamierzali złożyć w ziemi.

Ojciec Mary Trypheny złapał zwłoki pod pachy, James Woundy chwycił je za nogi i tak mały, żalony kondukt pogrzebowy pomaszerował

w stronę zejścia z plaży. Na końcu musieli pokonać trzy kamienne stopnie – kiedy zaczęli wnosić po nich mężczyznę, jego tułów wygiął się w przedziwny sposób, a z jego kiszek wytrysnęła odrażająca mgiełka. James Woundy odskoczył od tego świństwa, pozwalając zwłokom upaść na kamienie. – Jezu, jezu, jezu, powiedział, poblądwszy na podobieństwo wleczonego przez nich ciała. Callum bezskutecznie próbował nakłonić go, żeby znów złapał topielca za nogi. – Jeśli jest dość żywy, żeby srać, oznajmił Woundy, to jest też dość żywy, żeby chodzić o własnych siłach.

Podczas gdy mężczyźni dyskutowali tak nad ciałem, Mary Tryphena stała nieopodal i przyglądała się tej niesamowicie, ale to niesamowicie bladej postaci. Człowiek zrodzony z brzucha wieloryba leżał teraz bez życia na kamieniach, zapaskudzony własnymi odchodami. Wszedł na scenę i natychmiast ją opuścił. Na tym właściwie historia powinna się zakończyć, tak się jednak nie stało. Na ustach topielca pojawiły się bąbelki piany, a kiedy zwłoki zaczęły kaszleć, wszyscy poza wdową i Mary Trypheną uciekli z plaży i pognali w stronę swoich domów tak szybko, jakby po piętach deptały im ogary z piekieł.

Ująwszy nieznanego za ramię, Wdowa po Devinie obróciła go i zaczęła bić ręką po plecach, wytrzepując z niego morską wodę i krew, a następnie, jedną po drugiej, siedem malutkich rybek, nie większych od cierników, które Mary Tryphena łowiła na płyciźnie w Sadzawce Czarnucha Ralpa. Kiedy stały tak nad nim, na plażę zeszła Selina Sellers. Zaraz za nią szedł jej wnuk z noszami do ryb. Z Seliny była drobniutka kobiecina, po sylwetce można było wziąć ją za siostrę chłopca, w jej zachowaniu nie było jednak nic dziecięcego. – Nie możecie wpuścić go do swojego domu, powiedziała. – Nie do noworodka, który ledwo co zaczerpnął pierwszego oddechu.

Wdowa po Devinie przytaknęła. – Ułożymy go w magazynach nad wodą, oto co zrobimy.

– Tam z pewnością zabije go chłód, odparła Selina.

Podczas rozmowy przyglądały się nieznajomemu, starając się nie patrzeć sobie nawzajem w oczy. Jego ciałem wstrząsały dreszcze, konwulsje.

– Jest tu tylko jedno miejsce odpowiednie dla niego, oznajmiła Selina.

– Nie sądzę, żeby pan Sellers okazał się tak łaskawy.

– Pana Sellersa proszę zostawić mnie.

Zarzucili nieznajomego na nosze do ryb i wyruszyli ścieżką w stronę Widoku, gdzie stał Dom Seliny. Kiedy dotarli do domu i przechyliili nosze, żeby wnieść je przez frontowe drzwi, wszyscy ludzie z przystani przypatrywali się im znowu, już z bezpiecznej odległości. Ktoś doniósł o całej sprawie Królówce, który biegł teraz od strony brzegu, krzycząc, że mają trzymać to plugawe stworzenie z dala od jego domu. Ponieważ Sellers nigdy nie poprzysiągł, że stopa Wdowy po Devinie nigdy nie postanie w tym budynku, nikt nie potrafił stwierdzić, czy jego okrzyki odnosiły się do staruszki, czy też może do porażająco białej postaci, którą właśnie wносиła do środka. Selina cofnęła się do drzwi i zarygłowała je, po czym przeszła z pozostałymi w głąb domu.

Mary Tryphena i wnuk Królówki stanęli pod ścianą, zagubieni w ogólnej krzątaninie, gotowaniu wody, zbieraniu koców. Królówka dobijał się do drzwi, waląc w nie główką laski i wykrzykując groźby; do okien zaczęły przywierać twarze gapiów. Mary Tryphena nigdy jeszcze nie była w Domu Seliny, jednak teraz nie zwracała uwagi na jego okazałość. Gdy przyglądała się nagiemu nieznajomemu, ogarnęło ją przedziwne uczucie, jakby gdzieś spadała. Poczula zawroty głowy; zdjęła czepek, próbując walczyć ze zbliżającą się podstępnie ciepłą falą mdłości. Wnuk Królówki stał obok niej, złapała go za krawędź kurtki.

– Zdaje mi się, powiedział, że na długo zapamiętasz ten dzień. Chłopak mocno się jąkał, powiedział, dzi-dzi-dzi-dzień. Mary Tryphena poczuła

się zakłopotana, że znalazła się tak blisko niego. Odsunęła się, jednak nie aż tyle, żeby nie mógł jej dosięgnąć.

W tym momencie mężczyzna, którego Mary Tryphena miała poślubić, po raz pierwszy uchylił powieki i zwrócił twarz w jej stronę. Spojrzenie mlecznoniebieskich oczu spoczęło na niej. Pochłaniał ją wzrokiem.



Dom Seliny nie miał sobie równych na całym wybrzeżu. Był to wiejski dom w stylu rodem z Wexford, z kamiennym kominem pośrodku, podłogami z polerowanego drewna na parterze i na piętrze, wielodzielnymi oknami sprowadzonymi z angielskiego West Country i drzwiami wyposażonymi w żelazne zasuwki. Selina była córką kupca z Poole, a dom stanowił jej prezent ślubny – obietnicę, którą ojciec wymógł na Sellersie, zanim przystał na małżeństwo córki. Selina była świeżo upieczoną żoną Królowki i mieszkała na wybrzeżu dopiero od kilku tygodni, kiedy w terenie pojawiły się już pierwsze załężki wielkiego domostwa; fundamenty położono w czerwcu, gdy odmarzł grunt. Królowka stracił jednak wszelkie zainteresowanie małżeńskim przedsięwzięciem, kiedy tylko sezon rybacki rozpoczął się na dobre. Nagie kamienie przeleżały w ziemi wiele lat, a drewno sprowadzone na statku kompanii handlowej Spurrierów zdążyło poszarzeć, zalegając pod warstwami świerkowych gałęzi. A tymczasem wznoszono i rozbudowywano magazyny i warsztaty do oprawiania ryb; wyposażano i spuszczano na zatokę kolejne łodzie.

Selina przemieszkała siedem lat w nędznej chałupie z surowych bali uszczelnionych mchem i obłożonych korą. Za podłogę robiło klepisko, drewniany dach pokryty był darnią. Spośród pobliskich budynków chatę wyróżniała tylko nazbyt duża liczba okien, jedyny przejaw przepychu, na

jaki zdobył się Sellers. Selina urodziła w tej budzie troje dzieci, a Królówka wciąż obiecywał, że zbuduje dom w przyszłym roku, kiedy tylko ryby zostaną zebrane i załadowane na statki Spurrierów, w przyszłym roku, kiedy tylko nadarzy się dłuższy okres ładnej pogody.

W siódmą rocznicę ślubu Selina nie wstała rano z łóżka. – Będę tu leżeć, oznajmiła mężowi, dopóki w tamtym domu nie pojawią się drzwi, które mogłabym za sobą zamknąć.

Sellers pozwolił jej tak leżeć; dopiero po tygodniu dotarła do niego głębia rozpaczony żony. Nie pozwalała mu nawet spać obok siebie, w jego własnym łóżku. Wyglądało to na jakąś obłąkańczą strategię, na logikę godną kogoś niespełna rozumu. W końcu sam również zdobył się na akt rozpaczony i wysłał pracownika do wdowy z prośbą, aby ta zaradziła jakoś szaleństwu Seliny.

Wdowa po Devinie była jedyną osobą, na którą mieszkańcy wybrzeża mogli liczyć w razie problemów ze zdrowiem. Jej imię zdążyło wyjść z użytku przez dziesięciolecia, które upłynęły od śmierci jej męża, a tylko garstka osób pamiętała jeszcze, jak w ogóle brzmiało. Widziała już wszystkie przypadłości, jakimi ten upadły świat mógł nękać ludzkie ciało. Chyba na każdą z nich znała jakieś lekarstwo lub urok. Królówka poszedł poczekać do magazynu, zostawiając kobiety sam na sam w drewnianej chacie, w której Selina prowadziła swój kretyński strajk. Kiedy zobaczył, że Wdowa po Devinie idzie Tolt Road w stronę domu, dogonił ją i zażądał wyjaśnień co do stanu zdrowia żony.

– Nie dolega jej nic, czego nie wyleczyłby solidny dom, odparła.

– Przecież prosiłem, żebyś przywołała ją do porządku.

– Na pana miejscu, panie Sellers, chwyciłabym za piłę i młotek, po czym zabrałabym się do pracy.

Szkielet budynku z dachem i oknami powstał w ciągu miesiąca. Tego samego ranka, gdy Jabez Trim osadził frontowe drzwi, Selina wstała z

łóżka, ubrała się, spakowała ubrania do kufra i pokonała pięćdziesiąt jardów dzielących ją od nowego domu. Budynek, zwany przez wszystkich Domem Seliny, miał być znany pod tą nazwą jeszcze i sto lat po tym, jak żona Sellersa została pochowana na Francuskim Cmentarzu i obróciła się w proch.

Nieznajomy spędził w tej ekstrawaganckiej kwaterze tylko jedną noc. Porażający smród zdechłych ryb sączył się ze skóry mężczyzny niczym dym z ogniska z młodych gałęzi, wnিকając we wszystkie zakamarki domu. Nawet gdy pootwierali okna i wpuścili do środka lodowate powietrze, odór wciąż nie pozwalał domownikom zasnąć. Gdy rano Królówka oznajmiła, że nieznajomy ma zniknąć, Selina nie miała już tego samego zacięcia do dyskusji, co dzień wcześniej. Dwaj służący Sellersa, śledzeni przez korowód gapiów, ponieśli nieznajomego na noszach do ryb pomiędzy domami Paradise Deep i dalej przez Tolt Road, aż do Trzewia. Mężczyzna podskakujący bezwładnie w wiszącym między służącymi pudle był tak słaby, że całą drogę przeleżał na wznak, po prostu wpatrując się w niebo.

– Wyszedł z brzucha wieloryba, ogłosił James Woundy tak, jakby poprzedniego dnia tylko on jeden widział to na własne oczy. – Bóg mi świadkiem, że wyszedł. Zupełnie jak ten cały Judasz z Biblii.

– Nie żaden Judasz, ty baranie.

James obrócił się w stronę Jabeza Trima. – A więc kto, panie Trim?

– To był Jonasz. To Jonasza połknął wieloryb.

– Jest pan pewien, że nie Judasza, panie Trim?

– Judasz był uczniem, który zdradził Pana naszego za trzydzieści srebrników.

– I został wyrzucony za burtę, oznajmił James. – Przynajmniej ja tak to widzę. Został wyrzucony do oceanu za to, że zdradził Pana. Z kamieniem młyńskim u szyi. A Bóg sprawił, że pożarł go wieloryb. Żeby dać mu porządną nauczkę.

– Jonasz uciekał przed Panem Bogiem Wszchemogącym, Jabez obstawał przy swoim. – Bóg wybrał Jonasza na proroka, ale on wolał zostać żeglarzem, uciekł więc przed Bogiem, płynąc statkiem. Jonasz został wyrzucony za burtę przez towarzyszy, którzy chcieli uratować się przed potężnym sztormem zesłanym przez Pana. Wówczas Bóg posłał wieloryba, żeby połknął Jonasza.

– To piękna historia, panie Trim, oznajmił James, jednak o ile mnie pamięć nie myli, było trochę inaczej.

– Do jasnej cholery, Jamesie Woundy, czy mam tu przynieść Pismo Święte i wszystko ci pokazać?

– Cóż, panie Trim, biorąc pod uwagę, że nie umiem czytać, nie wiem, jak miałyby to nas przybliżyć do wyjaśnienia sprawy.

– W takim razie będziesz musiał uwierzyć mi na słowo, skwitował Jabez.

U wdowy obyło się bez awantur. Staruszka wyszła przed dom tak, jakby sama zamówiła przesyłkę. Wskazała mężczyznom drzwi i kazała postawić nosze przy kominku. Tam obmyła nieznajomego mydłem ługowym, karbolem oraz wywarem ze świerkowej żywicy i popiołu, jednak paskudny zapach nie zelżał. Przybysz nie tknął jeszcze ani kęsa jedzenia i nie był w stanie utrzymać w żołądku nawet koziego mleka ani herbaty, którą parzyła mu Wdowa po Devinie. Gdy mężczyzna pojawił się w domu, malutki braciszek Mary Trypheny – który przyszedł na świat wygłodniały i zdrów jak ryba – zaczął dostawać kolek, stał się niespokojny i przestał ssać matczyną pierś. Wszyscy zwrócili uwagę na oczywisty związek pomiędzy dwoma zjawiskami, jednak nikt nie odważył się głośno o tym wspomnieć, jakby mówienie o takich rzeczach pogłębiało ich wpływ na świat.

Nawet Mary Tryphena w tych pierwszych dniach stała się dziwnie małowólna i spędzała poza domem tyle czasu, ile tylko mogła.

Wchodziła na szczyt Toltu – skąd dostrzegła wieloryba po raz pierwszy – i w myślach próbowała ułożyć przedziwne wydarzenia w obraz o jakimś głębszym znaczeniu. Przez całe jej krótkie życie ludzie drwili z tego, że wypytywała ich o najprostsze rzeczy, tak jakby jej pytania stanowiły wyraźną oznakę dziecięcej chciwości. Nie bądź taka ciekawska, mówili. Zamknij się i patrz.

Kiedy na świat przysła jej siostra, Mary Tryphena miała cztery lata. Do tego czasu powiedziano jej o życiu niewiele, nie wiedziała nawet, że matka jest w ciąży. Pewnego ranka ojciec zabrał ją w głąb łądu, aż nad Sadzawkę Czarnucha Ralpa, i tam na płyciźnie uczył łowić cierniki dłońmi złożonymi w podbierak. Wieczorem, gdy babka przysła po nich i wrócili razem do domu, Mary Tryphena zastała w ramionach matki śpiącego noworodka. – Kto to jest? zapytała.

– To twoja siostra Eathna, odpowiedziała matka. – Znalazłam ją na grzędce z rzepą, gołą jak ryba.

To wydawało się zbyt dziwaczne, żeby można było dać temu wiarę, Mary Tryphena musiała jednak przyznać, że posiniaczona, obłana wulgarną purpurą i wyblakłą bielą, niemal zupełnie łysa główka dziecka miała w sobie coś nieco rzepiastego.

Niedługo potem Mary Tryphena pojęła różnicę między dzieckiem a rzepą i poczuła się wystrychnięta na dudka. Patrz i ucz się, mówiono jej setki razy, w końcu zaczęła więc chodzić z Wdową po Devinie do domów chorych, aby patrzeć, jak staruszka leczy gorączkę, liszaje, kaszel, krzywicę czy ropiejące wrzody. Babka nie próbowała w żaden sposób odwozić od tego dziewczynki, zastrzegła jednak wyraźnie, że nie zabierze jej nigdzie, gdzie będzie spodziewać się rychłych narodzin lub zgonu. W ten sposób rzeczywistość tych najbardziej podstawowych momentów przejścia umknęła Mary Tryphenie. Wejście na scenę, zejście ze sceny. Eathna opuściła ich tak jak przysła – szybko i całkiem bez

ostrzeżenia.

Trzeciej ciąży Lizzie nie sposób było już ukryć przed Mary Trypheną, która popadła w obsesję na punkcie pełnej czary matczynego brzucha. Rozważywszy położenie i rozmiar wszystkich wlotów i wylotów w własnym ciele, dziewczynka nie potrafiła wyobrazić sobie żadnego rozsądnego rozwiązania, do którego mogłaby prowadzić przypadłość matki. Tym niemniej, mając już dziewięć lat, czuła się gotowa, aby stać się świadkiem czegoś, co zanosilo się na ohydne, brutalne zmagania. Kiedy rozpoczął się poród, Wdowa po Devinie nie wpuściła jednak Mary Trypheny do pokoju. Nadąsana dziewczynka wyszła więc z domu i wyruszyła na Tolt, aby tam roztrzasać swoje smutki.

Czuła, że przyszła na świat, w którym wszyscy poza nią posiadali już całą niezbędną wiedzę, a jedynym dopuszczalnym sposobem na zdobycie nowych wiadomości było bierne oczekiwanie na ich niepewne nadejście. Wpatrywała się w wodę, w to bezkresne, szare przestworze oceanu odzwierciedlające bezkresną, szarą nicość jej życia. Nicość ciągnęła się całymi milami w każdą stronę, gdzie nie spojrzeć, tylko nicość, nicość, nicość, a Mary Tryphena miała już zacząć wyc na samą myśl, kiedy nagle powierzchnię oceanu przeciął humbak. Najpierw pojawił się pysk, a zaraz oszalałymi wielkie cielsko ukazało się prawie całe w powietrzu, po czym opadło do wody wśród wachlarzy piany.

Mary Tryphena dostała gęziej skórki, a skóra na głowie wydała jej się nagle zbyt mocno naciągnięta.

Wieloryb wyskoczył z wody jeszcze drugi raz, jeszcze trzeci, jakby próbował zwrócić na siebie jej uwagę, po czym rozpędził się, wpłynął do przystani Paradise Deep i runął jak długi wprost na mieliznę, niczym gwóźdź wbity w drewnianą belkę. Kiedy dziewczyna dobiegła do domu i wparowała do środka, gardło miała już zdarte od krzyczenia na chłodzie.

– Masz malutkiego braciszka, powiedział Callum, próbując

zaprowadzić ją do sypialni, w której noworodek właśnie przepłakiwał pierwsze chwile swojego życia. Mary Tryphena potrząsnęła jednak głową i wyciągnęła ojca z domu.

Dziecięca próżność kazała jej teraz myśleć, że to ona była winna takiego stanu rzeczy, że to jej żądza wiedzy sprowadziła nieznanego i wywołała chorobę brata. Czuła, że niebawem upomni się o nią coś, czym od początku w ogóle lepiej było się nie interesować.

Stan przybysza i noworodka pogarszał się z godziny na godzinę. W końcu żona zaczęła błagać Calluma, żeby pozbył się stworzenia, które uważała za przyczynę nagłej zmiany w zachowaniu dziecka, żeby wypłynął z nieznanym na otwarty ocean i odesłał go tam, skąd przyszedł. Callum sam dokładnie tak by postąpił, gdyby nie Wdowa po Devinie.

Nikt nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego staruszka tak troszczyła się o mężczyznę, poza tym, że było to do niej podobne. W pierwszych latach spędzonych przez wdowę na wybrzeżu zdarzyło się, że jedna z kur Królówki zniosła jajo, z którego wykuło się pisklę z czterema nogami. Przyjście na świat groteskowego stworzonka, niebędącego w stanie chodzić czy nawet stać o własnych siłach, przez pozostałych pracowników Sellersa zostało uznane za zły znak. Wszyscy chcieli utopić kurczę, jednak wdowa odcięła dwie nogi, po czym wypaliła rany rozgrzanym pogrzebaczem i zalała je woskiem ze świecy. Dopóki pisklę nie wróciło do zdrowia, trzymała je koło pieca w pudełku wyłożonym słomą. W końcu wyrosło na świetną nioskę.

Historię tę przytaczano zawsze w odpowiedzi na wszystkie późniejsze dziwactwa wdowy tak, jakby ta opowieść w jakiś sposób wyjaśniała zachowanie kobiety. W tym konkretnym przypadku wdowa była zadowolona z takiego stanu rzeczy. Nie wspomniała nikomu o snach, które nękały ją jeszcze zanim Lizzie zaczęła rodzić. Śniły jej się narodziny bliźniaków zrosniętych biodrami lub barkami. Rozcinała dzieci nożem

do patroszenia ryb, w popłochu rozrzynała ciało i podnosiła niemowlęta za pięty, a krew spływała jej do rękawów. Wtedy dzieci umierały na jej rękach, a ona się budziła, za każdym razem przekonana, że to właśnie rozdzielenie spowodowało ich śmierć.

Kiedy przyszedł czas Lizzie, wdowa nie pozwoliła Mary Tryphenie oglądać porodu, obawiając się najgorszego. Dziecko urodziło się jednak zdrowe i nie nosiło żadnych wyraźnych znamion związanych ze snem. Brak znaków zaniepokoił wdowę. Czuła, że w noworodku działa jakaś bardziej podstępna, przyczajona siła, coś czego nie potrafiła ani nazwać, ani wyleczyć. Ogarnęło ją nieodparte wrażenie, że jednoczesne pojawienie się wnuka i przybysza o włosach białych jak sól było właśnie tym, co ujrziała w snach, że łączyło ich jedno, bliźniacze przeznaczenie. Wdowa poczuła ulgę, gdy cuchnące stworzenie trafiło pod jej dach.

A dach należał tylko i wyłącznie do niej, więc o wyrzuceniu przybysza nie mogło być mowy. Kiedy Lizzie zagroziła, że zabierze dzieci i wróci do Domu Seliny w Paradise Deep, Callum poświęcił stojącą koło domu szopę, w której dotąd trzymał grabie, kosy i osęki, i urządził w niej prowizoryczną sypialnię dla nieznanego. Ta zmiana nie przyniosła jednak żadnej poprawy ani u chłopca, ani u wycieńczonego mężczyzny. Nawet Wdowa po Devinie zaczęła już wątpić w swoje przeczucie, widząc, że najpewniej niedługo obaj umrą z głodu.

Jabez Trim przyszedł do nich z Paradise Deep i stanął w drzwiach domu wdowy, chcąc rozmawiać z Callumem. Dziecko nie było jeszcze ochrzczone, a powrotu ojca Phelana nie należało się spodziewać przed nadpłynięciem ławic kapelanów. Szanse na uratowanie dziecka były nikłe, stwierdził Jabez, należało jednak pomyśleć o jego duszy. Z Jabeza był chłop jak pień drzewa, ograniczony, jeśli chodzi o horyzonty, lecz mocno zakorzeniony w swoich niezachwianych przekonaniach. Był porządnym człowiekiem i nikt rozsądny nie próbował nigdy podać tego

w wątpliwość. – Callum, jestem do waszej dyspozycji, ze wszystkim, co nasz obrządek ma do zaoferowania.

– A co z tamtym? spytała Wdowa po Devinie.

– Przypuszczam, że musiał już kiedyś być ochrzczony, jeśli jemu podobni mają to w zwyczaju.

– Jabez, on nie zasługuje na to, żeby zdechnąć w tej budzie jak zwierzę.

Jabez Trim nie rozumiał, czego właściwie się od niego oczekuje, widział jednak wyraźnie, że wdowa do czegoś zmierza i nie do końca potrafi ubrać tę prośbę w słowa. – Niewiele mogę mu zaoferować poza tym, czego sama już spróbowałaś.

– Możemy zanieść go pod Drzewo Kerrivanów razem z małym, powiedziała.

Jabez zerknął na Calluma, chcąc sprawdzić, co sądzi o tej dziwacznej propozycji. Młodszy mężczyzna tylko wzruszył ramionami. – Jeśli uważacie, że to może coś dać, powiedział Jabez.

Na wybrzeżu zmarłych przed pochówkiem zawijano tylko w płótno lub stare koce, Callum nie mógł jednak pogodzić się z myślą, że miałyby złożyć dziecko w ziemi takie obnażone, takie nieosłonięte. Przed chrztem sklecił małą trumienkę z młodego świerku, uszczelnił ją pakułami i powiesił na kołku w dziecięcym pokoju, aby tam oczekiwała na przyszłego właściciela. Jabez Trim odprawił sakrament w domu wdowy, po czym domownicy wraz z sąsiadami wyruszyli na skraj Trzewia, gdzie rosło Drzewo Kerrivanów. Lizzie szła z dzieckiem, a James Woundy i Callum nieśli nieznanego na noszach do ryb. James uparł się, że tym razem złapie mężczyznę od strony głowy. – Nie stanę znowu pod tym zadkiem, oznajmił.

Jabłoń była ogrodzona kamieniami, jej nagie gałęzie chyliły się nisko, dosięgając niemal kamiennego kręgu. Przed stu laty Sarah Kerrivan przywiozła sadzonkę z Irlandii. Od tego czasu drzewo nie wydało żadnych

owoców poza karłowatymi jabłuszkami, zbyt kwaśnymi, by można było je jeść. Zeszłoroczne, zmarznięte owoce wciąż leżały na ziemi tak, jak spadły całe miesiące temu. Drzewo zostałooby już dawno ścięte, gdyby nie fakt, że Sarah Kerrivan i jej mąż William nigdy nie chorowali; płynęli przez życie nietknięci wybuchającymi na wybrzeżu epidemiami cholery, odry i dyfterytu. Ich nadprzyrodzone zdrowie oblokło aurą błogosławieństwa cały ich dobytek, nie wyłączając drzewa, które Sarah przywiozła zza oceanu. Przez ostatnie półwiecze każde niemowlę urodzone w Trzewiu – oraz niejedno spośród urodzonych w Paradise Deep – było podawane z rąk do rąk pomiędzy gałęziami jabłoni, co miało ochronić je przed najgorszymi rzeczami, jakie świat może zesłać na dziecko, dudem brzuszny, beri-beri, gorączką, drgawkami, przepuklinami, kokluszem, krzywicą. Nikt nie uważał dziecka za należycie ochrzczone, dopóki nie przebyło drogi wewnątrz kamiennego kręgu.

Rytuałowi towarzyszyły zazwyczaj śmiechy i głośno wykrzykiwane błogosławieństwa, jednak tym razem wszystkie osoby przekazujące sobie ponad głowami chorego noworodka pogrążone były w melancholijnym milczeniu. Mary Tryphena stała z Wdową po Devinie za niskim kamiennym płotem i przyglądała się Callumowi i Lizzie, którzy łkali tak, jakby prosto z ich rąk dziecko miało zostać przekazane w ręce umarłych. Chwilę później białowłosy nieznajomy, tak podobny do noworodka w swej niemej bezradności, odbył na noszach dziwną podróż wśród konarów drzewa. Skóra biała niczym morski lód. Nosze do ryb zahaczyły o gałęzie i przechyliły się tak, że choremu groził upadek na ziemię, mężczyźni musieli więc przytrzymać go za ramiona, gdy wyplątywali z drzewa jego łożę bolesti, klnąc i pokrzykując na siebie. Ta scena miała w sobie coś ze świętokradztwa, Lizzie odeszła więc od jabłoni, niosąc w ramionach dopiero co ochrzczonego Michaela. Kiedy nosze zostały wydobyte z gęstwiny gałęzi, bezimiennego mężczyznę odniesiono do

szopy i ułożono na pryczy. Wdowa po Devinie bez słowa usiadła w drzwiach, żeby dotrzymać mu towarzystwa. Żeby patrzeć, jak umiera. Tak opowiadała o tym później, z nutą satysfakcji i zachwytu w głosie, chcąc wyraźnie podkreślić, że nigdy niepodobna przewidzieć, jaki obrót przybiorą sprawy.

Następne lato było niezwykle ciepłe i suche, a Drzewo Kerrivanów po raz pierwszy w swoim piekielnym stuleciu na wybrzeżu wydało owoce dość słodkie, by nadawały się do jedzenia.



Ojciec Phelan pokazał się na wybrzeżu w miesiąc po chrzcie. Pewnego ranka stanął pod oknem wdowy, jeszcze zanim ktokolwiek zdążył rozpocząć dzień pracy w magazynach nad wodą. Wdowa po Devinie i Lizzie siedziały z Callumem przy stole. Woda gotowała się w czajniku zawieszonym nad bladym płomieniem, a krąg światła roztaczany przez pojedynczą łojową świecę nadawał izbie wygląd jaskini. – Prosimy ojca do środka, powiedział Callum. – Właśnie mieliśmy odmawiać różaniec.

– Łesz jak z nut, Callumie Devinie.

Wdowa po Devinie powiedziała, Wyczekiwaliśmy ojca.

– Dopiero co przybyłem na wybrzeże, odparł.

Ojciec Phelan zwykł pojawiać się w nocy, nikt nie miał więc pojęcia, jak podróżował, łądem czy morzem. Na wybrzeżu nie było żadnych dróg poza Tolt Road oraz wąskimi ścieżkami prowadzącymi w głąb łądu: do stawów ze słodką wodą czy polanek porośniętych borówkami. Nikomu nie mieściło się w głowie, żeby wędrując pieszo przez pustkowia mógł pokonywać odległości, o których opowiadał, a jeszcze mniej prawdopodobne wydawało się, aby w pojedynkę pływał łodzią wzdłuż

tak dzikich i niebezpiecznych brzegów.

– Jak tym razem ojciec do nas dotarł? spytał Callum.

– Prowadził mnie Pan, odparł kapłan.

Jako młody chłopak, jeszcze zanim zaczął sposobić się na duchownego, ojciec Phelan zdążył zobaczyć pół świata. Często opowiadał o swoim pobycie w Indiach Zachodnich^[2], na Wyspach Sandwich^[3] i w Afryce. Nikt nie rozumiał, dlaczego Phelan porzucił upały, drzewa uginające się pod ciężarem owoców i półnagie kobiety wylegujące się leniwie na plażach, aby przyjechać w miejsce, gdzie czekały go próby porównywalne jedynie z hiobowymi. Kiedy przybył na Nową Fundlandię, przynależność do Kościoła katolickiego i praktykowanie jego wiary były zakazane prawem, Phelan wysłuchiwał więc spowiedzi wiernych w kryjówkach na południowych brzegach półwyspu Avalon, odprawiał potajemnie msze święte w magazynach rybackich w Harbour Grace i Carbonear, udzielał sakramentów i ostatnich namaszczeń w kuchniach i sypialniach Irlandczyków rozsianych po całym wybrzeżu. Z tuzin razy uniknął aresztowania przez Anglików, kiedyś nawet wsunął się do dziury w wychodku, gdy zorientował się, że jakieś trzydzieści stóp od niego żołnierze przetrząsają dom jednego z wiernych. Opowiadał tę historię ze swego rodzaju obłąkańczą satysfakcją: jak stał po kolana w gównie, modląc się, żeby przypadkiem któregoś z Anglików nie wezwała natura.

Wdowa po Devinie uważała ojca Phelana za głupca i nie próbowała się z tym kryć. Pamiętała jednak dobrze lata, gdy żyli na wybrzeżu pozbawieni liturgii i sakramentów, więc teraz radowała się tym pocieszeniem, bez względu na posłańca, który je przynosił. Ojciec Phelan twierdził, że w całym nowym świecie wdowa była jedyną osobą, która napawała go

[2] Indie Zachodnie – dawna nazwa używana w odniesieniu do wysp basenu Morza Karaibskiego.

[3] Wyspy Sandwich – dawna nazwa Hawajów.

lękiem, co sama uważała zresztą za stek podłych pochlebstw. – Byłby może z ojca w miarę przyzwoity kapłan, gdyby skończył ojciec z piciem i kurwami, mówiła mu.

– Jeśli tylko w miarę, odpowiadał, to nie warto się poświęcać.

Był wychudzony, sprytny i porywczy – dokładnie ten typ człowieka, który precyzyjnie się przez dziurę w wychodku, jeśli tylko będą wymagały tego okoliczności. Uwielbiał przytaczać najbardziej oburzające i skandaliczne wyznania penitentów ze swoich ostatnich podróży, podawał nazwiska i miejsca, opisywał cudzołóstwa, upodobania seksualne i bluźnierstwa. Phelan nie miał wstydu, a w oczach jego wiernych właśnie ta cecha świadczyła o tym, że jest człowiekiem Boga.

– Słyszałem, że pobłogosławiliście ten dom kolejnym Devine'em.

– Śpi smacznie za ścianą, powiedział Callum. – Przez całą noc nawet nie pisnął.

Mówili po angielsku, ze względu na Lizzie, która znała irlandzki wystarczająco dobrze, żeby ganić dzieci i kochać się z mężem, ale gubiła się w każdej bardziej ogólnej rozmowie. Poszła do izby, w której spały dzieci, żeby przynieść niemowlę. Mary Tryphena wygrzebała się z łóżka i przyłączyła się do dorosłych siedzących przy stole.

– Niech ci się przyjrzę, powiedział kapłan, łapiąc ją za nadgarstki i odchylając się, żeby ogarnąć ją wzrokiem. Jej twarz była blada, policzki zapadnięte, oczy czerniały uporczywym głodem. – Czy jest już z kimś po słowie? spytał.

Mary Tryphena wyszarpnęła ręce z jego dłoni. – Nie, oznajmiła.

– Dziewczyno, nie proszę przecież, żebyś wyszła za mnie.

Callum powiedział, Myśleliśmy, że może przy okazji wizyty ojca mogłaby przyjąć pierwszą komunię.

– No proszę. To krok nie mniej poważny niż małżeństwo.

– Niech przestanie ojciec straszyć dziewczynę, powiedziała Wdowa

po Devinie.

Mary Tryphena wlepiła wzrok w niewzruszony płomień świecy stojącej na stole i udawała, że nie zwraca uwagi na rozmowę. Kapłan zrobił jej uprzejmość i odwrócił się do niemowlęcia, aby wykonać nad nim znak krzyża i wypowiedzieć słowa błogosławieństwa.

– Jak rozumiem, Jabez już go ochrzcił.

– Proszę ojca, myśleliśmy, że dziecko nie przeżyje.

– Jabez Trim to dobry człowiek.

– Widzę, że ma już ojciec świeże wiadomości od pani Gallery, powiedziała Wdowa po Devinie.

Ojciec Phelan przytaknął. Wyraz jego twarzy jak zwykle nic nie zdradzał. – Kiedy tu dotarłem, udało mi się wygoszpodarować godzinkę, żeby u niej odpocząć.

– A jak się miewa pan Gallery?

– Zawsze, kiedy wracam, mam nadzieję, że już go tu nie zastanę. Na razie jednak nic z tego. Przez te wszystkie lata nie zmienił się ani na jotę. Ciągle nie chce się wypowiadać.

– Może to dlatego, że nie jest katolikiem, powiedziała Lizzie, uśmiechając się do swojej miski.

– Innych to nie powstrzymało, pani Devine. A żaden z nich nie był w tak palącej potrzebie jak pan Gallery. Callum, jak tam ryby w tym roku?

– Niech ojciec prosi Pana, żeby nie dał nam umrzeć z głodu. Tyle mam do powiedzenia na temat ryb.

Jeszcze przez jakiś czas prowadzili tę dobrze znaną, powitalną rozmowę, odświeżając więzi porzucone przed miesiącami, kiedy kapłan opuszczał wybrzeże.

– Czy to prawda, spytał ojciec Phelan, co pani Gallery opowiada o waszej morskiej sierocie?

– To zależy, co opowiada, stwierdziła Wdowa po Devinie.

– Że jest biały jak świeży śnieg, ot co.

– I cuchnie niewyobrażalnie, proszę ojca, powiedziała Lizzie. – Włosy dęba stają od tego smrodu.

– I widziałas, jak narodził się z ryby?

Wdowa po Devinie przytaknęła. – Sama wyciągnęłam go z bebechów.

Callum wziął głęboki wdech, poruszając temat z pewną obawą. – Jak ojciec myśli, czy Bóg próbuje nam coś przez to powiedzieć?

– Bóg już dawno przestał mówić do takich jak my, stwierdził kapłan.

Wdowa po Devinie podniosła się z krzesła. – Zaprowadzę ojca do niego.

Mary Tryphena ześlizgnęła się z kolan Calluma i poszła z babką i kapłanem za dom. Nieznajomy zdawał się lśnić w ciemnościach panujących w jego pozbawionej okien szopie. Na wół leżał, na wół siedział oparty plecami w narożniku, od pasa w dół przykryty kwadratową płócienną płachtą, robiącą mu za koc. Spoglądał na nich z opieszałością godną stworzenia, które spędziło całe życie uwiązane do palika.

– Wiecie, czy jest katolikiem? spytał kapłan.

– On? Ni pies, ni wydra. Ale na pewno przydałoby mu się błogosławieństwo.

Phelan wkroczył w gęste powietrze wypełniające maleńką izbę. Pochylił się nad mężczyzną, wykonał znak krzyża i pomodlił się przez chwilę po łacinie, po czym wyjął z wewnętrznej kieszeni mosiężną fiolkę i namaścił białe czoło olejem. Gdy wyszedł na świeże powietrze, potrząsnął głową, próbując dojść do siebie. – Pani Gallery twierdzi, że są tacy, którzy chętnie utopiliby to stworzenie w Sadzawce Czarnucha Ralpa.

– Są tacy, którzy chętnie utopiliby tam ojca.

Kapłan obrócił się do Mary Trypheny. – Twoja babcia to zgorzkniała wiedźma, wiesz?

Zamknął drzwi szopy, nie odzywając się już ani słowem do mężczyzny siedzącego w środku. – Teraz wysłucham waszych spowiedzi. Callum pewnie będzie chciał zaraz zejść na wodę.

Mary Tryphena wciąż myślała o skórze mężczyzny, o jej blasku, o jego lśniącej twarzy podobnej do płomienia świecy, który można zgasić dwoma palcami.



Callum pływał razem z Danielem i Jamesem Woundym. Mieli długą na dwadzieścia stóp otwartą łódź z pokładami na dziobie i rufie. Tego lata znowu pojawiło się niewiele ryb, mężczyźni zapuszczali się więc w swoich poszukiwaniach coraz dalej i dalej wzdłuż wybrzeża, a w końcu nawet i na otwarty Atlantyk. Wypływali wiele godzin przed świtem i wiosłowali poprzez prądy nawet po dziesięć czy dwanaście mil, docierając na tak odległe łowiska jak Skerries, Monks Ledge czy Wester Shoals. Tam dryfowali z hakami wywieszonymi na linach za burtę, wyczekując.

Wspominali dni obfitości z tęską przesadą, jakby to były zamierzchłe dzieje, znane im jedynie z opowiadań przekazanych przez starsze pokolenia. Dobry Jezu, dorsze, dorsze, dorsze, ta kruczata północnego Atlantyku, ten podmorski nurt połyskliwych ciał – kiedyś ryb było pod dostatkiem. Łodzie wpływały na tak gęste ławice, że człowiek mógłby chodzić po wodzie, gdyby się nie bał, że jego buty padną łupem żarłocznych ryb.

Dorsze naprawdę były w stanie połknąć wszystko, co tylko zobaczyły przed nosem. Podczas patroszenia przez wszystkie lata zgromadzono już przedziwny, barwny asortyment; w ich żołądkach znalazły się urwane haki, skórzane rękawice, zagraniczne monety, porcelanowa broszka,

pasek do gładzenia brzytw, pół butelki jamajskiego rumu, tombakowa sprzączka od paska, srebrna tabakiera, czy wreszcie piłka, której według Królowki używano we Francji do gry zwanej tenisem ziemnym. Najważniejszą zdobycz stanowiła jednak Biblia Jabeza Trima, wydobyta pewnego dnia z przełyku dorsza wielkości kozy. Księga znajdowała się co prawda w solidnym, skórzanym futerale, lecz strony i tak były przemoczone i sklejone, a ich ostrożne rozdzielanie trwało całe miesiące. Niektóre fragmenty były tak zniekształcone, że można je było odczytać tylko z najwyższym trudem, jednak przez wiele lat Biblia ta stanowiła jedyne źródło Słowa Bożego na wybrzeżu.

Jabez odczytał kiedyś podczas niedzielnego nabożeństwa historię Abrahama i Izaaka, jak Abraham wyprowadził syna w góry, żeby zgodnie z życzeniem Pana złożyć go w ofierze. Dalsze wersety były jednak tak zamazane, że nie sposób było ich odczytać, musieli więc porzucić Izaaka na ołtarzu ofiarnym, ze wzniesioną nad nim ojcowską ręką dzierżącą nóż. Niedokończona historia wywarła na Jamesie Woundym tak wielkie wrażenie, że wciąż powtarzał ją podczas długich wypraw na łowiska, dorzucając od siebie makabryczne opisy tego, co uważał za jej nieuniknione zakończenie. Jabez próbował tłumaczyć mu, że Bóg oszczędził Izaaka, w ostatniej chwili zsyłając na ziemię anioła, aby ten powstrzymał Abrahama, jednak James podchodził do tego sceptycznie. – To zupełnie niepodobne do Boga, którego tutaj znamy, mówił.

Daniel był prawie dwadzieścia lat starszy od swojego przyrodniego brata; miał już żonę i dzieci, kiedy James przyszedł na świat. Wszyscy zgadzali się co do tego, że James jest lekko stuknięty, zapewne nigdy nie wyrośnie ze swoich dzieciennych zachowań. Ich matka, najstarsza spośród wszystkich żyjących *bushbornów*, pamiętała jeszcze dawniejsze dzieje niż Wdowa po Devinie. Sheila Woundy wydała na świat siedemnaścioro dzieci trzech różnych ojców, spośród których ostatni

miał zaledwie trzydzieści lat, gdy się z nią żenił, a teraz nie miał jeszcze nawet pięćdziesiątki. Chodziły słuchy, że była wnuczką, czy też prawnuczką, a może siostrzenicą rdzennej Indianki. Mówiła mieszańką zniekształconego irlandzkiego i strzępów jakiegoś innego języka, znanego tylko *bushbornom*. Niektórzy twierdzili, że to właśnie Indianie pomogli pierwszym osadnikom przetrwać ich pierwszą zimę na wybrzeżu, kiedy ci nie mieli do jedzenia nic poza soloną rybą, pobrażkami i korą drzew. Chodziły słuchy o mieszanych małżeństwach i dzieciach spłodzonych jeszcze przed nadejściem tego spowitego przez cienie punktu historii, w którym Indianie zniknęli z wybrzeża. Jednak Daniel i James traktowali wszelkie sugestie dotyczące swojego pochodzenia jako obrażę i nie pozwalali na żadne rozmowy na ten temat.

Załoga pozostawała na morzu tak długo, aż nie udało się napełnić łodzi rybami. Czasem mężczyźni dryfowali nawet po trzy czy cztery dni bez dobijania do brzegu i co jakiś czas zawijali się tylko w kwadratowy, płócienny żagiel, żeby zdrzemnąć się choć przez godzinę. Po długich tygodniach w znoju i głodzie zaczynali słyszeć głosy i dostrzegać postacie na horyzoncie czy w oceanie. Pewnego ranka, jeszcze zanim księżyc zdążył zająć, James Woundy stracił panowanie nad sobą i zaczął krzyczeć wniebogłosy, wskazując na ulotny zarys syreny podrygującej pod powierzchnią wody nieopodal łodzi: złote fale włosów, nagie ramiona długie niczym wiosła, fosforyzująca smuga znacząca szlak. Daniel i Callum musieli go złapać, żeby nie wyskoczył z łodzi za syreną. Powalili go na plecy, prosto w wodę przelewającą się w zębie. Daniel usiadł na bracie i przytrzymał go, czekając, aż jego szaleństwo minie.

Byli w morzu już od trzech dni, a od dwudziestu czterech godzin nie mieli nic w ustach. Ich zapasy słodkiej wody były już na wyczerpaniu, niebawem musieli więc wyruszyć w stronę lądu, z rybami czy bez.

Daniel wpatrywał się w pozbawiony śladów lądu horyzont ze swojego

stanowiska na piersi brata. Zdawał się bliski łez.

– Wiem, że to twój brat, powiedział Callum, ale ten gnojek to skończony głupek.

Daniel pokręcił głową. – Też ją widziałem, powiedział. – Była tam.

– Jasne, kurwa, że była, powiedział Callum. – Ja też ją widziałem, ale nie jestem takim osłem, żeby skakać za burte i próbować łapać ją za cycki.

Jak żywi sięgali pamięcią, dorszy nigdy jeszcze nie było tak mało. Zdawało się, że zniknęły gdzieś również niemal wszystkie kapelany, kałamarnice oraz mieszkańcy dna, jak homary czy kraby. Rok czy dwa lata temu pocieszali się jeszcze rozmowami o poprzedzających ich narodziny gorszych czasach, kiedy to jedzono gotowaną trawę, a zmarłych przed pochówkiem w morzu odzierano z łachmanów, żeby żywi mieli w co się ubrać. Jednak teraz historie te wydawały się zbyt bliskie urzeczywistnienia, aby mogły stanowić jakiegokolwiek pocieszenie.

W połowie lipca było już jasne, że nic nie uratuje tego sezonu, że nikt nie zdoła spłacić długów zaciągniętych na wiosnę, kiedy musieli się wyposażyć do połowów. Większość i tak rozpoczęła sezon z długami za poprzedni, równie nieudany. Królówka zabezpieczył się więc, zmuszając rybaków znajdujących się w najbardziej rozpaczliwej sytuacji do obciążenia swoich działek hipoteką. Dotąd zdążył zająć już pół tuzina parceli nad wodą i wyglądało na to, że zamierza zostać wyłącznym właścicielem obu przystani. Mięso z podzielonego wiosną wieloryba dawno się skończyło, a niektóre rodziny żywiły się tylko wykopywanymi na plażach pobrzeżkami i omułkami albo śledziami – wciąż tym samym posiłkiem serwowanym rano, w południe i wieczorem, tak długo, aż ciało nie było już w stanie przyjąć więcej ryb. Nie minęła jeszcze połowa lata, a już rozpoczęły się rozmowy o zimie i o tym, jak wielu z nich umrze z głodu, jeśli Bóg nie przyjdzie im z pomocą.

Ojciec Phelan miał w tym względzie niewiele do zaoferowania,

starał się więc przydać raczej w roli towarzysza do flaszki, pocieszając innych opowieściami o kobietach, z którymi sypiał na południowym wybrzeżu półwyspu Avalon lub szczegółowymi opisami historii zaburzeń seksualnych angielskich monarchów. Śpiewał im piosenki, których nauczył się od czarnuchów w Indiach Zachodnich, uczył ich „tubylczych tańców” z Wysp Morza Południowego, podczas których mężczyźni musieli skakać sobie przez plecy z gaciami na głowach, kwicząc jak świnie. Noc spędzona z dala od zmartwień była wszystkim, co mógł im dać, ziemskim przedsmakiem Królestwa przygotowanego przez Pana.

Raz w tygodniu przychodził do Mary Trypheny, aby przerabiać katechizm i uczyć ją podstawowych prawd wiary. Zawsze był potwornie skacowany, siadywali więc na świeżym powietrzu, po zacienionej stronie domu. Za plecami mieli szopę, w której spał nieznajomy, a kiedy drzwi były otwarte, jego blada twarz odznaczała się wyraźnie w ciemnym wnętrzu. Mężczyzna niedawno zaczął robić użytek ze swoich nóg i przez kilka dni próbował nawet błąkać się po Trzewiu, zaglądając ludziom w okna lub przypatrując się kobietom wywieszającym pranie czy sadzącym ziemniaki w ogródkach. Jeśli któraś z nich go zobaczyła, przeganiała go grabiami lub kijem, a dzieci biegły za nim, ciskając w jego głowę kamienie. Teraz za dnia nie opuszczał swojej szopy, a ojciec Phelan podejrzewał, że byłby już dawno martwy, gdyby nie Wdowa po Devinie.

Po katechezie kapłan przystanął przed szopą i skinieniem głowy przywitał mężczyznę siedzącego w środku. Przez chwilę mówił do niego o rybach, zadziwiająco dobrej pogodzie oraz swoim pobycie w Afryce, nie wiedząc, czy dociera do niego choć jedno słowo. – Cóż, miły panie, powiedział w końcu. Ciepło bynajmniej nie zelżyło odorowi roztaczanego przez mężczyznę. Ojciec Phelan oddychał w tym smrodzie z najwyższym trudem. – Niektórzy mówią, że chętnie by się Ciebie pozbyli, oznajmił. – Uważają, że odstraszasz ryby, ot co. Pewnie tylko tak gadają. Jak by

jednak nie było, nigdy nie wiadomo, do czego ludzie się posuną, gdy nastaną ciężkie czasy. A teraz czasy nie są lekkie.

Ojciec zerknął przez ramię, żeby sprawdzić, czy wyraz twarzy mężczyzny świadczy może o tym, że cokolwiek pojął, w środku było jednak zbyt ciemno. – Pokój Pański niech będzie z tobą, powiedział na odchodnym.



W końcu po niego przyszedli, zgodnie z przewidywaniami kapłana. Dwa tuziny pijanych mężczyzn uzbrojonych w noże do ryb, widły, pochodnie i liny – wyświechtany, średniowieczny obrazek – krocących ciemną nocą przez Tolt Road. Wdowa po Devinie zaczęła szarpać Calluma. – Przyszli po niego, powiedziała.

– Kto?

– Wstawaj.

W tym momencie dosłyszał zgiełk, mężczyźni krzyczeli do siebie tak, jakby w ciemnościach zawodził ich nie tylko wzrok, lecz również i słuch. Lizzie złapała go za ramię, błagając, żeby został w środku. Wdowa po Devinie wyszła więc sama, podczas gdy Callum dyskutował z żoną. Kiedy mężczyźni dotarli pod dom, wdowa stała już przed drzwiami szopy. Na ramiona zarzuciła szal, jej rozpuszczone, siwe włosy okalały zapadniętą, porytą cieniami twarz. Nikogo nie zaskoczyła jej obecność, upili się zresztą właśnie po to, żeby mieć odwagę stawić jej czoła. Staruszka była tak wątpła, że jej żylaste ciało wydawało się ukręcone z konopnej liny, jednak to właśnie ona asystowała kiedyś przy narodzinach większości z obecnych, a później również przy narodzinach ich dzieci. To ona czuwała przy konających, to ona obmywała i przygotowywała zwłoki

do pochówku. Zdawała się być strażniczką wrót dzielących dwa światy, a bez jej wiedzy nie daliby sobie rady. Ktoś stojący z tyłu poprosił ją, żeby zeszła im z drogi, a uległość pobrzmiwająca w jego głosie była w tych okolicznościach tak komiczna, że wdowa wybuchnęła śmiechem.

– I może jeszcze zaparzyć wam herbaty? spytała.

Callum wyszedł zza rogu domu i stanął u boku matki. – Czego chcecie? spytał.

Ten sam grzeczny głos dobiegający gdzieś zza pleców innych mężczyzn powiedział, Chcemy tylko zamienić parę słów z jegomościem, którego trzymacie w szopie.

– Przecież w głowie tego idioty nie znajdzie się ani jedno słowo.

– Callum, jeśli nas do tego zmusicie, spalimy szopę.

W tym momencie drzwi do szopy lekko się uchyliły. Powoli otwierały się coraz szerzej i szerzej, aby w końcu odsłonić Mary Tryphenę, która oznajmiła im, że mężczyzna zniknął.

Pijana zgryza przepchnęła się koło niej, by sprawdzić wewnątrz szopy, a następnie przelała się przez dom, niepewnie przeczesawsza pobliskie zarośla i w końcu skierowała się nad wodę. Callum stał w miejscu, patrząc, jak światła pochodni znikają i pojawiają się w drzwiach kolejnych magazynów. Po chwili wszedł do domu i przysiadł na skraju dziecięcego łóżka, by porozmawiać z Mary Trypheną. Powiedziała, że wyszła na zewnątrz, bo obudził ją sen. Wtedy zobaczyła światła na drodze i poszła do szopy, żeby ostrzec mężczyznę. Musiała go odpędzać tak, jakby odganiała starą krowę, która narobiła szkód w ogródku.

– Ale wyszłaś z domu po to, żeby się wysikać?

– Nie, odparła.

Callum pokręcił głową. Nie wiedział, czy córka chciała przez to powiedzieć, że wszystko najpierw jej się przyśniło, czy też po prostu był to zwykły zbieg okoliczności, a nie zdobył się na to, żeby zapytać.

Zawsze myślał, że Mary Trypheną ma w sobie zbyt wiele z wdowy. Była zbyt dojrzała jak na swój wiek i żadna życia na sposób, który wzbudzał w nim strach. Jego ukochaną córeczką była towarzyska i wesoła Eathna, dołeczki w policzkach, burza rudych loków i słodki głosik, zawsze gotów wtórować ojcu, gdy podśpiewywał w obejściu. Przy Mary Tryphenie nigdy nie czuł się tak swobodnie. Owszem, Callum nie wątpił, że na świecie jest wiele rzeczy, których nie da się zobaczyć, usłyszeć czy dotknąć, jeśli jednak ktoś przywiązywał do tych spraw zbyt dużą wagę czy wręcz próbował robić z nich użytek, otwarcie dopraszał się o kłopoty. – Co jeszcze nam wyśniesz? spytał, lecz ona tylko popatrzyła na niego ze współczuciem.

Kiedy wrócił do łóżka, Lizzie jeszcze nie spała. Leżeli tak obok siebie do rana, napięci i przepełnieni strachem. Lizzie miała mu za złe, że wyszedł na zewnątrz, a on nie rozumiał, jak mógłby zostawić matkę sam na sam z pijanym, żądnym krwi motłochem. – Ona nie potrzebuje pomocy ani z niebios, ani z ziemi, powiedziała Lizzie z nutą odrazy w głosie, jakby hart ducha wdowy był czymś godnym potępienia.

Callum był o dziesięć lat starszy od żony. Zakochał się w niej, kiedy była jeszcze dzieckiem. Wiele lat przeżył zrezygnowany, pogodzony z perspektywą nieszczęśliwego życia bez niej. Nigdy nie przyznali tego otwarcie, ale to, że byli teraz razem, zawdzięczali właśnie podejrzanym machinacjom wdowy. Lizzie, która nie przywykła do tego, by żyć z długim wdzięczności wobec kogokolwiek, nigdy nie pogodziła się z tą świadomością.

Dwie godziny później, kiedy Callum wstał z łóżka, na zewnątrz wciąż panowały ciemności. Poranek był spokojny i ciepły jak wszystkie poranki, od kiedy nastala pełnia lata. Cieniutki odłamek księżyca połykiwał nad Toltem niczym haczyk na ryby.

Wdowa po Devinie zatrzymała go w drzwiach. – Będziesz miał dzisiaj

na morzu dobry dzień, powiedziała, a on tylko przytaknął, nie patrząc na nią.

Daniel i James czekali już na przystani. Nie wspomniawszy ani słowem o wydarzeniach ostatniej nocy, trzech mężczyźni znieśli do łodzi wiadra z linami i przynętą, po czym poluzowali cumy i wypłynęli na spokojne, wezbrane przypięciem wody zatoki. James i Daniel usiedli do wiosła i wyprowadzili łódź poprzez przesmyk, podczas gdy Callum ciął rybki na przynętę i zakładał je na haki. Dopiero po godzinie spędzonej na wodzie zdali sobie sprawę, że w ich łodzi wciąż czuć smród padliny i rybich wnętrzności, który jeszcze w przystani kojarzyli ze znajdującym się nieopodal magazynem, w którym patroszono ryby. Teraz odór zdawał się bić od dziobu łodzi. Pod przednim pokładem znaleźli półnagięgo pasażera na gapę, skulonego pod kawałkiem płóciennego żagla. Odgadli, że zeszłej nocy musiał uciec ze swojej szopy na nabrzeże, czyli jedyne w Trzewiu miejsce, gdzie nie zdradziłby go smród. Gdy zobaczył zbliżające się światła pochodni, schował się w łodzi. – Co oznacza, że nie jest pierwszym lepszym idiotą, stwierdził Daniel. Trzej mężczyźni zaczęli dyskutować o tym, czy mądrze będzie wlec go dalej ze sobą i czy warto marnować czas na odstawianie go na brzeg. – Cięży na nim jakiś cholerny zły urok, stwierdził James. – Jeśli wypłyniemy z nim na pokładzie dalej, wszyscy się potopimy.

Daniel zasugerował, że mogliby na miejscu rozwiązać problem, wyrzucając go za burtę, Callum stwierdził jednak, że w takim przypadku zapewne niebawem znowu znaleźliby się w punkcie wyjścia – bowiem nic nie stało na przeszkodzie, żeby nieproszony gość powrócił do nich w brzuchu kolejnego wieloryba. Od kiedy go znaleźli, mężczyźna nawet nie drgnął, tylko wodził po nich niespokojnym wzrokiem, a teraz wpatrywał się w Calluma tak, jakby oczekiwał na wyrok.

– Tyle wam powiem, oznajmił James Woundy, że mam już serdecznie

dość wleczenia tego skurczybyka w tę i we w tę po całym bożym świecie. Dopóki on będzie w łodzi, nie tknę wiosła.

– Co ty na to? Callum spytał mężczyźnę. – Chcesz może powiosłować?

Wyciągnął do niego rękę w drwiącym geście zachęty. Kiedy tamten ujął wyciągniętą dłoń, Callum nie mógł się już wycofać. James i Daniel przenieśli się na rufę, a nieznajomy wyszedł na środek łodzi, ustawił wiosła, skrzyżował ręce i zaczął wiosłować w stronę wschodzącego słońca tak, jakby ono samo było jego celem.

Przeplłynęli koło kilku łodzi, których załogom również nie szczęściło się z rybami. Kiedy inni zobaczyli, kto siedzi przy wiosłach, zaczęło się pokazywanie palcami i pokrzykiwanie, a do czasu, gdy tarcza słońca ukazała się cała na niebie, za ich rufą zdążyła się już zebrać skromna flotylla, śledząca ich dyskretnie z bezpiecznej odległości. Byli tam również niektórzy spośród mężczyzn, którzy zeszłej nocy wkroczyli do Trzewia z pochodniami w dłoniach. Nieznajomy wiosłował, w ogóle nie oglądając się za siebie, aż w końcu wprowadził łódź na niczym niewyróżniającą się płyciznę, zwaną Zadem, i złożył wiosła.

– I co teraz? spytał Callum. – Chcesz odpocząć, co?

Mężczyzna jednak rzucił kotwicę i sięgnął po drewniane wiadra, w których leżały haki i zwoje liny. Posłał Callumowi przelotne spojrzenie, po czym przepuścił między palcami linę, pozwalając jej końcowi wysunąć się do wody przez reling, a następnie zaczął wybierać i popuszczać ją rytmicznymi, długimi pociągnięciami ramienia. Powtarzał ten ruch wielokrotnie, raz za razem, przez cały czas bacznie obserwowany przez milczącą publikę siedzącą w łódkach unoszących się wokół na wodzie.

– Daniel, co o tym myślisz? spytał Callum.

– Myślę, że jest całkiem pomyłony i tyle.

James dorzucił, Założę się, że w drodze powrotnej nie pomoże nam już, skurwieli, wiosłować.

W tym momencie nieznajomy na coś natrafił i zaczął wyciągać linę, raz za razem przekładając rękę nad ręką, mocując się z jakimś niewidocznym ciężarem. Pierwsza rękawica bladego mięsa, która ukazała się na powierzchni, wypuściła strugę oleistego atramentu. – Pierdolona kałamarnica! krzyknął James. – Trafił na kałamarnice! Stworzenia wciąż wynurzały się z ciemnej toni, tnąc powietrze strumieniami czerni pstrzącej ubrania i twarze mężczyzn stojących w łodzi. Rybacy na otaczających ich łodziach zaczęli krzątać się i pokrzykiwać, a już po chwili koniec każdej liny, jaka wpadła im w ręce, wylądował za burtą. Minął jakiś czas, zanim w całym tym zamieszaniu Callum zorientował się, co tak naprawdę się dzieje. Kałamarnice wpadały do łodzi w zdającym się nie mieć końca korowodzie i już zaczynały piętrzyć się na dnie, sięgając im powyżej kostek. Niemożliwe, żeby zahaczył ich tyle za jednym razem. Gdy Callum spróbował podnieść jedną z kałamarnic leżących w zęzie, pociągnął za nią do góry cały łańcuch stworzeń – każde było połączone pyskiem z ogonem kolejnego. Spojrzał na nieznajomego, który porzucił już teraz linę i łapał po prostu za kolejne kałamarnice, wciągając na pokład jeden nieprzerwany sznur: pysk, ogon, pysk, ogon, pysk, ogon. Rozejrzał się po innych łodziach, na których pozostali mężczyźni wciąż szarpali swoje liny jak opętani, choć żadnemu nie udało się jeszcze złowić. Danielowi, który też zarzucił swoją linę, również nie dopisywało szczęście. Callum zawołał go i wskazał ręką niezwykle widok. W końcu wszyscy dali za wygraną i po prostu zaczęli przyglądać się łodzi Calluma, która wypełniała się stopniowo kałamarnicami, aż w końcu zanurzyła się pod ich ciężarem tak bardzo, że burty były ledwo widoczne ponad powierzchnią wody.

Jabez Trim podpłynął do nich i spytał, czy nie zechcieliby przekazać mu łańcucha kałamarnic, kiedy będą już mieli dość. Callum przeciął sznur i podał koniec Jabezowi, wyciągając rękę ponad burtą. – Rany

boskie, tylko tego nie wypuść, powiedział Jabez. Napełniwszy drugą łódź, przekazali łańcuch na trzecią. Wczesnym popołudniem każda łódka w ich skromnej flotyli, bez względu na wielkość, była już załadowana po brzegi, a wszystkie załogi były uwalane czarnym atramentem. Kiedy łańcuch kałamarnic wrócił na łódź Calluma, przywiązali go na rufie na dwa półszyty i zaczęli powoli wiosłować w stronę Trzewia, starając się brać fale dziobem, żeby nie nabierać wody. Callum przypomniał sobie słowa, którymi rano pożegnała go matka. Na myśl, że mogła przewidzieć coś takiego, przeszedł go dreszcz. Ogarnęło go nieodparte wrażenie, że staruszka w jakiś sposób spowodowała to wszystko, że całe jego życie jest po prostu historią, którą matka snuje w myślach. Po drodze do domu zatrzymywali się, żeby pozwolić załogom napotkanych łodzi nabrać swoją działkę z łańcucha, a gdy przez burtę prześlizgnęła się wreszcie ostatnia z kałamarnic, wszystkie łódki na wodzie były już wypełnione po brzegi.



Trumienka przeznaczona dla Michaela Devine'a została pobielona i wyposażona w bieguny, żeby mogła służyć mu za kołyskę w ciepłych miesiącach lata. Po chrzcie stał się niezwykle łagodnym dzieckiem, nigdy nie płakał, chyba że z głodu, a od drugiego miesiąca życia przesyPIał już spokojnie całe noce. Na wybrzeżu zwano go Małym Łazarzem, dzieckiem, które co rano wstawało ze swojej trumny uśmiechnięte i niedręczone przez żadne zmary.

Nieznanego albinosa zaczęto nazywać Judą, co miało być swego rodzaju wariacją na temat wymienianych przez Jamesa Woundy'ego i Jabeza Trima imion biblijnego bohatera połkniętego przez wieloryba. Co

prawda Jabez Trim twierdził, że Juda to jeden z krajów w Ziemi Świętej, a więc nadawanie człowiekowi takiego imienia nie jest zbyt rozsądne, przestał jednak protestować, gdy stało się jasne, że imię przyjęło się na dobre.

Po tym, jak wyłowili łańcuch kałamarnic, dorsze wróciły na parę tygodni w tak ogromnych ilościach, że nikt nie nadązał z połowem. Nie przypominali sobie, żeby kiedykolwiek ryb było tak dużo, żeby tak chętnie pozwalały wyciągać się na pokład, a zmianę na lepsze przypisywali pojawieniu się Judy. Inne załogi podążały w ślad za łodzią Calluma, trzymając się jak najbliżej swojego szczęśliwego talizmanu. Ryby zdawały się zbierać zawsze pod stopami Judy, jakby cała ławica była uwiązana na sznurku do kila jego łódki.

Na zakończenie jednego z niedzielnych nabożeństw Jabez Trim odczytał historię o tym, jak Jezus kazał rybakom zarzucić sieci, chociaż przez cały dzień nic nie złowili, i jak w końcu nałapali tyle ryb, że nie byli w stanie ich wybrać z wody. Na sali nie było chyba nikogo, kto nie pomyślałby w tym momencie o Judzie. Nim nastał koniec lata, zaczęli mówić na niego Wielki Biały lub święty Juda, patron spraw beznadziejnych. Katolicy na jego widok wykonywali znak krzyża tak, jakby stali przed ołtarzem. Chorzy przychodzili do niego, żeby nałożyć na nich ręce, jeśli wszystkie metody leczenia zawiodły – siadywali z Judą w iście trującej atmosferze jego szopy i przyciskali dłonie mężczyzny do źródeł swoich cierpień. Niebawem zaczęły krążyć pogłoski, że ta czy inna osoba wróciła z audjencji u św. Judy zdrowa jak ryba.

Bez względu na wszystkie cuda, Lizzie nadal nie chciała słyszeć o tym, żeby Juda przekroczył próg ich domu. Wdowa po Devinie co prawda na pokaz wyklócała się, że powinni zapraszać go do stołu na wspólne posiłki, fakty jednak były takie, że odór Judy pozbawiłby apetytu nawet świnię. Mężczyzna jadał na dworze, siedząc na pieńku, a Mary Tryphena

przyglądała mu się uważnie, gdy wydawało się jej, że nikt nie patrzy. Jego brwi i rzęsy były tak białe, że oczy zdawały się całkiem nagie, niczym pozbawione powiek oczy dorsza. Z jednej strony mężczyzna wydawał się bezradny i otepiały, z drugiej strony miał w sobie coś, co napawało ją niepokojem.

Nauczył się reagować na imię, które mu nadano, wykonywał też proste polecenia i prośby, choć jego życie i praca były w takim stopniu podporządkowane codziennej rutynie, że już najprostszy gest czy skinienie głowy wyrażały wszystko, co musiał wiedzieć. Większość mieszkańców wybrzeża była przekonana, że Juda nie rozumie ani słowa po angielsku czy irlandzku. Kiedy pracowali na wodzie w pobliżu jego łódki, rozmawiali o nim tak, jakby był głuchy.

– Sra tyle, co każdy, Callum odpowiadał na ich pytania. – Żre jak Hiszpan. Śpi jak zabity. Nie widziałem, żeby choć raz uklęknął do modlitwy albo się przeżegnał. A śmierdzi jak jakiś protestant.

– Callumie Devine, ty nędzny draniu!

– Spokojnie, Jabez, tak tylko się droczę.

– Odezwał się do ciebie choć słowem?

– Z pustego nie należesz, stwierdził Callum. – Choć głupi to on na pewno nie jest.

Jabez przytaknął.

– Chyba nigdy się nie dowiemy, co sobie myśli.

U schyłku lata pod Drzewem Kerrivanów odbyło się bierzmowanie. Chociaż sama msza była odprawiona po łacinie, a pozostała część ceremonii po irlandzku, większość Anglików z wybrzeża i tak wzięła w niej udział, chcąc nacieszyć oczy samym niezrozumiałym widowiskiem. Gdy słońce zachodziło powoli za wzgórze nad zatoką, Mary Tryphena, Floretta Tibbo i dziesięcioletnie trojaczki Saula Touchera przyjęły pierwszą komunię. Trojaczki były jednojajowe, tak podobne do siebie, że

nawet rodzice nie potrafili ich odróżnić, może za wyjątkiem Alphonsusa, który w drodze losowania uzyskał prawo do chodzenia w jedynej parze butów przypadającej na rodzeństwo. Chociaż Alphonsus z obawy przed utratą obuwia nie zdejmował go nawet do snu i tak co jakiś czas któryś z jego bosych braci oznajmiał, że jest prawdziwym Alphonsusem, a chłopiec w butach po prostu je ukradł. Każdy z braci nosił te buty – wraz z imieniem – tyle razy, że w końcu sami stracili rachubę i nie potrafili już stwierdzić, który z nich właściwie był Alphonsusem na początku. Gdy przed udzieleniem sakramentu ojciec Phelan ogłosił, że wszyscy jesteście jedno w Jezusie Chrystusie, na twarzach trojaczków odmalował się wyraz całkowitej rezygnacji, jakby chłopcy mieli już serdecznie dość takich układów.

Po uroczystości odprawiono na Wygonie za Drzewem Kerrivanów sakrament o bardziej świeckim charakterze, w ramach którego przekazywano wokół kufle świerkowego piwa, butelki bimbrowy i ciemnego rumu. W świetle wschodzącego księżyca, pośród chmur kłusujących zawzięcie komarów i meszek, upili się mężczyźni, upiły się kobiety, a przy okazji i niejedno dziecko. Królowka Sellers i Selina pojawili się na chwilę ze swoim wnukiem. Parę osób widziało również pana Gallery'ego, przyglądającego się zabawie ze skraju polany. Pośrodku Wygonu płonęło ognisko z drewna wyrzuconego przez morze, zielonych świerkowych gałęzi i suszonego gnoju kóz i owiec wypasanych na tych łąkach. Trzystrunowe skrzypki Jabeza Trima i świszczący akordeon Daniela Woundy'ego poprowadziły do tańca gromadę czarnych cieni tratujących trawę na polanie. Callum zaciągnął Judę w sam środek zbiorowiska; dwaj odurzeni trunkami mężczyźni zaczęli tańczyć, trzymając się pod ramię. Pod dym ogniska wkradła się rybia woń Judy, a wszyscy zebrani powitali ją tak, jakby owionął ich zapach dostatku i pomyślności. Callum znał chyba z tysiąc melodii, nieraz bawił nimi gości na weselach i stypach,

od zeszłego roku nie słyszeli jednak, żeby wyśpiewał choć jedno słowo. Teraz, po raz pierwszy od śmierci małej Eathny, dał się wreszcie nakłonić do odśpiewania kilku piosenek. Jego głos był jak pierwsza łyżeczka cukru po zakończeniu postu, ta słodycz przyprawiała niemal o halucynacje.

Gdy noc dojrzała, pary zaczęły znikać wśród porastających skraj pola olch i krzewów, zsuwając ubrania, przygotowując miejsce na pijacką miłość, którą miały sobie ofiarować. Okrzyki, śpiewy i drobne sprzeczki rozkwiwały wśród zgromadzenia zataczającego się już powoli w kierunku czekających go kolektywnych cierpień następnego poranka. Nigdy nie byli jeszcze tak zadowoleni z tego, co dało im życie, nigdy nie byli równie skłonni pogodzić się ze swoim losem.

Zaraz po mszy Lizzie wróciła z małym Łazarzem do domu, Mary Tryphena spędziła więc cały wieczór w towarzystwie Wdowy po Devinie. Była rozczarowana swoją pierwszą komunią; podniosła ceremonia została zbrukana przez ponurych chłopaków Touchera, którzy przez cały czas kłęli pod nosem i poszturchiwali się nawzajem. Noc na Wygonie znacznie bardziej przypadła jej do gustu. Ta światłość i wściekła swoboda płomieni. Kiedy babka oznajmiła, że pora wracać do domu, Mary zeszła z górki pod Drzewo Kerrivanów, aby tam poszukać schronienia przed wtrącającą się do wszystkiego staruszką. Zdjęła czepek, aby jego biel nie zdradziła jej w ciemnościach, po czym wdrapała się po gałęziach na górę. Wnuk Królowki zdążył już wcześniej usadzić się na szczycie drzewa – dokładnie z tych samych powodów, co ona – jednak Mary Tryphena nie dostrzegła go po ciemku i, jak to miała w zwyczaju, gdy była sama, zaczęła podśpiewywać pod nosem. Gdy chłopak powiedział, że podoba mu się jej głos, o mało nie spadła ze swojej gałęzi, – Nie dla ciebie śpiewałam, oznajmiła.

– To nic, odparł.

Na imię miał Absalom. W towarzystwie zazwyczaj nie odzywał się

ani słowem. Jedni mówili, że to dlatego, że się jąka, inni, że tak wcześniej stracił rodziców, jeszcze inni twierdzili, że w chłopaku już daje o sobie znać wyniosłość Sellersów. Był zdziwaczały i zamknięty w sobie, wydawał się bardziej dziecinny niż pozostali chłopcy w jego wieku – zapewne przez to, że żył w Domu Seliny, odcięty od świata. Absalom zerwał jedno z młodych jabłek, odgryzł kawałek, po czym wręczył owoc Mary Tryphenie. Ten niespodziewany, poufały gest sprawił, że w jej brzuchu zakotłowało się jak w ulu pełnym pszczół. Przez chwilę wpatrywała się w jego ciemną, pozbawioną szczegółów sylwetkę. Spytała, Absalomie, czy wiesz, kim jestem?

– Mary Tryphena Devine, odpowiedział, zacinając się na „de”.

Zastanawiała się, czy chłopak nie próbuje w jakiś bliżej nieokreślony sposób zabawić się jej kosztem, jednak w jego zachowaniu nie dopatrzyła się niczego poza czystą niewinnością. Najwyraźniej Absalom naprawdę nie zdawał sobie sprawy, że Lizzie jest córką Królówki, a więc jego ciotką; że Mary Tryphena jest jego kuzynką. Taka nieświadomość u chłopaka w jego wieku wydawała się wręcz żalosna, dziewczynka zapalała więc do niego iście matczyną troską. Jabłko pachniało zaskakująco słodko, Mary Tryphena wgrzyła się w twardego owoc, po czym oddała go chłopakowi. Zjedli tak razem całe jabłko, a gdy skończyli, Absalom zszedł z drzewa, po drodze kładąc dłonie kolejno na jej ramionach, biodrach i nogach. Stanąwszy pod jabłonią powiedział, Masz przepiękne włosy, a ona, nie patrząc w dół, powiedziała, Dobranoc.

Ognisko płonęło jeszcze długo w noc. Wreszcie przy dogasającym żarze został tylko ojciec Phelan. Był zadowolony z siebie i z wieczora, z dzieci wprowadzonych na drogę wiary i ze swojej homilii o zazdrości aniołów, ze spotkania na Wygonie oraz z bardziej intymnych spotkań w zaroślach na skraju łąki. Tam, w ciemnościach, życie potrafiło upomnieć się o swoje prawa, nie bacząc na to, że czasy były ciężkie i niepewne.

Znalazł piaszczystą ścieżkę biegnącą nieopodal Drzewa Kerrivanów i ruszył nią przez osadę, po drodze udzielając pijackich błogosławieństw każdemu napotkanemu domostwu. Wspiąwszy się stromą Tolt Road, przystanął na chwilę na szczycie klifu, by nabrać tchu przed zejściem do Paradise Deep. Pozbawione światła wybrzeże ciągnęło się po tysiąc mil w obie strony, a ocean jątrzył się gdzieś pod nim. Stojąc na skraju zbocza, udzielił błogosławieństwa wszystkim rybom morskim oraz przycmionemu krążkowi księżycy, żeglującemu pośród chmur.

Prawa godzące w Kościół katolicki zostały co prawda zniesione całe dziesięciolecia temu, a w St. John's rezydował już wikariusz apostołski troszczący się o wszystkie sprawy miejscowego Kościoła, jednak ojciec Phelan kontynuował swoją działalność, nie zważając na jakąkolwiek zwierzchność, państwową czy kościelną. Żył pośród swoich wiernych niczym uchodźca, utrzymując się z jałmużny wspólnot, którym służył. Twierdził, że tylko w Trzewiu i Paradise Deep czuł się dość bezpiecznie, by móc pokazać się na zewnątrz w biały dzień. Jak zwykł mawiać, wybrzeże było tak odległe od St. John's oraz myśli gubernatora i wikariusza, że jego mieszkańcy byli właściwie zapomniani.

Morskie fale były wezbrane nadchodzącym przyływem, ich uderzenia niosły się dreszczem po skale i po ciele kapłana, a jego głowa była jak dzwon, w który ktoś bił młotem. Jego zakon kierował się cnotami ubóstwa i prostoty, a Nowa Fundlandia zdawała się wręcz stworzona jako ich odzwierciedlenie. Był beznadziejnym kapłanem, zdawał sobie z tego sprawę, i nie zasługiwał na nic lepszego niż posługa na takim zabitym dechami zadupiu chrześcijańskiego świata. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że nadał był narzędziem w rękach Pana. Dzwon w jego głowie ciągle bił.

W pijanym widzie udzielał błogosławieństw nadzwyczaj rozrzutnie. Zwrócił się ku południu, by pobłogosławić mieszkańców Trzewia, a następnie ku północy, by pobłogosławić pogrążone we śnie Paradise

Deep. Pobłogosławił również sylwetkę pana Gallery'ego, który wcześniej przyczał się w pobliżu Wygonu, by pójść za nim do domu, a teraz czekał na niego na skraju Tolt Road. Ojciec Phelan rozpiął spodnie i, chwając się nad otchłanią, odlał się wprost do wzburzonych wód oceanu. Pobłogosławił swoją małą, pomarszczoną fujare, po czym schował ją w gacie i ruszył w kierunku Paradise Deep. Miał w zanadrzu jeszcze kilka bardzo konkretnych błogosławieństw przeznaczonych dla czekającej na niego w łóżku pani Gallery, z którą zamierzał sprawić, że zazdrość ogarnie całe zastępy aniołów.



Przez całą jesień ktoś obsypywał Mary Tryphenę tajemniczymi drobnymi podarkami, garściami czerwonych borówek ułożonymi na spodeczkach z liści, gładkimi kamykami i muszelkami z plaży, zbiełałą czaszką jakiegoś ptaka, słodkim jabłkiem z Drzewa Kerrivanów zawiniętym w kwadratową szmatkę. W jej życiu nie istniało coś takiego jak prywatna przestrzeń, prezenty były więc podrzucane w ogólnodostępnych miejscach, w których ona miała natknąć się na nie pierwsza – czasem leżały na Skałach Praczek u ujścia strumyka, czasem ktoś wieszał je na drzwiach wychodka na chwilę przed jej ostatnią, wieczorną wizytą.

Zdarzało się, że matka, ojciec czy Juda znajdowali na progu domu albo na parapecie kawałek wypolerowanego drewna lub wygładzony przez morze odłamek szkła. Mary Tryphena nie miała najmniejszych wątpliwości, do kogo były adresowane te drobiazgi. Była zaskoczona nie tylko faktem, że Absalom podrzucał wszystkie prezenty całkiem niezauważony, ale również tym, że zdołał jakoś rozeznaczyć się w najdrobniejszych szczegółach jej codziennych obowiązków i przyzwyczajzeń.

To zdawało się całkiem niepodobne do chłopaka, który ponoć był dziwakiem i odludkiem, do chłopaka, który wciąż najwyraźniej nie zorientował się, że jest jej kuzynem.

Gromadziła podarki nieopodal domu, pod pniakiem starego świerku, nie mówiąc nikomu o tym potajnym związku, który, jak dobrze wiedziała, był z góry skazany na niepowodzenie. Królowka Sellers, który wydziedziczył Lizzie za to, że wyszła za Devine'a, nigdy by nie pozwolił, żeby w jej ślady poszedł Absalom, jego jedyny uznany wnuk i wyłączny spadkobierca. Równie nieprawdopodobne wydawało się zresztą, żeby na takie małżeństwo przystali Callum i Lizzie.

Widywała go tylko na nabożeństwach Jabeza Trima lub w sklepie Sellersów, gdzie ojciec kupował zapasy na zimę. Absalom był wtedy tak cichy i nieśmiały, że Mary Tryphena zaczynała wątpić w swoje rozeznanie rzeczywistości. W tamtej rozmowie kryła się taka nieznaną rozkosz, taka dojrzała zażyłość, że teraz aż robiło jej się słabo na myśl, że mogła się co do niego pomylić. Dopiero po nadejściu pierwszych śnieżyc, kiedy mężczyźni zaczęli spędzać całe dni w głębi lasu, rąbając i zwożąc drewno, Mary Tryphena otrzymała coś rozstrzygającego – złożony, przewiązany sznurkiem list, który znalazła pomiędzy kocami na swoim łóżku. Zadziwiła ją śmiałość Absaloma, który najwyraźniej zdołał niepostrzeżenie zakraść się do jej domu.

Całymi tygodniami nosiła kartkę w kieszeni na sercu, rozwijając ją tylko w nieczęstych chwilach samotności. Studiowała liścik z namaszczeniem godnym botanika przyglądającego się egzotycznemu kwiatu. Wąchała go, próbowała lizać papier oraz pachnący tłuszczem i borówkami atrament, modliła się do niego, jakby w ten sposób mogła przebłagać słowa, by objawiły jej w snach swoje znaczenie. Dni spędzała w stanie ciągłego rozdrażnienia i wyczerpania, a nocami miotła się i krzyczała we śnie. Wdowa po Devinie była przekonana, że jedynie mężczyzna może być

przyczyną jej cierpienia, jednak Mary Tryphena uparcie temu zaprzeczała. Kiedy matka przyszła do niej w nocy, żeby spytać, czy może jej jakoś pomóc, dziewczyna odwróciła się od niej i wybuchnęła płaczem, wtulona w siennik. Kiedy Mary Tryphena była mała, Lizzie zaczęła uczyć ją liter, jednak później, w chudych latach podłego jedzenia i skrajnego wyczerpania, zarzuciła te nauki.

Od tamtego czasu Mary Tryphena zdążyła już zapomnieć większość alfabetu. Liścik, który nosiła przy sobie, był dla niej jak strona z Biblii Jabeza Trima, jak Słowo Boże mające tylko jedno, jedyne znaczenie, do którego odczytania zdolne były wyłącznie osoby wprowadzone w jego tajniki.

Stwierdziła, że jej jedyną nadzieją jest Jabez Trim. W listopadzie i grudniu – podczas gdy temperatura spadała nieubłaganie, a ludzki świat kurczył się stopniowo do rozmiarów malutkiego obejścia, chałupy, skrawka podłogi w promieniu trzech stóp od paleniska – Mary Tryphena rozmyślała wciąż nad tym, w jaki sposób mogłaby choć na parę chwil znaleźć się z Jabezem sam na sam. W trzecim tygodniu Adwentu w zasadzie dała za wygraną i założyła, że już do wiosny nie zdoła z nim porozmawiać. Myśl o tak długim oczekiwaniu sprawiła, że stała się gburowata i niecierpliwa. – Jeśli jakoś się nie pozbędziemy tej dziewczyny z domu, powiedziała Wdowa po Devinie, to chyba w końcu ją otruje.

Lizzie mieszkała właśnie na ogniu bożonarodzeniowy pudding: ciemną melasę z suszonymi porzeczkami i wiśniami. – Daj dziecku spokój, powiedziała.

– Wezmę ją ze sobą, kiedy będę szedł z ciastami na drugą stronę Toltu, zaproponował Callum.

Pani Gallery nie miała pracy i utrzymywała się tylko z datków składanych przez pozostałych wiernych, a należności z jej rachunku w sklepie Sellersów były rozdzielane po równo pomiędzy wszystkich

katolików na wybrzeżu. Poza tym, w Boże Narodzenie zwyczajowo przekazywano Jabezowi i ojcu Phelanowi drobne dowody wdzięczności za ich całoroczną posługę. Bożonarodzeniowe puddingi były istną ekstrawagancją, dowodem na to, jak udane były tegoroczne połowy.

– Przejdziemy się jutro, Callum powiedział do córki. – Obojgu nam to bardzo dobrze zrobi.

Calluma jeszcze tej samej nocy zwała z nóg grypa; miał tak wysoką gorączkę, że leżał przy ogniu zawinięty w koc, wzywając swego nieżyjącego ojca, a Lizzie oznajmiła, że puddingi będą musiały poczekać. Mary Tryphena, która dobrze wiedziała, że nie ma co liczyć na drugą taką okazję, nawet nie chciała o tym słyszeć. Lizzie nie życzyła sobie, aby córka wychodziła sama przy tak nieobliczalnej pogodzie, zaczęła więc nalegać, żeby dziewczyna wzięła z sobą Judę. Mary Tryphena oznajmiła, że w takim razie zabierze psa, który z pewnością doprowadzi ją z powrotem do domu, jeśli akurat nadejdzie śnieżyca.

– Pozwól jej iść, powiedziała w końcu Wdowa po Devinie. – Mam już po dziurki w nosie tych waszych dyskusji.

Zanim Mary Tryphena włożyła buty, jej stopy owinięto w kawałki materiału. Wyszła w światłość dnia, opatulona w szal ze starego koca mający chronić ją przed mrozem. Pod drzwiami przypięła do butów rakiety śnieżne ojca.

Juda, który usłyszał głosy dobiegające z domu, wyrzwał na dwór akurat w tej chwili, gdy Mary Tryphena ruszyła ścieżką w jego kierunku. Nadal mieszkał w szopie, a żeby nie zamarznąć, od jakiegoś czasu sypiał w jednym pośłaniu z psem. Czarno-biały kundel o barylkwatym tułowiu i przykrótkich łapach beagle'a był jego jedynym prawdziwym towarzyszem. Kiedy Mary Tryphena krzyknęła na psa, mężczyzna stanął przed szopą, by stamtąd przyglądać się, jak wyruszają w drogę. Kundel pogonił przodem, torując drogę przez wysoki do pasa śnieg, jednak po

chwili zawrócił i pobiegł do Judy. Zwierzę było skołowane, skomlało i poszczekiwało, latając tam i z powrotem na coraz dłuższym dystansie dzielącym Mary Tryphenę od mężczyzny. Kiedy Juda zniknął w szopie, kundel usiadł pod drzwiami i zaczął skrobać je łapą. Mary Tryphena na próżno próbowała przywołać go do siebie, a w końcu dała za wygraną i ruszyła sama w kierunku stromo nachylonej Tolt Road. Przed kilkoma dniami spadły ogromne ilości śniegu, a ruch pomiędzy dwiema osadami był nikły, wyglądało więc na to, że Mary Tryphenę czeka bardzo żmudna przeprawa. Parę minut później pies znowu przepchnął się koło niej. Obróciwszy się ujrziała Judę idącego za nią w swoich łachmanach, kurtce wykrojonej ze sparcałego żagla i prowizorycznych butach z dwóch kwadratowych kawałków juty przewiązanych sznurkiem na kostkach. Serce w niej zamarło, nie miała jednak pojęcia, jak odesłać do domu Judę, nie tracąc zarazem psa.

Spacer przez szczyt Toltu do zamieszkałej przez panią Gallery chaty wtulonej w zagajnik wątlých drzewek nieopodal przystani, z dała od innych domostw stojących nad zatoką, w normalnych warunkach potrwałby może z pół godziny, tego dnia okazał się jednak ciężką, dwugodzinną wędrówką. Drzewa otaczające chatę były ostatnimi w promieniu mili od zatoki, których nie ścięto jeszcze na opał, bale do budowy domów, pale pomostów czy wiosła. Chorobliwy wygląd drzewek, który uchronił rzadki zagajnik przed ostrzami siekier, sprawiał, że stojący w nim dom zdawał się odcięty od świata i nawiedzony. Mary Tryphena nigdy jeszcze nie zbliżyła się do tej chaty, a teraz, podchodząc do niej, zawołała panią Gallery już z pewnej odległości. Wyciągnęła z przewieszzonego przez ramię zawiniątka jeden z puddingów i uniosła go tak, jakby zamierzała cisnąć nim z daleka w drzwi domu. Pies zatrzymał się za ich plecami i zaczął ujadać jak głupi, biegając w tę i w tę wzdłuż jakiejś niewidzialnej granicy, którą bał się przekroczyć. Juda przyklęknął na śniegu, próbując uspokoić zwierzę.

Pani Gallery pokazała się w drzwiach w grubym wełnianym swetrze i czepku. Wytarła ręce o szary fartuch okrywający jej spódnice. – Witaj, Mary Trypheno, powiedziała.

– Matka przysłała mnie z puddingiem, oznajmiła dziewczyna, wyciągając przed siebie ręce z podarkiem, chociaż od drzwi dzieliły ją jeszcze dobre dwa kroki. Pani Gallery nie zaprosiła ich do środka, nie spytała czy są głodni lub spragnieni. Wyszła przed dom i wzięła od niej pudding. – Twoja matka to dobra kobieta, powiedziała. W izbie za jej plecami dało się słyszeć jakieś poruszenie. Mary Tryphena odwróciła od niej wzrok i zerknęła w stronę drzwi. Nigdy jeszcze nie widziała pana Gallery’ego i w zasadzie nie była do końca przekonana, czy ma na to ochotę. Ludzie mówili, że przed wielu laty zabił człowieka z zazdrości i nigdy sobie tego nie wybaczył. Na wybrzeżu robił za złe lichy, którym rodzice straszili dzieci, opowiadając im, co Gallery z nimi robi, jeśli zbliżą się do lasu lub pójdą bawić się na lodzie na Sadzawce Czarnucha Alpha.

– Muszę wracać, oznajmiła pani Gallery. – Podziękuj ode mnie matce.

Kiedy dotarli do domu Jabeza Trima, było już po południu. Jabez zaprosił ich do środka i usadził przy ogniu, gdzie mogli rozpiąć ubrania i wpuścić pod nie falę ciepła. Wyraźnie zachwycony pojawieniem się nowego towarzystwa, natychmiast zawołał żonę z drugiej izby. Trimowie nie mieli dzieci, co wszyscy sąsiedzi zgodnie uważali za ciężką próbę dla małżeństwa, chociaż Jabez nie omieszkał poinformować ich, że brak potomstwa nie był bynajmniej związany z brakiem prób. Olive Trim wyszła do nich na pięściach, wlokąc za sobą wychudzone, pozbawione życia nogi. Mary Tryphenę zawsze zaskakiwała zręczność i gracia, z jaką kobieta poruszała się w tej dziwacznej pozycji. Podczas gdy Jabez ustawiał na stole miski z potrawką z ryb i ziemniaków, Olive podciągnęła się na krzesło obok Mary Trypheny i przyjęła od niej pudding wyjęty z

zawiniątka.

Juda znalazł się w czyimś domu po raz pierwszy od przeprowadzki do szopy Devine'ów – jego zapach wyciskał Jabezowi i Olive żył z oczu, znosili to jednak z uśmiechem na twarzy. Juda zdjął jutowe onuce i rozwiesił je nad kominkiem, żeby wyschły, po czym wyprostował nogi, opierając swoje obrzydliwie brudne, poczerńiałe stopy możliwie najbliżej ognia. Jabez wypytywał Mary Tryphenę o zdrowie wszystkich mieszkańców Trzewia po kolei, a dziewczyna, która nadal dotrzymywała wdowie towarzystwa podczas jej wizyt u chorych, miała akurat do zaferowania sporo nowin na ten temat. Jednak cały czas jej myśli zaprzętał list. Wcześniej wyobrażała sobie poufną rozmowę na osobności, tylko siebie i Jabeza szepczących w niemal absolutnych ciemnościach, jednak na coś takiego nie mogła najwyraźniej liczyć. Już po chwili Olive zaczęła ich wypraszać, chcąc mieć pewność, że dotrą do domu przed zmrokiem. – Twoja matka zamartwi się na śmierć, jeśli nie wrócisz przed kolacją, powiedziała.

Jabez zdążył już wstać od stołu. Stał z Judą przy drzwiach, pomagając mu wiązać sznurki i poprawiać ubrania, kiedy Olive powiedziała, Jabez. Kobieta przyglądała się Mary Tryphenie, która jak na razie nie ruszyła się ze swego miejsca. Jabez podszedł do dziewczyny.

– O co chodzi, panienko? spytał.

Nie miała już teraz innego wyjścia, niż po prostu wyjąć list i podać go Jabezowi. Mężczyzna rozwiązał sznurek i rozłożył kartkę.

– O jakąś ty piękna, przyjaciółko moja, przeczytał, o jakoś ty piękna! Oczy twoje jako oczy gołębicy. W tym miejscu przerwał, zbyt zażenowany, by czytać dalej. Przekazał list Olive, która zerknęła na jego treść i pokręciła głową.

– Ujęłaś serce moje, siostró moja, oblubienico moja! odczytała.

Mary Tryphena nigdy jeszcze nie słyszała podobnych słów. Sprawili,

że poczuła się naga i upokorzona. Pożałowała, że w ogóle komukolwiek pokazała ten list.

– Wiesz, kto to napisał? spytała Olive.

Mary Tryphena nie była w stanie głośno powiedzieć, że to Absalom, nachyliła się więc do Olive i wyszeptwała na ucho jego imię. Wpatrywały się w siebie nawzajem, Olive próbowała odgadnąć, czy to może być prawda. – Kochasz go? spytała.

Mary Tryphenę poraziła bezceremonialność pytania. – Nie wiem, odparła.

– Myślisz, że mogłabyś go pokochać?

Mary Tryphena ledwie dosłyszała pytanie przez rozlegający się w jej uszach szum. Nie była w stanie dłużej patrzeć Olive w oczy, a gdy odwróciła wzrok, dostrzegła Judę stojącego przy drzwiach. Zdążyła już zapomnieć, że był w izbie, a teraz, zrozumiawszy, że ma jeszcze jednego widza, poczuła przyływ palącego wstydu. Juda również nie wyglądał na zachwyconego, że słyszy tę rozmowę; jego rybie oczy wydawały się jeszcze bardziej wylupiaście niż zazwyczaj. – Nie, powiedziała. Wskazała Judę palcem i znów krzyknęła, Nie! na co Jabez podszedł do drzwi i wyprosił mężczyznę na zewnątrz.

Mary Tryphena opadła bezwładnie na krzesło. Robiła co mogła, żeby nie wybuchnąć płaczem. – Dlaczego napisał list, zamiast powiedzieć choć słowo twarzą w twarz?

– O kim w ogóle mowa? spytał Jabez.

Olive posłała mu krótkie spojrzenie, po czym uśmiechnęła się do dziewczyny. – Mary Trypheno, przecież wiesz, że Absalom się jąka.

– *Jesus loves the little children*, powiedział Jabez. – Czy twoi rodzice wiedzą?

Mary Tryphena złapała Olive za rękę. – Nikomu nie powiecie, prawda? spytała błagalnym tonem.

– Nikomu, odparła Olive. Złożywszy kartkę, zawiązała sznurek i oddała list Mary Tryphenie.

Juda wyruszył w stronę domu, nie czekając na Mary Tryphenę, dziewczyna widziała go jednak w oddali i podążyła za nim w kierunku Toltu.

Wiatr się nasilił, a niesiony w powietrzu śnieg smagał ją po twarzy niczym ostre ziarenka piasku. Zanim dotarli do Tolt Road, Mary Tryphena się rozplakała. Sama do końca nie potrafiła stwierdzić, czy szloch wstrząsający jej ciałem wypływa z żalu, ulgi czy współczucia. Juda parł przed siebie, a pies ciągle biegał pomiędzy nimi; docierając do Mary Trypheny, witał ją skomleniem i rzucał się na nią, aby polizać ją po twarzy i zaraz znowu wystrzelić w stronę Judy. Głupie zwierzę za każdym razem powalało ją swoim ciężarem na śnieg, aż wreszcie na szczycie Toltu poczuła, że już nie wstanie. Pies trącał ją łapami i lizał, jednak nie zwracała na to większej uwagi – naciągnęła tylko koc na głowę, aby osłonić twarz przed ogromnym ozorem. Gdy została podniesiona z ziemi, poddała się, zarzuciła ręce na szyję Judy i zasnęła w smrodzie jego ramion, a on, podrygując, poniósł ją w dół Tolt Road, do domu.



Ojciec Phelan wrócił na wybrzeże dwa dni przed Bożym Narodzeniem. Przybył w środku nocy i od razu skierował się do nędznego zagajnika otaczającego dom pani Gallery. Zanim wszedł do chaty, zagwizdał, żeby obudzić gospodynię. Z ognia zostały już tylko rozżarzone węgielki, w których nikłym świetle ledwie można było dostrzec pana Gallery'ego siedzącego na krześle przy samym kominku. Za każdym razem, gdy ojciec Phelan widział go po dłuższej przerwie, odnosił wrażenie, że mężczyzna

jakby się skurczył, że uwiądnął jeszcze bardziej pod brzemieniem winy.

– Pochwalony, panie Gallery, powiedział kapłan. – Co za lodowata noc. Otrzeptał śnieg z butów i getrów, podszedł do kominka i rozgrzebał żar, po czym rzucił na środek świerkowe polano i zaczął na nadejście nowej fali ciepła. Pani Gallery zawołała go z izby na tyłach chałupy. – Już idę, powiedział.

Łóżko pani Gallery było skonstruowane w ten sam sposób co pomosty, stojaki do suszenia ryb czy ściany chat – okorowane, świerkowe bale, zbite ze sobą i przymocowane do jednej ze ścian. Na grubym materacu ze świerczyny leżało posłanie z wiekowych wełnianych koców i szorstkich foczych futer, a gdzieś pośród tego wszystkiego czekało na niego ciepło ciała pani Gallery. Uniósł koce i położył się przy niej. Jej usta były słodkie niczym świerkowa żywica, skóra jej ud jak świeża śmietana. Pani Gallery rozchyliła nogi i położyła między nimi jego rękę. Gdy trafił do celu, w głębi gardła kobiety rozległo się ciche mruknięcie. – Oto czara, która nigdy nie wysycha, szepnęła. – Oto cud chleba i ryb. Zaczął powoli poruszać ręką i mówić po łacinie, stopniowo podnosząc głos, a gdy szczytowała po raz pierwszy, było go już słychać w całej chacie.

Godzinę później usłyszeli jakieś poruszenie w drugiej izbie. Rozległo się brzęczenie, zapewne to pan Gallery kopał w garnek wiszący nad paleniskiem. – Same z nim kłopoty, powiedziała pani Gallery.

– Po prostu mu zimno, odparł kapłan. – Czy może liczyć na jakiegokolwiek inne pocieszenie?

Wstał spod koców, wyszedł prosto w przenikliwy chłód panujący w chacie, naciągnął spodnie i znoszony ciemny habit, po czym przemknął do drugiego pokoju i dorzucił kolejną szczapę do ognia. Zapatrzony w płomień pan Gallery ledwie dostrzegalnie skinął głową. – W piekle będzie tego pod dostatkiem, powiedział kapłan.

Zaspokoiwszy swoje żądze, ojciec Phelan i pani Gallery leżeli razem

w łóżku, dzieląc się nowinami z wybrzeża i omawiając plany na przyszły sezon. Upłynęło już wiele lat od ostatniej zimy, kiedy ludzie czekali na Boże Narodzenie choćby z odrobiną entuzjazmu. Zazwyczaj w grudniu zapasy zgromadzone w gospodarstwach kurczyły się już niepokojąco, a przecież wszyscy mieli jeszcze przed sobą wielomiesięczną głódówkę w oczekiwaniu na nadejście wiosny. W marcu niektóre rodziny były już tak wycieńczone, że potrafiły całymi tygodniami nie wstawać ze swoich prycz. Centralne palenisko z kwadratowym, drewnianym kominem bywało często jedynym źródłem ciepła w świerkowych szopach. Ojciec Phelan znajdował nieraz milczące, skulone przy ogniu rodziny o bladych, zapadniętych twarzach, pozbawione już jakichkolwiek zapasów oprócz garnka cienkiej zupy. Szedł wtedy żebrać w ich imieniu u Królowki Sellersa i wracał zazwyczaj z garścią solonych rybek – którymi nikt rozsądny nie nakarmiłby nawet psa – oraz workiem ciemnej, zarobaczonej mąki. To wystarczało, aby utrzymać ich przy życiu jeszcze przez parę tygodni i przegnać widmo śmierci głodowej do czasu, gdy na lodach Labradoru pojawią się foki.

W tym roku Boże Narodzenie zapowiadało jednak powrót do czasów, w których wybrzeże mogło cieszyć się czymś bardziej zbliżonym do dobrobytu. Wszyscy poradzili sobie z połowami na tyle dobrze, że nie tylko spłacili długi u Sellersa, ale jeszcze zdołali odłożyć porządne zapasy dla siebie. Ciepłe lato przyniosło niespotykany urodzaj warzyw, który miał nie tylko przejść do historii, ale również zapewnić wszystkim przetrwanie aż do nadejścia fok. W obu osadach panowały radosne nastroje, które, jak spodziewał się ojciec Phelan, miały w pełni rozkwitnąć właśnie w okresie Bożego Narodzenia.

W Wigilię ojciec odprawił mszę na nabrzeżu, w oświetlonym lampami na wielorybi olej magazynie Calluma. Aby zaspokoić potrzeby wszystkich wiernych wyczekujących na mrozie przed wejściem, musiał trzykrotnie

wygłaszać homilię i udzielać komunii. Od Bożego Narodzenia po święto Objawienia Pańskiego władcami nocy byli *mummers*, kolędnicy, którzy pod osłoną mroku chodzili po domach w grupkach po pięć, sześć osób, ubrani w dziwaczne stroje, jutowe worki, stare suknie i fartuchy, płaszcze założone tył na przód, spodnie zrobione z koszul wciągniętych rękawami na nogi i przewiązanych w pasie, bieliznę założoną na wszystkie pozostałe warstwy – mężczyźni w damskich ubraniach, kobiety w męskich. Nosili ze sobą łyżki, prymitywne drewniane gwizdki i inne drobiazgi służące do robienia jak największego hałasu. Dobijali się po kolei do wszystkich domostw, aby wparować do środka i zażądać ciasta, chleba oraz wszelkich trunków, jakimi tylko dysponowali gospodarze. Za poczęstunek odwdzięczali się piosenkami, tańcem i ogólną błazenadą. Głowy i twarze mieli zakryte workami lub zawinięte w chusty, mówili na wdechu, aby nie można ich było rozpoznać po głosie. Przesiadali w każdym domu tak długo, dopóki nie zostali rozpoznani lub nie osuszyli wszystkich flaszek. Te pozbawione płci dziwadła były agresywne i bezczelne, bez wahania łąpały kobiety i mężczyzn za tyłki, straszyły dzieci i zostawiały po sobie pobojuwisko, ale i tak wszystkie drzwi stały przed nimi otworem. Ojciec Phelan, który uwielbiał te łobuzerskie igraszki, zawsze chodził w ślad za kolędnikami, przyłączając się raz do tej, raz do tamtej grupy. Przez cały okres Bożego Narodzenia utrzymywała się bardzo łagodna pogoda, kolędnicy kursowali więc między dwiema osadami do bladego świtu, a kapłan pokonywał drogę przez Tolt po kilka razy każdej nocy.

W wigilię Objawienia Pańskiego ojciec przyłączył się do grupy kolędników, w której chodził konik – mężczyzna przykryty kocem, niosący przed sobą drewnianą głowę konia na kiju. Kukła miała oczy wymalowane po bokach głowy, jedno oko było niebieskie, drugie czarne, a jej drewniane szczęki były najeżone zębami z gwoździ i podwiązane rzemieniami tak, aby kolędnik mógł nimi poruszać. Konik był wyrocznią

znającą odpowiedź na każde pytanie. W każdym gospodarstwie kołędnik ubrany w koronę ze świerkowych gałązek wybierał jednego z domowników i zadawał konikowi najbardziej wstydlive pytania na jego temat. Żadne zagadnienie nie było zbyt nieprzyzwoite lub osobiste, żadne pytanie nie było zabronione. Sekretne miłości i romanse, niespłacone długi, nieślubne dzieci, rodzinne zatargi, grzechy niewypowiedzane i zamiecione pod dywan, wszystko było zgodne z zasadami gry.

– Teraz ona, zasyczał król kołędników, wskazując Mary Tryphenę i potrząsając laską zakończoną pęczkiem z suszonym groszkiem. Konik pogalopował przez malutką izdebkę i stanął przed dziewczyną, wpatrując się w nią z szeroko rozdziawionym pyskiem. W słabym świetle lamp opalanych tranem głowa konika wyglądała jak jakaś zjawa, która wychynęła z zaświatów. Pozostali kołędnicy ostrożnie wsunęli szklanki pod swoje woale i worki, po czym wypili kolejkę, odchylając głowy do tyłu. – Koniku, czy ktoś się kocha w tej dziewczynie? spytał król.

– Nie ma nikogo takiego, powiedziała Mary Tryphena.

Konik tupnął w klepisko, po czym kłapnął paszczą jeden raz, oznajmiając w ten sposób, że owszem, jest ktoś taki. Kołędnicy wiwatowali; przyłączył się do nich i ojciec Phelan, chociaż humor miał lekko zepsuty przez fakt, że nie zastał Calluma, który cały okres Bożego Narodzenia spędził wylizując się z choroby, a teraz, ku zaskoczeniu kapłana, zniknął. Kilka godzin temu poszedł gdzieś w pojedynkę, chcąc nacieszyć się chociaż ostatnią świąteczną nocą, powiedziała Lizzie.

– Czy ten kawaler mieszka w Trzewiu? spytał król.

Kłap, kłap, drewniane szczęki powiedziały nie.

– A może w Paradise Deep?

Kłap.

– A zatem ktoś z Paradise Deep. Koniku, czy to ktoś bogaty, czy raczej biedny?

Jednym kłapnięciem konik obwieścił, że to pierwsze.

– Raduj się dziecino, zakochał się w tobie zamożny kawaler. A czy ten bogaty jegomość należy do trzódki ojca Phelana?

Kłap, kłap.

– A więc protestant? Anglik? Może czarny?

Lizzie odwróciła się do Wdowy po Devinie i powiedziała, Na miłość boską. Obie dobrze wiedziały, do czego zmierza król. Lizzie uważała, że te insynuacje to już za wiele, nawet jak na kolędników.

– Pozwól im, Lizzie, powiedziała rozwścieczona staruszka.

– A teraz najważniejsze pytanie, koniku, oznajmił król. – Czy dziewczyna poślubi swojego bogatego Anglika z Paradise Deep?

Mary Tryphena wstrzymała oddech, rozpaczliwie starając się wyglądać na całkiem obojętną, znużoną, chociaż czuła, że zaraz zostanie odkryta część jej przeznaczenia. Konik dał krok do tyłu i kłapnęła dwa razy, na co kolędnicy zaczęli pokładać się na siebie, zawodząc w rozpacz.

– Ślubu nie będzie, oznajmił król. – Ani bogactw, niestety. Odwrócił się do zgromadzonych i powiedział, Piosenka! Wynagrodzimy jej to chociaż piosenką i tańcem.

– I dobrze na tym dziewczyna wyjdzie, mruknęła Wdowa po Devinie. Przyglądała się Mary Tryphenie, wspominając jej nieznośne jesienne humory, rozmyślając o Królowce i o wszystkim, co sama do tej pory robiła, żeby trzymać się od niego z dala, o tym, że i tak po tych wszystkich latach skończyli pożenieni ze sobą.

Ostatnim tej nocy przystankiem na trasie wędrówki kolędników miał być Dom Seliny. Gdy pod nim stanęli, brzask zalewał już gwiazdy. Wszyscy domownicy spali, w środku było całkiem ciemno, a ogień w palenisku wygasł, kolędnicy dobijali się jednak uparcie do drzwi, dopóki nie usłyszeli, że ktoś poruszył się na piętrze. Królowka nie znosił kolędników za to, że odnosili się do niego tak, jak nikt nie ośmieliłby

się go traktować bez przebrania oraz uświęconego tradycją przyzwolenia na pełną swobodę. Wpuszczał ich tylko z obawy przed tym, co mogliby zrobić, gdyby odmówił. W pierwszych latach spędzonych w Paradise Deep solidnie ryglował drzwi na ich widok, tylko po to, by nazajutrz znaleźć kawały darni w kominie lub nawet – jak jednego ranka – krowę porykującą żałośnie na dachu obórki. W końcu, chcąc uniknąć gorszych kawałów, zaczął ich przyjmować, był jednak bardzo oszczędny, jeśli chodzi o jedzenie i napitki. Przed wejściem kolędnicy upewniali się, że mają na butach i ubraniach wystarczająco dużo śniegu, aby zostawić po sobie porządną bałagan i odwdziżyć się w ten sposób Królówce za jego wyraźny brak entuzjazmu dla dostarczanych przez nich rozrywek.

– Królówka! pokrzykiwali teraz pod oknami, jednak w końcu w drzwiach stanął tylko Absalom, wciąż drżący od snu, z włosami przyklepanymi płasko po jednej stronie. – Znajdzie się miejsce dla kolędników? zapytał król, przeciskając się obok chłopaka w głąb zimnego korytarza i po omacku szukając drogi do kuchni.

Absalom odpalił ogarek od węgla żarzących się jeszcze pod popiołami w kominku, po czym zapalił świece stojące na stole. Wyszperał skądś poczęstunek złożony z herbatników, starego sera i dwóch półkwartowych butelek świerkowego piwa. Goście otrzepali na podłogę śnieg z butów i zaczęli wołać do kuchni Królówkę, chociaż było już jasne, że dziadkowie Absaloma położyli się przed wieloma godzinami, a chłopak jest jedynym przedstawicielem rodziny, którego kolędnicy mają dziś zobaczyć. Wszyscy byli już tak wyczerpani, że zasypiali na stojąco, ostatecznie dali więc za wygraną. Absalom odmierzył im równe porcje piwa i stanął pod ścianą niczym służący zwolniony od stołu.

Ojciec Phelan przyglądał się chłopcu poprzez mgłę, którą jego oczy zdążyły zaciągnąć się przez dwa tygodnie pijaństwa i nieprzespanych nocy. Przez całą noc zastanawiał się, czy Absalom naprawdę mógłby zakochać

się w córce Calluma i w jakikolwiek sposób ogłosić to światu. Nigdy jeszcze nie widział go samego poza Domem Seliny – wnuk Królowki wychodził wyłącznie w towarzystwie dziadka – nie zdarzyło mu się też usłyszeć, żeby chłopak za jednym razem wydusił z siebie więcej niż trzy słowa. Nawet gdyby ten związek nie był absolutnie niemożliwy, mała Mary Tryphena pożarłaby Absaloma żywcem.

Król kolędników wstał od stołu, poprosił swój orszak o jeszcze jedną piosenkę i zaczął tańczyć po całej kuchni ze sztywnym jak kij od miotły chłopakiem. – Koniku, zacharczał król. Gardło miał już tak zdarte od ciągłego mówienia na wdechu, że zrozumienie go graniczyło z niemożliwością. – Czy ten oto chłopak jest może zakochany? spytał, wciąż tańcząc z Absalomem walca po ciasnym kręgu.

Konik kłapnął pyskiem jeden raz, na co reszta kolędników zareagowała niezbyt przekonującym okrzykiem radości.

– A więc jest zakochany, oznajmił król. Twarz Absaloma zalała wściekła czerwień. Chłopak próbował wyrwać się z objęć króla, jednak ten trzymał go mocno. – Powiedz, koniku, czy to prawdziwa miłość?

Kłap.

– Prawdziwa miłość, na wieki wieków, amen.

Konik podbiegł do tańczącej pary i zaczął gorączkowo kłapać szczękami nad uchem króla.

– Nie pleć takich głupot, koniku, odparł król. Drewniane szczęki znowu postukały przez chwilę. – Koniku, toż to nie może być!

– Co takiego ci powiedział? ojciec Phelan spytał, gdy stało się jasne, że Absalom nie ma zamiaru połknąć haczyka.

Król odsunął się na krok od Absaloma, wciąż mocno trzymając go za barki. – Twierdzi, że nasz mały Ab zakochał się we własnej kuzynce.

Chór kolędników wydał z siebie okrzyk udawanego niedowierzania.

– Czy to prawda? spytał król. – Naprawdę zakochałeś się w swojej

kuzynce?

Absalom szarpnął całym ciałem, bezskutecznie próbując uwolnić się z mocnego chwytu króla. – Nie mam kuzynki, powiedział, jękając się przy tym wściekle.

– Słyszałeś, koniku? Mówi, że nie ma ku-ku-kuzynki, w której mógłby się zakochać.

Kłap, kłap kłap, kłap kłap kłap kłap.

Król znieruchomiał, przyglądając się chłopakowi przez swój woal. – Ależ Absalomie, konik twierdzi, że owszem, w Trzewiu masz i kuzyna, i kuzynkę.

Kłap kłap kłap, kłap kłap, kłap kłap kłap.

– Kuzyn to mały Łazarz Devine, oznajmił król.

– Nie, szepnął Absalom.

– A kuzynka to Mary Tryphena Devine, twoja luba, córka twojej ciotki. Absalomie, przecież twój dziadek jest ojcem Lizzie Devine.

Chłopak wyrwał się w końcu królowi i pobiegł na górę. W kuchni słyszeli dudnienie jego kroków na drewnianych schodach. Przez jakiś czas siedzieli jeszcze przy stole, pogrążeni w pijackiej zadumie; niektórzy poodejmowali swoje jutowe woale i czapki, aby po raz pierwszy od wielu godzin swobodnie zaczerpnąć powietrza. Szczegóły otoczenia wynurzały się stopniowo z jaśniejącej z wolna szarości poranka. Król opadł ciężko na krzesło, a konik usadowił swój zad na jego kolanach, podpierając się kijem, na którym osadzona była drewniana głowa. – To by było chyba na tyle, stwierdził król.

Callum oswoił się z przebrania konika i przeciągnął dłonią po spoconej twarzy. – Tak mi się zdaje, odparł. Odezwał się po raz pierwszy tej nocy. Uśmiechnął się potępińczo do siedzącego naprzeciw zakonnika. – Niech będzie pochwalony, powiedział.

Król zaczął podrzucać Calluma na kolanach, jakby bawił dziecko. – I

jak się teraz czujesz, Callum? spytał.

– Słuchaj, Jabez, czuję się jak końska dupa.

– Bardzo na miejscu, stwierdził król, skinąwszy głową przybraną w krzaczastą koronę.

W niecały tydzień po święcie Objawienia Pańskiego, które zakończyło okres Bożego Narodzenia, ojciec Phelan wyruszył w drogę do kolejnej spośród swoich zapomnianych parafii. Mieszkańcy wybrzeża przygotowywali się już na najmroźniejsze miesiące zimy i rzadko kiedy opuszczali zamknięte świąty swoich gospodarstw.

W kwietniu, gdy stopniały lody skuwające morze, do Paradise Deep zawinął pierwszy tej wiosny statek kompanii handlowej Spurrierów załadowany solą, sucharami, zwojami sznura i beczkami pełnymi gwoździ. Gdy w tydzień później statek wychodził z portu, na pokładzie stał Absalom Sellers wyruszający właśnie do Anglii. Nikt nie miał go tu zobaczyć przez najbliższych pięć lat.

Mary Tryphena zdążyła ścierpieć oświadczyzny tuzina konkurentów, jeszcze zanim doczekała czternastych urodzin. Musiała wysłuchiwać poważnych propozycji składanych przez gładko ogolonych, ubranych w swoje najmniej wyświechtane ubrania mężczyzn z wybrzeża, zabiegających o jej względy za pośrednictwem jej rodziców. Siadywała z matką i ojcem, patrząc jak zalotnicy – młodzi wdowcy z garstką dzieci, prawiczki w średnim wieku, czy irlandzcy chłopcy z podpisanymi cyrografami na służbę u Królowki Sellersa – paradowali przed nią, wyliczając swoje cnoty, przysięgając wierność, obiecując jej potomstwo oraz wszystkie skromne bogactwa, którymi mogło ich obdarzyć wybrzeże. Nie zazna głodu, mówili. Będzie pod dobrą opieką.

Wszystko to sprawiało, że Mary Tryphena czuła się przedziwnie bezradna. Zastanawiała się, czy to już pełnia kobiecości – stanowić obiekt pożądania i przyczynę konfliktów, za jedyny sposób na wywarcie jakiegokolwiek wpływu na świat mając akt odmowy. Nie, brzmiała za każdym razem jej odpowiedź, nie, nie i jeszcze raz nie. Z każdym odrzuconym fatygantem jej sława najbardziej pożądanej i niedostępnej z niewiast rozprzestrzeniła się po coraz odleglejszych zakątkach wybrzeża.

Wdowa po Devinie, która podejrzewała, że źródłem oporów dziewczyny jest zainteresowanie Absalomem Sellersem, nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie wnuczka zwróci uwagę na kogoś innego. Zaczęła podsuwać jej myśl, że każda kobieta powinna spodziewać się w swoim życiu ograniczonej liczby propozycji, a Mary Tryphena, chociaż nawet na dobre nie rozkwitła, była na najlepszej drodze do zmarnowania wszystkich okazji na zamążpójście. – Nie ma nawet śladu cycków, za które mogliby ją łapać, a już zdążyła spławić połowę wolnych mężczyzn

na wybrzeżu, stwierdziła staruszka.

– Weźmie tego, któremu jest przeznaczona, powiedziała Lizzie.

– Tylko nie kładź dziecku do głowy takich bzdur, odparła wdowa.

Trzynastą i ostatnią w jej życiu propozycję małżeństwa złożył kapitan statku kompanii Spurrierów, który przywiózł do Paradise Deep biskupa Kościoła episkopalnego na uroczystość poświęcenia nowej świątyni. Kapitan, Anglik imieniem John Withycombe, pływał do Paradise Deep od tak dawna, że znał tu już wszystkich, jeśli nie z imienia i nazwiska, to przynajmniej z widzenia. Sam zresztą rozwoził po tawernach i jadalniach Conception Bay, Trinity Bay i Fortune Bay – czy nawet po portach starego świata, takich jak Poole czy Waterford – opowieści o czarnowłosej irlandzkiej pannie, za którą szalało pół wybrzeża. Z początku nie był zainteresowany dziewczyną. Był już po pięćdziesiątce, a w młodości ponoć się ożenił, jednak nigdy nie zabawił na lądzie dość długo, żeby zdążyć wysuszyć ubrania po praniu. O żonie, której zresztą od blisko dwudziestu lat nie widział na oczy, mówił tak, jakby już dawno nie żyła, więc wszyscy mieli go za wdowca. Nie interesowało go nic, co mogłoby w jakikolwiek sposób związać go ze stałym lądem. Swoje cielesne potrzeby zaspokajał na spracowanych łóżach zamtużów zajmujących tak długie odcinki nabrzeży w odwiedzanych przez niego portach. Jednak tyle razy snuł i udoskonalał swoją gawędę o niedostępnej piękności, za którą szalało pół Nowej Fundlandii, że w końcu sam doprowadził do tego, że myśl o dziewczynie na dobre zakorzeniła się w jego umyśle. – Wyobraźcie sobie tylko, zwykł mawiać do słuchaczy na zakończenie opowieści. – Jakie życie czekałoby was w łóżku takiej istotki.

Ostatecznie stracił całkiem apetyt i zaczął karmić się wyłącznie wytworami własnej wyobraźni. Spał słabo lub wcale, a wszystkie nieprzespane godziny spędzał z wizją irlandzkiej panny. Zarzucił nawet

regularne wizyty u prostytutek, nie chcąc zbrukać obrazu dziewczyny, który nosił w sercu. Jego kompani dawali mu jasno do zrozumienia, że zachowuje się jak skończony osioł, jednak śmieszność nasiliła jedynie jego upór i utwierdziła w postanowieniu zdobycia Mary Trypheny Devine przy okazji najbliższej wizyty w Paradise Deep.

Tamtego ranka, gdy tylko biskup opuścił statek, kapitan zszedł na ląd i pomaszzerował w górę Tolt Road, żegnany przez załogę gwizdami niosącymi się drwiną po wzgórzach. Gdy znalazł dziewczynę pracującą na ziemniaczanym poletku za domem, z miejsca wyjawił jej swoje intencje, nie marnując czasu nawet na przedstawienie się. Stojąc tak przed nią i oczekując na odpowiedź, miał w rękach swój trójgraniasty kapelusz, jakby wyrabiał ciasto na chleb. – Nie zaznasz głodu, powiedział. – A jeśli zechcesz, będziesz mogła zostać w Trzewiu i dalej mieszkać z rodziną.

Co prawda nigdy nie zostali sobie przedstawieni, Mary Tryphena słyszała już jednak co nieco na temat Johna Withycombe'a. Uśmiechnęła się do niego, przyzwyczajona już do specyficznego widoku mężczyzn przeżywających miłosne katusze. Ten uśmiech pozbawił marynarza resztek pewności siebie. Dziewczyna nie przypominała ani trochę obrazu, który kapitan od zeszłej jesieni pielęgnował w myślach. Wysoka jak na swój wiek, nawet całkiem niebrzydka, miała jeszcze chłopięcą sylwetkę, była smukła i twarda jak olchowa gałązka.

– Co to by było za życie? spytała. – Z mężem spędzającym większość czasu na morzu?

Wszystko szło nie tak. Zanim John Withycombe odpowiedział na jej pytanie, spytał ją, czy na pewno jest Mary Trypheną, wnuczką Wdowy po Devinie. – Sądziłem, że właśnie tego chciałyby każda kobieta, powiedział. – Mieć mężczyznę, a poza tym własne życie.

Na te słowa Mary Tryphena zadumała się na chwilę. Jej milczenie rozbudziło w kapitanie nadzieję na to, że dziewczyna poważnie rozważa

jego propozycję. Mary Tryphena rozmyślała o babce, która żyła wyłącznie według własnych zasad, która mogła pochwalić się prawem własności do ziemi, na której stał ich dom, oraz do magazynu nad wodą, a był to przywilej przysługujący jedynie mężczyznom lub wdowom po nich. Własne życie. Uśmiechnęła się znowu do żalostnego, starego żeglarza. – Za długo jeszcze pożyjesz, żebyś się dla mnie nadawał, powiedziała.

Anglik wciąż zagniał swój kapelusz, w zmieszaniu próbując dokładnie zrozumieć wydźwięk jej odmowy. – Tak po prawdzie, to ostatnimi czasy niezbyt dobrze się czuję, oznajmił w końcu. Spuścił wzrok i zakaszła w pięść. – Są tacy, co twierdzą, że stoję już nad grobem.

Nagle w pierś kapitana ugodził kamień, uderzenie było tak silne, że mężczyzna zatoczył się do tyłu i upuścił na ziemię kapelusz. Niemal w tej samej chwili powietrze przeciął następny pocisk. Kapitan spojrzał za plecy dziewczyny, w stronę drewnianej chaty, pod którą jej brat kręcił się schylony, rozglądając się już za kolejnym kamieniem. Łazarz dorównywał siostrze wprawą w przepędzaniu niechcianych adoratorów.

– Ty parszywy gnoju! ryknął Anglik.

Chłopiec znowu wziął zamach. Tym razem wykazał się zaskakującą celnością, ciśnięty kamień trafił mężczyznę prosto w ucho. – Wypierdalaj stąd, powiedział maluch.

– Michaelu Devine! krzyknęła Mary Tryphena. Zaczęła drzeć się na niego po irlandzku i pogoniła za nim za róg domu, w stronę malutkiej szopy, w której mieszkał Juda. Oboje wpadli do środka, rzucili się na prycę i zaczęli tarzać się po niej, zasłaniając sobie usta dłońmi, aby stłumić śmiech. Kiedy Mary Tryphena odzyskała wreszcie panowanie nad sobą, zakradła się na palcach za dom, ale nie zastała już tam Anglika. Kapitan odszedł tak zdeorientowany i wzburzony, że zapomniał zabrać swojego kapelusza. Dziewczyna podniosła znalezisko i zaczęła obracać je w dłoniach. Kapelusz był uszyty z wełnianego filcu, zdobiła go okrągła

rozeta przypięta po lewej stronie na cynowy guzik. Mary Tryphena odwróciła się do brata, który przyszedł w ślad za nią, i włożyła mu kapelusz na głowę. Zdobyć opadła mu na uszy, zakrywając pół twarzy. – Ty parszywy gnoju! powiedział Łazarz, próbując jak najwierniej oddać akcent z West Country.

Mary Tryphena spostrzegła, że do zatoki wpłynęła właśnie łódź ojca zanurzona po relingi pod ciężarem wypełniających ją ryb. Wdowa po Devinie porzuciła już pracę w dużym ogrodzie i szła na brzeg, by pomóc przy patroszeniu i soleniu dorszy. Dziewczyna wzięła małego Łazarza za rękę. – Chodź, powiedziała. – Może też się na coś przydasz.

Kilka godzin później, gdy wracali z magazynu, kapelusz porzucony przez Anglika znajdował się już na głowie Wielkiego Białego. Łazarz wracał do domu na barkach Judy, a pies człapał przed nimi jak koń ciągnący wóz. Chłopak darzył zarówno zwierzę, jak i Judę tą samą władczą miłością. Jeszcze zanim nauczył się chodzić, zaczął raczkować to za jednym, to za drugim, psa szarpał za futro, Judę ciągnął za nogawki. Kiedy tylko matka spuściła go z oczu, Łazarz pełzł do szopy, Lizzie znajdowała później syna u stóp lub na kolanach Judy, wyciągała chłopaka za rękę na dwór i lała go po zadku, żeby nauczył się wreszcie trzymać z dala od niemego mężczyzny. Po każdym wściekłym laniu chłopiec podnosił się jednak, jak przystało na Łazarza, silniejszy i jeszcze bardziej zdeterminowany, by kierować się wyłącznie własnym widzimisię. Juda stał się dla niego czymś w rodzaju udomowionego zwierzęcia, niemym, pogodnie usposobionym stworzeniem, które pozwalało mu się ujeżdżać, dźgać w brzuch kijem czy karmić na siłę garściami świerkowych igieł.

Lizzie była święcie przekonana, że takie towarzystwo psuje ich syna, że spędzając tyle czasu z Judą chłopak staje się coraz bardziej rozwydrzony i zdziwaczały. Callum stąpał po cienkim lodzie, próbując bronić przyjaciela przed żoną i nie sprowadzić przy tym na siebie gniewu

kobiety. Powtarzał w kółko jakieś ogólniki o cudach, jakie zdarzyły się na wybrzeżu od przybycia Judy, o niespotykanym powodzeniu w połowach, o stałym wzroście liczby ludności.

W tym czasie na wybrzeżu mieszkało już prawie trzysta osób, a każdej wiosny statki Spurrierów przywoziły kolejnych niezależnych rybaków z rodzinami oraz młodych ludzi podejmujących u Sellersa służbę za wikt i opierunek, aby odpracować koszty podróży i dopiero za jakiś czas zacząć utrzymywać się na własną rękę. Czas dostatku trwał nieprzerwanie od roku, w którym pojawił się Juda, jednak dla większości nowo przybyłych talizmanowy wygląd i smród mężczyzny były jedynie dziwnymi ciekawostkami, a historie o jego przybyciu i wpływie na ryby zaledwie zabawnymi opowieściami. Zdawało się, że to historia o wielorybie musiała zrodzić się z odmienności Judy, a nie odwrotnie. Nawet ci, którzy widzieli wszystko na własne oczy, zaczęli bagatelizować świadectwo swoich zmysłów. Z roku na rok Juda cieszył się coraz mniejszym poważaniem wśród rybaków, którzy woleli uznać, że sukces zawdzięczają własnej odwadze, umiejętnościom i ciężkiej pracy.

Interes Królówki Sellersa musiał rozwinąć się, aby sprostać wymaganiom czasu nadspodziewanego dobrobytu. Wybudowano bednarnię, kuźnię oraz kilka składzików i magazynów, zatrudniono nowych księgowych, którzy na wiosnę mieli kontrolować wysokość pożyczek udzielanych rybakom, a na jesieni liczyć kwintale solonego dorsza, w których dłużnicy spłacali należności. Młody Anglik imieniem Barnaby Shambler otworzył pub, w którym sprzedawał piwo India i ciemny rum z Jamajki. Niektórzy spośród miejscowych rybaków, w tym Callum, radzili sobie tak dobrze, że zaczęli co zimę ścinać i trzeć na deski drewno, z którego w przyszłości miały powstać prawdziwe domy z drewnianymi podłogami i kamiennymi kominami. W Paradise Deep w końcu osiedlił się anglikański pastor, a przed nowym kościołem,

z braku dzwona, ustawiono maszt, na którym co niedzielę pojawiał się krzyż świętego Jerzego wzywający wiernych na poranne i wieczorne nabożeństwa. A wszystko to, jak wierzyli niektórzy, tylko i wyłącznie dzięki Judzie.

– Nie wiem, jak możesz uważać przybycie całego tego wielbego Dodge’a za coś dobrego, powiedziała Lizzie.

– Ależ Lizzie, nie możesz winić Judy za pojawienie się pastora.

– Jeśli ty możesz twierdzić, że zawdzięczamy Judzie ryby, to dlaczego ja nie mogę winić go za pojawienie się pastora?

Z tą kobietą nie ma rozmowy, pomyślał.

– Callum, chyba nie wybierasz się tam wieczorem?

– Jak to, miałbym przegapić procesję biskupa?

Lizzie się skrzywiła. – Ktoś jeszcze zdąży zginąć, zanim to wszystko się skończy, powiedziała. Dostrzegła Judę, Łazarza i psa nadchodzących ścieżką od strony nabrzeża. Spostrzegła trójgraniasty kapelusz na głowie Judy. – A skąd jego wysokość wytrzasnął tę czapkę? spytała.

– Łazarz przyniósł mu ją dziś po południu, odparł Callum. – Mówi, że znalazł ją na ziemi.

– Znalazł na ziemi, zachnęła się Lizzie. – Callumie Devine, wychowujesz małego kłamcę.

Mary Tryphena siedziała akurat zaraz za otwartymi drzwiami i zgrzebliła wełnę na kolanach. Zastanawiała się, czy nie powiedzieć Lizzie, skąd wziął się kapelusz, ostatecznie stwierdziła jednak, że bezpieczniej będzie nie włączać się do dyskusji. Sama również zamierzała przyjrzeć się wieczornym uroczystościom, wolała więc nie ryzykować, że matka każe jej za karę zostać w domu. Po procesji, w ogrodzie przy Domu Seliny miało się odbyć przyjęcie, na którym Mary Tryphena miała nadzieję zobaczyć Absaloma po raz pierwszy od jego powrotu. Miał już dwadzieścia lat i podobno był z niego chłop jak się patrzy. Kiedy był za granicą, prawie

wcale o nim nie myślała, chociaż każde kolejne oświadczyzny zmuszały ją do wspomnienia jego listu i tamtej wypełnionej podarkami jesieni. Myślała z rozrzewnieniem o czasie niewinności, teraz bowiem uważała się już za kobietę światową. Poza tym chciała dowiedzieć się, tak z czystej ciekawości, czy przez te wszystkie lata spędzone z dala od domu Absalom w ogóle o niej myślał.



Przez blisko ćwierć wieku Królowka Sellers zabiegał o to, aby Kościół Anglii przysłał pastora do Paradise Deep. Czuł, że brak kościoła stanowi skazę na obliczu osady, którą sam stworzył z niczego, którą uważał za zwierciadło własnego powodzenia w życiu. Kiedy osiedlił się na wybrzeżu, wyobrażał sobie miasto mogące równać się z St. John's lub Harbour Grace, a kościół miał po prostu stanowić kolejny widzialny znak stopniowej realizacji jego ambicji. W każdym z listów wysyłanych co roku przez ostatnie dwadzieścia pięć lat Sellers pisał, że Jabez Trim posunął się już w latach i w każdej chwili mogą zostać pozbawieni nawet tej amatorskiej posługi, którą im zapewnia. Przez dwadzieścia pięć lat Kościół ignorował jego listy. Dopiero teraz, gdy w czasach dobrobytu Sellers obiecał pokryć wszelkie koszty związane z budową świątyni w Paradise Deep, władze Kościoła przychyliły się do jego próśb.

Na przystani wzniesiono przyozdobioną polnymi kwiatami bramę z jodłowych gałęzi, którą wielbny Eldred Dodge miał przekroczyć w drodze ze statku na ląd. Wszyscy, zarówno protestanci, jak i katolicy, wyszli mu na powitanie. Podczas całego trzytygodniowego rejsu z Anglii pastor cierpiał na chorobę morską, a wyraz bóleści wciąż malował się na jego poszarzałej twarzy. Miał sześć stóp wzrostu i był chudy jak szczapa,

włosy miał rzadkie i rozczochrane, przez co wyglądał na jeszcze bardziej schorowanego. Brama, najwyraźniej zbudowana z myślą o gościu nieco niższego wzrostu, zbiła go z tropu; wielebny zawahał się, rozważając możliwość obejścia przeszkody, Królówka położył jednak rękę na jego łokciu i skierował go wprost na dziwną konstrukcję. Nachyliwszy się, aby przejść przez bramę, pastor zachwiał się i, próbując odzyskać równowagę, chwycił za kwiecisty łuk, który zawalił się wprost na niego, przygniatając go do desek pomostu. Potrzebował pomocy Królówki i Jabeza Trima, żeby stanąć z powrotem na nogi, zresztą później, idąc pod górę ścieżką do Domu Seliny, również musiał opierać się na ramieniu Jabeza. Gdy schodził z pomostu na ląd, jakaś dziewczyna w zaawansowanej ciąży ujęła go za dłoń i położyła ją na swoim potężnym brzuchu. Dziwaczna zażyłość wpisana w ten gest sprawiła, że pastor cofnął rękę jak oparzony.

– Nie zabawi tu dość długo, żeby zdążyć się ogolić, stwierdził Daniel Woundy.

W Domu Seliny położono Dodge'a w pokoju Absaloma i utulono go do snu jak dziecko. Gdy obudził się następnego ranka, przywitała go wiadomość o tym, że w nocy młoda Martha Jewer zmarła przy porodzie.

– Dziecko ułożyło się pośladkami do przodu, wyjaśniła Selina. – Martha była wczoraj na brzegu. Widział ją wielebny?

Przytaknął. – A więc dziecko jest teraz z ojcem? spytał.

– To *moss-born*, odparła Selina.

Dodge zerknął na Królówkę, który siedział ze wzrokiem wbitym w blat stołu.

– *Merrybegot*, dodała Selina, próbując objaśnić sytuację pastorowi. – Znaczy, pokrzywnik.

– Po prostu bękart, stwierdził dobitnie Królówka.

Wielebny znów przytaknął, rozmyślając o czekającym go pogrzebie kobiety rozwiązłej oraz chrzcie bękartą. Doznał w tym momencie

prawdziwego zwątpienia, nie jakichś zwyczajnych wątpliwości czy obaw, ale głębokiego lęku, że pomylił się albo co do siebie, albo co do Boga. Czegoś podobnego miał doświadczyć ponownie dopiero po długich latach życia spędzonych tutaj, w jego jedynej parafii.

– Wygląda na to, że maluch będzie teraz zdany jedynie na wyroki Opatrzności, stwierdziła Selina.

– Opatrzność troszczy się o prostaczków, odparł Dodge, próbując zagrać się do walki z czekającymi go wyzwaniem. – Gdzie znajduje dziecko?

Królówka kazał jednemu z irlandzkich najemnych pracowników zaprowadzić pastora do Trzewia, do Wdowy po Devinie, która opiekowała się noworodkiem. Dodge musiał zgiąć się niemal wpół, by przecisnąć się przez drzwi jej chaty. Wewnątrz sufit również był tak niski, że pastor nie mógł się wyprostować. Wielebny, któremu Sellers zdążył naprędce nakreślić sylwetkę Wdowy po Devinie, zamierzał stać dumnie wyprostowany podczas całej wizyty, dostojnie górując nad kobietą. Jednak teraz jego ciało włoczone pod niziutki sufit wyglądało zbyt groteskowo, by mogło wywrzeć na kimkolwiek odpowiednie wrażenie. Gdy zaprosili go, by z nimi usiadł, skwapliwie skorzystał z propozycji. Niemowlę leżało na kolanach u Mary Trypheny, która karmiła je przez szmatkę papką z koziego mleka, od czasu do czasu zerkając ukradkiem na pastora. Nikt z obecnych w izdebce nie patrzył mu prosto w oczy, dało się wyczuć nastrój drwiny, jakby chwilę przed jego wejściem skończyli natrzęsać się z tego, jaki błąd był wczoraj na przystani.

– Mam nadzieję, że dobrze pastor spał, powiedziała Wdowa po Devinie. Była z niej straszna starucha, tak jak zapowiadał Sellers, twarz miała wysuszoną i zawziętą. Po jednej stronie brakowało jej wszystkich zębów, przez co całe ciało zdawało się lekko przechylać, gdy coś mówiła. Nie odwzajemnił kurtuazji i od razu spytał, czy mógłby zamienić z nią parę

słów na osobności, na co zareagowała, mówiąc coś po irlandzku do Mary Trypheny. Dziewczyna złożyła noworodka w ramionach Lizzie i wyszła na dwór, nie zaszczycając pastora choćby najdrobniejszym dygnięciem. Lizzie siedziała nadal na swoim krześle i nic nie wskazywało na to, aby zamierzała dołączyć do córki. Dodge postanowił to przemilczeć.

– Wybrał pastor dość pracowity czas na przyjazd, powiedziała wdowa.

– Jestem tylko służką Pana, odparł Dodge. – Słyszałem, że dziecko nie ma ojca.

– Nie sądzi chyba wielebny, że dziewczyna znalazła się w tym stanie bez niczyjej pomocy?

Pastorowi nie mieściło się w głowie, że ktoś może być tak bezczelny. Na dodatek wyglądało na to, że kobieta siedząca obok z dzieckiem zasnęła w jego obecności. Podniósł głos, licząc na to, że ją obudzi. – Czy wiecie, kto jest ojcem dziecka?

– Wielebny, z tego co widziałam już na tym świecie, wiem, że macierzyństwo to rzecz pewna, natomiast co do ojcostwa można dyskutować. Niektórzy mówią, że to Saul Toucher albo jeden z jego chłopaków, ale cóż, niektórzy mówię tak zawsze, gdy trzeba obarczyć kogoś winę za jakiś występki.

Dodge odwrócił wzrok od kobiety, żeby pozbierać myśli. Rozejrzał się po nędznej chałupie, rozmyślając o podłym życiu, które tu wiedli. Klepisko było równo zagrabione, a w miejscu, w którym nogi domowników nie zdeptywały podłogi, ktoś wyrysował patykami wzory przypominające morskie fale. Poza tym w zasięgu wzroku nie było niczego, co mogłoby wskazywać na choćby najmniejsze zainteresowanie mieszkańców chaty elegancją czy pięknem.

– Są na świecie tacy, co mają gorzej, powiedziała Wdowa po Devinie, jakby czytała w jego myślach. – A to, co mamy, należy tylko do nas.

Sellers nazwał ją wiedźmą i z pewnością nie zrobił tego bezpodstawnie.

Dodge oznajmił, To dziecko zostanie wychowane w angielskim domu.

– Zaiste, jest wielebny sługę Pana. Właśnie się zastanawialiśmy, jaki los je spotka.

Wdowa po Devinie wstała, wyjęła dziecko z objęć Lizzie, która wciąż spała jak zabita, po czym zamaszystym ruchem złożyła zawiniątko na kolanach pastora. – Jego matka leży u Shamblera, oznajmiła. – Zapewne zechce wielebny do niej zajrzeć.

Dodge kazał Irlandczykowi, który go tu przyprowadził, odnieść dziecko na drugą stronę Toltu, sam natomiast niezwłocznie udał się do knajpy Shamblera, gdzie na zapleczu znalazł wyłożone na drewnianym stole ciało Marthy Jewer. Leżała bosa, z brodę podwiązaną kawałkiem sznurka, ubrana w swoją jedyną, brudną sukienkę. – Nie skończyła nawet czternastu lat, powiedział Shambler. – Sierota.

– Czy ojcem dziecka jest jeden z Toucherów?

Shambler wzruszył ramionami. – Toucherowie to same chlopy, z dziewięciu czy dziesięciu, no, za wyjątkiem żony Saula. Ta dzika banda jest jak zgraja psów.

– To żadna odpowiedź na moje pytanie.

– Może to znaczy, że lepiej jej nie szukać, skwitował Shambler.

Wielebny Dodge położył na chwilę rękę na brzuchu, który jeszcze wczoraj nosił dziecko. – Chciałbym zobaczyć cmentarz, powiedział w końcu.

Do cmentarza szło się pół godziny. W górę Tolt Road, potem dalej w głąb łądu aż do Spalonego Lasu, gdzie znajdowała się łąka z warstwą miękkiego gruntu na tyle głęboką, aby przykryć ciało. Wielebnemu towarzyszył Królówka, który szedł przodem, wskazując drogę. Nazywali to miejsce Francuskim Cmentarzem, objaśnił Królówka, ponieważ pierwszymi pochowanymi tu osobami byli marynarze, którzy przed stu laty potopili się, gdy francuski statek rozbił się na skałach Toltu. A może

dlatego, że właścicielem tej ziemi był kiedyś mężczyzna nazwiskiem French, który podczas epidemii duru brzuszego, jeszcze zanim sam padł ofiarą choroby, pochował tu żonę i dziecko. Sellers nie miał pojęcia, która historia była tak naprawdę źródłem nazwy tego miejsca i najwyraźniej nie przedkładał żadnej z nich ponad drugą. Granic cmentarza nie wyznaczał żaden płot, spośród traw sterczały nieregularnie porozrzucane drewniane krzyże oraz trzy wysokie, kamienne bloki ustawione jeden przy drugim. Łąka była położona tak wysoko, że widzieli stąd ocean i łodzie na łowiskach. Wszystkie groby zwrócone były przodem do morza. – To bardzo długa droga do przebycia z ciałem, panie Sellers.

– Każdy w miarę przyzwoity skrawek ziemi jest obsadzony ziemniakami, odpowiedział Królówka, albo wykorzystywany jako pastwisko dla kóz i owiec. A tutaj pełno jest kamieni, głazów, ogromnych łupków, nic tu nie wyrośnie. Jak się człowiek wkopie na dwie stopy, dojdzie do wniosku, że ta ziemia nas tu nie chce, ani żywych, ani martwych.

Dodge nachylił się nad kamiennymi nagrobkami, aby odczytać wyryte na nich napisy. Na każdym widniało nazwisko Sellers. Wielebny wyprostował się i zerknął na swojego gospodarza.

– Wszystkie moje, powiedział Królówka.

Dodge wczytał się dokładniej. Dwóch synów i synowa.

– Wybrali się statkiem do Anglii, powiedział Sellers, z moim najmłodszym synem, żeby poszukać mu tam żony. Żona Harry'ego pochodziła z Poole, chciała odwiedzić rodzinę, popłynęli więc razem. To było już po przyjściu Absaloma na świat, chłopak miał wtedy niespełna dwa lata, więc zostawili go tutaj, pod opieką Seliny, która powiedziała, że chce mieć coś, co da jej pewność, że jeszcze tu wróci. Królówka wlepił wzrok w swoje buty i uśmiechnął się. – Jak mi się zdaje, życie nieraz sprawia, że człowiek gorzko żałuje wypowiedzianych słów. Groby są puste, ciała zaginęły na morzu. Te kamienie sprowadziłem z Devon,

musiałem za nie zapłacić jak za zboże.

Wciąż siąpił chłodny deszcz, a wiatr szarpał za ubrania niczym ręce żebraków na ulicach wielkiego miasta. Błagam pana. Błagam pana. Dodge błądził między nierównymi rzędami krzyży, czytając nazwiska wyryte lub wymalowane na drewnie. Spingle. Codner. Bozan. Harty. Devine. Hussey. Toucher. Snook. Brazill. Woundy. Protestanci i katolicy, przemieszani jak popadnie. Gdy wreszcie stanął na drugim końcu cmentarza, krzyknął do Sellersa. – Postawimy płot. Miał pod stopami twardy grunt, czuł się jednak tak, jakby nadał był na morzu, jakby dryfował po bezmiarze szarości pozbawionym brzegów i wytyczonych granic. Trząśł się z wściekłości, którą omyłkowo wziął za niezachwianą pewność. – Nie złożymy tu kolejnego ciała, dopóki teren nie zostanie ogrodzony, a ziemia poświęcona.

Ustawili wokół cmentarza prymitywny płot z cienkich żerdzi. Chcąc upewnić się, że prace dobiegną końca przed pochówkiem Marthy Jewer, również sam Dodge pracował całymi godzinami, kopiąc dołki i utwierdzając w nich paliki. Nabożeństwo pogrzebowe odprawiono w największym z magazynów Królowki, aby pomieścić ten sam tłum katolików i protestantów, który przed trzema dniami wyległ na brzeg, żeby powitać pastora. Dodge włożył swój ornat i stanął przed zgromadzeniem na ustawionej do góry dnem balii wykonanej z beczki przeciętej na pół. Był zdeterminowany, by zmienić nastawienie miejscowych, zarówno wobec siebie, jak i wobec Pana. – Bracia i siostry w Chrystusie, zaczęł.



Gdy wielebny Dodge przyплыł na wybrzeże, Królowka z miejsca stracił wszelkie zainteresowanie budową kościoła. Pastor spędził trzy

lata, próbując wyłudzić od Sellersa obiecane pieniądze, a ostatecznie dostał je dopiero gdy zagroził, że się wyniesie. Fundamenty pod kościół położono w lecie, niecały rok przed powrotem Absaloma z Anglii. Jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia zaczęto odprawiać tam nabożeństwa. Budynek był wykończony, brakowało już tylko witraża, który zdążył przypłynąć z Manchesteru do St. John's, ale tam musiano go przechować przez zimę. Ustalono, że witraż przypłynie tym samym statkiem co biskup, gdy ten wybierze się na wybrzeże, aby poświęcić nową świątynię.

Wszyscy byli przekonani, że podczas tych uroczystości nie obejdzie się bez kłopotów. Poza biskupem kapitan John Withycombe przywiózł na wybrzeże również oficera marynarki wojennej z garstką żołnierzy, którzy w razie czego mieli zaprowadzić spokój, a przynajmniej nie dopuścić do tego, żeby biskup został odarty z szat i wrzucony nago do zatoki przez jakichś zapijaczonych Irlandczyków, wciąż pielęgnujących swoje resentymenty.

Podczas pogrzebu Marthy Jewer wielebny Dodge ogłosił, że – poczynając od ciała wyłożonego przed nimi – na Francuskim Cmentarzu chowane będą jedynie szczątki episkopalian, a ponadto wszystkie sakramenty w Kościele Anglii udzielane będą tylko i wyłącznie jego członkom. Ludzie próbowali zakrzyczeć pastora, lecz przystąpił po prostu do odprawiania nabożeństwa pogrzebowego. W stronę wielebnego poleciały krzesła. Połowa zgromadzonych wyszła z magazynu w trakcie uroczystości. Kondukt pogrzebowy został obrzucony kamieniami i przekleństwami. Podobny los miał zresztą spotkać każdy protestancki kondukt w nadchodzącym roku. Żołobnicy musieli nosić przy sobie kije i osęki, aby bronić duszpasterza podczas bijatyk, które nieraz wybuchały między dwiema grupami na Tolt Road.

Pomijając sprawę Dodge'a i jego ogłoszeń, większość mieszkańców wybrzeża robiła wszystko, co w ich mocy, aby nadal żyć z sąsiadami w

takich stosunkach jak dawniej. Pogrzebowe awantury stały się jednak zarzewiem dalszych konfliktów na tle religijnym. Gdy spirala odwetu zaczęła zataczać coraz szersze kręgi, pojawiły się przypadki dewastacji łodzi i sprzętu. Wszystko to skończyłoby się zapewne krwawą jatką, gdyby pewnego kwietniowego ranka ktoś nie wykradł ciała Petera Flooda w ferworze pogrzebowej walki. Flood, który przed dwudziestu laty ożenił się z protestantką, przeszedł do Kościoła Anglii dopiero na kilka tygodni przed śmiercią, gdy wielebny Dodge zagroził, że w przeciwnym razie unieważni jego małżeństwo i uzna jego dzieci za bękarty. Złodzieje pochowali Flooda na nowym cmentarzu katolickim w Trzewiu, bez jakiegokolwiek ceremonii pogrzebowej czy słowa modlitwy, tak że jego rodzina musiała pod osłoną nocy ekshumować zwłoki i chyłkiem przenieść je do Spalonego Lasu, gdzie zapewniono mu godny pochówek na Francuskim Cmentarzu. Ciało było odtąd przenoszone mniej więcej raz w tygodniu; przez całą wiosnę podróżowało tak w tę i we w tę, z jednego cmentarza na drugi, aż w końcu nikt już właściwie nie wiedział, gdzie tak naprawdę spoczywa Peter Flood. Ten dziwaczny cmentarny pojedynek wzbudził jednak tak powszechne obrzydzenie, że zamieszanie wokół konduktów pogrzebowych przycichło, a na wybrzeżu zapanował względny spokój.

Wielebny Dodge uznał za znak bożej przychylności fakt, że przed pierwszym nabożeństwem nikt nie próbował podpalić nowego kościoła. Wszyscy projektanci i konstruktorzy świątyni byli skutnikami, budowla wyglądała więc jak kadłub łodzi położony do góry dnem na Widoku. Wysoki na osiem stóp witraż przypląnął razem z biskupem, a Jabez Trim spędził cały dzień, wprawiając go w wielkie okno za ołtarzem. Tematyka witraża została wybrana osobiście przez wielebnego Dodge'a: uczniowie zarczucąjacy sieci pod czujnym okiem Jezusa.

Biskup, Jego Przewielebność Arthur Wagborne, był botanikiem z

zamiłowania. Ledwie rzucił okiem na nowy kościół, powędrował na łąki znajdujące się za budynkiem, gdzie spędził większą część dnia, zbierając i szkicując nowe okazy. Dwaj towarzyszący mu żołnierze usadowili się nieopodal w trawie i zaczęli spekulować na temat szans na przespanie się z jakąś kobietą przed powrotem do St. John's. Pochodzący z Devon szeregowy Arscott miał piętnaście lat i był prawiczkiem, łudził się jednak, że w tych kwestiach tylko on jeden posiadał już pełną wiedzę. Był z niego niewydarzony żołnierz, bronią posługiwał się nieporadnie, a w kontaktach międzyludzkich wykazywał się naiwnym i nieszkodliwym wazelinarstwem. Inni żołnierze wołali na niego Dupoliz. Kapral Kinnebrook był o cztery lata starszy od chłopaka. – Paradise Deep, powiedział. – Z czym ci się to kojarzy, Dupolizie?

– No, chyba z niebem, co?

– Nie, Jezu! zaprotestował Kinnebrook, łapiąc się teatralnie za głowę. – Dupolizie! I to mówi mężczyzna z tak bogatym doświadczeniem zdobytym w rozlicznych miłosnych potyczkach? Powiedz no tylko, że ta nazwa nie kojarzy ci się z dupczeniem. Paradise Deep, Rajska Głębia, Głęboko w Raju, powiedział nabożnym tonem. Sama ta nazwa rozbudziła w Kinnebrookku ogromne nadzieje związane z wyprawą, jednak na razie wszystko, co zdążył zobaczyć w Paradise Deep, wróżyło mu raczej głębokie rozczarowanie. – Coś mi się zdaje, że na tym zadupiu nie zamoczymy inaczej, niż skacząc z pomostu do zatoki.

Kiedy wielbny Dodge przyszedł na Widok, aby zaprowadzić biskupa na procesję, dwaj żołnierze spali już smacznie w trawie. – Doborowi weterani w służbie Jego Królewskiej Mości, powiedział biskup, szturchając wyrostków nogą.

Trasa procesji rozpoczęła się pod drzwiami nowej świątyni i wiała się wydeptanymi ścieżynkami Paradise Deep, wzdłuż terenu kompanii Spurrierów, dalej aż pod zagajnik pani Gallery i z powrotem pod Dom

Seliny, gdzie na długich stołach rozstawionych w ogrodzie czekało już na nich jadło i napoje. Na czele jechał przewielebny Waghorne na srokatej klaczy Królowki, Dodge szedł u boku konia. W ślad za nimi maszerował oficer marynarki, uzbrojony w ogromne bokobrody Szkot nazwiskiem Goudie. Duchowni intonowali hymny podejmowane po chwili przez podążający za nimi lud. Pochód zamykała Olive Trim jadąca z osieroconym synkiem Marthy Jewer na swoim małym wózku ciągniętym przez nowofundlanda. Żołnierze, podzieleni na dwa oddziały, szli po obu stronach pochodu, bacznie przyglądając się katolikom, którzy zbierali się nieopodal w małych grupkach, aby popatrzeć na procesję. Kiedy protestanci skręcili pod Dom Seliny, gapie, nie chcąc stracić okazji na dobranie się do przysmaków wystawionych na stołach, dyskretnie podążyli w ślad za nimi, bacząc na swoje maniery.

Nad ogniskiem rozpalonym przed Domem Seliny obracały się dwie owce i świnia, w żarze piekły się młode ziemniaki. Podano potrawkę z kuropatw i królików, podsmażane na maśle warzywa w mące, pieczoną gęś i nurzyka, a na deser gotowane puddingi z rodzynkami i świeże borówki ze śmietaną. Na stołach nie sposób było znaleźć choćby jednej ryby, co stanowiło kolejną oznakę ich dobrobytu; spożywanie darów morza przestało być koniecznością i stało się raczej kwestią wyboru.

Gdy przewielebny Waghorne odmówił modlitwę przed posiłkiem, wszyscy goście ustawili się grzecznie w kolejce po jedzenie. Biskup odwrócił się do Dodge'a. – Wygląda na to, że obawy wielebnego okazały się nieuzasadnione, powiedział.

Dodge uśmiechnął się do przełożonego. W jego odczuciu było jeszcze zbyt wcześnie na chwalenie dnia.

– W skrytości ducha liczyłem, oznajmił Waghorne, że może będzie nam dzisiaj dane ujrzeć kapłana, o którym wspominał wielebny w swojej korespondencji.

– Phelan nie pokaże się nigdzie, gdzie zwęszy angielskiego żołnierza, to pewnie.

– Wielebny, zanim opuściłem St. John's, wizytę złożył mi niezwykle gość, wikariusz apostolski.

– Katolicki arcybiskup?

– Wygląda na to, że rzymscy katolicy pozbyliby się całego Phelana równie chętnie, co my.

– Cóż, na razie nie okazują tego zbyt wyraźnie, oznajmił Dodge.

Waghorne zacisnęła usta. – Słyszałem, że to zbuntowany dominikanin, suspendowany krótko po święceniach, już od lat hulający po całej wyspie z takim zapamiętaniem, jakby nakazał mu to sam Bóg.

– A co konkretnie arcybiskup zamierza zrobić, żeby się go pozbyć?

– Jak wielebny sam dobrze wie, katolicy niechętnie dyskutują o swoich wewnętrznych problemach. Byłem zaskoczony, że w ogóle z tym do mnie przyszedł.

– Zapewne czegoś od nas chciał?

– Tylko pary szeroko otwartych oczu, oznajmił Waghorne swobodnie.

– Jedno czy dwa zdania, od czasu do czasu: kiedy Phelan się tu pojawia, co robi, z kim jest najbliżej.

Dodge odwrócił się i odstawił swój talerz na stół. – Kiedy byłem ordynowany, powiedział, przez myśl by mi nawet nie przeszło, że kiedyś będę miał robić za szpiega na usługach katolickiego arcybiskupa.

– Nie unośmy się dumą, powiedział Waghorne łagodnie. – Pomyślmy o tym raczej w kategoriach sąsiedzkiej przysługi. Chrześcijańskiego obowiązku.

Wysoka dziewczyna z pustym talerzem w rękę przeszła nieopodal, pozdrawiając ich pobieźnym skinieniem głowy.

– Mary Trypena Devine, szepnął Dodge.

– Czy to ta mała, która złamała serce połowie mężczyzn na Nowej

Fundlandii?

– Ta sama.

Waghorne przekrzywił głowę i przyjrzał się dziewczynie, wydymając wargi. – Cóż, może i ma niebrzydki sylwetkę, stwierdził lekceważąco.

– Domyślam się, iż Jego Przewielebność zwrócił już uwagę na względny brak damskiego towarzystwa w naszym otoczeniu?

Biskup rozejrzał się po podwórzu i nawet przy tak pobieżnej ocenie stwierdził, że mężczyzn jest ze trzy razy więcej niż kobiet.

– Głód jest najlepszym kucharzem, Wasza Eminencjo.

Zgarnąwszy ze stołów swoją porcję, Mary Tryphena wzięła drugi talerz i nałożyła na niego górę jedzenia dla Olive Trim. Zajął się dzieckiem, żeby kobieta mogła zjeść w spokoju. Sama zresztą chętnie oderwała się na chwilę od rozmyślań o Absalomie, po którym wciąż nigdzie nie było śladu. Olive w wózku opierała się na wypchanej słomą poduszce, przywalona ciężarem własnego brzucha. Po tym, jak z Jabezem wzięli na wychowanie osieroconego chłopca, któremu dali na imię Abdiasz, udało jej się wreszcie zająć w ciążę. Do rozwiązania zostało już tylko parę dni, wyglądała jak bezradne stworzenie unieruchomione pod jakąś ogromną bryłą.

– Jabez jest przekonany, że to chłopiec, powiedziała Olive. – Chce dać mu na imię Azariasz.

Mary Tryphena przyjrzała się Olive, żeby sprawdzić, czy wypada się roześmiać. – Abdiasz i Azariasz.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, powiedziała Olive, niech mi Bóg wybaczy, Jabez za dużo śleczął nad Pismem Świętym. Przechyliła się lekko i wyciągnęła rękę, by poprawić jedną ze swoich pozbawionych życia nóg. – Nie mam pojęcia, jak ja nadążę za tymi dwoma gałganami.

Mary Tryphena tylko skinęła głową, wpatrując się nieobecny wzrokiem w Dom Seliny.

– Czy widziałas Absaloma od jego powrotu? spytała Olive.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niej i pokręciła przecząco głową, zawstydzona, że została przyłapaną. Dostrzegła Judy i Łazarza kręcących się w tłumie ze swoim psem, zawołała ich więc, by pochwalić się przed nimi malcem. Gdy Łazarz zdjął kapelusz z głowy Judy i przykrył nim główkę Abdiasza, chłopak zaczął płakać, ogarnięty nagle ciemnościami i smrodem. Mary Tryphena już miała opowiedzieć Olive o żalonych oświadczeniach, które odrzuciła tego ranka, jednak w ostatniej chwili ugryzła się w język, doszedłszy do wniosku, że przy takim temacie nie uniknęłyby dalszej rozmowy o Absalomie. Zdjęła kapelusz z głowy dziecka i rzuciła go z powrotem do Judy, który odstawił przed nimi błazeński taniec, próbując udobruchać malucha.

Mało brakowało, a kapitan John Withycombe – który po katastrofalnych oświadczeniach wrócił do swojej kajuty, zabarykadował drzwi fotelem i usiadł na nim z flaszką w dłoni – przegapiłby całe przyjęcie w ogrodzie. Siedział sam w otępieniu, nie mogąc pojąć, co sprawiło, że zrobił z siebie ostatniego durnia. Zdawało mu się, że przez ostatnie kilka miesięcy musiał żyć w mocy jakiegoś zaklęcia. Szybko doszedł do wniosku, że to dziewczyna była odpowiedzialna za jego stan, najpewniej rzuciła urok, aby zabawić się jego kosztem. Pierwszy łyk z butelki kapitan pociągnął jeszcze przed południem i nie przestał z niej popijać, dopóki nie opadł na koję w stanie granicznym ze śpiączką. Gdy obudziło go czyjeś głośnie walenie do drzwi, poranne przeżycia były już niemal całkiem spowite mgłą snu i pijaństwa.

Gdy tylko wrócił z za Toltu, towarzysze wyczytali z jego twarzy cały przebieg wydarzeń, dali mu więc spokój i pozwolili cierpieć w samotności. Do kolacji sami również zdążyli się upić, a teraz uparli się, że znajdą kapitanowi jakieś rozrywki. Krzyczeli przez drzwi, że przeszła już koło nosa procesja, a teraz jest na najlepszej drodze, żeby przegapić

również jadło i napitki. Kapitan nie miał pojęcia, o jakiej procesji mówili. Doskwierał mu dziwny niepokój i poczucie upokorzenia, jednak za diabła nie potrafił określić ich źródła; zresztą po chwili uczucia te zostały zagłuszone przez ogólną wrzawę, gdy w pośpiechu wyprawiano go do Domu Seliny.

Kiedy dotarli do ogrodu, od razu spostrzegł dziewczynę siedzącą na trawie u boku jakiejś ciężarnej kaleki. Wydarzenia poranka wróciły do niego w pełnej krasie, zalewając go żółcią i ściskając mu gardło. Dziewczyna uśmiechała się do jakiegoś wysokiego, bladego skurwysyna odstawiającego przed nią kretyńską pantomimę z jego, kapitana Johna Withycombe'a, kapeluszem na głowie. Bez wątpienia nabijał się właśnie z niego, przedrzeźniał go w najlepsze i to w jego własnym, pierdolonym kapeluszu. Nogi aż zadrżały pod nim z podsyconego upokorzeniem gniewu. Przekrzykując gwar tłumu, kapitan ogłosił wszem i wobec, że jego kapelusz został skradziony. Gdy mężczyzna zobaczył, że ktoś pokazuje go palcem, natychmiast wziął nogi za pas. Młody Arcscott pogonił w ślad za uciekinierem i skoczył mu na plecy, nękany przez czarno-białego psa, który zaczął szarpać go wściekle za pończochy.

Kapitana Johna Withycombe'a wchłonęła bezładna bieganina, stratował go tłum przepychających się gapiów, ogłuszyły wrzaski kobiet i głośne przekleństwa mężczyzn. Gdy ktoś oddał strzał z muszkietu, wszyscy Irlandczycy rozpierchli się po wzgórzach. Stanąwszy wreszcie na nogi, kapitan ujrzał swój rozdeptany na miazgę kapelusz oraz leżące obok na trawie zwłoki psa. Nieopodal siedział Arcscott, przyciskający ręce do paskudnej rany w brzuchu, z której lało się jak z portugalskiego statku handlowego. Biedny gnojek był już właściwie na tamtym świecie, prawiczek teraz i zawsze, i na wieki wieków, amen.



W Paradise Deep nie było aresztu, Juda Devine został więc zamknięty w jednym z magazynów na brzegu. Przed drzwiami postawiono na straży jednego żołnierza.

Porucznik Goudie przesłuchiwał wszystkich obecnych tamtego wieczora na przyjęciu, ale na podstawie przytłaczającej masy sprzecznych zeznań nie potrafił ustalić choćby w miarę prawdopodobnego przebiegu wydarzeń. Pies został zastrzelony przez Kinnebrooka, który nie był w stanie w żaden inny sposób odciągnąć zwierzęcia od Arscotta. Ten natomiast zginął od rany zadanej własnym nożem, który później znaleziono w trawie, a którego zapewne dobył, próbując bronić się przed psem. Nikt nie przyznał się do tego, by widział śmiertelny cios na własne oczy, jednak kilka razy jako prawdopodobnego sprawcę wymieniano niejakiego Alphonse'a Touchera. Czterej żołnierze, wysłani z misją pojmania podejrzanego, wrócili na nabrzeże z całą trójką Toucherów wyklócających się między sobą o to, który z nich jest Alphonsem. Porucznik Goudie sprowadził ich rodziców, rodzeństwo i jeszcze parę innych osób z Trzewia, nikt jednak nie był w stanie przedstawić przekonującego rozwiązania problemu. Ostatecznie porucznik musiał puścić wolno wszystkich poza Judą, który znowu stał się głównym podejrzanym.

Callum sądził, że Juda mógłby zostać oczyszczony z zarzutu zabójstwa, gdyby powołał się na działanie w obronie własnej, jednak Wdowa po Devinie nie traktowała tego pomysłu poważnie. Juda był oskarżony również o kradzież kapelusza należącego do kapitana Johna Withycombe'a, poza tym został zatrzymany podczas próby ucieczki przed żołnierzem w służbie Jego Królewskiej Mości, a więc nic nie wskazywało na działanie w obronie własnej.

Subtelności całej sytuacji nie docierały do Łazarza, który najpierw upierał się, żeby jak najszybciej odnieśli psa do Trzewia i pochowali go w pobliżu katolickiego cmentarza, a teraz cierpiał katusze na myśl o tym, że mógłby na zawsze stracić Judę. Żaden z nowofundlandzkich sądów nie miał prawa rozpatrywać zbrodni, za które groziła kara główna, Judę trzeba było więc przewieźć do Anglii, co w oczach sześciolatka było równoznaczne z wyrokiem śmierci. Fakt, że kapelusz został po prostu porzucony przez Johna Withycombe'a i znaleziony przez Łazarza, zdawał się nie mieć najmniejszego znaczenia w oczach władz. Chłopak zagroził, że jeżeli nikt nie spróbuje wybawić Judy z opresji, sam przyzna się do kradzieży. W końcu Wdowa po Devinie postanowiła wybrać się do Domu Seliny.

Upłynęły już całe lata od czasu, gdy wdowę dręczyły sny o rozdzielonych dzieciach, o wypływających strugach krwi, jednak wspomnienie tych poprzedzających narodziny Łazarza zmor było wciąż tak żywe, że niosła je teraz ze sobą w dół Tolt Road. Podeszła pod znajdujące się na tyłach drzwi dla służby i poczekała w kuchni, aż służący wezwą panią domu. Selina skinęła na wdowę, pokazując jej, by poszła za nią. Z korytarza weszły do salonu, w którym porucznik Goudie i przewielebny Waghorne palili i popijali brandy. Ujrawszy mężczyzn, Wdowa po Devinie odwróciła się do Seliny.

– Oddałam ci córkę, szepnęła Selina. – Jednak w tej sprawie nie mogę ci pomóc, stwierdziła, wskazując wdowie miejsce przy pozostałych gościach. – Pan Sellers zaraz do państwa dołączy.

Biskup i porucznik zatrzymali się w Domu Seliny na czas śledztwa. Na widok staruszki zamilkli tak nagle, że uznała, iż przed jej wejściem musieli rozmawiać właśnie na ten temat. Usiadła pod oknem, by wraz z mężczyznami zaczekać, aż Królowka przyjdzie ze swojego gabinetu.

Selina chyba nie powiedziała mężowi, kto czeka na niego w

salonie, stanął bowiem w drzwiach jak wryty, najwyraźniej zupełnie nieprzygotowany na to, że ujrzy wdowę.

Wdowa po Devinie popatrzyła na niego, a następnie powiodła wzrokiem po pokoju. – Zupełnie jak za dawnych lat, panie Sellers, powiedziała.

Przez chwilę Królówka nie mógł pojąć, co ma na myśli. Kiedy dotarło do niego znaczenie jej słów, wyprostował się. Po jednej stronie ona, po drugiej oficer marynarki, duchowny i Sellers, właśnie tak wyglądał jej proces dobre pół wieku temu. Posłała mu ten swój koślawy uśmiech. To nie był najlepszy sposób na rozpoczęcie dzisiejszej rozmowy, układ sił w pomieszczeniu był jednak tak nieprawdopodobny, że staruszka po prostu nie potrafiła się powstrzymać.

– Jeśli chodzi o Judę, to nie mamy o czym rozmawiać, oznajmił Królówka, odgadując powód jej wizyty.

– Nikt nie widział, żeby Juda choćby podniósł rękę na tego żołnierza.

– Nikt się nie przyzna, że to widział, odparł przewielebny Waghorne.

– A może widział to sam wielebny, który przecież był tam we własnej osobie?

– Znajdowałem się akurat w niezbyt dogodnym punkcie obserwacyjnym, usprawiedliwił się duchowny.

– Juda nie przyczynił się do śmierci tego żołnierza bardziej niż na przykład wnuk pana Sellersa.

Królówka zwrócił się do porucznika Goudiego. – Proszę nie zwracać uwagi na tę wiedźmę, powiedział.

Goudie siedział przygarbiony nad poręczą kanapy, głaszcząc pod włos jeden ze swoich okazałych bokobrodów. Mówił z leniwą, szkocką manierą, która sprawiała, że zdawał się ogólnie niezbyt zainteresowany życiem. – Musi pani zrozumieć, powiedział, że żołnierze są ludźmi dość sentymentalnymi. Chcą krwi za młodego Arscotta. Moglibyśmy zapewne

zrobić coś dla Judy Devine'a, gdyby ktoś pomógł nam zidentyfikować podejrzanego Touchera.

Wdowa po Devinie zbyła go machnięciem ręki. – Ludzie mówią, że ten żołnierz zginął od własnego noża.

– Nie mam prawa omawiać z panią szczegółów śledztwa.

– Prawda jest taka, że nabił się na swój nóż, próbując się opędzić od psa. Wszyscy dobrze o tym wiedzą, bez względu na to, co wam opowiadali.

Oficer pokiwał głową w zadumie. – Żaden z Toucherów nie miał z tym nic wspólnego, prawda? spytał.

Wielebny Waghorne popatrzył na Goudiego zdziwiony. – Obawiam się, że nie do końca rozumiem, poruczniku.

– Nie potrafimy odróżnić podejrzanego Touchera od jego braci, powiedział Goudie powoli, wciąż układając sobie wszystko w głowie. – A gdybyśmy powiesili wszystkich trzech, rozpętałoby się prawdziwe piekło. No więc. Wygląda na to, że świadkowie celowo wskazywali jednego podejrzanego, o którego mogli być spokojni, że nie zostanie skazany.

– Juda nie ma rodziny, przed którą musielibyście się tłumaczyć, powiedziała wdowa. – To jedyny powód, dla którego siedzi teraz w areszcie. Nie ma nikogo bliskiego.

– Ma ciebie, miła pani, powiedział Królówka, unikając jej wzroku.

Przyjrzała się dobrze Sellersowi, wciąż stojącemu nieruchomo w drzwiach, niczym strażnik. – Kiedy wypływacie, poruczniku? spytała.

– Statek kompanii ma już przez nas dwa tygodnie opóźnienia, odpowiedział. – Będziemy musieli wypłynąć jutro, może pojutrze.

Wdowa bez ostrzeżenia wstała i wyszła, nie czekając, aż ktoś odprowadzi ją do drzwi. W drodze powrotnej wstąpiła do pani Gallery, aby rozmówić się z ojcem Phelanem. Propozycja złożona przez starszkę przepełniła radością lekko już wstawionego kapłana. Spoważniał

dopiero, gdy zrozumiał, że nie omówiła jeszcze sprawy z głównymi zainteresowanymi. Powiedziała mu, żeby pozostawił jej wszystkie zmartwienia poza jednym – kiedy po niego przyjdą, ma być na tyle trzeźwy, aby zrobić to, co do niego należy.

– A więc ślub, panie Gallery, ojciec Phelan powiedział do cienia siedzącego w najciemniejszym kącie izby. – Boże przymierze ucieleśnione między mężczyzną i kobietą. Napije się pan ze mną z tej okazji?

– Nie wydaje mi się, proszę ojca, aby sycenie się cudzym cierpieniem należało do obowiązków kapłana, stwierdziła wdowa.

– Każdy sam wybiera swoje piekło, Phelan oznajmił, uśmiechając się do niej.

W drodze powrotnej do Trzewia przystanęła na szczycie Toltu. Wpatrzyła się w ciemną toń upstrzoną bladymi plamami znaczącymi położenie ławic. W młodości nieraz tęskniła za Irlandią ukrytą gdzieś za tym widnokręgiem, pochłoniętą przez te wody. Od ostatniego razu, gdy poczuła tę tęsknotę, zdążyło już upłynąć całe jej dorosłe życie, a wiedziała, że nie warto roztrząsać pytań przeszłości.

Przybyła do Paradise Deep jako młodzianka dziewczyna, na dwie zimy i jedno lato związana z Sellersem umową zapewniającą jej wikt i opierunek w zamian za służbę. Była już o krok od odpracowania sobie wolności, kiedy jego oświadczenia doprowadziły do jej nagłego zwolnienia. Osada Sellersa była zamieszкана tylko przez garstkę Anglików związanych w ten czy inny sposób z jego przedsięwzięciem, dziewczyna wyruszyła więc do Trzewia, gdzie spodziewała się bardziej przyjaznego przyjęcia ze strony Irlandczyków i *bushbornów*. Tolt Road była wtedy ledwie widoczną ścieżką, a przeprawa poprzez wciąż zalegające między drzewami śniegi okazała się niezwykle ciężka. Dziewczyna obesła całą zatokę, jednak nikt nie chciał przyjąć jej do pracy z obawy przed gniewem kupca z Paradise Deep. W końcu Sarah Kerrivan zaoferowała jej wolne

łóżko u siebie w domu, ale dziewczyna podziękowała, twierdząc, że już nigdy nie będzie spać pod cudzym dachem. Skleciła ze świerkowych gałęzi szałas w pobliżu cherlawej jabłonki Kerrivanów i nocowała tam razem z ich psem, którego ciepło chroniło ją przed zamarzeniem we śnie. Następnej wiosny własnoręcznie wzniosła jednoizbową chatę z bali, które sama ścięła w ciągu zimy, ale jej perspektywy na znalezienie pracy nadal były nędzne. W tamtych czasach na każdą kobietę na wybrzeżu przypadało dziewięciu czy dziesięciu mężczyzn, a każdy kawaler czy wdowiec chętnie ożeniłby się z nią, gdyby tylko wykazała chociaż cień zainteresowania małżeństwem, gdyby nie było wszem i wobec wiadomo, że odrzuciła oświadczyzny młodego Sellersa, który przecież żył sobie w Paradise Deep jak wielkie panisko, popijając herbatę ze świeżym mlekiem od własnej krowy. Mężczyźni nie mieli pojęcia, jak mogliby przebić taką propozycję, ostatecznie więc przestali w ogóle zaprzętać sobie nią głowę.

Podobnie miały się sprawy z Królówką w czasie, kiedy jeszcze u niego pracowała. Do dnia oświadczyzny nie odezwał się do niej ani słowem, nie licząc prostych poleceń czy próśb o przygotowanie tej czy innej potrawy, chociaż widziała jak na dłoni, że szaleje na jej punkcie. Królówka nie wykazywał większego zainteresowania sprawami sercowymi i nie miał w nich żadnego doświadczenia, tak więc nie potrafił stwierdzić nawet, co mu właściwie dolega. Za swoje przedziwne doznania winił to gorączkę, to drżączkę, to niestrawność. Skonsultował się z dziewczyną w sprawie lekarstwa na pasożyty, które, jak podejrzewał, mogły powodować jego niepokoje. Zamówił nalewkę z szaławii i wyciąg ze szczawiu lancetowatego u jakichś angielskich szarlatanów obiecujących natychmiastowe uleczenie migren, braku apetytu, wzdęć czy napadów lęku. W przyływie rozpaczki kazał nawet dziewczynie uwarzyć z melasy i tranu płyn do lewatywy mającej oczyścić jego kapryśny organizm.

Ich drugiej zimy spędzonej wspólnie w Paradise Deep, w kwietniu,

zaledwie na kilka tygodni przed tym, jak miał utracić prawo do dyrygowania dziewczyną, Sellers wszedł do obórki, w której doiła krowę, po czym oświadczył się, stojąc po drugiej stronie zwierzęcia, gdzieś poza zasięgiem jej wzroku. Nie podniosła nawet głowy, uśmiechnęła się tylko do stojącego przed nią wiadra. – A więc chodzi o małżeństwo, tak? spytała.

– Nie masz męża, odparł. – A ja muszę się ożenić.

Zdawała sobie sprawę, że dla niego to po prostu kolejny interes, kwestia majątku i pozycji. Wiedziała, że nigdy nie mogłaby spodziewać się po nim niczego więcej. W jej wyobrażeniu małżeństwo z mężczyzną tak nieświadomym własnych pobudek stanowiłoby po prostu dalszą niewolniczą służbę w zamian za wikt i opierunek. – A więc musi się pan ożenić, co? zapytała, na co Królowka, całkiem zbity z tropu w tej jakże obcej dla siebie sytuacji, bezradnie przytaknął skinieniem głowy. – Natomiast ja, panie Sellers, muszę się odlać. Czy przemawia to za naszym ożenkiem, czy raczej przeciw niemu?

Mogła całkiem zwyczajnie powiedzieć nie i żyć dalej tak, jakby między nią a Sellersem nie zaszło nic wyjątkowego, mogła nie dawać mu powodu do wydalenia jej ze służby tak szybko, że nie zdążyła nawet zebrać swojego skromnego dobytku czy pobrać należnej odprawy. Mogła opuścić jego dom, nie obrzucając go strumieniem złorzeczeń, nie miotając na niego przekleństw dotyczących śmierci owoców jego trzewi, całego jego domostwa i trzody – przekleństw, których dzisiaj w większości nie potrafiła już sobie przypomnieć, ale w których na pewno ani razu nie wspomniała konkretnie o jego cherlawej krasuli. Wtedy nie była w stanie przewidzieć, że plugawe słowa, których strumień wyrzucała z siebie w chwilowym przypływie furii, miały związać ją z Sellersem równie mocno, co przysięga małżeńska.



Kiedy tylko Wdowa po Devinie wyszła z salonu, Królówka wymknął się do obory i zdjawszy wiadro z kołka, przyłączył się do dwóch pracowników, którzy już doili krowy spędzone z pastwiska. Uwielbiał zapach obory, tę wstrętną duchotę. Usiadł przy krowie i nachylił się do wymienia, opierając czoło o ciepły bok zwierzęcia. Miał nadzieję, że tutaj uda mu się uciszyć wewnętrzny zamęt wywołany przez spotkanie z wdową.

Nie dość że przed laty odrzuciła jego oświadczyny – irlandzka dziewczyna, która przyjechała nie wiadomo skąd, bez grosza przy duszy – to jeszcze przeklęła jego trzodę i zatrąła połowę domowników. Gdy szarpnęła za wymiona, krowa zaczęła się wiercić, a on przemówił szeptem, próbując ją uspokoić. Zdawał sobie sprawę, że wychodzi na głupka, winiąc Wdowę po Devinie za stan swoich krów, jednak nikt nie był w stanie przedstawić mu żadnego innego wytłumaczenia. Mleko w wymionach jego jedynej dojrzałej krowy wyschło w ciągu tygodnia od dnia, w którym wydalił dziewczynę z gospodarstwa. Co prawda po jakimś czasie mleko popłynęło znowu, ale krowa już nigdy nie miała być tym samym, łagodnym stworzeniem, co niegdyś. Cała jego trzoda wywodziła się właśnie od tej pierwszej krowy, a jej potomstwo było równie nieobliczalne i płochliwe, potrafiło z najbliższych powodów rozbijać zagrody i kopać wiadra pełne mleka, posyłając je na drugą stronę obory. – Może mi to jakoś inaczej wytłumaczycie, Królówka zwykł mawiać do niedowiarków.

I miał może jeszcze uznać za zwykły zbieg okoliczności fakt, że w ciągu miesiąca od jej odejścia czterech pracowników zapadło na dziwną chorobę po zjedzeniu jednego dania z dorsza, że ich twarze zrobiły się czerwone i nabrzmiałe, a jego własna głowa przybrała rozmiary dwukrotnie większe od naturalnych? Jego twarz wyglądała wtedy w zwierciadle jak ogromna,

wściekle czerwona poducha z szezlongu jakiejś kurwy. Przez większą część tygodnia zanosilo się na to, że Sellers skona. Dobrze wiedział, kogo winić za swoją niedolę, chciał jednak uspić czujność kobiety, czekając cierpliwie na sposobność do zemsty. W tamtych czasach na wyspie nie było żadnych sędziów, Sellers musiał więc czekać blisko rok, zanim do Paradise Deep zawinął statek marynarki.

Gdy kapitan Churchward zapoznał się z zarzutami przedstawionymi przez Sellersa, zażądał, by w rozprawie wziął udział również kapelan okrętowy. I tak zasiedli we czwórke w pustym magazynie wyznaczonym na salę rozpraw; kapitan i duchowny za stołem, powód i pozwana na drewnianych krzesłach ustawionych przed obliczem sądu. Królówka nie pamiętał już twarzy mężczyzn, potrafił przywołać jedynie mgliste wspomnienie czerwieni i czerni ich szat. Irlandzka służąca, która odrzuciła jego oświadczyzny, siedziała przed nimi z dłońmi na kolanach, przez całą rozprawę odpowiadając na wszystkie pytania grzecznie i składnie, co jakiś czas odsłaniając w uśmiechu zęby, z których każdy był jeszcze wtedy na swoim cholernym miejscu. Ta twarz, owszem, była wciąż żywa w jego wspomnieniach, nawet po tylu latach. Gdy kapitan marynarki poprosił powoda o przedstawienie dowodów, Królówka wyłożył swoje racje tak spokojnie, jak tylko potrafił. Mleko w wymionach krowy wyschło z dnia na dzień, a rzezonego wieczora sam widział, jak pozwana wymyka się ukradkiem z jego gospodarstwa, z pewnością pozbawiwszy krowę mleka przemocą bądź za pośrednictwem czarnej magii. Kapitan zapisywał coś w swoim notatniku i co jakiś czas nachylał się do kapelana, by naradzić się z nim półgłosem.

Marynarz chciał wiedzieć, czy ktokolwiek widział pozwaną w pobliżu krowy.

Królówka oznajmił, że nikt, o ile mu wiadomo, jednak on sam nie podejrzewa o odebranie krowie mleka nikogo poza pozwaną.

Kapitan zacisnął wargi, jakby chciał cmoknąć. – A więc nikt nie może poświadczyć, że pozwana rzuciła urok na rzeczoną krowę? spytał.

– Mniejsza o cholerną krowę! krzyknął Królówka. – To piekielne stworzenie wszystkich nas otruło, o mało nie pomarliśmy!

– Och, powiedział kapitan.

No oczywiście, że, kurwa, *och!*

– Panie Sellers, czy ma pan jakiegokolwiek dowody mogące potwierdzić to oskarżenie?

– Moja głowa spuchła jak świński pęcherz i zrobiła się cała szkarłatna. Niemal wszyscy moi pracownicy zostali dotknięci tą samą przypadłością, choć w nieco mniejszym stopniu.

– Co sprawia, że oskarża pan pozwaną o spowodowanie tego nieszczęścia?

Królówka wyliczył, na tyle, na ile pamiętał, wszystkie klątwy, które dziewczyna miotała, opuszczając jego gospodarstwo, nie miał jednak żadnego świadka mogącego potwierdzić te słowa. Nikt spośród służących, którzy znali dziewczynę, nie ośmieliłby się zeznawać przeciw niej. Królówka musiał wyjść z sali i przywlec przed oblicze sądu piętnastoletniego pracownika, który – zatrudniony dopiero tej wiosny, już po tym, jak dziewczyna została wydalona z gospodarstwa – nie zdawał sobie sprawy z mocy wiedzy i był skłonny posłuchać głosu rozsądku. W drodze na salę rozpraw Królówka pokrótce objaśnił chłopakowi, jakie zeznania należy złożyć oraz wytłumaczył mu, co się z nim stanie, jeśli odmówi współpracy.

Chłopak zeznał, że owszem, widział w jak strasznym stanie znalazł się jego pan oraz inni pracownicy, chociaż on sam akurat nie został dotknięty przez chorobę. Zanim przeszedł do dalszych zeznań, zerknął ukradkiem na Królówkę. Owszem, w noc przed tym, jak wszyscy zachorowali, widział na nabrzeżu kompanii Spurrierów, jak pozwana rozkładała w księżycowej

poświacie ryby należące do pana Sellersa. Co więcej, wymawiała nad nimi zaklęcia, aby zatruć ich mięso.

Kapelan spytał, Słyszałeś, co nad nimi mówiła?

– Nic, co mógłbym zrozumieć, psze pana. Mówiła w jakimś mrocznym języku, którego nie potrafiłem pojąć.

Na początek chłopak odwalił kawał naprawdę dobrej roboty, dodał nawet z własnej inicjatywy wzmiankę o jakimś mrocznym języku. Podczas gdy kapitan i duchowny debatowali szeptem, nachyleni do siebie, Królówka poddał się przedwczesnemu przypiływowi uniesienia, już karmiąc się pewnością, że pojedynek został wygrany, już wyobrażając sobie dziewczynę zdaną na jego łaskę i niełaskę. Gdy kapitan znowu zwrócił się w ich stronę, Królówka wyprostował się dumnie na krześle.

Kapitan spytał chłopaka, A więc widziałeś, jak pozwana używa czarnej magii, aby zatruć ryby należące do pana Sellersa?

– Tak jest, psze pana, widziałem.

– Czy powiedziałeś komukolwiek o tym, co ujrzałeś?

Wyrostek znów zerknął na Królówkę. Na twarz chłopaka wypełził wyraz niepewności. – Nie wydaje mi się, stwierdził.

– Powiedziałeś czy nie powiedziałeś?

– Nie, psze pana, nie powiedziałem.

– A więc widziałeś, jak wiedźma zatruwa jedzenie należące do twojego chlebobawcy i nikomu o tym nie wspomniałeś? Dobrze rozumiem?

– Zdaje się, że tak.

Na te słowa kapitan się uśmiechnął, a Królówka poczuł się tak, jakby pękło mu dno brzucha.

– Pozwoliłeś, żeby twój pan oraz wszyscy jego pracownicy, twoi towarzysze, spożyli ryby, które zostały zatrute na twoich oczach?

Chłopak wpatrywał się w niego z rozdziawionymi ustami, trzęsąc się przy tym tak mocno, że Królówka zaczął się obawiać, że gówniarz zaraz

się zmoczy.

– Z twoich zeznań można by wywnioskować, oznajmił kapitan, iż przyczyniłeś się do nieszczęść, które spotkały pana Sellersa.

– Nie, psze pana, odparł chłopak.

– Można wręcz stwierdzić, że byłeś w tym przestępstwie współnikiem, nie mniej winnym niż sama pozwana.

W tym momencie chłopak zaczął ryczeć jak dziecko. – Widziałem wszystko z bardzo daleka, załkał. – Stałem tak daleko, że nie słyszałem ani słowa. Tak naprawdę to nie wiem, czy tam gdzieś w ciemnościach to była ona, czy nie ona. Może nawet całkiem być, że widziałem kogo innego. Może widziałem tylko cień i wydawało mi się, że to ktoś stoi na nabrzeżu.

– Dziękuję, powiedział kapitan. – Nie mamy więcej pytań.

Kiedy wyrostek wyszedł z magazynu, kapitan skupił uwagę na pozwanej. Królówka wpatrywał się w podłogę, nie chcąc widzieć wyrazu twarzy dziewczyny. Opowiadała jakieś niestworzone historie o tym, że skoro została oddalona bez należynej odprawy, zatroszczyła się o siebie sama i wykradła z kurnika Sellersa jedną nioskę. Zaprzeczyła, jakoby miała cokolwiek wspólnego z utratą mleka przez krowę. Oznajmiła, że nie wykladała ryb w świetle księżyca, nie wypowiadała nad nimi mrocznych zaklęć, a nawet nie zbliżała się do nabrzeża kompanii Spurrierów od czasu, gdy Sellers zerwał z nią umowę.

– Czy jesteś w jakikolwiek sposób odpowiedzialna za pojawienie się przypadłości opisanej przez pana Sellersa?

Zanim odpowiedziała, zamilkła na chwilę. Królówka czuł, że dziewczyna wpatruje się w niego. – Być może sprawiłam, że któraś część ciała pana Sellersa dwukrotnie zwiększyła swoją objętość, kle zapewniam, że nie zrobiłam tego celowo, powiedziała. – Ręczę również, że nie była to bynajmniej jego głowa.

Na wspomnienie tych słów Królówka szarpnął wściekle za wymię krowy. Strumień mleka uderzył ostro w ściankę wiadra. Co za parszywa suka. Nawet kapelan uśmiechnął się wtedy ukradkiem. Co za parszywa, parszywa suka. Krowa nagle zaczęła wierzgać i strąciła go ze stołka na kupę zapaskudzonej słomy. Musiał wyczołgać się z zagrody, żeby zwierzę nie rozłupało mu czaszki. Całe mleko wylało się na ziemię. Jeden z pracowników podszedł, żeby mu pomóc, ale Królówka tylko go sklął i odwiesił puste wiadro na kolek, na którym je znalazł. Gdy wrócił do domu, przeprosił swoich gości i poszedł na górę, by położyć się do łóżka.

Rozebrał się do naga i wyciągnął się na chłodnej, drewnianej podłodze sypialni, licząc na to, że może jakaś forma umartwienia ciała oczyści jego umysł z trucizny wsączonej przez kobietę. Był taki czas, już po tym, jak sprowadził do Paradise Deep Seline, kiedy czuł się wyzwolony od problemów wywołanych przez wdowę: wzięła za żonę w miarę rozsądną dziewczynę, która, sądząc po jej dziecięcej sylwetce, raczej nie mogła wyrządzić mu krzywdy; w pracy wszystko układało się pomyślnie, miał już nawet potomków, którym mógł w przyszłości przekazać interes.

Nie powinien był iść po pomoc do wdowy, gdy jego żona położyła się w łóżku i nie chciała wstać. W jakimś niezawalonym jeszcze słupkami i rachunkami zakątku jego umysłu spoczywała pewność, że ceną, jaką przyszło mu zapłacić za tamtą pomoc, były jego dzieci. Jeśli nawet nie wszystkie, to na pewno Lizzie, strata, po której nigdy się do końca nie otrząsnął. Jego córeczka poślubiła syna wiedźmy i teraz żyła ze swoimi dziećmi, krwią z jego krwi, w chacie staruchy, jak jakaś banda dzikusów. Królówka przysiągł, że nie będzie już próbował się temu przeciwstawić ze względu na Seline. Ale na przykład wszystkie utrapienia z Judą zwały się mu się na głowę bez najmniejszej prowokacji z jego strony. Wielki Biały, morska sierota, św. Juda. Królówka dobrze wiedział, że to wszystko robota wdowy i nikt nie miał nawet co próbować wmawiać mu, że jest

inaczej.

Kiedy miał osiemnaście lat, po kilku latach terminowania u kupca zaopatrującego statki w żywność i sprzęt, Sellers opłacił sobie podróż na Nową Fundlandię. Po przybyciu do St. John's zaczął utrzymywać się z udzielania niewielkich pożyczek rybakom i żeglarzom szukającym pieniędzy na alkohol. Praca wymagała wyjątkowej drobiazgowości i bezwzględności, Sellers nadawał się więc do niej idealnie. Jego sukcesy niebawem zwróciły uwagę miejscowego kupiectwa; zaczął otrzymywać od lokalnej śmietanki zaproszenia na posiłki i drobne rozrywki, jednak nędzne, plugawe St. John's wprawiało go w przygnębienie. W tej wciąż przecież młodej osadzie zdążyło się już zagnieździć całe prastare zepsucie świata, gruźlica i syfilis, drobna przestępczość, pijaństwo, wybujałe poczucie własnej wartości. Sellers zatrudnił się w Spurriers & Co., gdy obiecano mu posadę na dziewiczym wybrzeżu, na całkiem nowej placówce, którą mógłby kształtować wedle swego upodobania. Kompania już od lat zaopatrywała garstkę *bushbornów* zamieszkujących wybrzeże, a teraz była gotowa na rozszerzenie wpływów w głąb lądu. Pewnego majowego poranka Sellers wypłynął z St. John's z trzydziestoma beczkami soli, dwiema strzelbami, trzema irlandzkimi pracownikami, klatką pełną kur, czterema owcami, krową i bykiem. Miał ze sobą również planszę do warcabów, która miała mu pomóc przetrzymać długie zimy. W dwa tygodnie po tym, jak z ich oczu zniknęły ostatnie ślady ludzkich osad, Sellers zażądał wyjaśnień od kapitana, który już od dobrych kilku dni pływał tam i z powrotem wzdłuż dzikiego odcinka wybrzeża. – Przybliżam tu już od dziesięciu lat, stwierdził kapitan, ale ta cholerna zatoczka za każdym razem kryje się gdzie indziej.

W końcu udało im się zawinąć do zatoki długiej na całą ligę, wystarczająco głębokiej i szerokiej, aby statki kompanii mogły dostarczać tu prowiant na wiosnę i odbierać solone ryby na jesieni. Wpłynęli pośród

stromie wzgórze układające się wokół zatoki na kształt podkowy. Świerki tłoczyły się gęsto na zboczach, podchodząc aż pod samą plażę. Ogarnęła ich tak nieprzenikniona cisza, że Sellers poczuł przypływ panicznego lęku wobec nicości, wobec niemego anioła wybrzeża, któremu siłą musiał wydrzeć jakąś nazwę. Jeszcze zanim zszedł na ląd, zdecydował się na Paradise, sądząc, że cokolwiek mniej rajskiego stanowiłoby oznakę jego słabości. Miejscowi z Trzewia mówili na tę głęboką zatokę po prostu Deep Bay, a nazwa ta była tak trafna, że nie można jej było ot tak po prostu zastąpić – uparcie nazywali więc nową osadę Paradise Deep, tak jakby chcieli pokazać Królowce, że nie na wszystko w tym miejscu będzie miał wpływ.

Przyglądając się Judzie wychodzącemu z flaków wieloryba, Królowka poczuł, że wdowa pomaga właśnie przyjść na świat uosobieniu wszystkiego, czego on sam nienawidzi w tej krainie. Kobieta położyła mu to przed nosem jak jedno, wielkie szyderstwo. Ni to Anglik, ni Irlandczyk. Ni to przyjezdny, ni *bushborn*, ni zupełny dzikus. Ni to katolik, ni protestant, ni apostata. Juda był wcieloną dziczą, niemą i nieodgadnioną; pustką, w której człowiek mógł się utopić. Królowka cieszył się na myśl, że to coś miało popłynąć do Anglii i tam zawisnąć na stryczku.

Pomimo chłodu desek, na których spoczywało jego ciało, Sellers ciągle miał mętlik w głowie i wątpił, czy tej nocy uda mu się choć na chwilę zmrużyć oko. Nie do wiary, jak wdowa zaaranżowała całą tę scenkę w salonie, żeby sobie z niego zakpić, żeby podkopać jego wiarę we własną rangę. Tak, jakby wszystko znowu miało ułożyć się po jej myśli dokładnie w chwili, gdy on zaczynał już wierzyć w zwycięstwo. Co za parszywa suka. Wiedział, że nawet teraz czyha gdzieś nieopodal, cały czas knując coś przeciw niemu.



Późno w nocy, gdy wody przyływu osiągnęły najwyższy poziom, garstka weselników podpłynęła łodzią pod magazyn, w którym przetrzymywano Judę Devine'a. Wdowa po Devinie siedziała z ojcem Phelanem na dziobie, Callum przy wiosłach, a Mary Tryphena na rufie, zwrócona twarzą do ojca. Lizzie, która dostała jednego ze swoich ataków, została w domu, a po dojsciu do siebie miała mieć jeszcze sporo czasu na samotne oplakiwanie niespodziewanej straty.

Podróż rozpoczęli od odebrania ojca Phelana z drugiej strony Toltu. Gdy ruszali nad wodę, pani Gallery stanęła w drzwiach chaty. – Bądź silna, zawołała. Poszli wzdłuż wschodniego brzegu zatoki i wsiedli do łodzi Jabeza Trima przycumowanej na końcu pomostu, naprzeciwko więzienia Judy. Żołnierz pełniący wartę pod drzwiami aresztu spał smacznie, przepłynęli więc na drugą stronę przystani w milczeniu, nie chcąc zakłócić jego snu.

Callum, który każdym ruchem wiosłał przybliżał chwilę zaślubin córki, przyglądał się bacznie jej twarzy. Wydawała się nadzwyczaj spokojna jak na dziewczynę, która jeszcze przed paroma godzinami nie miała w perspektywie ani ślubu z Judą, ani pierwszej w życiu nocy spędzonej z mężczyzną. Callum chciał udzielić córce błogosławieństwa lub chociaż w jakiś sposób dodać jej otuchy, podobnie jak zrobiła to pani Gallery, ale wstyd sprawiał, że słowa więzły mu w gardle. Wspominał odczytaną przez Jabeza historię Abrahama i Izaaka, czując, że teraz sam powtarza dokładnie tę samą scenę, że zamierza złożyć w ofierze własne dziecko, nie mogąc znikąd spodziewać się łaski. Chwytał się pali, na których stał magazyn, i nakierował łódkę bezpośrednio pod drewnianą podłogę więzienia. W otworze służącym do zrzucania do wody rybich wnętrzności

błysnęła blada twarz Judy, jakby mężczyzna spodziewał się ich przybycia. Ojciec Phelan podsadził Mary Tryphenę przez dziurę, po czym podciągnął się w ślad za nią i sięgnął w dół, by złapać za rękę staruszkę.

Callum czekał na nich w ciemnościach, podczas gdy nad jego głową, przy świetle jednej świecy, odbywała się wyszeptana ceremonia. Kiedy było po wszystkim, kapłan i wdowa zeszli z powrotem do łodzi i odpłynęli z Callumem, pozostawiając nowożeńców w celi, w której mieli spędzić noc poślubną. Wiosłując w stronę pomostu Jabeza Trima Callum widział jeszcze światło świecy płonącej w jedynym okienku magazynu. Gdy pomógł matce wysiąść z łodzi na pomost, po raz ostatni zerknął na przeciwległy brzeg przystani, ale świeca zdążyła już zgasnąć.

Gdy wrócili do domu, Lizzie leżała w łóżku zwrócona twarzą do ściany. Callum położył się przy niej i dotknął jej pleców. Dłoń umościła się wygodnie między łopatkami. Zaczął łagodnie śpiewać w ciemnościach piosenkę o miłości do ciemnowłosej dziewczyny, a Lizzie tylko szlochała cicho; drżenie jej ciała niosło się dreszczem po ramieniu Calluma. – Tego nigdy nie będzie miała, Lizzie szepnęła, gdy skończył. – Nie zazna tego aż po kres swych dni.

– Cichutko, Lizzie, powiedział, chociaż wiedział dobrze, o co jej chodziło. Ta myśl nie dała mu spać do rana.

Wdowa po Devinie również leżała bezsennie, rozmyślając o swoim dawno zmarłym mężu. Wspomnienie wróciło do niej po raz pierwszy od ślubu Calluma; przed oczami stanął jej obraz męża tak żywy, że przyprawił ją o drżenie rąk, jakby to ona czekała właśnie na pierwszą noc w małżeńskim łóżu.

Gdy kapitan marynarki oczyścił ją ze wszystkich stawianych przez Królowkę zarzutów i zwolnił z aresztu, wyruszyła z powrotem ścieżką prowadzącą przez szczyt Toltu. Czowała się nieswojo, przeczuwała, że skoro na jej oczach pokazano Sellersowi, gdzie jego miejsce, teraz już w

ogóle nie będzie mogła wieść normalnego życia w cieniu kupca. Kiedy wdrapała się na Tolt, ujrzała irlandzkiego chłopaka, tego samego, który przed chwilą zeznawał przeciw niej, siedzącego na skraju klifu z nogami zwisającymi nad przepaścią. Gdy zrozumiała, jak łatwo mogłaby teraz pomóc mu roztrzaskać łeb o skały, fala mrocznej furii załazała jej gardło. – Nie myślisz chyba, żeby skoczyć, co? powiedziała w końcu. Na jej głos zerwał się na równe nogi. Sama skóra i kości. Piętnastoletni wyrostek, który golił się dwa razy w tygodniu, podśpiewywał przy pracy i, jak sam twierdził, upił się tylko raz w życiu. Patrick Devine. – Nie mogę teraz wrócić do pana Sellera, powiedział bliski płaczu. – Bo mnie wyrzuci.

Chłopak, o trzy lata młodszy od niej, był sierotą odesłaną do pracy przy połowie ryb przez opiekującą się nim parafię w Cork. Nie miał grosza przy duszy, podobnie jak ona. Było w tej sytuacji coś, co przypadło jej do gustu. – Umiesz łowić ryby, Paddy Devine? spytała.

Spojrzał na nią tak, jakby bredziła coś w narzeczu *bushbornów*.

– Czy wypłynąłbyś na jednej łodzi z kobietą?

– Nie mam łodzi, odparł.

– Wszystko po kolei, do jasnej cholery.

Gdy zeszli razem do Trzewia, chłopak przycupnął w kącie jej jednoizbowej chaty niczym bezpański pies. Pod ścianą stała tylko jedna prycza; tej nocy dziewczyna rozebrała się przy niej, a on pochłaniał wzrokiem wszystko, co tylko zdołał dostrzec w mroku. Stała przed nim naga. – Nie mamy teraz nic, powiedziała, poza tym, co zdołamy zdobyć we dwoje.

W ciemnościach słyszała jego oddech, w końcu chłopak podniósł się z kucek i stanął w swoim kącie. Powiedziała, Patricku Devine, nie zbliżaj się do mnie, jeśli nie zamierzasz ze mną zostać.

Wahał się dłuższą chwilę, najwyraźniej rozważając znaczenie jej słów. W końcu spytał, A więc naprawdę jesteś wiedźmą?

– Nie tak się prosi kobietę o rękę, odparła.

Po omacku przeszedł przez izbę i położył się koło niej, może wiedziony przez brak jakichkolwiek innych perspektyw, może przez swojego kutasa, tego nie wiedziała do dzisiaj. Już niebawem miał się nauczyć, jak jednym słowem szepniętym na ucho sprawić, by zrobiła się wilgotna, jak lekkim muśnięciem palca unieść jej biodra z pościeli, tej pierwszej nocy czekało ją jednak tylko zwątpienie, ból i lapidarność: chłopak leżał na niej, podrygując niczym pies gzący się z czyjąś nogą. Gdy skończył, zapadła nieznośna cisza, oboje leżeli przerażeni i bynajmniej nie śpiący.

– To jesteśmy teraz mężem i żoną? spytał w końcu chłopak.

Dziewczyna przedzierała się w myślach przez gąszcz czekających ich trudności, już cięła i suszyła drewno na łódź, już przekonywała Królowkę, aby udzielił im pożyczki na najbliższe lato. Jedynym, co mogło ewentualnie skłonić kupca do wyrażenia zgody, była okazja do pograżenia ich w długach, gdyby przytrafił im się słaby sezon. – Tak, wydaje mi się, że jesteśmy teraz mężem i żoną, powiedziała w roztargnieniu. – Ty i ja.

Najwyraźniej czuł się zobowiązany do ofiarowania jej czegoś w zamian.

– Kocham cię, szepnął.

– Zamknij się, Paddy, odparła.



Nazajutrz Callum zerwał się z łóżka przed pierwszym brzaskiem i wyruszył wraz z matką na drugą stronę Toltu jeszcze zanim gwiazdy poginęły z nieba. Przepłynęli na drugą stronę przystani, gdzie Mary Tryphena już czekała na nich przy dziurze w podłodze. Callum wysadził obie kobiety na płyciźnie, na której kiedyś znaleźli wieloryba Judy. Kości zwierzęcia

wciąż białły w trawie porastającej wydmy. Wdowa po Devinie poszła z Mary Trypheną prosto do Domu Seliny. Gdy zapukały do drzwi dla służby, otworzył im Absalom. Chłopak przywitał je skinieniem głowy.

– Witaj, Mary Trypheno, powiedział.

– Musimy pomówić z twoją matką, oznajmiła wdowa. Chłopak zostawił kobiety na zewnątrz i poszedł po Selinę, która po chwili wyjrzała, uchyliwszy lekko drzwi. Na twarzy prastarego dziecka malowało się napięcie i rezygnacja. – Oto twoja wnuczka, powiedziała Wdowa po Devinie.

– Wiem.

– Powinnaś również wiedzieć, że jest żoną Judy Devine’a.

Selina próbowała pojąć znaczenie tej wiadomości, utkwiała spojrzenie w dziewczynie, która odwróciła głowę i powiodła wzrokiem po obejściu.

– Mary, czy to prawda?

Skinęła głową. – Tak, proszę pani.

– Czy jesteś? Selina odchrząknęła. – Czy jesteś?

– Owszem, jest, Wdowa po Devinie oznajmiła z przekonaniem dużo silniejszym od tego, które naprawdę czuła. – A pan Sellers chce zawlec jej męża do jakiegoś obcego kraju i tam go powiesić. Przez niego dziewczyna zostanie wdową, jeszcze zanim dziecko przyjdzie na świat.

Selina zatrzasnęła drzwi, nie czekając na jakiegokolwiek dalsze wyjaśnienia. Mary Tryphena popatrzyła na babkę. Myślała o Absalomie, który miał zaraz dowiedzieć się o jej zamążpójściu. Zastanawiał ją fakt, iż przy powitaniu chłopak nawet się nie zająknął. – A więc jestem w ciąży? spytała.

– To nieistotne, dziecino, odparła Wdowa po Devinie. – Na razie po prostu bądźmy dobrej myśli.

Królówka Sellers pozostał kawalerem jeszcze przez wiele lat po tym, jak oświadczył się biednej irlandzkiej służącej, zwanej później Wdową po Devinie. Pewnej jesieni, gdy nic już nie wskazywało na to, aby jego stan cywilny miał kiedykolwiek ulec zmianie, Królówka zamknął swoją chatę i popłynął do Poole, aby tam poszukać żony. Doświadczenie płynące z jego jedynych jak dotąd oświadczeń, złożonych w Nowym S wicie, dodało mu pewności siebie przy badaniu gruntu za oceanem. Całą zimę spędził w kręgu kupieckich rodzin, dotrzymując towarzystwa pannom na wydaniu. Przed wyjazdem Sellers nie zdradził nikomu swoich zamiarów, a zresztą i tak żaden z mieszkańców wybrzeża nie potrafiłby wyobrazić sobie tego smętnego mruka prowadzącego niezobowiązujące konwersacje z młodymi pannami na proszonych herbatkach i modnych balach.

W ostatki, przy warcabach i szklaneczce brandy, Sellers poprosił ojca Seliny Moore o błogosławieństwo. Ustalono, że ślub odbędzie się w kwietniu, nowożeńcy popłynęli więc ku Nowej Fundlandii poprzez rozszalałe, wiosenne morza. W połowie drogi przez ocean maszty i żagle pokrył lód utworzony przez zamarzający deszcz, przez co statek o mało się nie przewrócił. Na dwa dni drogi przed St. John's na masztach pojawiły się ognie świętego Elma, a statek musiał stawić czoła potężnemu wichrowi i błyskawicom. Mimo to przez całą podróż Selina nie poskarżyła się ani słowem na jakiegokolwiek niedogodności.

W ciągu kolejnych pięciu lat Królówka spłodził trójkę dzieci: dziewczynkę oraz dwóch chłopców, którzy mieli w przyszłości przejąć jego rozwijający się interes. Dzieci przyszły na świat zdrowe, okazywały wzajemną miłość i były istotkami inteligentnymi, dociekliwymi i na tyle posłusznymi, na ile mógłby tego oczekiwać każdy rozsądny rodzic. Selina

uczyła dzieci czytać, pisać i rachować w głównej izbie ich drewnianej chaty aż do tamtej wiosny, gdy położyła się w łóżku i zażądała, aby mąż ukończył budowę obiecane domu. Lizzie miała sześć lat, kiedy przeprowadzili się do Domu Seliny – z kominkiem w każdym pokoju i lampami tranowymi wiszącymi na korytarzach. Każdej kolejnej wiosny rodzeństwo wystawiało przed rodzicami oraz garstką zebranych w salonie przyjaciół i służących wielkanocne przedstawienie, dramat w trzech aktach pióra Lizzie Sellers, corocznie uzupełniany i dopracowywany przez autorkę na podstawie zimowych konsultacji z wyposażonym w Biblię Jabezem Trimem.

Gdy nadeszła dwunasta wiosna w życiu Lizzie, John Tom White przekonał rodziców dziewczynki, że jej sztuka powinna być wystawiona przed wszystkimi mieszkańcami osady. John Tom pochodził z Harbour Grace, a przeprowadził się do Paradise Deep po tym, jak jego żona zginęła w pożarze wywołanym przez zapalenie się sadzy w kominie. Pracował u Sellersa jako inspektor oceniający jakość solonych ryb zwożonych na jesieni przez załogi z całego wybrzeża. Często chełpił się świątecznymi rozrywkami organizowanymi w Harbour Grace, scenkami, śpiewami i recytacjami w sali parafialnej, twierdząc, że w Paradise Deep dotkliwie odczuwało się ich brak. Królowki nie obchodziły jakieś dziecinne igraszki, śpiewki czy przedstawienia, jednak wzmianka o niedoborze rozrywek w Paradise Deep ugodziła w jego dumę. Sellers rozkazał, aby magazyn, który niegdyś służył już za salę rozpraw, został przekształcony w teatr z ustawionymi pod ścianą rzędami beczek i stołków oraz zawieszoną naprzeciw kurtyną ze starego bezanu. Selina pomagała Lizzie szyc kostiumy, a po wybrzeżu już niosła się wieść, że pod koniec Wielkiego Postu na przybrzeżnej parceli kompanii Spurrierów wystawione zostanie widowisko.

Wyglądało na to, że cała ta otoczka przerosła najśmielsze oczekiwania

dramatopisarki, która przez wiele tygodni źle spała, a w noc poprzedzającą przedstawienie z nerwów prawie nie zmrzyła oka. W magazynie stłoczyła się pięćdziesięcioosobowa widownia, a spektakl rozpoczął się bez większych zakłóceń i wszystko szło gładko aż do wielkanocnego poranka, kiedy to Matka Boża stanęła przed pustym grobem, a anioł, to jest mały Harry Sellers, ukazał się jej, aby obwieścić nowinę o zmartwychwstaniu Chrystusa. Punktem kulminacyjnym sztuki miał być poemat dziękczynny recytowany przez Maryję na klęczkach. W trakcie monologu Lizzie urwała w pół słowa, odchyliła głowę do tyłu i padła ciężko na podłogę. Widzowie sądzili, że jej omdlenie jest częścią spektaklu, nie zareagowali więc, dopóki anioł nie zaczął drzeć się wniebogłosy. Potrzęsali nią, dopóki nie otworzyła oczu, jednak przez jakiś czas po tym, jak się obudziła, jej ręce wciąż były bezwładne, a wzrok nieobecny. Nie potrafiła w żaden sposób wytłumaczyć swojego chwilowego zamroczenia. Twierdziła, że widziała salę i otaczający ją tłum, nie była jednak w stanie się poruszyć czy odezwać chociaż słowem. W kolejnych miesiącach ataki powtarzały się, dziewczyna potrafiła zasypiać nagle w trakcie czesania włosów, jedzenia czy zabaw z braćmi. Co do przyczyn jej dolegliwości zdania były podzielone – niektórzy uważali teatr za rozrywkę grzeszną i wołającą o pomstę do nieba, inni twierdzili z kolei, że dziewczyna jest opętana przez ducha, którego należy z niej wypędzić.

John Tom White podzielił się z Królowką opinią, że za wszystko była odpowiedzialna wdowa, która zapewne jakimś sposobem napuściła na dziewczynkę starą jędzę^[4]. John Tom był chodzącą kopalnią złotych myśli, miał gotową rymowanekę na każdą, nawet najbardziej nieznaczną zmianę w pogodzie, znał cudowne talizmany na wszystkie dolegliwości. Na ból zęba sznurek z siedmioma supełkami noszony na nadgarstku.

[4] Stara jędza (*old hag, sleep hag*) – w wierzeniach ludowych Nowej Fundlandii zhora paraliżująca lub podduszająca ludzi we śnie.

Na reumatyzm ziemniak w kieszeni. „Wschodni wiatr w Ofiarowanie po kres maja pozostanie”. Stwierdził, że nigdy jeszcze nie spotkał się z tak dziwnym przypadkiem prześladowania przez starą jędzę, czyli ducha obezwładniającego ludzi we śnie – tutaj ofiara zasypiała całkiem nagle, w biały dzień, nie było więc wątpliwości, iż zmora została sprowadzona przez jakąś czarownicę. Królowką odwrócił się od niego i tylko przytaknął ruchem głowy.

– Jeśli chce pan coś na to poradzić, panie Sellers, musi pan wystawić butelkę.

Królowką nasikał więc do szklanej butelki i wbił w korek dziewięć sosnowych igieł, zgodnie z zaleceniami Johna Toma.

– Teraz czarownica nie będzie w stanie opróżnić pęcherza, oznajmił John Tom, wieszając butelkę nad ogniem, by rozgrzać płyn. – Przyleci tu już niebawem, *now the once*, błagając nas o litość.

Po chwili zawartość butelki zawrzała wściekle i rozsadziła szkło. Druga butelka skończyła w ten sam sposób, a Królowką wahał się przed powtórzeniem całej procedury po raz trzeci. John Tom kazał mu postawić kolejną butelkę dalej od źródła ciepła, w narożniku spizarni, ale płyn i tak się zagotował, a Królowką rozbił swoje dzieło na kamiennej posadzce przed kominkiem.

John Tom wpatrywał się w pobojuwisko, kreśląc dłonią koła po swojej łysej łepetynie. – Wie pan, z kim tu mamy do czynienia, panie Sellers?

– Mniejsza o to, powiedział Królowką.

– Jest tylko jeden sposób na odpędzenie starej jędzy, niemający nic wspólnego z czarownicą, która ją nasłała. Nabija się gwoździami deszczułkę i śpi z nią na piersi. Kiedy stara jędza przyjdzie, żeby usiąść na człowieku i przydusić go do łóżka, nadzieje się na gwoździe i więcej już nie wróci.

Przez większą część miesiąca Lizzie musiała chodzić z zawieszoną na

szyi deską najeżoną gwoździami, której nie wolno było zdjąć ani w dzień, ani w nocy. Dziewczyna uważała deskę za namacalny symbol swojego upokorzenia, czuła się z nią jak trędowata i nie chciała, aby ktokolwiek ją tak zobaczył. Selina cisnęła w końcu cały ten wynalazek do kominka. Lizzie zdążyła jednak wyrobić w sobie nawyki wyrzutka, skłonność do krycia się w ciemnych zakamarkach domu, do wymykania się do lasu ponad Widokiem czy nawet aż na Francuski Cmentarz w poszukiwaniu samotności stanowiącej jedyną ucieczkę przed przypadłością, która pozbawiła ją normalnego życia.

Czasami mijała cmentarz i szła dalej, aż nad Sadržawkę Czarnucha Ralpha. Poza Afrykaninem, który zbudował na brzegu chatę i pracował w niej jako druciarz, nikt nie zakłócał ciszy panującej nad Sadržawką położoną zbyt daleko, aby warto było nabierać tu wodę lub robić pranie. Lizzie przeciskała się przez gęstwinę olch porastających brzeg naprzeciw chaty Murzyna i brodziła w płytkiej wodzie, łapiąc w dłonie cierniki. Ralph Stone nigdy nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, miejsce to stało się więc jej ulubionym celem wypraw przy znośnej pogodzie. Przesiadywała tak całymi godzinami, ukryta po swojej stronie Sadržawki, rozkoszując się uczuciem całkowitej samotności, a jednocześnie ciesząc się obecnością mężczyzny krzątającego się w obejściu na drugim brzegu.

O Ralphie Stonie nie wiedziała prawie nic. Callum Devine i Daniel Woundy natknęli się kiedyś we mgle na szalupę ratunkową dryfującą w pobliżu Zadu. Murzyn siedział w łodzi z załogą trupów, półtuzinem jegomości zmarłych z głodu i pragnienia po trzech tygodniach spędzonych na morzu bez żadnego prowiantu. Zanosilo się na to, że i on zaraz umrze, wargi miał spuchnięte i popękane, wzrok dziki, nie przyjmował wody i jedzenia, które mu podsuwali. Podczas gdy holowali szalupę do Trzewia, Murzyn wciąż rozmawiał ze swoimi zmarłymi towarzyszami. Ułożyli go na wznak przy kominku i karmili przez szmatkę rosołem, dopóki jego

zołądek nie zaczął przyjmować stałego pokarmu. Wdowa po Devinie sądziła, że jego skóra jest spalona lub poparzona przez słońce, więc przez parę dni smarowała go balsamem przygotowanym – zgodnie z przepisem przywiezionym przez rybaków przybyłych z wyspy Jersey – z tranu pomieszanego z rozgniecionymi morskimi lekarzami, czyli pasożytami porastającymi chore dorsze. Potem próbowała czyścić go popiołem i mydłem. Trzeciego dnia popatrzył na nią, odzyskawszy już zmysły na tyle, aby pojąć, co kobieta próbuje zrobić. – To się nie zmyje, miła pani, szepnął. Powiedział też, że nazywa się Ralph Stone i chciałby wiedzieć, czy z jego kolegami, tymi, co to byli z nim w szalupie, wszystko w porządku.

Nie dowiedzieli się nigdy, skąd pochodził, wiedzieli tylko tyle, że od najmłodszych lat służył na żaglowcach i że opłynął już cały świat z pół tuzina razy. Jego statek poszedł na dno podczas sztormu, jedenaście dni po wypłynięciu z Portugalii. Od tamtego czasu dryfował w szalupie, patrząc jak jego towarzysze umierają jeden po drugim. Wiele dni spędził w towarzystwie trupów, siedział na dziobie, patrząc na nie jak na zgromadzenie oczekujące na jego przemowę. Jego przyjaciele. Z godziny na godzinę ich twarze stawały się coraz bardziej udęzione, malował się na nich coraz większy wyrzut.

Po tej strasznej przygodzie stracił na dobre serce do morskich podróży i postanowił, że nie opuści już stałego lądu – posunął się wręcz do tego, że wybudował swoją chatę na skrawku ziemi, z którego nie było widać oceanu. Przez pewien czas utrzymywał się z datków, żywiąc się głowami dorszy, ziemniakami, borówkami i pstrągami łowionymi w sadzawkach. W niecałe dwa lata zaczął zarabiać na życie, sklecając w niedużej szopie lampy na tran i sprzedając je po domach. Po jakimś czasie jego lampy oświetlały już połowę domostw na wybrzeżu, a Królowka Sellers zaczęła wysyłać je do sklepów w innych portach, od Bonavisty, poprzez Harbour

Grace, aż po St. John's.

Niektórzy uważali czerń skóry mężczyzny za oznakę jakiegoś splugawienia lub czarodziejstwa i odwracali twarze na jego widok, Murzyn był jednak skory do śmiechu i miał w zanadru jeszcze więcej opowieści o dalekich krainach niż ojciec Phelan, co czyniło z niego dobrego kompana. Trzymał się na uboczu, nad swoją Sadzawką, gdzie odwiedzało go czasem kilka osób, które traktowały go jak przyjaciela. Szopa, w której mieszkał, była sklecona tak nieporadnie, że w jej wnętrzu zawsze wyrastał labirynt kubków i misek mających wylać wodę przeciekającą przez dziurawy jak sito dach. Poza tym znajdował się tam stół z jednym krzesłem oraz niskie łóżko zrobione z deski wyrwanej z szalupy, która przyniosła Ralphi na brzeg.

Lizzie po raz pierwszy ujrzała go na własne oczy dopiero wtedy, gdy rozpoczęła wyprawę nad Sadzawkę. Ze swojego brzegu nie była w stanie dostrzec jego twarzy ani rozróżnić żadnych charakterystycznych cech wyglądu, poza przedziwnym kolorem skóry. Przy sprzyjającym wietrze do jej uszu docierały wyśpiewywane przez Murzyna urywki hymnów i pijackich przyśpiewek. Czuliła, że przez cały czas sama jest dla niego całkiem niewidoczna, zaczęła więc podkradać się coraz bliżej do jego obejścia, aby zweryfikować swoje złudzenie. Złote pierścienie w uszach, na skroni blada blizna, na której drobno kręcone włosy przestały rosnąć, brak przedniego zęba, jakby w jego ustach ziała otwarta brama.

Był dużo mniejszy niż z daleka podpowiadała jej wyobraźnia, a poza tym starszy. Nie robił zbyt wiele poza tym, że produkował swoje lampy, ukryty gdzieś w głębi warsztatu, i czasami wdrapywał się na dach, żeby zlikwidować co uciążliwsze przecieki, wciąż podśpiewując te same trzy wersy piosenki. *Pyszałek się żeni, bo posag wziąć rad, znów inny dla piękna, co zwiędnie jak kwiat, lecz jeśli mi żenić się przyjdzie.* W tym miejscu urywał, najwyraźniej nie wiedząc, z kim lub po co miałyby się

żeńić, a następnie zaczynał zwrotkę od początku, powtarzając te same słowa w zdającym się nie mieć końca zapętleniu.

Pewnego dnia, kiedy zamierzała już właściwie dać sobie spokój z zabawą, Murzyn wyszedł z warsztatu bez koszuli i ruszył pewnym krokiem wprost na chojaki, w których się ukrywała. Na jego twarz wypełził grymas niezadowolenia. Zerwała się na równe nogi, przed oczami przepłynęły jej gwiazdy. Mężczyzna stanął przed zaroślami i wyciągnął ze spodni kutasa, żeby się odlać.

Kiedy Lizzie wybudziła się z nagłego napadu snu, spoczywała już w ramionach Ralpa biegnącego w dół Tolt Road, w stronę Trzewia. Murzyn cały kleił się od potu, brakło mu już tchu, opowiadał jej jednak szeptem jakąś pozbawioną ładu i składu historię o własnej matce, o ojcu, jakby chciał zająć ją czymś podczas podróży. Dziwny paraliż, ogarniający Lizzie po każdym ataku, nie pozwolił jej nawet kiwnąć głową, krzyknąć czy chociażby spytać o to, dokąd ją niesie. W końcu przecisnął się przez czyjeś drzwi. Ułożył ją na stole przed wdową. – Żyje, prawda? spytał. – Niech pani powie, że nie umarła.

– A co takiego jej zrobiłeś?

– Siedziała w krzakach przy Sadzawce, powiedział. – Nie miałem o tym pojęcia, dopóki nie zwała się na ziemię. Padła mi prosto pod nogi, słodki Jezu, ależ mi napędziła stracha!

Wdowa po Devinie zajrzała w nieruchome oczy Lizzie. Starucha wyglądała jak wiedźma, jej twarz miała w sobie coś prastarego, coś, czego Lizzie nie potrafiła nazwać, jakiś bezruch, w którym nie było za grosz ciszy czy spokoju. Spojrzenie wdowy rozbudziło w niej zgrozę połączoną z obrzydzeniem, zgrozę, która już nigdy nie miała jej opuścić.

Callum, który zauważył Ralpa Stone'a niosącego dziewczynę do jego domu, przyszedł znad wody akurat w tym momencie, gdy Lizzie usiadła na stole i rozejrzała się wokół jak pijana. Twierdziła, że czuje się

dobrze, podziękowała za wszystkie propozycje pomocy w powrocie do domu, ale Callum i tak postanowił odprowadzić ją przez Tolt. Zrobił jej tę uprzejmość i nie spytał, cóż takiego uczyniła, że Ralph Stone był cały roztrzęsiony. Szedł parę kroków za nią i podśpiewywał, jednak nie w tak pomieszany i nieskładny sposób jak Afrykanin. Co prawda większość piosenek śpiewał po irlandzku, ale Lizzie i tak czuła, że chłopak zna je w całości i potrafi doprowadzić każdą historię od początku do końca. Gdy ich oczom ukazał się Dom Seliny, Callum przystanął gdzieś za jej plecami, pozwalając, by dalej szła sama, a ona natychmiast poczuła się samotna bez dźwięku jego głosu. – Lizzie, podobała mi się twoja sztuka, powiedział do oddalającej się dziewczyny. – Była z ciebie wspaniała Maryja.

Z najwyższym trudem oparła się pokusie, by obejrzeć się za siebie.

– Z drugiej strony, ten Anioł Pański to była jakaś niedołęga, dodał.

Nie zobaczyła Calluma aż do Bożego Narodzenia, kiedy to wszedł do Domu Seliny w ślad za grupą kołędników. Dzieciom nie wolno było schodzić na dół w czasie najazdu kołędników na kuchnię, jednak Lizzie usadowiła się z braćmi na szczycie schodów, aby stamtąd przysłuchiwać się ich piosenkom i pijackim bredniom. Nagle ujrzała Calluma, który wszedł do domu bez żadnej maski i uśmiechnął się w stronę schodów, wpatrując się w ciemności, w których się kuliła. Skłonił się lekko. – Maryjo, Matko Boża, powiedział bez cienia złośliwości w głosie. Kiedy Selina zauważyła dzieci, przegoniła je do pokojów, ale Lizzie i tak słyszała przez podłogę śpiew Calluma, tę samą melodię, którą zapamiętała z ich pierwszego spotkania, angielską piosenkę o miłości do ciemnowłosej dziewczyny. Nawet pijani kołędnicy zamilkli, najwyraźniej czując, że na ich oczach dokonuje się coś bardzo osobistego. Gdy tylko skończył śpiewać, skierował się do drzwi, a Lizzie zakradła się z powrotem na schody, by go pożegnać. Na odchodnym znowu skłonił się przed nią. Tak,

jakby właśnie przypieczętowali jakąś umowę.



Gdy Lizzie miała czternaście lat, Królówka zabrał całą rodzinę do Anglii, chcąc, aby tam córka zadebiutowała na salonach. Podczas podróży Selina uczyła Lizzie tańców, które były modne za jej czasów. Wystrojono ją w gorset z panierem, w otwartą z przodu suknię narzuconą na pikowaną, różową halkę, w czarny, jedwabny czepek z porcelanową broszką. Zaczęto prowadzić ją na maskarady, bale i nabożeństwa, na herbatki i kolacje organizowane po to, aby młodzi kawalerowie mogli się jej przyjrzeć. Miała dziecięcą twarzyczkę matki, grzywę czarnych jak węgiel włosów, spływającą aż do połowy pleców, wielu zabiegało więc o jej towarzystwo.

Gdy pewien dwudziestosześcioletni kawaler o ostrym nosie poprosił o prywatną audiencję, wysłano ich na przejażdżkę powozem po parku. Młodzieniec starał się wciągnąć Lizzie w rozmowę o polowaniach na bazyliki, o dekoltach francuskich sukien. Zajmowały go takie rzeczy, mówił w tak afektowany sposób, że zdawało się jej, że wyskoczył prosto z jakiegoś karykaturalnego obrazka z gazety. Przy nim Nowofundlandczycy odwiedzający jej ojca wydawali się całkiem światowi, z tymi niekończącymi się opowieściami o olbrzymich kałamarnicach, wrakach statków i picciu na umór. Nagle dotarło do Lizzie, że ojciec zamierza wydać ją za kogoś takiego, jak ten wymuskany nudziarz siedzący koło niej, a świadomość ta napełniła ją taką zgrozą, że dostała jednego ze swoich ataków i bez ostrzeżenia zasnęła w trakcie wywodów adoratora.

Później jeszcze dwukrotnie ucięła sobie drzemkę w towarzystwie innych konkurentów, przez co niebawem wszyscy zaczęli szeptać za plecami i przyglądać się jej ukradkiem, dokładnie tak samo jak w domu.

W końcu oznajmiła, że już nie ruszy się ze swojego pokoju. Ojciec próbował nakłonić ją do wyjścia groźbami wykrzykiwanymi spod drzwi, ale i tak było oczywiste, że zaprzepaściła już swoje szanse na znalezienie partii w West Country, jeśli nie w całej Anglii. Nie chcąc, aby podróż na Stary Kontynent poszła całkiem na marne, Królówka i Selina skupili się na poszukiwaniach odpowiedniej gosposi, którą mogliby zabrać na Nową Fundlandię.

W drodze powrotnej Selina nieustannie przemierzała pokład w tę we w tę, a jeśli mocniej wiało, Lizzie wyruszała na spacer z nią, obawiając się, żeby wiatr nie porwał za burtę jej wątlej jak wierzba matki. Selina była rozkojarzona, melancholijna i najwyraźniej nie miała nastroju do rozmów, co najzupełniej odpowiadało Lizzie. Virtue Clouter często zażywała świeżego powietrza razem z Seliną, trzymając się kilka kroków za nią. Ta nieśmiała szesnastolatka nigdy nie patrzyła nikomu prosto w oczy i nie odzywała się, dopóki jej o coś nie spytano. Lizzie, która nie mogła znieść tego, że nowa gosposia podąża za nimi wszędzie jak cień, sama odzywała się bardzo rzadko, nie chcąc, by Virtue cokolwiek podsłuchiwała. I tak nie potrafiła ukryć swojej radości z faktu, że wreszcie uwolniła się od gorsetów i halek, a do tego nadal była panną.

– Zdajesz się okropnie zadowolona z siebie, powiedziała Selina pewnego popołudnia.

– Cieszę się, że wracam do domu.

Selina pokręciła głową. Przystanąły na rufie statku i wpatrywały się w kilwater, w pustą połąć oceanu dzielącą je od Anglii. – Twój ojciec, oznajmiła Selina, nigdy się na to nie zgodzi.

– Na co? spytała Lizzie. Zerknęła na Virtue, która przystanęła dwa kroki za nimi i dyskretnie odwróciła wzrok. W tym momencie Lizzie zrozumiała, że jej tajemnica przestała już być tajemnicą, o ile w ogóle kiedykolwiek nią była.

Matka odpięła porcelanową broszkę od czepka Lizzie. – Zapamiętaj moje słowa, powiedziała do córki. Przez chwilę ważyła broszkę w ręce, a w końcu cisnęła ją za burtę. – Oto twój Callum Devine. Pożegnaj się teraz albo twoje serce już nigdy nie będzie należało do ciebie.

Lizzie po raz drugi zerknęła na służącą, ta jednak zdążyła się już odwrócić.

Virtue Clouter była jedyną zatrudnioną przez Królowkę osobą, która mieszkała w Domu Seliny. Spała w nowej izbie dobudowanej za kuchnią, z własnymi drzwiami prowadzącymi na podwórze, tak że co rano mogła zbierać jajka i wносить drewno na opał. Niepozorna dziewczyna wykonywała swoją pracę nadzwyczaj porządnie. Była na swój skromny sposób ładna, jej urody nie dostrzegali jednak nikt poza najbliższymi osobami. Harry i George zadeklarowali jednogłośnie dziecinny zamiar poślubienia Virtue w przyszłości, Selina zaś zaczęła powierzać jej wszystkie kwestie związane z prowadzeniem domu. Wcześniej, dopóki Lizzie nie zamknęła się w swoim pokoju w Poole, nikt nie wspominał nawet słowem o potrzebie zatrudnienia gosposi – ten zbieg okoliczności sprawił, że Virtue zdawała się jej podejrzana.

W pierwszych tygodniach po ich powrocie do domu zdarzało się, że Virtue podążała za Lizzie podczas jej wędrówek, idąc w bezpiecznej odległości za nią, podobnie jak zwykła chadzać za Seliną na statku. Był z niej bardzo nieporadny szpieg, Lizzie postanowiła jednak nie zaszczycać jej otwartą konfrontacją. Przegoniła ją za to przez pół wybrzeża, przez bystre strumyki, w których przemakały im buty, przez najgęstsze zarośla na wzgórzach.

Ostatecznie Virtue dała za wygraną, a Lizzie mogła spokojnie wrócić do swoich spraw, chociaż, tak po prawdzie, nie miała nic do ukrycia. Żadnych potajemnych spotkań w świerczynie nad Widokiem, żadnych schadzek na łożu z mchu przy Sadzawce Czarnucha Ralpa. Musiała zadowolić się

przelotnymi spojrzzeniami na Calluma, gdy spływał z łowiska z Danielem Woundym, gdy niósł na brzeg worek mąki z magazynu Królowki. To machinacje ojca sprawiły, że Callum trzymał się od niej z dala, tego była pewna, zapewne groźba odmowy udzielenia pożyczki przez kompanię Spurrierów, co oznaczałoby dla chłopaka konieczność wyniesienia się z wybrzeża. Gdy ich drogi się przecinały, witał ją skromnym ukłonem, jednak nie zamienili ze sobą ani słowa.

I tak mijał miesiąc za miesiącem, a później rok za rokiem. Jedynym źródłem otuchy dla Lizzie były nieczęste spotkania z ojcem Phelanem, który dzielił się z nią szczegółami ostatnich spowiedzi Calluma. – Wciąż pała żądzą do dziewczyny, której nie może mieć, mówił kapłan. – Żyje w mękach. Marzy o całowaniu dziewczęcia w takie miejsca, że sam diabeł umarłby ze wstydu, gdyby o tym usłyszał.

– Ale nie ojciec.

– Pan daje mi siłę, odpowiadał.

Jej życie sprowadzało się do nieprzerwanego, beznadziejnego wyczekiwania, przez co stała się kapryśna, niesłowna i jeszcze bardziej skłonna do poszukiwania samotności. Rodzina zaczęła traktować ją jak upośledzone dziecko skazane na egzystencję w tym smutnym stanie już do samej śmierci. Chadzała własnymi ścieżkami, nie tłumaczyła się przed nikim i dziczała coraz bardziej. Nieraz spędzała w lesie nawet po kilka dni, za jedyne towarzystwo mając chmary komarów i much, zastawiając w głębi łądu pułapki na króliki czy łowiąc pstrągi w Sadzawce Czarnucha Ralpha.



Kiedy starszy syn Królowki miał osiemnaście lat, rodzina zaczęła

planować kolejną podróż do Anglii, aby znaleźć mu żonę. Królówka obawiał się, że dziwactwa Lizzie zniweczą szanse Harry'ego na ożenek, poczuł więc ulgę, gdy stwierdził, że córka nie wykazuje najmniejszego zainteresowania wyprawą. Lizzie została więc w domu razem z Virtue i Johnem Tomem, któremu powierzono opiekę nad dziewczętami.

Obie kobiety nie zwracały na siebie większej uwagi nawet wtedy, gdy zima zamknęła je w domu. Virtue troszczyła się o sprawy gospodarstwa, przygotowywała posiłki i każdego wieczora zamykała się wcześniej w swoim pokoju. Podczas posiłków John Tom regularnie wygłaszał mowy na temat Virtue, rozpierając się na krześle i kładąc ręce na brzuchu, jakby był panem domu. – Dobra kobieta się tu marnuje, ot co, mawiał. – Dziewczyna ma już dwadzieścia trzy lata, a nad zatoką nie brakuje przecież bezżennych mężczyzn. Zdawał się nie zauważać, że mogłoby to równie dobrze dotyczyć i Lizzie, siedzącej po drugiej stronie stołu.

W listopadzie John Tom zaczął przyprowadzać na kolacje jegomościa pochodzącego z Harbour Grace, kawalera spędzającego swoją pierwszą zimę w Paradise Deep. Przedstawiwszy go Virtue, John Tom usiadł zadowolony z siebie, jakby właśnie ich wyswatał. Mężczyzna najwyraźniej rozumował bardzo podobnie, zaczął bowiem pojawiać się u nich w niedziele i przesiadywać w kuchni w towarzystwie osłupiałej Virtue trzymającej dłonie na kolanach i nieporadnie bawiącej się palcami. Rozprawiał o datach ślubu, dzieciach i cięciu drewna na dom, który chciał zbudować w zagajniku, u podnóża Toltu. Virtue dolewała mu herbaty, nie odzywając się ani słowem. Podejrzewała, że musiała powiedzieć bądź zrobić coś, co rozbudziło nadzieje mężczyzny, nie potrafiła jednak za żadne skarby stwierdzić, co to takiego było.

John Tom White rozkoszował się całą tą sytuacją. – Nie znajdziesz lepszego mężczyzny, jak kraj długi i szeroki, mawiał do Virtue. – Masz tu chłopca na schwał.

Rozgłosił wszem i wobec, że para jest zaręczona, wobec czego Virtue mogła jedynie bezradnie przytakiwać, gdy do Domu Seliny zaczęli zachodzić goście chcący złożyć jej gratulacje i życzyć szczęścia. Zaczęła wykonywać swoją pracę z wściekłą energią, szorowała ściany, podłogi i okna, gotowała pościel, zasłony i ubrania w kotłach pełnych gorącej wody, jakby cała ta krzątanka miała uwolnić ją od zobowiązania, które w jakiś niewyjaśniony sposób podjęła.

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia John Tom White zorganizował potańcówkę w jednym z magazynów Królowki. Gdy namówił Daniela Woundy'ego i Jabeza Trima, by zagrali razem, wieść o tańcach szybko obiegła wszystkie domostwa na wybrzeżu. Lizzie nie zamierzała się tam wybierać, jednak Virtue, która nie mogła ścierpieć myśli, że będzie musiała pokazać się publicznie ze swoim narzeczonym, błagała ją, by zechciała dotrzymać jej towarzystwa. – Może przyjdzie tam też pani Callum, powiedziała.

Lizzie poczuła mimowolny podziw dla tej podstępnej taktyki. Spytała, Virtue, kto kazał ci mnie szpiegować?

– Szpiegować, psze pani?

– Kiedy tylko przypłynęliśmy z Anglii. Śledziłaś mnie, kiedy wychodziłam z domu.

Virtue wlepiła wzrok w swoje buty. – Po prostu nie znałam tu nikogo. Myślałam, że może... Urwała i wycofała się za drzwi. – Przepraszam, że niepokoiłam, psze pani.

Lizzie i Virtue weszły na tańce pod ramię i usiadły razem pod ścianą. Podłoga drżała pod ich stopami. Po Callumie nigdzie nie było śladu, za to narzeczony Virtue już czekał i zbliżył się do niej z wyciągniętą ręką. Był przystojny, to nie podlegało wątpliwości. Miał ciemne włosy, większość jego zębów jeszcze się nie ruszała, słowem, wyglądał tak, jakby nigdy nie zaznał głodu. Virtue w życiu z nikim nie tańczyła, ale w jego ramionach

wyglądała tak, jakby miała do tego wrodzony talent.

Lizzie zatańczyła tylko raz, porwana z ławki przemocą przez ojca Phelana, który najwyraźniej poprzysiągł sobie, że zatańczy z każdą kobietą na sali. Odprowadziwszy ją, uklonił się nisko. – Jeśli chodzi o twojego Calluma, powiedział, nachylając się do niej. – Prosi, abyś na niego nie czekała. Kapłan wyprostował się i popatrzył na nią z góry, a ona przyglądała się badawczo jego twarzy. – Żałuję, że nie przynoszę wieści bardziej stosownych do tego radosnego czasu, powiedział.

Virtue zdążyła przetańczyć całe godziny, zanim zwróciła uwagę na Lizzie wpatrującą się w tancerzy pustym wzrokiem ze swojego miejsca pod ścianą. Przeprosiwszy partnera, podeszła do Lizzie, aby spytać ją, czy przypadkiem coś się nie stało, jednak ta była w stanie tylko pokręcić głową. Callum dał za wygraną. Żałowała, że nie skoczyła wtedy za burtę w ślad za porcelanową broszką. Virtue pomogła jej wstać, razem precyzyjnie się przez cizbę rozgrzanych tancerzy i ruszyły do domu.

Służąca ułożyła Lizzie w łóżku i zostawiła ją tam zapatrzoną w okno, w gwiazdy dławione przez pełną po szybie szron.

W parę godzin później narzeczony Virtue zjawił się pod drzwiami, błagając, by go wpuściła. Był pijany i natarczywy, łomotał w drzwi otwartą dłonią. Virtue podstawiła pod kłamkę krzesło, aby upewnić się, że mężczyzna nie dostanie się do środka. Odśpiewał do połowy jakąś pieśń miłosną, po czym znowu zaczął walić ręką w drzwi. Lizzie przeszła przez kuchnię i spytała, czy wszystko w porządku, na co Virtue krzyknęła do intruza, że obudził już jej panią. – Panią, co? spytał. – Jesteś pewna, że nie zakłócę spokoju jeszcze komuś innemu? Virtue błagała Lizzie, by wróciła do łóżka, a tymczasem jej narzeczony zażądał, by natychmiast zdradziła mu, z kim tam rozmawia. Zwyzywał Virtue od kłamliwych kurew i oskarżył ją o to, że przez jej łóżko przewinął się już cały zastęp mężczyzn, podczas gdy on wciąż grzecznie przesiadywał w kuchni i

blaźnił się, gadając o żeniacze. – Kto tam jest? krzyczał. – Mów, jak się ten skurwysyn nazywa!

– Martinie Gallery, jesteś pijany, odparła. – Ruszaj w swoją stronę.

Wrócił do niej nazajutrz, poszarzały na twarzy od kaca i skruchy.

Z trudem powstrzymując łzy, wyjaśnił, że to miłość doprowadziła go do takiej zapalczywości, że nie wątpi, iż Virtue była w izbie sama, a nie wpuszczając go do domu dowiodła swego cnotliwego usposobienia. Musiałby być skończonym głupcem, żeby nie widzieć, że jest dobrą chrześcijanką. Modlił się o to, aby odnalazła w sercu uczucie do niego i mimo wszystko zechciała go na męża. Stał przy kominku, zwiesiwszy głowę w geście głębokiej skruchy. Virtue przyglądała mu się przez dobrą minutę, wspominając jego dłoń spoczywającą w tańcu na jej plecach. Tamtego wieczora nie czuła się samotna po raz pierwszy od chwili, gdy opuściła dom rodzinny w Anglii. – W naszym domu nie będziesz pił, powiedziała.

– Nie będę.

– Nie odezwiesz się do mnie więcej w taki sposób jak wczoraj.

– Klnę się na Boga.

Virtue wzięła głęboki wdech. Po raz pierwszy w życiu zdobyła się wobec kogoś na tak autorytarny ton, a przez fakt, że wreszcie miała w całej tej sprawie cokolwiek do powiedzenia, odniosła wrażenie, że sama już dawno się na wszystko zgodziła.

Kiedy Gallery opuścił Dom Seliny, Lizzie weszła do kuchni. Nie ścinała włosów od dziecka, od czasu, gdy po raz pierwszy usłyszała śpiew Calluma. Teraz sięgały już niemal do ud. Była dumna z tej ekstrawagancji, cieszyła się ciężarem, który codziennie przypominał o ukochanym. Ustawiwszy krzesło pośrodku kuchni, wręczyła gosposi nożyczki. Virtue łkała, patrząc na długie pasma włosów spadające z głowy Lizzie, na ciemne zwoje piętrzące się u ich stóp. – Spal je, Lizzie nakazała jej,

wychodząc z kuchni.

W styczniu, lutym i marcu pogoda była tak paskudna, że dom zmienił się w więzienie. Lizzie czuła już głęboką niechęć do całego otoczenia, nie wyłączając bynajmniej swojego opiekuna. John Tom White regularnie pił za zbliżające się zaślubiny, najwyraźniej czuwając się do miana wyłącznego autora tej wspaniałej historii miłosnej. Wciąż napawał się swoim małym tryumfem. Codziennie przychodził do Domu Seliny prosto z tawerny Shamblera, w której spędzał popołudnia, a każdy posiłek celebrował jak osobistą uroczystość. – Virtue znalazła sobie chłopca na schwał, mówił.

W marcu padł trupem w trakcie wznoszenia kolejnego toastu; zwałił się na ziemię, po drodze trafiając głową w ciężki blat stołu. Virtue sądziła, że po prostu stracił przytomność od uderzenia, uklękła więc na bezwładnym cielsku i zaczęła wołać mężczyznę po imieniu, naśmiewając się ze starego pajaca. Krzyczała tak do niego, dopóki Lizzie nie kazała jej przestać. – Na litość boską, Virtue, przecież on nie śpi.

Dziewczyna zasłoniła usta wierzchem dłoni i zachichotała. – Ale nie jest chyba martwy? spytała. Ugryzła się w rękę, by znowu nie wybuchnąć śmiechem.

Lizzie posłała Virtue po Barnaby’ego Shamblera, który od jakiegoś czasu robił za grabarza wszystkich protestantów na wybrzeżu. Shambler oznajmił, że John Tom White pił u niego na krechę od wielu miesięcy, więc nie zamierza powiększać długu swojego nieodwracalnie niewypłacalnego klienta, zapewniając mu jeszcze pochówek. Virtue odszukała więc Jabeza Trima i wróciła z nim do Domu Seliny, gdzie zastała Lizzie siedzącą na krześle nad ciałem Johna Toma. Dotrzymywała mu towarzystwa, dręczona wyrzutami sumienia, że od tak dawna źle mu życzyła.

– Nie mamy innego wyjścia, oznajmił Jabez, niż sprowadzić z Trzewia Wdowę po Devinie.

Kiedy Jabez dotarł do chaty wdowy, okazało się, że kobieta położyła się już spać. Callum obudził matkę i zaczął się ubierać, aby wyruszyć z nimi w drogę przez Tolt.

– Nie musisz iść, powiedziała wdowa.

– A kto cię odprowadzi do domu, kiedy już skończysz z Johnem Tomem?

Staruszka przyjrzała się dobrze synowi, który właśnie wciągał buty na nogi. – Myślałam, że postanowiłeś dać sobie spokój z tą dziewczyną.

– Idę tylko po to, żeby dotrzymać ci towarzystwa, odparł. Szybko wyszedł na zewnątrz i krzyknął do nich, żeby się zbierali.

Callum tak naprawdę nie zaznał chwili spokoju od tamtego popołudnia, gdy ujrzał Lizzie w magazynie Spurrierów. Maryja, Matka Boża przemawiała do zebranych tak, jakby właśnie zstąpiła na ziemię w snopie niebiańskiego światła. To były czary, o jakich dotąd nie słyszał. Żeby dziecko mogło wywołać takie objawienie. Jego serce łomotało tak wściekle, że przy każdym uderzeniu ćmiło mu się w oczach. Gdy Maryja padła na kolana przed grobem Zbawiciela, nogi zdrząły pod Callumem tak, iż pomyślał, że zaraz zwali się jak długi na posadzkę, jednak po chwili z ekstatycznej wizji niebiańskiej istoty wyłoniła się Lizzie i to ona padła na ziemię, nie on. Po sali poniósł się szmer, anioł zaczął krzyczeć, a Callum, przyglądający się wszystkiemu z kutasem stojącym na baczność, z gardłem ściśniętym przez nabożną cześć i zgrozę, poczuł, że musi mieć tę przedziwną, ciemnowłosą dziewczynę tylko dla siebie.

Przez wszystkie lata spędzone bez niej nie znalazł dobrego sposobu na zagłuszenie tego uczucia. Przez jakiś czas był stałym bywalcem przybytku Shamblera, gdzie próbował alkoholem stłumić ryk świadomości, że dziewczyna żyje w najbliższym otoczeniu. Godziny ukojenia znalezione w pijaństwie pozostawiały po sobie jednak tak wielki osad goryczy, że Callum zaczął obawiać się o swoje życie i stwierdził, że lepiej będzie

zatracić się w nawale obowiązków. Przystąpił do pracy z zacięciem godnym człowieka wiedzionego przez religijne objawienie. Korował dłużyce na pomosty i stojaki do suszenia ryb, na jesieni garbował focze skóry, wygotowywał sieci w wywarze ze świerkowych szyszek i kory, a długie zimy spędzał, budując szkielety łodzi. Oferował swoje usługi innym mieszkańcom wybrzeża, harując dla nich jak jakaś dziwka. Każdej wiosny spędzał kilka dni, naprawiając nędzny dach Ralpa Stone'a. Zaopiekował się bezdzietnymi, starzejącymi się Kerrivanami, pomagał Williamowi zrywać, rąbać i układać drewno na zimę, przekopywał ich poletko ziemniaków i nawoził je wodorostami lub kapelanami, wznosił kamienny płot wokół jabłoni rosnącej na skraju ich posesji. Nieustanna fizyczna praca była jego włosienicą noszoną przy samym ciele. Jedyne Wdowa po Devinie potrafiła nazwać jego stan po imieniu. – Nic dobrego nikomu nie przyszło z umartwiania się, powiedziała synowi.

Callum dość szybko zwierzył się ze swoich zamysłów ojcu Phelanowi, ten jednak nie okazał zrozumienia dla jego wiernego oczekiwania, twierdząc, że życie w takiej ascezie stanowi obrazę wobec Boga. Kapłan regularnie naprzykrzał się Callumowi z flaszką i próbował nakłonić go, by wybrał się razem z nim do kobiety, która, jak zapewniał, wiedziała, co zrobić, by poczuli się u niej mile widziani. Gdy Callum odmawiał, Phelan wymyślał mu od sodomitów, samcołożników i eunuchów w rybackich butach. – Wszystko, co przedsięwzięmie ręka twoja do czynienia, cytował bełkotliwie, czyn według możliwości twojej, albowiem nie masz żadnej pracy, ani myśli, ani umiejętności, ani mądrości w grobie. Kapłan klepnął Calluma w krocze. – Według możliwości twojej, ty niewydarzona fujaro.

Drwiny ojca Phelana nie trapiły Calluma w tym stopniu, co nieustające, powszechne rozważania dotyczące Lizzie. Każdy miał do wygłoszenia opinię o dziewczynie, o jej atakach, o długich latach, które spędziła przemyskując gdzieś na marginesie ich życia, a wszystkie wytłumaczenia

zakładały istnienie jakiejś głęboko ukrytej ułomności. Ostatecznie Callum był zmuszony przyznać, że w tym, co ludzie mówią, kryje się ziarno prawdy, że Lizzie jest na swój sposób zdziaczała i zwichnięta. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że sam się do tego przyczynił, oczekując od dziewczyny, iż będzie dzielić z nim to niepełne życie, które powoli wypaczało ich oboje. W miarę, jak docierała do niego ta prawda, sam stawał się coraz większym mrukiem i odludkiem.

Tamtego wieczora, gdy John Tom White zorganizował bożonarodzeniową potańcówkę, do domu w Trzewiu przysła zgraja pijanych mężczyzn zniecierpliwionych pustelniczym życiem Calluma. Poczytali jego samotnicze skłonności za osobistą obrazę, za znak, że gardzi ich towarzystwem, postanowili więc, że jeśli będzie trzeba to siłą zawłoką go na tańce w Paradise Deep. Gdy Daniel Woundy z Saulem Toucherem, ojcem Phelanem i kilkoma innymi mężczyznami ciągnęli go do drzwi, Callum walczył jak człowiek prowadzony na lincz, kłął na czym świat stoi, wierzgał nogami, machał rękami tak, że aż koszula spruła się w szwach. Kiedy Saul Toucher zdzielił go pięścią w żebra, żeby zmusić go do puszczenia futryny, Callum padł na ziemię, ale jeszcze próbował szarpać przeciwników za nogi. Grupka wkroczyła w mrok, powoli sunąc naprzód z tym przedziwnym, chromym, podobnym do kraba stworzeniem pośrodku. Na wąskich, wydeptanych w śniegu ścieżkach posuwali się do przodu bardzo powoli, a Callum wciąż nie oddawał ani cala bez walki. Podejście na Tolt okazało się już ponad ich siły. Saul Toucher podparł się pod boki i popatrzył w nocne niebo. – Proszę ojca, nie mam zamiaru przegapić tańców przez tego pederastę.

– Dobra, Callum, powiedział kapłan, masz chociaż wiadomość, którą chciałbyś przekazać swojej Lizzie?

Callum czuł przesywający ból rozlewający się mu po piersi, a każdy oddech był jak kolejny cios w żebra. Skinął głową. – Tak, proszę ojca,

powiedział. – Mam.



Gdy dotarli do Domu Seliny, było już po północy. Lizzie nadal siedziała przy leżących na podłodze zwłokach Johna Toma. Callum z Jabezem położyli ciało na stole. – Pójdę już do domu, powiedział Jabez. – Chyba, że mogę się tu jeszcze na coś przydać.

Virtue musiała powstrzymywać napady śmiechu za każdym razem, gdy znalazła się w pobliżu ciała, więc Lizzie pozwoliła jej wyjść z pokoju. Calluma posłała w ślad za służącą, na co odpowiedział tylko swoim irytującym lekkim ukłonem. – Zatoszcz się o pana, powiedziała do Virtue.

Wdowa po Devinie trzymała dłoń na oczach trupa, czekając, aż powieki zamkną się na dobre. – Poradzę sobie z tym sama, powiedziała.

– Bez wątpienia, szepnęła Lizzie.

Zaczęły zdejmować z mężczyzny kolejne warstwy koszul, cuchnące skarpety, podkoszulek. Ciało wciąż nie zeszywniało, więc gdy kobiety przechylały je, głowa przekrzywiała się to w jedną, to w drugą stronę. Staruszka jednym gwałtownym szarpnięciem ściągnęła z Johna Toma uświnioną koszulę. Pracowała z chłodną precyzją, jakby zdejmowała skórę z królika. Brak życia w ciele, którego dotykała, przyprawiał Lizzie o mdłości. Klatkę piersiową i brzuch Johna Toma porastała gęstwina siwych włosów, jego stopy śmierdziały nieznośnie. A do tego za ścianą siedział Callum. Chwyciła się krawędzi stołu, czując, że już otwiera się czarny korytarz, którym nadciąga kolejny atak. Jeszcze zanim zdążyły zdjąć z mężczyzny spodnie, Lizzie padła na podłogę, pogrążona w głębokim śnie.

Wdowa zawołała Calluma, który zaniósł Lizzie do kuchni. Ciało

spoczywające w jego ramionach zdawało się nic nie ważyć, ostrzyżona głowa przypominała główkę dziecka. Virtue, której śmiech wreszcie uwiązał w gardle, odsunęła się pod palenisko, a Callum położył Lizzie na ławie i usiadł przy niej, czekając, aż dojdzie do siebie. Nigdy jeszcze nie znajdował się tak blisko niej, nigdy dotąd nie mógł pozwolić sobie na luksus wpatrywania się w nią do woli. Dobrze zrobił, że przez cały ten czas trzymał się od niej z dala, bo teraz, gdy miał ją na wyciągnięcie ręki, dłonie mu drżały, kotłowało mu się w brzuchu. Przecież dał już sobie z nią spokój, powinien był zostać w domu, tak jak radziła matka.

Lizzie rozchyliła ociężałe powieki, jej atak jeszcze się nie skończył, ale przynajmniej już się wybudzała. Callum widział, że mu się przygląda, że próbuje zrozumieć, skąd się tu wziął, że przypomina sobie o trupie Johna Toma leżącym w sąsiednim pokoju. – Obcięłaś włosy, powiedział, a ona zdobyła się na wymuszony uśmiech, od którego coś zakłuło go w piersi.

– Pani kazała mi je ściąć, powiedziała Virtue, i spalić.

– Spalić?

– Virtue, powiedziała Lizzie, pozwól nam pomówić chwilę na osobności.

Wpatrywali się w siebie nawzajem, podczas gdy gosposia zamykała za sobą kuchenne drzwi. – Nawet Virtue ma mężczyznę, który nachodzi ją w dzień i w nocy i nie wie, co to znaczy „nie”, powiedziała Lizzie.

– Nie chciałem spotykać się z tobą tutaj, odparł Callum. – Nie w ten sposób.

– Mogliśmy uciec.

Pokręcił głową. – Tego też nie chciałem.

– Czego więc chciałeś, Callum?

Wlepił wzrok w ziemię, czuł się jak skończony dureń. Od początku dobrze wiedział, że na ich drodze staną zadawnione urazy między jego

matką a Królowką, chociaż, o ile dobrze się orientował, cała waśń rozpoczęła się od sporu o jedną kurę, od drobiazgu, któremu ślepy upór i upływ czasu przydały niewyobrażalnego znaczenia. Callum uważał, że jeśli tylko sam będzie dość zawzięty, przewycięży w końcu dawne zatargi między rodzinami. W każdą rocznicę wielkanocnego występu Lizzie szedł do Paradise Deep, stawał przed obliczem Królowki i prosił kupca o rękę córki, sądząc, że ostatecznie Sellers będzie musiał pogodzić się z rzeczywistością. Odmowy Królowki, niezmiennie składające się z zaledwie jednego słowa, wskazywały jednak na to, że mogą liczyć co najwyżej na jakiś potajemny romans. A Callum sam był zbyt zawzięty, żeby pozwolić, aby Królowką zmusił ich do czegoś takiego.

Teraz przyjrzał się Lizzie otwarcie, jej zranionej, dziewczęcej twarzy, poszarpanym włosom. – Nie mogłem pozwolić, żebyś zmarnowała życie, czekając, aż twój ojciec umrze, powiedział.

A ona na to, Callumie Devine, nawet gdy za ciebie wyjdę, nie będziesz decydował, jak zmarnuję życie.

Na wiosnę, gdy rodzina Lizzie wróciła z Poole, Virtue Clouter wypowiedziała służbę Selinie i w niecały tydzień później poślubiła Martina Gallery'ego. Lizzie zgodziła się zostać jej druhną. Gallery, który planował, że jego drużbą będzie John Tom White, poprosił Królowkę, aby zechciał zastąpić zmarłego na tym stanowisku. Sellersowi co prawda nie uśmiechało się występowanie w zastępstwie nieboszczyka, zgodził się jednak, nie znał bowiem Gallery'ego na tyle dobrze, żeby wypadało mu odmówić. Podczas przysięgi wywiązał się ze wszystkich obowiązków, a po zakończeniu ceremonii pomaszerował przodem przed parą młodą, prowadząc pod rękę córkę. Ludzie mówili, że już nigdy w życiu nie przeżyje nic bardziej zbliżonego do wydania Lizzie za mąż. Staruszek szedł wyprostowany i niewzruszony niczym maszt na okręcie marynarki, wyglądał tak, jakby miał dożyć co najmniej setki. Przechodząc koło

Calluma, Lizzie popatrzyła mu prosto w oczy, jakby chciała mu dodać otuchy, a jej spojrzenie było nieruchome i stanowcze.

Od ślubu Virtue wytrzymali jeszcze trzy lata swojego przedziwnego wyroku. Wreszcie rodzina Sellersów zaplanowała kolejną wyprawę do Anglii, tym razem po to, aby znaleźć żonę dla George'a. Królówka, który nie chciał pozostawić Lizzie samej w pobliżu wciąż szalejącego za nią Calluma, a nie mógł już liczyć na pomoc Johna Toma czy Virtue, postanowił zostać w domu. Selina obawiała się, co się stanie, gdy ojciec i córka tak długo zostaną sami pod jednym dachem, więc w ostatniej chwili również zrezygnowała z podróży. Błagała Harry'ego i jego żonę, aby zostawili z nią Absaloma, który dopiero co został odstawiony od piersi i właśnie zaczynał stawiać pierwsze kroczki. Z początku żona Harry'ego stanowczo odmówiła, była już jednak w drugiej ciąży, a dziecko miało przyjść na świat tej zimy w Poole, w związku z czym, jak przekonywała Selina, rodzina w Anglii i tak miała ujrzeć potomka, do którego będzie mogła się przymilać do woli. Po dwóch dniach marudzenia, targowania się i bezczelnego żebrania, Selina wywalczyła zgodę synowej.

Popłynęli na jesieni, ostatnim tego roku statkiem, wiadomości dotarły więc do Paradise Deep dopiero na wiosnę. Statek w ogóle nie dopłynął do Poole. Po tym, jak wyszedł z St. John's, wszelki śluch o nim zaginął. W Domu Seliny zaciągnięto wszystkie zasłony, zaciemniając okna na bliżej nieokreślony czas sączącej się żałoby, na długie miesiące wyczekiwania na jakiegokolwiek konkretne wieści, chociaż i tak było już wiadomo, że mogą porzucić wszelką nadzieję. Po raz pierwszy od dłuższego czasu na wybrzeżu odżyły opowieści o tym, jak to przed laty Wdowa po Devinie opuściła gospodarstwo Królówki, przytaczano i roztrząsano przeróżne warianty klątwy, którą ponoć na niego rzuciła. Wersja *niech morze pochłonie ciebie i owoce twych łędźwi* była powtarzana na tyle często, że nabrała wszelkich pozorów prawdy, a do jesieni została już powszechnie

zaakceptowana.

W końcu września Selina we własnej osobie wdrapała się na Tolt i zeszła do Trzewia. Nigdy jeszcze nie była w sąsiedniej osadzie, musiała więc wypytywać o drogę do chaty, w której mieszkała Wdowa po Devinie. Nie przyjęła proponowanej filiżanki herbaty, nie przyjęła zaproszenia do stołu. Wdowa złożyła jej kondolencje, tych Selina jednak również nie przyjęła.

– Oszczędzisz ją, powiedziała. – Załatwię wszystko z jej ojcem, dziewczyna wyjdzie za Calluma, ale obiecaj mi, że zostawisz ją w spokoju.

– Pani Sellers.

– Twój Callum za nią szaleje, to wie już całe wybrzeże, a ja zadbam o to, żeby należała do niego. A co do ciebie, ty suko. Selina wzięła głęboki oddech, próbując się uspokoić. Kącik ust drgnął nerwowo, jakby próbowała przepędzić z twarzy uśmiech. – Nie skrzywdzisz jej, nawet włos jej z głowy nie spadnie, tak mi dopomóż Bóg.

W głosie kobiety pobrzmiwało coś znajomego, jakiś przyprawiający o mdłości ton, coś pomiędzy błaganiem a groźbą. Mąż wdowy umarł podczas epidemii odry, która przed dwudziestu pięciu laty spustoszyła wybrzeże. Siedemnaście osób zmarło w ciągu trzech tygodni, zdarzył się nawet jeden czarny dzień, w którym Jabez Trim musiał odprawić cztery pogrzeby. Gdy mąż oraz jedyny syn zachorowali, kobieta przeleżała bezsennie ostatnie noce ich choroby, trawiona własną, całkiem odmienną gorączką. Próbowwała złożyć w ofierze wszystko, co tylko mogła; przez pewien czas wyglądało na to, że straci ich obu, w rozpaczy postanowiła więc wybrać jednego z nich. – Oszczędź chłopca, powiedziała. – Zabierz mojego męża, ale oszczędź Calluma.

W pewnym sensie zazdrościła Selinie przekonania, że w ogóle warto targować się z kimkolwiek poza Bogiem. – Mój Callum to dobry człowiek, powiedziała.

– Daj mi słowo.

Podniosła fartuch i wytarła w niego ręce. Wiedziała, że okrucieństwem byłoby pozbawić Seline złudnego poczucia bezpieczeństwa, po które tu przysłała. Wiedziała, że nie ma innego sposobu na to, by Callum wreszcie wziął za żonę dziewczynę, na którą tak długo czekał. Powiedziała, Zrobię dla dobra Lizzie wszystko, co w mojej mocy, jeśli pani nakłoni pana Sellersa, żeby zgodził się na ślub.

– To żadna obietnica.

– Proszę zająć się panem Sellersem, powiedziała Wdowa po Devinie, a resztę zmartwień pozostawić mnie.

Callum nalegał, by ślub odbył się dopiero za rok przez wzgląd na szacunek dla zmarłych. – Czekałem zbyt długo, żeby teraz żenić się w żałobie, powiedział Lizzie.

Królówka pokazał się na ślubie akurat na tak długo, żeby zdążyć przekazać córkę przysłemu zięciowi, po czym zerwał z nią wszelkie kontakty.

W noc poślubną Callum przyszedł do łóżka z potężnym wzwodem, który ojciec Phelan nazwałby dziełem tworzonym pieczołowicie przez całe zeszłe dziesięciolecie. Gdy szczytował, jego kutas zmiękł tak szybko, że Lizzie pomyślała, że musiała go w jakiś sposób uszkodzić, a może nawet zepsuć na dobre. Callum nie potrafił ukryć rozbawienia. Kiedy zrozumiał ogrom ignorancji żony, zaczął się cały trząść ze śmiechu.

– A więc myślałeś, że się żenisz z dziwką, co? spytała.

A on na to, Moja panienko, nie widziałaś nigdy, jak byk Królówki pokrywa krowy?

Nie widziała. Dotąd nie widziała również nikogo, nawet braci, bez ubrań. Obór ojca unikała, a podczas wszystkich dzikich wędrówek pielegnowała troskliwie swoją nieświadomość co do najbardziej podstawowych zjawisk w życiu. Widywała czasem tę czynność, kozy czy

zdziçałe psy wchodzące na siebie, wyglądało to jednak jak jakaś walka, a wpisana w nią obrzydliwa intymność sprawiała, że dziewczyna odwracała wzrok. Opowiedziała Callumowi o potajemnych wyprawach nad Sadzawkę, o zabawie polegającej na podkradaniu się coraz bliżej i bliżej do chaty Ralpa Stone'a, o szoku, jaki przeżyła, gdy Murzyn zaczął sikać, oddzielony od jej kryjówki za ledwie świerkową gałązką. Aż do nagłego spotkania z pytą Ralpa była pozbawiona jakichkolwiek poważniejszych poszlak mogących doprowadzić ją do sedna sprawy. Zaczęła bić Calluma w pierś, chciała, żeby przestał się śmiać i pozwolił się wytłumaczyć. – Najpierw długo, długo nic, powiedziała z wściekłością, nic i nic, i nic, a potem nagle stanęłam twarzą w twarz z czymś takim.

– Z tego, co opowiadał mi Ralph, powiedział Callum, nie jesteś jedyną kobietą, którą przeraził na śmierć swoim wielkim wiosłem.

Zamilkli na chwilę, wspominając człowieka, którego od niespełna dwóch lat nie było już wśród nich. Umarł we śnie i przeleżał tak wiele dni, zanim Jabez Trim wybrał się do jego chaty, żeby sprawdzić, jak się miewa. To był paskudny październik, trzy tygodnie nieprzerwanego deszczu. Najwyraźniej po śmierci Ralpa jego znękany dach również oddał ducha, nad ciałem ziała bowiem szeroka na trzy stopy dziura, przez którą do środka wlewał się nieprzerwany strumień wody nasączający pościel i zwłoki, zagrażający wręcz porwaniem całego łóżka z podłogi tak, jakby ocean, przed którym Stone tak długo uciekał, w końcu po niego przyszedł.

Lizzie powiedziała, Nie bylibyśmy teraz razem, gdyby wtedy nie przyniósł mnie właśnie tutaj.

Callum wzruszył ramionami, ocierając się o nią. – Całkiem możliwe, odparł.

Słyszeli chrapanie Wdowy po Devinie dobiegające z bocznej izdebki, którą Callum przed ślubem dobudował do chaty. Lizzie oparła czoło na

jego piersi, wspominając twarz staruszki, która ukazała się nad nią tamtego dnia, gdy leżała sparaliżowana na stole. Przyglądała się wtedy chłodno, oceniając jej stan. Pod tym spojrzeniem Lizzie poczuła się nieodwołalnie skazana na swoją niemoc.

Oboje wiedzieli, że po tym, jak Harry i George zaginęli na morzu, Selina złożyła wizytę wdowie. W przeciągu tygodnia Królowka udzielił wymuszonego błogosławieństwa swojemu ostatniemu pozostałemu przy życiu dziecku i narzeczonemu. Lizzie i Callum nigdy nie rozmawiali o roli, jaką Wdowa po Devinie odegrała w całym tym ciągu zdarzeń; wręcz nie przyjmowali tego faktu do wiadomości. Woleli mówić sobie, że to sama miłość doprowadziła ich w końcu do ołtarza. Miłość i zrządzenie losu. Miłość i ingerencja pęcherza Ralphi Stone'a tamtego letniego popołudnia, kiedy tak naprawdę się jeszcze nie znali.

Lizzie sięgnęła w dół i ujęła w dłoń penisa Calluma; tajemnicze stworzonko było wciąż wycieńczone i mokre jak coś, co przed chwilą nieomal się utopiło i teraz rozpaczliwie walczyło o życie. Z bocznej izby wciąż niosło się chrapanie staruszki. – Nienawidzę twojej matki, szepnęła Lizzie. Poczwała, że kutas męża drgnął w jej dłoni.



Virtue Gallery okazała się kobietą, która rozkwitła w małżeństwie, jakby natrafiła na jakieś podziemne, żywe źródło piękna. Ludzie mówili, że była to oznaka szczęśliwego zamążpójścia. Przed ślubem nie zdarzyło się jej nawet ani razu pocałować mężczyzny, jednak w noc poślubną pozwoliła się prowadzić mężowi – podobnie jak wtedy, gdy tańczyli – i w rezultacie rozkochała się w nim podczas wymiany cielesnych rozkoszy, które, jak dotąd sądziła, dostępne mogły być jedynie w jakiejś rajskiej dziedzinie

zarezerwowanej dla cnotliwych zmarłych.

Cieniem na ich życiu kładł się tylko brak potomstwa. Virtue czuła się zawstydzona tą niemocą, a Gallery, z początku traktujący całą sprawę po rycersku, zaczął stopniowo poddawać się natrętej myśli, że żona musi ukrywać jakiś defekt. Po pięciu latach przeżytych razem w chatce, którą Gallery wybudował w zagajniku, oboje zaczęli poważnie obawiać się, że nigdy nie doczekają się dziecka. W ich rozmowy na ten temat wlewała się coraz większa gorycz, a Gallery zaczął zachowywać się tak, jakby został przez kogoś wrobiony w ślub z bezpłodną kobietą. Virtue przez wiele dni z rzędu serwowała sobie gorzkie herbatki czy wywary z kalmii i tytoniu, stosowała się do przeróżnych przesądów mających ponoć niezawodnie zapewnić poczęcie. Posunęła się nawet do tego, że poprosiła Jabeza Trima, aby modlił się za nich, chociaż Gallery drwił z jej pomysłu, wytykając fakt, że przecież Trim również jest bezdzietny. Virtue zaproponowała, by zamiast tego poprosić o błogosławieństwo ojca Phelana, ale Gallery nawet nie chciał o tym słyszeć. Oznajmił, że wolałby obciąć sobie jaja zardzewiałym nożem do ryb, niż zostać ojcem dziecka poczętego za wstawiennictwem katolickiego klechy.

– Ależ Martin.

Odwrócił się do niej w nagłym przypływie gniewu. – O, bez wątpienia chciałaabyś, żeby ten skurwysyn nałożył na ciebie ręce.

Virtue wstała z krzesła.

– Nie, powiedział. – Taka dziwka jak ty marzy raczej o jego katolskim kutasie.

Odezwał się do niej w ten sposób po raz pierwszy od tamtej nocy, gdy dobijał się do drzwi jej pokoju w Domu Seliny. Przez chwilę mierzyła go wzrokiem, mając nadzieję, że zdoła zawstydzić go bez słów, po czym położyła się do łóżka sama. Rano znalazła go na podłodze przed kominkiem; spał przykryty kurtką. Obudził się uległy, pełen skruchy i

na nowo rozkochany w żonie. Przez jakiś czas małżeństwo cieszyło się przyływem wzmożonego pożądania porównywalnego jedynie z tym, co przeżyli w pierwszych kilku tygodniach po ślubie.

Kiedy Virtue zaszła w ciążę, od razu poczuła, że to się stało, jakby gdzieś w jej ciele zapłonął nagle knot świecy. Nie powiedziała jednak nic mężowi, dopóki miesiączka nie spóźniła się tak bardzo, że powinna już właściwie mieć kolejną. Od wesela Gallery nie tknął w domu ani kropli alkoholu, nigdy nie pił w obecności Virtue, a jeśli pił poza domem, to nie pokazywał się w pobliżu zagajnika, dopóki całkiem nie wytrzeźwiał, jednak podczas spontanicznej uroczystości wyprawionej z okazji zajścia Virtue w ciążę, Gallery wznosił toasty za żonę, za dziecko, za sąsiadów; spełniał również każdy toast zaproponowany przez gości zgromadzonych w izbie. Potem długo w noc wyśpiewywał serenady dla Virtue, która leżała w bocznej izdebce, udając, że śpi. Było to późną jesienią, ostatnie ławice ryb przeszły już koło brzegów, a nie zdążyło jeszcze spaść dość śniegu, by można było rozpocząć zrywkę drewna w głębi łądu, więc Gallery świętował przy każdej możliwej okazji. Virtue mówiła sobie, że skoro wcześniej nie zawiódł jej przez tak długi czas, to teraz zasłużył na krótką dyspensę. Co więcej, ku swojemu zaskoczeniu stwierdziła, że kiedy mąż pił, jego obecność była dla niej całkiem znośna, przynajmniej w małych dawkach. Przychodził do łóżka, prosząc, aby zechciała, o ile nie była to dla damy nazbyt śmiała prośba, raz jeszcze pokazać mu dokładnie wszystkie kroki, które podjęła, aby zasiać potomka w swym łonie. Leżeli potem razem, czując między sobą dziecko, tę nadciągającą nieuchronnie chwałę.

– Czy pokazałaś mi już wszystkie kroki? spytał pewnej nocy, trzymając rękę między jej udami. – Jesteś pewna?

– Wszystkie, co do jednego.

– I na pewno nie pominęłaś jednego czy dwóch?

– To były wszystkie, które pamiętam.

– Może powinniśmy zacząć od początku, żeby się upewnić?

Odepchnęła jego rękę, śmiejąc się. – Idź już spać, głuptasie, powiedziała. Prawie już zasnęła, kiedy odezwał się znowu. – Virtue Gallery, przypadkiem nie ukrywasz przede mną któregoś z kroków, co?

– O czym ty mówisz, Martin?

Usiadł w ciemnościach na łóżku, ogarnięty wątpliwościami. – Nic, to po prostu wydaje się dość dziwne. Dzieliliśmy to łóżko przez pięć lat, a przez cały ten czas twój brzuch był nieurodzajny.

– Nie życzę sobie takiej mowy, powiedziała.

– Nie poprosiłaś przypadkiem tego katolskiego skurwysyna o błogosławieństwo?

Odetchnęła z ulgą, słysząc tak niedorzeczne oskarżenie. – Oczywiście, że nie, powiedziała.

– No to co zrobiłaś?

– Wszystko już ci pokazałam przed chwilą.

– Wszystko? krzyknął. Wyskoczył z łóżka i zaczął po ciemku rozbijać się po izbie, szukając flaszki. Rano znalazła go pod stołem, leżał nieprzytomny, z tymi stworzonymi do tańca nogami wywalonymi szeroko na podłogę. Przygotowała śniadanie, nie budząc go, była zbyt wściekła, żeby się do niego odezwać, po prostu omijała jego bezwładne ciało, co chwilę dając nad nim duży krok. Doszedł do siebie dopiero koło południa. Gdy spróbował usiąść prosto, uderzył czołem w stół. Żona siedziała na krześle po drugiej stronie izby i zgrzebliła wełnę.

– To znak od Pana, oznajmiła. – Mówi ci, że już najwyższy czas skończyć z piciem.

Potańił dłońmi skronie, wciąż nie mogąc pojąć, gdzie się znajduje. Stanął na nogi i chwycił się stołu, żeby złapać równowagę. – W porządku, powiedział.

Martinem Gallerym owładnęła jednak myśl, że żona nosi dziecko innego mężczyzny. Podejrzanie wciąż kielkowało w jego umyśle, nawet gdy był trzeźwy. Virtue straciła cierpliwość do swojego markotnego, milczącego męża i starała się w miarę możliwości nie zwracać na niego uwagi. Myślała tylko o dziecku, o ich dziecku, modląc się o to, aby po jego narodzinach mąż znowu stał się sobą.

Gdy uwidoczniły się pierwsze niezaprzeczalne oznaki ciąży, Gallery sposepniał jeszcze bardziej, tak jakby wydęty brzuch i powiększone piersi żony stanowiły tylko potwierdzenie jego najgorszych przypuszczeń. Gdy nastąpiła zima, zaczął pić co wieczór przy kominku. Virtue zamykała się w sypialni, żeby nie wysłuchiwać jego oskarżeń. Kiedy wychodził, żeby poszukać sobie towarzystwa do flaszki, Virtue barykadowała za nim drzwi, większą część poranków spędzał więc pod chatą, wymyślając swojej niewiernej żonie zamykającej się z kochankiem w domu, który on, jej mąż, zbudował dla niej własnymi rękami.

Nie była to żadna tajemnica, że po libacjach Martin Gallery terroryzuje Virtue, że oskarża ją o zdradę, że grozi śmiercią jej oraz każdemu mężczyźnie, którego znajdzie w jej łóżku. Jabez Trim próbował kiedyś przemówić Gallery'emu do rozsądku, rozmowa zaowocowała jednak tylko tym, że skutecznie wysforował się na pierwsze miejsce na liście podejrzanych, tak więc większość sąsiadów wolała trzymać się od obojga Gallerych z daleka. Tamtej zimy po świętach Bożego Narodzenia kołędnicy nie zapukali do drzwi chaty w zagajniku. Gallery pił najczęściej z Saulem Toucherem, który traktował jego pijackie wyrzuty jak nieszkodliwy teatrzyk. Mężczyźni prowadzili rozwlekłe dyskusje, wymieniali nazwiska potencjalnych cudzołożników, roztrzęsali w szczegółach różne scenariusze mogące doprowadzić poszczególnych amantów do łóżka pani Gallery. Stwierdzili jednomyślnie, że nie ma na wybrzeżu mężczyzny wolnego od podejrzeń, że żadnej kobiecie nie

można w pełni zaufać. Żona Saula piastowała wtedy dopiero co narodzone trojaczki. – Skąd masz pewność, spytał Gallery, że to twoje dzieciaki?

Saul wskazał palcem dołek w brodzie, wielki jak przedziałek między pośladkami dziecka. – Wszystkie to mają, powiedział.

Gallery pokręcił głową. Nawet coś takiego stanowiło zbyt słaby dowód, żeby uzasadnić tak głębokie przekonanie.

Pewnego styczniowego poranka mąż Sheili Woundy, idąc z Danielem i Jamesem w głąb łądu po drewno na opał, znalazł nieprzytomnego Gallery'ego w zaspie śnieżnej. Z pewnością minąłby go w szarości przedświt, gdyby nie pies, który wychylił się poza wydeptaną ścieżkę i zaczął machać ogonem jak opętany. Elias Fennesey nie był w stanie przywołać do siebie zwierzęcia, postanowił więc siłą odciągnąć je od tego, co przykuło jego uwagę. W tym momencie dostrzegł na wprost zamarzniętego Martina Gallery'ego leżącego w zaroślach z włosami i brwiami pokrytymi białym szronem.

Opasali go pod pachami sznurkiem i przywiązali do nowofundlanda, który pociągnął go przez Tolt Road aż do domu w zagajniku. Elias zapukał do zabarykadowanych drzwi i zawołał panią Gallery. Wnieśli jej męża do środka, ułożyli przy kominku i rozniecili ogień tak wielki, że w izbie aż huczało. Elias nie chciał zostawiać Virtue samej z zamarznętym mężem, wysłał więc Daniela i Jamesa z psem do lasu, mówiąc, że sam dołączy do nich jeszcze przed południem.

Godzinę później Gallery otworzył oczy. Przez chwilę mierzył Eliasa wzrokiem, a w końcu, rozpoznawszy go, kiwnął głową na powitanie. – Dzień dobry, panie Woundy, szepnął.

Elias był wdowcem, który ożenił się ponownie z Sheilą Woundy. Co prawda żona oficjalnie przyjęła jego nazwisko, jednak na wybrzeżu ta zmiana nie weszła w życie. Ich jedyny syn został ochrzczony jako James Fennessey, ale i tak wszyscy zwracali się do niego po nazwisku matki.

Nawet na Eliasa zaczęto mówić pan Woundy, a był już za stary, żeby obruszać się za takie rzeczy. Odkłonił się Gallery'emu. – Napędziłeś nam stracha, powiedział. – Myśleliśmy, że już po tobie.

Gallery rozejrzał się po izbie. Jego wzrok spoczął na żonie, która siedziała przy stole. – Witam, pani Gallery, powiedział.

Gdy Virtue była w końcu piątego miesiąca ciąży, Gallery zamordował Eliasa Fennesy'ego. Zasadził się na niego bladym świtem na ścieżce prowadzącej do wychodka. Poderżnął mu gardło otwierając je od ucha do ucha ostrym jak brzytwa nożem do ryb, po czym ruszył przez Tolt w stronę własnego domu. Jego uwalane krwią mankiety zeszywniały na mrozie. Drzwi były zabarykadowane, więc wspiął się na dach i opuścił się do środka przez drewniany komin. Gdy wylądował w palenisku, Virtue właśnie odsuwała krzesło od drzwi, żeby uciec. Zawłókł ją za włosy z powrotem w głąb izby i chlasnął nożem. Przygniół ją do podłogi, czekając, aż opadnie z sił i przestanie się wyrywać. – Błagam, powiedziała. – Nie rób nic dziecku.

– Zabiłem go, Virtue, tak jak obiecywałem.

– Nie wiem, o czym mówisz. Jesteś pijany.

Gallery podniósł się nieco, jakby chciał się jej lepiej przyjrzeć, i splunął jej prosto w twarz. – Zabiłem ojca twojego bękarta, oznajmił.

Virtue odwróciła się od niego. – Martinie Gallery, gdyby to była prawda, byłbyś teraz trupem i cały świat z pewnością by na tym zyskał.

Gdy tylko znaleziono ciało Eliasa, Daniel Woundy pobiegł po Calluma. Zebrali jeszcze z pół tuzina mężczyzn i ruszyli na poszukiwania mordercy. Skierowali się prosto do domu w zagajniku, gdzie za otwartymi na oścież drzwiami znaleźli na podłodze bladą jak morski lód Virtue. Może to przenikliwy chłód, a może ślepy los sprawił, że nie zdążyła się jeszcze wykrwawić na śmierć po tym, jak Gallery, któremu najwyraźniej w pewnym momencie zabrakło zimnej krwi lub przekonania o swojej

racji, porzucił ją leżącą na podłodze z ciętymi ranami na twarzy i piersi.

Przez jakiś czas Virtue zmagala się ze śmiercią. Rano i wieczorem Wdowa po Devinie zmieniała jej opatrunki oraz sprawdzała stan topornych szwów, które założyła za pomocą igły i nitki.

– Dziecko, Virtue szeptała za każdym razem, gdy otwierała oczy. – Dziecko się nie rusza. Nie czuję dziecka.

Wdowa przygotowała Virtue na napad paniki, przyciskając ją do łóżka tak, żeby unieruchomić miejsca, w których założyła szwy. – Dziecko nie żyje, powiedziała.

W tydzień po śmierci Eliasa Woundy’ego znaleziono ciało Gallery’ego unoszące się na wodzie pod nabrzeżem Spurrierów. Najwyraźniej rozebrał się do koszuli i rzucił się w wody oceanu. Ciało musiało pływać tak od dłuższego czasu, jednak obie jego ręce wciąż były czarne od sadzy.



Virtue urodziła maleńkie zwłoki w wigilię dnia świętego Walentego. Długie miesiące rekonwalescencji spędziła w swojej starej izdebce przy kuchni w Domu Seliny. Niespełna siedmioletni Absalom Sellers sam zgłosił się na pielęgniarza Virtue, przynosił jej wodę, zabierał puste talerze, rano opróżniał nocnik. Nie miał pojęcia, w jakich okolicznościach odniosła swoje rany, ale ogólna zмова milczenia w tym względzie zdawała mu się tak znajoma, że przez jakiś czas sądził, iż kobieta może być jego matką. Nie pozwalano mu wychodzić samemu z Domu Seliny, wychowywano go z dala od innych mieszkańców Paradise Deep z obawy, że mógłby przypadkowo poznać szczegóły dotyczące śmierci rodziców. Pod wpływem odosobnienia jego wrodzona skłonność do lekkiego jękania zaczęła stopniowo się rozwijać, niczym grzyb porastający

ściany opuszczonego domu. Virtue zakochała się w jego starannie artykułowanych, zwięzłych wypowiedziach, w jego niechęci do zadawania jakichkolwiek pytań o jej mężarnie. Absalom zaczął regularnie przynosić jej drobne podarki, szkiełko wygładzone przez morze, orle pióro, kawałek polerowanego drewna. Kiedy Virtue na nowo podjęła obowiązki gosposi, dalej prowadzili subtelną wymianę upominków, każde z nich podrzucało różne drobiazgi w takie miejsca, gdzie drugie musiało się na nie natknąć. Odnaleźli w sobie ukojenie po stracie, którą każde z nich poniosło, a po paru miesiącach wyglądało na to, że wspólnie zdołają wymknąć się osobistym zmorom.

Po pierwszej rocznicy śmierci Eliasa Virtue zaczęła widywać sylwetkę swojego nieżyjącego męża. Gdy chodziła rano do kurnika, żeby zebrać jaja, siadywał na najwyższych gałęziach drzewa i zaglądał do domu przez okna na drugim piętrze. Czasem krył się w najciemniejszych zakamarkach izby, gdzieś poza kręgiem światła roztaczanego przez lampy *Ralph'a Stone'a*. Sądziła, że popada w obłąd, ale niebawem inni służący również zaczęli opowiadać o jakimś kręcącym się po gospodarstwie nieznanym, którego dostrzec można było co najwyżej kątem oka. W końcu pracownicy *Sellersów* zaczęli odmawiać samotnej pracy w stodołach i przestali wychodzić ze swoich chat po zmroku. Pewnego ranka dwaj irlandzcy chłopcy, zatrudnieni u *Sellersa* od niespełna roku, po przebudzeniu ujrzeni *Gallery'ego* stojącego w nogach łóżka. Pobiegli pędem aż do *Trzewia*, nie włożywszy nawet butów.

Tamtego dnia po południu Virtue weszła do sypialni *Seliny*, aby pomówić z nią na osobności. *Selina* siedziała przy toalecie, tyłem do drzwi. Przyjrzała się w lustrze odbiciu Virtue mającącemu ponad jej ramieniem. – Virtue, myślałam, że jest ci u nas dobrze.

– Nie w tym rzecz, psze pani.

– Gdzie zamierzasz zamieszkać?

- Jest dom, odparła. – W zagajniku.
- Virtue, nie pleć takich niedorzeczności.
- Nie mogę pozwolić, żeby znowu kogoś skrzywdził.
- O kim ty w ogóle mówisz?
- O panu Gallerym.

Selina obróciła się na krzesło i popatrzyła prosto na prawdziwą Virtue.

- O twoim mężu?
- Tak, psze pani.

Nagle nad ich głowami rozległ się hałas. Obie popatrzyły na sufit. – Co to było? szepnęła Selina. Wstała z krzesła i wyciągnęła rękę do gosposi, by chwycić ją za ramię. – Virtue?

Przez sufit najpierw przebiły się nogi pana Gallery’ego. Dyndał nimi przez chwilę, aż w końcu przecisnął się cały przez strzechę i tynk. Gdy zwałił się na łóżko, spowity tumanem pyłu, z kominka posypała się sadza. Selina wrzasnęła i wybiegła z pokoju, krzycząc, że sam diabeł wpadł do jej domu przez dach. Virtue, która nie ruszyła się z miejsca, wpatrywała się w swojego zmarłego męża podnoszącego się teraz z łóżka w chmurze odłamków tynku. Był bardziej wychudzony niż go zapamiętała, a jego twarz zdawała się wręcz przezroczysta, jakby światło wpadające przez okno za jego plecami przepływało przez niego na wylot. – Czego chcesz? spytała w końcu, jednak on nawet na nią nie spojrział. Po prostu stanął przed nią z pochyloną głową, niczym służący oczekujący na polecenia.

Virtue zeszła na dół, do izdebki przy kuchni, aby tam spakować swój skromny dobytek, po czym po raz drugi wyprowadziła się z Domu Seliny i przeszła przez całe Paradise Deep aż do drewnianej chaty, która od ponad roku stała pusta. Naoczni świadkowie zarzekali się, że widzieli sylwetkę pana Gallery’ego, który podążał w pewnej odległości za Virtue i zniknął za drzwiami domu w zagajniku na chwilę przed tym, jak kobieta je zamknęła.

Nazajutrz Jabez Trim stanął przed chatą Virtue, trzymając na piersi swoją oprawną w skórę Biblię niczym tarczę. Nie potrafił zdobyć się na przekroczenie progu, krzyknął więc spod drzwi. – Pani Gallery, czy wszystko w porządku?

Virtue stała w malutkiej spiżarni, gdzie myła i ustawiała na półkach talerze nieużywane od dnia, w którym opuściła chatę. Dom, niezamieszkały od tak dawna, był podupadły i zawilgocony, szyby w jedynym oknie popękane. Ogień płonący w kominku z najwyższym trudem włączał odrobinę ciepła w panujący tu ziąb. Jabez dostrzegł w mroku sylwetkę pana Gallery’ego siedzącego na krześle ustawionym tak blisko paleniska, jak tylko się dało. – Pani Gallery?

Wyszła do niego, wycierając mokre ręce w fartuch. Spuścił wzrok i przemówił do niej szeptem, nie chcąc, by dosłyszała go postać siedząca przy kominku. – Tak się po prostu zastanawialiśmy, zwłaszcza pani Sellers z małym Absalomem. Wszyscy obawiamy się o pani bezpieczeństwo.

– Powiedziałabym, że na to jest o rok za późno, panie Trim.

Jabez skinął głową i wykonał nieokreślony ruch Biblią, którą ścisnął w ramionach. – Pani Gallery, czy jest cokolwiek, co można dla pani zrobić?

Odrzuciła się i spojrzała wprost na swojego męża. – Potrafi pan wysłać tego tutaj do piekła?

– Niestety, takie dyspozycje nie leżą w mojej gestii, powiedział. – Czego ta istota od pani chce?

– Sądziłam, że właśnie pan będzie w stanie mi to wyjaśnić, odparła. – Pan i całe to pana Pismo.

– Pani Gallery, smutna prawda jest taka, że stanowią jedynie nic nieznaczące narzędzie w rękach Pana. Chyba nie zamierza pani pozostać w tym domu?

– Proszę przekazać pani Sellers, że wszelkie zaległe wypłaty może przysłać tutaj, powiedziała. Uniosła dłoń, nakazując mu, aby poczekał,

po czym zniknęła w sypialni. Wróciła z puklem kruczoczarnych włosów, który zawinęła w kwadratowy kawałek materiału. – To dla Absaloma, oznajmiła. – Proszę powiedzieć, że chciałam mu to dać, gdy będzie starszy. Aha, panie Trim, dodała, o ile to możliwe, proszę mu to przekazać na osobności.

Jabez przytaknął, obracając w dłoniach przedziwny podarek. – Ma pani bardzo mało drewna na opał, powiedział.

– Będę wdzięczna, odparła, za wszelką pomoc.

Dzięki miłosierdziu mieszkańców obu osad Virtue miała co jeść, przynoszono jej również dość drewna na ogrzanie domu. Nikt nie zbliżał się do zagajnika, chyba że po to, aby podrzucić pod drzwi chaty ziemniaki, trochę solonego dorsza lub naręcze drewna. Absalom Sellers wymykał się czasami dziadkom na dość długo, żeby podłożyć drobny podarek na parapecie lub pod drzwiami wychodka, a te skromne oznaki czułości musiały wystarczyć Virtue do życia. Czasami widywano pana Gallery'ego przycupniętego na dachu domu niczym sowa na gałęzi, niektórzy spotykali go na ścieżkach w głębi łądu, jednak nie zwracali uwagi na innych wędrowców, mamrotał tylko coś wściekle pod nosem, jakby sprzeczał się z całym wszechświatem. Ci, którzy go zobaczyli, robili znak krzyża lub zaczęli szeptać słowa psalmu dwudziestego trzeciego i odchodzili w przeciwnym kierunku najszybciej jak potrafili.



Ojciec Phelan spędził post oraz święte dni Wielkiej Nocy w innych regionach kraju. Wrócił dopiero, gdy przybrzeżne wody były już wolne od lodu dryfującego z Labradoru, a na jabłoni Kerrivanów pojawiły się pierwsze pąki. Jabez Trim, który zaczął szukać ojca, gdy tylko usłyszał

o jego powrocie, odnalazł go w końcu w domu wdowy. Kapłan miał słabość do historii o nawiedzeniach, siłach nieczystych czy rytualnych egzorcyzmach; lubił przytaczać je, nie pomijając przy tym żadnych mrocznych, przyprawiających o mdłości szczegółów. Wypytywał Jabeza o wszystko, chciał wiedzieć, w co pan Gallery był ubrany, czy jego twarz wydała się odmieniona, w jakim języku mówił.

– W żadnym z języków, które potrafilibyśmy rozpoznać.

– Jabez, to ty go pochowałeś?

– Razem z Callumem. Wykopaliśmy dół daleko stąd, aż za Sadržawką Czarnucha Ralpa, żeby nikt nie musiał na niego patrzeć. Nie oznaczyliśmy grobu żadnym kijem ani kamieniem.

Lizzie powiedziała, Więc teraz błąka się po całym bożym świecie, szukając swojego grobu, ot co.

– Cicho, Lizzie, szepnął Callum, który uważał, że samo mówienie o Gallerym mogło sprowadzić jakieś nieszczęście i wolałby, żeby cała rozmowa odbywała się u kogoś innego w domu. Nachylił się do małej Mary Trypheny, którą trzymał na kolanach, zaczął jej nucić na ucho jakąś piosenkę, jakby to mogło ochronić dziecko przed wypowiedzanymi przez rozmówców słowami.

– Pani zapewne ma swoją opinię na ten temat? kapłan zwrócił się do Wdowy po Devinie.

– Myślę, że on chce czegoś od tej kobiety i nikt inny, żywy czy umarły, nie jest w stanie mu tego dać.

– Wie ojciec, co na to poradzić? spytała Lizzie.

– Umarli bardziej przypominają śmiertelników, niż nam się wydaje, odparł. – Na każdego działa inna przynęta.

Nazajutrz wczesnym rankiem kapłan wybrał się do domu w zagajniku. Pani Gallery nie wstała nawet od stołu i po prostu krzyknęła, żeby wszedł do środka. Jej mąż jak zwykle siedział na krześle przy kominku

i kulił się możliwie najbliżej płomieni, jakby zmagał się z podmuchami przeciwnego wiatru.

– Jest wiecznie zmarznięty, powiedziała pani Gallery. – Czasem mi się zdaje, że zaraz usadzi tyłek na samym środku paleniska, żeby się rozgrzać.

– Czekaj już na niego miejsce, gdzie będzie miał ognia pod dostatkiem, oznajmił ojciec Phelan. – Czy w ogóle się do pani odzywa?

– Gada tylko do siebie. Nie rozumiem z tego ani słowa.

Kapłan usiadł przy stole i przez chwilę przyglądał się im obojgu. Trudno było powiedzieć, które z nich wyglądało na bardziej samotne i zapomniane.

– Jak pani sądzi, pani Gallery, po co tu przyszedł?

Uderzyła ręką w stół tak mocno, że nawet zjawa podskoczyła na swoim krześle przy kominku. – Czy to przypadkiem nie ojca robota, żeby mi to wyjaśnić?

Uśmiechnął się do niej. – Po prostu nie chcę powtarzać tego, co sama pani dobrze wie.

– Nie wybaczę mu, powiedziała. – Niech się smaży w piekle, ja mu nie wybaczę!

Kapłan podszedł do postaci skulonej przy kominku i przykucnął, by spojrzeć jej w twarz. – Chciałby się pan wypowiedzieć, panie Gallery? spytał, lecz z ust zjawy płynęły jedynie słowa niezrozumiałego monologu.

– Nie szuka przebaczenia, zawyrokował ojciec Phelan.

– A więc czego?

– Pani Gallery, pani mąż najwyraźniej uważa, iż sama pani dobrze wie, czego.

Gzili się na klepisku w pobliżu kominka, pani Gallery ze spódnicą podciągniętą na biodra, ojciec Phelan rozchełstany, ze spodniami spuszczoneymi do kostek. Zmarły mąż zwrócił zastygłą w napięciu twarz ku powale i kopał w ruszt wiszący nad paleniskiem, próbując zagłuszyć

wydawane przez nich zwierzęce dźwięki, a żeliwo podzwaniało nad nimi niczym kościelny dzwon.

– Myślałam, że wrócił, żeby mnie zabić, powiedziała Virtue, gdy było po wszystkim. – Że chce załatwić swoje niedokończone sprawy.

– Nie przyszedł tu, żeby zadawać ból komukolwiek poza sobą samym, oznajmił ojciec Phelan, przyglądając się Virtue wyglądającej spódnice jakby nigdy nic, tak, jakby rozkładała na stole obrus przed obiadem. – Pani Gallery, całkiem możliwe, że chodzi mu o dość długą pokutę.

– Nie zwywają mnie obecnie żadne inne nagłace obowiązki, odparła.

Każdego ranka ojciec Phelan odwiedzał dom w zagajniku i wprowadzał Virtue w tajniki najbardziej zdrożnych i wyuzdanych cielesnych uciech, jakie poznał przez długie lata rozpusty. A wszystko to na oczach udręczonego ducha jej męża. Virtue usiadła na fiucie Phelana i sięgnęła do tyłu, by położyć rękę na jego jajach. – Nazywał ojca lubieżnym katolskim klechą.

– O, słodki Jezu, szepnął Phelan.

– Mówił, że obetnie ojcu jaja, jeśli ośmieli się ojciec mnie tknąć.

– O, Chryste, dopomóż nam.

Czasami duch zdawał się ronić łzy, były jednak równie czarne, co sadza pokrywająca jego twarz.

Nikt nie był wtajemniczony w szczegóły poczynań ojca Phelana w domu w zagajniku, chociaż nieraz spekulowano na temat rytuałów odprawianych przez niego w celu uwolnienia pani Gallery od krzyża, jakim stał się jej mąż. Ojciec Phelan był tym razem bardzo powściągliwy w słowach, co zdawało się do niego całkiem niepodobne, a co więcej, został na wybrzeżu dłużej niż to miał w zwyczaju. Po dwóch miesiącach oddawania się najobrzydliwszym zberezeństwom na oczach pana Gallery'ego, ojciec Phelan spytał go ponownie, czy nie zechciałby się wypowiedzieć, jednak zjawia dalej mamrotała coś do siebie. – Uparty jest

jak diabli, powiedział do Virtue. – To może trwać latami.

– Ufam, iż nie uchyli się ojciec od swoich duszpasterskich obowiązków.

– Jestem pokornym sługą Pana, odparł. Na odchodnym przystanął w drzwiach. – Trudno winić pani męża za to, że chciał mieć panią tylko dla siebie.

– Miał mnie tylko dla siebie, odparła.

Od tamtej wizyty kapłan zatrzymywał się w chacie w zagajniku za każdym razem, gdy odwiedzał wybrzeże. Nikt nie miał już wątpliwości, że z panią Gallery łączy go jakiś potajemny związek. Nigdy nie widziano ich razem poza domem, jednak dla Mary Trypheny oraz dla każdego dziecka, które przyszło po niej na świat, pani Gallery zawsze była „babą księdza”. Pan Gallery zajął natomiast należne miejsce w zatłoczonych zaświatach, które dzieci poznawały równie dobrze, co własny świat, w krainie pełnej miłosnych uroków, zaklęć na kurzajki, opowiadań o wrózkach i *oldhollies* – głosach topielców nawołujących w sztormowe noce z wód oceanu. Dzieci, dziedziczące po rodzicach niechęć do domu w zagajniku, czasem przebiegały koło nędznej kępy drzew, dokuczając panu Gallery’emu, zakładały się między sobą o to, kto podejdzie dość blisko chaty, żeby dotknąć drzwi. Zjawia, bytująca gdzieś na obrzeżach ich życia, zdawała się równie prastara i niezmienna, co sam ocean. Jeszcze wiele pokoleń po tym, jak widziano go tu po raz ostatni, Gallery nadal czyhał w najciemniejszych zakamarkach snów wszystkich mieszkańców wybrzeża.

Mary Tryphena urodziła dziecko Judy, dokładnie tak, jak Wdowa zapowiedziała Selinie. Gdy kobiety rozmawiały, nie istniały jeszcze żadne dowody mogące uwiarygodnić to stwierdzenie, a Mary Tryphenie zdawało się, że samo głębokie przekonanie staruszki wprawia świat w ruch, tak jakby rzecz raz przez nią wypowiedziana musiała stać się prawdą.

– Poślubisz Judę, powiedziała wdowa, i dzięki temu zostanie z nami.

Tylko Lizzie miała dość odwagi, żeby przeciwstawić się starej wiedźmie, jednak w chwili, gdy zastąpiła drogę weselnikom próbującym wyjść z chaty, padła na ziemię, powalona przez jeden ze swoich ataków. W drodze przez Tolt Wdowa po Devinie spytała dziewczynę, czy widziała kiedyś, jak barany pokrywają owce albo jak psy wchodzą od tyłu na suki. Mary Tryphena przytaknęła niepewnie. – Mąż i żona, wdowa oznajmiła enigmatycznie.

Juda pomógł im się wdrapać do swojej celi na brzegu przez otwór w podłodze, a w czasie zaślubin przytakiwał skinieniem głowy za każdym razem, gdy kapłan zadał mu jakieś pytanie. Kiedy zostali wreszcie sami, Juda wydawał się jednak równie zagubiony, co Mary Tryphena.

– Właśnie się pobraliśmy, powiedziała. – Wiesz, co to znaczy? Mężczyzna cuchnął tak samo jak zawsze, jednak w śmierdzącym rybami magazynie jego zapach zdawał się mniej miazdzący. W końcu Mary Tryphena odwróciła się do niego plecami, uklękła i podciągnęła spódnicę do pasa, odsłaniając przed nim goły tyłek. Juda nadal siedział nieruchomo, popatrzyła więc za siebie. – Juda, szepnęła.

Był przykuty za kostkę do podłogi, ale zdołał jakoś przysunąć się do niej. Odchylił się w bok, żeby zgasić świeczkę. Ma fujarkę wielkości

ślimaka, ojciec Mary Trypheny śmiał się czasem z Judy, sama zresztą pamiętała, jak przed laty, gdy leżał nagi na plaży, Wdowa po Devinie trąciła nożem malutką, siną główkę jego ptaszka. Teraz po omacku szukała tam czegoś z tyłu i, o ile się nie myliła, nic jeszcze nie znalazła. Sięgnęła za siebie i zacisnęła dłoń na czymś, co, jak sądziła, musiało być jego nadgarstkiem.

Krowy Królowki pobudziły się przez hałas niosący się od nabrzeża i kopały w swoje zagrody, mucząc żałośnie, dopóki dźwięki nie ucichły. Wartownik stojący przed magazynem odskoczył od drzwi i przygotował muszkiet do strzału, gotów drogo sprzedać swoją skórę. Ojciec Phelan wtulił się w szyję pani Gallery, nasłuchując odgłosów, które wciąż narastały, cichły, narastały. – Z tego, co słyszę, wygląda na to, że Callum musiał się mylić co do rozmiarów oręza Judy, szepnął.

Pani Gallery opędziła się od niego. – Jesteś nie lepszy niż jakiś stary stręczyciel, powiedziała.

Później sprawy potoczyły się mniej więcej tak, jak to przewidziała Wdowa po Devinie. W Domu Seliny wszystkie machinacje odbyły się za zamkniętymi drzwiami, ludzie mogli więc tylko zgadywać, po jakie argumenty, groźby i obietnice sięgali w swoich dyskusjach Królowka z żoną; jakie zobowiązania i ilości pieniędzy stały się wreszcie przedmiotem wymiany między Sellersem a porucznikiem Goudiem. Niebawem Królowka zwołał sąd na rozprawę, podczas której oczyszczono Judę z zarzutu morderstwa ze względu na niedostateczny materiał dowodowy oraz uznano go za winnego kradzieży na podstawie zeznań kapitana Johna Withycombe'a. Zasądzono grzywnę w wysokości piętnastu funtów szterlingów i natychmiast po rozprawie odprowadzono winnego na pręgierz, gdzie wymierzono mu trzydzieści batów. Wdowa po Devinie nasączyła prześcieradła octem i przykryła nimi pręgi na plecach Judy, który przez najbliższe sześć tygodni musiał spać na brzuchu.

W końcu lata, gdy Callum ukończył budowę nowego domu, Juda wprowadził się do ich starej chaty; jednak Mary Tryphena przeniosła się z dzieckiem do rodziców. Juda najwyraźniej wcale nie oczekiwał, że żona zechce dzielić z nim łożę czy chociażby wspólny dach, natomiast bardzo dobrze zdawał sobie sprawę, że Patrick jest jego synem; świata poza chłopakiem nie widział.

Mary Tryphena starała się w miarę możliwości ignorować męża. Dręczyła ją myśl, że całe wybrzeże wiedziało, co dokonało się tamtej nocy w magazynie, że równie dobrze mogłaby podciągnąć przed Judą spódnicę w biały dzień, na środku Wygonu. Poprzysięgła sobie wtedy, że nigdy więcej tego nie zrobi i odtąd rzadko upadała w swoim postanowieniu. Raz czy dwa razy do roku, gdy żądza brała górę nad rozsądkiem, w środku nocy wymykała się z domu rodziców i wywoływała Judę na dwór, gdzie jego smród nie był tak przytłaczający. Gdy było po wszystkim, skradała się do swojego pokoju jak złodziej, zalana ciężką mieszaniną ulgi i poczucia winy, wciąż czując w sobie puls tej prymitywnej, zwierzęcej rozkoszy. To był ostatni raz, mówiła sobie za każdym razem. Naprawdę ostatni raz.



Kiedy mały Patrick Devine miał pięć lat, ojciec Phelan ogłosił zamiar wybudowania na wybrzeżu katolickiej świątyni. To będzie katedra, mówił, która przyćmi skromną, protestancką kaplicę.

Podjęcie ogromu pracy, jakiego wymagało to przedsięwzięcie, byłoby tak niezgodne z charakterem ojca Phelana, że nikt nie traktował go poważnie. Biskup z St. John's konsekwentnie rąbał kraj na kolejne parafie obejmowane przez nowo mianowanych proboszczów, podczas gdy pozostawione wędrownym kapłanom obszary, w tym terytorium ojca

Phelana, małały w oczach. Ludzie mówili, że kapłan po prostu znudził się siedzeniem tak długo w jednym miejscu, a cała budowa kościoła to tylko czcza gadanina.

Phelan przesiadywał całymi godzinami w towarzystwie najlepszych szkutników i cieśli na wybrzeżu, dyskutując o nawach, łukach, więźbach, belkach, oknach. Postanowił ulokować kościół na działce znajdującej się na szczycie Toltu. – Dmie tam taki wichur, ostrzegął go Callum Devine, że mógłby obedrzeć krowę ze skóry. Katolików było mniej więcej tyle samo w Paradise Deep, co w Trzewiu, Phelan uparł się więc, że jego świątynia stanie dokładnie pomiędzy dwiema osadami.

We wrześniu katolicy wraz z Jabezem Trimem i paroma innymi protestantami wzniesli szkielet konstrukcji. Gdy tylko zakończyli jego budowę, tego samego wieczora odprawiono mszę pośród rysujących się dopiero ścian. Jeszcze zanim zdążyli pokryć dach czy wstawić do środka choć jedną ławę, cała budowla zawałiła się od podmuchu wiatru.

– To tak jak w Księdze Hioba, Jabez podzielił się swoimi przemyśleniami z ojcem Phelanem. – Bóg nas doświadcz, wystawia nas na próbę.

– Bóg jest nędznym draniem, oznajmił kapłan.

Phelan zorganizował brygady, które przez całą zimę ścinały świeże drewno na odbudowę kościoła, Calluma z Judą i młodym Łazarzem, Woundych, wszystkich od Saula Touchera. Na wiosnę potarli drewno i wciągnęli je na Tolt z zamiarem odbudowania kościoła na poprzednich fundamentach. Wzniesli ściany grube jak w twierdzy, budynek zakotwiczyli w czterech narożnikach za pomocą odciągów z okrętowych lin, zabezpieczając się na wypadek, gdyby Bóg znowu zechciał ich doświadczyc. Poręcze przy ołtarzu zostały wykonane z balustrad odzyskanych z portugalskiego wraku. Na szczycie wieży umocowano żelazny krzyż wykuty w kuźni Królówki. Nowy kościół zdążył posłużyć

katolikom przez jakieś dwa miesiące, zanim stanął w płomieniach od uderzenia pioruna. Do pożaru zbiegli się wszyscy mieszkańcy wybrzeża, nawet cień pana Gallery’ego błąkał się gdzieś na skraju piekła, które rozpętało się na Tolcie.

Płomienie co prawda uniemożliwiły wejście do kościoła przez główne drzwi, jednak boczne drzwiczki prowadzące na zakrystię stały otworem. Gdy Callum Devine ruszył w ich stronę, dostrzegł w znajdującym się najbliżej ołtarza oknie podświetloną przez płomienie sylwetkę mężczyzny, bezskutecznie próbującego wybić szybę. Callum rozbił okno i wyciągnął przez nie ojca Phelana. Kapłan się dusił, zbierało się mu na wymioty, włosy i brwi miał spalone. – Próbowałem uratować Przenajświętszy Sakrament, szepnął. – Z ołtarza.

Tłum kłębił się wokół kościoła, patrząc bezradnie na dach walący się do środka, na potężne ściany, z których już niebawem zostać miały tylko pnie sterczące z ziemi. Piorun uderzył również w stado owiec pasących się na Wygonie. Pięć poparzonych, spuchniętych zwierząt leżało nieopodal na trawie, a smród spalonego mięsa przydawał całej scenie cierpkiego, apokaliptycznego posmaku.

Po nocnej nawałnicy nastał piękny dzień, niebo miało kolor wyblakłego błękitu. Łazarz z Judą wsiedli do łodzi i wypłynęli na łowiska wbrew przestrogom Wdowy po Devinie, która uważała, że kuszą los, schodząc na wodę zaraz po pojawieniu się tak złego znaku. Callum nie próbował ich od tego odwozić, sam jednak pozostał w domu, czekając na ich powrót przy kuchennym stole, razem z kobietami. Rozmawiali szeptem, jakby siedzieli na stypie po pogrzebie dziecka.

Mary Tryphena przyglądała się synkowi przysypiającemu na kolanach Calluma. Dziadek rozczesywał palcami włosy chłopca. Twarz Patricka nie zmieniła się od dnia jego narodzin, a już wtedy miała w sobie coś niepokojąco dojrzałego. Gdy Wdowa po Devinie oplukała go z krwi,

okazało się, że skórę ma niemal równie bladą co Juda, a jego rzęsy i loczek na czubku głowy są siwe jak sierść białych królików. Gdy wdowa złożyła dziecko w ramionach matki, Mary Tryphena przytuliła je i przytknęła nos do jego szyi. Poczua ulgę, stwierdziwszy, że chłopiec roztacza tylko i wyłącznie zapach nowego życia.

Callum popatrzył za okno, by ocenić porę dnia po położeniu słońca. – Wróć lada chwila. *Now the once*, powiedział. Postawił Patricka na podłodze i wstał z krzesła. – Przyślę po was chłopaka, kiedy wyładujemy ryby, powiedział do kobiet. Gdy chłopiec przechodził obok Mary Trypheny, poczuła bijący od niego smrodek Judy. Wcześniej, gdy zabroniła mu płynąć z ojcem na łowisko, protestujący wściekle chłopiec zaczął wydzielać odór niczym kałamarnica atrament.

W kilka dni po narodzinach syna Mary Tryphena odkryła, że chłopiec zaczyna roztaczać wściekły, kwaśny smród za każdym razem, gdy płacze, jest solidnie przestraszony lub ogarnięty dziecięcą złością. Gdy był wzburzony, znosiła jego obecność z najwyższym trudem. Jego przypadłość sprawiła, że Mary Tryphena poczuła się oszukana, pozbawiona czegoś ważnego. Kiedy chłopiec szukał pocieszenia, szedł po nie do Judy lub Łazarza. Dziecko i matkę dzielił dystans, który wydawał się jej nienaturalny, jakiś ukryty nurt na podobieństwo smutku.

– Po prostu nie do wiary, powiedziała Lizzie, spoglądając na zgłiszcza kościoła wciąż dymiące na Tolcie. Wdowa po Devinie stwierdziła, że teraz nawet ojciec Phelana będzie musiał uznać pożar za znak od Boga, jednak Lizzie pokręciła głową. – Bóg już dawno przestał mówić do takich jak my, powiedziała.

Kościół wciąż płonął, kiedy ojca Phelana odniesiono do domu w zagajniku, gdzie pani Gallery rozebrała go, obmyła i ułożyła w łóżku. Wczesnym popołudniem położyła się obok niego. Tym razem byli wobec siebie nadzwyczaj delikatni i cierpliwi. Spędzili w łóżku resztę dnia i

całą noc, nad ranem kilkakrotnie budząc się, aby podjąć na nowo to, co wcześniej przerwali i po chwili pogrążyć się znowu w lepkich oparach snu. Następnego dnia ojciec Phelan wstał pierwszy, a kiedy pani Gallery do niego dołączyła, czekał już przy stole z gotowym śniadaniem. Zerknęła na niego podejrzliwie znad talerza. – Chyba nie zamierza się ojciec we mnie zakochać?

– Ależ pani Gallery, odparł, zostałem poślubiony Kościołowi.

Uśmiechnęła się przelotnie, jednak nasunęła się jej myśl o pożarze.

Spytała, Nie sądzi ojciec, że to mogła być jakaś wiadomość?

– Jaka wiadomość?

– Być może miejsce Kościoła nie jest na Tolcie.

– Nawet Chrystusa zaparto się aż trzy razy, odparł.

Po śniadaniu ojciec pomaszerował do wychodka. Gdy tam siedział, odcięty od całego świata, poczuł niezwykły spokój. Zawsze uważał wygodki za miejsca święte, zapewniające schronienie przed wszystkim, co nie należy do najbardziej podstawowych potrzeb człowieka. W nowicjacie wywołał wśród przełożonych skandal, twierdząc, że to nie świątynie, lecz sracze są najbardziej bożym miejscem na świecie, że gryzące wyziewy latryny sprzyjają medytacji nie mniej niż zapach kadzidła, że światło sączące się przez wycięty w drzwiach wąski sierp księżycy przydaje wychodkowi atmosfery klasztornej celi. Teraz zaśmiał się na tę myśl. Był już prawie staruszkciem, a z każdym kolejnym rokiem stawał się coraz bardziej niepoważny.

Bóg nie przemawiał do nikogo wprost, tego Phelan był pewien. Bóg był rozproszony w całym świecie, a Jego Słowo stanowiło łamigłówkę, którą należało rozwiązywać na podstawie poszlak i wskazówek. Ojciec siedział w wygodce dużo dłużej, niż to było konieczne, rozważając pytania zadane przez panią Gallery. To myśl o utracie terytorium sprawiła, że chciał zbudować świątynię na Tolcie, że próbował zagarnąć chociaż

tę garstkę wiernych, przynajmniej ten ostatni odcinek wybrzeża, jaki mu jeszcze pozostał. To była próżność w najczystszej postaci: próbować utrzymać coś, co się kocha, odrobinę dłużej niż chciałby tego Bóg. Ojciec Phelan sam dobrze wiedział, że zawsze był próżnym człowiekiem.

Wrócił do zagajnika i stał tam przez jakiś czas, wpatrując się w brzegi usiane pomostami, stojakami do suszenia ryb, pochylniami, warsztatami, magazynami i sieciarniami. Odłogiem leżało tylko sto stóp linii brzegowej, zarezerwowane przez Królowkę Sellersa, a powyżej widniała łąka porośnięta rozwichrzoną, nieskoszoną trawą. Sellers, któremu jak na razie w zupełności wystarczała ekspansja polegająca na zajmowaniu własności dłużników, nie pozwalał nikomu zagospodarować pustej działki, chociaż ta, w świetle prawa, nadał była właściwie ogólnie dostępna. Z tego skrawka gruntu rozciągał się widok na całą przystań. Łąka przypominała raczej śmierdzącą stertę rybich ości, dorszy żartych przez robaki, połamanych drzewców od osęk czy kawałków drewna zbyt zbutwiałych, by mogły posłużyć za opał. Bielejące kości wieloryba Judy Devine'a sterczały nieopodal niczym szkielet rozbitego statku. Taka główniana kupa śmiecia, leżąca na samym końcu zatoki.

Kapłan wspiął się na Tolt, gdzie żalosna garstka ratowników przeczesywała ruiny w poszukiwaniu gwoździ nadających się do ponownego użytku. Ojciec Phelan przywołał Judę i Calluma do prezbiterium, gdzie wspólnymi siłami spod spopielałych belek i gontów wydobyli pozostałości ołtarza. W tabernakulum znaleźli puszkę z Najświętszym Sakramentem, pojemnik był nienaruszony, a hostie wciąż białe jak twarz Judy.

– Callum, pojąłem, że kroczyłem drogą występnych, oznajmił kapłan.

– Skończy ojciec z pićciem?

– Po moim trupie. Zwołaj mi tu wszystkich, powiedział, po czym zaczął się modlić po łacinie. Poszukiwacze schodzili się do niego poprzez

poczerniałe szczątki nawy, aby przyjąć ostatnią eucharystię, jakiej kiedykolwiek udzielono na Tolcie.



Z końcem lata na wybrzeżu pojawiły się jeszcze dwie osoby, których przybycie, w połączeniu z pożarem rzymskokatolickiego kościoła, sprawiło, że był to najbardziej pamiętny sezon od wielu lat.

W połowie sierpnia Ann Hope przyплыnęła z Poole, aby poślubić Absaloma Sellersa. Para poznała się w czasach, gdy Absalom odbywał praktyki w kancelariach kompanii Spurrierów w Anglii. Po powrocie do Paradise Deep utrzymywał z nią kontakt korespondencyjny; jej listy pękały w szwach od książek, teatru i polityki. Dziewczyna, o pięć lat starsza od Absaloma, była siostrą kolegi, również odbywającego praktykę u Spurrierów. Poznali się wkrótce po jej powrocie z osiemnastomiesięcznej podróży po kontynencie. – Spodziewam się, że zostanę starą panną, wyznała w pierwszej rozmowie. – Mam zbyt niewyszukaną urodę i jestem zbyt inteligentna, by móc liczyć na gwarantowane zamążpójście.

To ten nos, pomyślał, sprawia, że trudno patrzeć na jej twarz. Świdrujące oczka były rozstawione szeroko po obu stronach tego imponującego szczytu, co przydawało jej nieprzeciętnemu intelektowi niezasłużonych pozorów przebiegłości. Ich przyjaźń była zakorzeniona w głębokim przekonaniu Absaloma, że Ann nie oczekuje nic więcej. Była zresztą jedyną kobietą, która z miejsca nie zdegradowała go do roli nieporadnego jąkały.

Jej listy stanowiły dla Absaloma jedyne okno na ten wycinek cywilizowanego świata, który zdążył przelotnie poznać. Przepelnili go głęboką tęsknotą, którą omyłkowo wziął za miłość. Oświadczył się

Ann w liście nadanym na jesieni. Z pierwszym tej wiosny statkiem odesłała odpowiedź, w której informowała go o przyjęciu oświadczyn oraz opisywała plany jak najrychlejszego opuszczenia Anglii, jednak list zaginął po drodze.

Z tak długiego milczenia wybranki Absalom wywnioskował, że najwyraźniej poczuła się dotknięta jego propozycją. Z upływem letnich dni, przemijających bez żadnych wieści od Ann, zaczął odczuwać nawet lekką ulgę, że oświadczyzny zostały odrzucone. Nikt w Paradise Deep nie miał pojęcia o jej planowanym przybyciu, dopóki nie zeszała na pomost i nie poprosiła, by zaprowadzono ją do Domu Seliny. – Gdzie mają wstawić moje kufry? spytała Absaloma.

Królówka z miejsca zapałał do niej niechęcią. – Nie wygląda mi na kobietę, która zamierzałaby zostać matką, oznajmił żonie, jednak Selina nie dała mu więcej powiedzieć ani jednego złego słowa na jej temat. Nadchodzące wesele zapowiadało się na największe wydarzenie na wybrzeżu od czasu poświęcenia episkopalnego kościoła, chociaż wszystkimi kwestiami związanymi z jego organizacją zajmowała się tylko i wyłącznie Selina. W tydzień po przybyciu Ann Hope zaczęła naprzykrzać się Królówce z prośbami o wyznaczenie pomieszczenia, które mogłaby zaadaptować na szkołę. Rozmawiała z Barnabym Shamblerem, Jabezem Trimem, Callumem Deyinem i tuzinem innych gospodarzy zamieszkałych po obu stronach Toltu, nakłaniając ich do składania datków na pokrycie kosztów niezbędnego wyposażenia. – Widzisz, powiedziała Selina do męża, jak wiele znaczą dla niej dzieci.

– To kombinatorka, oznajmił Królówka. – Nie znajdziesz w niej za grosz macierzyńskich skłonności.

– W Harbour Grace mają szkołę, zauważyła Selina. – W St. John's i w Bonavista również.

Królówka zawsze patrzył na żonę z nowym szacunkiem, gdy

wykazywała się talentem do politycznych manewrów. Szarża kawalerii czy subtelna manipulacja, topór czy brzytwa, wszystko to, włącznie z rozwiązaniami pośrednimi, mieściło się w wachlarzu jej sztuczek. Jej zdolności wprawiały Królowkę w mimowolny podziw. A więc szkoła – nawet, gdyby musiał sam sfinansować całą tę zabawę. Przytaknął gniewnie, przyznając się do porażki.

We wrześniu, na kilka dni przed planowanym ślubem, na wybrzeże przybył ksiądz Cunico wyposażony w listy wikariusza apostolskiego z St. John's, na mocy których został mianowany proboszczem parafii Paradise. Cunico został przysłany do Paradise Deep z poleceniem zwalczania szerzącego się tu ekumenizmu, który groził zaniknięciem wiary katolickiej na wybrzeżu. W pierwszym oficjalnym ogłoszeniu zabronił wiernym uczestnictwa w uroczystości zaślubin mającej odbyć się w protestanckim kościele. Włoski kapłan chodził od drzwi do drzwi, prezentując swe listy uwierzytelniające i informując wszystkich o wydanym zakazie. Nie znał ani słowa po irlandzku, a po angielsku mówił z tak mocnym akcentem, że ludzie udawali, że nie rozumieją, o co mu chodzi. Phelan uznał nowego księdza za niedołęgę, fanatyka i bezwstydnego wazeliniarza, którego największą ambicją było zapewne wspięcie się na stanowisko nadwornego podcieracza zadka Jego Świątobliwości Papieża. – Nie zabawi tu dość długo, żeby zdążyć się ogolić, zapowiedział ojciec Phelan.

Jedynym sprzymierzeńcem księdza Cunico na wybrzeżu był wielbny Dodge, który znalazł mu kwaterę, karmił go i w miarę możliwości wspierał radę. Nalegał, by Włoch zwrócił szczególną uwagę na tych od wdowy, Cunico spędził więc cały wieczór w kuchni Calluma Devine'a, próbując przywrócić rodzinę na łono prawdziwego Kościoła. Wręczył swoje listy Lizzie, która odczytała je na głos wszystkim zebranym w izbie. Ponieważ Lizzie nie przeszła na katolicyzm przed ślubem, Cunico, podobnie jak wcześniej Dodge, zakwestionował wiążącą moc jej małżeństwa z

Callumem oraz dodał, że sprowadzili w ten sposób hańbę na swoje dzieci, jak również na dzieci ich dzieci. Pomiędzy Łazarzem i Callumem doszło do szybkiej wymiany zdań po irlandzku, Włoch zastukał więc laską w podłogę, próbując ich uciszyć. Zanim przybył na wybrzeże, ostrzegano go, że może spodziewać się obojętności, a nawet bezczelności – postanowił zdusić je zatem w zarodku. – Ukrywacie przede mną swoje myśli? spytał.

– Proszę księdza o wybaczenie, powiedział Callum.

Cunico przyjrzał się Michaelowi Devine, małemu Łazarzowi, który miał zaledwie trzynaście lat, a już przerósł ojca. – A ty? spytał ksiądz.

Łazarz zwrócił się do ojca i znowu powiedział coś po irlandzku. Callum uderzył go otwartą dłonią tak mocno, że chłopak spadł z krzesła. Łazarz podniósł się z podłogi z uśmiechem. Teatralnie przyklęknął przed Włochem z wypisanym na twarzy wyrazem udawanego szacunku, bez wątpienia odziedziczonym po babce. Gdy opuścił izbę, wyszła za nim również Lizzie, a w ślad za nią Mary Tryphena z dziwnym, sinym dzieckiem, które trzymała na kolanach.

Cunico wstał z krzesła, by popatrzeć na Calluma i wdowę z góry. – Bóg chciał, by mężczyzna był głową swego domostwa, oznajmił, tak jak Chrystus jest głową Kościoła.

Kiedy wyszedł, Wdowa po Devinie powiedziała, Callum, przysłał go tutaj sam arcybiskup.

– Nie znam tego twojego arcybiskupa, odparł Callum, po czym wyszedł z domu i ruszył na brzeg, chcąc spędzić trochę czasu w samotności. W magazynie otworzył drzwi od strony wody i usiadł w nich, wpatrując się w spokojną toń zatoki i rozstawione wzdłuż brzegu szerokie, płaskie stojaki, na których suszyły się dorsze złowione tego lata. Jego ręka wciąż pulsowała od ciosu wymierzonego synowi. Gdy tam siedział, nagle ogarnęła go przedziwna tęsknota za Eathną. Ledwo już pamiętał, jak wyglądała ta malutka, ruda dziewczynka, która wdrapywała mu się na

kolana i domagała się, by natychmiast poświęcił uwagę jakiejś dziecinnej tajemnicy. Zwykle sadzał ją na ziemię i wołał Lizzie, żeby ta zajęła czymś dziecko i pozwoliła mu spokojnie zszyć sieci albo wysłuchać do końca głupawą historyjkę ojca Phelana. A teraz nie było już ani dziewczynki, ani jej dziecinnych tajemnic.

Oto najlepsze podsumowanie, jak się to życie toczy, pomyślał. Nagle zaniósł się niepohamowanym płaczem, jego ciałem zawładnęła poszarpany, nieustępliwy szloch. Gdy Juda znalazł go zgiętego wpół, z rękami skrzyżowanymi na piersi, poszedł po Lizzie i w milczeniu zaprowadził ją nad wodę jak pies próbujący zwrócić czyjąś uwagę na to, że z panem coś jest nie w porządku. Callum, podobnie jak Juda, był niezdolny do wyjaśnienia jej, co się dzieje. W końcu stanęła przy mężu i czekała, aż się wypłacze, trzymając dłoń na jego zwieszanej głowie, na jego poczochranych włosach. Ukochany.

– Myślisz, że to wszystko był błąd? wykrztusił w końcu.

– Cichutko, Callum, szepnęła. – Cichutko.



Po południu w dniu ślubu Absaloma ksiądz Cunico stanął w swojej albie i ornacie na ścieżce prowadzącej do protestanckiego kościoła, tak jakby pilnował samych bram piekła, i zwracał wszystkich katolików do domu. James Woundy z Łazarzem i Judą prowadzącym za rękę Patricka przeszli obok księdza, nie zważając na jego ostrzeżenia i nawet nie skinąwszy głową na powitanie. Kapłan pogonił za nimi, wymachując swoją drewnianą laską i pokrzykując jak pomyłony banita. Gdy zbliżył się do Patricka za bardzo, jak na gust Judy, został po prostu odepchnięty przez milczącego mężczyznę.

Potraktowany w tak obcesowy sposób ksiądz wpadł w apoplektyczny szłał i zaczął wymachiwać swoją laską na oślep. Gdy Juda został trafiony w twarz i wypluł jeden z przednich zębów na trawę rosnącą przy ścieżce, trzech mężczyźni skoczyli na księdza i zawlekli go na nabrzeże, gdzie wrzucili go do lodowatej wody. W locie Cunico zdążył wysupłać się ze swoich świętych szat, które pozostały w ręku Łazarza Devine'a.

Jabez Trim i jeden z chłopaków Petera Flooda zdołali wyłowić księdza, zanim się utopił. Skandal położył się cieniem na całym weselu. Nie mówiło się o niczym innym, nikt nie dyskutował o sukni panny młodej, o wykwinnych potrawach wyłożonych na stołach czy o tym, ile pieniędzy wydano. Przed ceremonią Królówka poświęcił chwilę, aby zaprzysiąc pół tuzina konstabli i wysłać ich na poszukiwania sprawców.

Podczas przyjęcia weselnego Barnaby Shambler podzielił się z wielebnym Dodge'em spostrzeżeniem, że rzymscy katolicy to zgraja dzikusów, gotowa pożreć własne dzieci, gdyby pozwoliło się im robić, co dusza zapagnie. Dodge co prawda odparł, że Shambler ocenia bliźnich nie po chrześcijańsku, jednak w głębi serca sam podzielał tę opinię, i to nie tylko w odniesieniu do katolików, ale praktycznie do wszystkich mieszkańców wybrzeża. Chwilami odnosił wrażenie, że wszelkie resztki kultury zostały zdławione w rybakach przez skrajnie nieprzyjazny klimat, przez niewzruszone pustkowia, lasy i bagna. Przez surowy ocean. Dodge'owi nie podobała się elokwencja pani Ann Hope Sellers, tak nieprzystająca kobiecie, ten upór, by zawsze wyrazić swoją opinię, bez względu na temat. Pomyślał jednak, że szkoła, którą chciała założyć, mogłaby faktycznie dać wiele dobrego tej niestrudzonej cofającej się w rozwoju ludności.

Po kąpieli w zatoce ksiądz Cunico zaniemógł i przeleżał cały tydzień w gorączce, przykuty do łóżka. Opieką otoczyła go Wdowa po Devinie, regularnie układająca na jego piersi okłady z krowiego łajna. Juda, Łazarz

i James zostali pojmani przez konstabli Królówki i spędzili kilka nocy w tym samym magazynie, w którym został poczęty Patrick Devine, ostatecznie jednak zwolniono ich, gdy Cunico publicznie przebaczył im występki. Nikt nie wątpił, że zawdzięczają tę pobłażliwość interwencji wdowy przy łożu boleści kapłana, tajemnicą pozostały jednak koszty, jakie w tym targu poniosła staruszka. W połowie października Cunico popłynął do St. John's, twierdząc, że musi wrócić do pełni sił i spędzić nieco czasu w modlitewnym odosobnieniu, aby zaleczyć rany zadane mu przez parafię.

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o tego piecucha, oznajmił Phelan. Ojciec nadal snuł plany dotyczące budowy nowego kościoła i teraz w łóżku nakreślił swoje zamysły pani Gallery. Pokręciła głową, gdy usłyszała, że centralnym punktem jego nowego projektu ma być leżąca odlegość działka na brzegu zatoki.

– Królówka nikomu nie odstąpi tego terenu, powiedziała.

Phelan przez chwilę leżał w bezruchu. Nigdy nie rozmawiał z Sellersem, jeśli nie liczyć zebrania o żywność dla głodujących parafian. Kupiec okazywał wtedy skąpstwo i wyraźną niechęć do narzucanej przez księdza daniny. – Zgadza się, raczej nie odstąpi, przyznał. Mimo to spędził całą jesień i zimę ścinając i susząc drewno na budowę kościoła, pracując w lesie do późna z grupą dwudziestu pięciu mężczyzn.

W styczniu jednoizbowa szkoła Ann Hope Sellers otworzyła podwoje dla trzech tuzinów dzieci, które co rano przynosiły odrobinę drewna na opał i zajmowały swoje miejsca, aby uczyć się liter, dodawania, podstaw higieny oraz rymowanek, które następnie deklamowały chórem. Do nauki w szkole zgłosił się nawet James Woundy, chcący uniknąć wcielenia do leśnych brygad ojca Phelana. Co prawda Ann Hope miała z początku obiekcje co do jego udziału w zajęciach, porzuciła je jednak, gdy stwierdziła, iż męczyzna faktycznie jest na tyle ograniczony, że

kaligrafowanie liter na tabliczce i recytowanie dziecinnych wierszyków sprawia mu przyjemność. James uważał się za asystenta i pomagał jej ustawiać dzieci w rzędzie, kiedy zaczynały rozrabiać. Jeśli zdarzyło się, że musiała na chwilę wyjść ze szkoły, zostawiała całą klasę pod jego opieką – do dnia, gdy wszedłszy do klasy ujrzała szereg chłopców stojących ze spodniami spuszczoneymi do kostek. James Woundy mierzył ich łyse ptaszki drewnianą linijką, a dziewczęta skrupulatnie spisywały na tabliczkach odczytywane przez niego wartości. Tak skończyła się kariera naukowa Jamesa Woundy’ego. Linijka natomiast skończyła w kominku, ciśnięta w płomień przez Ann Hope, która nie potrafiła zdobyć się na ponowne użycie jej w szkole.

Surowe drewno przeznaczone na budowę kościoła musiało być ręcznie pocięte za pomocą pił, siekier i strugów, na wiosnę ojciec Phelan wysłał więc mężczyzn do pracy tak wcześnie, jak tylko pozwoliła na to pogoda. James Woundy zabawiał wszystkich, recytując dziecięce rymowanki obficie zaprawione licznymi obscenicznymi modyfikacjami. Były sobie głodne wszy i po chuju sobie szły. Król Karol kupił kurwie Karolinie korale koloru kurewskiego. Opowiadał w szczegółach o tym, jak to przed laty wyskoczył za burtę za syreną, jak wciągnął ją pod wodę i odkrył, że jej cipka jest zimna i wilgotna niczym marcowy poranek i jak potem przez cały tydzień sikał kawałkami lodu. James nie kiwnął nawet palcem przy robocie, dostarczał im jednak tyle rozrywki, że go tolerowali.

Przygotowane drewno zostało ułożone w zagajniku za domem pani Gallery, a ksiądz nakazał wszystkim katolikom, aby stawili się tam w Zielone Świątki przed pierwszym brzaskiem. W bladym świetle poranka zgromadzenie, liczące niemal stu mężczyzn, przeniosło na nadbrzeżną łękę deski i belki potrzebne do wzniesienia całego kościoła. Mary Tryphena wraz z Lizzie, Wdową po Devinie i garstką innych kobiet przyglądała się temu pochodowi ze szczytu Toltu. Z góry mężczyźni przypominali

zastęp mrówek maszerujących z patykami i świerkowymi igłami od jednego mrowiska do drugiego. Praca rozpoczęła się na dobre jeszcze zanim z któregoś z kominów na wybrzeżu zaczął unosić się dym; naróżne słupy konstrukcji zostały posadowione i połączone poziomymi belkami, pomiędzy którymi zamocowano legary mające podtrzymywać podłogę. Zanim Królówka zwęszył, że coś się święci, zanim zwołał swoich konstabli, zanim przybiegł na ich czele nad wodę, wzniesiono już szkielety ścian i prawie zakończono przytwierdzanie więźby do belek.

Kiedy kobiety dostrzegły zbliżającego się Królówkę, zeszyły z Toltu, aby stanąć u boku swoich mężczyzn. Dwie grupy spotkały się na plaży. Juda, Callum i Łazarz stanęli u boku kapłana razem z Danielem Woundym, Saulem Toucherem, jego trojaczkami i tuzinem innych mężczyzn, którzy akurat w tej chwili nie pracowali na dachu kościoła. Absalom, który przyszedł nad wodę w ślad za dziadkiem, powiódł wzrokiem po zaciętych twarzach mężczyzn stojących w szeregu naprzeciw. Wyglądali tak, jakby byli gotowi zatłuc każdego, kto odważy się pierwszy tknąć ojca Phelana.

Lizzie i Mary Tryphena również stały na przedzie grupy. Dwie burze czarnych włosów – w przypadku Lizzie z wplecionymi pasmami siwizny – dodające powagi dziecięcym twarzom. Wstrząs, którego Absalom doznał, gdy po raz pierwszy ujrzał odsłoniętą głowę Mary Trypheny, teraz ponownie dał o sobie znać. Jej włosy miały ten sam granatowoczarny połysk co pukiel, który pani Gallery ofiarowała mu po opuszczeniu Domu Seliny. Gdy nadarzyła się stosowna chwila, Jabez Trim wręczył mu na osobności zawiniątko z kwadratowego kawałka materiału. Odtąd Absalom przechowywał podarek pod poduszką i każdej nocy zasypiał, trzymając w dłoni pęk włosów. Przeczynał, że oto w tajemnicy ofiarowano mu własne życie, nie potrafił jednak dopatrzeć się jego znaczenia. Tamtego dnia, gdy przenieśli Judę z plaży do Domu Seliny, Mary Tryphena zbliżyła się do Absaloma z czepkiem w ręce i złapała go za skraj kurtki, a on spojrział

w dół i ujrzał jej czarne jak węgiel włosy. Pęk włosów. Pęk kluczy do tajemnicy. Nie pomylił się, gdy uznał, że jego losy mają być w jakiś sposób splątane z losami dziewczyny, jednak dziecinnie odczytał znaki na opak i zakochał się w niej tak, jakby to było zapisane w gwiazdach.

Absalom nadal nie potrafił oderwać od niej wzroku, od zawziętej twarzy, od ust, gotowych płuć na każdego, kto wystąpi przeciw jej mężczyznom. Królowka nakazał garstce konstabli, aby pojмали kapłana, ci jednak nie mieli zamiaru nadstawiać karku w tak ryzykownym przedsięwzięciu. Zwymyślawszy ich od tchórzy, ruszył naprzód sam, aby zaarrestować Phelana w pojedynkę, na jego drodze stanęła jednak Selina. Udało jej się namówić męża, aby dał za wygraną i uniknął rozlewu krwi. We dwójkę wycofali się z plaży. Powróciwszy do Domu Seliny, staruszek stanął w oknie i przyglądał się, jak rzymscy katolicy kryją swoją świątynię gontem, jak wypełniają szkielety ścian, jak wieszają na zawiasach dziwaczne drzwi z wyciętymi półksiężycami. – Każemy marynarce to zburzyć, oznajmił. – I aresztować co do jednego wszystkich, którzy spróbują się przeciwstawić.

Ann Hope powiedziała, Wątpię, czy to w jakikolwiek sposób poprawi sytuację.

Królowka odwrócił się od okna i spojrzał na nią wytrzeszczonymi oczami, nie odezwał się jednak ani słowem i po prostu wyszedł z pokoju.

Tego wieczora w nagim wnętrzu kościoła, oświetlonym lampami Ralph'a Stone'a, odbyła się msza święta odprawiona przez ojca Phelana odzianego w piękne szaty liturgiczne, stanowiące niegdyś własność włoskiego księdza. Gdy ojciec wrócił do domu w zagajniku, zastał panią Gallery siedzącą przy kominku u boku męża. Poszedł prosto do sypialni i stamtąd zawołał panią Gallery, ta jednak nie przekroczyła progu izby. Jej czarna sylwetka zarysowała się w drzwiach na tle blasku paleniska.

– Zginiesz przez tę całą głupotę, powiedziała. – A ja zostanę sama z

tym stworzeniem przesiadującym przy kominku.

– Chodź do łóżka, odparł. – Anioły będą nam zazdrościć.

Nie poruszyła się. Odczuwał ciężar jej spojrzenia; oceniała go. – Wiesz, nie różnisz się niczym od niego.

– Od kogo?

– Pana Gallery’ego, oznajmiła. – Myślisz tylko o sobie.

Ojciec zaklął pod nosem. Przyszedł tu zadowolony z siebie, ze wszystkich wydarzeń dnia, z tempa w jakim wzniesiono kościół, ze zwycięstwa katolików nad Sellersem i jego najemnikami, z pięknego sakramentu odprawionego pośród nagich, drewnianych ścian. Teraz chciał tylko ukoronować wszystko wieczorem spędzonym między nogami pani Gallery.

– Spraw, żeby się wyniósł, powiedziała. – Obiecuj mi, że pozbędziesz się go, zanim mnie opuścisz.

Przez chwilę obawiał się, że kobieta się rozpłacze, ale nie było już w niej łez. Z zaskoczeniem stwierdził, że jej głos drży z wściekłości, z gniewu niepomniejszonego ani trochę przez te wszystkie lata, wciąż równie czarnego i bezdennego jak jej ciemny kontur malujący się w drzwiach.

– Obiecuj mi, nalegała.

– W porządku, odparł. – Obiecuję. Jeśli przyjdiesz do łóżka.

Stała w drzwiach przez dłuższy czas; w pewnej chwili zaczął już myśleć, że odrzuci jego propozycję. W końcu jednak rozebrała się i położyła obok niego pod kocem.



W końcu czerwca ojciec Phelan wyruszył na swoją doroczną podróż

po archipelagu małych osad rozrzuconych po całym wybrzeżu, aby chrzczyć nowo narodzone dzieci, uświęcać małżeństwa zawarte pod jego nieobecność i odprawiać msze pogrzebowe nad grobami tych, którzy odeszli w ciągu zimy.

Pod jego nieobecność do Paradise Deep powrócił ksiądz Cunico. Pewnego bezchmurnego dnia wpłynął do zatoki na pokładzie długiego na czterdzieści stóp jachtu zbudowanego w St. John's na zamówienie arcybiskupa. Wikariusz apostołski spędził pierwsze tygodnie lata, odwiedzając parafie na półwyspie Avalon, a następnie odstawił księdza Cunico do Paradise Deep. Gdy obaj mężczyźni zeszli z pokładu słupek w cieniu parasolek podtrzymywanych przez członków załogi, przystanęli, aby przyjrzeć się nowemu kościołowi, jego pobielonym ścianom, porządnie wprawionym oknom, drewnianemu krzyżowi przymocowanemu na szczycie wieży.

– Zbudowali księdzu kościół, oznajmił arcybiskup. Po wybrzeżu rozniosła się wieść, że wikariusz apostołski przyплыł do Paradise Deep z włoskim księdzem, a nazajutrz rano mają odprawić mszę świętą. Kościół zapełnił się na godzinę przed rozpoczęciem mszy. Wikariusz, srogi Irlandczyk, wyglądający tak, jakby z zamięłowania stałe pościł, nie marnował nawet czasu na udzielanie wiernym reprimendy za to, jak potraktowali księdza Cunico. Po prostu odczytał jeszcze raz rozporządzenie o wyznaczeniu Włocha na proboszcza i opisał w szczegółach konsekwencje czekające tych, którzy mu się sprzeciwiają. Następnie pobłogosławił nową świątynię, udzielił zebrany komunii, a na ostatku, kiedy wszyscy już sądzili, że obrzędy dobiegły końca, otworzył Biblię i odczytał fragment *Listu do Galatów. Ale choćbyśmy my, albo Anioł z nieba opowiadał wam Ewangelię mimo tę, którąśmy wam opowiadali, niech będzie przeklęty.* Następnie wyliczył wszystkie wykroczenia przeciw Kościołowi, jakich dopuścił się ojciec Phelan –

herezje, nawoływanie do schizmy, pogłębianie konfliktów i sianie zamętu pośród wiernych, jak również jawne naruszanie sakramentalnej tajemnicy spowiedzi. Ksiądz Cunico zadzwonił mosiężnym dzwonkiem trzymany w ręce, a arcybiskup zamknął Ewangelię i zdmuchnął świecę stojącą na ołtarzu. W ten sposób ojciec Phelan został ekskomunikowany ze świętego Kościoła rzymskokatolickiego. *Vitandus*, oznajmił arcybiskup, po czym poinformował zebranych wiernych, że podobny los czeka każdego, kto sprzeciwi się woli Kościoła. W drodze powrotnej zatrzymywał się w każdej osadzie pomiędzy Paradise Deep a St. John's, aby powtórzyć rytuał wykluczenia.

W dwa tygodnie później, gdy ojciec Phelan wrócił do pani Gallery, kobieta przedstawiła mu w łóżku najnowsze wiadomości. – Co to znaczy: *Vitandus*?

– Wyklęty, odpowiedział. – Taki, którego należy się wystrzegać. Kapłan zamilkł na tak długo, że zdawało się jej, że zasnął. – Nie mów mi tylko, że ten włoski gnojek odprawiał mszę w moim kościele, powiedział w końcu.

Większą część następnego poranka spędził w wychodku, jednak nie przyniosło mu to najmniejszego ukojenia. Prosto stamtąd udał się do domu Calluma w Trzewiu, gdzie mężczyźni, powróciwszy już z pierwszą tego dnia łodzią pełną ryb, zasiadali właśnie do drugiego śniadania złożonego z chleba i herbaty. Kiedy wszedł do kuchni, wszyscy zamarli w bezruchu. Wodził wzrokiem od jednej twarzy do drugiej, jednak nikt nie spojrział mu prosto w oczy. Patrick wyskoczył ze spiżarni i ruszył w stronę kapłana, aby go powitać, jednak Mary Tryphena złapała chłopca za ramię i posadziła go sobie na kolanach. – Pokój temu domowi, powiedział ojciec Phelan, na co Wdowa po Devinie wstała i odwróciła się do niego plecami. Pozostali podnieśli się po kolei i zrobili to samo – Callum, Mary Tryphena i Daniel Woundy. Nawet Łazarz się odwrócił, gdy babka pociągnęła go za ramię.

Tylko Lizzie postawiła się starszce. – Najmocniej ojca przepraszam, szepnęła.

Kapłan skinął głową. – Pozdrów ode mnie rodzinę, powiedział.

Takie samo powitanie czekało go w każdym katolickim domu na wybrzeżu. Zabarykadowane drzwi i odwrócone twarze, jakby był trędotwym przemierzającym ulice starożytnego Jeruzalem. Setki ochrzczonych dzieci, tuziny związków uświęconych sakramentem małżeństwa, dziesiątki tysięcy odpuszczonych grzechów – i ani jednej osoby, która zechciałaby się chociaż przywitać. Nawet protestanci, których domostwa niegdyś błogosławił, nad których chorymi i konającymi niegdyś się modlił, teraz pozdrawiali go zaledwie zdawkowym skinieniem głowy, zażenowani kłopotliwą sytuacją, której przyczyn nie rozumieli.

Nie było dna udrękom. Miotał się za metą męki. Resztę dnia przesiedział przy kominku, u boku pana Gallery’ego.

– Co teraz zrobisz? spytała pani Gallery.

– To minie, odparł. – Wszystko przemija.

Na czekaniu zesłała mu reszta lata oraz większość zimy. W tym czasie ksiądz Cunico w najlepsze odprawiał msze i udzielał sakramentów w kościele zbudowanym przez ojca Phelana. Ojciec błąkał się po ścieżkach prowadzących do malutkich, zapomnianych osad rybackich, na próżno licząc, że wreszcie doczeka się od kogoś z wiernych chociaż lekkiego skinienia głową wieszczącego pojawienie się wywrotowych nastrojów. Pan Gallery chadzał za nim, trzymając się na dystans, a kapłan zaczynał coraz wyraźniej czuć, że niczym się od siebie nie różnią – obaj stanowili jedynie blade cienie rzucane z otchłani przeszłości przez ludzi, których już nie było. Ojciec Phelan i pani Gallery przestali otrzymywać od wiernych datki, z których dotąd się utrzymywali; teraz musieli żyć wyłącznie z jałmużny składanej przez protestantów. Kapłan czuł się przez to jak żebrak i czasami potrafił nawet przez kilka dni nie brać niczego

do ust, karmiąc się jedynie mocnymi trunkami i własnym cierpieniem. Stracił nawet swoje usposobienie i sypiał u boku pani Gallery w absolutnej czystości, jak jakiś święty.

W Boże Narodzenie udało mu się otrząsnąć z otępienia na tyle, że wystroił się w przedziwne łachmany kolędnika – na głowie jutowy woal, w pasie przewiązany kawałek sznura podtrzymujący wszystkie warstwy brudnych ubrań i starych szmat – i chodził od drzwi do drzwi przyjmując trunki i jedzenie w zamian za chwilę błazenady trwającej dopóty, dopóki gospodarze nie rozpoznali go i nie odwrócili się do niego plecami albo nie wyszli z izby. Nawet tak zawzięty apostata jak Saul Toucher nie chciał go przyjąć, kapłan poczłapał więc do domu w zagajniku i usiadł przy kominku w swoich parszywych szmatach, cały czas regularnie pociągając z butelki. Pani Gallery stanęła za nim i położyła mu rękę na ramieniu, ale opędził się od niej. – Nie możesz żyć w taki sposób, powiedziała.

– A zatem proszę pięknie o radę, cóż takiego mogę zrobić?

– Jest wielu ludzi, którzy wciąż żyją bez kapłana. Sam to nieraz mówisz.

– Może na jakichś krańcach świata, odparł. – Nawet sam Bóg nie pamięta już o ich istnieniu. – Rozpaczliwie pociągnął ogromny łyk z butelki. – Jestem za stary, żeby żyć jak banita.

– Nie mam zamiaru dłużej znosić was dwóch, nie w takim stanie, oznajmiła pani Gallery. – Słyszysz?

– Daj mi spokój, kobieto.

– Nie mam zamiaru tego dłużej znosić.

– No i co mi zrobisz, złapiesz mnie za ucho i mnie stąd wyrzucisz?

– Uważaj, żebyś tego nie zrobiła, powiedziała, po czym zostawiła kapłana z mężem przy kominku i położyła się do łóżka.

Po paru godzinach obudziło ją podzwanianie żelaza, jakieś opętańcze dzwonięcie na trwogę, którego źródło udało jej się zlokalizować dopiero

po chwili. Gdy przeszła boso do głównej izby, w nikłym świetle żarzących się węgla dostrzegła pana Gallery'ego, który kopał w hak wiszący nad paleniskiem, oraz ojca Phelana wiszącego pod sufitem na swoim pasku ze sznurka. Gdy weszła na krzesło i przecięła sznur, kapłan padł na zamrożnięte klepisko. Leżał tam, charcząc i płacząc, podczas gdy ona rozniecała ogień w kominku. Podstawiła mu krzesło i pomogła usiąść. – To nie zakończy się w ten sposób, powiedziała.

Kapłan pokręcił głową. – Daj mi spokój, powiedział błagalnym tonem.

Pani Gallery odwróciła się do męża i odezwała się do niego po raz pierwszy od czasu, gdy wpadł przez sufit do Domu Seliny.

– Na kolana, powiedziała. – Uklęknij, do cholery.

Phelan przyjrzał się kobiecie, a następnie popatrzył na bladą twarz klęczącej przy nim zjawy.

Powiedziała, Proszę ojca, pan Gallery chciałby się wypowiedzieć.

Kapłan skulił się tak, jakby złapał go nagły skurcz i zaczął kiwać się na krześle jak jakiś idiota, jęcząc z bezsilności. Pani Gallery złapała go za ucho i usadziła prosto. Otarł rękawem zasmarowaną twarz i przechylił głowę, próbując uwolnić ucho z jej dłoni.

– Proszę, powiedział. Złapał za poły swojego błazeńskiego stroju i zaczął potrząsać bezradnie łachmanami. – Błagam.

Pani Gallery wykręciła jego głowę tak, że był zmuszony spojrzeć jej w oczy.

– Niech ojciec sam wybierze swoje piekło, powiedziała, po czym odwróciła się do mężczyzn plecami.

Kapłan długo patrzył za nią, chociaż nie mógł dostrzec niczego w ciemnościach panujących w sypialni, w której zniknęła. Gdy istota klęcząca na podłodze zaczęła trząść się z zimna, jej drzenie zwróciło wreszcie uwagę ojca Phelana. Przed kapłanem klęczał jego wybawca. Jego nędzny żywot został ocalony przez jednego z potępionych, przez

zjawę z twarzą poznaną śladami czarnych od sadzy łez. – Czy chce pan wyznać swoje grzechy, panie Gallery? spytał.

Gdy pani Gallery wstała rano, nie znalazła w domu śladu ani po ojcu Phelanie, ani po mężu. Czarne od popiołów palenisko zdążyło już wystygnąć. Resztę zimy spędziła w domu w zagajniku, a na wiosnę po raz trzeci wprowadziła się do Domu Seliny, gdzie objęła dawną posadę. Doglądała Królówki i jego żony, pomagając im brnąć przez lata zgrzybiałej starości, w których stopniowo przekazywali Absalomowi kolejne części rozchwieanego imperium wydartego przez jego dziadka głuszy i mgłę.



Książd Cunico wytrzymał na wybrzeżu jeszcze trzy lata, aż wreszcie został ostatecznie pokonany przez ciężkie zimy i niechęć swoich irlandzkich wiernych. Wiódł w parafii samotnicze życie, godzinami pisząc melancholijne listy do rodziny, biskupa i przyjaciół ze Stolicy Apostolskiej, użalając się na na piekielny klimat Nowej Fundlandii oraz zuchwalstwo rybaków, które zresztą zdawało się wrodzoną przywarą całej tutejszej ludności. Jego jedynym towarzyszem i powiernikiem był Bóg, którego kapłan uważał za podobnego sobie nieszczęsnego gościa w tym strasznym kraju, za przybysza wezwanego w tę zastałą dzicz przez obowiązki, niezmiennie tęskniącego za bardziej cywilizowanym otoczeniem.

Cunico był wytwornym i delikatnym człowiekiem rzuconym w świat, w którym wytworność i delikatność uważano za żalosne komedianstwo. W rękawie sutanny nosił jedwabną chusteczkę, którą zakrywał usta i nos za każdym razem, gdy na brzegu przechodził obok stojaków do suszenia ryb. Traktowanie go na poważnie przychodziło miejscowej ludności z

najwyższym trudem, Włoch zaś reagował na ich pogardliwy stosunek kolejnymi duszpasterskimi demonstracjami siły oraz dopisywaniem kolejnych punktów do stale rosnącej listy ograniczeń. Język irlandzki uważał za narzędzie buntu, zakazał więc używania go w swojej obecności, jak również w murach świątyni. Zabronił katolickim dzieciom uczęszczać do szkoły Ann Hope Sellers i sam zaczął prowadzić lekcje, podczas których nauczał dzieci z łacińskich katechizmów i zmuszał je do wkuwania na pamięć pogmatwanej hierarchii Kościoła. Potępił tradycję przekazywania nowo narodzonych dzieci pomiędzy gałęziami Drzewa Kerrivanów, uznając ją za pogański rytuał – katolicy więc, podobnie jak wcześniej ich protestanccy sąsiedzi, zaczęli praktykować ten zwyczaj potajemnie. Odmówił udzielania sakramentów dwuwyznaniowym małżeństwom i ich domownikom, dopóki strona protestancka nie nawróci się na katolicyzm.

W tym momencie Callum Devine na dobre przestał chodzić na msze. Wciąż nie mógł sobie wybaczyć, że zapał się ojca Phelana, chociaż wiedział, że tylko dzięki jego ekskomunie Łazarz, Juda i James Woundy nie wylądowali w więzieniu. Callum nie miał najmniejszych wątpliwości, że Wdowa po Devinie zaaranżowała całą tę historię, kiedy doglądała włoskiego księdza w chorobie. Chciał uciec przed cieniem matki równie mocno, co przed Kościołem. Callum, jego żona i wszyscy domownicy – za wyjątkiem wdowy – przeszli na protestantyzm, stając się tym samym pierwszą episkopalną rodziną w Trzewiu.

Ci katolicy, którzy nie znajdowali się w bezpośrednim konflikcie z kapłanem, nie mieli czasu, by zaprztać sobie głowy jego dziwactwami. Cunico był pedantem, tak przywiązany do konwenansów i religijnych formalności, jakby już żył wygodnie w swoim bajkowym świecie Watykanu. Stanem permanentnego rozgoryczenia zasłużył sobie wreszcie na przezwisko „ksiądz Cipico”. Podczas każdej mszy wyliczał wszystkie zaniedbania, jakich wierni dopuścili się wobec swojej parafii i proboszcza,

a następnie groził, że opuści ich, jeśli sytuacja nie ulegnie poprawie.

W końcu stwierdził, że sytuacja bynajmniej nie uległa poprawie, potraktował to jako osobistą zniewagę i wyniósł się z Paradise Deep na dobre. Pewnego czerwcowego poranka jego spakowane kufry zostały wniesione w siąpiącym miarowo deszczu na pokład statku kompanii Spurrierów, mającego wypłynąć zaraz do St. John's. Niewielka grupka parafian przybyła na brzeg, aby pożegnać księdza, ten jednak odmówił im błogosławieństwa i zapewnił tylko, że od tej chwili ich osada nie zazna już dostatku – jakby sam Bóg miał odpłynąć razem ze swoim sługą.

Callum stwierdził, iż tym pożegnaniem ksiądz Cipico dowiódł, że mimo wszystko miał poczucie humoru. Po wyjeździe Włocha nikomu nie było jednak do śmiechu. Liczba kwintali ryb złowionych w lecie spadła po raz pierwszy od czasu, gdy Juda zamieszkał między nimi, a niespotykana wilgoć sprawiła, że warzywa pogniły w ziemi. Już pierwszego października spadł śnieg i na wybrzeżu zapanowała sroga zima, która skuła przystanie lodem aż do połowy maja. Zapasy zebrane w gospodarstwach zaczęły wyczerpywać się już w końcu marca, a większość mieszkańców wybrzeża utrzymywała się przy życiu, żywiąc się zmarzniętymi pomidorami i peklowanymi śledziami. W czerwcu Selina Sellers niespodziewanie zmarła we śnie. W tym roku kapelany przyплыnęły do brzegów bardzo późno.

Od wielu lat ceny dorszy w Europie stopniowo spadały, a całe tuziny miejscowych zaczęły wyjeżdżać każdej wiosny do Harbour Grace, Wesleyville i St. John's, aby tam zaciągać się do załóg wypływających na polowania na foki i w ten sposób dorobić do nędznych zysków czerpanych z rybołówstwa. Nawet Sellers znalazł się w trudnej sytuacji finansowej i, chcąc spróbować szczęścia na rynku foczego tłuszczu i skór, przekonał kompanię Spurrierów, aby udzieliła mu kredytu, zastawiając pod hipotekę całą placówkę w Paradise Deep. Za zdobyte pieniądze

zamówił sześćdziesięciosiedmiotonowy szkuner o podwójnym kadłubie. Szkielet statku powstał w przeciągu dwóch lat w prowizorycznej stocznii założonej nieopodal katolickiego kościoła. Kadłub został wzmocniony dodatkowymi belkami, dzięki którym szkuner miał wytrzymać rejs poprzez lodowe pola, na których foki piastowały swoje szczenięta.

Inwestycja była tak ogromna, zwłaszcza jak na przedsięwzięcie obarczone sporym ryzykiem, że w pewnym momencie starszek stracił zimną krew. Całą zimę przesiedział znękany nad księgą rachunkową pełną cyfr i procentów, nie zdołał jednak wydrzeć liczbom nawet chwili ukojenia. – Wszyscy skończymy w przytułku przez tę cholerną łódź, stwierdził, jakby to nie on był pomysłodawcą tego przedsięwzięcia. Nocami budziły go koszmary o statku trawionym przez płomień lub płynącym pod pełnymi żaglami gdzieś poprzez głębiny, wiele sążni pod skorupą lodu. Był tak udęczony swoimi wizjami, że w końcu wybrał się za Tolt, aby porozmawiać z Wdową po Devinie.

Lizzie była w domu sama z małym Patrickiem, kiedy Królówka rozsiadł się w ich kuchni i oznajmił, że nie wyjdzie, dopóki nie pomówi ze starą wiedźmą. Patrick został wysłany po wdowę do domu Daniela Woundy'ego. Wpadł do środka, z trudem łapiąc oddech. Co prawda nigdy nie zamienił słowa z Królówką Sellersem, ale wiedział, kim jest ten mężczyzna. Rok wcześniej, podczas pogrzebu Seliny, Mary Tryphena objaśniła chłopcu, jakie pokrewieństwo łączy go ze zmarłą oraz z szeregiem żałobników siedzących w pierwszej ławce. Pomiędzy Ann Hope i Absalomem siedziało troje dzieci, a zaraz przy przejściu Królówka, który po chwili wstał i pierwszy ruszył za trumną wynoszoną z kościoła.

– Mój pradziad przyszedł, żeby się z tobą zobaczyć, krzyknął teraz chłopak. Potrwało to chwilę, zanim Wdowa po Devinie domyśliła się, o kim mowa. – Stary Sellers? spytała, a on przytaknął. – Mój pradziad, powtórzył, chce się z tobą widzieć.

Ruszyła ścieżynkami prowadzącymi do domu w ślad za Patrickiem, który co chwilę podbiegał do przodu i oglądał się za siebie, aby upewnić się, czy za nim nadaża. Chłopak otworzył drzwi przed wdową i wpuścił ją do izby. Królówka siedział w środku i obracał kapelusz na kolanach. Kiedy tylko ją zobaczył, zaczął bredzić coś o koszmarze, o ogniu, o statku widmo żeglującym przez morskie otchłanie pod pełnymi żaglami. Nie zwracał najmniejszej uwagi na otoczenie, opisując wciąż swoje zmory i dzieląc się szczegółami to jednej, to drugiej, to znów pierwszej wizji, jakby wszystkie sny wyryły się na sobie, w jednym punkcie jego umysłu. Wdowa pozwoliła mu mówić, dopóki sam się nie zmęczył. W końcu wolno powiódł wzrokiem wokół, zaskoczony, że znajduje się w ich towarzystwie. Zatrzymał wzrok na Patricku stojącym parę kroków od niego.

– A to kto? spytał.

– Jesteś moim pradziadem, oznajmił chłopiec.

Zdezorientowany Królówka odwrócił się do Wdowy po Devinie.

Podobnie jak wszyscy mieszkańcy wybrzeża, wyglądał tak, jakby miał niebawem umrzeć z głodu – jego pociągła twarz zdawała się załamywać na policzkach, oczy miał czarne niczym wygasłe paleniska – wdowa wiedziała jednak, że powodem jego cierpienia nie jest brak pożywienia. Jego pozbawiony steru umysł zataczał szaleńcze koła; dziwiła się, że tak długo przeżył bez Seliny. – Nie zostało nam już zbyt wiele czasu, panie Sellers, powiedziała.

– Nie zostało, powtórzył niepewnie, a jego kaprawe oczy zaszyły łzawą mgiełką.

Patrick odwrócił się do Lizzie i spytał, Co mu jest, babciu?

– Zachowuj się, szepnęła Lizzie.

Wdowa po Devinie zerknęła na chłopca, na tę obcą twarz. Kiedy Mary Tryphena zaczęła prowadzić go do protestanckiego kościoła w Paradise

Deep, wdowa dała mu w prezencie różaniec i nawet raz czy dwa zdołała namówić go do wyrecytowania tajemnic, ale odmawianie różańca nie weszło mu w krew. Poza tym nie znał właściwie ani słowa po irlandzku. Czują, że z pokolenia na pokolenie jest wymazywana z tego świata jak osad odciedzany z wody przez kawałek materiału. – Panie Sellers, spędza pan całe dni, próbując sklecić sobie nowe życie, powiedziała, ale tak naprawdę kleci pan sobie trumnę.

– Trumnę, Królówka powtórzył i skinął głową. Nagle wstał z krzesła i przecisnął się koło chłopaka. Wdowa po Devinie patrzyła za nim, dopóki nie zniknął za drzwiami.

– To twój ojciec, Patrick powiedział do Lizzie, wciąż próbując pojąć wszystkie zawilości łączących ich więzów krwi, dla niego równie skomplikowane, co hierarchia Kościoła katolickiego.

– Idź teraz na dwór, powiedziała Wdowa po Devinie. – Zostaw nas z naszymi babskimi sprawami.

Gdy chłopiec wyszedł, Wdowa i Lizzie popatrzyły na siebie ponad stołem. Nauczyły się żyć obok siebie w tym malutkim świecie, który dzieliły. Opanowały skomplikowany taniec dający im złudzenie, że są od siebie niezależne. Nie pamiętały już, kiedy ostatnio miały okazję odbyć rozmowę niezłagodzoną przez czyjąś obecność. Teraz, gdy przyglądały się sobie nawzajem, ogarnięte tym samym, chłodnym przeczuciem, każda z nich czuła się tak, jakby patrzyła w lustro.

– Nie zobaczę już więcej ojca, prawda? spytała Lizzie.

Wdowa wzruszyła ramionami.

Lizzie potarła oczy przegubami dłoni i sięgnęła po rąbek fartucha, aby otrzeć twarz. Ze złością pokręciła głową.

– Wiem, że mnie nienawidzisz, powiedziała starszka.

Na te słowa Lizzie wybuchnęła śmiechem. – O, tak, miła pani. Bez wątpienia.

– To nic, dziecino. Przynajmniej zawsze będziesz mnie nosić w sercu.



Koszmary, które przez całą zimę dręczyły Królowkę, umacniały mieszkańców Domu Seliny w coraz silniejszym przekonaniu, że męczyzna osuwa się już w starcze otępienie. Wyprawa do domu wdowy ostatecznie potwierdziła te podejrzenia. Wrócił do Paradise Deep mającąc; oznajmił, że w stoczni koło kościoła budują trumnę, po czym kazał przerwać prace i zostawić ją na brzegu, żeby zbutwiała. Absalom zdawał sobie sprawę z tego, że jedynie reprimenda od Seliny mogłaby uspokoić dziadka. Wpływ Seliny na ich życie był prawie niezauważalny, jak jakiś podziemny nurt, jednak teraz, gdy jej zabrakło, ogrom zmian okazał się wstrząsający – na czele z przemianami, jakie zaszły w Królowce stojącym już na skraju otchłani. W połowie lata staruszek położył się w łóżku i nie opuścił go do września, kiedy to wyniesiono go z domu w trumnie.

Absalom wznowił prace nad statkiem i zdołał zakończyć budowę późnym latem następnego roku. Na pokład szkunera ochrzczonego imieniem „Cornelia” na cześć zaginionej przed laty matki Absaloma wniesiono ozagłowanie, osprzęt oraz zapasy przeznaczone na dziewiczy wiosenny rejs poprzez lody. Ta perspektywa była dla mieszkańców wybrzeża jedynym źródłem optymistycznych myśli. Na statku było tylko trzydzieści parę miejsc, całe korowody mężczyzn wędrowały więc pod drzwi Absaloma, aby błagać o zatrudnienie dla siebie, swoich braci i synów. Połowy ryb były nędzne już trzeci sezon z rzędu, a ogródki strawione zostały przez deszcz padający nieprzerwanie przez cały lipiec i sierpień. Zima ugodziła w nich wcześniej, przynosząc wściekle śnieżyce. Zatokki zamarzyły jeszcze przed Bożym Narodzeniem i nie odtajały aż do

połowy czerwca, kiedy było już o parę miesięcy za późno, żeby płynąć na foki. Mieszkańcy niektórych domostw nie zebrali dość drewna na tak długą zimę, musieli więc palić meble, drewniane belki i ściany budynków gospodarskich, żeby nie zamrznąć. Nawet w Domu Seliny mleko w dzbanku zamarzło na kamień, a domownicy musieli skrawać je nożem i wrzucać do herbaty w plasterkach. W końcu maja krowy, owce i psy zaczęły padać z głodu, a ich paskudne mięso pozwoliło ludziom doczekać końca czerwca, kiedy ławice kapelanów wreszcie zaczęły trzeć się przy brzegach.

W tych mrocznych dniach Juda Devine stał się przedmiotem wielu spekulacji. Zarówno katolicy jak i protestanci zaczęli odbywać pielgrzymki do jego chaty, żeby posiedzieć przy nim choć chwilę; tak, jakby wciągając w nozdrza jego smród, mogli zabrać namiastkę dawnego szczęścia. Po raz pierwszy od wielu lat rybacy pływali za nim na morzu, jakby był starotestamentowym prorokiem wiodącym za sobą łańcuszek akolitów oraz przepelnionych nadzieją niedowiarków. Wyglądało jednak na to, że dorsze po prostu zniknęły z tych wód. Wszyscy rybacy zakończyli sezon jeszcze bardziej pograżeni w długach wobec Spurrierów.

Lata, w których nędza i niedostatek przekraczały wszelką miarę, następowały kolejno po sobie. Nikt nie mógł pozwolić sobie nawet na najskromniejsze zbytki. Z braku tytoniu mężczyźni palili trociny, świerkową korę czy porosty zeszkrobane ze skał. Ta odrobina tranu, którą udało się zgromadzić latem, była wydzielana dzieciom na łyżki – lampy Ralph Stone'a pozostały więc bez paliwa, a całe zimy przemijały w mroku i odcieniach szarości. Śnieg sypał się do domów nawet przez drobne szczeliny w ścianach z bali, a ludzie nieraz budzili się przykryci warstwą białego puchu, niczym dodatkowym kocem. Po nocy buty były tak sztywne, że nie dało się ich włożyć, dopóki nie odtajały przy ogniu. W świerkach soki zamarły na kamień, a drzewa rosnące w bardziej

odsłoniętych miejscach łamały się na wietrze tak, jakby były ze szkła. Na mrozie pobrzęk tych kryształowych katastrof niósł się na wiele mil. Jak każdej zimy, lód skuwał brzegi żelazną obręczą, więc w marcu Absalom kazał załodze wybić w zatoce kanał dla szkunera. Nie udało im się dotrzeć na otwarte morze, a statek wciąż stał w porcie, rok za rokiem wyczekując na swój dziewiczy rejs. W ostatnich miesiącach każdej zimy całe rodziny żywiły się wyłącznie solonymi ziemniakami, a wszyscy, czy młodzi, czy starzy, byli w stanie całymi dniami tylko leżeć, pogrążeni w głębokim śnie. Każdej nocy niebo ożywało zorzą polarną, falującymi smugami zieleni i czerwieni przypominającymi jakąś niesamowitą, niemą muzykę, akompaniament dla ziemskich męczarni.

W maju czy w czerwcu, gdy lód w końcu topniał, Jabez Trim zabierał wielebnego Dodge'a na rejs po odległych cieśninach i zatoczkach. Na miejsce księdza Cunico nie pojawił się żaden nowy kapłan, Dodge zaczął więc uwzględniać w trasie swoich podróży również odizolowane katolickie domostwa. Kiedyś jego pasterskie wizyty miały bardziej sielankowy charakter, odbywały się w radosnym nastroju, a ludzie, którzy przetrwali długie miesiące odosobnienia, wychodzili mu naprzeciw, ciesząc się na drobne podarki w postaci nowin, tytoniu i modlitwy. Teraz odwiedziny w tych maleńkich, zapomnianych osadach stanowiły raczej ponury obowiązek. Gdy łódź Jabeza podpływała do paru nędznych chat przytulonych do nagiej skały, trudno było dostrzec tam jakiegokolwiek oznaki życia.

Przywozili ze sobą kilka worków mąki z magazynów Sellersa oraz rzepę i marchewki wybrane od innych mieszkańców wybrzeża w imieniu głodujących, czasami jednak nie mieli już kogo karmić. Troje dzieci leżących na pryczy pomiędzy rodzicami, wszyscy skuleni pod grubą warstwą koców, martwi od wielu tygodni. Dodge zwrócił uwagę na miejsce, w którym zaczęły wyrwać deski z podłogi, kiedy skończyło się

im drewno na opał. W kącie sterta pustych muszli omułek i pół tuzina rozgwiżdżonych na bulion. Stojąc w ciemnym pokoju, słyszał skrobanie łopaty dobiegające sprzed domu, gdzie Jabez kopał już groby.

– Było ich czworo, prawda? Jabez spytał, gdy pastor wyszedł na zewnątrz.

– Pięcioro, odparł Dodge.

– Od zeszłego lata zdążyło się im urodzić dziecko?

– Urodzić i umrzeć.

Jabez wbił łopatę w ziemię i pokiwał głową. – Wielebny, żyjemy w upadłym świecie, powiedział.

Każdej jesieni czyjeś ziemie były wystawiane na publiczną aukcję, celem pokrycia niespłaconych długów. Absalom Sellers, sam z trudem spłacający własne długi, nie był w stanie założyć za gospodarzy stojących na skraju bankructwa. Organizował kampanie korespondencyjne i raz stanął na czele delegacji, która udała się do St. John's, aby błagać gubernatora wyspy o zorganizowanie programu zapomogowego, który zresztą nigdy nie doszedł do skutku. W obliczu ciężkich czasów populacja wybrzeża topniała w oczach, a wiele porzuconych chat i magazynów popadało w ruinę.

Daniel Woundy już od dawna pływał na jednej łodzi ze swymi synami, Callum zaś z Judą i Łazarzem, jednak wiosną tego roku, w którym Patrick skończył dwanaście lat, Callumowi wdało się w nogę zakażenie. Kończyna była tak spuchnięta i obolała, że z najwyższym trudem utrzymywał się na nogach, wszystkie jego obowiązki na łodzi Judy przejął więc Patrick.

Tego lata Mary Tryphenie serce się krajało, gdy patrzyła na syna: głowa chłopca, nieproporcjonalnie duża w porównaniu do jego mizernego ciała, wyglądała jak makówka kołysząca się na cienkiej łądyżce, a zmęczenie nieustannym głodem wysysało barwy z jego bladej twarzy. Chłopak stał dopiero na progu dojrzałości, a już owiewał go lekki smród

rozkładu. Stanowił niespotykane połączenie sprzecznych cech: był zamknięty w sobie, lecz stanowczy, był poważny i pilny w nauce, lecz pływaniu po morzu zdawał się mieć we krwi. Łazarz wyśmiewał jego zainteresowanie lekcjami prowadzonymi przez Ann Hope, traktując to jak pretensjonalną fanaberię, porównywalną z jedwabną chusteczką księdza Cunico. Chłopak jednak dobrze wiedział, jak posługiwać się parą wioseł czy nabić przynętę na haczyk. Każdego ranka wstawał jako pierwszy z domowników i tylko czekał, kiedy zejdą na wodę.

Co dzień Lizzie i Wdowa po Devinie żegnały mężczyzn w drzwiach, a Callum kuśtykał za członkami załogi na pomost, aby tam zadreć ich gderaniem o linach, przynętach i pogodzie, dopóki nie wypłyną. Mary Tryphena nie opuszczała swojej izby, dopóki nie była pewna, że zeszli na wodę. W tych surowych dniach każde pożegnanie miało w sobie coś ostatecznego. Pomimo wszystkiego, co zdążyła już na tym świecie zobaczyć, była przekonana, że nie może stracić syna, jeśli się z nim najpierw nie pożegna.

Po ich wypłynięciu Callum kręcił się chwilę na brzegu, aż w końcu, zmuszony do powrotu przez ból nogi, włókł się do domu, by tam odpoczywać przez resztę poranka. Spuchnięta kończyna pulsowała bólem, własne tętno zadawało mu tortury. W ramach pokojowego gestu wobec wzgardzonych krewnych, Absalom Sellers zarezerwował dla nich dwa miejsca na swoim nowym szkunerze. Callum przysiągł Lizzie, że jeśli którejś wiosny statek zdoła wreszcie uciec z zatoki, popłynie razem z Łazarzem, aby mieć pieczę nad synem. Wdowa po Devinie twierdziła natomiast, że Łazarz będzie bezpieczniejszy w towarzystwie Judy. Kobiety sprzeczały się o to przez wiele miesięcy. Lizzie nie wybaczyła jeszcze mężowi, że posłuchał nakazu wdowy i wydał Mary Tryphenę za Jude, Callum czuł się więc zobowiązany do opowiedzenia się po stronie żony, bez względu na to, że jego ciało było już tylko zużytym narzędziem,

kukłą trzymającą się w całości tylko dzięki kawałkom sznurka, rozporcom z drewna i gwoździom. Widział, że obie kobiety kręcą się po malutkim domu, próbując ignorować się nawzajem, usiadł więc na uboczu, chcąc zejść im z drogi. Zaczął odmawiać różaniec, przepuszczając między palcami paciorek za paciorkiem.

– Wspaniały z ciebie protestant, skomentowała Wdowa po Devinie, która uważała jego ucieczkę do owczarni pastora Dodge’a za gest pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia. – Katolikiem się urodziłeś, dodała, i katolikiem umrzesz.

– W takim razie nieważne, gdzie chodzimy się modlić, odparł Callum.

Jedynie autentyczne przywiązanie w jego życiu duchowym było bardziej osobiste, a z roku na rok nieobecność ojca Phelena dawała o sobie znać coraz dotkliwiej. Callum nigdy nie podzielał jego słabości do trunków, kobiet czy sakramentów, jednak sam będąc dzieckiem łaknienia znajdował ukojenie w głębokim przekonaniu kapłana, że zaspokajanie własnych potrzeb leży u podstaw godnego życia. – Nie bez powodu Słowo stało się ciałem, zwykł mawiać Phelan. Patrząc na własne, odmawiające posłuszeństwa ciało, Callum doszedł do wniosku, że tęskni przede wszystkim za żądzą życia ojca Phelana. W rzeczywistości najmocniej tęsknił za jego niezachwianym przekonaniem o własnym powołaniu oraz za wypływającą z niego myślą, że mieszkańcy wybrzeża są na tym świecie czymś więcej niż tylko nieistotnym przypadkiem.

Nie docierały do nich żadne wieści o ojcu Phelanie, za wyjątkiem pogłosek o tym, że tułał się po najdalszych rubieżach kraju, gdzie Kościół nie był w stanie powstrzymać go przed zebraniem sześciorga czy siedmiorga wiernych na mszy odprawianej w czyjejs kuchni. Przemierzała opustoszałe królestwo swojej parafii niczym złodziej, po drodze chrzcząc dzieci, udzielając ślubów i grzebiąc zmarłych. Już w wiele lat po tym, jak Callum zginął na lodach Labradoru, dotarła do nich jedyna pewna

wiadomość – ojciec Phelan utopił się, podróżując gdzieś między najdalej na północ wysuniętymi wyspami wybrzeża. Jego zwłoki unosiły się na plecach, gdzieś na otwartym morzu, odziane w wyświechtane pozostałości szat liturgicznych księdza Cunico. Rybacy, którzy natknęli się na ojca Phelana, znaleźli w jego rękach puszkę z Przenajświętszym Sakramentem, wciąż nietkniętym i suchym.

CZĘŚĆ DRUGA

Doktor miał przypląć łodzią pocztową z St. John's, mieszkańcy wybrzeża wylegli więc tłumnie na brzeg, aby obserwować jego zejście na ląd. Lekarza miał powitać Barnaby Shambler: szynkarz, grabarz, a od trzydziestu lat – czyli od pierwszych wyborów na Nowej Fundlandii – również delegat okręgu Paradise do Zgromadzenia Legislacyjnego. Shambler wielokrotnie próbował już zachęcać lekarzy i pielęgniarki do roztoczenia opieki medycznej nad jego wyborcami, a dwoje czy troje zdołało nawet dotrzeć aż do Halifaksu czy St. John's, jednak tam z drogi zawsze zawracała ich czy to choroba, czy to podjęta w ostatniej chwili refleksja nad dokonany wyborom. Ludzie wątpili, czy nowy rekrut dotrze dalej od poprzednich, oczekiwanie było więc naznaczone sceptycyzmem. Nawet sam Shambler był zaskoczony, kiedy z łodzi faktycznie wysiadł mężczyzna trzymający w ręce skórzaną lecarską torbę, jakby zamierzał przyjąć pierwszych pacjentów już na przystani.

Oficjalne powitanie, wygłoszone przez Czcigodnego Członka Legislatury, było tak bełkotliwe, że doktor z początku odniósł wrażenie, iż witający go oficjel był pijany. Opuchlizna po prawej stronie twarzy delegata ukryta była pod sumiastymi wąsami i brodą. – Panie doktorze, czy byłby pan uprzejmy, wymamrotał Shambler, pocierając ręką policzek.

Chirurg, Amerykanin, świeżo upieczony absolwent szkoły medycznej w Baltimore. Harold Newman. Jego młodą twarz zdobiły okrągłe okulary w drucianej oprawie, zdrowy uśmiech przywodził na myśl bielony wapnem płot. – Mam nadzieję, że żadne przesłanie nie kryje się za faktem, iż okręg na swojego reprezentanta w rządzie wybrał grabarza, powiedział Newman, wyrywając zainfekowany trzonowiec delegata.

– *Ooomnbnm uum obbmnu*, odparł Shambler.

Ojciec Newmana był lekarzem, podobnie zresztą jak i jego ojciec. – Przekazali mi to jak jakąś chorobę, powiedział Newman. Ponad wszystko, co poznał w rodzinnym Hartford czy w szkole medycznej, Newman przedkładał wędkarstwo, wspinaczkę, żeglarstwo i polowania na grubą zwierzynę. Całą letnią przerwę w studiach spędził na Alasce i mało brakowało, a osiedliłby się tam na dobre. Nie skończył jeszcze nawet dwudziestu sześciu lat, był chudy, wysoki i wysportowany. Przybył na Nową Fundlandię, aby uciec od duszącej rutyny miejskiej praktyki oraz czekającego w Connecticut gorsetu dobrych manier i oczekiwań otoczenia. Na parę dni przed wyjazdem ze Stanów zerwał zaaranżowane przez matkę zaręczyny z daleką kuzynką. – Rodzice o mało mnie nie wydziedziczyli za to, że postanowiłem tu przyjechać, oznajmił, napychając kawałkami bawełny zięjący w ustach Shamblera krater po zębie. W Nowej Fundlandii pociągały go dziewicze tereny, rzeki i jeziora, karibu, baribale, ocean. Perspektywa ucieczki przed ojcem niemal na drugi koniec świata również nie była pozbawiona uroku.

Ulga, jaką Shambler poczuł po wyrwaniu zęba, wprawiła go w stan radosnego otępienia. – Napijemy się, wymamrotał poprzez zwały bawełny wypełniające jego usta. – Napijemy się na powitanie naszego dobrodzieja, pana doktora.

Newman przystąpił do pracy w kącie tawerny Shamblera. Pod drzwiami czekał długi łańcuszek chorych, którzy przyszli tu z przystani w ślad za doktorem. Shambler postawił na ladzie butelkę ciemnego rumu i nalewał z niej po kieliszku każdemu pacjentowi, który doczekał się swojej kolejki na lekarskim krześle.

– Teraz już pan wie, w jaki sposób Shambler wygrywa wybory, powiedział do doktora następny pacjent.

Newman jeszcze nigdy nie widział pacjentów z zębami tak potwornie powykrzywianymi i ogarniętymi podobnym rozkładem. Wszyscy,

których przyjął, wymagali zabiegów dentystycznych. Doktor spędził całe popołudnie, wcierając kokainę w dziąsła chorych i wyrywając zęby szczypcami. Ręce miał upstrzone kroplami zakrzepłej krwi, pod jego stopami wałały się białe odłamki szkliwa.

Dziewczyna usiadła na krześle i uśmiechnęła się do niego. – Chcę pozbyć się wszystkich.

– Jakich wszystkich?

– Wszystkich zębów, odparła. – Chcę wszystkie wyrwać.

– Ile panienka ma lat?

– Szesnaście.

Powiedziała jeszcze coś w języku, którego Newman nie był w stanie zrozumieć, a Shambler roześmiał się i plasnął otwartą dłońią w blat. Dziewczyna była wysoka, na nogach nie miała butów, przedziałek w jej brązowych włosach był cienki jak ostrze brzytwy. Może nie piękna, pomyślał Newman, ale całkiem przystojna. W rysach jej twarzy, w dużych nozdrzach i pełnych wargach, w oliwkowej skórze było coś nieeuropejskiego. – Otworzyć szeroko, powiedział. Gdy odchyliła głowę do tyłu, na jej szyi wyraźnie zarysowały się ścięgna. Łagodna linia kości obojczykowych. – Są może ze dwa, które należałoby usunąć, oznajmił.

– Nie wstanę z tego krzesła, dopóki wszystkie nie będą wyrwane, powiedziała. A może sam się tego domyślił.

– Pozostałym zębom absolutnie nic nie brakuje.

Dziewczyna wyrzuciła z siebie wartki potok obcych słów, z którego Newman rozpaczliwie próbował wyłowić jakiegokolwiek zrozumiałe wyrazy. Zerknął na szynkarza.

– Mówi, że i tak kiedyś zaczną sprawiać ból, przetłumaczył Shambler, a wtedy w pobliżu może nie być nikogo, kto będzie w stanie je wyrwać. Czigodny Członek Legislatury wzruszył ramionami, dając lekarzowi do zrozumienia, że nie znajduje żadnego kontrargumentu mogącego

przełamać upór dziewczyny. Godzinę później wstała z krzesła z ustami wypchanymi bawełną, trzymając w ręku zawiniątko pełne zakrwawionych zębów.

Shambler przywołał Newmana do kontuaru. – Przyda się panu doktorowi coś na wzmocnienie, oznajmił, wręczając lekarzowi szklanę rumu. Newman wypił spory łyk i pokręcił głową. Nie był w stanie uwierzyć, że właśnie oszpecił taką śliczną twarzyczkę. – Chyba powinienem być jej odmówić.

Shambler splunął krwią do pustej szklanki. – Dziewczyna potrafi sama o siebie zadbać, stwierdził.

– Przecież to jeszcze dziecko.

– Panie doktorze, tak po prawdzie, to Bride nigdy nie była dzieckiem. Pamiętam, jak kiedyś Thomas Trass próbował się do niej dobrać. Miała wtedy niespełna dwanaście lat, a on oblał ją po pijaku i powiedział, Bride, chciałbym wleźć pod twoją spódniczkę. Shambler przycisnął brode do piersi, próbując stłumić śmiech. – A Bride na to, Panie Trass, mam już pod nią jedną pizdę, więc po co mi druga?

Newman zwrócił twarz w stronę drzwi, jakby mógł jeszcze dojrzeć w nich dziewczynę.

– Co za krnąbrna, mała dziwka, powiedział Shambler, gdy udało mu się złapać oddech. – Doktorze, o ile się nie mylę, podpisał pan umowę na dwa lata?

– Zgadza się.

– Czy teraz, kiedy już rzucił pan okiem na naszą osadę, niczego pan nie żałuje?

Newman dopił swój rum i podwinął rękawy koszuli o jedno zagięcie wyżej. Poczł dziwny przypływ euforii. – Nie, odparł. – Nie żałuję. Myślę, że będę tu całkiem szczęśliwy.

Zamieszkał w opuszczonym domu nieopodal szkoły publicznej.

Gabinet i salę zabiegową założył w pomieszczeniach od frontu, sam zaś spał na piętrze. Połowa mężczyzn z wybrzeża przez całe lato pracowała na łówiskach Labradoru, w pierwszych miesiącach doktor przyjmował więc głównie kobiety, dzieci i starców. Nastawiał złamane kończyny, wrywał zęby, leczył obrzęki gruczołów, apopleksje, dury brzuszne, gangreny, astmy i zapalenia płuc. We wrześniu, gdy rybacy wrócili z Labradoru, musiał zajmować się skręceniemi i zwichnięciami, czyrakami, otarciami podrażnionymi przez słońca wodę, kośćmi pożeranymi przez gruźlicę czy ranami, które zaczęły jątrzyć się pod parszywymi kataplazmami z melasy i chleba.

Odwiedzający go pacjenci byli w zasadzie niezdolni do wyartykułowania swoich problemów i przedstawiali mu jedynie najogólniejsze, najbardziej dziecinne opisy trapiących ich dolegliwości. Coś w boku, mówili. Coś w nogach. Włazi we mnie taki ból. Niedobrze z głową, niedobrze z plecami. Niedobrze z brzuchem, co czasami oznaczało kłopoty z oddychaniem.

Nawet przy szczegółowym wywiadzie mieli kłopoty z określeniem najprostszyc objawów, przez co czasem można było odnieść wrażenie, że byli po prostu zgrają hipochondryków – jednak w rzeczywistości symulanci zdarzali się bardzo rzadko. Mieszkańcy wybrzeża nie potrafili odróżnić objawów chorób od zwyczajnych skutków codziennego trudu i znoju, dopóki dolegliwości nie zrobiły z kogoś kaleki. Tylko najbardziej zdesperowani decydowali się na wizytę w klinice, wyczerpawszy uprzednio cały dostępny zasób znachorskich wywarów i domowych lekarstw. Nikt nie miał dość pieniędzy, żeby wydawać je na leczenie. Za pomoc płacili doktorowi ziemniakami, kapustą, solonymi rybami, naręczami porąbanego drewna na opał, golonkami, śledziami, koszykami świeżych jagód i moroszek, dniami pracy na dachu lub przy kopaniu studni, świerkowym piwem, kozim mlekiem, jajkami, kuropatwami,

nurzykami i żywymi kurami.

Przedstawiciele lokalnych elit czynnie zabiegali o towarzystwo Newmana, a doktor znosił ich umizgi z chłodną uprzejmością, próbując trzymać ich na dystans. Jadał w Domu Seliny, gdzie Ann Hope Sellers dzieliła się z nim szerokim wachlarzem poglądów na przeróżne zagadnienia polityczne. W tym czasie Absalom z najmłodszą córką troszczył się o potrzeby wiekowej cioci. Ann Hope od dawna była zagorzałą zwolenniczką zniesienia niewolnictwa i wysłała w tej sprawie już około dwustu listów do Izby Lordów, do Kongresu, do prezydenta Stanów Zjednoczonych. – Doktorze, z pewnością słyszał pan już o Sadzawce Czarnucha Ralpa? spytała, po czym oznajmiła, że jej zdaniem nazwa ta stanowi czarną plamę na honorze całego wybrzeża.

– Czarną, pani Sellers?

Ann Hope odłożyła łyżkę. – Wie pan, co mam na myśli, panie doktorze.

Ann Hope dawno już wycofała się z nauczania, jednak ostatnie pięć lat poświęciła sprawie budowy nowej szkoły publicznej ulokowanej nieopodal episkopalnej świątyni. Nie było pieniędzy ani na ławki, ani na książki, ani na drewno potrzebne do ogrzania budynku, Ann Hope zamierzała więc nagłośnić ten problem przy okazji najbliższych wyborów.

Jej córka była już po trzydziestce i zachowywała się bardzo ostrożnie, jak ktoś próbujący ukryć przed światem nieuleczalną ranę. Była skryta, to Newman widział, chociaż z pewnością nie była nieśmiała. Uczyła w nieumeblowanej szkole, ale nie przejawiała większego zainteresowania zbliżającą się kampanią czy jakimikolwiek kwestiami politycznymi. Do ciotki wszyscy zwracali się per „pani Gallery”. Kobięcina cierpiała z powodu zaawansowanej demencji starczej, a przy posiłkach przeklinała dawno nieżyjącego męża, który ponoć nadal ją nawiedzał. Wszyscy mieszkańcy Domu Seliny wydawali się na swój dyskretny sposób obłąkani, a Absalom Sellers, który przez prawie cały wieczór nie odzywał się ani

słowem, od czasu do czasu posyłał doktorowi ukradkowe, przepaszające spojrzenia.

Newman nie przyjmował zaproszeń do żadnego z kościołów i swobodnie przyznawał się do tego, że jest ateistą. Niektórzy sądzą, że przyczyni się to do rychłego zakończenia jego kariery na wybrzeżu, jednak pastor Dodge oraz katolicki proboszcz zostawili go w spokoju. Dodge posługiwał w parafii już niemal pół wieku, zaś ksiądz Reddigan od ponad dekady; żaden z nich nie zamierzał pozbawić wybrzeża jedyne źródła profesjonalnej opieki medycznej. Jedynie metody styczny pastor przywiązywał większą wagę do skandalicznej deklaracji lekarza i zaczął naprzykrzać mu się z przepisаныmi odręcznie tekstami swoich kazań. Kaznodzieja, który w ciągu dwóch lat spędzonych w Paradise Deep zdążył nawrócić połowę miejscowych protestantów oraz garstkę katolików, uznał ateistycznego lekarza za osobiste wyzwanie. – Skoro jest pan zbyt zajęty, by odwiedzać nas w niedziele, powiedział, wskazując ręką stertę papieru, którą złożył na biurku Newmana. Pastor Violet obnosił się ze swoją wypielegnowaną, marynarską brodą, łysą płaszczynę jego głowy przecinały czarne pasma starannie zaczesanych włosów. Cechował go nerwowy optymizm, który wprawiał jego ręce w ruch, gdy mówił. Newman zerknął na kazania. Epistoła leżąca na wierzchu zatytułowana była *Sen jako diabelska pokusa*. – Wolę sen od lektury, stwierdził, odsuwając plik kartek w stronę pastora.

Tę odrobinę wolnego czasu, którą miał, Newman spędzał na świeżym powietrzu. Pół tuzina dróg publicznych – zbudowanych w najmroczniejszych latach stulecia przez cierpiących skrajną nędzę rybaków zmuszonych do odpracowywania rządowych zasiłków – wcinało się na wiele mil w głąb lądu, daleko za Sadzawkę Czarnucha Ralpa. Drogi miały otworzyć dostęp do wnętrza wyspy, gdzie, zdaniem Shamblera i jemu podobnych, połączie żyznych ziem uprawnych tylko

czekały, żeby ktoś je zaorał i obsiał. Ta mityczna Arkadia nigdy się nie urzeczywistniła, a w głębi łądu drogi urywały się, ustępując miejsca tym samym gęstym świerczynom, karłowatym krzewom i mokradłom, które pokrywały resztę wyspy. Żwirowe trakty były używane przez konne zaprzęgi wożące drewno i torf z moczarów, przez zbieraczy borówek, wędkarzy łowiących pstrągi, przez dzieciaki poszukujące sadzawek ze słodką wodą do kąpeli. Gdy gabinet był zamknięty, wcześniej rano i w niedziele, Newman przemierzał te drogi z wędką lub strzelbą. Wszyscy, których spotykał podczas tych wędrówek, byli wobec niego uprzejmi, miał jednak wrażenie, że odnoszą się do niego z pewną rezerwą. Przestrzegali go, żeby pamiętał o noszeniu w kieszeniach kromek chleba, które odpędzą Malutkich mogących sprawić, że zgubi drogę w głębi lasu. Udzielali mu porad dotyczących najlepszych rzek na pstrąga, po czym ruszali w swoją stronę, życząc miłego dnia. Zorientował się już, że obecność gościa wyzwalala w miejscowych najlepsze skłonności. Byli gotowi spędzić z łóżka własne dzieci, byleby przybysz mógł przez jedną noc zażyć spokojnego snu. Sam Newman tkwił jednak na dziwnej ziemi niczyjej – był obcym, wobec którego zaciągnęli już dług wdzięczności, był gościem, który mógł zasiedzieć się u nich dłużej, niż zamierzali go podejmować – miejscowi odnosili się więc do niego odrobinę nieufnie. Przyjmował każdą uprzejmość z ich strony, a poza tym cieszył się czasem spędzanym w samotności.

Jesienią, dopóki pozwalała na to pogoda, Newman nieraz wybierał się na piechotę do osad położonych nad mniejszymi zatoczkami i przesmykami w obrębie okręgu. Czasem też Abdiasz i Azariasz Trimowie wozili go wzdłuż brzegów swoją dwumasztową łodzią. W pierwszym tygodniu pobytu na wybrzeżu Newman usunął spod grdyki Abdiasza mięśniaka wielkości jajka, wyciągając go przez niewielkie nacięcie, które można było później bez problemu ukryć pod kołnierzykiem. Wyprawy

wzdłuż wybrzeża miały z początku stanowić formę zapłaty za tę operację, jednak ostatecznie Trimowie i tak służyli lekarzowi pomocą jeszcze przez wiele lat, traktując to jako swój chrześcijański obowiązek. Bracia należeli do pierwszych na wybrzeżu owieczek złowionych przez pastora Violeta, więc, podobnie jak pozostali metodyści, byli abstynentami i nigdy nie wymawiali imienia Pana nadaremno, bez względu na rozmiar prowokacji. Bez przerwy cytowali Ewangelię i wciąż dawali lekarzowi-ateście do zrozumienia, że modlą się za niego, aby odnalazł Jezusa. Po nadejściu śnieżyc wozili Newmana do nagłych przypadków saniami, gotowi na każde zawołanie zaprzęgnąć swoją pstrą watahę psów pociągowych.

Z wyglądu bracia różnili się od siebie jak dzień i noc – Azariasz był przysadzisty niczym pień starego drzewa, twarz miał czerwoną i żyłastą jak kawał solonej wołowiny; Abdiasz, wysoki prawie na sześć stóp, miał ogromny, rozdwojony podbródek przypominający tyłek dziecka – ich usposobienie było jednak bliźniacze. Newman nigdy nie słyszał, żeby któryś z nich na cokolwiek się użalał. Z radością biegli obok sani ciągniętych przez psy, nie okazując zmęczenia. Jeśli psy opadały z sił, jeśli sanie zakopywały się w ciężkim śniegu, jeden z braci łapał za wodze i krzyczał, Jazda chłopaki! by pobudzić zwierzęta do pracy. Nigdy nie mylili drogi i ani na chwilę nie tracili orientacji w terenie. Podróżowali wąskimi ścieżynkami przecinającymi bagna i karłowate zarośla, odważnie skracali drogę, jeżdżąc wzdłuż brzegu po niepewnym lodzie skuwającym morze. Wszystkie wzgórza, sadzawki, kępy drzew, łąki i zagajniki w promieniu wielu mil były nazwane i skatalogowane w głowach braci Trim. Nocami orientowali się po księżycu i gwiazdach, po kolejnych skałach i dolinach, po zapachach świerku, słonej wody i dymu. Newmanowi zdawało się, że posiadają jakiś dodatkowy, pierwotny zmysł, który u współczesnych ludzi zanikł nieużywany.

Trimowie, podobnie jak wszyscy mieszkańcy wybrzeża, łowili ryby

dla Sellersa, poza tym próbowali swoich sił w każdym przedsięwzięciu, jakie tylko było do pomyslenia w tej krainie: przędli wełnę, sami ubijali masło, zastawiali potrzaski na zwierzęta, łowili łososie w pobliskich rzekach. Zbudowali tartak, którym – dzięki ogromnemu zasięgowi rodzinnych więzów – zarządzali z pomocą synów, szwagrów i bratanków. Byli zaradni, poważni i niesamowicie dziwaczeni zarazem. Śmiertelnie chorych nazywali cudownie schorzałymi. Wszystko, co kruche, łamliwe i delikatne, było *nish*. Rzeczy odchylone od pionu lub nierówne były *asquish*. Na jabłko Adama mówili *kinkorn*, diabła zwali *Horn Man*. Pewnego dnia pokazali doktorowi poszarpaną, spisaną na welinie Biblię, którą Jabez Trim przed stu laty wydobył z brzucha dorsza. Pamiętka ta była tak fascynująca i osobliwa, że od tej pory przy okazji każdych odwiedzin u Trimów Newman prosił o możliwość przyjrzenia się księdze i kartkował ją w swego rodzaju świeckim zachwycie. Czasami miał wrażenie, że przeniósł się do jakiegoś średniowiecznego, na wpół bajkowego świata.

Listy słane do Connecticut Newman wypełniał opisami przeróżnych fenomenów medycznych zaobserwowanych na wybrzeżu. Własne opisy kliniczne wzbogacał o apokryficzne i spekulatywne teorie patogeny przedstawiane przez miejscowych. Odwiedził Red Head Cove, gdzie większość populacji odziedziczyła kolor włosów, piegi i hemofilię po pewnym rudzielcu z Irlandii. Leczył pięcioletnią dziewczynkę, której palce spinała błona stanowiąca ponoć pamiątkę po schadzce jej dziadka z syreną. W Devil's Cove widział rodzeństwo – siedmioro braci i sióstr – cierpiące na przyspieszone starzenie. Ich ciała osiągały dojrzałość płciową w trzy lata od narodzin, a w wiek średni wkraczały, gdy miały pięć lat. Dwoje najstarszych dzieci nie przeżyło nawet dekady i nic nie wskazywało na to, aby młodsze rodzeństwo miało przetrwać dłużej. Niektórzy twierdzili, że przyczyną była klątwa rzucona przez wiedźmę, a przedziwne zjawisko starzejących się dzieci opierało się wszelkim podjętym przez Newmana

próbom znalezienia medycznego wytłumaczenia. Lekarz wykonywał fotografie tych oraz wielu innych zadziwiających przypadków, skoliozy idiopatycznej o kącie skrzywienia czterdzieści pięć stopni, zajęczych warg, blizn w kształcie zwierząt i kontynentów, rodzeństwa ze Spread Eagle – mężczyzny i kobiety w średnim wieku – od urodzenia pozbawionego włosów i paznokci. Odbitki albuminowe wywoływał w swoim gabinecie, kąpiąc szkło w roztworach kwasu galusowego i azotanu srebra, a następnie utrwalając obraz tiosiarczanem sodu.

Pewnego dnia, gdy odwiedzał chorego w Trzewiu, po raz pierwszy ujrzał przedziwnego Judę Devine'a ciskającego do zatoczki kamienie, które czarny labrador wyląwiał i znosił mu pod nogi. Newman przedstawił się i poprosił o zgodę na przeprowadzenie badania. Mężczyźnie towarzyszył chłopiec, który wytłumaczył, że Juda jest niemy. Juda siedział spokojnie, podczas gdy lekarz przyglądał się jego oczom, uszom i ustom, gdy mierzył palcami jego siwe włosy, badając kształt czaszki. Smród był niemal nie do zniesienia. – Jak on ma na imię? Newman spytał chłopaka.

– Juda Devine. To mój dziad. Chłopiec miał nordycki typ urody: białozłote włosy i cerę bladą niczym u europejskich rodzin królewskich. Błękit jego oczu był tak jasny, że zdawały się wręcz bezbarwne. – Narodził się z bebechów wieloryba, dodał. – Dlatego doskwiera mu ten zapach.

– Jak to, narodził się?

– Mówią, że Wdowa po Devinie rozcięła brzuch wieloryba nożem do ryb, a Juda wyleciał ze środka, goły jak ryba.

– A ty w to wierzysz?

Chłopiec wzruszył ramionami. – Juda jest, jaki jest, panie doktorze. Nie mam powodu, żeby w to wątpić.

– Myślisz, że pozwoli mi się sfotografować?

– Głuchy nie jest.

Newman wysłał ojcu wyczerpujący opis pseudoalbinosa w bliżej

nieokreślonym wieku, wyswobodzonego z brzucha wieloryba mniej więcej w tym samym czasie, w którym James Woundy poużywał sobie z syreną. Mężczyzna cierpi na ostrą postać potów złowonnych oraz całkowitą niemotę, pisał Newman. Co dziwne, oczy nie wykazują braku pigmentacji, ich błękit jest po prostu niezwykle blady. A więc nie albinos. Nie sposób jednak znaleźć jakiegokolwiek inne wyjaśnienie jego wyglądu. Pełne uzębienie, za wyjątkiem siekacza środkowego utraconego w wyniku uderzenia tępym narzędziem.

W pierwszych miesiącach ojciec uważał się często, że tkwiąca w zabobonie i ciemnocie prowincja odebrała mu syna, jednak z czasem jego ton złagodniał wobec niespodziewanej pasji, z jaką Newman zaangażował się w swoją pracę, wobec przesyłanych przez niego pieczołowitych opisów schorzeń. Ojciec odsyłał porady i artykuły naukowe oraz prosił o dalsze informacje na temat najbardziej interesujących przypadków. Nie wypytywał syna o sprawy osobiste ani plany na przyszłość, co Newmanowi ze wszech miar odpowiadało.

Większość wiedzy na temat mieszkańców okolicy doktor zawdzięczał wielogodzinnym podrójom z Abdiaszem i Azariaszem Trimami. Bracia wykazywali się isticie biblijną wiedzą o genealogii wybrzeża, recytując wszystkie informacje na zasadzie hasła i odzewu, tak płynnie, jakby czytali z katechizmu.

Abdiasz: A ten James Woundy, co za leniwy śmierdziuch.

Azariasz: Nie do końca zdrów na umyśle, ale słodki jak melasa.

Abdiasz: Słodki jak melasa. I równie co ona ruchliwy.

Azariasz: Miał jedną, jedyną córkę. Robił wszystko, co mógł, żeby nie udławić się przy jedzeniu, trudno więc powiedzieć, jak mu się to udało.

Abdiasz: Matką dziecka była Bridget Toucher, a wśród Toucherów niełatwo było wychować dziewczynkę.

Azariasz: Nigdy się nie pobrali, ale łączyła ich Magdalen. A Bridget

Toucher zgadła się w końcu z Lesterem Floodem i poślubiła go przed obliczem Pana, w ostatnim roku życia Lesa, na chwilę przed tym, jak ukatrupiły go suchoty.

Abdiasz: Mała Magdalen, to znaczy córka Jamesa, przygruchała sobie niejakiego Johna Blade'a.

Azariasz: Ale nie Johna Blade'a z Devil's Cove. Bo John Blade z Devil's Cove przeszedł na katolicyzm, ożenił się z wdową po Peterze Freke'u i zamieszkał z nią na Widoku. To są rzymskokatolicy Blade'owie.

Abdiasz: Nie, Magdalen wyszła za Johna Blade'a, którego ojciec przypłynął tu z Devon. John i Magdalen spłodzili trójkę dzieciaków.

Azariasz: Jest James, jest Matthew. No i ta mała z błoną między palcami, Hannah.

– A tak, Hannah, powiedział Newman, z ulgą chwytając się wreszcie jakiejś znajomej twarzy. Czasami próbował rozrysowywać zawrotną spiralę rodzinnych koneksji w notatniku, ale nawet wtedy koniec końców tracił orientację. Korzenie wszystkich rodzin były tak splątane, że nie sposób było je odróżnić. Sara Protch, pierwsza żona Abdiasza, zmarła podczas porodu, a jego drugą żoną była jej młodsza siostra. Szwagierka Azariasza zdążyła wcześniej ożenić się po kolei ze wszystkimi trojaczkami Toucherów: pierwszy zamarł gdzieś na lodzie, drugi padł ofiarą duru brzuszego, trzeci zmarł przed niespełna ośmioma miesiącami w trakcie popołudniowej drzemki na leżance.

– Trojaczki jednojajowe? Identyczne? spytał Newman.

– Nie dowierza pan, co?

– To się zdarza raz na dwieście tysięcy ciąż. Nie widziałem jeszcze czegoś takiego na własne oczy.

– Sandra wyszła najpierw za Alphonsusa, oznajmił Az Trim. – Mówiła do męża Alphonsus, bez względu na to, który z nich tak naprawdę znajdował się w jej łóżku, bo byli do siebie podobni jak trzy krople wody.

Newmana zadziwiła ich otwartość. Wyglądało na to, że nie istniały żadne rodzinne tajemnice czy osobiste sprawy z zeszłego stulecia, z którymi nie byłiby zaznajomieni.

Abdiasz: Za to Adelina Sellers, ta, co uczy dzieciaki w szkole, to najmłodsza ze stadka Absaloma, nie licząc Leviego. Wie doktor, że w dzieciństwie miała kurzajki? Chodziła w żałobnej woalce, ręce chowała w głąb rękawów; pół wybrzeża myślało, że urodziła się bez palców.

Azariasz: To Mary Tryphena Devine ją z tego wyleczyła. Ma dar do tych rzeczy.

Abdiasz: A Nancy, siostra Adeliny, wyszła za jankesa i przeprowadziła się pod Boston. Będzie już z trzydzieści lat, jak wyjechała. Dwaj starsi bracia pojechali w ślad za nią i od tamtego czasu nie pokazali się na wybrzeżu. Zostali z nami tylko Levi i Adelina.

– Absalom odziedziczył po dziadku większość wybrzeża, a kiedy zabraknie i Aba, wszystko to przypadnie Leviemu.

– Młody Levi to twardy mężczyzna. Myśli tylko o pieniądzach. Ożenił się z Flossie, córką pastora Dodge'a, ale i tak nie obchodzi go nikt poza matką.

– Do Absaloma w ogóle nie ma cierpliwości.

– Cóż, podejrzewam, że ma powody, żeby nie przepadać za ojcem.

– Dobra, braciszku, powiedział Azariasz. Obaj zamilkli. Niezwykle rzadko zdarzało się, żeby Trimowie cenzurowali treść katechizmu i zacinali się na temacie zbyt delikatnym bądź skandalicznym, by poruszać go przy osobie z zewnątrz.

– Jazda chłopak! Az krzyknął do psów, definitywnie ucinając konwersację. – Jazda!

Za każdym razem, gdy mijali zagajnik u podnóża Toltu, psy jeżyły się i warczały na kępę drzew, próbując zboczyć ze ścieżki. Bracia odwracali oczy i milkli do czasu, aż zagajnik został daleko w tyle; jakby

wstrzymywali oddech, żeby nie wdychać trucizny. Newman dostrzegł pośród drzew zarośniętą polankę i próbował dowiedzieć się, kto tam mieszkał i dlaczego się wyprowadził. – Postąpi pan mądrze, trzymając się od tego miejsca z daleka. To wszystko, co zechcieli mu powiedzieć bracia.



W Stare Świeta Bożego Narodzenia^[5] Trimowie przebyli z doktorem siedemnaście mil wzdłuż brzegu, spiesząc do człowieka, który według relacji zięcia leżał już na łożu śmierci. Newman był pijany i biegł obok zaprzęgu, próbując wytrzeźwieć. Co jakiś czas zbaczał ze ścieżki i rzygał w świerki, po czym znowu doganiał zaprzęg. – Widzę, że hucznie pan obchodzi Stare Świeta, powiedział Az.

Już pierwszej nocy po Bożym Narodzeniu kolędnicy przypuścili atak na klinikę doktora i zabawili u niego aż do świtu. Newman sam nie wiedział, co ma myśleć o tych przebierańcach i ich głupich figlach; o tym, że tańczyli z nim pod rękę przy akompaniamencie skrzypek i akordeonów, że żądali, aby ich nakarmił i napoił, że wszyscy łapali go za tyłek równie swobodnie, jakby sprawdzali świeżość bochenka chleba. Postawił przed nimi szklanki z rumem i ciemne ciasta owocowe, których pacjentki przynosiły bez liku. Kolędnicy wyszli, nie ujawniwszy nawet swojej tożsamości. Przez kolejne jedenaście nocy scenariusz nie ulegał zmianie, chociaż skład bandy za każdym razem był inny. Niektórych doktor rozpoznawał po chodzie, posturze czy tikach nerwowych. Kiedy już wypili cały rum, zaczął puszczać wokół stołu szklanki alkoholu etylowego, który wlewali sobie w gardła jak wodę.

[5] *Old Christmas Day* – 6 stycznia, dzień, w którym przed zmianą kalendarza z juliańskiego na gregoriański przypadało Boże Narodzenie. Pokrywa się z uroczystością Objawienia Pańskiego.

Klinika wciąż roiła się od kolędników, gdy Trimowie przyszedli do Newmana z wiadomością o konającym mężczyźnie. Wyruszyli w dwie godziny przed świtem i dotarli na miejsce po południu, tylko po to, by zastać starszego pana przy kominku ze szklanką rumu w dłoni. – Wczoraj, kiedy odwiedził mnie mąż Sally, czułem się nieco nish, ale dzisiaj wszystko jest w najlepszym porządku, poinformował lekarza. Newman osłuchiwał mu serce, zmierzył temperaturę i zbadał odruchy; musiał przyznać, że jak na jego rozum, staruszkowi nic nie dolegało. Spędzili więc dziesięć godzin w ciężkiej podróży tylko po to, aby zjeść u niego posiłek złożony z herbaty i chleba z melasą i wyruszyć w drogę powrotną. Gdy dotarli do domu, było już po zachodzie księżyca, a każdy z nich miał za sobą dobre dwadzieścia cztery godziny bez snu.

Newman nalegał, by skończyli trasę u Trimów i zaoszczędzili psom pół godziny wysiłku. Wrócił do gabinetu na piechotę, słaniając się na nogach i prawie zasypiając na stojąco. Kiedy wszedł do frontowego pokoju, zastał tam mężczyznę siedzącego po ciemku. – Pozwoliłem sobie wejść do środka, powiedział Patrick Devine, łapiąc Newmana za rękaw i wyprowadzając go w pośpiechu z domu. – Módlmy się, by nie było za późno dla obojga.

Poprowadził Newmana przez Tolt Road do chaty w Trzewiu, gdzie drzwi otworzył im mężczyzna z drewnianą nogą. – Łazarz Devine, przedstawił się. Przy kuchennym stole siedziała ponura gromadka: kobieta z niemowlęciem na kolanach, obok Amos Devine, czyli nordycki chłopak, którego doktor spotkał w towarzystwie albinosa. Na szczycie stołu siedział mężczyzna nerwowo palący papierosa i pocierający dłońmi niezbyt wydatny podbródek. – To Henley, mój brat, powiedział Patrick Devine, wskazując palacza, którego włosy w niczym nie przypominały siwej czupryny wieńczącej jego głowę.

– Pan jest ojcem? spytał Newman.

– Mam nadzieję, że nim zostanę, odparł palacz. Zająknął się na „zo” i musiał aż tupnąć nogą, żeby ostatecznie przedrzeć się do „stanę”.

– To moja żona, Druce, powiedział Patrick, wskazując kobietę trzymającą dziecko.

Łazarz złapał lekarza za ramię. – Na to wszystko jeszcze będziemy mieli czas, no w the once, oznajmił. Wprowadził Newmana do bocznej izby, w której ciężarna kobieta leżała nieprzytomna na łóżku. Jej oddech rwał się w długich, nieregularnych odstępach. Gdy lekarz nadstawił jej twarz do światła, w kącikach bezzębnych ust dostrzegł pianę upstrzoną kroplami krwi. – Jezu, Bride, szepnęła. Tamtego dnia, kiedy zaraz po przybyciu na wybrzeże wyrwał jej wszystkie zęby, musiała już być we wczesnej ciąży.

Mary Tryphena siedziała przy łóżku. – Jeszcze po południu dziecko radziło sobie świetnie, ale zaraz po kolacji Bride zaczęła wywracać oczami. Zanim znalazła się w tym stanie, dostała ataku drgawek.

Newman zaklął pod nosem. Nie potrafił jeszcze stwierdzić, co się dzieje z dzieckiem, ale wyglądało na to, że matka ma minimalne szanse na przeżycie stanu rzucawkowego. Rozejrzał się po małej izbie i zaklął ponownie.

Mary Tryphena powiedziała, Doktorze, gdyby przekleństwa mogły tu coś pomóc, Bride już dawno wstałaby z łóżka.

Wąska prycza była przybita do ściany, Newman zawołał więc mężczyzn, by pomogli mu przenieść Bride do kuchni. Tam ułożył ją na stole, rozsuwając kubki i sztućce. Żona Patricka stała obok, kołyszając na rękach swoje płaczące dziecko, dopóki Mary Tryphena nie wyprosiła wszystkich domowników z izby. Amos wyszedł w ślad za Druce, a Henley już ruszał w stronę drzwi, gdy Newman zawołał go z powrotem. – Będziesz musiał ją przytrzymać, powiedział. Wyjąwszy kleszcze i skalpel, Newman podciągnął muślinową sukienkę nieprzytomnej kobiety

wysoko na brzuch i rozciął krocze od pochwy aż do odbytu. Rozstawił rodzinę wokół stołu, przydzielając każdemu jedną z kończyn. Henley łkał, szepcząc, Je-Je – Jezu, Jezu. Newman wziął do ręki kleszcze i zaparł się nogą o krawędź stołu. – Trzymać mocno, powiedział.

Jeszcze przed nastaniem dnia umyte, zawinięte w powijaki dziecko zostało złożone w kołysce przy piecu. Bride odnieśli do łóżka, gdzie na przemian odzyskiwała i traciła przytomność, podczas gdy Newman zszywał poszarpane fałdy jej skóry najlepiej jak potrafił. Mary Tryphena przyglądała się pracy ponad jego ramieniem. – Doktorze, myśli pan, że przeżyje?

– Przy odrobinie szczęścia.

– O, tego to jej akurat brakowało przez ostatnich parę dni. Widzę, że ma pan ręce stworzone do igły i nici.

Zgadywał, że wiek akuszerki przypada gdzieś na północ od sześćdziesiątki. Mała, delikatna twarz, potężna burza siwych włosów porzecinanych pasmami głębokiej czerni.

Kiedy wyszedł z izby, zastał mężczyzn palących w kuchni. Stół i podłoga były już wyszorowane do czysta. Drewniana noga Łazarza leżała odczepiona, Newman nachylił się więc nad mężczyzną, aby przyjrzeć się kikutowi. Prymitywna amputacja wykonana w jakimś innym życiu. – Noga sprawia panu jakieś kłopoty?

– Tylko takie, że to gówno odczepia się za każdym razem, kiedy próbuję na nim stanąć, odparł Łazarz.

Newman popatrzył ponad stołem na Mary Tryphenę. Głowa kołysała mu się z braku snu oraz zmęczenia wcześniejszymi dwunastoma nocami świętowania. – Poślijcie po mnie, jeśli stan dziewczyny nie poprawi się do wieczora.

Dopiero tydzień później Newman nabrał przekonania, że życiu Bride nic już nie zagraża i odważył się pojechać z Trimami do Spread Eagle,

aby tam odwiedzić pacjenta, u którego wizytę dotąd odkładał, nie chcąc oddalać się od dziewczyny. Dzień był zastygły w chłodzie, pogodny i niemal bezwietrzny; ujadanie psów niesło się po wzgórzach czystym echem. Gdy zatrzymali się w osłoniętej dolince, aby zagotować na ogniu wodę na herbatę, Azariasz powiedział, A więc był pan u Devine'ów.

– Owszem.

– Mary Tryphena twierdzi, że gdyby nie pan, straciliby i dziewczynę, i dziecko.

Newman odtrzącił tę uwagę dłonią. – W jaki sposób Łazarz stracił nogę? spytał.

Bracia popatrzyli po sobie i pokręcili głowami. Opowiedzieli mu pokrótce – tylko chwilami podkradając się ostrożnie do szczegółów – o ciężkich czasach, które nastąpiły na wybrzeżu przed czterdziestu laty. O tym, jak nowy szkuner stał latami w zamarznętej przystani, zanim wreszcie wypłynął w dziewiczy rejs pośród lodowych pól. Wszyscy żyli w głodzie i długach, o miejsca na statku rozgorzała więc zacięta rywalizacja. Devine'owie dostali tylko dwa bilety. Lizzie nalegała, aby Łazarz popłynął pod opieką ojca, ale Wdowa po Devinie nie chciała nawet słyszeć o tym, żeby chłopak płynął bez Judy, którego nieobecność miałyby według niej sprowadzić jakieś nieszczęście.

Abdiasz powiedział, Obaj byliśmy w domu tego dnia, gdy przyszła prosić ojca, żeby odstąpił jej swój bilet.

– Wszyscy ledwie wiążemy koniec z końcem, Jabez powiedział do Wdowy po Devinie. Olive leżała na kanapie przy kominku, a dwaj chłopcy skakali nad nią jak nadopiekuńcze stare panny. – Jeśli zbierzemy tłuszcz i zdobędziemy dość foczych skór, zapłacą nam gotówką.

– Juda odda wam wszystko, co zarobi. Dopilnuję? tego osobiście, Jabez.

– Nigdy nie gustowałem w życiu z czyjejś łaski.

– W porządku, powiedziała wdowa. – Jeśli Łazarz popłynie bez Judy, czeka go śmierć. Mówię ci to już teraz.

Jabez westchnął i wstał, żeby dorzucić drew do ognia. Jej przestroga była absolutnie pozbawiona logiki, co wcale nie oznaczało, że była przez to łatwiejsza do zignorowania.

– Wolałabym mieć cię w domu, powiedziała Olive. – Jakoś sobie poradzimy.

W ostatni dzień marca Devine'owie weszli na pokład Cornellii w przygotowanych do chodzenia po lodzie butach nabijanych ćwiekami, niosąc skrzynkę wypakowaną solonym mięsem, jajami na twardo i wieprzowymi ozorami. Cornelia popłynęła na północ, w kierunku lodowych pól, z załogą złożoną z dwudziestu dziewięciu mężczyzn. Wszyscy mieszkańcy wybrzeża wylegli na brzeg, aby pożegnać łowców fok; machali do nich i cieszyli się jak na odpuszcie. Radosny nastrój utrzymał się przez dwa dni, dopóki nie zmieniła się pogoda. Zatokę zablokowała kra dryfująca z niekorzystnym wiatrem do brzegu, a w pierwszym tygodniu kwietnia znad Labradoru nadciągnęły dwie potężne wichury. Doszły ich słuchy o statkach zatopionych przez sztormy; nikt nie kładł się spać z obawy przed tym, co może zobaczyć w snach. Jeszcze przed dziesiątym kwietnia rozbitkowie pochodzący z Bonavista i Conception Bay zaczęli napływać z północy cienkim strumieniem, w drodze do domu przewijając się przez wybrzeże. Twierdzili, że ponad pięćdziesiąt statków – w tym Cornelia – zostało uwieczonych i zmiażdżonych przez lód. Niektórym łowcom fok udało się dotrzeć na piechotę na Belle Isle, gdzie spędzili wiele dni, uwięzieni bez pożywienia i dachu nad głową. Ci, którzy byli dość silni i śmiali, opuszczali wyspę i ruszali po lodzie dalej na południe, w stronę osad położonych na Północnym Półwyspie, gdzie łapali okazje i podpływali w stronę domu przybrzeżnymi promami i rybackimi szkunerami.

Gubernator wysłał po mężczyzn uwięzionych na Belle Isle statek z St. John's, który w drodze powrotnej zawiązał do Paradise Deep z większością załogi Cornelii na pokładzie. Bandery były opuszczone do połowy masztów, a trupy, wciąż zastygłe w pozach, w których zamarły, piętrzyły się na deskach pokładu niczym bale drewna.

– Wszyscy wyszliśmy na brzeg, żeby patrzeć, jak statek cumuje w zatoce, powiedział Abdiasz. – Cisza jak makiem zasiał, chociaż tłum był ogromny. Kiedy zarzucali kotwicę, słychać było każde szczęknięcie łańcucha.

Łodzie podpłynęły do statku, by odebrać żywych i zmarłych. Spośród ludzi stojących na brzegu nikt nadal nie wiedział, do której grupy zaliczają się jego bliscy. Jedenaście trupów, powtarzali. Siedemnastu wynędzniałych rozbitków.

Gdy wędrowali w stronę Belle Isle, pod Łazarzem zapadł się lód. Przemoczony do pasa chłopak z trudem stawiał na ziemi przemarznięte stopy i przez resztę drogi musiał opierać się na ramieniu Judy. Na pozbawionej drzew wyspie mężczyźni wzniesli ze śniegu ściany mające osłonić ich przed wiatrem; nocami wytrwale chodzili w kółko, dobrze bowiem wiedzieli, że zginą, jeśli tylko się położą. Łazarz stracił czucie w prawej stopie i nie był w stanie chodzić o własnych siłach. Ostatniego dnia chłopak był zbyt wycieńczony, by utrzymać się na nogach, Juda rozebrał go więc i wcisnął pod swój gruby sweter, zaraz przy skórze. Następnie przykucnął za śniegową ścianą i przykrył ich obu kurtką Łazarza. Tak ich znaleziono, dwóch mężczyzn wczepionych kurczowo w siebie. Wszyscy brali Łazarza za martwego. Nie byli w stanie ich rozdzielić, nawet po tym, jak zanieśli ich na statek. Kapitan nie miał zamiaru wpuścić pod pokład mężczyzny z trupem w ramionach, Juda musiał więc siedzieć z chłopakiem na pokładzie przykryty foczymi skórą oraz kożuchem zbierającego się na nich kwietniowego śniegu. Łazarz nie otworzył oczu,

dopóki nie zaniesiono go do Trzewia i nie ułożono przy ogniu. Wdowa po Devinie rozcięła nożem ubrania Judy i wyswobodziła chłopaka.

Azariasz powiedział, Stopa Łazarza była odmrożona aż do kostki, wdała się już gangrena. To Wdowa po Devinie amputowała nogę. Użyła jedyne narzędzia, jakie się do tego nadawało, czyli zwykłej piły do drewna. Na myśl o tym Az przerwał na chwilę opowieść. – Ta kobieta była srogim stworzeniem, doktorze. Przewiązała nogę nad kolanem i urznęła ją bez wahania. Młodemu Łazarzowi wsadziła w usta wędzidło. Ranę odkaziła pogrzebaczem rozgrzanym w kominku.

– Tak samo jak wtedy, kiedy zaopiekowała się czworonogą kurą.

Bracia pokręcili głowami, zadziwieni zagadkowym związkiem pomiędzy wydarzeniami wpisanymi w początek i koniec jej życia na wybrzeżu.

– A co się stało z Callumem? spytał Newman.

Azariasz wysypał fusy do ognia i wyczyścił kubek w śniegu. – Callum nie dotarł nawet na Belle Isle, odparł.

– Opuścili statek razem, ale kiedy doszli do wyspy, Calluma już z nimi nie było.

– Pewnie został w tyle i w zawiei zgubił ich ślady albo na chwilę usiadł i nigdy się już nie podniósł.

– Tak po prawdzie, to był już staruszkciem, powiedział Abdiasz. – No i ta jego kulawa noga. Chyba nie powinien w ogóle wybierać się na lód.

– Po tym wszystkim Lizzie lekko zdziwaczała. Aż do śmierci przy każdym posiłku nakrywała do stołu również dla Calluma.

– A w małego Henleya, który urodził się parę lat później, była zapatrzona jak w obrazek. Jeśli chce pan znać moje zdanie, zepsuła chłopaka. Podcierała mu tyłek, kiedy był już prawie tak duży, żeby głosować.

– Lizzie nigdy by nie pozwoliła, żeby Bride Freke zbliżyła się do

niego na krok.

– Dlaczego? spytał Newman. – Co jest nie tak z Bride?

– O, doktorze, to ciężki przypadek. Najcięższy. Jej matka była jedną spośród Tibbo z Trzewia, znaczy, *bushbornem*. Umarła podczas porodu Bride.

– A wtedy jej ojciec, Jim Freke, wziął za żonę jedną z córek Henry’ego Joliffa. Loretę.

– Loll nigdy nie polubiła Bride, która była dzieckiem innej kobiety.

– No i do tego *bushbornem*, dodał Azariasz. – Loll nazywała dziewczynę *Jackie-tar*^[6]. W zasadzie traktowała ją jak gówno, jeśli chciałby pan znać całą prawdę. Bride została wychowana, mniej lub bardziej, przez rodzinę matki z Trzewia.

Abdiasz: Zesłej wiosny przyłapali Bride, jak próbowała wymknąć się z workiem ziemi z ich ogródka, to znaczy przyłapała ją Mary Tryphena z Henleyem. Wrzeszczeli tak, że słyhać ich było pewnie i wpół drogi do Red Head Cove.

– Próbowwała ukraść worek ziemi?

– Panie doktorze, w tych okolicach każdy skrawek żyznej gleby jest na wagę złota. Trzeba całymi latami nawozić ziemię kapelanami i wodorostami, żeby zechciało wyrosnąć z niej choć parę pędów. Zdarzyło się już, że krew połała się o pół akra ogródka.

– Ale tym razem obyło się bez rozlewu krwi. Henley po prostu przytrzymał Bride, a Mary Tryphena wyrwała jej worek z rąk. Głupia dziewczyna darła się tak, jakby obdzierali ją ze skóry.

– Trudno stwierdzić, jak od takiej awantury doszli do tego, że teraz mieszkają pod jednym dachem, no i jeszcze łączą ich dziecko.

[6] *Jackie-tar*, *jackatar* – pogardliwe określenie oznaczające Nowofundlandczyka mieszanej krwi, zazwyczaj francusko-indiańskiego pochodzenia.

– To niemal równie dziwaczna para, co Mary Tryphena i Juda.
Newman podniósł rękę. – Mary Tryphena jest żoną albinosa? spytał.

– Tak, a wszystko to sprawka wdowy, oznajmił Azariasz.

– Wdowy po Devinie?

– Właśnie po nim.

– W takim razie, powiedział Newman, próbując zwolnić bieg rozmowy, kim jest dla wdowy Mary Tryphena?

Trimowie wiercili się przez chwilę, ale poza tym nie okazali żadnych innych objawów zniecierpliwienia. – Wdowa po Devinie, powiedział Abdiasz, to matka Calluma Devine’a. Callum poślubił Lizzie, córkę Królowki. Zamilkł na chwilę, czekając na sygnał, że doktor za nim nadąży. – Callumowi i Lizzie urodzili się Mary Tryphena i Łazarz. Mary Tryphena jest żoną Judy.

– I to za sprawą wdowy?

– Stał już pan koło Judy, doktorze. Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie wyszłaby za niego z własnej woli.

– Nigdy nie dzielili wspólnego dachu, nie mówiąc już o łożu. Trudno mieć to Mary Tryphenie za złe.

– Jak by nie było, zauważył Newman, jakoś spłodzili Patricka i Henleya.

– Cóż, powiedział Abdiasz. – Patricka na pewno.

– Dobra, braciszku, ostrzegł go Azariasz.

Psy skomlały i wierciły się niecierpliwie w wydeptanych śladach, chciały już ruszać z miejsca. Bracia zaczęli zbierać i pakować sprzęt. Nalegali, by resztę drogi doktor przesiedział w saniach, a po grzecznościowej dyskusji Newman przystał na ich propozycję i umościł się pod kożuchem, aby stamtąd przyglądać się okolicy sunącej mu przed oczami. Gdy po chwili zapadł w płytki sen, znowu przyśniła mu się Bride, widział jej zwróconą do góry twarz, wyrывał jej trzonowce z głębi ust,

a ogromne, czarne oczy wpatrywały się prosto w niego. Śniło mu się, że klęczy między jej nogami i zszywa poszarpane ciało, kształtując palcami jego delikatne fałdy w coś na podobieństwo kobiecości, a ona szeptała do niego słowa, które usilnie – lecz bezskutecznie – próbował sobie przypomnieć, gdy wreszcie obudził się na mrozie.



Na wybrzeżu panowało zgodne przekonanie, że przeznaczeniem mężczyzn z rodziny Devine'ów jest życie w cieniu kobiet. A Bride Freke, chociaż dwa razy młodsza od Henleya Devine'a, była dla niego zbyt kobieca.

Henley od urodzenia sprawiał wrażenie kogoś, komu świat wyrządził jakąś krzywdę, przez całą młodość był więc rozpieszczany, chroniony i psuty. Babka chłopca poświęcała każdą chwilę na rozpoznawanie i zaspokajanie wszelkich jego potrzeb. W ten sposób Henley doszedł do przekonania, że jego bezpieczeństwo i wygoda stanowią jedyny sens miłości kobiety, co przed trzydziestką skutecznie uniemożliwiało mu znalezienie żony.

Bride była dokładnie taką kobietą, jakiej Henley nie chciałby mieć za żonę – twardą, bezwzględną i szukającą zwady. Kiedy się z nią przespał, nie myślał bynajmniej o miłości czy ożenku, podobnie zresztą jak ona. Był pijany, a Bride postanowiła wyruchać go w ramach zemsty – chciała poniżyć bezradnego jakaś, który przytrzymał ją, gdy jego matka kradła jej jutowy worek pełen ziemi. Zaciągnęła go za kutasa tam, gdzie jej się podobało, jak marionetkę na sznurku, a kiedy skończyła, zostawiła go na mchu ze spodniami ściągniętymi do kostek. Potem miała go jeszcze dwa razy, żeby mocniej zacisnąć pętlę, a w końcu go porzuciła. Ignorowała go, drwiła z dukania i zasadniczo uważała, że się z nim rozprawiła.

Cztery miesiące później, kiedy przyszła do domu Mary Trypheny bez ani jednego zęba w ustach, była w ledwo widocznej ciąży.

– Bride, jesteś przekonana, że to dziecko Henleya?

– Owszem, miła pani.

– Ale nie ma pe-pe-pewności, wydukał cicho Henley.

Mary Tryphena odwróciła się i popatrzyła na syna. Jak to miał w zwyczaju, podczas trudnych rozmów pocierał wierzchem dłoni malutki podbródek, którym został obdarzony przez naturę. Już przez ten odruch sprawiał wrażenie, że się miga i mówi co innego, niż tak naprawdę myśli.

– Jak sobie posłałeś, powiedziała Mary Tryphena, tak się, do cholery, wyśpisz.

– Już się wyspał, poprawiła ją Bride, a teraz niech po sobie, kurwa, pościele.

W dwa tygodnie po porodzie Mary Tryphena zdjęła Bride szwy. Nie siłała się nawet na delikatność; wrywała nić tak, że dziewczyna zachłystywała się bólem. Nie miała pojęcia, jakie okoliczności musiały się zbiec, żeby na świat przyszło dziecko tak dziwacznej pary, jednak nie znajdowała w sobie współczucia ani dla dziewczyny, ani dla własnego syna.

Tamtej nocy, gdy poczęli Henleya, pomyślała Mary Tryphena, poddali się przeznaczeniu, poddali się gwiazdom. Temu wyświechtanemu kłamstewku. Gdy Absalom odsunął lampę na kraniec stołu, ciemności zalały ich niczym cień tego, co nieuniknione. Nieważne, że był ojcem pięciorga dzieci, z których najmłodsze przyszło na świat przed paroma godzinami i spało na piętze u boku jego żony. Gdy ją całował, czuła jego ręce na swoich piersiach, a całował tak jak jeszcze nikt, jak jeszcze nigdy. Kiedy przyciągnął ją do siebie, poczuła jego kutasa. Poczłapali koślavo do pokoju dla służby, do łóżka Virtue, mocując się ze sprzączkami i guzikami.

– Nie tak mocno, zasyczała Bride, ale Mary Tryphena, w której wspomnienia wzniciły wściekłość, wyrwała kolejną pętlę jednym, mocnym szarpnięciem.

– Już pora, żebyście się z Henleyem pobrali, moja panno, powiedziała.

Bride wprowadziła się do ich domu jeszcze tego samego dnia, którego obwieściła im, że jest w ciąży, jednak Mary Tryphena nie pozwoliła parze zamieszkać we wspólnej izbie przed ślubem. Dziewczyna została wychowana w wierze katolickiej i nie zamierzała dać satysfakcji zadufanemu w sobie pastorowi Dodge'owi, przechodząc na protestantyzm, wciąż spali więc z Henleyem w osobnych łóżkach. Pomimo niechęci, jaką do siebie pałali, od czasu do czasu – kiedy zostawali sam na sam – pieprzyli się po kryjomu, traktując to jako pewne pocieszenie w swoim smutnym położeniu. Bride siadała okrakiem na kolanach Henleya i biła go otwartą dłonią po jego pozbawionej brody twarzy albo wciskała mu pięść w usta. – Ty dłużaśny sku-ku-kurwysynu, drwiła z niego, a on ryczał przez knebel jej ręki, podskakując tak, że o mało nie zrzucił jej na podłogę. Poza tym ich kontakty ograniczały się do awantur o nawrócenie i małżeństwo. Henley groził, że wyrzuci ją razem z dzieckiem, jeśli dalej będzie się upierać. W odpowiedzi Bride rzucała w niego butami, kawałkami drewna, widelcami i nożami, a raz nawet cisnęła w niego rozgrzanym do czerwoności żelazkiem zdjętym z pieca. Łazarz Devine, który niedawno wrócił po sezonie przepracowanym na Labradorze, słyszał te hałasy aż w domu, który zbudował na kamiennych fundamentach pozostałych po starej chacie wdowy. – Bardzo możliwe, że go zabije, zamiast za niego wyjść, powiedział do Judy. Mary Tryphena zносиła to wszystko, nie opowiadając się po żadnej ze stron. – Poczekajcie, aż dziecko przyjdzie na świat, mówiła. – Wtedy wszystko się ułoży.

Złapała mocno za nic i wyciągnęła kolejny szew. – Nie możesz pozwolić, żeby dzieciak żył bez chrztu.

– Zostanie ochrzczony.

– A jak sądzisz, który kapłan zechce go ochrzcić, jeśli nie pobierzecie się z Henleyem?

Bride czuła, że to nie jest najważniejszy moment na dyskusję. Leżała na plecach, ze spódnicą podwiniętą na biodra, a Mary Tryphena, która szarpała ją tam na dole, zdawała się mieć nad nią nieuczciwą przewagę. – Zostanie ochrzczony, o więcej niech się pani nie martwi.

Dzieciak urodził się z pleśniawkami, które upstrzyły jego usta bielą. Infekcja sprawiła, że karmienie piersią zmieniło się w istne katusze. Kiedy synek ssał jej pierś, Bride zdawało się, że po jej sutku przesuwają się setki drobnych ostrzy. Taka słodka, czarna główka, taki niewinny apetyt. Na ból nic nie można było poradzić. Bride nie uroniła ani jednej łzy. – Ty pieprzony gnojku, szeptała do syna ssącego pierś, podtrzymując na zgiętej dłoni jego delikatną główkę. Była przekonana – tak jak jeszcze nigdy, tak jak jeszcze o niczym – że należy tylko do niego, że dla niego będzie w stanie zrobić wszystko. Kiedy Mary Tryphena przeszła przez kuchnię z koszem pełnym prania, Bride powiedziała, W porządku, pobierzemy się.

– Tak właśnie należy zrobić.

Bride nie była jednak gotowa na pełną kapitulację, dodała więc, Przejdziemy na metodyzm.

– Jezu, Bride.

– Niech pani przekaze Henleyowi, że tak właśnie będzie, o ile chce poślubić matkę swojego syna.

Ślub odbył się w surowej, drewnianej kaplicy metodystów, a zaraz po ceremonii Harold Callum Devine został ochrzczony i stał się członkiem Kościoła metodystycznego. W późniejszej części nabożeństwa, podczas wszystkich hymnów i czytań, Bride karmiła dziecko pod kocykiem, a najeżona kolcami obręcz jego ust zaciskała się na jej ciele tak, że z bólu ćmiło jej się w oczach, a umysł wymieciony został z wszelkiej

myśli. Pastor Violet wygłosił czterdziestopięciominutowe kazanie, podczas którego hipnotyczny rytm jego na przemian wznoszącego się i opadającego głosu ukołysał do snu zarówno dziecko, jak i Henleya. Bride chłonęła natomiast każde słowo. Fizyczna ulga, którą poczuła, gdy dziecko przestało ssać pierś, wprawiła ją w stan wyostrożonej uwagi; myśli miała jasne i skupione. Po kazaniu, gdy wierni zaczęli wygłaszać z ławek swoje świadectwa, stary Clar Bozan wstał, wznosząc ręce ku drewnianym krokwiom. Bride widywała już Clara wpadającego w stan religijnego uniesienia podczas pracy na przystani lub spacerów po nabrzeżu. Zawsze uważała go za głupca, z tą jego odrzuconą w tył głową i ubraniami tak wyświechtanymi, że wyglądały, jakby spadły na niego z niewyobrażalnej wysokości. – Walmy Pana, walmy Pana, krzyczał. – W niebiesiech spodkam mą kochaną madkę starowinę.

Teraz na jego widok poczuła tylko współczucie; wypełniła ją litość biblijna i matczyzna zarazem. Poczuła pewność, jakiej nie zaznała jeszcze nigdy dotąd. Wzniosła wolną rękę ku górze i pośród zgłębku wykrzyknęła „Amen!”, przy okazji wybudzając Henleya ze snu.

Henley odchylił się w ławce i przyjrzał się kobiecie, którą dopiero co poślubił. Tamtej nocy, gdy na świat przyszedł Harold Callum Devine, Henley musiał patrzeć, jak doktor rozcina dziewczynę od dziobu do rufy; widział krew i gówno na stole, widział dziecko wyszarpywane z niej tak, jak przy pomocy toporów i lin obala się drzewo. Fakt, że ujrzał ją tak splugawioną i bezradną, sprawił, że na myśl, iż mógłby z nią żyć jak mąż z żoną, czuł jedynie wstręt. A teraz poczuł jeszcze przerażenie, widząc, że zawładnął nią jakiś nieznany duch.

Tej nocy położyła między sobą a mężem śpiące niemowlę, jakby tyczyła w łóżku granicę. Henley nie próbował jej przekroczyć. Bride traktowała dziecko jako tymczasową barierę – czuła się jeszcze zbyt pokiereszowana, by wpuścić kogokolwiek między swoje nogi, a poza tym

jej umysł był wciąż tak wypełniony światłością Pana, że nie myślała o bardziej przyziemnych rozkoszach. Henley najwyraźniej uznał, że został na dobre zwolniony ze swoich obowiązków. Bride i Henley Devine'owie całe lata spali w jednym łóżku, ale ich małżeństwo nigdy nie zostało skonsumowane.

Nagle nawrócenie Bride było równie zaskakujące, co całkowite. Poprzysięgła sobie, że skończy z pićm i przeklinaniem, zaczęła chodzić na spotkania modlitewne, a w każdą niedzielę odwiedzała świątynię dwukrotnie. Śpiewała hymny podczas karmienia i przewijania dziecka, podczas prac na brzegu i w domu. Wieczorami uczyła się w kościele czytać, by móc samodzielnie zgłębiać tajemnice Pisma. Łazarz stwierdził, że Bride może jeszcze co prawda przywieść Henleya do śmierci, ciągnąc go bezustannie na niekończące się metodystyczne nabożeństwa, ale bardziej krwawy mord nie wchodzi już w grę.

Mary Tryphena wiedziała o tym – i uważała to za dobry znak – że kiedy Bride była w ciąży, para robiła użytek z czasu spędzanego sam na sam. Jednak po ślubie w ich łóżu małżeńskim działo się tak niewiele, że Henley mógłby równie dobrze sypiać w domu obok, razem z Łazarzem i Judą. Wyraźny dystans dzielący nowożeńców kojarzył się Mary Tryphenie z bliźniaczym niedostatkiem tkwiącym w sercu jej małżeństwa. Gdy Bride przeistoczyła się w łagodną owieczkę z zagródki Pana, w domu zrobiło się spokojniej, z czego Mary Tryphena akurat się cieszyła. Nie mogła natomiast nic poradzić na to, że przy nich czuła się bardziej samotna.

Pewnej kwietniowej niedzieli Łazarz i Patrick złożyli jej wizytę. Zajmowała się akurat dzieckiem pod nieobecność Bride i Henleya, którzy poszli na wieczorne nabożeństwo. Patrick wziął chłopaka na ręce i zaczął przechadzać się z nim po kuchni. Łazarz usiadł przy stole, odczepił drewnianą nogę, położył ją na krześle i w zamyśleniu potarł ręką kikut. Przyjął filiżankę herbaty, zapytał, jak sypia dziecko, pogdybał na

temat pogody na lato i powspominał przez chwilę dziwactwa ich matki, która po śmierci Calluma nadal nakrywała dla niego do stołu. Gdy już prawie dopił herbatę, wspomniawszy mimochodem, że w tym roku Henley chciałby wybrać się z nimi na Labrador. Tak, jakby była to tylko jedna z nieistotnych spraw, które akurat przeszły mu przez myśl.

Mary Tryphena spojrzała na Patricka, który nucił coś dziecku na ucho, dając jej w ten sposób do zrozumienia, że nie interesuje go ta rozmowa. Byli jak dwa halsujące statki, zmierzające na północ, lecz skręcające to na wschód, to na zachód, mozolnie nabierające wysokości małymi, pozornie pozbawionymi znaczenia odcinkami. Obu mężczyzn od urodzenia cechowała ta sama skłonność do podstępnej owijania w bawełnę, która zmieniła dzieciństwo Mary Trypheny w piekło.

Lazarz zaczął wiercić się na krześle. – Przyszedł do mnie i poprosił wprost, żebym zajął dla niego miejsce.

Juda i Łazarz byli pierwszymi rybakami, którzy porzucili tutejsze łowiska i zaczęli co roku pływać w maju na wybrzeża Labradoru. Znaleźli tam ryb pod dostatkiem i tak, po raz ostatni, magiczne szczęście Judy pociągnęło za nim mężczyzn ze wszystkich zakątków wybrzeża. Setki rybaków prowadziły ten sam tułaczy żywot, spędzając całe lato z dala od domu. Pływali na północ już od trzech dziesięcioleci. Jeśli pozwalała na to pogoda, wracali dopiero we wrześniu lub październiku, kobiety z rodziny Devine'ów musiały więc przez pół roku radzić sobie same.

Lazarz wypił ostatni łyk herbaty, sięgnął po drewnianą nogę i zabrał się za zapinanie skórzanych pasków. Spytał, Myślisz, że to dobry pomysł, żeby z nami płynął?

– A dlaczegożby nie?

– Coś podejrzanie nagle zachciało mu się płynąć na Labrador. Wcześniej w ogóle go to nie interesowało. To chyba nie wróży zbyt dobrze jego małżeństwu?

To był unik, Łazarz nie chciał głośno wypowiadać prawdziwych obaw co do Henleya. – A co ty wiesz o tym, co dobre dla małżeństwa? spytała ostro Mary Tryphena.

Łazarz wstał i kilka razy tupnął drewnianą nogą, jakby sprawdzał lód na sadzawce. Ludzie mówili, że przed laty na Labradorze wziął za żonę Eskimoskę; że spłodził tam dzieci mieszanej krwi noszące nazwisko Devine. – Podejrzewam, że wiem o tym mniej więcej tyle samo, co ty, odparł, jakimś cudem wymawiając te słowa bez cienia złośliwości.

Kiedy na świat przyszedł Henley, Mary Tryphena i Juda nie sypiali ze sobą już od wielu lat. Jesienią tamtego roku, gdy Juda wrócił z Labradoru, dowiedział się, że jego żona jest w ciąży. Fakt, iż Henley przyszedł na świat w lutym, wywołał na wybrzeżu falę spekulacji, a zresztą, nawet gdyby termin narodzin dziecka nie wzbudzał żadnych podejrzeń, wzbudziłoby je to, że chłopak ewidentnie nie miał nic wspólnego z Judą. Skórę miał jasną, ale nie bladą, mała kępka włosów na jego głowie była czarna jak owcze bobki. W reakcji rodziny i sąsiadów na narodziny chłopca było coś niezręcznego, jakby urodził się z jakąś ułomnością, której wszyscy starali się sumiennie nie dostrzegać. Juda był wobec chłopca uprzejmy, jednak nie było między nimi miejsca na swobodę czy cieplejsze uczucia. Henley nigdy nie bywał w domu Łazarza i nigdy nie znalazł z mężczyznami wspólnego języka. Lizzie obchodziła się z dzieciakiem jak z jajkiem – tak, jakby chciała zadośćuczynić za wysłanie męża na śmierć na lodach Labradoru – Henley spędzał więc czas z kobietami, wśród których czuł się mile widziany.

Gdy Łazarz stał już w drzwiach, Mary Tryphena spytała, A co Juda sądzi o pomyśle, żeby Henley z wami popłynął?

Łazarz uśmiechnął się do niej, zakłopotany tym, że odniosła się tak bezpośrednio do sedna sprawy. – Juda nie powiedział ani tak, ani nie.

– Jeśli Henley popłynie, Patrick będzie miał na niego oko, powiedziała.

Skinęła głową na syna, jakby potrzebował jej zachęty do podjęcia tego zobowiązania.

– W porządku, powiedział Łazarz.

Gdy Łazarz wyszedł, Patrick odłożył dziecko na kanapę, przed upadkiem na podłogę zabezpieczył je słomianą poduszką. Poprosił o herbatę, za którą na wejściu podziękował, i zasiadł na krześle, z którego przed chwilą wstał Łazarz. Mary Tryphena zakrzętnęła się z filiżankami i cukrem, a następnie nachyliła się nad dzieckiem, żeby sprawdzić, czy nie trzeba go przewinąć. – Jesteś niezadowolony, powiedziała do Patricka.

– Nie, nie jestem, odparł.

Jednak nie był w stanie ukryć swojego zapachu, znamionnego piętna ojca, które dochodziło właśnie do głosu. – Nie kłam, Patricku Devine.

– Henley nie odróżnia własnej dupy od dziury w ścianie, powiedział.

– Cóż, jeśli nie stać cię na to, żeby zaopiekować się krewnym.

– Jezu, mam, przecież on tam zginie. Dlaczego bierzesz jego stronę?

Na to Mary Tryphena nie potrafiła znaleźć żadnej odpowiedzi, poza tym, że Henley potrzebował kogoś, kto wzięłby jego stronę w dyskusji z mężczyznami. Gdy urodziła Henleya, Patrick miał piętnaście lat i był już dość duży, żeby poradzić sobie z dodawaniem. W wieku osiemnastu lat poślubił Druce Trock, żeby wyprowadzić się z domu – żeby zwiększyć dystans dzielący go od prawdy o bracie – i wybudował dom na skraju Małego Ogrodu.

– Chyba nie ty podsunęłaś mu myśl, żeby z nami płynął? spytał Patrick.

Mary Tryphena spuściła wzrok. – Nie jestem aż tak złośliwa, powiedziała.

W połowie maja dwustu tutejszych mężczyzn i chłopców załadowało swój sprzęt i prowiant na statek Sellersa mający zabrać ich na Labrador. Zanim w siąpiącym miarowo deszczu mężczyźni popłynęli łódkami

ku statkowi stojącemu na kotwicy w zatoce, duchowni pomodlili się o błogosławieństwo dla mającego potrwać całe lato przedsięwzięcia. Henley wypływając wpatrywał się w ocean; nie podniósł nawet ręki na pożegnanie.

Amerykański lekarz, który również przyszedł na brzeg, aby przyrzec się temu exodusowi, przechadzał się w tłumie, ściskając dłonie na pożegnanie, wymieniając się opowieściami i udzielając porad medycznych. Newman podszedł celowo do Mary Trypheny stojącej na pomoście z Bride i dzieckiem. Przez chwilę trzymał swojego imiennika w powietrzu, jakby próbował odgadnąć jego wagę, po czym złożył go w ramionach matki. – Jest tłusciutki jak cielę, powiedział.

Mary Tryphena przyglądała się ukradkiem Absalomowi i Leviemu Sellersom, którzy przyszedli na przystań, aby nadzorować załadunek prowiantu. Levi stał z dłońmi opartymi na biodrach i mówił coś przez ramię do Absaloma. Wskazał ręką statek, na którego pokład właśnie wdrapywał się Henley z resztą Devine'ów. Absalom spojrział w tamtą stronę, lekko kiwając głową, po czym odwrócił się do tłumu i zaczął patrzeć kolejno po twarzach. Mary Tryphena odwróciła wzrok, aby uniknąć jego spojrzenia.

Przez resztę maja i cały czerwiec utrzymywała się uporczywa mżawka i mgła. Kobiety zajmowały się oczyszczaniem Dużego Ogrodu z kamieni wyniesionych na powierzchnię przez zimowe mrozy i przywlekaniami kolejnych porcji kapelanów i wodorostów mających użyźnić glebę. Bride namówiła żonę i córkę Patricka do przyjścia na nabożeństwo metodystów – obie poczuły się w nowej wierze jak ryby w wodzie. Druce i Martha nawróciły się zanim przyszła pora na sadzenie ziemniaków. Kobiety we trójkę siały warzywa, żegnając nasiona śpiewem.



Absalom przyszedł dopiero w sierpniu, chociaż spodziewała się jego odwiedzin, odkąd tylko mężczyźni popłynęli na Labrador. W niedzielę Mary Tryphena siedziała w domu sama z niemowlęciem Bride, a pozostałe kobiety były na wieczornym nabożeństwie. Uchylił drzwi na tyle, by zajrzeć do środka.

– Jeśli zamierzasz wejść, to wchodź, powiedziała niecierpliwie.

Absalom oparł łaskę o krzesło, ale nie usiadł. Przechylił się lekko, by odciążyć bardziej schorowane ze swoich kolan. W kwiecie wieku był z niego owiany legendą piechur; zasłużył sobie na przezwisko „Pan Gallery” z powodu niezliczonych mil, które przemierzył ścieżkami w głębi łądu oraz ze względu na ponury wyraz twarzy, z jakim witał wszystkich, których spotkał na swojej drodze. Później jednak ochromiał, a teraz ledwo potrafił pokonać bez laski odcinek równy długości swojego ciała. – Co, na rany Boskie, Henley robi na Labradorze?

– Sam poprosił o miejsce w załodze.

– Wiesz, że nie nadaje się do takiego życia.

– Patrick obiecał, że będzie miał na niego oko.

– Niech to piekło pochłonie, powiedział Absalom, co było najbardziej obsceniczną wypowiedzią, na jaką potrafił się zdobyć. Pokuśtykał przez pokój, przyjrzał się dziecku leżącemu na kanapie i pokręcił głową. – Nie potrafię pojąć, jakim cudem Henley skończył z kimś takim jak Bride Freke.

– Nie sądzicie, a nie będziecie sądzeni, powiedziała Mary Tryphena, na co Absalom skrzywił się tak, jakby złapał go skurcz. Oboje byli zawstydzeni, że muszą borykać się z konsekwencjami jednej chwili nierozwagi, dziś już tak odległej, jakby przytrafiła się innym ludziom.

Mary Tryphena nie asystowała wcześniej przy narodzinach dzieci Ann Hope, jednak podczas porodu Leviego posłano po nią. Po wyjściu główki dziecko utknęło, a Mary Tryphena musiała spędzić pół wieczora,

przeciskając jego ramię koło chrząstki rozpiętej pomiędzy kośćmi łonowymi. Ann Hope była tak wycieńczona, że pomiędzy skurczami zasypiała. Gdy w końcu Levi przyszedł na świat, wąty i siny, Mary Tryphena została u nich przez jakiś czas, by czuwać nad dzieckiem. Dopiero po zachodzie księżyca zostawiła matkę i chłopca pod opieką Virtue, zeszła po schodach i ruszyła korytarzem w stronę drzwi dla służby. Zakładała, że wszyscy domownicy śpią, ale na dźwięk kroków Absalom wstał z krzesła i zwrócił się w jej stronę akurat, gdy weszła do kuchni. – Potrzebuje pani czegoś, pani Devine? spytał.

Zerknęła na stół, przy którym Absalom spędził całą noc i większość poprzedniego wieczoru, kartkując książki rachunkowe przy świetle lampy Ralphi Stone'a, dorzucając drewno do ognia, by czajnik wciąż lekko szumiał na kracie paleniska. – Właśnie wychodziłam, odparła. – Jeszcze tylko jedna sprawa. Minęła go i podeszła do szafek. Otwierała je po kolei, aż wreszcie znalazła to, czego szukała. Sięgnęła po filiżankę leżącą do góry dnem na najwyższej półce. Absalom przyglądał się jej, przekrzywiając głowę. – Myślałam, że to może pomóc Adelinie, wyjaśniła.

– To ma coś wspólnego z jej kurzajkami?

– Poprosiłam Virtue, żeby postawiła tu dla mnie tę filiżankę.

– Czy Ann Hope o tym wie?

Mary Tryphena podała mu naczynie. – Wątpię, czy Virtue by do mnie przyszła, gdyby pana żona jej nie przysłała.

Przyjrzał się filiżance, obracając ją w dłoniach. – W takim razie zaciągnęliśmy chyba wobec pani kolejny dług, powiedział. – Na ciele Adeliny nie ma już śladu po kurzajkach.

Izba otulała ich ciepłem bijącym od ognia, rękawy koszuli Absaloma były podwiniete do łokci. Nie było im dane cieszyć się taką bliskością od tamtej chwili, gdy jako dzieci siedzieli w gałęziach Drzewa Kerrivanów i przyglądali się festiwalowi rozpusty zorganizowanemu na Wygonie

przez ojca Phelana. Absalom postawił filiżankę na stole obok planszy do warcabów, przy której zeszłego wieczora starał się rozerwać Adelinę, oczekując z nią na wieści o dziecku. Mary Tryphena sięgnęła po warcaby i zaczęła bawić się nimi w roztargnieniu. Usłyszała, że w ciemnej izbie, położonej gdzieś na tyłach jej umysłu, Wdowa po Devinie nazwała ją próżną kretynką za to, że pokazała filiżankę Absalomowi, że nadal stała w jego kuchni. Wpatrywała się w stół, wciąż unikając jego spojrzenia. – To plansza Królowki? spytała.

– Jego plansza, owszem, ale większości warcabów brakowało już wtedy, gdy byłem dzieckiem. Do gry używaliśmy kamieni.

– Pamiętam, jak na was patrzyłam, powiedziała. – Na plaży, tego dnia. Urwała, nie chcąc wspominać o Judzie.

– Już całe lata temu uzupełniłem brakujące bierki, powiedział, podnosząc jedną z nich. – Chciałaby pani rozegrać partyjkę?

– Nie znam ani jednej z zasad tej gry.

– To dziecinnie proste, powiedział. Odstawił kurzajkową filiżankę na parapet i przyciągnął do siebie planszę, zapraszając Mary Tryphenę, żeby usiadła. – Białą zaczyna, powiedział, gdy skończył objaśniać zasady. Wykonywali ruchy na zmianę; to było jak powolny taniec, biel i czerni układała się w splecione wzory, a rywalizacja miała taki posmak bliskości, że zdawała się wręcz występna. Mary Tryphena postawiła pionek na ostatnim polu po przeciwnej stronie planszy. – Królowka, powiedziała.

Absalom położył na pionku drugi biały pionek i wyrównał je starannie palcami wskazującymi. – Jest pani pewna, że nie grała pani wcześniej w tę grę?

– Pozwala mi pan wygrać, panie Sellers.

Absalom podniósł ręce w geście kapitulacji.

– Powinnam już iść, powiedziała Mary Tryphena.

Absalom sięgnął do lampy i odsunął ją, przez co pokój jeszcze głębiej

zapadł się w ciemność. – Masz przepiękne włosy, powiedział.

Dziecko Bride poruszyło się nagle na kanapie. Gdy się budziło, jego małutkimi kończynami wstrząsnął skurcz, a Mary Tryphena przeszła przez izbę i wzięła niemowlę na rękę.

– Jesteś pewna, że to syn Henleya? spytał Absalom.

– Macierzyństwo to rzecz pewna, powiedziała, natomiast co do ojcostwa. Zacytowała powiedzonko Wdowy po Devinie, chcąc zażartować z sytuacji, jednak Absalom znowu skrzywił się tak, jakby go kopnęła. – Skoro Henley ożenił się z dziewczyną, powiedziała, to najwyraźniej sam tak uważa.

– Niech to piekło pochłonie, powiedział Absalom, wznosząc twarz ku powale. – Mary Trypheno, zastanawiam się, co by było, gdybyśmy się pobrali; czy ja zabiłbym ciebie, czy ty zabiłabyś mnie?

Nigdy dotąd w tak otwarty sposób nie przyznał się do liściku, który podrzucił jej w młodości. Już zamierzała spytać, co go wtedy opętało, że użył tych wszystkich biblijnych czułych słówek, jednak Absalom najwyraźniej zdążył już pożałować wzmianki o małżeństwie. – Ann Hope będzie się niepokoiła, jeśli nie zastanie mnie po powrocie z kościoła, powiedział.

– Całkiem zasadnie, jak sądzę, powiedziała cicho Mary Tryphena. Spodziewała się, że ostrze hańby stępuje z czasem, jednak nawet teraz sama wzmianka o Ann Hope sprawiła, że jej twarz zapłonęła. Ann Hope: matka, która leżała z noworodkiem w pokoju na piętrze, podczas gdy ona, Mary Tryphena, pokracznie sunęła z jej mężem w stronę łóżka Virtue, gdy padł na nią ze spodniami opuszczonymi do kostek. Kiedy skończyli, przez jakiś czas leżeli w milczeniu. Oboje zdali sobie sprawę z otaczającej ich przestrzeni domu i zaczęli nasłuchiwać głosów lub czyichś kroków. Ręka Mary Trypheny była dziwacznie zawinięta pod jej plecy. Zdążyła już całkiem stracić czucie w kończynie przygniecionej ich wspólnym

ciężarem. – Wstawaj, powiedziała. Zaczęła się pod nim wiercić. – No, wstawaj, wstawaj. Sturlał się z niej, a ona, na tyle, na ile potrafiła, doprowadziła swoje ubrania do ładu, chcąc jak najszybciej wydostać się z jego domu.

Próbował wymówić jej imię, ale widmo jego dawnej przypadłości powróciło, by znów go nękać. To była pierwsza rzecz, którą ludzie zauważyli, gdy przyplłynął z Anglii: że niemal na dobre uporał się z jękami. Złapał ją za nadgarstek, chcąc, żeby zaczęła. Wolną ręką podciągnął spodnie. – Co-co-coś ci dam, powiedział.

Poczekala na niego w kuchni. Wróciwszy ze swojego gabinetu wręczył jej kopertę. Na dnie wyczuła jakiś twardy rdzeń: kamień, wysuszone nasiono czy coś takiego. Kiedy wytrząsnęła go z koperty, na blacie stołu zastukał odłamek bieli. Podniosła go, żeby lepiej się przyjrzeć. Gdy zdała sobie sprawę, co trzyma w ręce, wstrząsnął nią lekki przyplływ wstrętu.

– Pomyślałem, że powinnaś, powiedział. – Sam nie wiem. Nie na-na – należy do mnie.

Włożył ząb z powrotem do koperty i wcisnął ją Mary Tryphenie w ręce, jakby spłacał dług, jakby ten ząb miał uwolnić go od jakichkolwiek roszczeń z jej strony. Co za skończony błazen, na Boga, pomyślała. Odraza wezbrała jej w głębi gardła, a ten kwaśny posmak miał towarzyszyć jej potem przez wiele dni. Czuła go w ustach nawet teraz, po tylu latach odtwarzając w myślach wszystkie te wydarzenia.

Absalom odwrócił się od Mary Trypheny i dziecka, aby sięgnąć po łaskę. Chciał jak najszybciej wyjść. Coś z nim jest nie tak, pomyślała Mary Tryphena, ta bezbronność, której nie widziała u niego od dzieciństwa. Poczula potrzebę, by coś mu dać, zanim wyjdzie. – Mały ma oczy po tobie, powiedziała. Absalom właśnie przekraczał próg i nie był już w stanie spojrzeć prosto na nią, wzniosł więc tylko łaskę w drwiącym geście pożegnania.

Ruszył w górę Tolt Road ze zwieszoną głową, rozmyślając, jak zawsze po spotkaniu z Mary Trypheną, o zębie spoczywającym w koperocie. Wyruszył na poszukiwania w dzień po tym, jak ożenił się z Ann Hope; chodził w tę i w tę wzdłuż ścieżki, nie wiedząc, czego szuka, dopóki nie dostrzegł go w trawie. Wciąż nie potrafił pojąć, z czego zrodziła się w nim ta potrzeba. Przechowywał go przez wiele lat, aż w końcu wcisnął go Mary Tryphenie, traktując to jako pewną formę zadośćuczynienia; chcąc, by pojawiło się między nimi coś więcej niż ta plugawa, nędzna schadzka w łóżku służącej. Ząb jej męża. Niech to piekło pochłonie. Udowodnił, że jest skończonym błaznem, na Boga, o ile jakkolwiek dowód był w ogóle potrzebny.

Idąc w stronę Toltu czuł się obserwowany, jednak – nawet jeśli w oknach rzeczywiście pojawiały się twarze – widział już za słabo, żeby stwierdzić to z całą pewnością. Tylko Ann Hope z Levim wiedzieli, że jego wzrok się pogarsza, ale nawet Levi nie zdawał sobie sprawy z tego, jak szybko postępują zmiany. Niedawno Absalom stwierdził, że nie jest już w stanie czytać ani wypełniać ksiąg rachunkowych, w końcu więc wezwał do Domu Seliny lekarza. Obróciwszy jego twarz do światła, sączącego się przez okno na piętrze, Newman zaczął mu wodzić palcem przed oczami. W końcu usiadł i założył ręce. – Ile palców teraz pokazuję? spytał.

– Gdzieś pomiędzy jednym a pięcioma, odparł Absalom. Spytał lekarza, ile ma jeszcze czasu, zanim na dobre straci wzrok.

– To kwestia miesięcy, odparł doktor. – Być może lat, ale niewiele.

– Proszę nic nie mówić mojej żonie.

– Jestem tutaj, powiedziała Ann Hope, stojąca gdzieś po drugiej stronie izby.

Gdy schodził w dół Tolt Road, zdawało mu się, że jego ciało wszczęło otwartą rebelię. W stawach paliły go rozżarzone węgle. Ścieżka była

już tak szeroka, że mógł nią przejechać wóz zaprzężony w konia, wciąż jednak przytrafiały się na niej korzenie i kamienie, Absalom szedł więc z głową przekrzywioną w dziwaczny sposób, starając się kątem oka patrzeć pod nogi. Potknął się i zamachał rękami, by odzyskać równowagę. Poczuł się dokładnie tak, jak wyglądał. Był żalonym starcem. Owoce pracy całego jego życia miały trafić w ręce syna, który nim gardził. – Niech to piekło pochłonie, powiedział na głos.

Królówkę uważano za człowieka zamożnego, prawda była jednak taka, że przed śmiercią zdążył doprowadzić się na skraj bankructwa, udręczony bólem po stracie żony, którą kochał, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, wycieńczony roztrząsaniem wyśnionego w koszmarach losu nowego szkunera. Absalom nie przywiązywał większej wagi do snów, jednak Królówka zdołał wzbudzić w nim lęk ciągłym recytowaniem szczegółowej litanii klęsk i nieszczęść. Absalom w końcu ubezpieczył Cornelię na tak przesadną kwotę, że po zatonięciu szkunera mógł sobie pozwolić na sfinansowanie budowy większego statku, który radził sobie pośród lodów dużo lepiej. Później powiększył flotę o drugi i trzeci szkuner, a coroczne przychody ze zdobytych foczych skór wystarczały akurat na pokrycie strat ponoszonych w związku z nieudanymi połowami dorszy. Tę delikatną równowagę mógł zburzyć jeden chudy rok. Na zwiększenie zysków trudno było liczyć, biorąc pod uwagę, że większość towarów wytwarzanych na wybrzeżu trafiała bezpośrednio w ręce kompanii Spurrierów.

Kiedy Absalom praktykował w kancelarii w Poole, firma była znana pod nazwą Spurriers & Co. Po wojnach napoleońskich ceny dorsza gwałtownie spadły, a pozbawione odpowiednich środków obrotowych przedsiębiorstwo utrzymywało się na powierzchni tylko dzięki kolejnym podejrzanym manipulacjom finansowym. Brat Ann Hope nadal pracował jako jeden z księgowych kompanii, a dzięki jego listom Sellersowie byli

na bieżąco informowani o coraz bardziej osobliwych manewrach firmy. Absalom zdołał wykupić nieruchomości Spurrierów na wybrzeżu akurat na kilka miesięcy przed tym, jak dochodzenie w sprawie defraudacji pogrzyżyło kompanię na dobre. Transakcja przyniosła urzeczywistnienie tego, co w przypadku Królowki było tylko grą pozorów: Absalom stał się panem i władcą wszystkich otaczających go ziem, jak okiem sięgnąć. Kompania Sellers & Co. zaczęła na dobre przynosić profity dopiero po przeniesieniu się na łowiska u wybrzeży Labradoru. Do tego czasu Boston zdążył już odebrać Absalomowi troje dzieci. Pierworodna córka wyszła za mąż i wyjechała, jeszcze zanim Levi przyszedł na świat, a dwóch najstarszych synów opuściło wybrzeże niewiele później. Cała trójka uparcie namawiała rodziców, by wyprzedali wszystkie nieruchomości i również przeprowadzili się do Stanów.

Ann Hope nie wypowiadała się na ten temat – co było do niej całkiem niepodobne – ale i tak jej opinii nietrudno było się domyślić. Pomimo jej życiowej kruczaty przeciw brudowi i ciemnocie, większość mieszkańców wybrzeża nadal chodziła w łachmanach, dzieci cierpiały na krzywicę i suchoty, a tylko garstka potrafiła wyrecytować po kolei alfabet. W listach Nancy roilo się tymczasem od koncertów, spektakli, wieczorków poetyckich, kościelnych kiermaszy dobroczynnych, proszonych herbatek czy straganów uginających się pod warzywami i mięsami we wszystkich możliwych odmianach. Świeżych pomidorów. Gruszek. Już sam widok tych słów zapisanych na papierze sprawiał, że w gardle więzła jej jakaś bryła. Nie podzieliła się jednak z nikim choćby aluzyjną wzmianką na ten temat, oczekując, że tę jedną rzecz mąż zrobi dla niej sam z siebie. To właśnie sprawiło, że Absalom stał się takim ponurym wędrowcem w drugiej połowie życia. Zawiódł żonę, i to całkiem świadomie.

Zanim zszedł z Toltu, na ulice zdążyli już wylec wierni wracający z wieczornego nabożeństwa. Kiedy wrócił do Domu Seliny, w salonie

zastał Leviego z żoną siedzących w towarzystwie Ann Hope, Virtue oraz Adeliny, która właśnie nalewała im herbaty. Absalom zajął swoje miejsce obok Virtue tak, jakby właśnie wrócił z kuchni.

– Jak tam kazanie twojego ojca? spytał Flossie, a więc osobę najmniej skłoną do zignorowania go.

– Jeśli tak cię interesują teologiczne rozważania pastora Dodge’a, powiedziała Ann Hope, to może powinienes być wziąć udział w nabożeństwie.

– Tego wieczora jedynym błogosławieństwem, jakiego potrzebowałem, było świeże powietrze. Poszedłem Tolt Road aż do Sadržawki.

Pastor Dodge również odwiedził Dom Seliny, gdy tylko pożegnał ostatnich członków zboru. Zasiadłszy z filiżanką herbaty w ręce, powiedział, Absalomie, brakowało nam ciebie na nabożeństwie.

– Przeszedłem na metodyzm, odparł Absalom. – Tak jak wszyscy.

Dodge złożył usta w ciup, dając do zrozumienia, że w jego mniemaniu przytyk musiał mieć czysto humorystyczny wydźwięk.

– Podejrzewam, że niebawem będzie wielebny odprawiał nabożeństwa w pustym kościele.

– Niezbadane są wyroki Pana, odparł Dodge.

Levi przysłuchiwał się tej rozmowie, kreśląc filiżanką koła po spodku. Odczekał chwilę, aby upewnić się, że wymiana zdań dobiegła końca. – Słyszałem z paru źródeł, powiedział. Nadał swojemu głosowi możliwie najbardziej przejęty i niewinny ton. – Że w zeszłym tygodniu złożył wam wizytę doktor Newman?

– Przeszedł, żeby zerknąć na moje kolana, skłamał Absalom.

– Ostatnio mocniej ci doskwierają? Levi miał nos po matce, zdawał się zawsze spoglądać na rozmówcę z góry, sponad tego potężnego, orlego dzioba.

– Jestem już stary, powiedział Absalom. – Wszystko mi doskwiera.

– A jakież to cudowny lek wynalazł nasz doktor dobrodziej, że dziś wieczór postanowiłeś wybrać się na spacer aż do Sadzawki Czarnucha Ralpa?

– Levi, powiedziała Ann Hope.

Adelina oparła filiżankę na kolanach i westchnęła. Virtue wyciągnęła rękę do Absaloma, ujęła go za dłoń i uśmiechnęła się, wpatrując się w niego swoim nieobecny, przepełnionym czułością wzrokiem. Stara gosposia była wymówką, którą Absalom zasłaniał się zawsze, gdy Levi, Flossie czy wielebny Dodge wspominali o możliwości przeprowadzki do Stanów. Mówił, że Virtue jest już zbyt słaba, żeby zostawić ją tu samą albo zabrać w daleką podróż. Było w tym stwierdzeniu dość prawdy, by nadać mu pewną wagę, jednak i tak wszyscy zebrani w salonie dobrze wiedzieli, że Absalom chce zostać ze względu na Mary Tryphenę i Henleya – mężczyznę, z którym nigdy nawet nie porozmawiał.

Nawet Absalom miał problem z dopatrzeniem się w tym sensu: wprowadzał rozłam we własnej rodzinie ze względu na nieślubne dziecko, do którego nawet nie mógł się przyznać. Nie potrafił jednak zdobyć się na to, by na dobre porzucić Henleya, by zniknąć z życia syna tak, jak przed laty zniknęli jego rodzice. Wciąż zakładał, że jeśli tylko zostanie na miejscu i poczeka cierpliwie, to nadarzy się jeszcze okazja, by wszystko mu wynagrodzić.



Załogi zaczęły wracać z Labradoru w połowie września, a Devine'owie pojawili się w domu dwudziestego trzeciego po południu. W ciągu lata Amos, najstarszy syn Patricka, urósł o dobre pół stopy. Mary Tryphena nie rozpoznałaby go, gdyby nie jego siwe włosy i wyblakły błękit oczu.

Gdy dotarli do ogródka, Bride podniosła Henleyowi do oczu niemowlę, by mógł mu się przyjrzeć, a on powitał ją ostrożnym skinieniem głowy. Na podwórzu przed domem mężczyźni zrzucili z siebie ubrania, by wygotować ze szwów wszy i pchły. Mary Tryphena nie potrafiła się powstrzymać przed podpatrywaniem Judy stojącego nieco na uboczu. Na tle grupki nagich mężczyzn o identycznych, ślimaczo bladych torsach, od niemal pół roku ukrywanych pod jedną zmianą ubrań, jej mąż wyglądał niemal normalnie. Wszystkich bez wyjątku owiewał ten sam plugawy smrodek.

Mary Tryphenę uderzył fakt, że Juda właściwie nie zmienił się przez te wszystkie lata, dzielące ich od dnia, w którym po raz pierwszy zobaczyła go nagiego na plaży. Jego wiek nadal pozostawał tajemnicą, której nie sposób było odgadnąć na podstawie wyglądu. Czas obszedł się z nim łaskawie, pomyślała, chociaż to spostrzeżenie było tylko marnym przypisem do tego, co Mary Tryphena tak naprawdę czuła, a czego nie potrafiła wyrazić słowami: ten człowiek zdawał się trwać całkiem poza czasem.

Wszyscy byli w świetnym nastroju. Wyprawa się powiodła, ryby były już porządnie zakonserwowane. Nikt nie zginął, obyło się bez obrażeń poważniejszych niż siniaki czy zacięcia. W ostatnią sobotę sezonu Amos, któremu po raz pierwszy pozwolono napić się rumu, wrzucił drewnianą nogę Łazarza do ogniska. Nawet ten występek został już zredukowany do poziomu anegdoty, do opowieści, którą mężczyźni rozśmieszali się nawzajem i dokuczali chłopakowi. Łazarz stał nago na chłodnym, wrześnieowym powietrzu, trzymając w ręce nową nogę, którą wystrugał w drodze powrotnej. Paski były wykonane ze skóry odzyskanej ze starego fartucha.

– Mamo, nie po-po-pozwól Amosowi się zbliżyć do pie-pie-pieca, krzyknął Henley. – Po-po-popali nam wszystkie krzesła w do-do-domu.

Salwa śmiechu. Nawet na zmęczoną twarz Judy wpłynął nikły uśmiech. Mary Tryphena pozwoliła sobie na myśl, że może dobrze się stało.

Przez kolejne lata prowadzili ten sam wędracyjny tryb życia. W zimie Henley spał u boku żony w całkowitej wstrzemięźliwości, natomiast w sezonie korzystał z tych uciech, jakie mógł znaleźć na Labradorze. Nawet Harold Callum Devine wyczuwał, że jakieś przyzwyczajenie ciągnie ojca na północ. Chłopak nigdy nie zapalał do mężczyzny cieplejszym uczuciem, a jego coroczne majowe pożegnania z nieznajomym były równie chłodne, co jesienne powitania.

Patrick i Amos poszli w ślady kobiet i przyłączyli się do metodystów. – Spędzamy z dala od siebie za dużo czasu, żeby jeszcze co niedzielę chodzić do dwóch różnych kościołów, powiedział Patrick. Jedną z głównych atrakcji nabożeństw stanowiła Martha, która talent do śpiewu odziedziczyła po Callumie i wyśpiewywała hymny głośniej od reszty zgromadzenia. Białe włosy okalały jej głowę niczym aureola połyskująca bladymi barwami zorzy polarnej, a jej głos przywołał na myśl pienie istoty tylko na wpół ludzkiej. Wraz z Bride towarzyszyła wielebnemu Violetowi podczas jego letnich wypraw misyjnych po wybrzeżu. Przed każdym z pstrych zbiorowisk Bride wygłaszała świadectwa o zmianach, jakich Jezus dokonał w jej życiu, Martha natomiast odśpiewywała z pół tuzina hymnów.

Bracia Trim zgłosili się do pomocy przy misjach, oferując swoją łódź jako środek transportu. Amerykański lekarz nieraz pływał razem z nimi, by na przystaniach wyrywać zęby i nakłuwać czyraki. Wielebny Violet z początku nieufnie odnosił się do pomysłu, aby jego kaznodziejskiemu oddziałowi towarzyszył zaprzysiężony ateista, jednak ostatecznie zaczął doceniać fakt, iż fizyczna ulga i duchowe odrodzenie potrafią się nieraz doskonale uzupełniać. Podczas tych wypraw Bride zaczęła pełnić rolę swego rodzaju pielęgniarki; asystowała Newmanowi podczas zabiegów

wymagających dodatkowej pary rąk i pracowała razem z nim aż do rozpoczęcia nabożeństwa. Dźwięk hymnów *Amazing Grace* czy *Rock of Ages* śpiewanych przez Marthę pozbawiały Newmana ostatnich pacjentów, szedł więc w ślad za nimi i przystawał w drzwiach, aby przyglądać się nabożeństwu. Bride przechadzała się ze swoim synkiem, zbierając od ludzi drobniaki, a Martha śpiewała, wznosząc twarz ku powale. Zbiorowiska prostych, niepiśmiennych ludzi siedziały porażone tonem łaski pobrzmiewającym w jej głosie, a połowę spośród nich dźwięki te doprowadzały do łez.

Syn Bride już dawno zyskał przezwisko Tryphie nawiązujące do legendarnej, dziecięcej dociekliwości Mary Trypheny. Bride zdawała sobie sprawę z tego, że dzieci są dla Newmana męczące, starała się więc w miarę możliwości chronić lekarza przed chłopcem. Na pokładzie długiej na trzydzieści stóp łodzi Trimów nie sposób było jednak uniknąć przesłuchań.

– Jest pan Amerykaninem, stwierdził Tryphie, na co Newman przyznał, że owszem, jest. Chłopiec chciał wiedzieć, czy matka i ojciec doktora również byli Amerykanami, czy miał braci i siostry, a jeśli tak, to czy oni również byli Amerykanami. Czy miał psa, konia lub krowę i czy zwierzęta te również były Amerykanami? Właśnie takie dziecięce serie pytań najbardziej drażniły Newmana, starał się jednak nie okazywać tego w obecności Bride. – Owszem, odparł, mój pies jest Amerykaninem, mój koń jest Amerykaninem, moja krowa jest Amerykanką.

Tryphie z namysłem skinął głową. – Nie pasuje pan tutaj, oznajmił w końcu.

– Zgadza się, westchnął Newman. – Nie pasuję.

– To co tu pana sprowadziło?

Lekarz teatralnie wzruszył ramionami. – Nie mam pojęcia, odparł.

– Doktor został wezwany przez Pana, odpowiedziała Bride. – Ja

i Tryphie jesteśmy tego najlepszym dowodem. Przytoczyła fragment jednego z psalmów: *Na tobie polegał zaraz z żywota; tyś mię wywiódł z żywota matki mojej; w tobie chwała moja zawždy.*

Newman poczuł, że fala ciepła zalewa mu twarz. Odwrócił się w stronę otwartego morza. – Ekspertem od zagadnień religijnych jest tu raczej wasz wielbny Violet, stwierdził.

Bride powiedziała, Gdyby nie został doktor wezwany przez Pana, już dawno by nas doktor opuścił.

– Amen, zawtórowali Trimowie.

Rozpaczliwie próbując nakierować rozmowę na inne tory, Newman nachylił się do Tryphiego. – W Connecticut mam jeszcze świnię z Hiszpanii, powiedział. Pięć minut później Bride musiała nakazać chłopcu, by przestał wreszcie nękać doktora pytaniami o hiszpańską świnię. Powiedziała, Może pan jeszcze pożałować, że wymyślił to bajkowe stworzenie.

Newman przytaknął. Słowo „żałować” kojarzyło mu się niezmiennie z Barnabym Shamblerem. – Niczego pan nie żałuje? pytał Shambler za każdym razem, gdy Newman podpisywał kolejne przedłużenie kontraktu.

– Absolutnie niczego, odpowiadał Newman. Za każdym razem ta odpowiedź zdawała się jednak coraz bardziej wymuszona.

Żył w klinice samotnie, a kobieta, która w rzadkich chwilach spokoju zajmowała jego myśli, była mężatką i to na dodatek odrodzoną w wierze. Jego praca była żmudna, a rozwiązania, które mógł zaproponować pacjentom, prowizoryczne i na dłuższą metę nieskuteczne. W oczach jego ojca nie było to spełnione życie. W ciągu pięciu lat odwiedził dom rodzinny trzy razy; przy okazji podróżował po Stanach, starając się pozyskać środki na sprzęt i leki, próbując opisać realia życia na wybrzeżu przemysłowcom, politykom i zawodowym filantropom. Występował w college'ach, klubach dla pań i panów, kościołach czy prywatnych salonach

bogaczy. Przynosił zdjęcia fenomenów medycznych oraz wykonane szerokokątnym obiektywem fotografie budyneczków przytulonych do poszarpanego brzegu; obrazy tak dziwaczne, że zalatywały fałszerstwem równie mocno, co zdjęcia skrzydlatych wrózek unoszących się w ogródku. Słuchacze, zaciekawieni i rozbawieni jego opowieściami, zasypywali go niezliczonymi pytaniami o hiszpańską świnię.

Pewnej wiosny został wezwany na brzeg, gdzie, przecisnąwszy się przez szpaler gapiów, ujrzał Matthew Blade'a kłęczącego na płyciźnie i tulącego do brzucha własne jelita. Jego brat, James, kucał tuż przy nim; obaj chłopcy mieli zakrwawione twarze. Ktoś oznajmił, że bójka zaczęła się u Shamblera, a potem przeniosła na brzeg – jakby to wyjaśniało obecny stan rzeczy. Matthew ostrożnie nabierał w ręce wody i zmywał ze swoich flaków piasek, który przykleił się do nich, gdy upadły na plażę. W klinice Newman przejrzał wnętrzości pasmo po paśmie, po czym upakował je w brzuchu chłopaka. Rana została zadana z niemal chirurgiczną precyzją: nóż przeciął ścianę jamy brzusznej, nie uszkadzając przy tym żadnych narządów wewnętrznych. Lekarz zaszył warstwę mięśni i przystąpił do zamykania rany w skórze. To cud, oznajmił bratu chłopaka, że nie doszło do przebicia jelita. – Panie doktorze, czy on przeżyje? spytał James.

– Jeśli będzie się trzymał z dala od knajpy Shamblera i walk na noże, to może ma jakieś szanse.

James miał dziewiętnaście lat, był o rok starszy od brata. – Będę go pilnował, panie doktorze, przysięgam na grób matki.

– James, kto go tak pociął?

Chłopak zrobił się czerwony jak cegła. – Powiedziałem w żartach coś o jego dziewczynie, tak żeby się podrażnić. Matthew jest krewki, nie ma co. Nie sięgnąłbym po nóż, gdybym nie myślał, że naprawdę zamierza mnie zabić.

W nocy Matthew wybudził się z wywołanego oparami eteru snu, a rano

opuścił klinikę, wsparty na ramieniu Jamesa. Tego samego dnia wieczorem Newman zastał braci siedzących razem w przybytku Shamblera. Matthew chwalił się swoimi szwami przed każdym, kto wszedł do tawerny. Bracia wzniesli toast na cześć doktora, postawili mu szklankę rumu, a kiedy opuścili knajpę, zniknęli w ciemnościach, idąc ramię w ramię.

W dwa dni później w klinice zjawiała się mała Hannah Blade. Wyciągnęła na wierzch ręce, które ukrywała pod fartuszkciem. Dziewczynka miała tylko siedem czy osiem lat, zaczynały jej dopiero rosnąć stałe zęby. Była ruda, przez nasadę jej nosa przebiegało pasmo piegów. Podsunęła Newmanowi cztery jajka, po dwa w każdej ręce. – To za to, że połatał pan mojego brata.

– Twój ojciec przysłał już wczoraj pół beczki łososia, powiedział Newman.

Skinęła głową i znowu spróbowała wręczyć mu jajka. – Są dla mnie naprawdę okropnie dobrzy, powiedziała. – James i Matthew.

Newman wyjął jajka z jej dłoni, jedno po drugim. Skorupki były rozgrzane od leżenia w fałdach błony rozpiętej pomiędzy palcami dziewczynki. – Jak się miewa Matthew?

– Nie gorzej niż James, powiedziała. – Bo Jamesa ojciec codziennie wyciąga z łóżka bladym świtem i każe mu rąbać drewno. Mówi, że to po to, żeby dostał nauczkę. Matthew tylko układa szczapy, ze względu na szwy.

Newman odwrócił się od dziewczynki, by ukryć uśmiech. – Dziękuję ci, Hannah, powiedział. Dziewczynka znów ukryła swoje syrenie rączki pod fartuszkciem i wyszła z gabinetu.

Kraj, który Newman opisywał w Connecticut, Bostonie czy Nowym Jorku, nawet jemu zdawał się nieprawdopodobnie odległy. Nowa Fundlandia wydawała się zbyt sroga i groźna, zbyt prowokacyjna, zbyt ekstrawagancka, dziwaczna i przerażająca, by mogła być prawdziwa.

Nieraz zaczynał podejrzewać, że już nigdy nie zobaczy tego miejsca, że istnieje ono tylko i wyłącznie w opowieściach, które nosił w głowie. Fala ulgi spływała na niego za każdym razem, gdy wracając do Paradise Deep zastawał na przystani Barnaby'ego Shamblera, Ann Hope i Absaloma Sellersów, Azariasza i Abdiasza Trimów oraz odśpiewującą hymn powitalny scholę ze szkółki niedzielnej. Gdy dostrzegał Judę i Mary Tryphenę stojących z resztą Devine'ów nieco dalej na plaży. No i Bride, z tymi zaciśniętymi w uśmiechu wargami, z dociekliwym malcem uwieszonym u spódnicy. Niczego nie żałował, przynajmniej w takich chwilach. Wszyscy zebrani podążali za nim do kliniki, aby tam przedstawiać mu dolegliwości, które zaczęły ich dręczyć pod jego nieobecność.



Kiedy Tryphie skończył sześć lat, Absalom był już całkiem ślepy i zbyt zniedołężniały, by opuścić Dom Seliny. Virtue Gallery odeszła we śnie, dwie zimy wcześniej. Gdy jej zabrakło, Absalom stracił serce do zmagania ze swoim powolnym zanikiem. Całe dni spędzał w sypialni, przyjmując tam tych nielicznych gości, których chciał oglądać. Nogi miał już zbyt słabe, żeby ryzykować schodzenie po schodach. Zrzekł się pozycji sędziego pokoju i powierzył nadzór nad interesami Leviemu, chociaż sam nadal weryfikował i zatwierdzał wszystkie decyzje. Co tydzień w pokoju chorego odbywała się narada, podczas której Levi przedstawiał ojcu najświeższe informacje o kwintalach, okseftach i galonach. Były to jedyne prawdziwe rozmowy, na jakie mężczyźni zdobyli się od lat, a jednak nawet tutaj zdarzały się nieporozumienia i subtelne przytyki; najbardziej niewinne tematy zaprzęgane były w kierat ich przewlekłych

zmagają. Absalom czuł, jak syn jeżył się na niego pod przeciwległą ścianą. – Czy to już wszystko, panie Sellers? pytał przed wyjściem. Levi mówił z doskonale angielskim akcentem matki, co Absalomowi wyglądało na świadomą decyzję, na jeszcze jeden sposób na opowiedzenie się po stronie jednego z rodziców. Sądził, że pewnego dnia Levi mu przebaczy albo po prostu zmęczy się życiem w tak ślepej nienawiści. Na to mieli już coraz mniej czasu.

Ann Hope próbowała nakłonić męża, by zrzekł się wszystkich obowiązków związanych z firmą. – Te narady zbytnio cię obciążają, powiedziała.

– Najbardziej obciąża mnie to, że Levi chętnie by się mnie pozbył.

– Levi wcale nie chce się ciebie pozbyć.

– Tylko czeka na moją śmierć, powiedział Absalom.

Żona nakłoniła go, by wyznaczył stały termin cotygodniowych konsultacji z Newmanem. Krążyła po pokoju, podczas gdy doktor osłuchiwał serce i płuca Absaloma, wypytywał go o regularność wypróżnień, o apetyt, o sen. Pytania te wydawały się Absalomowi całkowicie pozbawione sensu, zazwyczaj odpowiadał więc na nie pytaniami, tak że ich rozmowy przypominały słowne zapasy.

– Panie doktorze, dlaczego się pan jeszcze nie ożenił?

– W życiu nieunikniona jest tylko śmierć, panie Sellers.

– Dość niestosowna uwaga, biorąc pod uwagę moje położenie, powiedział Absalom. – A poza tym kłamliwa.

– Przepraszam po dwakroć.

– Każdy mężczyzna się w końcu ożeni, oznajmił Absalom. – To leży w naszej naturze. O tak, ożeni się. Jeśli nie z kobietą, to z pracą. Albo z flaszką.

– Zrobił się z pana nie lada filozof, panie Sellers.

– Moje myśli wędrują tu i tam, powiedział Absalom. – Zastępują mi

nogi, które już zawiodły.

– Wdech. Głęboko. Wydech.

– Czy dziś rano już pan sobie gołnął, panie doktorze?

– Skupię się teraz na badaniu, o ile nie ma pan nic przeciw temu.

– Zaoszczędzę panu fatygi. Ja umieram. A pan pił. Czuję zapach alkoholu.

– Jeszcze jeden głęboki wdech, powiedział Newman.

Kiedy lekarz wyszedł, Ann Hope zbesztła męża. – Nie powinienes tak go prowokować. Jeśli będziesz z nim rozmawiał w taki sposób, nie zechce do ciebie przychodzić.

– To akurat nie pogorszy mojej sytuacji.

– Nie mów tak.

Absalom przeprosił ją z ciężkim westchnieniem. – Szczęśliwie się ożeniłem, powiedział. – To najlepsze, czego człowiek może oczekiwać na tym świecie.

Ann Hope wyprostowała się i odeszła na krok od łóżka, nie chcąc poprawiać mężowi samopoczucia. – Wielebny Dodge pytał, czy będzie mógł przyjść dziś po południu.

Absalom westchnął jeszcze raz i odwrócił twarz do okna tak, jakby był w stanie dostrzec cokolwiek za szybą.

– Absalomie, już trzy razy go odprawiłeś.

Zanim Dodge owdowiał, wspominał nieraz o powrocie do Anglii, jednak teraz zdawał się nie widzieć w tym pomysłе większego sensu.

Sam odprawił nabożeństwo pogrzebowe żony, a przez wszystkie kolejne lata kontynuował pracę, wykazując się swoim nieznośnym uporem i nie bacząc na to, że szeregi jego zboru nieustannie rzedły. Już sam dźwięk kroków jego osiemdziesięcioletnich nóg na schodach – ten pobrzmiwający w nich animusz człowieka żyjącego z klapkami na oczach – przyprawiał Absaloma o zgrzytanie zębów.

– Czy zauważyłaś, zwrócił się do żony, jak często naszemu pastorowi zdarza się ostatnio powtarzać, że niezbadane są wyroki Pana?

– Nie, skłamała. – Nie zauważyłam.

– A co zwykł mawiać swego czasu? O Opatrzności?

– Opatrzność troszczy się o prostaczków.

– Teraz już nie jest taki śmiały, powiedział Absalom. – Teraz wszystko wydaje się mu niezbadane.

– Gdy tak to przedstawiasz, wygląda na to, że w końcu zaczął myśleć jak prawdziwy miejscowy.

Uśmiechnął się i ujął ją za rękę. Byłaby to przedziwna przemiana, gdyby wielbny Dodge w głębi serca stał się prawdziwym Nowofundlandczykiem. Co prawda nadal byłby równie trudny do zniesienia. – Nie wytrzymam tego, powiedział. – Nie dzisiaj.

Jedynymi osobami, które Absalom zawsze chętnie przyjmował, byli Azariasz i Abdiasz Trimowie. We trzech wspominali wybrzeże z czasów ich młodości, błędzili razem po opowieściach, z którymi ich żywoty przeplatały się pod różnymi kątami. Wracali do Biblii Jabeza Trima, do narodzin Judy z brzucha wieloryba, do tragicznego końca Corneli uwięzionej na lodach Labradoru. Do strachu, który przejmował Azariasza i Abdiasza, gdy spotykali pana Gallery’ego w zagajniku lub na ścieżkach w głębi łądu; do tego, jak czasami brali wędrującego Absaloma za ducha mordercy. Absalom wskazywał na sufit, objaśniając im, że pan Gallery przebił się dokładnie przez ten dach, wpadł do środka nogami do przodu, a przecież był już wtedy martwy od roku. Opowiadał, że sam zamiatał okrychy tynku już po tym, jak Virtue opuściła dom, a Gallery poszedł za nią.

W młodości nigdy nie byli zbyt blisko, jednak teraz ich rozmowy tworzyły iluzję wspólnej przeszłości, która przynosiła Absalomowi ukojenie. Bracia przynosili ze sobą Biblię Jabeza Trima, by czytać mu

na głos, kiedy opadnie z sił. Któregoś popołudnia Abdiasz odczytał niedokończoną historię Izaaka. Gdy musieli porzucić chłopca spętanego i bezbronnego pod wzniesionym nożem Abrahama, zapadło tak rzadkie między nimi milczenie. Wszystkim trzem przyszli na myśl Henley i Levi – synowie, których Absalom na swój sposób spętał i z których najwyraźniej żaden nie miał być oszczędzony.

– Ojciec opowiadał nam, że James Woundy lubił wymyślać własne zakończenia tej historii, powiedział Azariasz. – Wszystkie były złe.

– Być może James Woundy był mądrzejszy, niż dawał po sobie poznać, stwierdził Absalom.

Kiedy Trimowie wyszli, Ann Hope powiedziała Absalomowi, że Levi czeka na dole. Podczas gdy syn wchodził po schodach, Absalom podparł się i usiadł na łóżku, po czym opuścił nogi na podłogę, jedna po drugiej.

– Witaj, Levi, powiedział.

– Dzień dobry, panie Sellers.

– Co mi dzisiaj przynosisz?

Levi przedstawił mu krótkie podsumowanie najnowszych raportów o połowach i pogodzie na Labradorze oraz cenach, na jakie mogli liczyć na jesieni za solone ryby typu *Labrador Green* i te najgorsze, *West Indies*, nadające się tylko do wysyłki do Indii Zachodnich. Mieliśmy wilgotne lato, powiedział. – Możemy spodziewać się wielu nadpsutych ryb, niewartych nawet soli użytej do ich zakonserwowania.

– Nie ma co się martwić o pogodę, powiedział Absalom. – Człowiek tylko się od tego przedwcześnie starzeje.

– Tak jest, proszę pana.

– Nie mów mi per „pan”.

Levi bez przerwy obracał w rękach swój kapelusz. – Tak jest, proszę pana.

Absalom z trudem wziął głęboki wdech. – Spodziewasz się, że to

wszystko niebawem będzie twoje, powiedział. – Cały interes.

– Niebawem, powtórzył Levi. – Tak jest, proszę pana.

– Boję się, powiedział Absalom, po czym położył się na wznak, zbyt zmęczony, by dłużej wysiedzieć.

– Boi się pan?

Absalom pokręcił głową spoczywającą na poduszce.

– Mam wezwać matkę?

Absalom uniósł rękę i wykrztusił na koszulę nocną strużkę krwi. Levi zamarł w bezruchu, wstrząśnięty tą obrzydliwą sceną.

– O co chodzi? spytał Absalom. – Co się stało?

Gdy doktor dotarł do Domu Seliny, Levi wyszedł, prosząc, by informowano go o wszystkim na bieżąco. Poszedł prosto do domu i zamknął się w swoim gabinecie. Siedział pośród ksiąg rachunkowych i zestawień finansowych, próbując uspokoić oddech i stłumić dreszcze wstrząsające nogami. Jego żona zapukała do drzwi. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha, powiedziała Flossie.

– Nie, odparł. – Nie ducha.

– Chcesz herbaty?

Skinął głową, a kiedy wyszła, zaczął zastanawiać się nad tym, co tak właściwie zobaczył na tle białej koszuli nocnej ojca. Napełniło go to przerażeniem, jednak strach był spleciony z czymś jeszcze mroczniejszym – ze swego rodzaju trwogą, która ogarnęła go na widok własnego, obnażonego serca. To był znak, że niebawem jego życie rozpocznie się naprawdę.

Nie potrafił stwierdzić, kiedy właściwie poznał prawdę o swoim przyrodnim bracie. Upatrzył go sobie do gnębienia jeszcze na długo przed tym, jak wypłynęła kwestia ojcostwa. Chłopak był niedojdą i jąkałą, co czyniło z niego łatwy cel. Ukłucie braterskiej więzi Levi poczuł dopiero z czasem; była to wiedza, do której dorósł tak, jak dorasta się do za dużych

ubrać po starszym rodzeństwie. Świadomość upokorzenia matki, która uczyła czytać i liczyć bękarta swojego męża.

Kiedy Flossie wróciła z herbatą, Levi pozbiierał się już na tyle, by się do niej uśmiechnąć. Obeszła biurko i położyła rękę na jego czole. – Nic mi nie jest, powiedział.

Z jego żony była potulna myszka. Drobną kobietką o brązowych włosach. Levi właściwie nie zwracał na Flossie uwagi aż do dwudziestego pierwszego roku życia, to jest do czasu, gdy Adelina zasugerowała mu, że mógłby się z nią ożenić. Jego siostra i Florence Dodge były spokrewnione przez swoje odosobnienie i powagę, przez izolację stanowiącą nieodłączny element pozycji ich rodzin na wybrzeżu. Adelina tylko przed Flossie nie wstydziła się swoich kurzajek. Już w dzieciństwie poprzysięgły sobie siostrzaną wierność. To właśnie myśl o utracie Flossie powstrzymywała Adelinę przed wyjazdem do Stanów w ślad za rodzeństwem, zaaranżowała więc jej małżeństwo z Levim, chcąc sformalizować łączącą je więź. Levi zbudował dom w najdalszym zakątku północnego ogrodu ponad Domem Seliny, a już w miesiąc po ich ślubie Adelina wprowadziła się do sypialni dla gości.

– Gdzie Adelina? spytał.

– Z dziećmi na górze.

– Doktor jest w Domu Seliny, powiedział. – Adelina powinna tam pójść i posiedzieć z matką.



Jesienią, kiedy załogi wróciły z Labradoru, chodziły słuchy, że Absalom stoi już nad grobem, a wszystkie interesy zostały przekazane Levii Sellersowi. Levi cofnął pożyczki najbardziej zdesperowanym dłużnikom

i wysłał konstabli, by zajęli skromne majątki zrujnowanych rybaków. Doszło do awantur i rozlewu krwi, a pół tuzina dłużników trafiło do aresztu w starym magazynie na brzegu, gdzie mieli oczekiwać, aż gubernator wyznaczy Leviego na nowego sędziego okręgowego.

W połowie września Absalom wydobrzał na tyle, że był w stanie jeść posiłki złożone z jajek na miękko z tostami i herbatą oraz siedzieć w oknie z kocem zarzuconym na nogi. Nie docierały do niego jednak żadne wiadomości z zewnątrz. Doktor zalecił, by ograniczono wizyty u Absaloma do minimum, więc Ann Hope nie zgadzała się już na narady z Levim. – Nie siedzę przecież w więzieniu, zaprotestował. – A ty nie jesteś moim strażnikiem.

– Obawiam się, że jest gorzej, odpowiedziała. – Jestem twoją żoną.

Ta wzmianka wystarczyła, by zdławić w nim resztkę woli walki. Absalom zbliżał się do kresu życia w stanie wymuszonej nieświadomości, niewiele różniącym się od jego najmłodszych lat spędzonych w Domu Seliny.

Ann Hope, która za dnia dbała o wszelkie potrzeby Absaloma, a nocami czuwała przy jego łóżku, była już wycieńczona, odrzucała jednak propozycje córki chcącej przejąć część jej obowiązków. – Nie możesz się tak dalej sama zamęczać, przestrzegała ją Adelina.

– W zdrowiu i w chorobie, odpowiadała Ann Hope.

W obowiązkowości matki było coś przerażającego, coś z czym Adelina wołała się nie mierzyć. Przeprowadziła się jednak do Domu Seliny, gdzie mogła przynajmniej stawiać przed staruszką jedzenie, nakłaniać ją do picia herbaty, zachęcać do drzemki.

Levi poświęcił całą jesień na stopniowe zwiększanie nacisku wywieranego na interesy; nakazał inspektorom odpowiedzialnym za ocenę ryb zaliczyć dziesięć procent wszystkich tegorocznych połowów do niższych klas. Kiedy Devine'owie przyszli, żeby się rozliczyć, usłyszeli, że

aż dwie trzecie złowionych przez nich ryb są praktycznie bezwartościowe, należą bowiem do klasy *West Indies*. Levi i Łazarz zaczęli wrzeszczyć na siebie ponad biurkiem, a w końcu pół tuzina najemnych pracowników Sellsersa wyrzuciło Devine'ów z siedziby kompanii. W trakcie szarpaniny potłukła się lampa, poza tym jednemu z najemników trzeba było potem założyć szwy. Levi dopisał skrupulatnie wszystkie koszty do rachunku Devine'ów.

Mściwość Leviego stała się głównym tematem rozmów we wszystkich domostwach na wybrzeżu, poza Domem Seliny, którego mieszkańców od codziennych nowin i plotek izolowała obecność konającego człowieka. W początku października, gdy Adelina usłyszała dobiegające od kuchni pukanie do drzwi dla służby, nie miała żadnego powodu, by podejrzewać, iż ujrzy za nimi Mary Tryphenę. – Muszę zobaczyć się z panem Sellersem, oznajmiła kobieta.

Adelina wycofała się za uchylone drzwi. – Nie powinna tu pani wchodzić, powiedziała.

– Chętnie zaczekam przed domem, jeśli taka pani wola, odparła Mary Tryphena.

– Chwileczkę, powiedziała, zamykając za sobą drzwi. – Proszę.

Ann Hope siedziała na krześle przy oknie, pogrążona w pólśnie, gdy Adelina szeptem wywołała ją z pokoju chorego. Musiała wyjaśniać wszystko kilka razy, zanim do Ann Hope dotarło wreszcie, kto czeka pod drzwiami. Matka Adeliny podeszła do okna na korytarzu i popatrzyła z góry na Mary Tryphenę, która, stojąc plecami do domu, przyglądała się rzędowi budynków gospodarskich wzniesionych przez Absaloma przez ostatnie czterdzieści lat, ogrodzonym i obsianym ogródkom, zagrodom dla owiec, tuzinowi koni pasących się na polu. – Posiedź z ojcem, Ann Hope powiedziała do córki.

Gdy zeszła po schodach, przystanęła przy wiszącym na korytarzu

lustrze, próbując znaleźć wyraz twarzy odpowiedni do zaprezentowania kobiecie. Błada skóra jej skroni wyraźnie pulsowała w rytm uderzeń serca. Przeszedłszy przez kuchnię, stanęła w tylnych drzwiach. Mary Tryphena wciąż stała plecami do domu i przyglądała się majątkowi Sellersów. Ann Hope chrząknęła, by zwrócić na siebie uwagę, po czym odstąpiła od drzwi.

Usiadły przy kuchennym stole; po raz pierwszy od narodzin Leviego popatrzyły sobie prosto w oczy. Ann Hope splotła dłonie na blacie stołu.

– Muszę pomówić z pani mężem, powiedziała Mary Tryphena.

Wpisana w to stwierdzenie nonszalancja rozwścieczyła Ann Hope.

Z pani mężem. Ich gospodarstwu przyglądała się przed chwilą z podobną, niewinną swobodą, jakby nie miała bladego pojęcia, że za tym wszystkim stoi właśnie ona.

Ann Hope już dawno zdała sobie sprawę, że wszystko, co Absalom osiągnął, wypływało z tęsknoty za Mary Trypheną Devine. Każdy kwintal ryb, każdy wyładowany skórami szkuner, każdy kawałek drewna w każdym statku i budynku, każde ciele, źrebię czy jagnię, każde jajko złożone przez każdą z niosek. Uważała to za nieprawdopodobieństwo – żeby kobieta nie dostrzegła tego faktu. Teraz jednak zrozumiała, że Mary Tryphena naprawdę nie ma pojęcia, że Absalom wciąż ją kocha. Ann Hope poczuła, że coś zapada się w jej klatce piersiowej; wybiło w niej źródło gwałtownego uczucia, jak mleko napływające po porodzie. Przesiąkały przez nią drobne strużki gniewu i rozpacz. W jakiś sposób nieświadomość Mary Trypheny sprawiła, że jej zdrada stała się jeszcze bardziej niewybaczalna.

– Pani Sellers, powiedziała Mary Tryphena. – Nie oczekiwałam, że ucieszy się pani na mój widok. Wolałabym oszczędzić pani tej wizyty, biorąc pod uwagę zwłaszcza słabe samopoczucie pana Sellersa. Nie wiem jednak, do kogo mogłabym się zwrócić po tym, jak Levi obszedł się

Łazarzem i jego załogą.

– Obawiam się, że nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

– Mamy dzieci, które będą głodować tej zimy. Niektóre z nich są spokrewnione z wami.

– Nie ze mną, pani Devine.

Mary Tryphena wzięła trzy głębokie wdechy. – Nie przyszedłam tu, żeby zebrać, powiedziała, ale żeby zaapelować o uczciwość i przyzwoitość. Levi nie ma prawa zaliczać naszych ryb do niższej klasy i pozbawiać nas uczciwie zarobionych pieniędzy.

Ann Hope wstała z krzesła. – Mój syn zarządza firmą wedle swojej woli. Nie mogę pani pomóc.

– Jeśli można, chciałabym zamienić słówko z pani mężem.

Ann Hope popatrzyła na nią z góry i uśmiechnęła się. Była tak wściekła, że zdawało się jej, że zaraz zwymiotuje. – Dobrze pani wie, pani Devine, że nie pobraliśmy się z Absalomem z miłości. Byłam dla niego dobrą żoną. Lepszą niż pani kiedykolwiek mogłaby być.

Na te słowa Mary Tryphena wstała i podeszła do drzwi, po czym odwróciła się do kobiety stojącej przy stole. – Byłoby lepiej dla nas wszystkich, gdybym wtedy pozwoliła ci zdechnąć w łóżku, powiedziała. – Tobie i Leviemu.

Gdy Adelina usłyszała trzask kuchennych drzwi, zeszła na dół i zastała matkę stojącą przy stole. Delikatnie posadziła Ann Hope na krzesło i postawiła czajnik na ogniu.

– Jak się czuje ojciec?

– Wciąż śpi.

Ann Hope pokiwała głową. Ujęła Adelinę za rękę i powiodła palcami po jej gładkiej skórze. Ani śladu po kurzajkach, które zmieniły jej dzieciństwo w pasmo katuszy – zostały tylko blizny po nożu, którym w wieku sześciu lat dziewczyna próbowała je sobie wyciąć. Od jej narodzin ludzie mówili,

że ciąży nad nią prastara klątwa rzucona na Królowkę Sellersa, co przyprawiało Ann Hope o mdłości. Wystarczyło, że córka musiała znosić swoją dziwną szpetotę, nawet bez domieszki zabobonów i zgrozy. Pół tuzina życzliwych osób podpowiadało jej, że klątwę mogłaby zdjąć Mary Tryphena Devine, jednak Ann Hope odrzucała ich rady z takim chłodem, że czuli się w obowiązku przeproszać ją za swoje śmiechu warte sugestie.

Wtedy Adelina pocięła się nożem; rękaw jej sukienki był cały czerwony od krwi. Był to tak namacalny dowód rozpacz dziecka, że Ann Hope pół nocy przesiedziała z Virtue, zawodząc z bezsilności. – Wiem, że nie chce pani o tym słyszeć, powiedziała Virtue. – Mogę jednak pójść do Trzewia i pomówić z Mary Trypheną.

– A więc ty też myślisz, że to jakaś klątwa.

Virtue wzruszyła ramionami. – Jeśli to może przynieść dziecku jakąś ulgę, to czemu by nie spróbować?

Ann Hope czekała wtedy na narodziny Leviego; potrząsnęła głową, obejmując swój ogromny brzuch rękami.

– Pani Sellers, całkiem możliwe, że Mary Trypheną nie będzie musiała nawet wchodzić do tego domu.

Dziecko kopnęło pod jej rękami; odwróciła dłonie wnętrzem do góry i przyjrzała się im. – Ale nie powiesz jej, że ja cię przysłałam.

– Zajmę się tym, powiedziała Virtue.

Nazajutrz wieczorem, zgodnie z zaleceniami Mary Trypheny, Virtue zaparzyła Adelinie filiżankę herbaty. Kiedy dziewczynka wypiała, wyprosiły ją z kuchni. Fusy trafiły do paleniska, a pusta filiżanka została ustawiona do góry dnem na najwyższej półce w szafce. Ann Hope stała w drzwiach, przyglądając się zabiegom Virtue. – Niech nikt nie dotyka tej filiżanki, powiedziała gospoia.

Rano Adelina znalazła w pościeli kurzajki, wielkością i kształtem przypominające rodzynki. Virtue zebrała ich tyle, że mogłyby wypełnić

całą filiżankę, po czym spaliła je wszystkie w piecu. Jak na kogoś, kto został uleczony w ciągu jednej nocy, Adelina była zaskakująco przygnębiona. Dziewczynka stwierdziła, że skoro przyszło to tak łatwo, to teraz równie dobrze może obudzić się pewnego ranka i stwierdzić, że kurzajki wróciły. Ulga, jaką z początku poczuła Ann Hope, niebawem ustąpiła miejsca uporczywemu niepokojowi. Czuła, że na dobre oddała wybrzeżu jakąś część siebie.

Trzy tygodnie później, gdy zaczęła rodzić, pokazała się główka, ale dziecko utknęło. Po kilku godzinach bezowocnych prób Virtue postawiła jej ultimatum. – Nie potrafię zrobić już nic więcej ani dla pani, ani dla dziecka, powiedziała, a na Boga, nie zamierzam przyczynić się do śmierci noworodka.

Jednego z pracowników posłano do Trzewia po Mary Tryphenę, a kiedy przybyła, wszystko potoczyło się najlepiej jak tylko mogło. Ann Hope zdołała nawet wykrzesać w sobie uczucie niechętnego podziwu dla jej chłodnej skuteczności i dyskrecji.

Po porodzie powinna była przeleżeć w łóżku cały tydzień, jednak nie potrafiła znieść przymusowej bezczynności. Już następnego ranka pokuśtykała na dół i ostrożnie poszła korytarzem w stronę pokoju dla służby, w którym Virtue czuwała przy małym Levim. W kuchni przystanęła, żeby złapać oddech; położyła rękę na oparciu krzesła. Wtedy ujrzała pojedynczą filiżankę stojącą na parapecie, dokładnie tam, gdzie ją odstawił Absalom. Do dzisiaj nie potrafiła tego wytłumaczyć – jakim cudem widok filiżanki uświadomił jej to, czego nie mogła się dowiedzieć w żaden inny sposób.

Wieczorem Absalom wszedł do sypialni, w której leżała z noworodkiem. Stał przy łóżku i wyciągnął ręce po syna, jednak Ann Hope nie podała dziecka ojcu. – Nie zobaczysz się więcej z tą kobietą, powiedziała.

Absalom pozwolił rękom opaść bezwładnie.

– Przysięgnij, Absalomie Sellersie, bo jak nie, klnę się na Boga.

Dał krok do tyłu. – Nie miałem takiego zamiaru, powiedział.

– To już wszystko, dziękuję, stwierdziła, przyciskając Leviego do piersi.

Nigdy więcej nie rozmawiali o tamtym zajściu, chociaż jego widmo krążyło wokół ich życia niczym księżyc, którego przyciąganie wywoływało wciąż przyływy i odpływy wymywające im grunt spod nóg. W dziewięć miesięcy później na świat przyszedł Henley Devine, a już niebawem jego żalosne dukanie zaczęło rozbrzmiewać w klasie Ann Hope. Traktowała bękarta tak, jak każdego innego ucznia, chcąc jak najdłużej chronić Leviego przed prawdą. Biła własnego syna pasem, gdy przyłapała go na natrząsaniu się z jąkały.

Adelina położyła drugą rękę na dłoni matki. – Czego chciała pani Devine?

– Nie wspominaj o tej kobiecie przy ojcu, odparła Ann Hope.



W ostatnich tygodniach życia męża Ann Hope nie dopuszczała do łoża bóleści nikogo poza doktorem. Podejrzewała, że za wytrwałością Absaloma kryje się jakiś zamiar, konkretny cel utrzymujący go przy życiu. Jakaś obietnica, którą chciał złożyć, może jakiś niewypełniony obowiązek. Pojawienie się Mary Trypheny w Domu Seliny nappełniło Ann Hope zgrozą.

Wstrząsnęło nią również to, jaką jest pesymistką, jaka jest mściwa. Przyłynęła na Nową Fundlandię z mocnym postanowieniem, że przyłoży rękę do koła postępu, że przesunie je choć odrobinę, a tymczasem udało

się tylko roztrwonić wszystkie siły na szarpaniu się z niewzruszoną skałą, którą tu zastała. Ciągłe używała języka reform, chociaż już przed wielu laty przestała wierzyć w możliwość zmian. Beznadzieja. Ann Hopeless. Zachłannie trzymała się okruchów, które jej pozostały. Ann Hope zdarzały się w życiu długie okresy, w których Mary Tryphena w ogóle nie zaprzętała jej myśli. Teraz jednak zrozumiała, że od narodzin Leviego co dzień walczyła o to, by nie oddać tej kobiecie nic więcej. Żyła w strachu, że Absalom zechce się zobaczyć z Mary Trypheną przed śmiercią, jednak jedynymi gośćmi, o których się dopytywał, byli bracia Trim. Wspominał o nich po kilka razy dziennie, w końcu więc ustąpiła; nakazała im tylko, żeby nie wdawali się z Absalodem w czcze pogaduszki, które mogłyby go zmęczyć lub zasmucić.

Gdy Absalom spał, bracia czuwali przy nim w milczeniu, a kiedy się budził, czytali mu fragmenty Biblii Jabeza Trima. Pewnego razu Azariasz odczytał historię Izmaela, o którym Anioł Pański powiedział, że będzie człowiekiem dzikim jak onager, że będzie walczył przeciwko wszystkim i wszyscy przeciwko niemu; że będzie utrapieniem swych pobratymców. Absalom uśmiechnął się ponuro, patrząc w sufit. – To zupełnie jak mój Levi.

– Twardy z niego człowiek, nie ma co, przyznał cicho Abdiasz.

Absalom przekręcił głowę na poduszce. – Czy coś się stało?

– Ostatnio nie, powiedział Azariasz. – Nie.

– Ostatnio nie? A wcześniej?

Bracia popatrzyli po sobie. – Nie powinniśmy pana niepokoić.

– Na to już za późno.

Ślepiec krzywił się, wysłuchując ich krótkiego podsumowania ostatnich poczynań Leviego. W końcu uniósł rękę, prosząc ich, by zamilkli. Z trudem łapał oddech. Trimowie wstali z krzesel. – Idź po panią Sellers, powiedział Abdiasz.

Kiedy Absalom doszedł do siebie, Ann Hope pomogła mu się położyć niżej. Trimowie czekali pod ścianą, żeby się pożegnać, ponurzy i skruszony, przepełnieni świadomością, że zatruli tę resztkę życia, jaka pozostała konającemu starcowi. Kolejne dni Absalom spędzał w milczeniu; nie był w stanie odezwać się do żony i córki choćby słowem. Zdawało mu się, że musiał w jakiś sposób skazać Leviego, gdy przespał się z Mary Trypheną w kwaterach służby, podczas gdy piętro wyżej chłopak łapał swoje pierwsze, niepewne oddechy. Pół życia czekał na to, by pojednać się z jednym synem i zadośćuczynić drugiemu. Nawet teraz, gdy jego życie zostało zredukowane do jednej izby, do tego łóżka śmierci, w którym leżał, Absalom wciąż pielęgnował fantazję o cudzie, dzięki któremu nie przyjdzie mu pozostawić synów skłóconych na dobre.

Przebudziwszy się z niespokojnego, urywanego snu, wyczuł, że ktoś jest w pokoju, że czuwa przy nim żona lub córka. To była kwestia zmiany w charakterze ciszy, w ilości wolnej przestrzeni. – Kto tu jest? spytał.

– Adelina.

– Muszę pomówić z matką.

Ann Hope po chwili wparowała do pokoju. – Co się dzieje? spytała. – Możesz oddychać? Gorzej się czujesz?

– Usiądź, powiedział.

Przyciągnęła krzesło do łóżka i ujęła męża za rękę.

– Muszę porozmawiać z Henleyem, powiedział. Ścisnął jej rękę, aby przytrzymać żonę przy sobie. – Sprowadź go tutaj tak, żeby Levi się nie dowiedział.

Ann Hope powoli wyciągnęła palce z jego dłoni i założyła ręce na piersi. – Jesteś zbyt słaby, żeby przyjmować gości.

Wyciągnął rękę w stronę jej głosu. – Wiem, że to nie w porządku prosić cię o coś takiego, powiedział. Słyszał szloch, tłumiony pięścią wciśniętą w usta. – Nie umrę z czymś takim na głowie. Ann Hope, jeśli w

ogóle cokolwiek do mnie czujesz.

Ann Hope wytarła nos i schowała chusteczkę. – Zastanowię się nad tym, powiedziała.

Czas upływał mu na śnie przerywanym krótkimi nawrotami świadomości, wrażeniem, że ktoś siedzi w milczeniu na krześle przy łóżku albo że pokój jest pusty. Nie był w stanie stwierdzić, ile godzin czy dni upłynęło, zanim Ann Hope zastukała lekko do drzwi i powiedziała, Jest tu ktoś do ciebie.

Usłyszał oddech mężczyzny, który wszedł do pokoju i zatrzymał się zaraz za progiem. – Powiedz mu, żeby usiadł, Absalom szepnęła do Ann Hope.

– Nie usiądzie, powiedziała. – W ogóle nie chciał tu przyjść.

– Zostaw nas na chwilę samych.

Kiedy Ann Hope wyszła, Absalom zwrócił twarz w kierunku drzwi.

– Dziękuję, że przyszedłeś.

– Czego pa-pa-pan chce?

Absalom pokiwał głową, słysząc w głosie syna echo własnej, dziecięcej przypadłości. Odchrząknął. – Wiesz, że jestem twoim ojcem.

Absalom nie doczekał się reakcji, czuł jednak, że cisza zalegająca w pokoju zaczęła zmieniać się niczym kolory w kalejdoskopie. – Nie oczekuję, że mi przebaczysz, dodał.

– Co ja tu w ogóle ro-ro-robuję?

– Mam sześcioro dzieci. Troje mieszka w Stanach Zjednoczonych; każde z nich otrzyma spadek identycznej wartości, wypłacony w gotówce. Levi jest odpowiedzialny za moją żonę i Adelinę, dlatego otrzyma dwie trzecie moich nieruchomości oraz udziałów w firmie. A jedną trzecią odziedziczysz ty.

– Nie chcę twoich pie-pie-pieprzonych pie-pie-pieniędzy.

Absalom uniośł rękę. – Moja żona zleci przygotowanie odpowiednich

dokumentów, powiedział.

– Pie-pie-pierdol się, ty sku-ku-ku, tupnął nogą, by w końcu wyrzucić z siebie resztę słowa, rwysynu.

Absalom usłyszał, że drzwi się otworzyły. – Henley, powiedział, ale kroki mężczyzny zadudniły już w połowie schodów. Chciał zawołać Ann Hope, ale zabrakło mu tchu.

Gdy się obudził, wiele godzin później, dom był pogrążony w ciszy wczesnego poranka. – Kto tu jest? spytał.

– To ja, Absalomie. Ann Hope.

– Rozmawiałaś z Henleyem, zanim wyszedł?

– Trochę mu się śpieszyło. Wyglądał na bardzo niezadowolonego. Absalom powtórzył jej wszystko, co powiedział synowi, opisując zmiany, które obiecał wprowadzić w ostatniej woli i testamencie.

– Twierdził, że nie chce moich pieniędzy. Zmieni zdanie, kiedy mnie nie będzie. Łatwiej będzie przebaczyć, gdy będę już martwy.

Ann Hope zaśmiała się na te słowa; to było ostre, krótkie szczeknięcie.

– Zrobisz to dla mnie? spytał.

– Wprowadzę zmiany, jeśli tego chcesz.

– Nie możemy iść z tym do prawników z firmy. Porozmawiaj z Barnabym Shamblemem, niech przygotuje wszystkie dokumenty.

– Dobrze.

Absalom wziął płytki wdech. Powiedział, Ann Hope, nigdy na ciebie nie zasługiwałem, to wiem na pewno.

– Może ja też ci wybaczę, kiedy już będziesz martwy.

Senność spłynęła na niego z jakichś wielkich wysokości; niemal słyszał, jak zbliża się do niego fala snu, jak przygniata go swoim ciężarem tak, jakby znalazł się nagle wiele sążni pod powierzchnią oceanu. Gdy się obudził, usłyszał, że ktoś rozmawia przy nim szeptem. – Kto tu jest? spytał.

– Przyszedł do ciebie pan Shambler, powiedziała Ann Hope.

– Dzień dobry, panie Sellers.

– Przyniósł pan dokumenty?

Posłyszał, że Shambler zaczął wiercić się na krześle. – Owszem, przyniosłem, powiedział. – Panie Sellers, to wprawdzie nie moja sprawa, ale nie rozumiem, w jaki sposób miałyby to poprawić stan rzeczy.

– Obawia się pan, co się stanie, gdy Levi się dowie, że poświadczył pan te dokumenty bez jego wiedzy.

– Jestem już za stary na obawy, odparł Shambler. – Jestem również dość stary, by wiedzieć, że właściwe postępowanie nie zawsze jest najroztropniejszym.

– Wygadany, jak przystało na prawdziwego polityka, powiedział Absalom, wyciągając przed siebie ręce. – Pokażcie mi, gdzie podpisać.



Na pogrzebie męża Ann Hope nie odzywała się do nikogo. Spakowała już kufry, które zamierzała zabrać ze sobą do Ameryki. Nie wiązało jej już nic z żadnym mieszkańcem wybrzeża, nie licząc Absaloma, którego ciało trzeba było tylko złożyć w ziemi.

Po raz pierwszy od wielu lat protestancka kaplica zapełniła się po brzegi. Żałobnicy rozmawiali tylko o tym, jak długo trwała choroba Absaloma oraz o wierności, jaką wykazała się Ann Hope; o jej wytrwałym czuwaniu przy mężu, o tym uporze, którym zawstydziłaby nawet muła. Żona Absaloma przez ostatnie siedem dni jego życia w ogóle nie opuszczała pokoju, nie wychodziła nawet po to, żeby jeść, spać czy obmyć twarz. Newman odwiedzał go rano i wieczorem, ale, jak twierdził, nic nie można było zrobić, pozostawało tylko czekanie. Podniósł kołdrę,

by przyjrzeć się stopom konającego, z których żyłki purpury rozlewały się powoli w kierunku kolan. – To kwestia godzin, stwierdził. – W najlepszym razie dni.

Ann Hope siedziała na krześle przy oknie, czekając, aż Absalom umrze. Mąż tylko z rzadka odzywał się lub otwierał swoje niewidzące oczy, a ona była przy nim za każdym razem, kiedy dochodził do siebie.

– Kto tu jest? pytał, chociaż był już tak otumaniony, że czasami nie rozpoznawał rozmówcy.

Kondukt pogrzebowy przeszedł Water Street biegnącą wzdłuż brzegu zatoki, po czym zaczął posuwać się powoli w stronę Tolt Road. Adelina i Florence z dziećmi jechały bryką, a Ann Hope chciała pokonać o własnych siłach całą drogę, aż do Francuskiego Cmentarza. Podpierając się na ramieniu Leviego, szła o krok za wozem, na którym leżała trumna Absaloma. Nadal była wściekła, chociaż gniew, który dodawał jej sił, zdawał się już bardziej rozproszony, pozbawiony konkretnego celu. Teraz, sama będąc także obciążona ciężarem czynu równie nieodwracalnego, co występki męża, poczuła się z nim dziwnie związana. Gdy stała pod drzwiami, przysłuchując się, jak Levi bezbłędnie naśladuje głos i duki Henleya, przypomniało jej się, jak świetnie potrafił przedrzeźniać inne dzieci w szkole. I jeszcze to przytupnięcie, żeby wyrzucić z siebie szczególnie trudne słowo. Pie-pierdol się, sku-ku-ku-rwysynu. Przynajmniej ta część rozmowy była całkiem szczerą.

Później pozostało już tylko nakierować rękę męża ku dołowi czystej kartki, podczas gdy Barnaby Shambler mówił mu, że co prawda jest głupcem, ale jego kręgosłup moralny i wzgląd na to, co prawe i właściwe, zasługuje na podziw. Shambler złożył swój podpis obok nieczytelnych bazgrołów staruszka i wyszedł z pokoju z uśmiechem na twarzy.

Zaaranżowanie wszystkiego było tak obrzydliwie łatwe, że patrząc na Shamblera przy pracy Ann Hope o mało nie straciła panowania nad

sobą. To jego zrealizowane z zimną krwią oszustwo sprawiło, że palące poczucie winy umościło się w jej brzuchu na dobre. Po fakcie zaczęła dostrzegać w sobie okrucieństwo wieloletniej niewoli męża; w ostatnich dniach życia Absaloma zapalała do niego niespodziewaną czułością. Obozowała w jego pokoju, co godzinę przewracała go na drugi bok, zwilżała jego suche wargi szmatką, odrzucała wszystkie propozycje Adeliny próbującej jej ulżyć. Ulga była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała.

Na parę godzin przed śmiercią Absalom zaczął wiercić się w łóżku; jego wysuszone, spękane wargi poruszały się przez chwilę bezdźwięcznie, zanim wreszcie odnalazł swój głos. – Kto tu jest? szepnął. Nie było to do końca przebaczenie, ale poczuła, że chce go jakoś uwolnić od tego, co wciąż nie pozwala mu odejść. Nachyliła się nad nim i ujęła go za dłoń. – Absalomie, powiedziała. – To ja, Mary Tryphena.

W listopadzie Absalom Sellers został pochowany na Francuskim Cmentarzu. W kwietniu następnego roku, gdy rybacy konserwowali przed sezonem sieci na śledzia, Tryphie wpadł do jednej z kadzi. Kora jodły i świerkowe szyszki wygotowywały się w wielkim kotle, a wywar był rozlewany chochlą do przeciętych na pół beczek, w których sieci miały nasiąkać przed suszeniem na kamieniach. Nieopodal dokazywała garstka chłopców. Tryphie i ośmioletni syn Patricka Devine'a, Eli, przewodniczyli zabawom w rzucanie monetą czy w berka, a mężczyźni krzyczeli do nich, żeby patrzyli pod nogi, żeby trzymali się z dala od ognia, żeby najlepiej zabrali się stąd i poszli do domu.

Kadzie były wysokie na jakieś dwie stopy; robiąc unik przed Elim, który był berkiem, Tryphie wpadł na plecy do jednej z nich. Mężczyźni rozkładali akurat sieci na skałach, Eli był więc jedyną osobą, która znajdowała się dość blisko, by przyjść Tryphiemu z pomocą. Złapał go za koszulę i bez zastanowienia zanurzył rękę w gorącej wodzie, by sięgnąć pod jego plecy i pomóc mu wyjść. Żaden z chłopców nie poczuł bólu, jedynie nagły wstrząs, który pozbawił ich tchu i wydał się wręcz przyjemny. Eli zabrał Tryphiego z plaży zanim mężczyźni zobaczyli, w jakim jest stanie. Chłopcy byli już w połowie drogi do domu, kiedy oparzenia dały o sobie znać.

Kiedy wparowali do środka, Martha była sama. Zdjęła z Tryphiego ubrania, wciąż gorący sweter kleił się do skóry. Nagi kontur poparzenia pokrywał plecy od ramion aż do lewego biodra i pośladka. Posłała Elięgo po Mary Tryphenę, a sama spróbowała uciszyć ryk Tryphiego łyżką miodu.

Kiedy wieści się rozniosły, w domu zgromadziło się spore zbiorowisko,

wszyscy przyglądali się przewieszonemu przez kolana Marthy chłopcu o plecach czerwonych niczym grzbiet homara. Bride zbierała koce, a ojciec chłopaka poszedł po nosze na ryby. Ułożywszy Tryphiego na brzuchu, przykryli go kocami i wyruszyli w górę Tolt Road. Chłopak zawodził i błagał o łyk wody.

Newman usłyszał ich z daleka i wyszedł za swoimi pacjentami na dwór. Ujrzał Bride truchtającą w jego stronę z ręką ukrytą pod stertą koców ułożonych na noszach na ryby. Drugą ręką podtrzymywała spódnicę, by nadążyć za noszami. Mężczyzna stojący obok niego powiedział, Zanosi się na to, że dzisiaj doktor ciężko popracuje na swoją pensję.

Tryphie był nieprzytomny, kiedy wniesiono go do środka. Gdy podnieśli koce, ich oczom ukazały się odchodzące od ciała warstwy poparzonej skóry. W pomieszczeniu stłoczyły się ze dwa tuziny ludzi; w całym tym zgiełku Newman miał kłopoty ze sprawdzeniem pulsu. Kazał wyjść wszystkim poza Bride i Mary Trypheną. – Czterdzieści jeden, powiedział. Uszkodzone części ciała były silnie opuchnięte, z widocznym rozszerzeniem naczyń włosowatych; ciśnienie krwi spadało. – Jest w stanie wstrząsu, powiedział tak naprawdę tylko do siebie. – Stracimy go.

– Przeżyje, doktorze, powiedziała Bride, podnosząc na niego wzrok.
– Zdążyliśmy przynieść go do pana, więc przeżyje.

W uległości wobec jego fachowej wiedzy i doświadczenia było coś niepokojąco erotycznego. – Będziesz musiała mi pomóc, powiedział.

– Co mam robić?

Newman pomyślał, że może jednak Bóg istnieje.

W dobudowanej części kliniki znajdował się gabinet, prymitywna sala operacyjna oraz sześć łóżek dla pacjentów wymagających stałej opieki; kiedy stan Tryphiego się ustabilizował, Newman przeniósł go jednak do głównego domu na piętro. Ułożył go na brzuchu pod namiotem z wyjałowionych prześcieradeł. Sklecił drewnianą ramę,

która utrzymywała materiał z dala od poparzonej skóry; pod łóżkiem ustawił lampę naftową, żeby chłopcu było ciepło. Prześcieradła i poszwy na poduszki zostały odkażone we fiolecie gencjanowym, więc w nocy przenikające przez materiał światło lampy sprawiało, że cały pokój lśnił niczym Przenajświętsze Serce – nieziemski, bladopurpurowy blask sączył się nawet przez okno od ulicy.

Tryphie przeleżał siedemnaście dni w stanie śpiączki. Gdy odzyskał świadomość, Newman ostrzegał Bride, że i tak ryzyko zakażenia wciąż sprawia, iż jego powrót do zdrowia wydaje się mało prawdopodobny.

– Przeżyje, stwierdziła Bride.

– Upłynie jeszcze wiele miesięcy, zanim niebezpieczeństwo zostanie na dobre zażegnane.

A Bride na to, Wie doktor, że nie mamy jak za to wszystko zapłacić.

– Ależ Bride.

Podniosła rękę. – Doktor nie ma tu nikogo do pomocy.

– Po zakończeniu roku szkolnego panna Sellers przychodzi tu trzy razy w tygodniu.

– Wiem swoje o Adelinie Sellers, oznajmiła Bride.

Adelina mdlała na widok krwi, a zapach moczu i wymiocin przyprawiał ją o zawroty głowy; właściwie bardziej przeszkadzała niż pomagała. Od czasu do czasu Newmanowi udawało się zwabić do Paradise Deep studentów medycyny na staż, a dwa razy nawet zdarzyło się, że pielęgniarka z Ameryki spędziła w klinice całą zimę, jednak mrok, chłód i ciężka praca przepędzały stąd w końcu wszystkich. Newman pokrzepiał się przyjmowanymi regularnie dawkami koktajlu z alkoholu etylowego z dodatkiem jagód i borówek, dzięki czemu znosił jakoś ten samotny znój. W minionym roku dwa razy zdarzyło się, że mężczyźni przyszli zapłacić mu za przyjęcie porodów, których nawet nie pamiętał. Wiedział, że kiedyś kogoś okaleczy lub zabije, że to tylko kwestia czasu.

– Nic nie dzieje się bez powodu, panie doktorze, powiedziała Bride.

W połowie maja mężczyźni z rodziny Devine'ów popłynęli na Labrador, a Bride przeprowadziła się do izby naprzeciw pokoju Tryphiego. Przez wzgląd na przyzwoitość Newman sypiał w stojącej koło domu szopie z pryczą i piecykiem. Bride gotowała, prała i asystowała przy zabiegach w roli anestezjologa lub pielęgniarki operacyjnej. Żołądek miała mocny jak stary żołnierz, poza tym miała niebywałego nosa do pojawiających się z rzadka symulantów i histeryków – potrafiła przepędzić ich z kolejką wzmiankami o natychmiastowej amputacji lub niezbędnej lewatywie. Kiedy Newman wyjeżdżał na wizyty, przyjmowała pacjentów: wykonywała proste zabiegi dentystyczne i segregowała chorych, zatrzymując najbardziej rozpaczliwe przypadki w klinice i utrzymując przy życiu do powrotu doktora.

Widmo śmierci przestało krążyć nad Tryphiem dopiero w sierpniu, kiedy wreszcie minęło ryzyko zakażenia. Gdy tylko zezwolono na wizyty, Eli Devine zaczął go regularnie odwiedzać. Newman kazał pokazywać sobie poparzoną rękę za każdym razem, gdy spotykał chłopaka na korytarzu. – Wygląda na to, że ładnie się goi, mówił.

Eli pomógł Tryphiemu podnieść się z łóżka, całą wizytę spędzili klęcząc przy oknie. Tryphie miał na sobie szpitalny fartuch z rozcięciem na plecach, Eli nie mógł więc uniknąć przyprawiającego o mdłości widoku jego ciała. Grzebień czarnych strupów, śluzu i szkarłatnej, świeżej skóry. Dzięki własnej ranie był w stanie domyślić się, jakie katusze musiał cierpieć Tryphie, robił więc wszystko, aby odwrócić uwagę kuzyna od męczarni. Fabrykował zawiłe opowieści o statkach stojących na kotwicy w zatoce, a nawet najprzeciętniejsza, płaskodenna krypa musiała stawiać czoła sztormom, piratom i olbrzymim kałamarnicom, które załoga odpędzała toporami i mieczami, aby w końcu zawinąć bezpiecznie do Paradise Deep.

Z początku starał się rozweselać Tryphiego, niebawem jednak zrozumiał, jak koszmarnie cierpienie sprawia mu śmiech. Gdy jego kuzyn wył z bólu, Eli spoglądał za okno, czując straszne mrowienie we wnętrzościach. Była to bliskość zbyt dojrzała jak dla chłopców, usłana złożami poczucia winy i frustracji, warstwami czułości, litości i rozgoryczenia.

W końcu lata Bride spytała doktora, kiedy Tryphie wydobrzeje na tyle, aby móc wrócić do domu. Od jakiegoś czasu Newman zbierał poprzez ojca informacje na temat ostatnich postępów w dziedzinie przeszczepów skóry mogących zmniejszyć oszpecenie ofiar poparzeń. Ostrzegł Bride, że jest to eksperymentalny zabieg, który zapewne okaże się dla dziecka prawdziwą męką. Gdyby jednak pozostawić ranę w aktualnym stanie, rozległe blizny zrobią z chłopca garbatego kalekę. Bride zaskoczyła Newmana, nagle wybuchając płaczem na myśl o tym, co czeka jej syna. Lekarz poczuł się tak, jakby kobieta bez ostrzeżenia zrzuciła z siebie ubrania; znalazł pretekst, żeby wyjść z pokoju, chcąc zostawić ją na chwilę samą. Z drugiej strony chętnie oddałby rękę za to, żeby móc spędzić jeszcze parę chwil w obliczu tej nagości.

Nie rozumiał, jak to się działo, że życie w pobliżu Bride uczyniło z niej kobietę jeszcze bardziej egzotyczną, niż zdawała się na dystans. Była pobożna, skromna i twardo osadzona w swoich zasadach moralnych, była obca i powściągliwa, miała w sobie bezbronność, którą potrafiła dobrze ukryć lub nosić w ręce niczym kij. Newman przez całe lato był chory z pożądania do Bride i ze strachu przed jesiennym powrotem załóg z Labradoru. Nawet gdyby nie zrezygnowała ze stanowiska pielęgniarki, z pewnością zamierzała wrócić z Henleyem Devine'em do Trzewia. Ta chmura wisiała nad Newmanem przez cały wrzesień. Wolny czas spędzał w głębi ładu z karabinem, rogiem prochu i myślą o Bride leżącej w łóżku innego mężczyzny. Strzelał do wszystkiego, co się ruszało; za

pomocą skalpela zdejmował skóry z lisów, królików i głuszców, z bobrów i rysiów. Spał pod gołym niebem, by lepiej przygotować się na czarną otchłań straty.

Newman był akurat w dzicz, wiele mil w głąb łądu, gdy Devine'owie wrócili z Labradoru ze zwłokami Henleya, który zginął w pierwszym tygodniu sierpnia. Długi na siedem stóp rekin złapał się na jego hak i wywlókł go z łodzi na linie, w którą zaplątała się jego noga. Henley został przeholowany pięć sążni pod powierzchnią, a kiedy w końcu załoga zdołała wciągnąć go z powrotem na pokład, był podtopiony i nieprzytomny. Nie otworzył już oczu, chociaż umarł dopiero po trzech dniach. Juda Devine zbudował świerkową trumnę, w której ciało zostało zasypane solą do konserwowania ryb, dzięki czemu miało doczekać powrotu do domu i pochówku.

Bride stała na brzegu, patrząc, jak Łazarz, Juda i Patrick wpychają prymitywne, świerkowe pudło na keję. Mężczyźni podnieśli trumnę w milczeniu. Zachowywali się tak, jakby było im wstyd, jakby właśnie zakradali się do domu po całonocnej pijatyce. – Ktoś powinien powiedzieć Mary Tryphenie, oznajmiła Bride. Trumna została wystawiona w salonie; wszystkie drzwi i okna pootwierano na oścież ze względu na zapach. Podczas gdy Bride zajmowała się przygotowaniem do pogrzebu, Mary Tryphena czuwała przy synu. Była zdruzgotana, trzymała rękę na trumnie, której wieko zabito przed wieloma tygodniami. Nie potrafiła się powstrzymać przed katalogowaniem ułomności Henleya: był niedojrzały i zepsuty, samolubny, skupiony na sobie i porywczy, był z niego beznadziejny mąż i ojciec, był krótkowzroczny, słaby i samotny. Mary Tryphena kochała go, żeby zadośćuczynić za wszystkie jego niedostatki, kochała go zawzięcie i bez zastrzeżeń, wiedząc, że w swoim oddaniu jest całkiem odosobniona.

Stan Tryphiego był jeszcze zbyt ciężki, żeby chłopak mógł wziąć

udział w pogrzebie ojca. Czuł ulgę, nie wiedział bowiem, jak miałyby zareagować na śmierć tego obcego mężczyzny. Pośród żałobników zebranych w kościele przeważało raczej uczucie zażenowania niż smutku; było im wstyd, że w tak małym stopniu odczuli tę stratę. Juda pomógł wykopać grób, podczas nabożeństwa stał przy nim samotnie, a kiedy już odmówiono modlitwy i Bride rzuciła na wieko trumny garść ziemi, został na cmentarzu, żeby pogrzebać Henleya.

Nikt nie przyznał tego otwarcie, ale mężczyźni z rodziny Devine'ów spodziewali się, że śmierć Henleya przyniesie koniec prześladowań przez firmę Sellers & Co. We wrześniu, gdy poszli się rozliczyć, ku swojemu zaskoczeniu stwierdzili, że zostali orznięci po raz drugi. Levi nie wpuścił nawet Judy do biura. – Ten biały skurwysyn poczeka za drzwiami, krzyknął z drugiego końca pokoju.

Do świąt Bożego Narodzenia Devine'owie wyczerpali zapasy suszonego groszku, mąki i solonej wieprzowiny. Aż do Wielkiego Postu do życia musiały im wystarczyć ziemniaki i rzepa z piwniczki, ryby złowione na jesieni, beczka peklowanego łososia oraz datki sąsiadów. Bride podjęła na stałe posadę pielęgniarki oraz gospodyni doktora i przeprowadziła się do kliniki, aby w pewnym stopniu odciążyć gospodarstwo w Trzewiu. Gotowała dla Newmana, prała jego ubrania, czyściła salę operacyjną, dezynfekowała przyrządy chirurgiczne i rąbała drewno na opał. Studiowała podręczniki medyczne, by dowiedzieć się jak najwięcej o adenotomiach, tonsilektomiach, drenażach ropni czy amputacjach palców u rąk i nóg. Co rano rozpałała ogień, jeszcze zanim Newman wstał; każdego wieczora odczytywała przy świetle lampy trzy rozdziały Biblii, po czym życzyła mu dobrej nocy.

Newman leżał po ciemku, całymi godzinami rozmyślając nad tym, ile przyzwoitość nakazuje odczekać przed poproszeniem o rękę owdowiałej kobiety.



Zimą tego roku, w którym Henley Devine spoczął na Francuskim Cmentarzu, miały odbyć się kolejne wybory. Co prawda irlandzka ludność wybrzeża od dawna miała przewagę liczebną nad Anglikami, jednak jedynym reprezentantem, jakiego dotąd okręg wysyłał do siedziby Legislatury w St. John's, był Barnaby Shambler, protestant i torys. Głosy Irlandczyków zawsze dzieliły się między protegowanego księdza a tego czy tamtego wściekłego krzykacza. Shambler korzystał z tych rozłamów, krocząc wprost po zwycięstwo, niczym Mojżesz wędrujący między rozstępującymi się wodami Morza Czerwonego.

Kiedy jednak ksiądz Reddigan podjął kroki mające na celu zjednoczenie katolików, różnica głosów, jaką Shambler wygrywał, zaczęła się stopniowo kurczyć. Reddigan był pierwszym urodzonym na Nowej Fundlandii duchownym, który posługiwał na wybrzeżu, nie interesowała go więc polityka Starego Kontynentu. Twierdził, że jego ojczyzną jest Nowa Fundlandia, a wszyscy Nowofundlandczycy są jego rodakami, jego braćmi. To podejście mogło sprawić, że tym razem wyborcy nie oprą się liberalnemu kandydatowi. W czasie ostatnich wyborów Shambler uznał za stosowne otoczyć punkt wyborczy podpłaconą hołotą, która miała nie przepuszczać żadnego katolika, dopóki ten nie przysięgnie, że zagłosuje na konserwatystów. Bojówkarze byli uzbrojeni w kije i oseeki, katolicy przyszli więc na wybory z podobnym orężem, zamierzając bronić swojego prawa do wolnego głosowania. Awantury zaczęły się rano i trwały aż do zamknięcia punktu wyborczego. Ostatecznie Shambler cudem utrzymał się na stanowisku.

Ksiądz Reddigan złożył oficjalny protest u męża zaufania, żądając unieważnienia zmanipulowanych wyborów. Gdy mąż zaufania odrzucił

protest, wizytę złożyła mu delegacja z Trzewia. Podciąwszy drewniane belki w ścianach jego domu, przywiązali grube liny do okapu i obalili cały budynek. Następnie zarżnęli mu w oborze pięć krów, a w drodze powrotnej do Trzewia cisnęli w morze ciasto na chleb, które przygotowywała jego żona. Siedmiu sprawców zostało później publicznie wychłostanych na pręgierzu i poprowadzonych na postronkach pod ruiny domu, gdzie otrzymali jeszcze po dwadzieścia batów. Zarządzono odszkodowania. Po tym wszystkim na wybrzeżu znów nastał względny spokój. Jak to powiedział Shambler, zadziałał fenomen demokracji.

Myśl o kolejnych wyborach odbierała Shambler owi apetyt. Książd Reddigan domagał się założenia osobnego punktu wyborczego w Trzewiu i dopiął swego, przez co tym razem tłum popleczników Shamblera na niewiele mógł się zdać. Chodziły słuchy, że wśród metodystycznych abstynentów szerzy się niezadowolenie z dotychczasowego delegata. Z ramienia liberałów miał ponoć kandydować Matthew Strapp, miejscowy bogaty rybak, wyedukowany u jezuitów w St. John's, właściciel jednego pomostu i trzech stojaków do suszenia ryb, dwóch ogródków i ośmiu krów, dwudziestu owiec i dwunastu świń. Był zażartym przeciwnikiem przystąpienia Nowej Fundlandii do Konfederacji Kanady, pił z umiarem, miał siedmioro dzieci, żadnych wrogów czy widocznych słabości. Shambler, który potrafił obrócić każdą awanturę na swoją korzyść, postanowił zaatakować sam Kościół katolicki, aby zachować poparcie metodystów. Na całym wybrzeżu zaczęły pojawiać się anonimowe afisze potępiające zgubny wpływ papieża na politykę Nowej Fundlandii; głoszące, że w Legislaturze nie ma miejsca dla Kościoła rzymskokatolickiego, dla tego gniazda ciemnoty, zepsucia i korupcji.

Jego drugim, i ostatnim, atutem były znaczące wpływy miejscowego kupca. Shambler po to zdradził na łóżu śmierci starego, ślepego Absaloma, aby zapobiec przejściu Leviego na stronę liberałów. Teraz był

już z nim związany na dobre i złe. Ludzie często porównywali Leviego do Królowki Sellersa, ale jak na oko Shamblera podobieństwo było tylko pozorne. Królowka był gotów obedrzeć wesz ze skóry, byle by zarobić centa więcej. Nie wykazywał talentu ani zamiłowania do żadnych czysto ludzkich przedsięwzięć, o ile nie wiązał z nimi nadziei na jakiś zysk. Motywy kryjące się za poczynaniami Leviego nigdy nie były już tak oczywiste. Shambler czuł, że drzemie w nim starotestamentowe okrucieństwo, jakiś nieodgadniony, prymitywny rdzeń.

Na początku grudnia Matthew Strapp ogłosił swoją kandydaturę, a w tydzień później jego obora została doszczętnie spalona. Co prawda sprawcy wypuścili najpierw zwierzęta, a płomienie strawiły jedynie budynek, Strapp potraktował jednak ostrzeżenie śmiertelnie poważnie i zrezygnował z udziału w wyborach. Nikt spośród ludzi dorównujących Strappowi majątkiem i kwalifikacjami nie zamierzał nadstawić głowy i zgłaszać się na jego miejsce. Do Bożego Narodzenia stało się już jasne, że miejsce torysów w Legislaturze nie jest zagrożone.

Okres świąteczny upłynął pod znakiem całotygodniowego szaleństwa w tawernie Shamblera. Gospodarz urzędował do późnej nocy, wykazując się bezwstydną hojnością, co chwilę puszczał do kogoś oczko, wymierzał gościom szturchańce i posyłał im porozumiewawcze spojrzenia. Bandy pijanych torysów błąkały się ulicami i przyłączały do grup kołędników chodzących od domu do domu. Levi Sellers nie przepadał za piciem i nie był zbyt towarzyski, ze swoją obowiązkową wizytą u Shamblera, mającą stanowić publiczny wyraz aprobaty dla wydarzeń ostatnich dni, odczekał więc aż do Starych Świąt. Usiadł w kącie, ściskając w dłoni szklanekę rozwodnionej brandy, i patrzył na falujący, miotający się wokół tłum. Akurat tamtej jesieni Shambler wymienił swoje zęby na angielską protezę, którą sprowadził sobie z Wellington; zęby pozyskane ze zwłok z jakichś europejskich pól bitwy lub powyrywane z ust zbrodniarzy po

egzekucji. Jego trupi uśmiech przyprawiał o dreszcze Leviego, ten więc nie podniósł nawet wzroku, gdy Czcigodny Członek Legislatury przysiadł się do jego stolika.

– Już zaczynałem się bać, że się nie zobaczymy, panie Sellers.

Levi wznosił szklanke o cal ponad blat stołu. – Specjalnie bym się nie zmartwił.

– Cóż, skoro jest pan w tak doskonałym nastroju, powiedział Shambler.

– Od jakiegoś czasu chciałem pomówić z panem na temat Domu Seliny.

– Chyba nie chce pan, żebym pożałował, że tu przyszedłem, panie Shambler.

– Doktor Newman uważa, że z domu byłby świetny szpital.

– Owszem, uważa.

– Klinika jest już dwa razy za mała, jak na potrzeby wybrzeża, a Dom Seliny niebawem zacznie niszczyć, zabity dechami, więc.

– A w jakież sposób nasz dobrodziej doktor zamierza wejść w posiadanie Domu Seliny?

– No cóż, podjął Shambler. – Może jeszcze szklaneczkę? spytał, na co Levi pokręcił głową. – Pomyśleliśmy, że mógłby to być z pana strony gest dobrej woli wobec wszystkich mieszkańców wybrzeża. Biorąc pod uwagę, że dom i tak miałby stać pusty i popadać w ruinę.

Levi wstał od stołu i założył płaszcz. – Poważnie się nad tym zastanowię, powiedział.

Shambler nalegał, by przed wyjściem zechciał jeszcze coś wypić, ale Levi nie zwracał na niego uwagi. Na zewnątrz przystanął na chwilę, żeby odczekać, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Żałował, że w ogóle tu przyszedł. Jego drogę do domu miał rozjaśniać tylko fioletowoniebieski blask śniegu pod gwiazdami. Ruszył brzegiem zatoki; mróz już tłumiał gwar dobiegający z knajpy Shamblera. Skręcił w Zaułek Sellersów i poszedł w stronę Domu Seliny, który stał pusty od czasu, gdy jego matka

przeprowadziła się do Bostonu. Przystanął w ciemnościach zalegających przed budynkiem, rozmyślając o tym, jakim skończonym skurwysynem musiał być Shambler, że ośmielił się sugerować mu, że mógłby oddać ten dom za nic. Tak, jakby to było coś, co Levi był komuś winny. Jakikolwiek dług, jaki mógł ewentualnie zaciągnąć wobec Shamblera, został spłacony tamtej nocy, gdy obora Strappa stanęła w ogniu. Wolały już ujrzeć Dom Seliny zrównany z ziemią niż patrzeć, jak wprowadza się tam Newman razem z Bride Devine i jej bękartem.

Gdy usłyszał zbliżające się w jego kierunku głosy, ruszył w stronę światła lamp stojących w oknach jego domu. Dostrzegł grupkę nadchodzącą od strony Widoku, kilku kolędników ubranych w szmaty i łachmany, z twarzami ukrytymi pod woalami.

– Dobry wieczór, panie Sellers, mężczyzna stojący na czele grupy przemówił tym skrzekliwym głosem, na wdechu. Miał na sobie suknię z jutowego worka i koronę ze świerczyny, w ręce dzierżył prowizoryczne berło z klepki od beczki.

– Dobry wieczór, panowie, powiedział Levi.

– Znajdzie się może napitek dla biednego kolędnika? spytał herszt, kładąc rękę na jego ramieniu. Levi opędził się od niego i ruszył w stronę domu. Kolędników było trzech, stłoczyli się przy nim ciasno, zaraz za jego plecami i po bokach. – A może odrobinę solonej wieprzowiny? spytał jutowy worek. – Może trochę mąki? A może kakao lub herbaty?

Wiedział, że nie ma co uciekać, więc odwrócił się twarzą do nich. Noc była tak cicha, że przez maski słyszał ciężkie oddechy mężczyzn.

– Nie wydaje mi się, żeby pan Sellers cię usłyszał, powiedział drugi kolędnik. – Powtórz naszemu panu dobrodziejowi głośniejsze.

– A może odrobinę solonej wieprzowiny? powtórzył ten w jutowej sukni, podchodząc bliżej. Dwaj pozostali obeszlę Leviego, otaczając go w miejscu, w którym stał.

– Życzę dobrej nocy, panowie, powiedział Levi.

– Jego uszy nie działają jak należy, oznajmił jutowy worek. – Może powinniśmy je naprawić? Może przydałaby się panu operacja, co, panie Sellers?

Zanim zdążył się odwrócić, kolędnicy skoczyli na niego, złapali go za ręce i przygwoździli do ziemi. Prowodyr wyciągnął spod swoich łachmanów nóż do ryb. – Przyjmij w uszy słowa ust moich, powiedział.

Levi wrzasnął wniebogłosy i stracił przytomność. Jeszcze zanim zalały go ciemności, jego nozdrza zdążył wypełnić obrzydliwy odór. Zaalarmowani dzikim wyciem pracownicy wnieśli go do domu. Posłano po Newmana; doktor przemył rany alkoholem i oczyścił je z krwi. Gdy Flossie i Adelina podeszły bliżej z lampą, przerażenie zaparło im dech w piersiach. Ktoś odciął od obojga uszu płatki i po pół małżowiny. Adelina zemdląła, musieli przenieść ją do łóżka. Levi odzyskał przytomność, kiedy Newman zakładał szwy. Próbował się podnieść i zaczął się opędząć od doktora. – Kolędnicy, krzyczał, napadli na mnie kolędnicy.

– Przytrzymajcie go, Newman powiedział do pracowników Leviego stojących u jego boku.

Gdy tylko doktor skończył go bandażować, Levi zerwał się na równe nogi i zaczął wydawać wszystkim polecenia. Wyruszył z pistoletem i czterema pracownikami do knajpy Shamblera, gdzie zaprzysiągł tuzin pijanych konstabli. Wzięli pochodnie i liny, a wszyscy podpici goście Shamblera ruszyli w ślad za nimi. Levi poprowadził całą grupę w górę Tolt Road, wciąż czując jeszcze w nozdrzach smród, który go wtedy owionął.

Mary Tryphenę już drugi raz w życiu obudził sen o wściekłym tłumie schodzącym z Toltu do Trzewia. Gdy szła do domu Łazarza, żeby obudzić mężczyzn, światła pochodni były dopiero ledwie widoczne w oddali.

Krzyknęła, żeby wstawali, a panika pobrzmiwająca w jej głosie

sprawiła, że natychmiast wyskoczyli z łóżek. Słyszała, że Łazarz mężczy się ze swoją drewnianą nogą, że nerwowo przebiera w paskach, weszła więc do pokoju, żeby mu pomóc. – Co się dzieje? spytał.

– Ktoś idzie po Judę.

W drzwiach zajaśniała twarz Judy, Łazarz krzyknął, żeby natychmiast uciekał. – Zaraz cię dogonię, powiedział. – Ruszaj.

Kiedy w końcu udało się im przymocować nogę, światła pochodni przesuwają się już na podwórzu. – Porozmawiam z nimi, powiedziała Mary Tryphena. Wstała w krąg czerwonego blasku, nie będąc w stanie rozpoznać ani jednej twarzy w tłumie. – Czego chcecie? krzyknęła. Jedna z sylwetek oderwała się od skupiska cieni i podeszła do niej. Z mroku wyłoniła się przedziwnie przyozdobiona głowa Leviego, te białe opatrunki na uszach. – Nic tu po panu, panie Sellers.

Na skinięcie ręki Leviego paru mężczyzn wystąpiło z tłumy i precyzyjnie się obok Mary Trypheny. Łazarz został wywleczony na dwór bez kurtki, z rękami spletanymi na plecach. Patrick przybiegł z Amosem i Elim ze swojego domu stojącego po drugiej stronie ogródka. Levi odwrócił się do konstabli. – Aresztować ich wszystkich, powiedział. Przytrzymywał Mary Tryphenę, podczas gdy jego ludzie obalali i pętali Devine'ów. – Gdzie ten biały skurwiel? spytał. – Ten śmierdziel, gdzie on jest?

– Levi Sellersie, dość krzywd już wyrządziłeś tej rodzinie.

Levi przytknął dłoń do jednego z ogromnych opatrunków przymocowanych po bokach głowy. – Najmocniej przepraszam, pani Devine, powiedział, ale mam lekkie kłopoty ze słuchem.

Przewrócili do góry nogami wszystkie domy na działce Devine'ów, domy sąsiadów, magazyny nad wodą, nigdzie nie znaleźli jednak śladu po Wielkim Białym. Devine'ów wyprowadzono z Trzewia na postronkach, mały Eli szedł na czele kolumny. Druce i Martha stały w ogródku obok

Mary Trypheny i zapłakane patrzyły za wspinającymi się na Tolt światłami pochodni. Noc była bezwietrzna i mroźna, a niebo rozświetlił już pierwszy blask poranka. Mary Tryphena wprowadziła kobiety do domu i rozpałała potężny ogień, by przegnać chłód.

Jeszcze zanim słońce wstało na dobre, Druce zabrała Marthę na górę, by położyć ją spać, a Mary Tryphena wymknęła się na zewnątrz i przystanęła na chwilę na mrozie, żeby nasłuchiwać, żeby badać ciszę. Poszła ścieżką do wychodka i, stanąwszy w drzwiach, zawołała Judę. Jego ręce wystrzeliły z dziury niczym blade pędy egzotycznej, zimowej rośliny.

Ku własnemu zdumieniu stwierdziła, że nawet po tylu latach ojciec Phelan wciąż krył się ze swoimi opowieściami zaraz pod powierzchnią jej umysłu, jej i Judy. Wróciwszy do domu uklękła i pomodliła się za wszystkich swoich zmarłych, za ojca Phelana, za Calluma, Lizzie i Wdowę po Devinie, za Absaloma i za Henleya gnijącego na Francuskim Cmentarzu w swoim solnym całunie. Gdy Druce zeszła do kuchni, przystanęła w drzwiach zadziwiona widokiem klęczącej Mary Trypheny. Kobieta przeżegnała się, zanim wstała. Druce była zakłopotana tym, że naszła ją w takiej sytuacji, nie wiedziała, co myśleć o tym katolickim geście. – Modliła się pani za mężczyzn, pani Devine?

Mary Tryphena pokręciła głową. – Żywym modlitwy na nic się nie zdadzą, powiedziała.



Przez następne trzy dni konstable przetrząsali Trzewie w poszukiwaniu Judy. Levi obiecał nagrodę w wysokości pięćdziesięciu dolarów każdemu, kto dostarczy informacji mogących przyczynić się do pojmania

poszukiwanego, jednak nikt się nie zgłosił. Eli Devine miał dopiero dziewięć lat, Barnaby Shambler zdołał więc przekonać Leviego, aby wypuścił chłopca. Pozostali Devine'owie byli wciąż przetrzymywani w służącym za areszt opuszczonym magazynie nad wodą. Na wybrzeżu zdania były podzielone co do tego, czy atak miał być odwetem za podpalenie obory Strappa podczas kampanii, czy też zapłatą za bezwzględne poczynania Leviego w roli właściciela firmy Sellers & Co. Chociaż w okolicy nie brakowało osób żywiących do niego urazę, a niektórzy z nich już wcześniej nastawiali na jego zdrowie i mienie, nikt nie został przesłuchany.

Newman odwiedził Leviego, żeby zmienić mu opatrunki, a podczas sprawdzania stanu szwów podjął z chorym niewinną rozmowę. – Sprawcy byli przebrani za kołédników, zgadza się?

– Mieli na sobie worki, łachmany, babskie szmaty. Wszyscy, co do jednego.

– A na twarzach mieli woale, tak?

– Oczywiście, że mieli.

Newman przerwał pracę i wyprostował się. Ogromny nos Leviego był spadzisty, głowa nienaturalnie kanciasta. Utrata uszu bynajmniej nie przyczyniła się do poprawy jego prezencji. – Panie Sellers, w jaki sposób ich pan zidentyfikował?

– Po zapachu, odparł Levi.

– Po zapachu?

– Doktorze, na całym wybrzeżu jest tylko jedna osoba, która tak cuchnie.

– Mówi pan o Judzie?

– Oczywiście, że mówię o Judzie.

– Proszę się teraz nie ruszać, powiedział doktor. Przez chwilę pracował w milczeniu. Już dawno się domyślił, że ojcem Henleya Devine'a był

Absalom Sellers. Nie potrafił jednak zrozumieć, skąd brała się nienawiść, jaką Levi żywił do Judy, będącego przecież w całej tej historii tylko niewinnym rogiaczem. Sellers najwyraźniej gardził Judą za to, że biernie przyjęta hańba zdradzonego mężczyzny odzwierciedlała jego własne upokorzenie. – Panie Sellers, nie zamierzam się bawić w adwokata obrony, ale z jakiej racji przetrzymuje pan w areszcie tamtych mężczyzn?

– Właśnie przyjrzał się pan moim racjom z bliska.

– Jak by nie było, pana dowody, jeśli można je tak w ogóle nazwać, wskazują jedynie na człowieka, który nie został jeszcze schwytany.

– To wszystko jedna banda, odparł Levi.

– Żaden z tych argumentów nie przekona sędziego.

– Doktorze, zapomina pan, że to ja jestem sędzią.

Później Newman streścił tę rozmowę Bride. Po kolacji poszła przez Tolt do Trzewia, aby pomówić z Mary Trypheną. Rodzina Patricka przeniosła się z domu na skraju Małego Ogrodu do Mary Trypheny, a kiedy Bride weszła, wszyscy siedzieli przy stole: Druce, Martha ucząca Eliego pisać, chłopak przepisujący biblijne wersety wypisane przez nią na skrawku papieru.

– Doktor Newman uważa, że Levi nic nie udowodni, powiedziała Bride.

– Levi zadba o to, żeby wszyscy zawiśli na stryczku, co do jednego, odparła Mary Trypheną.

– Cicho, powiedziała Druce, ruchem głowy wskazując dzieci.

A Bride na to, Doktor twierdzi, że Levi nie może występować jednocześnie jako oskarżyciel i sędzia.

Mary Tryphena zbyła ten techniczny szczegół machnięciem ręki.

– W takim razie postara się, żeby rozprawę poprowadził jeden z jego znajomych kupców z St. John's. Rezultat będzie taki sam, wiercie mi.

Powietrze w domu Mary Trypheny przenikał cierpki zapaszek

pozwalający sądzić, że Juda przysłuchuje się całej rozmowie ze spizarni lub z korytarza na piętrze. Bride spytała, Czy Juda w ogóle wie, co się dzieje?

– A jak to poznasz? Mary Tryphena powiedziała, zerkając w stronę schodów.

W tym momencie zszedł do nich, jakby wzmianka o nim była ustalonym sygnałem. Mary Tryphena powiedziała, Juda, mówiłam ci przecież, żebyś się do tego nie mieszał.

Bride przywitała go skinieniem głowy. – Cześć, Juda, powiedziała. W dzieciństwie zdążyła już na tyle oswoić się z faktem, że Juda jest dziwadłem, że teraz właściwie nie zwracała uwagi na jego zapach i białą jak kreda skórę, na milczenie, rybnie oczy i łagodne usposobienie, przez które zdawał się być nieszkodliwy i opóźniony w rozwoju. Tym razem jego twarz wydawała się jednak przedziwnie zacięta, malował się na niej strach, determinacja oraz całkiem nieprzystający do nich spokój. Podszedł do stołu, popatrzył na twórczość dzieci, po czym przysunął do siebie tabliczkę i lampę. Odwrócił na drugą stronę zapisany przez Marthę kawałek papieru, sięgnął po pióro i zanurzył je w kałamarzu. Zerknął na kobiety siedzące naprzeciw i przystąpił do pisania.

Mary Tryphena przyglądała się pracującemu Judzie. – Patrick uczył go pisać?

– Nigdy o czymś takim nie wspominał, powiedziała Druce.

Juda osuszył świeże pismo piaskiem, strząsnął nadmiar na podłogę, po czym podał kartkę kobietom. Litery były tak wymyślnie ornamentowane, że rozpoznanie wersetu zajęło Bride dobrą chwilę. – *Niechajże prześladuje nieprzyjaciel duszę moją, a niechaj pochwyci, i podepcze na ziemi żywot mój, a sławę moją niech zagrzebie w proch.*

– Dobry Panie, Odkupicielu, powiedziała Mary Tryphena.

– To z Księgi Psalmów, oznajmiła Martha.

– Wiemy skąd, moja panno.

Druce powiedziała, Zastanawiam się, gdzie się nauczyła pisać.

Mary Tryphena wciąż przyglądała się mężowi, który odszedł od stołu i stanął pośrodku izby. – Od początku umiał pisać, stwierdziła. – Prawda, Judo?

On nawet na nią nie spojrział.

– Jest tego więcej, powiedziała Bride. – *Którzy ufają bogactwom swoim, a w mnóstwie dostatków swoich chlubią się. Gdyż brata swego nikt żadnym sposobem nie odkupi, ani może dać Bogu okupu jego zań.*

Mary Tryphena nie odrywała wzroku od Judy. – Jesteś pewien, że tego właśnie chcesz?

Zerknął na nią i przytaknął.

Powiedziała, Bride, czy myślisz, że doktor zechce przekazać od nas wiadomość Lewiemu?

– Na pewno.

– Niech powie Lewiemu, że Juda odda się w jego ręce, jeśli najpierw zwolni pozostałych. Zgadza się? Mary Tryphena spytała go ponownie. – Tego właśnie chcesz?

Bride spojrzała na kartkę i przeczytała wersety po raz drugi, potem po raz trzeci. – Pani Devine, to dość daleko idące wnioski, jak na to, co tutaj napisał, powiedziała. – Jest pani przekonana?

Kiedy podniosła wzrok, Juda był już za drzwiami. Mary Tryphena sięgnęła drżącą ręką po kartkę i odebrała ją Bride. – Zatrósz się o to, żeby wiadomość dotarła do Lewiego, powiedziała, po czym zostawiła ich wszystkich przy stole i bez słowa poszła na górę.

Mary Tryphena położyła się do łóżka i przeleżała w nim całą noc z biblijnymi wersetami w dłoni. Ta delikatnie wyokrąglona kursywa, te ostro nachylone spirale liter. Przypomniała sobie, jak Juda odprowadził ją do Jabeza Trima, gdy była jeszcze dziewczynką, jak stał pod drzwiami,

słuchając, jak ona odrzuca oświadczenia tego, kto w jej mniemaniu napisał tamten list. Nie mieściło jej się w głowie, żeby na obrzeżach jej życia mógł błąkać się jeszcze drugi konkurent. To wyglądało na jakiś kretyński żart; niemowa rywalizujący o jej względy z nieporadnym jąkałą.

Siostró moja, oblubienico moja.

Juda nie ujawnił się ani wtedy, kiedy odrzucała jedno oświadczenie za drugim, ani przez wszystkie lata ich małżeństwa. Ze strachu czy ze złości, ze skrytości, zwątpienia czy jakichś mroczniejszych pobudek, wolał ukrywać przed nią fakt, iż poślubiła mężczyznę, który naprawdę ją kocha. Jakby najpierw sama musiała się domyślić prawdy. Kiedy niebo za oknem rozjaśnił pierwszy brzask, wściekłość paliła ją niczym rozlewającą się po cieple stopiona stal. Pomyślała, że przez wszystkie lata, jakie jej jeszcze zostały, nie zdoła już wypłukać z ust jej chłodnego, metalicznego posmaku.



W trzy lata po ślubie Druce Trock i Patricka Devine'a angielski statek płynący do Arktyki osiadł na mieliźnie na wysokości Zadu. Zanim Devine'owie z Azariaszem i Abdiaszem Trimami dopłynęli wzdłuż wybrzeża do wraku, ratownicy ze Spread Eagle i Red Head Cove zdążyli już przewieźć załogę na brzeg i splądrować kambuz, kajuty i większą część okrętowej spiżarni. Trimowie podpłynęli do statku i czekali w łodzi, podczas gdy Devine'owie gromadzili na pokładzie wszystkie resztki, jakie znaleźli. Ładownia, do połowy wypełniona wodą, stanowiła już śmiertelną pułapkę. Łazarz i Juda przystąpili do przeczesywania kambuz, Patrick tymczasem sprawdzał, czy ktoś nie przeoczył czegoś cennego w innych zakamarkach statku. Okręt mocno przechylił się na sterburcie, Patrick

przemierzał więc korytarze, stawiając jedną nogę na podłodze, a drugą na ścianie. Nagle cały statek opadł na dziób. Patrick runął głową w przód, wpadł przez jedne z drzwi i wylądował na stercie powieści, tomików poezji, oprawionych roczników „Puncha”, woluminów poświęconych botanice, nauce, historii, filozofii, religii. Sztorm zrzucił na podłogę całe tuziny książek, a setki stały jeszcze za drewnianymi poprzeczkami, które miały utrzymać je na półkach.

Tylko Ann Hope i walebnny Dodge mieli większe księgozbiory niż Patrick Devine. Bezustannie poszukiwał zbłąkanych tomów na wybrzeżu i Labradorze, był gotów z miejsca przehandlować narzędzia, ubrania, jedzenie i alkohol za każdą książkę, na jaką się natknął. Łazarz nieraz groził mu, że wyłupi mu oczy, aby zabezpieczyć ich mienie przed dziwaczną obsesją. Biblioteka rozbitego statku przerosła jednak najśmielsze marzenia Patricka. Światy zamknięte w świetle; przez chwilę siedział jak wryty, próbując ogarnąć to umysłem. Sam zapach skórzanych opraw i kleju introligatorskiego przyprawił go o zawrót głowy.

Statek zakołysał się znowu, a po całej jego długości poniosło się głębokie drżenie. Patrick skoczył na równe nogi, zrzucił z siebie kurtkę i, rozpostarłszy ją na podłodze, zaczął układać na niej książki, jedną przy drugiej. Następnie zawiązał rękawy i poczołgał się z tobołem w stronę korytarza prowadzącego na pokład. Po drodze czuł, że statek przechyla się coraz mocniej na skraj mielizny. Dopadłszy poręczy, przywołał Abdiasza i Azariasza; podpłynęli na tyle blisko, by mógł zrzucić do łodzi swoją wypełnioną książkami kurtkę. Gdy ruszył z powrotem w stronę biblioteki, minął Łazarza i Judę, pchających w stronę rufy zieloną, skórzaną kanapę. – Rany boskie, pomóżcie mi z tym, krzyknął Patrick, w biegu ściągając sweter. Zawiązał sweter w kołnierzu i już zaczął napępniać wełniany worek książkami, gdy w drzwiach stanął jego ojciec. Rozbiegane, rybie oczy Judy pochłaniały obcy widok.

– Do roboty, powiedział Patrick, to wszystko zaraz pójdzie na dno.

Patrick łąpał książki na oślep, rozpaczliwie próbując upchnąć jak najwięcej do swetra. Juda wziął przykład z syna i również zdjął sweter, zaczął jednak kręcić się bez celu między półkami, co jakiś czas wybierając tylko jakąś przypadkową książkę. Statek zakołysał się ponownie, przechylił się jeszcze o jakieś trzy, cztery stopnie na sterburty, po czym wrócił do wcześniejszego położenia. Widok ojca błakającego się między półkami jak jakiś jełop, doprowadzał Patricka do szału. – Rany boskie, ty idioto, krzyknął, ale Juda dalej przebierał w książkach tak, jakby zrywał z drzewa tylko najdojrzalsze owoce, cały czas z tym samym wyrazem przerażenia na twarzy. Zappełniwszy swój sweter, Patrick dopełnił toból Judy w takim samym ślepym popłochu, krzycząc do ojca, żeby się pośpieszył. Obaj ruszyli korytarzem, wlokąc za sobą prowizoryczne sakwy. Kiedy wyszli na pokład, na statku nie było już nikogo poza nimi; Łazarz siedział w łodzi obok kanapy zwalonej w poprzek dziobu. Trimowie podpłynęli pod rufę od strony sterburty, która już zaczynała znikać pod wodą. Patrick z Judą złapali się balustrady na rufie i spuścili książki do łodzi. Juda skoczył do wody, już w locie wyciągając ręce do towarzyszy, którzy zaraz wciągnęli go na pokład. Mężczyźni machali do Patricka, dając mu znaki, by skoczył w ślad za ojcem, on jednak odwrócił się i znów ruszył w stronę biblioteki, po drodze łapiąc się kurczowo poręczy i stawiając niepewnie nogi na obmywanych przez fale deskach pokładu. Poczłapał korytarzem, brodząc w zalewającej go wodzie, po drodze zdjął koszulę przez głowę. Wieształ się na półkach, łapiąc książki za grzbiety i upychając je w rękawach koszuli, podczas gdy ocean wdierał się przez drzwi za jego plecami i powoli zawłaszczwał sobie księgozbiór. Wreszcie statek wydał z siebie długie, jęklive westchnienie, po czym zsunął się na dobre z mielizny i runął w głąbię.

Zanim pochłonął go jęzor wzburzonej wody, Patrick zdołał podciągnąć

się z biblioteki na korytarz. Dziki nurt zaczął obracać nim tak wściekle, że po chwili przestał rozróżniać, gdzie góra, a gdzie dół, gdzie wschód, a gdzie zachód. W przenikniętym czernią chłodzie jego płuca stały w ogniu, w końcu poddał się płomieniowi i zaczął połykać zimną, słoną wodę, po prostu dla ulgi, dobrze wiedząc, że to już koniec. Kiedy poddał się tej myśli, jego kończyny ogarnął przedziwny, narkotyczny spokój. Patrick nie był co prawda zbyt religijny, przed oczami stała mu jednak wizja tego, co mógłby nazwać Rajem: dryfujący po bezkresnym morzu pokój z dużymi oknami, zastawiony od podłogi aż po sufit wszystkimi książkami, jakie kiedykolwiek napisano lub choćby zamierzano napisać. Ta myśl wystarczyła, by uczynić rozstanie ze światem niemal znośnym.

Za tym obrazem dostrzegł jednak szarą poświatę słońca, a ostatnia, tłąca się w nim iskra życia kazała mu rzucić się w tamtą stronę, wierząc nogami, próbować wyskoczyć w niebo. Wynurzył się na powierzchnię, na wiatr i deszcz, jakieś trzydzieści stóp od łodzi Trimów, bez koszuli, w prawej ręce wciąż ściskając jedną z książek.

Trimowie, dla których jedyną interesującą książką była Biblia, nie chcieli przyjąć swojej części łupu. – I tak później zakradłby się w nocy i poderznął nam gardła, żeby odzyskać książki, stwierdził Abdiasz. Łazarz nalegał, by Patrick zatrzymał również kanapę, ten zielony, skórzany pomnik jego niewyobrażalnej głupoty, który miał po wsze czasy zajmować honorowe miejsce w domu.

Druce miała wtedy z dziewiętnaście lat, była dopiero w pierwszej ciąży. Świat zamknięty w świecie. Podczas gdy Patrick sortował swoje książkowe zdobycze na podłodze w kuchni, Łazarz opisał jej przebieg wydarzeń. Cały statek zniknął pod wodą w mgnieniu oka, a za jakiś czas Patrick wypłynął na powierzchnię, w wyciągniętej nad głowę ręce dzierżąc książkę niczym pochodnię. Druce popatrzyła na męża, który kręcił się po podłodze na klęczkach, jak jakiś szkrab bawiący się klockami. – Patricku

Devine, czy byłbyś gotów zrobić coś podobnego, żeby uratować żonę i dziecko? spytała. On jednak zdawał się jej nie słyszeć. Nigdy jeszcze nie czuła się tak bezradna. Przyglądała się mężowi pochłoniętemu przez jakiś obcy świat. Dziecko drgnęło pod jej dłońmi. Ogarnęła ją żądza krwi. Pomyślała, że gdy już zamorduje męża, spali wszystkie książki, bez wyjątku, będzie je ciskać w ogień, jedną po drugiej.

Był to co prawda tylko chwilowy impuls, napełnił ją jednak przerażeniem, które już nie chciało jej opuścić. Zaczęła rodzić cztery miesiące przed terminem; dziecko umarło, nie ujrawszy nawet słońca. Przez pięć kolejnych lat Druce poroniła siedem razy, a w kącie jej ogródka wyrósł mały cmentarzyk bezimiennych dzieci. Zaczęła ukrywać kolejne ciążę przed wszystkimi poza mężem, który kopał groby i składał w ziemi kolejne, maleńkie kłęski. Nigdy nie rozmawiali o swoich nieszczęściach, porażeni upokorzeniem i zabobonnym lękiem, a Patrick wypełniał czerniejące między nimi milczenie, czytając na głos książki ze swojego zbioru uratowanych opowieści. Druce potrafiła go tak słuchać całymi godzinami; w czasie, gdy mąż prowadził ją przez te obce historie, smutne realia ich własnego życia ulegały zawieszeniu. Po zakończeniu każdej książki popadali w melancholijny i sentymentalny nastrój, pół nocy leżeli w łóżku, nie mogąc zmrużyć oka, a seks nasiąkał poczuciem straty i bezsilności oraz wściekłą, niczym nieuzasadnioną nadzieją, której nie potrafili wyrazić w żaden inny sposób.

Amos był pierwszym dzieckiem, które Druce donosiła do terminu. Niedługo po nim na świat przyszli Martha i Eli. Dzieci nie pozostawiały jej zbyt wiele czasu na beczynne siedzenie, a Patrick wydawał się całkiem zadowolony z tego, że ma teraz cały księgozbiór tylko dla siebie. Potrafił przegapić nawet nawałnicę, siedząc pogrążony w lekturze na swoim końcu kanapy, podczas gdy obok dzieci bawiły się w kotka i myszkę, gdy maluchy jeździły na Amosie po pokoju, rycząc jak osły. To była prywatna

przestrzeń, do której wycofywał się przy każdej sposobności. Druce nieraz dawała w towarzystwie upust swojemu niezadowoleniu, mówiąc, że jest „książkową wdową”, nigdy jednak nie odmawiała Patrickowi przyjemności lektury, pomna tego, że sama spędziła z nim na kanapie najcięższe chwile minionych, mrocznych lat.

W starym magazynie Sellersa Patrick spędzał czas albo czytając jedyną książkę, jaką pozwolono mu zabrać do aresztu, albo rozgrywając z Łazarzem i Amosem niekończące się partyjki w *noddy*^[7]. Wiedział, że nie istnieją żadne namacalne poszlaki mogące dowieść ich winy, czekał jednak z rezygnacją na rozprawę i wszystko, co miało po niej nastąpić. Odczuwał niemal ulgę na myśl o tym, co mogłoby wyjść na jaw w ramach tej publicznej debaty, o plugawej historii szeptów, insynuacji i knowań, które dotąd determinowały bieg ich życia. A tu nagle Juda oddał się w ręce konstabli Leviego, a Devine’owie zostali wypuszczeni do domu. Przeszli przez Tolt, nie odzywając się do siebie ani słowem, jakby milczenie było warunkiem ich zwolnienia. Kiedy dotarli do domu, Patrick usiadł na kanapie z tą samą powieścią Olivera Goldsmitha, którą czytał w areszcie, i od tamtego czasu właściwie się stamtąd nie ruszał.

Był przekonany, że to matka zaaranżowała całą tę wymianę z Levim. Druce opowiadała mu jakieś historyjki o tym, że Juda sam się poddał, porozumiewając się z nimi szyfrem złożonym z wypisanych na kartce biblijnych wersetów, ale Patrick nie dawał temu wiary. To kobiety zawsze coś knuły w kuluarach rodziny. On sam dorastał w cieniu legendarnych machinacji wdowy, patrzył, jak Lizzie i Mary Tryphena pociągają za sznurki, obracając swoich mężczyzn to w prawo, to w lewo. Bride była do nich na swój sposób podobna. Patrick nie potrafił się powstrzymać przed zaliczeniem w ich szeregi również Druce. Juda został złożony w ofierze

[7] *Noddy* – angielska gra karciana pochodząca z XVI w. Pierwowzór popularnej w krajach anglojęzycznych gry *cribbage*.

jak baranek, a część winy Patrick przypisywał też swojej żonie.

Nie potrafił jednak wyzbyć się palącego przeświadczenia, że w jakimś stopniu odpowiedzialność ponosili również oni sami, to znaczy on i jego przyrodni brat Henley, jego wuj Łazarz, a jeszcze przed nimi i stary Callum. Mężczyźni z rodziny Devine'ów. Potrafili tylko łowić ryby, rąbać drewno, obcinać uszy swoim prześladowcom i żenić się raz po raz z tą samą kobietą. Miał ich wszystkich serdecznie dość. Czytał książkę za książką, wstając z kanapy tylko po to, by pójść do wychodka, wnieść do domu narzędzie drewna albo położyć się do łóżka. W prywatnym zakamarku zawisł na stałe cień smrodu ojca zdradzający jego uczucia – ten sam gryzący odór, który Patrick zaczął wydzielać, gdy razem z Amosem przytrzymywali Leviego, a Łazarz rąbał kupca nożem po uszach. Juda spał wtedy smacznie w Trzewiu, jednak teraz miał zapłacić za nich wszystkich.

Mary Tryphena była jedyną osobą, której wolno było widywać się z Judą. Codziennie chodziła do Paradise Deep z zawiniętym w kwadratową szmatkę chlebem i rybami na śniadanie. Juda nigdy nie tknął ani okruszka; zdawał się żywić tylko słonym, morskim powietrzem. Gdy wracała do domu, Łazarz przychodził do niej i pytał o wieści, jednak żadnych wieści nigdy nie było. Przeciwno Judzie nie wniesiono żadnych oficjalnych oskarżeń, a Leviemu najwyraźniej wcale się z tym nie śpieszyło. Sellers zażądał, by przy okazji wymiany Juda oficjalnie przyznał się do winy. Przesłał do jego celi Barnaby'ego Shamblera z gotowym pisemnym oświadczeniem, które zostało odczytane Judzie na głos. Shambler unurzał pióro w przyniesionym przez siebie kałamarzu i podał je więźniowi. Spodziewał się, że Juda postawi „X” na dole strony, jednak ten położył kartkę na kolanach i złożył na niej staranny podpis. Bratanek Boga. Od tamtego czasu nie wydarzyło się nic więcej.

Łazarz powiedział, Tak sobie myślę, że w tym roku mógłbym zostać.

– Zostać gdzie? spytała Mary Tryphena.

– Na Labradorze, odparł. – Wypierdolić stąd na dobre. Mam tam ludzi, którzy się o mnie zatroszczą. Myślę, że Amos mógłby zrobić to samo.

– Amos też ma tam ludzi? Ludzi, którzy się o niego zatroszczą?

– Nie zostanie na mrozie bez dachu nad głową.

Mary Tryphena przytaknęła. Spytała, Czy Juda kiedykolwiek?

– Daj spokój.

– Mam prawo wiedzieć.

Łazarz pokręcił głową. – Juda jest wierny jak pies, powiedział. Głos mu zadrżał; przycisnął dłonie do oczu. – Już nigdy stamtąd nie wyjdzie, prawda?

– Nie wiem, odparła Mary Tryphena.

– Ależ owszem, wiesz. Juda jest przekonany, że Levi nas nie tknie, dopóki on będzie siedział w tym magazynie. Nie ruszymy go już stamtąd ani prośbą, ani groźbą. Wiesz to równie dobrze jak ja.

Mary Tryphena przytaknęła, wpatrując się w swoje kolana. – Juda jest wierny jak pies, powiedziała.

– Nie zostanę tu, żeby patrzeć, jak tam gnije.

Łazarz znowu się rozplakał, a Mary Tryphena wyszła na chwilę do swojego pokoju. Zanim wróciła do kuchni z małą kopertą w ręce, Łazarz zdążył się już pozbierać. – Jeśli odchodzisz, to chcę, żebyś wzięła to ze sobą, powiedziała.

Łazarz przyjął kopertę i potrząsnął nią, próbując odgadnąć jej zawartość. – Co to jest, na Boga? spytał.



Opowieści o biblijnym poście Judy oraz jego nagłym darze pisma

rozprzestrzeniły się po wybrzeżu. Zaczął wydrapywać żelaznym gwoździem wersety z Księgi Psalmów, Przysłów czy Koheleta na nieoheblowanych deskach ścian, a niektórzy twierdzili, że to sam Pan prowadzi jego rękę, podsuwając mu Słowo. Ponoć nazwał się Bratankiem Boga. Stare historie o władzy Judy nad stworzeniami morskimi czy o ludziach uleczonych w jego obecności zostały odkurzone i opowiedziane na nowo, a jego stale rosnąca hagiografia podróżowała na północ i na południe wraz ze statkami pływającymi wzdłuż wybrzeża. Nieznajomi z przeróżnych osad rozsianych po wyspie pielgrzymowali do Paradise Deep, aby czuwać przy więzieniu Judy i dotykać ścian, na których wypisywał słowa Świętej Księgi.

Nawet samego Leviego Sellersa zaciekało to do tego stopnia, że pewnego dnia po zmroku zakradł się na brzeg z lampą sztormową, aby złożyć Judzie wizytę. Postawił lampę na podłodze, pomiędzy sobą a mężczyzną leżącym pod płóciennym kocem. Juda co prawda nie spał, jednak nie zwracał na niego większej uwagi; wpatrywał się tylko w czarną otchłań ziejącą między krokwiami, gdzieś poza zasięgiem roztaczanej przez lampę żółtej poświaty.

– A więc tak, powiedział Levi. – Bratanek Boga, zgadza się?

Przyglądał mu się przez chwilę, rozmyślając, co można z nim zrobić. Oświadczenie było raczej beużyteczne, biorąc pod uwagę, że podpisał się pod nim krewny Boga. Na dodatek Shambler przekonał Leviego, że szanse udowodnienia winy na podstawie jego węchowych poszlak są nikłe. Cała sprawa wisiała już w prawnej pustce tak długo, że Leviemu zaczęło się to nawet podobać. Przez jakiś czas myślał, że mógłby w ogóle podarować sobie rozprawę, by nie dać Devine’om żadnych nadziei na takie czy inne rozwiązanie sytuacji. Pozwolić, żeby jegomość dalej gnił w areszcie. Ostatnio jednak Levi zaczął otrzymywać listy, których autorzy, niektórzy piszący nawet z samego St. John’s, zaczęli domagać

się zwolnienia Judy w obliczu braku konkretnych oskarżeń. Gubernator zażądał wyczerpującego raportu w tej sprawie. Nawet Shambler uważał, że przetrzymywanie Judy w nieskończoność nie byłoby rozsądne. – Kto dostanie po tyłku, spytał Shambler, jeśli Juda zagłodzi się na śmierć w areszcie? Niech go pan powiesi lub puści wolno, innego wyboru nie widzę.

Levi zbliżył się do siennika. – Panie Devine, nie mieliśmy przyjemności się widzieć od naszego ostatniego spotkania po świętach Bożego Narodzenia, powiedział. Levi zapuścił swoje czarne włosy tak, by zakrywały boki głowy. Wolną ręką odsłonił najpierw jedno ucho, potem drugie. – Żona mówi, że zrobiłem się trochę koślawy, ale tak poza tym nie wyglądam dużo gorzej niż przedtem.

Juda pobieżnie zerknął na niego i znowu wlepił wzrok w ciemności. Levi stał dość blisko ściany, żeby odczytać wersety wyryte w drewnie. Wszystkie żywcem ze Starego Testamentu; dzika fala cytatów rozrzuconych bezładnie po deskach. *Skąd wszystkie dni nasze nagle przemijają dla gniewu twego Jako słowa niszczą lata nasze Bicz na konia ogłów na osła a kij potrzebny jest na grzbiet głupiego Przez morze była droga twoja a ścieżki twoje przez wody wielkie wszakże śladów twoich nie było Kto zatula ucho swe na wołanie ubogiego i on sam będzie wołał a nie będzie wysłuchany.*

A dalej, literami dwa razy większymi od innych: *Uszy mają a nie słyszą.*

Levi zatoczył się pod przeciwległą ścianę. Juda odwrócił się do niego plecami i naciągnął płócienne prześcieradło na ramiona, jakby właśnie powiedział swoje i skończył już rozmowę. W półmroku widoczna była tylko nadnaturalna biel jego włosów. *Uszy mają a nie słyszą.* Levi pokręcił głową, próbując wyzbyć się wrażenia, że przemawia do niego głos nie z tego świata. Jego serce kołatało wściekle. Ruszył w stronę drzwi, jego

uwagę przykuł jednak werset wryty dokładnie na wysokości oczu. Jeszcze podnosząc lampę do ściany próbował odvodzić się w myślach od czytania tych słów.

Plemię ich z ziemi wygubisz a nasienie ich z synów ludzkich.

Obrócił się i popatrzył na sylwetkę leżącego w mroku mężczyzny. Brzmiało to z grubsza tak jak klątwa, którą przed stu laty Wdowa po Devinie rzuciła na Królowkę Sellersa. Levi poczuł, że słowa zostały tu umieszczone specjalnie dla niego, a nieziemski głos rozległ się ponownie. – Ty skończony skurwysynu, powiedział.

Kiedy wszedł do sypialni, Flossie jeszcze nie spała. Rozebrał się bez słowa, ona czekała na niego również w milczeniu. Wiedziała, że poszedł zobaczyć się z Judą, spodziewała się, że będzie potrzebował wsparcia lub pocieszenia. Ku swojemu zaskoczeniu, kiedy mąż wślizgnął się do łóżka, poczuła jego kutasa leżącego między nimi jak rozgrzana w piecu cegła wrzucona w pościel dla ciepła. Po ślubie Levi i Flossie spłodzili szybko troje dzieci, a teraz już oboje zdawali się czuć zwolnieni z jakichkolwiek tego rodzaju zobowiązań. Przedziwna natarczywość męża nappełniła ją strachem. Przez cały czas trzymała ręce na jego ramionach, usilnie starając się nie myśleć o poharatanych uszach ukrytych pod długimi pasmami włosów. Zdawało się, że mąż zamierza bujać się w kołysce jej ud do białego rana. Jej nogi zdążyły zapłonąć bólem ze zmęczenia; jego czoło leżało płasko na jej piersi. Zaczęła szeptać do siebie słowa psalmu dwudziestego trzeciego, po chwili jednak przestała, stwierdziwszy, że to pobudza jedynie Leviego do jeszcze wścieklej szych starań. Zachowywał się jak pies zakopujący kość, żeby ukryć ją poza zasięgiem innych stworzeń; taki sam garb, takie samo zaślepienie, taka sama zaborcza determinacja. Wreszcie skończył i opadł na nią. Trwał w bezruchu tak długo, że zdążyła pomyśleć, że może miał zawał. Po jakimś czasie odwrócił się i zasnął.

Rano, gdy Levi zszedł na śniadanie, Flossie siedziała już z Adelina przy stole. Kiedy zajął swoje miejsce, powiedziała, Levi, tak sobie myślę, że chyba już najwyższy czas, żebym przeniosła się do osobnej sypialni.

Podniósł wzrok znad talerza i przyjrzał się najpierw żonie, potem siostrze. Zrozumiał, że omówiły całą sprawę jeszcze zanim zszedł na dół. Ich jawna zмова przepełniła czarę goryczy. – Czy całe pieprzone wybrzeże postradało już zmysły?

– Spokojnie, Levi, powiedziała Adelina.

– Powiedźcie mi, krzyknął, jak rozsądny człowiek ma niby poradzić sobie z całym tym szaleństwem?

– Tak tylko myślałyśmy, Florence zaczęła, jednak urwała w pół zdania. Twarz Leviego stężała nagle, jakby przysłuchiwał się jakiemuś głosowi dobiegającemu z drugiego pokoju. Wstał i wyszedł, ale po chwili znowu stanął w drzwiach i podszedł pewnym krokiem do kobiet siedzących przy stole. – Adelino, powiedział, nie wiesz przypadkiem, czy pan doktor nadal jest zainteresowany urzędzeniem szpitala w Domu Seliny?

Nazajutrz rano odbyło się spotkanie, podczas którego Newman zachowywał się jak zadufany w sobie kutafon; dokładnie tak jak Levi się spodziewał. Kiedy Sellers zasugerował, że od zakończenia całej sprawy mogłyby zależeć dalsze losy Domu Seliny, doktor odwzajemnił się tylko swoim protekcjonalnym, amerykańskim uśmiechem. Obstawał przy tym, by osobiście zbadać więźnia i dawał mu do zrozumienia, że nie przywiązuje najmniejszej wagi do jakichkolwiek zachęt, którymi Levi mógłby próbować wpłynąć na diagnozę. Levi przedstawił Newmanowi opatrzone obłąkańczym podpisem wyznanie winy oraz pisemne oświadczenie, dopiero co złożone pod przysięgą przez Barnaby'ego Shamblera, w którym polityk stwierdził, że Juda Devine groził śmiercią Jego Królewskiej Mości Królowi Anglii i rościł sobie prawa do tronu. – Gubernator zażyczył sobie pełnego raportu w tej sprawie, stwierdził Levi.

– Mam zamiar włączyć do niego to oświadczenie. Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, panie doktorze, że karą za zdradę jest śmierć przez powieszenie.

– Chyba że podejrzany zostanie uznany za obłąkanego, powiedział Newman.

– Tak, w takim przypadku dla sądu to sprawa na pięć minut.

– A wtedy podejrzany zostanie odizolowany na czas nieokreślony.

– To zdaje się jedynym rozsądnym rozwiązaniem.

– A więc pan Shambler twierdzi, że Juda groził królowi w jego obecności?

– Ma pan przed sobą jego oświadczenie.

Newman pokiwał głową nad dokumentami, po czym odłożył je na bok. – Panie Sellers, czy nie wydaje się to panu dziwne, że Juda Devine, który przez te wszystkie lata spędzone na wybrzeżu nie odezwał się ani słowem, nagle zaczął wygłaszać pogrożki pod adresem Korony?

– Nie dziwniejsze niż to, że człowiek od dawna uważany za niepiśmiennego zaczął nagle wypisywać z pamięci biblijne wersety.

Levi wyszczerzył zęby w tak rzadkim u niego uśmiechu. Newman odwrócił wzrok od tego widoku. – Przygotuję opinię dla sądu tak szybko, jak to możliwe, powiedział.



Newman już raz badał Judę Devine'a – na samym początku jego pobytu w areszcie, kiedy Mary Tryphena stwierdziła, że mąż nie bierze nic do ust. Wtedy na ścianach nie było jeszcze żadnych napisów, a pacjent, niewykazujący zresztą objawów zagłodzenia, poddał się badaniom z typową dla siebie biernością. Tym razem, biorąc pod uwagę wszystkie

krążące po wybrzeżu pogłoski, Newman nie wiedział, czego ma się spodziewać.

Doktor otworzył kłódki kluczami otrzymanymi od Leviego i przystanął w drzwiach, czekając, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Pod najbliższą ścianą coś zaszurało, z siennika podniosła się biała, fosforyzująca głowa. – Witaj, Judo, powiedział Newman. Powoli zaczynał rozróżniać szczegóły otoczenia, zakratowaną żelaznymi prętami dziurę na odpady, nietknięty chleb i kapelany na podłodze. Skinął na zapisaną ścianę za plecami Judy. – Widzę, że nie próżnowałeś.

Wyjąwszy zeznanie Judy i oświadczenie Shamblera, ułożył oba dokumenty na deskach tak, aby Juda mógł je przeczytać. Podniósł wzrok i popatrzył na długie wersety wyryte na ścianie. *Aby wiązali pętami królów ich a szlachtę ich okowami żelaznymi Wybaw mię a wyrwij mię z wód wielkich z ręki cudzoziemców Błogosławiony który pochwyti i roztrąci dziatki twe o skałę.* Newman pomyślał, że może w grę faktycznie wchodzi obłąd – jeśli nie Judy, to autora psalmów. – Judo, rozpoznajesz podpis złożony pod tym zeznaniem? Bratanek Boga? Wskazał ręką kawałek papieru, ale Juda nie spojrzał nawet w dół. – Barnaby Shambler oskarża cię o wygłaszanie pogroźek pod adresem króla oraz o pretensje do angielskiego tronu. Czy jest w tym choć ziarno prawdy?

Juda stanął na nogi, począpał za plecy doktora i odlał się do zakratowanej dziury. Może to jego komentarz do oskarżeń Shamblera, pomyślał Newman, a może po prostu akurat wezwała go natura.

W klinice czekali już na niego pierwsi tego dnia pacjenci. Czarny od zakażenia wrastający paznokcieć, złamany palec, naciągnięte mięśnie pleców. Bride przygotowała już właściciela paznokcia, obmyła palec i odkaziła go jodyną, w porcelanowej misie ułożyła skalpel, hak i nożyczki. Newman poszedł do swojego gabinetu, żeby się przebrać. Właśnie przygotowywał sobie szybki koktajl z alkoholu etylowego i jagód jałowca,

kiedy drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju wparował Tryphie. Newman odstawił szklankę pod biurko. – Zobaczmy, jak wyglądasz, powiedział, odwracając chłopca plecami do siebie i podciągając jego koszulę.

Doktor wykonał już z pół tuzina szczątkowych przeszczepów skóry na ramionach i lewym boku chłopca. Dotarł już do granicy tego, co mógł osiągnąć w Paradise Deep, a blizny pokrywające plecy Tryphiego nadal sprawiały, że chłopiec chodził niemal zgięty w pół. Poruszał się po klinice niczym przygarbiona, skacząca susami małpa; gdy chodził po salach, gawędząc z pacjentami i przyglądając się prostym zabiegom, jego ręce dyndały przy samej podłodze. Długie godziny przymusowego odpoczynku w łóżku spędzał, rozbierając na części każdy drobiazg, który doktor był skłonny zaryzykować, zegarek kieszonkowy, żyroskop, barometr, a przed ponownym złożeniem mechanizmu szkicował każdą znalezionej sprężynkę i śrubkę. Chłopak miał dłonie chirurga; był obdarzony tą samą wydestylowaną koncentracją i zręcznością. Ani razu nie zdarzyło mu się zepsuć żadnego urządzenia, a niektóre po jego zabawie działały wręcz lepiej niż przedtem. Naturalna niechęć Newmana do dzieci została zagłuszona przez podziw dla nadzwyczajnego talentu Tryphiego.

Bride zapukała do drzwi. – Doktorze, mam zająć się tym palcem?

Podniósł na nią wzrok. – Już idę, powiedział.

Szarpiąc się ze zdziczałym paznokciem, Newman próbował podjąć decyzję co do Judy. W całej sprawie było coś, co go uwierało, tkwiła w niej drzazga jakiejś poważniejszej historii, której kształtu nie potrafił odgadnąć. Gdy sięgając po kolejny kawałek gazy Bride otarła się biodrem o jego ramię, Newman na dobre zgubił tok myśli. Kiedy skończył, podszedł do okna, aby obmyć ręce, a Bride założyła opatrunek na chory palec i udzieliła pacjentowi zaleceń dotyczących dezynfekcji i bandażowania rany. Gdy odwrócił się od miednicy, dech w nim zamarł na widok Bride.

Wrócił do swojego gabinetu, żeby zmieszać kolejny potajemny koktajl. Sączył go, czekając, aż nagły przypływ przeminie. Ten niewinny ciężar piersi pod jej bluzką, ta troska, z jaką zajmowała się bosą stopą. *Jesus loves the little children.*

W ciągu roku, który upłynął od tamtego dnia, gdy Henley Devine wrócił do domu w trumnie, Bride zdążyła wdrożyć się we wszystkie aspekty pracy kliniki. Zajmowała się codzienną administracją, organizowała herbatki dobroczynne ze zbiórką funduszy, nadzorowała ochotników zajmujących się praniem, rąbaniem drewna czy pracą w przyszpitalnym ogródku. Większość czasu spędzali w swoim towarzystwie, nigdy nie dała mu jednak choćby najdrobniejszego znaku, że czuje do niego cokolwiek poza akademickim podziwem i pruderyjną, religijną wdzięcznością. Nie był w stanie przewidzieć, jak mogłaby odebrać jego oświadczyzny, ale jednego był pewien: w przypadku odmowy przyzwoitość zmusiłaby ją do wyprowadzenia się z kliniki. Ożenić się z nią lub pozwolić jej odejść – oświadczyzny wiązały się z dwiema skrajnymi możliwościami, ostatecznie więc Newman na dobre porzucił myśl o małżeństwie. Nigdy nie miał dotykać Bride w sposób, o jakim marzył; nigdy nie miał nawet aluzyjnie wyznać jej swych uczuć. Bezpieczniej było żyć z przypadkowym trąceniem bioder, z tym karzącym ciężarem jej piersi, z nagłymi falami przypływu, które groziły mu uduszeniem.

Wypił trunek do dna, oparł czoło na blacie biurka i siedział tak z zamkniętymi oczami, dopóki Bride po niego nie przyszła. Usztynił złamany palec, na naciągnięte plecy zalecił bezwzględny odpoczynek w łóżku. Reszta poranka zeszła mu na udzielaniu pomocy stale napływającemu strumieniowi nowych pacjentów. Ciągłe coś go uwierało, to przecucie drzemiącej w ukryciu sprawy, której granic nie potrafił odgadnąć. Newman podniósł właśnie wzrok znad zatrzymanego zęba trzonowego, gdy w drzwiach stanął Barnaby Shambler. Członek

Legislatury uchylił poły płaszcza, odsłaniając szyjkę butelki tkwiącej w wewnętrznej kieszeni. – Przyda się panu doktorowi coś na wzmocnienie.

Musiał przepracować jeszcze pół godziny, zanim mógł dołączyć do Shamblera czekającego w gabinecie. Gościowi nalał szklanekę rumu, sobie zmieszał kolejny koktajl z alkoholu etylowego i jagód jałowca.

– Woli pan ten leczniczy napitek? spytał Shambler.

– Wolę nie pachnieć jak gorzelnia, kiedy pracuję.

– Podejrzewam, iż pana metodystyczna dama serca odnosi się do tego z dezaprobatą?

– Niech pan do mnie nie mówi łamigłówkami z rana.

– Ależ doktorze, powiedział Shambler. – Nie bądźmy tacy nieśmiali.

– W porządku, odparł Newman. Wyjął z szuflady oświadczenie Shamblera i rzucił je na biurko. – Słuchaj, Szczambler, przynosisz hańbę swojemu urzędowi.

– Bez wątplenia.

– Nie masz w sobie za grosz przyzwoitości.

Shambler wznosił szklanekę. – Mnie nie musi pan tego mówić, doktorze.

– Jesteś świnia, nie człowiek.

Shambler odchylił głowę, przybierając wyraz udawanego cierpienia.

– Doktorze, wolałem już, kiedy był pan nieśmiały, powiedział.

– Juda Devine nie stanowi dla króla większego zagrożenia niż dupsko, na którym siedzisz.

– Niewątpliwie.

– Do jasnej cholery, powiedział Newman. – Nie rozumiem, jak możesz brać udział w takiej farsie.

Shambler wznosił ramiona i opuścił je z teatralnym westchnieniem.

– Mieszkam tutaj, stwierdził. Wyglądał na autentycznie wyczerpanego.

– Niech pan posłucha, powiedział, proszę współpracować, a dostanie

pan swój wymarzony szpital. Nikt nie skończy przecież na stryczku, a Levi doczeka się jakiejś formy zadośćuczynienia za utratę uszu, nie licząc rozmaitych innych zarzutów. To wygląda na całkiem rozsądne rozwiązanie, przynajmniej z perspektywy dupska, na którym siedzę.

Newman dopił swój koktajl. – Do cholery, powiedział. – Niech to wszystko diabli.

Shambler zapatrzył się w jego pustą szklankę, zwlekając z pytaniem. W końcu podniósł na niego wzrok. – Niczego pan nie żałuje, doktorze?

Późnym popołudniem, gdy ostatni pacjent wyszedł z kliniki, Newman wziął swój karabin i ruszył w głąb lądu, by powłóczyć się na pierwszym siarczystym mrozie tej jesieni. Potrzebował ruchu i ciszy, chciał pozwolić, by jego umysł skakał po pustkowiach jak kamień po tafli sadzawki. Zobaczyć, na czym się zatrzyma, gdy straci rozpęd.

Gdy wspiął się na grzbiet wzniesienia położonego milę za Sadzawką Czarnucha Ralpa, słońce chowało się właśnie za Grzywaczami, trzema wzgórzami załamującymi się na sobie niczym fale dopływające do plaży. Zawsze uwielbiał te wzgórza, tę ich precyzyjną, bliźniaczą rzeźbę. Majaczyły hen, na horyzoncie, a bez względu na to, jak długo by nie szedł w ich stronę, zawsze zdawały się tak samo odległe. Na myśl, że już nigdy nie zbliży się bardziej do tych wzgórz, poddał się temu samemu przepływowi melancholii, który ogarnął go rano w obecności Bride. Jego umysł zapadł się w bezkresną czerń utrapień dręczących go przez cały dzień.

Tutaj nic nie należało do niego. Wybrzeże pożerało go powoli, mięso i kości razem, a on i tak wciąż nie był stąd. Miejsce, które pokochał, nigdy nie miało odwzajemnić jego uczuć tak, jak by sobie tego życzył. Ten niezaprzeczalny fakt sprawił, że Newman odwrócił się na pięcie niczym żołnierz na „w tył zwrot” i ruszył z powrotem ku brzegom oceanu. Kiedy wracał, niebo ożyło gwiazdozbiorami, a od krawędzi horyzontu oderwał

się pomarańczowy księżyc. Dotarłszy na Tolt, Newman ruszył w dół drogą prowadzącą do Trzewia. Przystanął pod domem Mary Trypheny. W oknie paliło się światło, stał jednak pod drzwiami i zwlekał z wejściem, aż w końcu kobieta sama zawołała go do środka. – Nie poszczęściło się panu, stwierdziła, wskazując na karabin.

– Nie spotkałem dzisiaj ani jednego żywego stworzenia, odparł.

Postawiła przed nim miskę potrawy z głów dorszy i ziemniaków, nalała mu herbaty. Nie zadawała żadnych pytań, dopóki nie skończył jeść, a ona nie uprzątnęła talerzy i nie usiadła przed nim z dłońmi splecionymi na stole, jakby oczekując na jakiś werdykt. – Byłem dziś rano u Judy, powiedział.

– Tak słyszałam.

Powiedział, Pani Devine, została mi powierzona ocena zdrowia psychicznego pani męża. Gdy Mary Tryphena przytaknęła, Newman domyślił się, że zapewne na wybrzeżu nie było nikogo, kto nie znałby jeszcze tych wieści. – Czy ma pani pojęcie, dlaczego dłubie w ścianach? Dlaczego pokrywa je biblijnymi wersetami?

– Nawet nie wiedziałam, że jest piśmienny, powiedziała. Gorycz pobrzmiwająca w jej głosie zaskoczyła Newmana. – Doktorze, czy zna pan dobrze Biblię?

– Na tyle dobrze, by za nią nie przepadać.

– Podejrzewam, że nie jestem aż tak obeznana z Pismem Świętym, biorąc pod uwagę, że nie umiem czytać. Słyszałam już większość, raz czy dwa razy. Zna pan Księgę Przysłów?

– Nie zacytuję.

– Lepsza jest przymówka jawna, niżeli miłość skryta. Proszę mi powiedzieć, doktorze, z jakich powodów mężczyzna mógłby ukrywać coś takiego przed kobietą?

Otworzył usta, by powiedzieć coś na swoją obronę, nie był jednak w

stanie wydusić z siebie ani słowa. Czuł się wywrócony na lewą stronę, jak mokry sweter; czuł, że wszystkie jego wnętrzności są na widoku.

Mary Tryphena stwierdziła, Widzi pan, to jedyne, co daje nam ten świat. Prawo powiedzenia miłości tak lub nie.

Powróciło do niego wspomnienie tamtej nocy, gdy zakładał szwy Bride; gdy Mary Tryphena zaglądała mu przez ramię, przypatrując się jego pracy. Mówiła tak, jakby o Bride wiedziała coś, czego on nie wie. Przeszło mu przez myśl, że może kobieta ma na Bride wystarczający wpływ, aby rozstrzygnąć sprawy na jego korzyść. Jego kariera, szpital, wiarygodność, każdy strzęp uczciwości, wszystko to zdawało się ucziwłą ceną za pomoc tego rodzaju. Zastanawiał się, jak ubrać tę myśl w słowa, żeby nie zabrzmiała jak groźba. – Pani Devine, jeśli uznam pani męża za zdrowego na umyśle, powiedział. – Zdrada korony to przestępstwo, za które zawisnie na stryczku. Z drugiej strony, jeśli stwierdzę przypadek obłądu.

– Juda nigdy nie opuści magazynu, w którym go zamknęli.

– To jedna z możliwości. Jednak gdyby mogła pani zrobić coś, aby wyjaśnić sytuację, powiedział i zaczął się wiercić na krześle. – Pomiedzy mną a Bride, dokończył. – Być może udałoby mi się umieścić go pod opieką mojego szpitala.

Mary Tryphena skinęła głową, nie podążała jednak za jego tokiem rozumowania. – Juda podjął już decyzję.

– Proszę?

– Mogą zdjąć kłódki choćby jutro, powiedziała, a on i tak się stamtąd nie ruszy.

Newman ledwo słyszał jej głos poprzez ryk rozlegający się w jego uszach. – To bez sensu.

– A więc sądzę, że oszczędzi to panu trudności przy pisaniu raportu.

Mary Tryphena odprowadziła go do drzwi i podała mu karabin, który

wchodząc odstawił w kącie izby. Czuł się jak dureń, jak świnia, nie człowiek. Jeśli pan sobie życzy, zamienię słówko z Bride, powiedziała.

– Nie, odparł, odwracając się do niej. – Pod żadnym pozorem.

Wzruszyła ramionami. – Jest pan u mnie zawsze mile widziany, doktorze, powiedziała.

Starł się powtórzyć sobie tę rozmowę w myślach w zwolnionym tempie, próbował pojąć to, co między nimi zaszło. Zaprzeczenie i milczenie, wcześniej stanowiące jego jedyną tarczę, teraz były już bezużyteczne. Równie dobrze mógłby wyznaczyć Bride miłość z dachu kliniki, na oczach całego wybrzeża maszerującego na niedzielne nabożeństwa. Przebył Tolt Road biegiem, tak jakby wieść o jego uczuciu mogła dotrzeć do kliniki przed nim. Wpadł zziębnięty do kuchni i powiódł wokół dzikim spojrzeniem, jakby sam pan Gallery przegonił go właśnie przez pół wybrzeża. Bride odwróciła się od pieca i spokojnie zmierzyła Newmana wzrokiem. – Nie przyszedł pan na kolację, doktorze.

Newman wznosił wzrok do sufitu, próbując ukryć uczucia igrające w jego oczach niczym projekcje latarni magicznej. Spytał, Bride, nie zechciałabyś pewnie wyjść za mnie, co?

– Podgrzałam pana porcję, odparła. – Zapewne zechce się pan najpierw umyć.

Newman zjadł całą kolację, już drugą tego wieczora. W tym czasie Bride kładła Tryphiego spać na górze. Gdy skończył jeść, wciąż był wygłodniały. Zdawało mu się, że na całym świecie nie istnieje nic, co mogłoby zaspokoić jego łaknienie. Z piętra dobiegały energiczne uderzenia jej obcasów, a każde odbijało się małą eksplozją w jego sercu. Tutaj nie mógł pozostać, to było pewne. Była jeszcze Alaska, na drugim końcu kontynentu, wciąż nieskalana jego głupotą. Ameryka Południowa, Indie, wszystkie prastare historie Azji; tam też mógł osiąść, gdyby zechciał.

Gdy Bride wróciła do pokoju, odwrócił się gwałtownie w jej stronę. Ponownie zmierzyła go wzrokiem, pozwalając, by to jej lustrujące spojrzenie spoczęło na nim na dłużej. – Doktorze, wie pan, że będzie pan musiał skończyć z piciem.

Nie miał pojęcia, o co jej chodzi.

– Kiedy się pobierzemy, dodała.

– Ma się rozumieć, powiedział, głupkowato kiwając głową. – Oczywiście, będę musiał.

Tej wiosny pobrali się w metodystycznej kaplicy. W podróż poślubną Newman zabrał ją do Connecticut. Większość lata spędzili w Stanach, gdzie Newman udzielał się na akcjach dobroczynnych, próbując pozyskać środki na wyposażenie nowego szpitala, a Tryphie poddał się fizjoterapii i robił za królika doświadczalnego w eksperymentalnych przeszczepach skóry. Na jesieni Bride wróciła na północ ze sztuczną szczęką i drugim dzieckiem w drodze.

Wprowadzili się do Domu Seliny i zaczęli przekształcać pokoje w oddziały, sale operacyjne, biura, poczekalnie, gabinety, spiżarnie i magazyny na sprzęt. Barnaby Shambler pojawił się na otwarciu szpitala i wniósł toast za nową placówkę oraz za hojnego Leviego Sellersa, który sprzedał Dom Seliny za jednego dolara. Wniósł toast również za młodą parę, po czym poprowadził grupę lokalnych dygnitarzy w natarciu na stoły uginające się pod ciężarem wystawionych na tę okazję flaszek. Kilka godzin później napadł na Newmana, wymachując przed nim szklanką rumu.

– Muszę przyznać, doktorze, że z zębami jest nadzwyczaj przystojną kobietą.

Z chwilą, w której Newman nabył prawa do Domu Seliny, pod jego opiekę przeszedł oficjalnie również Juda. Doktor przygotował dla pacjenta budyneczek za szpitalem, wyposażony w porządną pryczę i nieduży

piecyk na drewno, Judy jednak nie udało się zmusić do opuszczenia magazynu ani fortelem, ani siłą. W końcu pozostawiono go pod opieką Mary Trypheny – jedynej osoby, która odwiedzała go przez wszystkie następne lata. Newman oczekiwał od niej wiadomości o jakichkolwiek zmianach mogących wymagać jego interwencji, jednak żadnych zmian nigdy nie było. Z górnych okien Domu Seliny widywał czasami Mary Tryphenę odbywającą codzienne pielgrzymki na nabrzeże, tę samotną postać niosącą paczuszkę z jedzeniem. Wdowę pod każdym względem, z wyjątkiem imienia.



Co dwa lata Tryphie wracał do Connecticut na kolejne przeszczepy skóry, a Newman ruszał na żebry, poszukując środków i personelu medycznego dla swojej północnej placówki. Co prawda postura Tryphiego poprawiała się po każdej wizycie, jednak już nigdy nie był w stanie do końca się wyprostować, a przez resztę życia prawy bark miał skrzywiony pod dziwacznym kątem. Eli dwukrotnie wybrał się w podróż przez Boston do Hartford razem z kuzynem. Zakochał się w ciągnących się po horyzont alejach i sklepach, w fabrykach, dworcach i operach, w przemyśle stanowiącym rdzeń wszystkich tych przedsięwzięć. Ze zdumieniem odkrył, że praca może zaowocować czymś więcej niż tylko utratą zdrowia, że możliwe jest tworzenie rzeczy, że realne jest gromadzenie dóbr. Tryphie dorastał w nienawiści do Ameryki, za cierpienia, jakie mu zadawała, Eli traktował ją jak bajkowe królestwo marzeń.

Na wybrzeżu chłopcy większość czasu spędzali tylko we dwóch. W Trzewiu zaszywali się w bibliotece Patricka Devine'a i kartkowali tomiska o nauce i botanice, przeglądając ilustracje. W Domu Seliny pracowali nad

tym czy innym wynalazkiem Tryphiego, nad obrotowym urządzeniem służącym do opiekania kromki chleba z dwóch stron na raz, nad zrobionym z drewna i paru lusterek ręcznym peryskopem, dzięki któremu mogli podglądać ludzi zza rogów. Tryphie, ze swoim pociągiem do tego, co materialne i mechaniczne, był duszą każdego projektu, wynalazcy brakowało jednak pragmatyzmu Eliego. Lata przymusowego leżenia zrobiły z niego marzyciela. Spędził kilka miesięcy, rozpinając płótno na wyposażonej w skomplikowany system drewnianych zawiasów ramie, którą zamierzał przymocować sobie do pleców przed skokiem z klifów Tołtu. Zanim chłopak zdążył się zabić, Newman skonfiskował maszynę; wynalazek był jednak zbyt piękny, by go tak po prostu zniszczyć. W końcu zawisł nad łóżkiem doktora niczym krucyfiks, a oddalone od siebie na osiem stóp czubki skrzydeł dosięgały niemal do przeciwległych ścian izby.

Kiedy chłopcy nie siedzieli zamknięci z książkami Patricka Devine'a czy narzędziami Tryphiego, dręczyli kozy na łąkach i zadeptywali grządkę z rabarbarem. Każdej wiosny skakali po krach, którymi zawałona była zatoka. W porze dojenia biegli za obory Sellersów i walili w ściany badyłami, żeby strachliwe krowy zaczęły się rzucać. Ciskali kamieniami w magazyn, w którym siedział Wielki Biały, próbując wywołać jakąkolwiek reakcję mogącą potwierdzić, że mężczyzna jeszcze nie umarł. Wędrowali w głąb łądu, aby odgrywać skomplikowane scenariusze o piratach i angielskich żołnierzach albo o kowbojach i Indianach. Od czasu do czasu rekrutowali do swojego oddziału błonopalczystą Hannah Blade lub któregoś z młodszych Woundych, jednak zazwyczaj byli tylko we dwóch.

Stopniowo przyjaźń zaczęła przekształcać się w ciasny kaftan, w zażyłość scementowaną poczuciem obowiązku i winy, aż wreszcie wkradło się w nią ostrze okrucieństwa. Tryphie był szczególnie łatwym celem ze względu na garb, ze względu na wściekłą czerwień skóry

opinającej jego grzbiet niczym pancierz. Eli mówił na niego biedrona, małpolud, goryl. Każdy wymyślał różne próby wytrzymałości, tylko po to, żeby patrzeć, jak drugi przegrywa. Trzymali ręce nad płomieniem świecy, dopóki któryś się nie poddał, wpychali sobie nawzajem głowy pod wodę, aż do paniki i zatchnięcia, do smarków i łez. Obaj czuli się upokorzeni swoim przywiązaniem, nie widzieli jednak żadnego sposobu, aby się od niego uwolnić.

Kiedy nad sadzawkami w głębi łądu rozbierali się, żeby popływać, wiatr muskający ich ciała stawiał ich łyse kutasiki na baczność. Z początku tylko dźgali się nimi niewinnie, nazywając to walką na mieczyki, jednak pewnego popołudnia Eli rzucił Tryphiemu wyzwanie, aby ten spróbował dotknąć jego fiuta, wiedział bowiem dobrze, że Tryphie nie oprze się żadnemu wyzwaniu. – Nie odważyłbyś się włożyć go do buzi, powiedział tydzień później. Przez resztę lata kładli się po kąpieli na mchu, aby ssać sobie nawzajem. Błada rozgwiazda, otoczona całymi milami dziczy. Nigdy nie zamienili na ten temat ani słowa, za każdym razem to Eli podsuwał się do Tryphiego, wypatrując w jego zachowaniu jakichkolwiek oznak osądu lub wahania. W czujności, jaką im to narzucało, kryło się jakieś poczucie wstydu, aż w końcu, chcąc się od niego na dobre uwolnić, zaczęli w ogóle unikać sadzawek w głębi łądu.

W niedziele chodzili razem do kościoła i siadali w ławce z Bride i dwoma przyrodniemi braćmi Tryphiego. Nigdy nie zwracali uwagi na choćby jedno słowo z ciągnących się w nieskończoność kazań pastora Violeta; Tryphie miał w głowie pełno zębatek, kątowników i momentów obrotowych, kleju, przekładni stożkowych, papieru ściernego i łożysk kulkowych, a Eli przemierzał ulice Bostonu i Hartford lub leżał na mchu z jakimś bliżej nieokreślonym mężczyzną, ciesząc się podmuchami wiatru oblekającego go jak druga skóra. Po nabożeństwie Tryphie zaczynał pleść coś o zegarku mogącym przewidywać pogodę lub o pile zamocowanej w

stole i napędzanej pompką nożną, Eli natomiast ruszał nawą ze starannie zapiętą kurtką i rękami złożonymi z przodu. Myślał sobie, że na całym wybrzeżu, a może nawet na całej Nowej Fundlandii, nie ma drugiego takiego jak on.

Zyski z dorszy podlegały nieubłaganemu, regularnemu rytmowi własnych przyptywów i odpływów: po sezonach względnie dostatku następowały lata marnych połowów lub spadków cen na zamorskich rynkach. Coroczne polowania na foki na Labradorze skończyły się, gdy wyścig po futra zaczęły wygrywać większe i szybsze parowce z St. John's. W chudych latach nikt nie wątpił, że jedynie bezwzględność Lewiego może uchronić firmę Sellers & Co. przed pójściem na dno. Patrick Devine, który liczył na to, że uda mu się uciec spod buta Lewiego, zaczął pływać każdej wiosny do St. John's i spędzać całe lato na pokładzie szkunera łowiącego dorsze na ławicy Grand Banks.

Eli dopraszał się, by pozwolono mu popłynąć z ojcem na połowy na otwartym morzu, jednak Druce nie zgodziła się na rozstanie z najmłodszym dzieckiem, jakby wiedziała, że Patrickowi pisane jest nie wrócić do domu pewnego roku. Każdej wiosny matka i syn pogrążali się w tym samym sporze, za każdym razem docierając pokrętnymi ścieżkami do tego samego rozwiązania. Patrick starał się w miarę możliwości ignorować te niesnaski, chociaż, zapytany wprost o zdanie, brał stronę Druce. – Z nią nie wygrasz, zwierzył się chłopakowi. – Jeśli chcesz zaoszczędzić sobie nieco zgryzot, doradził, nie żeń się z dziewczyną z wybrzeża.

W wieku szesnastu lat Tryphie wyjechał do college'u w St. John's, aby tam przygotowywać się do czekających go nieuchronnie starań o dyplom z medycyny. Uwolniwszy się od jego towarzystwa, Eli poczuł ulgę, nie wiedział jednak co robić z dniami spędzonymi w samotności. Szwendał się po brzegach i schodził chyba połowę pustkowi, próbując odegnać nienawiść do wybrzeża narastającą w nim jak czarna pleśń. Z

zaskoczeniem odkrył, iż gardzi najbliższymi ludźmi za to, że znoszą to przepełnione łaknieniem życie. Jedynym na całym wybrzeżu interesem nienależącym do Leviego Sellera lub niezadłużonym u niego był tartak Trimów, Eli przepracowywał więc tam kolejne zimy, mozolnie gromadząc drobniaki mające umożliwić mu kiedyś ucieczkę.

Od czasu do czasu widywano go z Hannah Blade, a ludzie mówili, że oboje są w sam raz dość dziwaczni, by stanowić wspañiałą parę. Nikt jednak jeszcze nie słyszał, żeby Eli kiedykolwiek próbował zalecać się do jakiejś konkretnej dziewczyny. Było w nim jakieś samotnictwo, powiew skrytości wywołujący różne bezpodstawne spekulacje. Każda dyskusja na temat Eliego ostatecznie kończyła się przeglądem jego drzewa genealogicznego, jakby było spisem objawów. Wdowa po Devinie powiła Calluma, który ożenił się z prześladowaną przez starą jędzę Lizzie Sellers. Callum i Lizzie spłodzili Mary Tryphenę i kuternogę Łazarza, który powstał z martwych, aby później na Labradorze zostać głową rodziny *Jackie-tarów*. Mary Tryphena wyszła za smród Wielkiego Białego i spłodziła z nim Patricka, który o mało się nie utopił dla sterty książek.

Z Eliego było prawdziwe dziwadło, w to nikt nie wątpił. Przed własną krwią nie uciekniesz, mówili ludzie, a Eli Devine żył obarczony dużo większym ciężarem niż inni.



Zimą w roku, w którym ukończył osiemnaście lat, Tryphie przywiózł do Paradise Deep narzeczoną, z którą zamierzał pobrać się w Boże Narodzenie.

Newman zamierzał posłać pasierba do szkoły w Stanach, jednak chłopak odmówił. Nawet do wyjazdu do St. John's musieli go zmusić.

Spędził dwa lata przepełnione tęsknotą za domem w Bishop Feild College; był markotny nawet wtedy, gdy zakochał się w Minnie Rose, podkuchennej zatrudnionej na jego stacji. Zanim Tryphie się oświadczył, przez rok zalecali się do siebie potajemnie.

Para dotarła do Domu Seliny w Wigilię Tibba^[8] po południu. Newman pracował w gabinecie i nie miał okazji poznać przyszłej synowej, dopóki nie usiadł do kolacji. Dziewczyna, którą Tryphie postanowił wybawić od żywota pomywaczki, była niewydurowaną i pozbawioną cienia ambicji siedemnastolatką, w naturalny sposób odnoszącą się do innych z tak uniżonym szacunkiem, że Newmana przechodziły ciarki. Doktor przeprosił towarzystwo jeszcze przed herbatą i przeczekał w swoim gabinecie aż do ostatniego, wieczornego obchodu, po czym położył się do łóżka.

– Ta dziewczyna nie wytrzymałaby nawet trzydziestu sekund przy appendektomii, powiedział Bride.

– Tryphie nie żeni się z pielęgniarką.

– A może powinien.

– Ani słowa więcej, ostrzegła go.

– A co, jeśli wypowiem swoje zdanie?

Bride odczekała chwilę, zastanawiając się, jak mocno zamierza na niego naciskać. – Tryphie nigdy nie chciał iść na medycynę, powiedziała.

– Dobrze o tym wiesz.

– I zamierza uniknąć tego właśnie w taki sposób? Żeniąc się ze służką, która nie potrafi wypowiedzieć zdania, nie dodając na końcu „psze pana” albo „psze pani”?

[8] *Tibbs Eve, Tibs Eve, Topsy Eve* – w tradycji Nowej Fundlandii dzień poprzedzający Wigilię, stanowiący nieoficjalny początek obchodów, zazwyczaj połączony z degustacją piwa warzonego przez mężczyzn na Boże Narodzenie.

Bride powiedziała, Haroldzie Newmanie, jesteś dokładnie taki sam jak twój ojciec.

– Rany boskie, kobieto!

– Jeśli jeszcze raz wymówisz imię Pana nadaremnie, powiedziała Bride.

Newman podparł się na łokciu. Prowokowała go, był wściekły, czuł, że budzi się w nim coś mgliście seksualnego. – To co, siostrzyczko, wyszorujesz mi usta mydłem?

Odwróciła się na swoją stronę, żeby ukryć uśmiech.

– Pocałuj mnie, powiedział.

– Nie dotknęłabym tych plugawych warg nawet, gdyby od tego zależało zbawienie mojej duszy.

Gdy na nią padł, próbowała się opędzić, bijąc go otwartymi dłońmi po uszach. Chwycił ją za nadgarstki i przyszpilił jej ręce za głowę. – Zrujnowałaś mi życie, powiedział, wtulając nos w jej piersi.

– Nigdy nie miałeś lepiej, ty głupi capie, odparła, wracając do swojego dawnego akcentu, tak gęstego, że spotkawszy ją po raz pierwszy sądził, iż mówi w innym języku. Było w nim coś, co sprawiało, że Newman podniecał się, gdy go słyszał.

Bride zawsze potrafiła stwierdzić, czego chcą mężczyźni. Rozgryzała ich już w wieku dwunastu, trzynastu lat. Była to w pewnym sensie ich wspólna słabość, wszyscy więc traktowali Bride nieufnie, czując, że wie tak wiele o ich wnętrzu. Newman przynajmniej zdawał się nią nie gardzić.

Czystość małżeństwa z Henleyem Devine'em zdawała się karą za konkretne grzechy, w dzieleniu łóża z jakimkolwiek mężczyzną nie widziała jednak niczego, czego nie byłaby gotowa poświęcić, jeśli Bóg wymagałby od niej takiej ofiary. Kiedy już poddała się myśli, że jest skazana na życie we wstrzeźliwości, wypadek Tryphiego rzucił ją wprost do stóp doktora. Jej syn miał już do końca życia nosić blizny

po oparzeniach, mąż wrócił do domu w drewnianym pudle, a ona nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że to Pan działa w jej życiu. Modliła się nad tą bluźnierczą myślą przez kilka miesięcy, ale wciąż nie była w stanie dopatrzeć się w tym wszystkim żadnego sensu. Bóg był jedynym mężczyzną, którego Bride nigdy nie potrafiła przejrzeć, wobec niego była bezradna, a ta bezsilność przyniosła jej wręcz ulgę. Zabrała się do pracy w szpitalu tak, jakby to było powołanie, kwestię doktora natomiast powierzyła Jezusowi.

Kiedy skończyli się kochać, wtuliła twarz w plecy męża i leżała, łapiąc oddech. Nigdy nie miała dosyć tego rozkosznego uczucia przychodzącego po dawaniu i dostawaniu w zamian. Tryphie natomiast miał w sobie coś, co napawało ją obawą, iż syn nigdy nie zazna podobnych przeżyć. Różnił się od jej dwóch młodszych synów, a długa rekonwalescencja wpędziła go w samotnictwo, w przywiązanie do mechanicznego świata, które zdawało się nienaturalne. Czasami wydawało się jej, że syn nie jest zdolny do rozpoznania miłości. – Nie pozbawisz Tryphiego szansy na to samo, szepnęła. – Haroldzie Newmianie, tak mi dopomóż.

Datę ślubu ustalono na Stare Świąta, a przez resztę okresu bożonarodzeniowego Newman nie zaprotestował już ani słowem. Po zaślubinach w kościele metodystów urządzono potańcówkę bez alkoholu, zabawa ciągnęła się długo w noc, a pijący co rusz wymykali się na zewnątrz, by po kryjomu pociągać z flaszek i po chwili wracać w zgiełek i zaduch. Eli przesiedział cały wieczór z Druce i Mary Trypheną, wyraźnie zasepiony. Cieszył się, że Tryphie się żeni – tak, jakby to zwalniało go z jakiegoś długu – jednak kiedy młoda para wymieniała się przysięgami i obrączkami, na jego piersi spoczął ciężar, który wciąż nie chciał go opuścić. Druce zerkała na syna kątem oka. – Niedługo przyjdzie i twoja kolej, powiedziała. – Żeby się ożenić, założyć rodzinę.

– Może i przyjdzie, odparł.

Druce skinęła głową w kierunku przeciwległej ściany, pod którą John i Magdalen Blade'owie siedzieli przy stole z Hannah. – Zawsze mi się zdawało, że się w tobie podkochuje. Może poprosiłbyś ją do tańca?

– Chyba sobie podaruję i pójdę już do domu, stwierdził.

Było już po północy, okres Bożego Narodzenia właśnie dobiegł końca, wszyscy byli więc zaskoczeni, gdy na salę wparowała nagle grupa kolędników. Przodem kroczył król Cole z konikiem, a za nimi podążał odziany w łachmany orszak grający na łyżkach oraz obwieszonych metalowymi drobiazgami kijach^[9]. Wyglądało na to, że wędrowali tak przez większość nocy, byli pijani i tak rozbawieni, że chwilami ocierali się wręcz o przemoc. Siłą wdarli się na parkiet, powyrywali kobiety z rąk partnerów, darli się wniebogłosy jak pomyleni. Kiedy tylko się pojawili, Eli ruszył w stronę drzwi, jednak Druce chwyciła go za ramię. – Nie zostawiaj mnie samej z tymi dzikusami, powiedziała z uśmiechem, wyraźnie uradowana na ich widok.

Podczas gdy król Cole przechadzał się władczo po sali, ściskając dłonie ludzi stojących nieopodal i błagając abstynentów o coś do picia, zebrani próbowali odgadnąć jego tożsamość. Woundy, sądzili niektórzy, chociaż nie, może raczej któryś z Toucherów. Król skłonił się nisko przed nowożeńcami, po czym pobłogosławił im, dotykając ich ramion swoim berłem. Eli siedział na krześle za plecami matki, mało brakowało, a król przeoczyłby go w półmroku. Kiedy go dostrzegł, wzniosł obie ręce nad głowę. – Koniku! zawołał falsetem.

Eli zerwał się z krzesła i ruszył biegiem w stronę drzwi, jednak garstka kolędników rzuciła się na niego i przy wtórze entuzjastycznych okrzyków tłumu zawlokła go na krzesło stojące pośrodku sali.

[9] *Ugły stick* – prowizoryczny instrument ludowy wykonywany z kija zakończonego zazwyczaj starym butem i obwieszonych puszkami oraz innymi drobnymi metalowymi przedmiotami.

– Ten tutaj, ten tutaj, powiedział król, potrząsając berłem przed Elim. U boku króla stanął przykryty brązowym kocem konik, z głową niezgrabnie wystruganą z drewna, z oczami – jednym brązowym, drugim niebieskim – wymalowanymi po bokach, ze szczękami przymocowanymi na skórzanym zawiasie. – Koniku, czy ten jegomość jest w kimś zakochany? spytał król.

Kłap.

– A więc jest zakochany! oznajmił król przekrzykując aplauz i pogwizdywanie. – Powiedz nam więc, koniku, czy jest to miłość skrywana?

Kłap.

– Tak, przyjaciele, uczucie to nie zostało jeszcze wyznane. Koniku, czy obiekt jego westchnień jest teraz na sali?

Kłap.

– Aha, aha, zakrzyknął król, przyglądając się zgromadzeniu, po którym poniósł się szmer. Wyciągnął przed siebie rękę z berłem i pozwalał tej wskazówce zatrzymywać się na kolejnych dziewczynach, na Hannah Blade, na najmłodszej córce Aza Trima, na prawnuczce Petera Flooda. Konik galopował w ślad za nim, stawał przed każdą z dziewczyn po kolei i wciąż wygłaszał ten sam werdykt.

Kłap kłap.

Po każdej przeczącej odpowiedzi rozlegały się jęki zawodu, a ze wszystkich stron wykrzykiwano imiona kolejnych kandydatek. Eli siedział i marzył o śmierci, przygwożdżony do krzesła uwagą sali.

Sfrustrowany król zastukał berłem w podłogę. – Koniku, czy jesteś pewien, że na sali jest osoba, którą nasz chłopak darzy uczuciem?

Kłap.

– Zatem ruszaj, krzyknął król, siadając Eliemu na kolanach i obejmując go ramieniem. – Pokaż nam.

Konik zaczął powoli krążyć między stołami, przeszedł obok nowożeńców raz, potem drugi, poganiany gwizdami zniecierpliwionych widzów. Gdy kolędnik po raz trzeci przechodził koło wybranki Tryphiego, zatrzymał się nagle za jej plecami, a jego ogromna głowa zaczęła kiwać się nad nią niczym wahadło. Zawstydzona panna młoda ukryła twarz w dłoniach, a król zerwał się z kolan Eliego. – Nie może być, krzyknął, to chyba nie nasza panna młoda? Czyżby drużba pałał miłością do panny młodej?

Konik rozważał pytanie, a na sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał.
Kłap kłap.

– Koniku, przestań z nami igrzać, poprosił król. – Kończ z tym, człowieku.

Konik pokręcił głową, jakby zwęszył jakiś nowy trop. Przesunął się w bok i stanął dokładnie za panem młodym, za garbusem, za Tryphem Newmanem. Zanim król zdążył wymówić choć słowo, Eli zerwał się z krzesła, skoczył na kolędnika i zaczął okładać go pięściami po głowie, a połowa zebranych wbiegła na parkiet i rzuciła się na nich. Azariasz i Abdiasz Trimowie z pastorem Violetem zaczęli nurzać się w tym rozgardiaszu, wzywając do spokoju, a ostatecznie bójka zakończyła się bez żadnych poważniejszych konsekwencji. Kolędnikom udało się wymknąć bez ujawniania tożsamości, a gdy tylko ostatni z nich zniknął za drzwiami, tańce rozpoczęły się na nowo. Eli ulotnił się chwilę po nich i nikt go już tej nocy nie zobaczył.

Gdy tańce dobiegły końca, tłum odprowadził nowożeńców do małżeńskiego łóża, po drodze pokrzykując za ich plecami i waląc w garnki i patelnie. Eli, który słyszał ten odległy harmider ze swojej grzędę na Tolcie, był w stanie śledzić biegnącą wzdłuż zatoki trasę tego średniowiecznego pochodu na podstawie samego hałasu, dokładnie tak samo, jakby jego uczestnicy szli poprzez mrok z lampami sztormowymi.

Życzliwi goście pożegnali się z nowożeńcami pod drzwiami Domu Seliny i po paru minutach cały zgiełk ucichł.

Kiedy weselnicy rozeszli się do domów, Eli zszedł z powrotem do Paradise Deep i ruszył po omacku wzdłuż nabrzeża, aż pod celę Judy. Dziadka pamiętał jak przez mgłę; milczenie i odosobnienie Judy niemal całkowicie wymazało go z ich życia. Eli przez chwilę nasłuchiwał pod magazynem, do jego uszu dobiegł jednak tylko prastary szum oceanu obmywającego brzegi. Pomyślał, że upływ czasu jest na wybrzeżu właściwie niewidoczny, że zapęta się podobnie jak niekończąca się rozmowa wody i kamienia. Już niedługo mieli wkroczyć w nowe stulecie, a tymczasem wszyscy, których Eli znał, błakali się jak we śnie poprzez mroki głębokiego średniowiecza. Wszyscy byli odcięci od świata dokładnie tak samo jak Juda; siedzieli ukryci za otwartymi drzwiami i bazgrali coś od rzeczy po ścianach. Gdyby nie to, że od stania na chłodzie zdążył już na wpół zamarznąć, zapewne zaniósłby się płaczem na tę myśl.

Wracając przez miasteczko, zobaczył światło w oknie Blade'ów. Wszedłszy bez pukania do kuchni, ujrzał Johna siedzącego z Matthew i Jamesem przy stole, na którym stała otwarta flaszka. Dwaj młodszy Blade'owie wciąż mieli na sobie kostiumy, w których wparowali na salę; głowa konika leżała na ziemi u stóp Matthew.

– Hannah w domu? spytał Eli.

John Blade wstał, by sięgnąć po szklanekę dla niego. – Poszła spać, powiedział. – I ona, i matka. Siadaj.

Eli skinął do Jamesa, który trzymał kawał lodu przy opuchniętej stronie twarzy. – Nic ci się chyba nie stało, co, Jimmy?

– Hannah ma nam trochę za złe, odparł.

Matthew powiedział, Eli, zrobiliśmy to po prostu dla śmiechu.

Gdy John Blade wręczył Eliemu szklanekę, wszyscy zamilkli na jakiś czas.

– Zawsze okazywałem Hannah szacunek, powiedział Eli. Zwracał się bezpośrednio do Johna, przypatrując się ojcu dziewczyny w świetle świecy. – Nigdy nie powiedziałem czegokolwiek, co mogłoby rozbudzić jej nadzieje. Jest wspaniałą dziewczyną, panie Blade.

John Blade skinął głową i dołączył do wszystkich. Wrócili do picia. Godzinę później do małej kuchni zeszła Hannah, obudzona przez gwar. Gdy stanęła w drzwiach, zapadła cisza. Eli przyglądał się w milczeniu dziewczynie, która po chwili ujęła pijanego ojca pod ramię i poprowadziła go do sypialni. Kiedy tylko zniknęła im z oczu, James i Matthew zaczęli skradać się w stronę drzwi. Braci, którzy pobudowali się po obu stronach chaty Johna i Magdalen, najwyraźniej ogarnęła nagła tęsknota za domem. Matthew wypchnął Jamesa na mróz i odwrócił się w stronę kuchni. – Eli, zatrzymaj ją tutaj, powiedział. – Na miłość boską.

Kiedy Hannah wróciła do kuchni, w rękach trzymała pikowaną narzutę. – Możesz położyć się tam, powiedziała, wskazując leżankę stojącą nieopodal pieca.

– Właśnie zbierałem się do domu.

– To długa droga, zwłaszcza o tej porze.

Omiótł ją pijackim spojrzeniem. Gęste, rude włosy, lekko piegowate dłonie ściskające narzutę. Pewnego popołudnia, kiedy miał dziesięć lat, trzymał jedną z tych dłoni, ratując dziewczynę z kryjówki piratów na pustkowiach. Wtedy łączyła ich prosta, dziecięca sympatia. To był pierwszy raz, kiedy pozwoliła dotknąć połączonych błoną palców komuś spoza rodziny.

– Czy ty właściwie chcesz, Eli? spytała.

– Wynieść się, stwierdził. – Znaleźć się gdzie indziej.

– A co się spodziewasz zastać gdzie indziej?

Rozejrzał się po pokoju, zbyt pijany, by zdobyć się na autocenzurę. – Nie to, powiedział.

– W takim razie, oznajmiła, przyciskając narzutę do brzucha. – Uważaj na siebie w drodze powrotnej.



Barnaby Shambler zmarł podczas jednej z popołudniowych debat w Colonial Building^[10] w St. John's. W ostatnich latach życia zasłużył na reputację człowieka lubiącego uciąć sobie drzemkę. Nieraz pochrapywał z cicha, podczas gdy wokół niego roztrząsano sprawy rządu; wszystkim wydawało się więc, że i tym razem najstarszy członek Legislatury najzwyczajniej w świecie zasnął. Gdy jednak przyszedł czas na głosowanie nad zgłoszonym projektem ustawy, Shamblera nie udało się obudzić, a któryś z kilku lekarzy należących do grona wybranych członków Zgromadzenia stwierdził zgon. Ciało przewieziono do Paradise Deep, gdzie odbył się pogrzeb – jak miało się później okazać, ostatni odprawiony przez wielbnego Eldreda Dodge'a.

Dodge był bardzo żwawy jak na człowieka po dziewięćdziesiątce. Przez wszystkie lata, od kiedy owdowiał, żył sam, nie okazując bólu i nie uskarżając się na nic, teraz jednak, gdy zabrakło przed nim Shamblera biorącego podmuchy czasu na siebie, wiatr starości powiał mu prosto w burtę. Złożywszy w ziemi ciało Czcigodnego Członka Legislatury, pastor położył się do łóżka i już nigdy z niego nie wstał. Opiekowały się nim Adelina i Flossie Sellers; kobiety trzymały się za ręce, siedząc przy łożu boleści. Kiedy stało się jasne, że pastor nie wróci już do zdrowia, Adelina przeprowadziła się na plebanię, by czytać konającemu mężczyźnie fragmenty Ewangelii lub po prostu czuwać przy nim, gdy

[10] Colonial Building – dawna siedziba Zgromadzenia Legislacyjnego Nowej Fundlandii i Labradoru.

spół. Rankiem w dniu jego śmierci Adelina zasugerowała, że mógłby go odwiedzić wielebny Violet, Dodge potrząsnął jednak głową spoczywającą na poduszce. – Przyślij tego drugiego, powiedział.

– Jakiego drugiego?

– Reddigana.

Obu duchownych niewiele łączyło, z wyjątkiem wspólnej niechęci do metodyzmu. W mniemaniu katolickiego księdza religia ta wzbudzała w ludziach dewocję nazbyt bliską obsesji, a na gust anglikańskiego pastora – nazbyt seksualną. Rozśpiewany zbór kiwający się na piętach i zanoszący modły ku belkom stropu. Tymi wszystkimi *Glory Hallelujah* i *Ye must be boru again* wielebny Violet tak naprawdę karmił tylko własne żądze. Ani Dodge, ani Reddigan nie uważali żądz za wiarygodny fundament moralności.

– Dziękuję, że ksiądz przyszedł.

– W swoim czasie troszczył się pastor o niejedną owcę z mojej trzódki.

– Tylko na mnie mogli wtedy liczyć, stwierdził Dodge, wznosząc dłoń. Przez chwilę wyglądał tak, jakby błędził myślami po innym świecie. Wreszcie powiedział, Nie poznał ksiądz nigdy wdowy? Wdowy po Devinie?

– Umarła na długo przed tym, jak tu przybyłem.

– Kiedy konała, poszedłem do niej. Miała chyba ze sto lat. Dodge zamknął oczy. – To było obmierzłe stworzenie, proszę księdza.

– Nie czas teraz, stwierdził Reddigan, na rozpamiętywanie takich spraw.

Było już jednak za późno, by odwieść konającego mężczyznę od ponownego stanięcia nad tamtym łóżkiem, od spojrzenia na tamtą posępną twarz, od zajrzenia w bezdenne, czarne studnie jej oczu. – Przeszedłem, aby się za panią pomodlić, oznajmił, a wdowa odwróciła twarz do ściany, dając mu do zrozumienia, że może już odejść. – Przed zginieniem

przychodzi pycha, a przed upadkiem wyniosłość ducha, dodał.

– Jeśli tak, to na miejscu pastora patrzyłabym pod nogi.

Poraziła go sącząca się z niej żółć. – Nie przywiązuje więc pani najmniejszej wagi do losu swej duszy?

– Nie pamiętam narodzin, powiedziała, śmierci też nie będę pamiętać.

Zostawił staruszkę bez słowa pocieszenia; wracając przez Tolt poczuł, że życzy jej jak najrychlejszej śmierci. Zadziwiła go siła tego uczucia, było ożywione i namacalne, było jak zdziczałe stworzenie, które włócił za sobą na smyczy; wierzgało i drapało, a przez pół nocy szarpało się, nie pozwalając mu spać. Wielebnemu Dodge'owi nigdy nie zdarzyło się mieć kaca, jednak gdy dotarła do niego wiadomość o śmierci wdowy, doświadczył czegoś zbliżonego – zalała go spieniona fala palącego żalu, ten mdły posmak w ustach, podejrzenie, że zrobił z siebie skończonego osła. Że w którymś miejscu pomylił się co do Boga lub co do siebie.

Dodge popatrzył na księdza. – Ja nienawidziłem tej kobiety.

– Pan wystawia nas na próby, odpowiedział Reddigan.

– Pan jest nędznym takim owakim, odparł Dodge.

Kiedy kapłan udzielił mu ostatniego błogosławieństwa, Flossie i Adelina przyszły do niego, aby przy nim czuwać. Zaproponowały, że mu poczytają, ale je wyprosił. – Nie powinienś zostawać sam, powiedziała Flossie.

Pokręcił głową. – Nie jestem sam, stwierdził.

Myślały, że chodzi mu o Boga. Pozwolił im tak myśleć; w milczeniu patrzył, jak ich ciężkie, szeleszczące spódnice wychodzą z izby. Gdy kobiety zostawiły go sam na sam z cieniem wdowy, wlepił wzrok w sufit. Wszystko tak jak należy. Przez wszystkie lata nieraz widywał ją przy pracy, widział, jak czuwała przy chorych i konających. Jej obecność nie przynosiła co prawda ukojenia, jednak były w niej niewyczerpane pokłady cierpliwości. Nieraz siedziała tak całymi dniami, bez chwili

wychnienia, zanim w końcu mogła wstać i zamknąć powieki. A teraz była niedużą plamą ciemności pod przeciwległą ścianą. Chciał podnieść dłoń na powitanie, jednak na to było już za późno. Nie był w stanie wykonać nawet takiego gestu. Godzinę później, gdy Adelina zajrzała do jego pokoju, już nie żył; ciało leżało z rękami skrzyżowanymi na piersi, z zamkniętymi powiekami.

Śmierć Dodge'a wyznaczyła koniec Kościoła episkopalnego w Paradise Deep. Zbór był zbyt mały, by móc liczyć na powołanie nowego pastora. Ostatni wierni zbierali się jeszcze przez kilka miesięcy na nabożeństwa bez duszpasterza, jednak w końcu na dobre trafili na łono Kościoła metodystycznego, a pod względem liczebności zbór wielkiego Violeta po raz pierwszy przyćmił katolików. Ksiądz Reddigan nadal co jakiś czas ponosił straty na rzecz metodystycznego kaznodziei, co skłoniło go do podzielenia się z arcybiskupem obawami o dalsze losy Kościoła na wybrzeżu. *Wasza Ekscelencjo, wciąż odprawiamy Msze Święte w drewnianej kaplicy wniesionej ponad pół wieku temu przez apostatę, trudno więc oczekiwać, napęłni ona wiernych poczuciem Bożego majestatu. Ekscelencjo, być może nadszedł już moment właściwy po temu, aby rozpatrzeć budowę katedry przystającej do piękna i chwały Najświętszego Kościoła Rzymskokatolickiego.*

W dni uroczystości świętych patronów wszyscy katoliccy rybacy z wybrzeża przekazywali swój połów Kościołowi w ramach zbiórki środków na to przedsięwzięcie. Kamień węgielny został wkopany w 1892 roku. Czarny granit przeznaczony na budowę kościoła wydobywany był w kamieniołomach na wzgórzach ponad Devil's Cove i przewożony do Paradise Deep w półtonowych blokach. Kamienie były ciosane i wbudowywane pod nadzorem dwóch włoskich kamieniarzy sprowadzonych przez arcybiskupa.

W grudniu 1894 roku, gdy Union Bank i Commercial Bank of

Newfoundland upadły, przytłoczone nadmiernym ciężarem pożyczek udzielanych kupcom z St. John's, cała kolonia popadła w bankructwo. W pierwszym roku kryzysu Levi Sellers przestał w ogóle skupować ryby, a wielu protestantów przyłączyło się do katolickich brygad pracujących przy budowie katedry, w zamian za przysługujący ochotnikom jeden posiłek dziennie. Była to największa kamienna budowla wzniesiona kiedykolwiek poza St. John's. Przed ukończeniem świątyni niemal wszyscy spośród mieszkańców wybrzeża zdążyli w jakiś sposób przyczynić się do jej powstania. Łączyła ich bezwyznaniowa duma z wysokości bliźniaczych wież, tak jakby rozkwitająca katedra stanowiła fizyczne przedłużenie ich woli, przykład na to, do czego są zdolni, choćby i w najcięższych czasach. Nawet lekarz-ateista zainteresował się kościołem i co parę miesięcy ustawiał na Widoku aparat fotograficzny, aby dokumentować kolejne etapy budowy.

Na trzy miesiące przed zakończeniem budowy Abdiasz Trim, wprawiający witraże za ołtarzem, spadł z wysokiego na pięć pięter rusztowania. Jego ciało zostało przewiezione do szpitala, gdzie doktor ponastawiał wielokrotne złamania, aby w trumnie zwłoki chociaż przypominały człowieka. Newman zadrutował bezkształtną szczękę i przyjrzał się twarzy z obu stron, porównując jej zarys z tym, co nosił w pamięci. – Proszę bardzo, Abdiaszu, powiedział. Powiódł palcem po białej linii widocznej pod jabłkiem Adama – pod *kinkornem*, jak to mówił Abdiasz – śledząc bliźnę pozostawioną tam w pierwszych tygodniach pobytu na wybrzeżu, kiedy to usunął z szyi Abdiasza mięśniaka wielkości jajka. – Proszę bardzo, powtórzył.

Na dzień przed pogrzebem Azariasz wszedł do gabinetu doktora z Biblią Jabeza Trima w ręku. Położył prastary wolumin na biurku Newmana. – Uznaliśmy, że powinna trafić w ręce doktora, powiedział. – Ja z Abdiaszem. Kiedy nas już zabraknie.

– Ty nie zamierzasz nas chyba opuścić, co, Az?

– Chciałem po prostu mieć pewność, że trafi do doktora. Wydawał się nią doktor tak zainteresowany. To niewiele, w porównaniu z tym, co doktor dla nas wszystkich zrobił.

Newman bezradnie pokiwał głową. Siedzieli przez chwilę w milczeniu.

– Słyszałem, że córka Tryphiego będzie śpiewać na nabożeństwie, powiedział w końcu Newman.

– Jesteśmy wdzięczni Bogu, że ją mamy, odparł Azariasz. – Ile to już ona ma? Trzydzieści lat?

– Właśnie skończyła czternaście.

– Dokąd ten czas tak gna? spytał Azariasz, na co doktor tylko wzruszył ramionami.

Newman pozostawił Pismo Święte na biurku, dokładnie tak jak leżało, nawet go nie dotknął. Nie potrafił wyzbyć się wrażenia, że przyjęcie do wiadomości faktu istnienia tej Biblii spowodowałoby niechybną utratę Azariasza w równie tragicznych okolicznościach. Ostatecznie po kilku miesiącach Bride wyratowała księgę spod walających się na biurku rupiec i umieściła ją na półce w składziku, który założyli obok kuchni, w miejsce dawnego pokoju dla służby.

Ksiądz Reddigan dał swoim wiernym przepustkę na pogrzeb Abdiasza, a tłum żałobników wylał się drzwiami i zaczął obchodzić metodystyczną kaplicę, aby nasłuchiwać pod otwartymi oknami. Esther Newman śpiewała *Amazing Grace*, a dźwięki hymnu niesły się aż na przystań, gdzie nawet mewy zamilkły zasłuchane. Ludzie mówili, że stary Callum i Martha Devine razem wzięci nie dorastali jej do pięt. Sama Esther nie zawsze była łatwa do zniesienia, jednak jej głos przepełniał wszystkich tym samym zaborczym podziwem, co nowa katedra. Tak, jakby wszystko, co w nich najlepsze, skryształizowało się pod postacią czegoś eleganckiego, czystego i nienaruszalnego.

Esther zawsze była dzieckiem rozwiniętym ponad wiek i bezczelnym; ogólnie rzecz biorąc, zmieniła życie rodziców w pasmo utrapień. Unikała skupionej na dobrych manierach i obowiązkach domowych Minnie, wymykała się za to do Trzewia, aby tam przesiadywać z Mary Trypheną i przysłuchiwać się starczej paplaninie o zalotach, epidemiach i wściekłych zimach, które kobieta widziała za swoich czasów. Gdy staruszka szła odwiedzić Judę w jego celi, dziewczynka odprowadzała ją przez Tolt. Esther widziała jak na dłoni, że matka nie przepada za Elim Deyinem, stawała więc na głowie, aby podtrzymywać z nim jak najbliższą znajomość, tylko po to, by zrobić Minnie na złość.

Eli szybko pojął, że talent Esther jest zbyt wielki, aby wybrzeże mogło żywić nadzieję na zachowanie jej tylko dla siebie; rozbudzał więc rodzące się ambicje dziewczyny, tak jakby wraz z nią w szeroki świat mogła ulecieć także częśćka jego samego. Esther dawno już opanowała wszystko, czego mogła ją nauczyć Adelina Sellers, a to właśnie Eli wpadł na pomysł, żeby znaleźć jej nauczyciela w St. John's i opłacić tam stancję na kilka miesięcy w roku. Doktor Newman zgodził się na sfinansowanie całego tego przedsięwzięcia i pomówił z Tryphiem i Minnie, aby przewyciężyć ich opory.

Dziewczyna popłynęła do stolicy ostatnią łodzią pocztową w sezonie, dwa tygodnie po pogrzebie Abdiasza. Nikt nie był zaskoczony, gdy w najbliższych miesiącach na wybrzeże zaczęły docierać wieści, że Esther śpiewa w kościołach, na koncertach i ślubach, jak St. John's długie i szerokie; że otrzymuje zaproszenia na występy w Halifaksie i Quebec City. W trzy lata później sam gubernator miał zażądać, by włączono jej występ do programu obchodów końca stulecia na Signal Hill. Wiosną 1900 roku miała popłynąć do Francji z listami polecającymi od gubernatora Nowej Fundlandii i organisty anglikańskiej katedry.

Już niebawem wszystkie docierające na wybrzeże wiadomości na jej

temat miały pochodzić wyłącznie z artykułów w gazetach relacjonujących występy w wielkich operach Europy; londyńscy dziennikarze zwali ją „Perłą Północy” czy „Rajskim Słowikiem”. Dawny potok jej listów zmienił się szybko w strużkę pocztówek przysyłanych od czasu do czasu, ale nawet ta bezwzględna dewaluacja rodzinnych stron zdawała się nieunikniona i zrozumiała. Wszyscy zapamiętali ją taką, jaka była na pogrzebie Abdiasza, wtedy, gdy sprawiała, że ich żal zdawał się królewski i chlubny, gdy jeszcze należała tylko do nich.



W uroczystość Niepokalanego Poczęcia doktor Newman zebrał wszystkie brygady przed frontowymi drzwiami katedry, aby zrobić ostatnie zdjęcie. Stu czterdziestu siedmiu mężczyzn siedzących na schodach budynku, do ukończenia którego zostało już tylko parę dni; Eli w tylnym rzędzie, obok Azariasza Trima. Gdy wszyscy rozeszli się z powrotem do pracy, ksiądz Reddigan podszedł do doktora, żeby poprosić o odbitkę, którą można by oprawić i powiesić w kościele.

Nikt nie potrafił później stwierdzić, kto pierwszy zwrócił uwagę na anomalię. Niektórzy, przyjrzawszy się zdjęciu wiszącemu w przedsionku, zaprzeczali, jakoby w ogóle było w nim coś niezwykłego. Newman twierdził, że to tylko gra światła i cieni, pobożne życzenia. Jednak w większości ludzie zarzekali się, że w ostatnim rzędzie dostrzegają zmarłego, że rysy jego twarzy są rozmyte, ale rozpoznawalne. Spomiędzy twarzy Azariasza i Eliego wyglądał Abdiasz. Stu czterdziestu ośmiu mężczyzn na schodach katedry, którą wspólnie wzniesli. Ksiądz Reddigan ustawił pod zdjęciem świecę, która płonęła przez cały adwent. Do kościoła napływały stały strumień gości chcących ujrzeć Abdiasza i przeżegnać się

czy wyszeptać modlitwę.

Gdy Abdiasz spadł na ziemię, Eli stał akurat u stóp rusztowania, pomagał potem ułożyć pogruchotane zwłoki na wózku. Od tamtego czasu mężczyzna pojawiał się w snach Eliego każdej nocy, z szeroko rozpostartymi marionetkowymi kończynami, z połamaną szczęką, latającą bez sensu w tę i we w tę. Myśl o Abdiaszu stojącym za jego plecami w najlepszym zdrowiu zdawała się śmiechu warta, jednak ostatecznie nie zdołał oprzeć się pokusie. W Wigilię Tibba bladym świtem poszedł do katedry, licząc na to, że zastanie świątynię pustą. Przed fotografią stała Hannah Blade. Już miał się wymknąć z powrotem na zewnątrz, gdy go dostrzegła i szybko odsunęła się od zdjęcia, jakby ją na coś przyłapała.

– Napędziłem ci stracha, powiedział.

Hannah wciąż żyła bez mężczyzny. Eliego doszły słuchy o jednym czy dwóch jegomościach, którzy próbowali spotykać się z nią jeszcze przed śmiercią Magdalen. Później wszystko wydawało się ustalone: miała opiekować się owdowiałym ojcem, a potem skończyć całkiem sama.

– Pierwszy raz przyszłaś na nie popatrzeć? spytał.

– Przychodziłam tu rano już kilka razy, odparła.

Eli przytaknął. – Myślisz, że to naprawdę on?

– Ojciec pewnie już czeka na śniadanie, powiedziała, mijając go ze spuszczoną głową.

– Uszanowania dla Johna, zawołał. Patrzył za nią przez chwilę, poczekał, aż drzwi się zamkną, po czym odwrócił się do fotografii wiszącej po drugiej stronie kruchty nad zapaloną świecą. Jeszcze zanim zdążył dać choćby jeden krok w stronę zdjęcia, pojął, po co Hannah tu przychodziła. Oparłszy się o drzwi, zaczął walić w drewno głową, jakby mógł w ten sposób wybić z niej świadomość, która przed chwilą na niego spłynęła.

Wyszedł, nie patrząc nawet na zdjęcie; ruszył w stronę Domu Seliny

i wszedł do warsztatu założonego przez Tryphiego w starej stodole. Pod jedną ścianą stało palenisko kowalskie, pod drugą ciągnęły się blaty zavalone narzędziami, kawałkami drewna i stali, słoikami pełnymi śrub i gwoździ, kalkami i kawałkami papieru upstrzonymi szkicami i wymiarami. Obaj przyrodni bracia Tryphiego byli praktykującymi lekarzami – jeden pracował na wybrzeżach Labradoru, drugi w Montrealu – dzięki czemu Newmanowi łatwiej było pogodzić się z tym, że chłopak nie chciał pójść na medycynę. Tryphie wiązał jakoś koniec z końcem dzięki istnemu potokowi królewskich patentów na nowe, ulepszone klucze nastawne, nowe, ulepszone ławki szkolne, nowe, ulepszone otwieracze do puszek, nowe, ulepszone lampy acetylenowe do latarni morskich. Nieraz dorabiał też po parę dolarów jako cieśla, sklecał małe łódki, balie z przepiłowanych beczek i różne inne graty. Cała działalność była po prostu sposobem na uniknięcie nędzy. Każdą wolną chwilę Tryphie poświęcał przedziwnym stworzeniom wyrzucanym przez nieustannie wirującą kipieli jego myśli. Narzędzia o tajemnych zastosowaniach, wiele z nich o naturze chirurgicznej, zgodnie z zamówieniami doktora Newmana, metoda wytwarzania i wstawiania sztucznych zębów, zwoje drutu mające przewodzić prąd elektryczny. Na ścianach wisiał z tuzin prototypów maszyny latającej; próbny start z dachu warsztatu w jednym z nich Tryphie przyplącił złamaniem nogi. – Słuchaj, Tryphie, są rzeczy, które powinny pozostać w twojej głowie, powiedział mu Eli.

Większą część podłogi zajmowała teraz ogromna, żelazna ryba, która miała umożliwiać podróżowanie pod wodą; wnętrzości stworzenia były akurat na tyle duże, by zmieścił się w nich człowiek siedzący pomiędzy rzędami dźwigni i bloczków zapewniających kontrolę nad płetwami, sterem i zbiornikami balastowymi. Eli nazywał ją Głowaczem. Większą część minionego roku spędzili dyskutując o obłądźcie, z którego musiał zrodzić się ten pomysł. W międzyczasie leżący na podłodze warsztatu

szkielet ryby nabierał kształtów. – Skończysz na dzie razem z całym swoim cholernym wynalazkiem, Eli zawyrokował podczas ostatniej wizyty, przed jakimiś dwoma miesiącami.

Tryphie rzucił w niego śrubokrętem. – Wypierdalaj mi stąd, krzyknął, sięgając po młotek.

Od tamtej kłótni Eli nie odwiedzał warsztatu; nawet teraz musiał się pilnować, żeby nie naśmiewać się z maszyny. – Jak się miewa Minnie? spytał.

Tryphie oparł się o stół warsztatowy i wytarł ręce w szmatę. – Od kiedy Esther nas opuściła, Minnie każdej nocy ryczy, dopóki nie zaśnie.

Minnie stanowczo sprzeciwiała się pomysłowi wysłania jej jedyne go dziecka do St. John's, gdzie miałyby je kształtować i ubierać ktoś obcy. Matka była jednak osamotniona w swoich protestach – Tryphie, doktor, a nawet i Bride, wszyscy wzięli stronę ambitnej dziewczyny – aż w końcu dała za wygraną. W trakcie całej tej dyskusji pomiędzy Minnie a Elim doszło do wymiany zdań, które na dobre scementowały ich obopólną niechęć.

– Domyślam się, że musi jej być trudno, powiedział Eli.

– Prawda jest taka, że gówn o tym wszystkim wiesz.

Eli przytaknął, nie zamierzając wdawać się w kłótnię. Zdarzały się chwile, kiedy czuł na swoich barkach ciężar wszystkiego, co zaszło pomiędzy nim a Tryphiem. Wciąż czekał, aż coś kluczowego i ostatecznego zawali się, wyswobadzając go lub zabijając. W geście bezsilności wyrzucił przed siebie rękę, jakby próbował przerzucić ponad podłogą warsztatu niewidzialną linię. Tryphie dalej wycierał ręce, najwyraźniej nie zamierzając sięgnąć po swój koniec.

– Tak tylko zajrzałem, powiedział w końcu Eli. – Chciałem życzyć wesołych świąt Bożego Narodzenia.

– Nawzajem, odparł Tryphie.

– Budujesz tu sobie pierdoloną trumnę, Eli powiedział na odchodnym. Gdy zamknął za sobą drzwi, uderzył w nie ciężki klucz francuski.

Większą część dnia spędził blakając się bez celu po drogach w głębi łądu. Gdy wracał znad Sadzawki Czarnucha Ralpa, jego oczom ukazały się wieże katedry wystające wysoko ponad czarę zatoki. Na Tolt Road spotkał Mary Tryphenę wracającą z codziennej wizyty w celi Judy, odprowadził ją więc do Trzewia. – Przyjdzie dziś babcia na kolację? spytał, gdy stanęli pod drzwiami.

Mary Tryphena odwróciła się i spojrzała mu prosto w twarz. Jej niebieskozielone oczy były zaciągnięte szarością, jak woda skuta cienką warstewką lodu. Trudno było odgadnąć, co utrzymywało ją jeszcze przy życiu. – Wszystko, co ostatnimi czasy jadam, powiedziała, smakuje jak wiadro gwoździ.

Po kolacji znowu przeszedł przez Tolt. W domu Hannah paliło się światło; John Blade pomachał do niego od stołu. Hannah zabrała się do nalewania obu mężczyznom alkoholu tak, jakby Eli przyszedł na umówione spotkanie. John wypytywał go o Druce, Mary Tryphenę i parę innych osób z Trzewia; był dopiero w połowie swojej szklanki, gdy nagle oznajmił, że Matthew czeka na niego u siebie. Wstał i sięgnął po kurtkę. – Jak wychylę parę głębszych, to może się przekimam u niego na leżance, powiedział do córki. – Nie czekaj na mnie.

Hannah zamknęła za ojcem drzwi i wróciła do kuchni. – Jak ci idzie picie, Eli?

Wzniósł szklankę, wciąż do połowy pełną. – John nie boi się zostawiać cię samej?

Hannah ukryła ręce za plecami i stanęła przy piecu, żeby się ogrzać. – Gdybym szukała kłopotów, już dawno bym ich sobie napytała, stwierdziła. Była kobietą nienadzwyczajnej urody, jednak lata przepracowane w ogródkach i na przystaniach uczyniły z tej nienadzwyczajności cnotę.

W twarzy Hannah nie było nic na tyle delikatnego, by czas mógł to zniszczyć – jedynie determinacja i energia, która z upływem lat zaczynała nabierać znamion piękna. Wlepiała wzrok w swoje buty. – Co cię trzyma na wybrzeżu tyle czasu? spytała.

Roześmiał się i potrząsnął głową. Został, ponieważ Patrick już od lat nie wracał do Trzewia, a Druce nie miała nikogo, kto mógłby się o nią zatroszczyć. Został, bo Mary Tryphena przeżyła już prawie całe stulecie i niebawem musiała od nich odejść. Został, aby nie dać Leviemu Sellersowi satysfakcji patrzenia na kolejnego Devine’a przepędzonego z wybrzeża. Został, ponieważ Tryphie...

– Bóg jeden raczy wiedzieć, odparł. – A dlaczego ty przez cały ten czas nie zdołałaś napisać sobie kłopotów?

Odwróciła wzrok; z głębi jej gardła dobiegło lekceważące mruknięcie.

– To nie na Abdiasza chodziłaś patrzeć do kościoła, powiedział. – Prawda, Hannah?

– A na co innego miałabym patrzeć?

– Chodziłaś tam, żeby patrzeć na mnie.

Hannah pokręciła głową. – Wiem, że nie liczysz się ze słowami.

– Powiedz mi, że jestem w błędzie, a odejdę.

– Eli, powiedziała, od młodości czekam, żebyś się stąd wreszcie wyniósł.

– Jezu, Hannah.

– Nie mam zamiaru o nic błagać, tyle ci powiem, oznajmiła, prostując się.

Przyglądał się jej przez chwilę; tej małej kotłowaninie uporu i beznadziejnych zgrzytot, odzwierciedlającej własny ból serca. Tylko gra światła i cieni, pobożne życzenia – na ten świat nie składało się nic więcej, za to mógł poręczyć. Podniósł szklankę i dopił resztkę trunku. – Hannah, nie pogardziłbym jeszcze jedną, powiedział, jednak ona nie ruszyła się ze

swojego miejsca pod piecem. – Jeśli ty nie pogardzisz mną, dodał.

Gdy na świat przyszedł syn Eliego i Hannah Devine'ów, w ostatnim roku dziewiętnastego wieku, Drzewo Kerrivanów wciąż rośło w najdalszym zakątku Trzewia. Jabłoń nie rodziła owoców ani liści od tak dawna, że niemal o niej zapomniano, a tylko najstarsi rybacy na wybrzeżu potrafili powiedzieć cokolwiek o Sarah Kerrivan, która przywiozła zza oceanu sadzonkę w drewnianej balii. Sękate, kruche, pozbawione kory gałęzie chyliły się do ziemi, a nawet kamienne ogrodzenie Calluma Devine'a zdążyło się rozpełznąć na wszystkie strony pod wpływem wielu dziesięcioleci zimowych mrozów.

Jak na pierwszą ciążę, Hannah Devine była już dość posunięta w latach. Skurcze złapały ją w piątym miesiącu, podczas pracy w ogródku. Druce posłała Eliego, żeby pożyczył konia i wóz od Matthew Strappa. Potoczyli się rozklekotaną furą przez Tolt, w stronę szpitala, z Hannah jęczącą przez zaciśnięte zęby. Kiedy dziecko przyszło na świat, nie przypominało jeszcze zbytnio dziecka, raczej rękawicę z półprzezroczystej skóry, opiętą na przeświecających ze środka ciemnych grudkach narządów wewnętrznych. Małeńki ptaszek przypominał kawałek nitki wystający ze szwu. Newman zacisnął i odciął pępownię, po czym przekazał noworodka Bride i skupił się na Hannah, która musiała jeszcze wydalić popłód. Zdążył już właściwie zapomnieć o dziecku, gdy Bride krzyknęła z drugiego końca sali, że wyczuwa bicie serca.

Po miesiącu noworodek nadal ważył nie więcej niż porządny filet z dorsza i wciąż nie chciał ssać piersi matki. Mało kto wierzył, że dziecko opuści szpital żywe. Doktor Newman i Tryphie skonstruowali metalowy inkubator ze szklaną pokrywą. Malutki piecyk był podgrzewany od spodu przez wypełnione wodą cylindry zawieszony nad lampami naftowymi.

Utrzymanie właściwej temperatury wymagało stałego nadzoru, rodzina pracowała więc na zmiany: Hannah i Eli, Druce, John Blade i przyrodnie siostry Hannah, Tryphie, Minnie i Bride.

Wartę przy dziecku pełniła nawet prastara Mary Tryphena. Staruszka już od lat nie okazywała najmniejszego zainteresowania światem, jednak na ciężarną Hannah wciąż chuchała i dmuchała, wciskała przyszej matce wywary z bagiennego mirtu i kalmii. Kontynuowała swoje zabiegi również po narodzinach dziecka; kiedy zostawała sama, otwierała inkubator i kładła chłopcu na pierś mazidła i kataplazmy, którymi potem czuć było w każdej sali w szpitalu. Newman ostrzegął ją, żeby się nie wtrącała, a kiedy zignorowała jego apele, zabronił jej w ogóle wchodzić na salę, w której leżało niemowlę. – Trzymaj tę starą wiedźmę z dala od dziecka, przestrzegł Bride, bo malec nie przeżyje nawet tygodnia.

W trzecim miesiącu, akurat gdy wyglądało na to, że chłopiec przetrwa całą tę udawkę, wdała się infekcja. Nawet Bride musiała przyznać, że dla dziecka nie ma już żadnej nadziei. – Teraz to już grzech, szepnęła. – Dziecko dość już wycierpiało.

– Cierpienia na tym świecie jest akurat zawsze pod dostatkiem, stwierdziła Druce, rozmyślając o maleńkim ogródku niemowląt, który zasadziła koło swojego domu, o dzieciach, które nie zdążyły zaczerpnąć nawet jednego oddechu, zanim ziemia na dobre nie zawałiła ich płucek. A teraz jeszcze to dziecko leżące w metalowej trumnie, ginące w oczach pod szklaną pokrywą.

To Mary Tryphena podsunęła im pomysł z Drzewem Kerrivanów. Hannah, która przez trzy dni nie odstępowała od dziecka, chyba że po to, aby przemyć twarz, była już wyczerpana patrzeniem, jak powoli upływa z niego życie. Była gotowa na zdecydowane działanie, bez względu na to, jakie rozstrzygnięcie miałyby ono przynieść. – Doktor nigdy się na to nie zgodzi, stwierdziła.

Mary Tryphena pokiwała głową. – Przyniesie je dziś w nocy, powiedziała. – Kiedy wszyscy zasną.

Eli czuł się jak idiota, spełniając zachcianki kobiet, dziecko i tak nie miało już najmniejszych szans. Po północy Newman ruszył na swój ostatni obchód. Wsłuchał się w dźwięki pracy małego serduszka, z trudem przebijające się przez szmer płuc. Zamknąwszy szklaną pokrywę, skinął głową do matki i ojca siedzących nieopodal na krzesłach, chcąc dać im do zrozumienia, że czas spędzony z chłopcem ma już niebawem dobiec końca.

Gdy cały szpital pogrążył się w ciszy, Hannah wyjęła dziecko z inkubatora i zawinęła je w narzutę z owczej skóry. Chłopiec był bladejszy niż najbielszy z Devine'ów, kosmyk włosów na czubku głowy był tak siwy, że niemal przezroczysty. Ponieśli go opustoszałymi drogami, wspięli się na Tolt i zeszli do Trzewia. Kiedy przyszli po Mary Tryphenę, kobieta już na nich czekała. Natychmiast ruszyła za nimi do drzwi. Nad najdalszym zakątkiem zatoki drzewo połykiwało srebrem w świetle księżycy.

Hannah i Eli zostali ochrzczeni jeszcze zgodnie ze starym zwyczajem, jednak za ich życia rytuał zdążył już wyjść z użytku. Dotarłszy do drzewa oboje stanęli w milczeniu, nie wiedząc, co robić dalej. Mary Tryphena utorowała sobie ścieżkę między gałęziami i gestem nakazała im, aby poszli za nią. W ciemnościach przekazywali leciutkie zawiniątko pomiędzy martwymi konarami, z rąk do rąk, z rąk do rąk, a dziecko przez cały ten czas nawet nie pisnęło. Kiedy Mary Tryphena wypuszczała je z rąk, powiedziała, Życzę ci długiego życia, Ablu Devinie. Eli przepłakał całą drogę powrotną do Domu Seliny, niosąc w ramionach bezbronne niemowlę; ostatnie dziecko, które zostało przywitane na tym świecie przez gałęzie Drzewa Kerrivanów.

Nazajutrz nie sposób było zauważyć jakiegokolwiek poprawy w stanie zdrowia dziecka, jednak Abel przynajmniej przeżył do wieczora. – Twardy

gałgan, Newman mówił za każdym razem, gdy stwierdzał, że niemowlę nadal oddycha.

To określenie towarzyszyło Ablowi przez całe dzieciństwo. Był mniejszy od rówieśników i miał skłonności do gorączek i infekcji, które zalewały jego płuca płynem, grożąc mu utonięciem we własnym łóżku. Gryzący smród rozkładu narastał wraz z jego temperaturą, tak jakby śmierć, którą zdołał oszukać, wylewała się przez pory jego skóry. Kiedy Abel chorował, Mary Tryphena nie odstępowała go na krok. Hannah musiała zakrywać twarz kawałkiem materiału, żeby jakoś wytrzymać ten zapach. – Nie wiem, jak pani to znosi, pani Devine.

– Dzieciak pachnie nie gorzej od Judy, mówiła Mary Tryphena.

Zdarzyło się z pół tuzina okazji, w których życie Abła wisiało na włosku, jednak za każdym razem udawało mu się jakoś przetrwać, nawet gdy zdawało się, że nie ma już najmniejszych szans. To było wyczerpujące, żyć nadzieją i się z nią rozstawać, żyć nadzieją i się z nią rozstawać, potem znowu żyć nadzieją. W końcu Druce porzuciła swój ogródek martwych niemowląt i, chcąc oszczędzić sobie katuszy patrzenia na Abła chwiejącego się na krawędzi życia i śmierci, przeprowadziła się w inny zakątek wybrzeża, do Devil's Cove, gdzie mieszkała Martha ze swoim mężem, jednym z Tuttle'ów.

Zanim Eli ożenił się z Hannah, przez wiele lat trzymał ją na dystans. Coś z tego starego nawyku zostało mu również po ślubie, chociaż chciał, aby było inaczej. Cięża Hannah rozbudziła w nim nadzieję, że może uda się wreszcie odnaleźć siebie nawzajem, że może dzięki dziecku nauczy się kochać żonę jak należy. Nigdy nie zdołał nadać uczuciom wobec chłopca żadnego rozpoznawalnego kształtu. Przez jakiś czas dzielił z Druce przecucie nieuchronnie zbliżającej się żałoby, jednak z czasem flirty Abła ze śmiercią zaczęły mu się zdawać wyreżyserowane, pomyślane tak, aby ciągnąć ich wszystkich w ślad za chłopakiem. Po każdym

kolejnym wstrząsie Eli oddalał się odrobinę od chłopca, a zarazem i od żony. Zawsze byli zaledwie przygodnymi kochankami, jednak nawet ta odrobina bliskości, jaka ich dotąd łączyła, umknęła gdzieś pośród trwającego nieustannie kryzysu zdrowotnego Abła.

Hannah stawiała się coraz bardziej nadopiekuńcza wobec dziecka żyjącego wbrew wszelkim regułom prawdopodobieństwa. Zamykała Abła w domu w czasie niepogody, również na całą zimę. Zabraniała mu wszystkiego, co mogłoby go zmęczyć lub zbytnio podekscytować. W jego obecności nie pozwalała na żadne rozmowy o polityce, lokalnych plotkach czy pogmatwanej historii rodziny, jakby od takich tematów chłopak mógł zarazić się śmiertelną chorobą. Większą część dzieciństwa Abel spędził w bibliotece dziadka, czytając w obronie własnej, uciekając przed odosobnieniem w świąty poustawiane według gatunku i w porządku alfabetycznym na półkach w salonie. Chłopak nie miał pojęcia o tym, że Absalom Sellers dorastał w Domu Seliny, nie zdając sobie sprawy z najbardziej podstawowych realiów życia, że Lizzie spędziła całe lata błąkając się po pustkowiach. Nikt nie opowiedział mu o biblijnym odosobnieniu Judy Devine'a siedzącego w celi dla obłąkanych. Całe wybrzeże widziało jak na dłoni, że Abel dorasta w tej samej samotności, wydającej się przedziwnym dziedzictwem jego krwi.

Mary Tryphena była jedyną osobą, która nigdy nie wątpiła w to, że chłopiec przetrwa. Pod wpływem jego nieustępliwości sama zdawała się odzyskiwać chęć życia. Hannah, która nie życzyła sobie, żeby Abel wysłuchiwał gadaniny staruszki, patrzyła niechętnym okiem na ich kontakty. Była wprawdzie zmuszona powierzać Mary Tryphenie opiekę nad chłopcem, kiedy szła do pracy na brzegu lub w ogródku, ostrzegała ją jednak, by trzymała na wodzy skłonność do rozpamiętywania dawnych czasów.

Mary Tryphena, ta mizerna, wychudzona istota, była już wtedy równie

prastara, co niegdyś Wdowa po Devinie. Jej ruchy były nieśpieszne, niemal mechaniczne, jakby została zaprojektowana i skonstruowana w warsztacie Tryphiego, a jej małowówność w odczuciu Abła jedynie potęgowała to wrażenie. Uważał ją za osobę przynależną do wymagowanych światów z biblioteki, za postać rodem z Podróży Guliwera. Jej przedpotopowy sposób bycia miał w sobie coś, co sprawiało, że zdawała się istnieć nieodwołalnie, a chłopcu nigdy nie przeszło przez myśl, że miejsce, jakie zajmuje w jego życiu, może być tymczasowe. Kiedy przyszedł na nią czas, Abel akurat czytał jej książkę. Prastara kobiecina, siedząca na zielonej, obitej skórą kanapie, uśmiechnęła się dziwnie, jakby chciała dodać chłopakowi otuchy. – Dobrze się czujesz, babciu? spytał, a ona po prostu dalej patrzyła na niego z tym samym zdziwionym, błagalnym uśmiechem na twarzy. – Babciu?

Zanim sprowadził z ogródka Hannah, Mary Tryphena zdążyła już odzyskać głos. Staruszka twierdziła uparcie, że nic jej nie dolega. – Przestraszyłaś mnie, powiedział Abel, a ona zaśmiała się tak, jakby jego strach był tylko dziecinnym wymysłem. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy. – Kochasz babcię, prawda?

– Tak, odparł. – Kocham.

Powiedziała, Ablu Devine, czekałam na ciebie przez całe życie.

W tym oświadczeniu było coś, co sprawiło, że o mało się nie poryczał.

– Powinniśmy cię zabrać do szpitala, powiedziała Hannah.

Mary Tryphena pokręciła głową. – Zabiłabym za filiżankę herbaty, powiedziała. Kiedy Hannah postawiła przed staruszką kubek, ta nie wyciągnęła po niego ręki.

– Chcesz herbaty czy nie?

– Nie mogę ruszyć ręką, kochanie, odparła Mary Tryphena. Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się do nich w ten sam przedziwny, przepraszający sposób, znowu nie będąc w stanie wymówić ani słowa. Hannah posłała

Abla po doktora, jednak staruszka umarła, jeszcze zanim zdążyli wrócić przez Tolt.

Juda Devine już tak dawno przestał zaprzętać myśli ludzi, że przed zakończeniem stypy nikt nawet nie wpadł na to, żeby zanieść do celi obłąkanego wiadomość o odejściu jego żony. Nie znaleźli tam po nim śladu, a wszystko wskazywało na to, że nie mieszkał tam już od dłuższego czasu. Nagie wycinki nieba prześwitywały przez dziury w dachu, szpary w drewnianej podłodze obrzeżone były solnym osadem. Ludzie poczuli się jak skończeni głupcy, gdy uświadomili sobie, że zakładali, iż Juda spędzi resztę życia w zabitej dechami norze, zaczęli więc zaprzeczać, jakoby w ogóle kiedykolwiek w to wierzyli. Niektórzy twierdzili, iż dobrze wiedzieli, że Juda opuścił magazyn na brzegu wkrótce po tym, jak zdjęto kłódki z drzwi, że resztę swoich dni spędził na starym traperskim szlaku biegnącym nieopodal Grzywaczy. Inni mówili, że do ucieczki doszło niedawno, że Juda wciąż ukrywa się w chacie stojącej nieopodal Sadzawki Czarnucha Ralpa.

Największą tajemnicę stanowił jednak dziwny zwyczaj Mary Trypheny, która codziennie chadzała przez Tolt na spotkania ze swoim nieobecny mężem. Jeśli chciała w ten sposób zatuszować fakt zniknięcia Judy, to trudno było się domyślić, dlaczego miałyby uważać to za konieczne. Patrząc z perspektywy czasu, Newman stwierdził, że w tym rytuale było coś z żałoby, jakby kobieta odwiedzała grób zmarłego. Po pogrzebie próbował przeanalizować to dokładnie z Bride, jednak ta po prostu odwróciła się na łóżku, wtuliła się w niego i powiedziała, Teraz zasnęła już spokoju w Chrystusie.

W ten sposób powrócili do najstarszego tematu swoich kłótni i zaczęli się sprzeczać, przeciągając racje to na jedną, to na drugą stronę. Skłonność Bride do tak niefrasobliwego powierzania ludzkich pytań nadprzyrodzonym tajemnicom była, w mniemaniu Newmana, swego

rodzaju lenistwem. Nie potrafił pojąć, dlaczego taka postawa odpowiadała kobiecie, która gardziła każdą inną postacią gnuśności.

– Nie radzisz sobie z myślą, że na tym świecie jest coś, czego twój maleńki umysł nie potrafi przełknąć, oznajmiła Bride.

Owszem, w Bride było coś, czego jego maleńki umysł nie potrafił przełknąć, to był gotów przyznać. Od samego początku dobrze wiedział, że coś w jego żonie pozostanie dla niego obce; to właśnie zazdrość o ten skryty zakątek jej duszy stale podsycala jego żądzę. Wszystkie ich sprzeczki zdawały się niezmiennie kończyć tym, że jego twarz łądowała na jej szyi, jego ręce na jej udach, aby przyciągać ją bliżej, coraz bliżej. W tych momentach kryło się dosyć chwały i tajemnicy, by na jakiś czas zamknąć mu usta.

Po śmierci Mary Trypheny Levi Sellers kazał zburzyć magazyn Judy. Zbutwiałe kawałki drewna trafiały kolejno do ogniska rozpalonego nad wodą – prycza, na której Juda spał, deski ze ścian, wszystkie pokryte co do cala cytatami z Pisma tak, jakby te słowa mogły zapewnić jakąś ochronę przed chłodem. Wszystko uleciało z wiatrem, roznosząc wokół ten sam wściekły smród, który utrzymywał się w magazynie aż do jego zburzenia, ten niedający się pomylić z niczym innym żrący odór krwi i soli, który Juda zostawiał po sobie jak odciski palców.



Pozbawiony towarzystwa Mary Trypheny Abel był osowiały i niepokieszony, a rodzice nie potrafili wyrwać go z melancholii. Doktor Newman podsunął im myśl, że pośrednią przyczynę problemu mogło stanowić odosobnienie i brak ruchu. Od czasu, gdy Trimowie z braku drewna zamknęli tartak, Eli pracował jako członek jednej z przybrzeżnych

załóg Matthew Strappa, nakłonił więc Hannah, by pozwoliła mu w ładniejsze dni zabierać syna ze sobą. Na wodzie Abel okazał się zaskakująco śmiały; nacinał ogony dorszom, które sam wyciągnął na pokład, a oznaczone ryby miały zostać na koniec sezonu wliczone do doli jego ojca.

Miał również smykałkę do pracy nożem, chociaż Hannah nie pozwalała mu zbyt długo stać w zimnym i wilgotnym magazynie, w którym patroszono złowione ryby. Dorszy było pod dostatkiem przez całe lato, a gdy rybacy zaczęli przypisywać to obecności Abła na łodzi, trudno było utrzymać chłopaka z dala od wody pomimo zastrzeżeń Hannah. Załogi z Labradoru wróciły do domu z największą ilością ryb, jaką widziano tu od lat, a nagły uśmiech złego losu przepełnił wszystkich mieszkańców wybrzeża radością.

Taki sam scenariusz rozegrał się w całym kraju, a wszystkich, którzy uwierzyli w to złoto głupców, spotkało takie samo druzgoczące rozczarowanie. Gdy europejskie rynki zostały zarzucone ogromną ilością wysokiej klasy ryb, ceny poleciały na łeb na szyję, a większość rybaków dostała na rękę najmniejsze kwoty, jakie widzieli od czasu bankowego kryzysu z 1894 roku. To była bolesna lekcja – dostąpić błogosławieństwa urodzaju tylko po to, by nauczyć się, że nadmiar może być narzędziem nędzy. Przez całą jesień ludzie opuszczali wybrzeże. James i Matthew Blade'owie wyjechali pod Boston, a po trzech miesiącach przysłali rodzinom pieniądze na podróż, plus małą nadwyżkę, żeby ich dzieci dojechały na miejsce, mając przynajmniej w miarę porządne buty na nogach. John Blade, który przez całe życie nie poznał niczego poza oceanem, wyjechał razem z nimi. Dwa tuziny innych wyniosły się do Halifaxu i Quebecu, do Bostonu i Nowego Jorku, do gospodarstw położonych dalej na zachód. Narastającej fali poruszenia towarzyszyła atmosfera kłęski żywiołowej, wrażenie, że niedługo przytłoczy ich coś

gwałtownego i fatalnego w skutkach. Tryphie rozglądał się za pracą w fabrykach mebli w Connecticut i Marylandzie. Nawet dzieci Leviego Sellersa zaczęły wyjeżdżać jedno po drugim, aby dołączyć do krewnych prosperujących świetnie w mlekiem i miodem płynących stanach Ameryki. Ludzie mówili, biorąc pod uwagę obrót spraw, że Levi i tak nie będzie potrzebował spadkobiercy na wybrzeżu.

Eli i Hannah również rozważali wyjazd do Stanów w ślad za Blade'ami, jednak w okresie bożonarodzeniowym Abel znowu się rozchorował, a Newman zdiagnozował u niego gruźlicę. Doktor zawyrokował, że szanse chłopaka na powrót do zdrowia są nikłe, jedynie rok przymusowego odpoczynku mógłby dać jakąś nadzieję na poprawę. Wszystkie przedmioty ze starej kwatery służby na tyłach Domu Seliny zostały przeniesione do szopy na podwórzu. Do pustego pokoju wstawiono nieduży piecyk mający zapewnić chłopcu ciepło, łóżko i cały księgozbiór Patricka Devine'a. I tak Abel rozpoczął egzystencję na wygnaniu, do którego przygotowywało go całe dotychczasowe życie. Doktor odwiedzał go co jakiś czas, aby ściągać mu płyn z płuc, odwiedzała go również Bride, która przynosiła posiłki i zabierała zapaskudzony pojemnik na plwociny, nie miał jednak żadnych prawdziwych towarzyszy niedoli poza matką i książkami, które jego dziadek wydarł Atlantykwowi. Pod tylnymi drzwiami wybudowano werandę ciągnącą się aż do południowo – wschodniego narożnika domu. Jeśli pozwalała na to pogoda, Hannah sadzała go tam na łóżku polowym, aby zaczerpnął świeżego powietrza. Kiedy matka czytała mu książki, Abel zasypiał i budził się na przemian. Do kolejnych opowieści wchodził przez boczne drzwi czy przez okna, tylko po to, aby niebawem opuścić je w ten sam ukradkowy sposób, nie był więc w stanie odróżnić jednej książki od drugiej. Komplikacje, rozczarowania i skromne epifanie wpisane w te całkowicie odmienne żywota zdawały się zlewać w jedną, wszechogarniającą historię, która pochłonęła w całości również i jego.

Na wiosnę Eli wrócił do połowu ryb. Przez sześć dni w tygodniu schodził na wodę przed świtem, a ostatnie dorsze patroszył już w bladym blasku lampy opalanej foczym tłuszczem. Potem ostrożnie ruszał po ciemku w stronę domu, zasypiając na stojąco. A do tego nie miał pojęcia, czy na jesieni dostanie za swoje ryby choć złamany grosz. Kiedy wracał, Hannah leżała już w łóżku i udawała, że śpi; talerz z jedzeniem czekał w piecu. Nigdy o tym otwarciu nie rozmawiali, ale i tak Eli dobrze wiedział, że żona wini go za to, że wyciągał chłopaka na dwór przy każdej pogodzie. Co więcej, podejrzewał, że Hannah może mieć rację. W niedzielę pomagał jej usadzić Abła na werandzie i zostawiał ich z książkami, sam natomiast większą część każdej wizyty w Domu Seliny spędzał kręcąc się po warsztacie Tryphiego.

Centralne miejsce w pomieszczeniu wciąż zajmował Głowacz. Tryphie co prawda twierdził, że wehikuł jest już gotowy do próbnego rejsu, jednak garb uniemożliwiał samemu wynalazcy wciśnięcie się do kokpitu, a nikt inny nie miał zamiaru podjąć takiego ryzyka. Eli opierał się o Głowacza, prowadząc z Tryphiem jałowe rozmowy o jego najnowszych przedsięwzięciach lub stanie zdrowia Abła. – Twardy gałgan, stwierdził Eli.

Tryphie, który darzył nieszczęsnego chłopca szczególnym współczuciem, poczuł się urażony wygłoszoną przez Eliego gładką formułką. – Zdajesz sobie sprawę z tego, że gówno o życiu wiesz? spytał.

– To pytanie brzmi dość dziwnie w ustach wynalazcy Głowacza.

Tryphie sięgnął po śrubokręt.

– Właśnie wychodziłem, oznajmił Eli, wycofując się z podniesionymi rękami.

Tryphie odwrócił się w stronę blatu, żeby odłożyć śrubokręt. – Od jakiegoś czasu chciałem ci powiedzieć, rzucił przez ramię. – Dostałem ofertę pracy w Hartford. Wyjeżdżamy z Minnie we wrześniu.

Eli, który stał już przy wyjściu, oparł się o drzwi. – Kiedy się o tym dowiedziałeś? spytał w końcu.

– Parę tygodni temu. Od jakiegoś czasu chciałem ci powiedzieć.

Eli wlepił wzrok w swoje buty i przez chwilę tylko kiwał głową, rozmyślając nad nowiną, którą właśnie usłyszał. – Na pewno świetnie sobie poradzisz, stwierdził.

Eli przeleżał bezsennie większą część nocy; obudził się wcześniej na dźwięk wiatru bijącego w ściany domu niczym młot. Serce waliło mu w piersi w ten sam wściekły sposób. Kiedy podniósł się z łóżka, Hannah krzyknęła za nim, Nie zjeździesz na wodę przy takiej pogodzie.

– Tylko rozpalę ogień.

Przez jakiś czas krzątał się po kuchni, jednak nie był w stanie wysiedzieć w domu. W końcu pchnął drzwi i wyszedł na zawieruchę. Gdy szedł do Paradise Deep, wciąż było ciemno, wiatr dął tak gwałtownie, że na Tolcie musiał iść na czworakach, żeby nie spaść z klifu. Kiedy dotarł za Dom Seliny i wszedł do warsztatu Tryphiego, nad horyzontem wisiał już szary krążek słońca. Pracownia była pusta, jeśli nie liczyć zwalistej sylwetki Głowacza. Eli stał przed machiną, patrząc, jak budzący się dzień powoli wydobywa z cienia jej szczegóły. Podciągnął się do góry i, otworzywszy właz, zajrzał do środka. Otwór był nie większy niż dziura w wychodku; Eli zdjął spodnie i koszulę, by wślizgnąć się w głąb maszyny. Usadowił się niemal nagi pośród pedałów, dźwigni i bloczków.

Przez bulaj na sterburcie zobaczył, że Tryphie właśnie wszedł do warsztatu, wystawił więc głowę przez właz.

– Jezu, Eli, powiedział Tryphie. – Nie baw się tym.

– Nie możesz wyjechać, dopóki nie uruchomisz tego czegoś, oznajmił Eli, wślizgując się z powrotem na stanowisko.

– Jak się tam czujesz?

– Ciasno tu jak w trumnie, krzyknął Eli.

W następną niedzielę Głowacz został przewieziony na brzeg. Nad wodą zebrał się spory tłum, który przyglądał się przedziwnemu urządzeniu wypchanemu na środek przystani na tratwie z beczek. Gdy Eli rozebrał się do gaci i włożył do środka, Tryphie nachylił się nad włazem, by po raz ostatni omówić z nim wszystkie szczegóły operacji. – Musisz trzymać ją równo, kiedy będziesz spuszczał powietrze ze zbiorników, zaczął. Eli przyglądał się kuzynowi wyrzucającemu z siebie jedno ezoteryczne zalecenie za drugim, kąty odchylenia, myszkowanie i kiwanie, stery rufowe, stery głębokości. – Zamknij się, Biedrona, powiedział.

Tryphie sięgnął do środka i uściśnął mu dłoń. Eli przytrzymał przez chwilę jego rękę.

– Na pewno świetnie sobie poradzisz, powiedział Tryphie. – Bez obaw.

– Obyś zdechł, odparł Eli.

Tryphie zamknął szczelnie właz, po czym wsiadł do łódki i zabrał się za wybijanie dziur w beczkach, aby zatopić tratwę. Żelazna ryba zaczęła wypływać dalej na zatokę, otoczona kipiłą wzburzoną strumieniami uciekającego powietrza. Machina zanurzała się dość dostojnie do momentu, gdy pół kadłuba znalazło się pod wodą. Wtedy zaczęła się przechylać na rufę, a Eliemu najwyraźniej na nic się zdały okrzyki Tryphiego próbującego udzielać mu wskazówek dotyczących korekty położenia sterów. Po chwili nad powierzchnią ukazał się kil, a odwrócona do góry dnem jednostka pogrzyżyła się powoli w ciemnych odmętach zatoki.

Nie opracowano zawczasu żadnego planu działania na wypadek, który po fakcie wydawał się całkiem łatwy do przewidzenia. Mężczyźni stłoczyli się przy łodziach, próbując zepchnąć je na wodę; niebawem pół tuzina łódek krążyło już w miejscu, w którym zatoneła żelazna ryba.

Do dna było tam z siedem sążni, zanurzali więc bosaki wszędzie,

gdzie dostrzegli wypływające na powierzchnię bąbelki powietrza, próbując zahaczyć o jakąś część kadłuba. W końcu dwie liny zostały pociągnięte łódkami do brzegu, a pięćdziesięciu mężczyzn wyciągnęło masywną maszynę na płyciznę, gdzie Głowacz położył się na burcie. Gdy Tryphie otworzył właz, ze środka wylały się strumienie morskiej wody. Eli, którego udało im się wypatrzyć we wnętrzościach żelaznej ryby dzięki bieli jego włosów, był nieprzytomny, miał płuca pełne wody. Zanim można go było przenieść do szpitala, doktor musiał pracować nad nim na plaży przez piętnaście minut.

Dopiero następnego ranka Eli odzyskał przytomność i powoli powiódł błędnym wzrokiem wokół, po stojących przy łóżku Hannah, Bride i Tryphiem. Bride zawołała doktora, a Eli pokręcił głową spoczywającą na poduszce. – To wszystko był błąd, powiedział.

– Nie marnuj energii, odparła Bride.

Nazajutrz wrócił do domu, a już dwa dni później zszedł na wodę z załogą Strappa. Nie przyjmował jednak żadnych gości i nie ruszał się z domu, chyba że do pracy. Mówił tylko półsłówkami, posiłki jadł z apatią graniczącą ze wstrętem. Nikt nie wspominał o wypadku wprost, jednak Hannah widziała, że Eli jest na swój sposób skrzywiony, jakby jego umysł wywrócił się do góry dnem razem z Głowaczem. Przez wiele tygodni starała się traktować marazm męża jak swego rodzaju kaca, tak jakby cień zasnuwający jego serce był zaledwie cielesną raną mającą zagoić się z czasem. Kiedy nie była już w stanie dłużej tego znieść, pomówiła z wielebnym Violetem, sądząc, iż dawka jego kaznodziejskiej mocy i determinacji może okazać się odtrutką, której Eliemu potrzeba.

W niedzielne popołudnie pastor złożył im wizytę. – Tak sobie pomyślałem, że może na chwilę do was zajdę, oznajmił. – Nie przeszkadzam? Przysiadł na skraju krzesła, podciągając spodnie na kolanach. Violet był już po sześćdziesiątce, wciąż jednak był równie

nieustępliwy, co młody misjonarz, który przybył na wybrzeże przed czterdziestu laty. Podczas gdy sam oddawał się nawracaniu wybrzeża, jego żona zdążyła odchowić siedmioro dzieci. Zainstalował swoich synów na ambonach nowych kościołów w Spread Eagle i Smooth Cove. Dzięki jego nieustrudzonej pracy metodystyczne sztandary powiewały już nad połową wybrzeża. Pastor nie marnował czasu na owijanie w bawełnę.

– Twoja żona się martwi, że coś ci się stało.

– Wszystko ze mną w porządku, stwierdził Eli.

– Nieźle się wtedy najadłeś strachu.

– Nigdy nie czułem się lepiej.

Odstawiali ten przedziwny taniec przez pół godziny, to w tę, to we w tę, a żaden z nich nie miał zamiaru pozwolić drugiemu poprowadzić. W końcu Violet wstał i podszedł do drzwi. – Pan pozwala nam upaść, by pomóc nam powstać na nowo, oznajmił. – Eli, oto chwila, by poszukać swego prawdziwego życia: gdy jesteś całkiem nagi. Pastor wskazał kapeluszem cały pokój. – Musicie się znowu narodzić.

Eli odprowadził Violeta wzrokiem przez ogród, aż za pusty dom Mary Trypheny. W końcu wstał z krzesła i przysunął je ostrożnie do stołu. Poszedł na górę, położył się w łóżku syna i nie ruszył się już stamtąd aż do rana, kiedy musiał znowu zejść na wodę.



W połowie sierpnia po wybrzeżu zaczęły krążyć pogłoski o jakimś przybyszu. Eli dowiedział się o nim od pozostałych członków załogi, gdy wiosłowali w kierunku swojej pułapki na dorsze. Jegomość nazwiskiem Crocker czy Croker zapraszał rybaków na spotkanie w starym episkopalnym kościele. Niektórzy mówili, że pochodził z Notre

Dame Bay, inni znowu twierdzili, że urodził się i dorastał w St. John's, ponoć był synem cieśli. Był kupcem, ale splajtował podczas kryzysu bankowego, a odtąd większość czasu poświęcał prowadzeniu farmy na jakiejś wyspie w okolicach Herring Neck. – *Farmy*, na rany Chrystusa, powiedział Val Woundy. Facet musiał być obłąkany, jeśli przez tyle lat zajmował się takim przedsięwzięciem. Ponoć bił żonę na tyle często, że w końcu wyprowadziła się do St. John's, zabierając ze sobą ich jedyne dziecko. Przyjechał, żeby opowiedzieć im o związku zawodowym – o związku i o swoich planach na reformę krajowego rybołówstwa. Wszystkie źródła twierdziły zgodnie, iż cały ten pan Crocker czy Cooker, czy Creaker – salonowy mieszczuch, splukany kupiec, pomyłony farmer – nie złowił w życiu ani jednej ryby. Schodził buty, skrzy kując mężczyzn w magazynach, kościołach i kuchniach rozsianych po całej północno-wschodniej części wyspy. – Syn cieśli, skwitował Val Woundy. – A uważa się za jakiegoś mesjasza rybaków.

Wieczór zapowiadał się wesoło, załoga przyszła więc po Eliego i wyciągnęła go z domu, sądząc, że odrobina rozrywki dobrze mu zrobi. Większość mężczyzn wyjechała na łowiska Labradoru, przez co frekwencja okazała się dość skromna, dwudziestu czy trzydziestu rybaków rozrzuconych po ławkach w szarości późnego wieczoru. Ciszą panującą w zawilgoconym kościele wystarczyła akurat do tego, aby stłumić ukryty nurt szyderstwa, które przywlekli ze sobą. W minutę po umówionej godzinie Thomas Trass podsunął zebrany myśl, że to wszystko jakiś żart i w ogóle nie ma żadnego pana Crackera.

W tym momencie drzwi prowadzące do kruchty otworzyły się, a on, nie spojrzawszy nawet na lewo czy na prawo, przeszedł główną nawą, podpierając się drewnianą laską. Pod kazalnicą przystanął i odwrócił się do nich. – Dziękuję wszystkim za przybycie, powiedział. Był przysadzisty, ale nosił się ze swoją masą jak człowiek pracy. Twarz

płynnie przechodząca w ciało, nieduży, starannie przystrzyżony wąsik, wysokie czoło, przez które wyglądał na starszego niż w rzeczywistości. – Nazywam się, oznajmił, William Coaker^[11].

Miał rytm mówienia i sposób bycia kaznodziei, tę samą bezceremonialną pewność siebie. Zaczął od podsumowania smutnych realiów życia rybaka, od żalosnych warunków, w jakich żyli i pracowali, od pasożytów z St. John's wysysających z nich ostatnie krople krwi. W jego słowach pobrzmiwał pochlebny ton, który skutecznie rozbudził w mężczyznach niepokój; wyliczane przez niego smutki były tak znajome, że mogliby wyrecytować je wszystkie przez sen. Na końcu listy Coaker pozwolił sobie na krótką pauzę, podsycał ich ciekawość milczeniem, a wszyscy nachylili się lekko do przodu w ławkach. – A wy, powiedział w końcu, wskazując ich swoimi grubymi jak kielbasy palcami. Sługusy, powiedział. Wiedli ten sam nędzny żywot, co wcześniej ich ojcowie i ojcowie ich ojców. Naród bogacił się potem ich czoł, a oni zadowalali się zebraniem pod drzwiami Leviego Sellersa. Byli zacofanymi analfabetami, którym nie przeszkadzało wcale to, że nie dadzą swoim dzieciom nadziei na lepsze życie.

Po sali poniosła się lekka fala oburzenia, jednak w przemowie kryło się dość prawdy, by zamknąć im usta. O niczym nie mieli pojęcia, oznajmił Coaker. Nie wiedzieli ani gdzie sprzedawano ich ryby, ani po jakiej cenie je sprzedawano, ani jakie potracono prowizje. Nie wiedzieliby nawet, jak o to zapytać. Już od dekady żyli w dwudziestym wieku, jednak wciąż poławiali i sprzedawali ryby tak samo, jak w czasach, gdy Europą władał Napoleon. – I jakie jest wasze wytłumaczenie dla tak żalosego stanu rzeczy? spytał Coaker. – Otóż takie, że nie sposób nic zmienić, ponieważ zawsze było właśnie tak. Ta myśl najwyraźniej napełniła go odrazą, bo

[11] Sir William Ford Coaker – (1871-1938) polityk nowofundlandzki, założyciel związku zawodowego rybaków Fisherman's Protective Union.

przez chwilę wyglądał tak, jakby miał zaraz splunąć. Oznajmił, iż jest to jedyna postać lenistwa, jaką kiedykolwiek zauważył u mieszkańca Nowej Fundlandii.

Podczas gdy mężczyzna wygłaszał swoją przemowę, coś kazało Eliemu wyprostować się w ławce. Każde kolejne oskarżenie rozbrzmiewało w jego głowie niczym kościelny dzwon. – Kto z was dostaje za pracę tyle, ile mu się należy? pytał Coaker. – Czy otrzymujecie godziwą zapłatę za to, że harujecie jak woły, jecie jak kurczęta i jesteście traktowani jak niewolnicy?

– Nie, wykrzyknął Eli.

– Nie, potwierdził Coaker. – Nie otrzymujecie. Czy otrzymujecie godziwą zapłatę za to, że z waszych podatków buduje się pięć okazałych college'ów w St. John's, podczas gdy w waszych tak zwanych szkołach brakuje nauczycieli, książek i sprzętu?

– Nie, Eli odpowiedział wraz z paroma innymi. Coaker rzucał pytania, dopóki połowa mężczyzn siedzących w ławkach nie zaczęła odkrzykiwać tej samej odpowiedzi. Wtedy przerwał i zaczął się przechadzać, pozwalając im się przez chwilę pogotować. – Zapisalem już tysiąc mężczyzn z okolic Notre Dame Bay, a codziennie dołączają do nas kolejni, oznajmił. – Ludzie, których nikt nigdy nie nauczył dodawać, pisać, ani żądać więcej, niż się im dawało. Teraz jednak porzucili świat ignorancji i biedy, w którym się urodzili. *Suum Cuique*, powiedział. – Każdemu to, co mu się należy. Oto motto naszego związku, Fisherman's Protective Union, który zrzesza już tysiąc członków i rośnie z każdym dniem.

A teraz zwracam się do was z pytaniem. Kto spośród obecnych na sali znajdzie w sobie dość siły, by do nas dołączyć?

– Ja, powiedział Eli, stając w ławce i podnosząc rękę. Już do tego dojrzał, to właśnie było nowe życie przepowiedziane przez Violeta, był gotów, by się znowu narodzić.

Coaker poprosił, aby ci, którzy zamierzają zapisać się do związku, zgłosili się po spotkaniu. Gdy kościół się opróżnił, w ławkach zostało paru mężczyzn: Val Woundy, Azariasz Trim i jego bratanek Joshua, Niewierny Thomas Trass. Coaker zamierzał przenocować w Paradise Deep, ustalili więc, że spotkają się również następnego wieczora. – Mamy wiele do zrobienia, oznajmił.

– Ma pan gdzie spać? spytał Eli.

– Zamierzałem właśnie spytać, czy mógłbym skorzystać z czyjejś gościnności.

– U nas znajdzie się miejsce, o ile nie ma pan nic przeciwko spacerowi.

A Coaker na to, Spacer to dokładnie to, czego mi teraz trzeba.

Ruszyli we trzech w stronę Trzewia: Eli, Val Woundy i związkowiec. Droga przez Tolt ze starego kościoła trwała prawie godzinę, a Coaker przez cały czas rozprawiał o cenach ryb i zamorskich rynkach, o konkurencji i kontroli jakości, o zarządzanych wspólnie sklepach i gotówce na rękę zamiast opłat w naturze. Ich drogę oświetlał wschodzący księżyc. Normy, Coaker powtarzał do znudzenia, normy i modernizacja. Rybołówstwo stanowiło beładną płataninę średniowiecznych technologii i mechanizmów ekonomicznych, którą należało wreszcie wprowadzić we współczesne realia. Niezbędne były normy dotyczące cen, normy dotyczące oceny ryb i podziału na klasy, ustalenia prawne dotyczące minimalnego wynagrodzenia, obowiązków szkolny dla wszystkich zrzeszonych, normy dotyczące jakości wysuszonego produktu.

– Panie Coaker, wtrącił Val, na pieprzoną pogodę normy pan nie napisze.

– Może nie na pogodę. Jednak dlaczego mielibyśmy suszyć ryby tylko na słońcu?

Val spiorunował go wzrokiem tak, jakby obłąd Coaker a miał zaraz zostać ostatecznie potwierdzony.

– Chodzi panu o suszarki, powiedział Eli.

– Chodzi mi o to, że powinniśmy weryfikować każdy aspekt naszej działalności. Tam, gdzie pojawiają się problemy, tam poszukamy rozwiązań.

– Suszarki na gorące powietrze, ciągnął Eli. – Ustawi się je w magazynie. Wtedy niech sobie leje choćby przez cały sierpień, co za różnica.

Coaker wzniósł dłoń. – Snujmy plany na miarę naszych możliwości.

– Słyszałem, że jest pan farmerem, zaczął Val.

– Val, daj mu spokój, ostrzegł Eli, jednak Coaker tylko się uśmiechnął. Oznajmił, że urodził się w St. John's, na południowym brzegu. Jako chłopiec pracował przy obróbce ryb w Town; kiedy dowiedział się, że konkurencja płaci więcej za tę samą pracę, zorganizował dwudniowy strajk w ramach walki o równe wynagrodzenie. Chodził na wagary, żeby przysłuchiwać się przemowom politycznym w Legislaturze.

– Przedstawicielem waszego okręgu był Shambler.

– Owszem, był, niech spoczywa w pokoju.

– Sporo odpoczynku zaznał już na zebraniach, powiedział Coaker.

Kiedy miał szesnaście lat, najął się do prowadzenia magazynu kupieckiego w Pike's Arm, a w wieku dwudziestu lat wykupił cały interes. Gdy kryzys bankowy pogrążył firmę, Coaker kupił wyspę i założył na niej farmę. Nazywał ją Coakerville. Nauczył się zawodu telegrafisty i w zimie dorabiał w ten sposób, ratując gospodarstwo przed bankructwem. Spędził wiele lat w odosobnieniu, miał więc czas na lekturę i rozmyślania, na rozkładanie na czynniki pierwsze silnika napędzającego w tym kraju świder znoju i niedoli, na snucie planów i lekturę.

– Nie wydaje się pan dość stary, żeby mieć już za sobą taki kawał życia, stwierdził Val Woundy.

– Całe życie jeszcze przede mną, oznajmił Coaker. – Oto życie, do którego zostałem powołany.

U stóp Toltu Val skręcił w stronę swojego domu, a pozostali dwaj poszli koło domu Mary Trypheny. Za ogródkiem, w oknie Eliego paliło się światło. Kiedy podeszli bliżej, dojrżeli przez okno Hannah siedzącą przy kuchennym stole z szydełkiem i górną włóczki na kolanach. – Pańska żona, Coaker skinął głową w kierunku domu.

– Moja żona.

– Co jeszcze, panie Eli Devine? Nie pisał pan dotąd ani słówka na swój temat. W pana żyłach musi płynąć skandynawska krew, skoro ma pan aż tak białą czuprynę.

Eli pokręcił przecząco głową.

– No cóż, po akcencie powiedziałbym natomiast: Irlandczyk.

– Z nas to są takie ni psy, ni wydry, stwierdził Eli, wpatrując się w przeciwległy brzeg zatoki. – Możemy się jeszcze kawałek przejść, powiedział. – Chyba że chce pan już się położyć spać.

Poszli aż do Drzewa Kerrivanów i stanęli pod srebrzącymi się gałęziami. Eli kreślił przed nim labirynt złożony z poparzeń Tryphiego i własnej młodzieńczej obsesji na punkcie Ameryki, z rodzinnego ogródka matki, syreny Jamesa Woundy’ego i zrosniętych błoną palców Hannah, z Judy i wieloryba, z Leviego Sellersa, biblioteki Patricka Devine’a i pogruchotanych kończyn Abdiasza Trima leżącego u stóp katedry. – Abel został ochrzczony właśnie w tym drzewie, powiedział Eli. Nigdy nie próbował jeszcze odtworzyć własnej historii w jakimś konkretnym porządku na potrzeby kogoś obcego. Teraz nie był w stanie nakreślić ani jednej prostej linii. To tylko potwierdziło jego podejrzenie, że zrobił ze swojego życia absolutny burdel. Oparł się o gałąź, by zbliżyć się choć odrobinę do Coakera, do myśli, że może całe życie jeszcze przed nim. – Nigdy nie pragnąłem niczego poza tym, żeby się stąd wynieść w cholerę.

– Sam też rozważałem wyjazd, przyznał Coaker. – Przed laty.

– Co pana powstrzymało?

– Doszedłem do wniosku, że mogę zmienić albo siebie, albo kraj, który mnie ukształtował.

Coaker ujął pokrytą bliznami rękę Eliego i przez chwilę wodził kciukiem po jego poparzeniu z dzieciństwa. Była w tym geście wypracowana swoboda lekarza, jakby po prostu oceniał, jak zagoiła się rana. – Każdemu to, co mu się należy, powiedział. – Eli, czy za tyle by pan został? Gdyby wszystko, czego pan pragnie, było dostępne tutaj?

Eli cofnął dłoń i wcisnął ją sobie pod pachę. – Czy naprawdę zapisał pan już do tego związku tysiąc mężczyzn? spytał.

– Panie Devine, chyba nie naszły pana wątpliwości?

– Chodzi mi tylko o to, że Levi Sellers to twardy człowiek. Nie będzie na to beczynnienie patrzył.

– A więc boi się pan Leviego, tak?

– Przed laty spalił oborę Matthew Strappa, żeby ten nie wchodził w drogę Shamblerowi.

Coaker pokiwał głową. – Nie wydaje mi się, żeby akurat to wzbudzało w panu lęk.

Eli uśmiechnął się, by ukryć zmieszanie. – Co w takim razie wzbudza we mnie lęk?

– Sądzi pan, że jest przeznaczony do czegoś zupełnie innego, niż dostał od życia.

– Być może.

– Boi się pan jednak, że zbłądzi się, jeśli po to sięgnie, stwierdził Coaker. – Oto myśl, która wzbudza w panu lęk.

Eli wyprostował się i popatrzył na czarne wody zatoki. Czuł, że krew napływa mu do twarzy, cieszył się, że jest ciemno. Idź pan do diabła, panie Coaker, pomyślał, jednak nie był w stanie wypowiedzieć tego na głos.

– Może powinniśmy już wracać, zaproponował związkowiec. – Pana

żona zapewne zastanawia się, gdzie pan przepadł.

Kiedy weszli do domu, Hannah przysypiała już na krześle. – Przyjmiemy na noc zbłąkanego wędrowca, powiedział Eli, chociaż wydawał się całkiem struty obecnością mężczyzny. Hannah zakwaterowała Coakera w pokoju Abla, po czym sama położyła się spać. Eli, który od wizyty wielbnego Violeta nie sypiał z nią w jednym łóżku, położył się na kanapie przy piecyku. Parę godzin przed świtem wstał, żeby zrobić sobie śniadanie na zimno, a kiedy miał już zgasić lampę i wyjść, usłyszał kroki na schodach. – Wcześniej pan wstał, panie Coaker.

– Nie przepadam za spaniem, Eli.

– W spiżarni znajdzie pan chleb i parę kapelanów, proszę się poczęstować.

Coaker stał w kurtce zarzuconej na ramiona, szelki zwisały mu u boków. – Chciałem tylko przeprosić, powiedział. – Jeśli wczoraj za bardzo sobie pozwoliłem.

– Nie pomylił się pan co do mnie, stwierdził Eli. – Co do ani jednej rzeczy.

Przyglądali się sobie nawzajem, a w końcu Coaker pokiwał głową, jakby chciał dodać mu odwagi. – A więc do zobaczenia na wieczornym spotkaniu.

– Będę tam, na Boga.

Dopiero w tydzień po wyjeździe Coakera Eli zdobył się na złożenie wizyty Tryphiemu. Od wypadku nie odwiedził jego pracowni ani razu; porzucone zwłoki Głowacza leżały teraz przed wejściem. Tryphie, zgarbiony nad jakimś wykresem z linijką i ołówkiem, nawet nie podniósł wzroku, by powitać gościa. Ściany nad blatami były oczyszczone z narzędzi. Eli nachylił się, by przez chwilę popatrzeć na pracę kuzyna, próbując wziąć go na cierpliwość. W końcu odwrócił się i oparł o blat. – Gdybyś miał zbudować magazyn do suszenia solonych ryb, zaczął.

Tryphie spojrział na niego, mruczając oczy. – Co zbudować?

– Magazyn do suszenia ryb.

– To znaczy, z suszarkami na gorące powietrze.

– Być może.

– Trzeba by było wymusić dopływ powietrza.

– To znaczy wiatrakami, czy czym?

– Można by ustawić elektryczne wirniki, ale do ich zasilania potrzebna by była osobna elektrownia.

– Zaraz, cholera, po kolei.

Tryphie odwrócił arkusz i zaczął szkicować prosty schemat. Pochłonął go zaraz kaliber przedsięwzięcia, problemy techniczne, które zaczęły pojawiać się jeden za drugim. Pracował zawzięcie, wyrzucając z siebie strumień liczb; obaj mężczyźni kiwali się w tę i w tę nad specyfikacjami i alternatywnymi wersjami projektu, a wymiana ta była tak płynna i przedziwna zarazem, że miała w sobie coś niemal seksualnego. Po piętnastu minutach Tryphie urwał w pół zdania. – Kto buduje magazyn do suszenia ryb? spytał.

– Doszły do ciebie słuchy o Williamie Coakerze, kiedy tu był?

– Ten farmer? spytał Tryphie. – *Jesus loves the little children.*

– Słuchaj, Tryph, on zapisał już tysiąc mężczyzn z całego Notre Dame Bay. Mówi, że do wiosny zapisze kolejne dwa, trzy tysiące. Zimą jadę do Herring Neck. Zobaczę, jak pracują miejscowi związkowcy, jak zakłada się i prowadzi wspólne sklepy.

– Levi o tym wie?

– Powinieneś pojechać ze mną, stwierdził Eli.

Tryphie tylko się roześmiał i przeszedł na drugą stronę warsztatu.

– Tryphie, to odmieni wszystko, jak kraj długi i szeroki.

– Dużo się spodziewasz po tej suszarce do ryb.

Eli podniósł projekt i złożył arkusz. – Możemy wziąć w tym udział,

powiedział. – Ty i ja.

– Minnie jest już nastawiona na Stany.

Eli przez chwilę kiwał głową w milczeniu. Zadał bez przekonania kilka pytań o to, jak zamierzają podróżować i gdzie zamieszkają w Hartford, a Tryphie odpowiadał, stojąc plecami do niego i grzebiąc w kufrze pełnym narzędzi. – Pójdę już, oznajmił w końcu Eli. Nie ruszył się jednak z miejsca. Powiedział, Tryph, to ja obróciłem Głowacza. Zatopiłem go celowo. Westchnął ciężko. – Pomyślałem, że powinieneś to usłyszeć ode mnie. Na wypadek, gdybyś miał co do tego jakiegokolwiek wątpliwości.

– Ale czujesz się już dobrze, prawda?

– Nigdy nie czułem się lepiej.

W miesiąc po tym, jak Tryph i Minnie popłynęli do Stanów, Eli wyruszył w drogę do zimowej kwatery Coakera w Herring Neck. Hannah przeprowadziła się na drugą stronę Toltu, aby zamieszkać w Domu Seliny na czas, w którym Eli będzie załatwiał swoje, Bóg jeden raczy wiedzieć jakie, sprawy nad Notre Dame Bay. Bride przygotowała dla niej miejsce na piętrze, w tym samym pokoju, do którego wiele pokoleń temu wpadł pan Gallery. Jej posłanie było oddzielone od szpitalnych łóżek kotarą z podwieszonego u sufitu prześcieradła. Hannah wypełniła swoje dni obowiązkami porzuconymi przez Minnie: gotowaniem, praniem, myciem podłóg. Każdego wieczora czytała przez chwilę Ablowi i wypijała filiżankę herbaty z Bride w czasie, gdy Newman przeprowadzał ostatni obchód. Dyskutowały o pacjentach z całego dnia, pogodzie oraz najdrobniejszych szczegółach choroby Abła. Często rozmawiały o związku, podobnie jak wszyscy mieszkańcy wybrzeża. W końcu października Coaker znowu pojawił się w okolicy, wygłosił przemówienie do trzystu mężczyzn zebranych w starym tartaku Trimów, robił z Elim dwudniowe wypadki do Red Head Cove, Spread Eagle i Smooth Cove, gdzie kolejne tuziny mężczyzn składały związkową przysięgę. Eli forsował swoje marzenie;

każdej nocy siedział z Coakerem do późna, opracowując strategię działania, dni upływały mu na potajemnych dyskusjach z rybakami. Hannah czuła ulgę, widząc, że mąż znowu interesuje się światem, nawet jeśli nie wykazywał szczególnego zainteresowania nią czy Ablem. Z początku sądziła, że siłą rzeczy niebawem wróci i do nich, jednak narastająca wokół Eliego aura wyobcowania zaczęła rozbudzać w niej wątpliwości. – Jak sądzisz, Bride, co z tego wszystkiego wyniknie?

Bride zamieszała cukier w herbacie i odłożyła łyżeczkę na spodek. Słyszała już ludzi mówiących o Coakerze jak o leku na wszystkie bolączki świata. Wizjoner, mówili. Wzdrygała się, słysząc, że traktują człowieka z krwi i kości z takim religijnym nabożeństwem. Z usposobienia Coaker wydawał się urodzonym pragmatykiem, Bride wątpiła więc w jego wzniosłe ideały. Spodziewała się, że gdzieś po drodze skończą marnie, porzucone na mieliźnie zgniłego kompromisu.

W sąsiednim pokoju rozległ się kaszel Abła. Kobiety odwróciły się w stronę, z której dobiegał dźwięk i zaczęły, aż atak ustanie.

– Sama nie wiem, stwierdziła Bride, gdy chłopak uciął. – Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że coś musi być nie tak z człowiekiem, który potrafi nazwać miejsce na własną cześć. Coakerville, powiedziała. Obie wybuchnęły śmiechem na dźwięk tak bzdurnej nazwy.



Coaker życzył sobie, aby wszyscy członkowie F.P.U. nauczyli się czytać i pisać, a organizację lekcji na wybrzeżu powierzył Azariaszowi Trimowi. Zajęcia związkowej szkoły wieczorowej rozpoczęły się w końcu listopada; co tydzień czterdziestu pięciu mężczyzn zasiadało w oświetlonej lampami sali, aby uczyć się liter. Azariasz zatrudnił do nauki Bride, która

pielęgnowała swoich uczniów z tą samą mieszanką śmiałości i wdzięku, która czyniła ją tak nieocenioną w szpitalu. W marcu, gdy mężczyźni wyruszyli na polowanie na foki, większość spośród jej czterdziestu pięciu podopiecznych potrafiła już złożyć swój podpis, odczytać co łatwiejsze wersety z Biblii i liczyć piątkami czy dziesiątkami.

Regularne spotkania związku, poprzedzające zajęcia szkoły wieczorowej, bez przewodnictwa Coakera zdegenerowały się do postaci niekontrolowanych sprzeczek. Po pierwszych tygodniach uderzającego do głowy animuszu, do głosu zaczął dochodzić kociokwik zwątpienia. Co do tego, że w ogóle istnieje taka organizacja jak Fisherman's Protective Union, musieli wierzyć Coakerowi na słowo. Nikt nie wiedział, jakim sposobem F.P.U. zamierza wyposażyć członków związku na sezon lub sprzedać ich ryby w końcu roku. Niewierny Thomas Trass stanął na czele grupy domagającej się zapewnień i rękojmi, których zresztą nikt nie mógł im dać. – Nic nie zdziałamy, jeśli się nie zjednoczymy, powiedział Azariasz do zebranych.

– Jeśli Levi Sellers zwęszy, co tu się dzieje, zjednoczymy się wszyscy, i to z naszymi zmarłymi, stwierdził Trass. – O to się nie bójcie.

W miarę zbliżania się sezonu liczba osób przychodzących na zebrania malała. Pomimo wszystkich wygłaszanych otwarcie zastrzeżeń, Thomas Trass nie zrezygnował, choć wyglądało na to, że powstrzymuje go przed tym tylko szkoła. Był jednym z najmniej pojętych uczniów Bride, a na lekcjach pracował z tępą sumiennością. W każdej wolnej chwili wodził bezmyślnie palcem po blacie stołu lub swoim udzie, wypisując imię, Thomas Trass, Thomas Trass, Thomas Trass, jakby musiał ciągle przypominać sobie, kim jest. Trass był już po sześćdziesiątce, całe życie przeżył jako kawaler. W młodości był zaręczony z dziewczyną ze Smooth Cove. Na dzień przed ślubem przeszedł trzydzieści mil wzdłuż wybrzeża tylko po to, by zastać ją martwą. Gdy dotarł do jej domu, było już dobrze

po zmroku; rodzina narzeczonej czuwała nad jej ciałem wyłożonym na marach w kuchni, a on, nie zdjęwszy nawet kurtki, odwrócił się i pomaszzerował z powrotem do Paradise Deep. Ludzie mówili, że Trass miał w sobie coś, co po dziś dzień błąkało się ciemną nocą na szlaku, gdzieś pomiędzy Smooth Cove a domem.

Po każdej wieczornej lekcji Trass z Valem Woundym odprowadzali Bride pod drzwi Domu Seliny. Val wracał do swojego domu w Trzewiu, a Thomas zgodnie z instrukcją kładł się na godzinę na swojej kanapie. Kiedy wymykał się znowu na mroź, na całym wybrzeżu nie paliło się już ani jedno światło, nie rozlegał się żaden dźwięk poza skrzypieniem śniegu pod jego butami. Ruszał Zaułkiem Sellersów w stronę Domu Seliny i dalej, aż na posesję Lewiego, a tam okrążał dom i wchodził do obory. Levi siedział na stołku w głębi, otulony ciepłem zwierząt. – Już myślałem, że cię przekabacili, mówił Sellers za każdym razem, gdy dostrzegał sylwetkę Trassa sunącego po omacku między przegrodami, aby zdać mu sprawę z wydarzeń minionego wieczora. Trass uważał, że wszystko to kiedyś diabli wezmą, a gdyby stało się to wcześniej niż później, to byłoby mu żal tylko szkoły.

Levi wręczył mu dwa dolary, a po jego wyjściu posiedział w oborze jeszcze jakiś czas. Trzymał się z dala od łóżka, chcąc oszczędzić sobie godzin bezsennego leżenia. Próbował przypomnieć sobie swoją ostatnią spokojnie przespaną noc, a było to dawno, jeszcze przed śmiercią Mary Trypheny Devine. Levi zwykł wypatrywać przez okno swojego gabinetu starszki wędrującej do magazynu, w którym marniał Juda. Z czasem zaczął odczuwać niechętny podziw dla siły jej charakteru. Musiał sobie ciągle przypominać, kim była dla jego ojca, wszystko to jednak zdawało się już tak odległe, że niemal tego nie czuł. W końcu stała się tylko wyznacznikiem upływu kolejnych dni, niczym zegar wybijający godziny.

Dopiero gdy umarła, gdy wyszło na jaw, że Juda zniknęła, Levi poczuł

w trzewiach przyplływ dawnego jadu. Spalił doszczętnie wydrapane na ścianach magazynu dzieła tego białego skurwiela, jakby brak fizycznych dowodów istnienia więźnia mógł pomóc kupcowi w dojściu do przeświadczenia, że tak naprawdę Judy nigdy nie było. Po jego zniknięciu Levi poczuł się zdradzony. Jakby starucha przyprawiła mu rogi. Ta myśl odświeżyła jego podupadające animozje.

Gdy wysłał Trassa na pierwsze spotkanie zorganizowane przez Coakera w starym kościele, powodowała nim czysta ciekawość. Napisał do znajomych z Notre Dame Bay i St. John's, którzy donieśli, że Coaker jest samotnikiem i głupcem, najprawdopodobniej cierpiącym na urojenia, otumanionym przez lata prób wyczarowania farmy z kamieni i bagien, przez małżeństwo, do którego zupełnie się nie nadawał. Pomysł, żeby ten człowiek założył związek zawodowy, to chyba jakiś żart, pisali. Levi najął Trassa, aby ten uczęszczał na cotygodniowe potajemne spotkania. Stworzył listę wszystkich miejscowych, którzy zapisali się do związku. Gdy spotykał ich w kościele czy na ulicy, był wobec nich szczególnie serdeczny, wypytywał o ich zdrowie oraz o zdrowie ich rodzin, wyobrażając sobie, jak będą wyglądali, kiedy związek upadnie, a oni przyjdą błagać go o pożyczkę. Wiosna zapowiadała się całkiem wesoło.

Do łóżka położył się po północy, a wygrzebał się z niego na długo przed pierwszym brzaskiem. Kiedy Adelina i Flossie zeszły na śniadanie, siedział już przy stole. Kobiety były praktycznie nierozłączne jeszcze przed wyjazdem dzieci do Stanów, teraz jednak widywał je już tylko i wyłącznie razem; chadzały ogrodowymi ścieżkami ramię w ramię, wieczorami siadywały obok siebie i robiły na drutach, szydełkowały albo czytały. Próbował je wysłać do Ameryki razem z młodymi; wciąż nie potrafił pojąć, dlaczego odmówiły. – Złożyłam przysięgę, powiedziała Flossie, unikając jego spojrzenia. Jakby to było dożywocie.

Kobiety nigdy otwarcie mu się nie sprzeciwiały, pozwalały sobie

jednak na subtelne oznaki przekory, których nie sposób było przeoczyć. Po tym, jak przehandlował Dom Seliny, zgłosiły się do pomocy w nowym szpitalu. Zaoferowały lekcje śpiewu córce Tryphiego Newmana i wycinały z „Evening Telegram” wszystkie artykuły, w których pojawiły się wzmianki o Rajskim Słowiku. Na pogrzebie Mary Trypheny usiadły obok siebie w najlepszych, najczarniejszych żałobnych strojach, tak jakby należały do rodziny zmarłej.

– Dobrze spałeś? spytała Flossie.

– Wystarczająco.

Jego żona odłożyła ostrożnie nóż na talerz i zerknęła na Adelinę. Obie zachowywały się w jego towarzystwie z nienaganną nieśmiałością, jednak towarzyszyła im również aura protekcyjności, ten osad ukradkowych rozmów za jego plecami. – Nie myślałeś, żeby pomówić z doktorem Newmanem? spytała.

– A konkretnie o czym?

Adelina powiedziała, Levi, to ciągnie się już miesiącami.

– Jesteś wyczerpany, stwierdziła Flossie.

To było właśnie to – jedyna rzecz, której nie mógł znieść – powód, dla którego zrezygnowały z wyjazdu z dziećmi. Wzbudzał ich litość. Odsunął krzesło od stołu. – Sen, oznajmił, to diabelska pokusa.

W marcu miejscowi, którzy zapewnili sobie miejsca na statkach płynących na foki, wyruszyli do Harbour Grace, Brigus, a nawet do St. John’s, skąd mieli popłynąć ku lodom Labradoru w poszukiwaniu biało umaszczonych szczeniąt. Pod ich nieobecność nie odbywały się żadne spotkania związku. Niemal miesiąc później łowcy fok wrócili do domu w tych samych ubraniach, w których wypłynęli, z rękawami i nogawkami zastrupiałymi krwią, wszyscy wynędzniali, skołowani i zaopatrzeni w zakupione na Water Street drobiazgi dla żon i dzieci. Łowcy wracający przez Notre Dame Bay przywieźli do domu również Eliego Devine’a. Tej

nocy, gdy odbyło się pierwsze po przerwie zebranie związku, Levi, nie mogąc się już doczekać sprawozdania Thomasa Trassa, poszedł do obory od razu, kiedy tylko kobiety położyły się spać.

To była wściekła noc, krokwie trzeszczały na wietrze, krowy się wierciły. Paskudna pogoda sprawiała, że czas włókł się niemiłosiernie, a Levi co chwilę wyjmował z kieszeni zegarek i wlepił w niego wzrok, próbując w ciemnościach odgadnąć, którą godzinę może wskazywać. Miał już sobie dać spokój z Trassem, kiedy drzwi na drugim końcu obory się otworzyły i po chwili zamknęły z trudem, na przekór wichurze. Podmuch przyniósł zapach zaszczanej słomy. – Już myślałem, że cię przekabacili, powiedział Levi. Jeszcze zanim skończył mówić, zrozumiał, że to nie Thomas Trass idzie ku niemu w ciemnościach.

– Witaj, Levi.

– Niezbyt przyjemny wieczór na przechadzkę, panie Eli Devine.

– Thomas prosił, żebym ci przekazał, że dzisiaj nie da rady przyjść na spotkanie.

Leviemu przeszło przez myśl, że może od samego początku Trass sobie z nim pogrywał, szybko jednak skreślił ten pomysł. Trass nie miał dość wyobraźni.

– Val Woundy miał oko na twojego pana Trassa, Eli oznajmił, jakby czytał Leviemu w myślach.

– A więc rozumiem, że od początku przynosił mi same kłamstwa.

– Powiedzmy, że istotne zebrania odbywały się w inne wieczory niż lekcje Bride.

Levi wybuchnął śmiechem i klepnął się rękami w uda. – Wspaniale, powiedział. – W tym momencie powinienem oznajmić, że miałem swojego człowieka również na *tajnych* tajnych spotkaniach związku.

– Levi, nie masz bladego pojęcia, co tu się będzie działo niebawem. Chciałem jednak przyjść i cię ostrzec, chciałem, żebyś wiedział, że ja

również miałem swój udział w kierowaniu tym, co cię pogrąży.

Kiedy Eli odwrócił się do wyjścia, Levi ruszył za nim. – Na pewno świetnie się bawiłeś w towarzystwie pana Coakera, powiedział. – Pan Coaker nie pozwoliłby, żeby mężczyzna twego pokroju był pozbawiony jakichkolwiek wygod. Dbał o twoje potrzeby, kiedy byłeś z dala od żony?

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem, a Levi wyszedł na wicher i pogonił za Elim aż do drogi. Krzyczał, ile sił w płucach, jednak na tym wietrze nie słyszał sam siebie. Jeszcze przez chwilę dał się bez celu, a słowa odlatywały ponad dach domu i lądowały porozrzucane na Widoku.

To *old hollies* mnie zbudziły, pomyślała Flossie, to jęklivy lament dawno potopionych marynarzy, niesiony ku brzegom przez wicher. Przez chwilę leżała i modliła się, żeby dźwięki ustały. Słyszała, że tylne drzwi się otworzyły, a cały dom wzdął się potężnym podmuchem wiatru. Pośród wycia wichury znowu rozległ się upiorny jęk, na wpół zduszony, błagalny, jednak tym razem dałaby głowę, że dobiegał z wnętrza domu. Pobiegła do pokoju Adeliny i potrząsnęła nią. – Słuchaj, szepnęła. – Słuchaj, słuchaj, słuchaj.

Ruszyły we dwie korytarzem, wołając do siebie Leviego. Zniekształcony głos wciąż zawodził, gdy kobiety dotarły do schodów i zaczęły skradać się w dół, stopień za stopniem. – Levi? zawołała znowu Adelina, a wycie wreszcie ucichło. Teraz słyszały już tylko stłumione łkanie dobiegające z miejsca, w którym bezsilny Levi leżał na podłodze.



Po wylewie Sellers nauczył się co prawda skrobać lewą ręką swój koślawy podpis, potrzebował jednak pomocy przy najprostszych czynnościach, przy ubieraniu się, jedzeniu i chodzeniu do wychodka. Oko po martwej

stronie twarzy było niemal całkiem zamknięte, upośledzone ciało tak bezkształtne i obwisłe, że wyglądał jak figura woskowa postawiona zbyt blisko źródła ciepła. Na wiosnę dwustu siedemdziesięciu sześciu mężczyzn zrezygnowało ze współpracy z Sellersem i zamiast tego skorzystało ze sprzętu przysłanego szkunerem z Notre Dame Bay. Członkowie związku nabywali swoje wyposażenie po cenach równych tym z St. John's, co wywołało skargi rybaków nadal kupujących od firmy Sellers & Co., a Leviego wpędziło w stan permanentnego strapienia.

Tylko interwencja Archidiecezji Katolickiej uchroniła kompanię Sellsersa przed bankructwem. Pomimo różnych szemrań dobiegających z kurii biskupiej w St. John's, ksiądz Reddigan pobłogosławił swoim milczeniem pierwsze kroki związku na wybrzeżu. Jeszcze zanim mężczyźni powrócili z wiosennego polowania na fokę, Reddigan otrzymał list z informacją, że F.P.U. jest tajnym stowarzyszeniem, wiążącym swoich członków bezprawną przysięgą, a więc *ipso facto* potępionym przez Kościół. *Żaden katolik nie może do niego wstąpić, pisał arcybiskup, chyba że chce sprowadzić na siebie ekskomunikę. Jeśli już złożył jakąkolwiek przysięgę w Stowarzyszeniu, należy mu do zrozumienia, iż była ona nielegalna i nie jest wiążąca. Proszę o podjęcie kroków zalecanych w niniejszym liście, celem wyplenienia Stowarzyszenia, o ile pojawiło się na terenie parafii.* Reddigan ogłaszał to na mszach przez cztery niedziele z rzędu, a w czerwcu, gdy wypływały załogi mające prowadzić połów na Labradorze, żaden katolik na wybrzeżu nie był już członkiem F.P.U.

Jeśli tylko pozwalała na to pogoda, Abel Devine każdego ranka spędzał trochę czasu na szpitalnej werandzie. Wszyscy przechodnie wołali lub machali do niego tak, jakby zignorowanie powalonego przez suchoty chłopaka Devine'ów przynosiło pecha. Jediną osobą, która nie zwracała na niego uwagi, był Levi kuśtykający obok Domu Seliny w drodze do biur Sellers & Co. Jego prawe ramię było na stałe przyciśnięte do piersi,

a niemal zupełnie sparaliżowana noga kiwała się u pasa niczym wahadło.

Eli co prawda wrócił do Trzewia już w marcu, jednak matka Abła postanowiła nadal mieszkać w szpitalu. Co niedzielę przed kościołem cała trójka spędzała trochę czasu na werandzie; poza tym, nie przypominali rodziny pod żadnym innym względem. Hannah nie życzyła sobie, żeby ktokolwiek niepokoił Abła, chroniła go więc przed rozmowami o związku zawodowym czy o polityce w ogóle, chociaż nawet odcięty od świata chłopak był w stanie sam wyczuć, że przemiany podchodzą do brzegów niczym rosnąca fala przypiływu.

W lecie stan Abła uległ poprawie, a kiedy chłopak miał lepsze dni, wcale nie był zadowolony z tego, że musi leżeć w łóżku. Przechadzał się po swojej izdebce lub siadał przy półkach i czytał książki, po które jeszcze dotąd nie sięgnął, ot tak po prostu, żeby zrobić coś nowego. Pewnego razu stanął na stołku i wyciągnął rękę po wciśniętą na najwyższą półkę Biblię Jabeza Trima. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział tę książkę w bibliotece Patricka Devine'a, nie wiedział więc, co myśleć o tym prastarym znalezisku. Strony były skórzaste i grube, odręczny tekst archaiczny i zamazany. Zdawało mu się, że patrzy na jakiś obcy język, zaczął więc przepisywać zdania i wersety, kopiując barokowe brzuszki i zagięcia liter, jakby szkicował pejzaż. Spędził wiele tygodni, przepisując Księgi Rodzaju, Powtórzonego Prawa, Psalmów i Koheleta, rozpracowując literę po literze, przyswajając przedziwne pismo poprzez jego wytrwałe powtarzanie.

Na jesieni wszyscy rzucili się szturmem, żeby wstąpić do F.P.U. Ryby złowione przez członków związku były sprzedawane hurtem w St. John's, a cena za kwintal przekraczała o pięćdziesiąt centów tę proponowaną przez Sellers & Co. Coaker ogłosił w piśmie okólnym, że Jego Ekscelencja Biskup McNeil z diecezji St. George's zaakceptował nowy tekst związkowej przysięgi. Książd Reddigan nie zareagował, gdy trzy

tuziny katolików złożyły przysięgę po raz drugi, nie czekając na decyzję arcybiskupa z St. John's. Połowa mieszkańców wybrzeża zamówiła zapasy na zimę w hurtowni Coakera, a Levi musiał sprzedać Matthew Strappowi część swoich parceli nad wodą, żeby uratować kompanię przed pójściem na dno.

W końcu października Eli wyruszył na Change Islands, by wziąć udział w dorocznym posiedzeniu najwyższej rady F.P.U., a w pierwszym tygodniu listopada miał wrócić do domu z Coakerem na holu, rozpoczęły się więc gorączkowe przygotowania na przybycie wielkiej osoby. Abel, który według doktora miał się już dość dobrze, by w dniu powrotu ojca wyjść ze szpitala, wyczekiwał na przypłynięcie związkowego statku z większą niecierpliwością niż inni. Przeglądał bez konkretnego celu bibliotekę Patricka Devine'a, otwierając książki w przypadkowych miejscach i czytając po parę zdań. Stał na krześle i ściągnął z półki Biblię Jabeza Trima, chcąc upewnić się, że nie jest ona wytworem jego suchotniczej wyobraźni. Śledząc litery palcem wskazującym, odczytywał kolejne słowa.

Przez całą jesień przyglądał się z okna swojej izolatki pracom przy budowie nowego budynku wznoszonego nieopodal starego episkopalnego kościoła. Teraz widniały na nim wysokie na całą kondygnację litery F.P.U. wymalowane ponad drzwiami. Na całym wybrzeżu on jeden nie znał rozwinięcia tego skrótu. Fanatyczni Pastorzy Ubezważnowolnieni, zgadywał. Furiacka Partyzancka Utopia. Familijne Pogrzebowe Usługi. Finansowanie Paczek Utraconych. Frontowa ściana budynku była udekorowana sznurem chorągiewek, a na związkowej przystani, dopiero co pozyskanej od Matthew Strappa, czekała już brama z jedliny i dzikich kwiatów.

Pewnej nocy obudziły go czerwone i żółte błyski tańczące na suficie. Myślał, że to ogień w piecyku, więc przez jakiś czas leżał i patrzył, jak drzę

i rozplywają się niczym zorza polarna. Kiedy ktoś podniósł alarm, wieść poniosła się natychmiast od domu do domu, aż do Trzewia. Dwieście osób, mężczyzn i kobiet, ustawiło się w szeregu i przekazywało sobie z rąk do rąk wiadra wody z przystani. Udało się im uratować budynek, chociaż front i część dachu trzeba było rozebrać i odbudować. Mężczyźni obleźli budowlę jak pająki, próbując naprawić ją przed przybyciem Coakera. Tego ranka, gdy nad drzwiami ponownie wymalowano wielkie, czerwone litery, Hannah przechodziła nieopodal z Ablem.

– Fatalny Plan Udaremniony, powiedział Abel.

Hannah szarpnęła go za rękę. – Ojciec coś ci opowiadał?

– To tylko taka zabawa, wyjaśnił, wskazując akronim. – Feralny Pogrzeb Unieważniony, dorzucił, Finał Podupadłych Utracjuszy.

Przyglądała mu się długo, jakby mimo wszystko nadal miała wątpliwości.

Tamtego popołudnia flotyła łódek i bączków wypłynęła naprzeciw jachtowi Coakera i odeskortowała F.P. Union do przystani, gdzie na brzegu czekał już tłum gapiów. Deski pomostu zostały wyłożone tkanymi matami w kolorach F.P.U.; gdy procesja dotarła na brzeg, pół tuzina karabinów na foki wystrzeliło na wiwat. Coaker, oprowadzany jak członek rodziny królewskiej, ścisnął dłonie dorosłych i czochrał włosy dzieciaków. Abel stał w tłumie z Hannah, opierając głowę o jej biodro. – To ten chłopak, którego się śmierć nie ima? Coaker spytał, gdy stanął przed nimi.

Po uroczystym przemarszu do siedziby F.P.U. Coaker rozpoczął swoje przemówienie, a Hannah usiadła na tyłach podestu z Ablem na kolanach. Chłopak, zmęczony intensywnym dniem i gorączką tłumy, przysnął podczas przemowy. Gdy obudziły go głośne oklaski, podniósł wzrok i ujrzał Eliego Devine'a dyrygującego owacjami. Abel pomyślał, że ojciec wygląda na niemal zamorzonego głodem i wpatruje się w związkowca tak, jak patrzy się na coś dobrego do jedzenia.

Jeszcze zanim rozpoczęły się tańce, Hannah odprowadziła Abła do Domu Seliny. Chłopak zdrzemnął się w pokoju za kuchnią. Drzwi były otwarte; zasypiając, słyszał jeszcze szepty matki i Bride siedzących przy stole. Gdy przebudził się na chwilę jakiś czas po zmroku, do jego uszu dobiegła cisza kobiecego płaczu, wilgotny świst oddechu kobiety próbującej stłumić łkanie. Zdawało mu się, że może to być matka, jednak zanim zdążył się upewnić, znowu pogrzyżył się we śnie.

Gdy Abel został wypisany ze szpitala, zaczął spacerować po Trzewiu, żeby odzyskać siły. Zapuszczał się nawet aż na Francuski Cmentarz, gdzie przechadzał się między nagrobkami, wypatrując imion spoczywających tam członków rodziny. Kiedy Mary Tryphena była jeszcze z nimi, Abel zasypywał ją dziecinnymi pytaniami, chciał wiedzieć, gdzie się urodziła, jak umarli jej matka i ojciec, czy na wybrzeżu był kościół, kiedy była mała. – Nie pamiętam nic z tych dawnych czasów, mówiła za każdym razem. Teraz czuł się obcy nawet pośród krewnych leżących na Francuskim Cmentarzu.

Jeszcze przed nadejściem zimy zaczął wypuszczać się co dzień na wielogodzinne wycieczki po drogach w głąbi łądu. Wędrował za Sadowką Czarnucha Ralpa, w stronę Grzywaczy, próbując wyrwać ogromne przestrzenie w swoim sercu. W porównaniu z gęsto zaludnionym światem biblioteki Patryka Devine'a, pustkowie i bagna zdawały się w zasadzie niezamieszkałe, były miejscem pozbawionym historii czy pamięci, pejzażem wiecznej teraźniejszości. Wiedział, że to jego kraj, nie potrafił jednak stwierdzić, w jaki sposób. Chodził po głuszy bez końca, jakby wędrowka była sposobem zalecania się do świata, którego prawie w ogóle nie znał.

Na wiosnę ksiądz Reddigan został ponownie poinstruowany, by zagrozić wykluczeniem z Kościoła parafianom, którzy nie odzeganają się od członkostwa w związku. Nawet pomimo tej straty, F.P.U. otaczała

aura nieodwołalności. Przysięgę złożyło już dziesięć tysięcy mężczyzn w całym kraju i wyglądało na to, że związku nie pokona już ani stara koteria kupców z St. John's, ani potępienie ze strony katolickiego arcybiskupa, ani banda podpalaczy Sellersa, ani nawet sam Bóg Wszechmogący. W Paradise Deep i Spread Eagle otwarto związkowe sklepy zawałone po sufit mąkami Verbena, Five Roses i Royal Standard, soloną wieprzowiną, soloną wołowiną, melasą, cukrem i naftą, masłem śmietankowym i masłem Forest, herbatami i tytoniem z Cejlonu, a wszystko po cenach hurtowych. W sklepach można było nabyć również oprawione w ramki zdjęcia Przewodniczącego Związku, pana Williama Coakera, które sprzedawały się setkami i niebawem zawisły obok protestanckich krucyfiksów w kuchniach i salonach na całym wybrzeżu.



W wieku trzynastu lat Abel popłynął z ojcem na doroczny zjazd F.P.U. w Bonavista, aby zasiąść pośród dwustu debatujących i przedkładających wnioski delegatów. Zbliżały się wybory, a związek zamierzał zgłosić dość kandydatów, by móc decydować o tym, która partia uzyska przewagę podczas głosowań w Zgromadzeniu Legislacyjnym. Wynegocjowali już wspólne stanowisko w sprawie zasad połowów, edukacji, emerytur i płacy minimalnej.

Wciąż trwający powrót młodego suchotnika do zdrowia był tak niezwykle, że skojarzono go ze wzrostem potęgi związku. W zeszłym roku Abel urósł o osiem cali i zaczął znów schodzić na wodę z załogą tej czy tamtej przybrzeżnej łódki za każdym razem, gdy tylko zdołał się wymknąć Hannah. Na morzu pracował przez cały dzień z taką samą siłą i energią, co każdy inny chłopak w jego wieku. Gdy tylko opuścił szpital,

ojciec zaczął zabierać go ze sobą na lokalne spotkania, a związkowcy starali się za wszelką cenę uścisnąć jego dłoń lub dotknąć białych włosów na szczęście. Historię Abła poznał już każdy zakątek kraju, w którym istniał oddział związku, na zjeździe chłopak występował więc w roli swego rodzaju maskotki. Pierwszego ranka Coaker poprosił Abła o powstanie, a Eli, widząc, że syn się waha, popchnął go do przodu.

Spotkania ciągnęły się do wieczora, kończyły się przy świetle lamp, a Eli spędzał każdą wolną chwilę w towarzystwie Coakera; naradzali się przy papierosie, przed snem przechadzali się, omawiając wydarzenia dnia lub dyskutując o przyszłych przedsięwzięciach. Abel towarzyszył im w tych spacerach, jednak w ich rozmowach kryła się jakaś niedostępność, coś, co sprawiało, że czuł się przy nich samotny. Podejmowali wiekopomne decyzje tak, jakby dyskutowali o tym, co zjedzą na kolację. – To, czego najbardziej teraz potrzeba w naszych stronach, powiedział Eli, to nowy szpital. Potrzebujemy czegoś, co uświadomi ludziom, że związek może odmienić to miejsce. Dom Seliny nawet w połowie nie zaspokaja już zapotrzebowania wybrzeża.

Coaker kiwał głową, rozmyślając nad pomysłem Eliego. – Po powrocie rozpocznij zbiórkę środków, zalecił. – Ja napiszę do premiera.

Wszystko, co robił związek, musiało przejść najpierw przez głowę przewodniczącego; przed ustaleniem dalszego kursu działania pod czaską Coakera rozwijało się dziesięć tysięcy permutacji i możliwych reperkusji każdego czynu. – Chcę, żebyś wystartował w następnych wyborach w okręgu Paradise, oznajmił Eliemu, a nawet Abel był w stanie stwierdzić, że decyzja już zapadła. – Abel, podobałoby ci się to? spytał Coaker. – Gdyby twój ojciec został członkiem Zgromadzenia? Mówił to takim tonem, jakby jedno jego słowo wystarczyło, aby tak się stało; niczym Bóg mówiący, niech będzie światłość.

– Chyba tak, odparł Abel. Od powrotu do Trzewia chłopak dzielił

łóżko z matką, jego ojciec natomiast sypiał samotnie w pokoju na końcu korytarza. Abel nie potrafił wyzbyć się absurdałnej myśli, że za tym również stoi przywódca związku. W Coakerze było coś, co wzbudzało w Ablu całkiem świadomą niechęć; to jego oczekiwanie na szacunek, ta wielkopańska pewność siebie. Niedawno Coaker zażyczył sobie, żeby Abel nazywał go Wujaszkiem Willem. Jak na gust Abła, *Wujaszek Will* nie wykazywał najmniejszego zainteresowania ani nim, ani dziećmi w ogóle. Ten fałszywy ton sprawił, że nieufność Abła wobec Coakera tylko się pogłębiła.

W drodze powrotnej z konferencji, kiedy dopływali już do Paradise Deep, Abel stanął przy balustradzie u boku Eliego. Wieża katedry, siedziba F.P.U. z powiewającą flagą związku, metodystyczna kaplica i stojący na Widoku Dom Seliny wysuwały się spośród wzgórz na ich powitanie. Nie patrząc na ojca, powiedział, Chcę dostać z powrotem mój stary pokój.

Eli posłał mu tylko krótkie spojrzenie. – Pomówię o tym z matką, oznajmił.

W wyborach z 1913 roku w okręgu Paradise, podobnie jak w trzynastu innych okręgach na całej wyspie, wygrał kandydat F.P.U. Pierwszym zadaniem Eliego na nowym stanowisku było zorganizowanie rządowych środków na rozpoczętą już budowę nowego szpitala, w wysokości równej środkom zebranych przez związek. Ksiądz Reddigan stanął na czele katolickiej kampanii wspierającej przedsięwzięcie, na otwarciu obiektu pojawiła się więc cała ludność wybrzeża. W szpitalu znajdował się oddział położniczy z ośmioma łózkami, skrzydło dla gruźlików, rentgen i apteka, sala operacyjna z lampami acetylenowymi i własnym generatorem prądu, piwnica ze stanowiskiem telegrafisty. Wyglądało to tak, jakby nowoczesny świat wylądował na wybrzeżu, zamknięty pod jednym dachem. Oficjalne obchody trwały przez cały dzień: nabożeństwa oraz uroczysty obiad z toastami i przemowami przyjezdnych dygnitarzy.

W przekonaniu większości obecnych zadziwiająco cuda ukryte w nowym budynku zostały przyćmione przez Esther Newman, która przybyła do Paradise Deep, aby uświetnić otwarcie szpitala specjalnym koncertem. Rajski Słowik miał wystąpić na wybrzeżu po raz pierwszy od pogrzebu Abdiasza Trima.

Przeładowana siedziba związku pękała w szwach, ludzie za oknami ustawiali się nawet w czwartym, piątym rzędzie, byleby zajrzeć do środka. Samej Esther nikt nie widział jeszcze na oczy. Ponoć od trzech dni siedziała zamknięta w nowym szpitalu i leczyła się z grypy, jednak niektórzy twierdzili, że w ogóle nie przyplęnęła, że coś zatrzymało ją w Londynie albo w St. John's, że zmieniła zdanie i odwołała występ. Ich wątpliwości rozwiało dopiero pojawienie się Adeliny Sellers, która zasiadła za stojącym pod sceną pianinem. Po sali poniósł się szmer, a ona regulowała stołek i poprawiała kartki z nutami. Kiedy podniosła się kurtyna, ich oczom ukazała się młoda Mary Tryphena Devine w żorzetowej sukni wyszywanej drobnymi perełkami, o włosach czarnych jak pióra wrony, zwiniętych i zawiązanych w sposób, jakiego nigdy dotąd nie widzieli.

Ablowi Devine'owi z trudem przychodziło myślenie o istocie stojącej na scenie jak o krewnej, chociaż o łączących ich więzach krwi akurat powiedziano mu wprost. Na szyi i nadgarstkach miała ciasno zawiązane sznury pereł, delikatna linia obojczyków była obnażona pod sprzączką kołnierzyka. Aplauz całkowicie zagłuszył pierwsze wersy piosenki; gdy zgiełk wreszcie ucichł, Ablowi włosy stanęły dęba na karku. Głos wydawał się zbyt obfity, by mógł dobiegać z postaci stojącej na scenie. Co jakiś czas Abel oglądał się za siebie, podejrzewając, że ma do czynienia z jakimś misternym brzucho mówstwem. Publiczność ryczała z zachwytem za każdym razem, gdy Esther wślizgiwała się w swoje nieprawdopodobne zakresy dźwięków, nikt nie zwrócił więc uwagi, gdy jej głos załamał się

po raz pierwszy. Abel zauważył tylko, że wzdrygnęła się, jakby coś ukłuło ją pod kloszem spódnicy. Coś w jej twarzy zwróciło się na chwilę do wnętrza, jednak zaraz uśmiech utwierdził się na niej na nowo. Adelina Sellers zerknęła w stronę sceny, ale Esther zbyła ją niecierpliwym ruchem ręki. Gdy głos Słowika wleciał na wyżyny i nagle roztrzaskał się jak kawałek szkła, w całej sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Skóra na szyi Esther poczerwieniała; kobieta poprosiła o szklankę wody i pośpiewała jeszcze przez chwilę, po czym padła omdlała na deski sceny.

Całymi dniami nikt nie mówił o niczym innym, niż o szoku przeżyтым w chwili, gdy nieziemski głos Esther odmówił jej posłuszeństwa; niż o nieprzyzwoitym stroju, w którym wystąpiła przed wszystkimi zebranyimi, niż o spowijającej jej przybycie aurze tajemniczości. Ludzie mówili, że przed występem zamknięto ją w jednej z sal w nowym szpitalu, żeby trzymać ją z dala od alkoholu, że upadła na scenie, ponieważ była pijana. Jej podróż z Europy została sfinansowana przez związek; Esther miała wystąpić jeszcze w kilku innych okręgach, w których wygrało F.P.U., jednak po jej zasłabnięciu Coaker odwołał tournée. Wszyscy spodziewali się, że śpiewaczka ucieknie z wybrzeża po cichu, tak jak przybyła, jednak w dwa tygodnie później Esther Newman zamieszkała w opuszczonym, pogrążonym w nieładzie Domu Seliny.



Stary szpital miał w sobie coś z miejsca ewakuowanego w obliczu nagłego zagrożenia. W powietrzu unosił się zapach formaldehydu, środków dezynfekujących, chloroformu i zgnilizny. Na obrzeżach każdego z pokojów walał się osad pozostały po trzydziestu latach prymitywnej medycyny: przestarzały sprzęt, puste butelki, sterty papieru. Pod listwami

tkwiły odłamki dziesięciu tysięcy zębów. Esther naszykowała sobie posłanie na piętrze w głównym pokoju, na którego uparcie ciekącym suficie widniała plama przypominająca jakąś średniowieczną mapę; zdeformowane zarysy kontynentów malowały się dokładnie w tym miejscu, w którym niegdyś upiorne buty pana Gallery'ego przebiły tynk.

Nigdy nie pokazywała się poza domem trzeźwa. Ekstrawagancka czerń jej włosów pograżyła się w chaosie, a jej dziecięca twarz zrobiła się opuchnięta i przebarwiona. Alkohol dostarczał jej zapewne Des Toucher albo ktoś jego pokroju; nikt nie miał złudzeń co do tego, jak za to płaciła. Kiedy wychodziła z domu, wkładała na raz tyle strojów ze swojej garderoby, ile tylko się dało, zakładała jedną warstwę na drugą, suknie balowe, spódnice, bluzy, swetry i eleganckie szlafroki; na szyi całe pęta biżuterii. Kupiła od Vala Woundy'ego kożę, którą trzymała w salonie i wyprowadzała na spacer na smyczy albo zaprzęgała do drewnianego wózka, by jeździć nim po ulicach. Raz czy dwa razy Bride zdołała podstępem zaprowadzić wnuczkę w niedzielę rano do kościoła; gdy szły razem do ławki, trzymając się pod rękę, młodsza z kobiet chwiała się na nogach i przewracała oczami, a jej głowa kiwała się jak kościelny dzwon na wieży.

Przez całą zimę prawie nikt nie stanął w jej drzwiach, chociaż w wolnym czasie wszyscy chętnie zajmowali się jej dziwactwami. Ludzie czuli, że nadużyto ich dobrej woli, a teraz nadciągał czas bezlitosnego rozliczenia. Chodziły słuchy, że jej zawrotna europejska kariera była wielką błagą, że występowała tylko na potańcówkach, w kabaretach i różnych jeszcze gorszych miejscach. Pić zaczęła po romansie z żonatym mężczyzną, aborcji albo jakimś innym europejskim skandalu. Tylko szacunek, jakim darzyli doktora, uchronił ją przed otwartymi szyderstwami. Podzielili się jej talentem ze światem, bez słowa skargi, bez zazdrości, a teraz nie potrafili wybaczyć, że wróciła do domu jako kobieta upadła.

Na samym początku nowego roku Bride wybrała się do Trzewia, żeby pomówić z Elim i Hannah. Oznajmiła, że Esther przeniosła się z nowego szpitala do Domu Seliny po to, żeby Newman nie mieszał się w jej sprawy. Większą część ubiegłego roku przemieszkała w Londynie, w przytułku dla uboższych kobiet, w Europie nie miała więc nic, do czego mogłaby wrócić. Bride poprosiła, by Eli napisał do Tryphiego.

Eli nie chciał brać w tym udziału, wciąż zawstydzony faktem, że namówił Coakera na pokrycie kosztów podróży Esther do domu. – Może ty powinnaś to zrobić, powiedział.

– Eli, nie mam serca, żeby mu o tym powiedzieć.

– A może doktor Newman, podsunął Eli, na co Bride tylko pokręciła głową. Jej mąż był beużyteczny w obliczu jakiegokolwiek bólu, której nie dało się zaszyć, usztywnić lub wyciąć skalpelem. Nie był w stanie nawet rozmawiać na temat swojej wnuczki, nie licząc złorzeczeń, przekleństw i rzucania o ściany wszystkim, co znalazł pod ręką. – Tryphie lepiej to zniesie, jeśli dowie się od ciebie, stwierdziła Bride. – Przekaż mu, że na wiosnę wyślemy ją do Hartford.

– Jeśli w międzyczasie nie puści domu z ogniem, próbując zapalić lampę, powiedziała Hannah.

Eli przytaknął. – Nie powinna tam mieszkać sama.

– Nie chce nawet słyszeć o powrocie do nowego szpitala, oznajmiła Bride.

Abel siedział na zielonej kanapie i przysłuchiwał się całej rozmowie, udając, że czyta. Widywał nieraz Esther Newman jeżdżącą ulicami Paradise Deep z olchowym batem w ręce, czasami migąła mu za oknami Domu Seliny, gdy przybierała tę swoją nienaturalną, teatralną pozę i śpiewała po pijacku kozie. Pewnego razu zakradł się na tyły jej domu i uchylił drzwi, żeby posłuchać. Śpiewała głównie dziecięce rymowanki i piosenki, a kiedy słowa odmawiały jej posłuszeństwa, wyrzucała z

siebie ciąg pozbawionych sensu sylab. Czuł smród kozy, której stajnia znajdowała się na końcu korytarza. Jediną piosenką, jaką Esther zdołała odśpiewać w całości, była ballada, której nie słyszał nigdy dotąd, żałośliwe wyznanie miłości do czarnowłosej dziewczyny, tak przepełnione bólem i wdziękiem, iż pożałował, że w ogóle przyszedł tu podsłuchiwać. Kiedy skończyła, zamilkła na dłuższą chwilę; w ciszy Abel słyszał własny oddech. – Kto tam? krzyknęła, a Abel uciekł, gdzie pieprz rośnie. Dobiegłszy pod warsztat Tryphiego, ukrył się za rdzewiejącym wrakiem Głowacza i słuchał przekleństw miotanych przez Esther od progu.

Od tamtej pory nie zdobył się na odwagę, żeby znowu zbliżyć się do tamtego domu, chociaż jakaś cząstka Esther była w tym, co budziło go co rano i co każdej nocy brał ze sobą do łóżka. Na myśl o niej ogarniała go panika, przerażenie i dziecinna trwoga. Podniósł wzrok znad książki, czując na sobie spojrzenia dorosłych zebranych przy stole.

– Moglibyśmy przenieść księgozbiór Patricka Devine’a z powrotem do twojego starego pokoju w Domu Seliny, powiedział Eli.

– Tylko na jakiś czas, aż uda nam się wszystko załatwić, dodała Bride.
– Do wiosny.

Poczuł, że żyła na jego szyi zaczęła pulsować, nabrzmiała rykiem krwi. Miał już prawie piętnaście lat, a wciąż dzielił sypialnię z matką.

– Jak dla mnie w porządku, powiedział.

Trzy dni później Eli odprowadził go przez Tolt. Zapukali do drzwi, a nie doczekawszy się odpowiedzi, sami weszli do środka. Z salonu na powitanie wyszła im koza. – Co to za chłopak? Esther spytała ze szczytu schodów.

– Mój, odparł Eli.

Esther zeszła dwa stopnie niżej i oparła się o ścianę. – Eli, nie sądziłam, że cię na to stać.

Trącił Abła. – Idź, nastaw czajnik, powiedział.

Usiedli razem w kuchni; Abel gapił się w swoje kolana, a rozmowa między jego ojcem a pijaną kobietą rwała się i pomału pełzła naprzód. Wiele z tego, co mówili, nie miało dla niego najmniejszego sensu. Co jakiś czas Esther zaczynała łkać, jednak Abel nie był w stanie dojść przyczyny. – Tak bardzo kochasz muzykę, powiedziała, wycierając zasmarkany nos w rękaw. – Kochasz ją i myślisz, że musi na swój sposób odwzajemnić twoją miłość.

Eli przytaknął.

– Muzyka natomiast ma to gdzieś, czy przeżyjesz, czy zdechniesz, oznajmiła Esther. Nagle zaśmiała się do siebie. – Nie masz zielonego pojęcia, o czym mówię, co?

– Doskonale rozumiem, co masz na myśli, odparł Eli.

Podczas rozmowy Esther ani razu nie spojrzała na Abła i nie odezwała się do niego ani słowem; trudno było stwierdzić, czy w ogóle zrozumiała, jaki układ proponował ojciec chłopaka. – Kto tam? krzyczała za każdym razem, gdy Abel wchodził do Domu Seliny przez tylne drzwi. W jej głosie niezmiennie pobrzmiwało to samo zdziwienie i wojowniczość, jakby zdążyła już zapomnieć, że chłopak mieszka w starym pokoju dla służby. – To Abel! wołał do niej. Poza tym nie przytrafiło się nic bardziej zbliżonego do rozmowy. Esther nie zwracała na niego większej uwagi, wędrowała po pokojach pijana, przemawiając do kozy w językach, których nie rozumiał, wyśpiewując żalosne dziecięce piosenki. Nadal czuł się dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy podsłuchiwał pod tylnymi drzwiami. Nie otrzymał żadnych konkretnych zaleceń, poza tym, że ma pilnować, żeby nie puściła domu z dymem. Nocą chodził po pokojach i gasił lampy, które zostawiała zapalone.

Co rano opróżniał jej nocnik, słał łóżko i zbierał pełen kufer ubrań, które rzuciła z siebie po ostatnim wypadzie do miasta. Sam przygotowywał posiłki; jedzenie kładł na widoku, licząc na to, że Esther przynajmniej

coś skubnie. Weszło jej w nawyk zostawianie kozy w uprzęży po przejazdach, Abel odprowadzał więc wózek do warsztatu Tryphiego, ciesząc się, że zechciała uznać go za swojego chłopca na posyłki. Potrafiła zasnąć o każdej porze dnia, a on przykrywał ją narzutą i troszczył się o to, żeby zawsze miała pod głową poduszkę. Nieraz stał i patrzył na nią przez jakiś czas, korzystając z tego, że może swobodnie się jej przyjrzeć. Jej twarz cechowała prosta uroda, której lata picia nie zdołały jeszcze całkiem unicestwić; zdawała się wytworna, nawet kiedy miała w czubie. Była piękna, nie potrafił myśleć o niej inaczej. Podciągał narzutę wyżej, aż pod szyję, chcąc poczuć na palcach muśnięcia jej włosów.

Esther potrafiła spać całymi godzinami, a bez jej szumu Abel nie miał pojęcia, co ze sobą robić. Udawał, że czyta, jednym uchem wciąż nasłuchując, czy przypadkiem już nie wstała. Bez końca przepisywał ustępy z Biblii Jabeza Trima, rąbał drewno, nosił wodę, wybierał popiół z kominka i pieca w kuchni. Węszył po salach starego szpitala, przetrząsał rupiecie i śmieci, próbował odgadywać przeznaczenie magicznych narzędzi chirurgicznych, wertował sterty medycznych zapisków. Gdy Esther się budziła, skacowana i markotna, Abel zaparzał czajnik herbaty i zaciskał jej dłonie na kubku, by upewnić się, że go nie upuści.

Od czasu do czasu Hannah zachodziła do nich z jedzeniem, żeby upewnić się, że Abel nie zamorzy się głodem. Bride odwiedzała Dom Seliny raz w tygodniu, by spytać o Esther. – Nie sprawia ci za dużo kłopotów? Wszystko dobrze?

– Jak dla mnie w porządku.

– Mogę kiedyś wpaść na noc, żebyś trochę odpoczął.

– Dobrze tu sobie radzimy, powiedział.

Nie znosił, gdy wkraczali na teren, który uważał za swoje terytorium. Nikt nie wspominał już więcej o wysłaniu Esther do Connecticut, a do marca Abel zdążył już zapomnieć, że jego stanowisko miało być tymczasowe.

W początku maja ojciec Esther pojawił się niezapowiedziany w Domu Seliny. Tryphie przyszedł pod dom w towarzystwie Eliego; zapukali do drzwi z obawy przed tym, co mogliby zastać w środku, gdyby weszli bez ostrzeżenia. – Witaj, Abel, Tryphie powiedział, gdy chłopak wyjrzał na zewnątrz.

Abel zatrasnął im drzwi przed nosem i oparł się o nie, a podłoga zakołysała mu się pod stopami.

– Otwieraj te drzwi, na miłość boską! krzyknął Eli.

Koza wyjrzała z salonu, dostojnie przeżuając kęs starych opisów choroby. Esther pojawiła się u szczytu schodów i spojrzała na chłopaka barykadującego drzwi wejściowe. Miała na sobie estradową suknię z czarnego szyfonu, rozświetloną od tyłu wpadającymi przez okno promieniami słońca.

– Masz przepiękne włosy, powiedział. Robił, co mógł, żeby się nie porzyść, a jego blada twarz wykrzywiła się z wysiłku.

– Wpuść ich już, powiedziała Esther. To było pierwsze pełne zdanie, którym go zaszczyciła. – Powiedz im, że zaraz zejdem, *now the once*.

Podczas gdy Esther rozmawiała z mężczyznami w kuchni, Abel czekał w salonie w towarzystwie niewzruszonej kozy. W końcu Eli stanął w drzwiach i przyjrzał się synowi siedzącemu w zapaskudżonym pokoju. Chłopak nie był w stanie spojrzeć ojcu w oczy, jego życie wisiało na włosku. – Mówi, że z nim nie wyjedzie, oznajmił Eli.

Abel tylko skinął głową na te wieści. – Abel, pozbądź się tego zwierzęcia. Skinął głową ponownie.



Tryphie został w Paradise Deep jeszcze przez miesiąc, próbując nakłonić

córkę do przeprowadzenia się z nim do Hartford. Część każdego dnia spędzał w towarzystwie Czcigodnego Członka Zgromadzenia Legislacyjnego. Siedział w biurze na drugim piętrze siedziby F.P.U. i przyglądał się przez okno Domowi Seliny, podczas gdy Eli bredził coś o związku. Dwadzieścia tysięcy mężczyzn – dziesiąta część ludności kraju – złożyło przysięgę, czternastu związkowych kandydatów dostało się do Legislatury w ostatnich wyborach. Co miesiąc ukazywał się związkowy biuletyn rozprawiający się z fałszywymi informacjami fabrykowanymi przez gazety podporządkowane kupcom. W pokoiku na tyłach biura Eli ustawił łóżko poławę, na którym spędzał większość nocy. Sprzedaż ryb poprzez agentów handlowych w całej Europie, mówił Eli, biuro F.P.U. w Grecji. Levi Sellers z trudem utrzymywał się na powierzchni; zostało mu już tylko stręczenie katolików. – Nie jesteśmy w stanie pozyskać dla naszego przedsięwzięcia dosyć przestrzeni magazynowej w St. John's, powiedział. – Pan Coaker poszukuje jakiegoś miejsca bliżej północno-wschodniego wybrzeża. Zbudujemy to wszystko od zera, magazyny, suszarnie, pracownię bednarską, stocznię. Własną elektrownię.

– Myślę, że ja zostanę przy swoich sprawach, Tryphie powiedział, nie odwracając się od okna.

– Windy, dodał Eli, żeby przewozić ryby z suszarni do magazynów na parterze. Rzeczy, których wcześniej nikt nie zbudował, rzeczy, które mało komu w ogóle przyszły na myśl.

– Czy ona się tam zapije na śmierć? spytał Tryphie.

Eli oparł się w fotelu. – Abel się o nią zatroszczy, powiedział.

Tryphie zerknął na Elięgo. Na ścianie nad jego głową wisiał portret Coakera, twarz przewodniczącego, jaśniejąca wpadającymi przez okno promieniami słońca, zdawała się unosić w powietrzu. Tryphie nienawidził Elięgo Devine'a. Uważał to za fakt i to od dłuższego czasu.

Popatrzył znowu na Dom Seliny. – Myślisz, że mógłbym się na coś w

tym wszystkim przydać?

- To znaczy mieszkając w Hartford?
- Wydaje mi się, że byłoby lepiej, gdybyśmy wrócili do domu.
- Nie sądziłem, że Minnie zechce tu kiedykolwiek wrócić.

Tryphie zerwał się z krzesła, próbując w ten sposób powstrzymać się przed powiedzeniem Eliemu, żeby się odpiardolił. – Minnie zechce być blisko córki i czuwać nad nią. Jeśli będziesz w stanie zapewnić mi jakąś pracę.

Eli nachylił się do przodu i oparł łokcie na biurku. – Zobaczę, co da się zrobić, powiedział.

Tryphie pojechał do Stanów w końcu czerwca. Tego lata głównym tematem rozmów była wojna w Europie, szczątki pogłosek i półprawd wyrzucane przez morze na brzegi. Eli spędził całe lato w Government House w St. John's. W sierpniu Wielka Brytania przystąpiła do wojny, pociągając za sobą Nową Fundlandię. Pięciuset ochotników zaciągnęło się do mającego wyruszyć za ocean Regimentu Nowofundlandzkiego. Coaker dał do zrozumienia, że zamierza ustąpić ze stanowiska i również popłynąć do Europy, ostatecznie ugiął się jednak pod wpływem niezliczonych telegramów i listów, którymi zasypali go związkowcy błagający, aby zechciał nadal pełnić obowiązki przewodniczącego. Dzięki wojnie ceny ryb poszybowały w górę, a przez cały sezon mężczyźni łowili dorsze jak szaleni.

W październiku Tryphie i Minnie wrócili do Paradise Deep. Abel z początku obawiał się, że zechcą zamieszkać w Domu Seliny, Minnie nie była jednak gotowa na życie pod jednym dachem z niedolą córki i wprowadziła się z mężem do starego domu Johna Blade'a. Tryphie podjął pracę na stanowisku księgowego w siedzibie związku, ale i tak większość czasu spędzał, obracając wymyślne fantazje Coakera w rysunki projektowe bloczków, zębatek i kołowrotów, silników elektrycznych,

turbin, przewodów zasilających.

Adelina i Flossie Sellers stanęły na czele lokalnej grupy Women's Patriotic Association^[12] i organizowały wieczorki z robótkami ręcznymi, podczas których kobiety szyły chusty i skarpety dla mężczyzn walczących za oceanem. Jednym z pierwszych związkowych ochotników, którzy poszli w bój, był Joshua Trim; wiadomość o jego śmierci dotarła na wybrzeże krótko przed Bożym Narodzeniem, a okna w domu Trimów były zasłonięte przez cały okres świąteczny.

Esther pomstowała na wojnę w swoim pijackim zapamiętaniu, a Abel z wierności wobec niej zadeklarował się jako pacyfista. Zresztą zdawała się nie mieć przeciw konfliktowi zbrojnemu nic poza tym, że rozgrywał się w Europie. Jakby wojna stanowiła eskalację charakterystycznej dla Starego Kontynentu rozrzutności i żądzy poświęceń. Na ulicy witała młodych mężczyzn okrzykami *Czołem, mięso armatnie*, a oni odpowiadali ostrożnymi skinieniami głowy, oglądając się za kobietą i idącym w ślad za nią bladym chłopakiem. Abel był już wysoki na prawie sześć stóp i górował nad swoją pijaną podopieczną; ta osobliwa w dwójnasób para przywodziła na myśl małżeństwo dziwołagów wystawiane na pokaz w wesołym miasteczku.

Po tym, jak już odezwała się do niego pierwszym pełnym zdaniem, Esther nie była w stanie się zamknąć. Bez ustanku opowiadała o tym, jakie role odśpiewywała, w jakich produkcjach, w jakich legendarnych teatrach. Intrygi, podstępne zdrady i potępione miłości każdej opery odzwierciedlało życie w garderobach, kularach i pokojach hotelowych wykonawców. Obłąkani reżyserzy, zaćmieni absyntem autorzy librett, finansujący produkcje impresario-pedofile, pozbawieni przez choroby

[12] Women's Patriotic Association – założone w 1914 roku nowofundlandzkie stowarzyszenie zrzeszające ochotniczki wspierające żołnierzy poprzez przygotowywanie ubrań i zbierkę środków.

weneryczne nosów oraz dawnego usposobienia podstarzali uwodziciele. Esther zbierało się na wspominki, gdy była pijana; nagle zaczynała śpiewać urywki arii lub nucić partie orkiestry, a jej diatryby pozbawione były jakiegokolwiek logicznego porządku. Abel miał problemy z wydzieleniem z całej tej masy opisów poszczególnych teatrów, kompozytorów czy lubieżnych tenorów-parweniuszy.

– Wiesz, kim jestem? spytała pewnego popołudnia. Pytanie było podszyte wojowniczością, która sprawiła, że Abel bał się udzielić odpowiedzi. – Otóż, oznajmiła, przybierając teatralną, autoironiczną pozę, jestem mezzosopranistką. Te słowa nic dla niego nie znaczyły, ale wiedział już dobrze, że nie warto było jej przerywać.

– Role drugoplanowe, oznajmiła. – Na tyle może liczyć mezzosopran. Służki. Teściowe. Nie po to płynęłam aż do Europy, żeby żyć w czyimś cieniu.

Znalazła nauczyciela śpiewu, podstarzałego, uzależnionego od opium, pozbawionego skrupułów Szwajcara, który podjął się poszerzenia jej skali; zanim jednak ostatecznie zgodził się na lekcje, musiała się z nim przespać. – Musisz każdej nocy spać po dziewięć godzin, pić tylko wodę, żadnej kawy ani herbaty, żadnego alkoholu, gardło musisz mieć przez cały czas zakryte, pod żadnym pozorem nie wolno ci się oddawać miłości saficznej, powiedziała Esther, naśladowując jego drażniący akcent.

– Oddawać czemu?

– Był obłąkany, stwierdziła Esther, ale nikt inny nie chciał mi pomóc.

W końcu przebiła się do głównych ról dzięki nieustępliwości oraz szeregowi przemyślanych romansów. Zjeździła kontynent wzdłuż i wszerz, niejedną publiczność doprowadziła do łez, deszcz róż sypał się na scenę od Hamburga, przez Wiedeń, aż po Paryż, występy umawiano z rocznym wyprzedzeniem. – Później zaczęłam tracić głos, powiedziała. Potrząsnęła butelką ginu i pociągnęła spory łyk. – Może faktycznie

powinnam była się powstrzymać również przed miłością saficzną.

Był też mężczyzna, który zranił Esther, lubieżny tenor-parweniusz, karierowicz z rozbieganymi palcami, przysięgający jej miłość aż po grób. Ćwiczył gamy z twarzą między jej nogami, a stłumione dźwięki niosły się w górę po kościach, bijąc w jej głowie młotem rozkoszy. Jego ojciec był Niemcem, matka Włoszką; granica między sztuką miłości a sztuką wojny zatarła się w jego świadomości już w dzieciństwie. Porzucił ją dla Francuzeczki z piersiami dziesięciolatki i pięciooktawowym głosem.

Sprośne szczegóły podniecały i zarazem zniesmaczały Abła. Żałował, że słucha takich rzeczy, ale jednocześnie chłonał każde słowo. Ton Esther był przedziwnie swobodny, gdy opowiadała o mężczyźnie, który opuścił ją dla pozbawionej piersi sopranistki, gdy wyliczała długą listę innych, których zraniła lub po których nosiła blizny, gdy opisywała całą tę karuzelę żądzy, cielesności, zdrady i nadziei. W jej głosie pobrzmiwał cień żalu, że sama musiała już z niej wysiąść.



W lipcu 1916 roku na wybrzeże dotarła nazwa francuskiego miasteczka. Beaumont-Hamel. Ponure liczby przekazywano szeptem z ust do ust, ośmiuset dwóch członków Regimentu Nowofundlandzkiego wysłanych z okopów prosto w gnój, druty kolczaste i nieprzerwany ogień karabinów maszynowych. Pod błękitnym niebem, w spokojny poranek. W niecałe pół godziny wystrzelano co do nogi chłopaków wtulających brody w ramiona, próbujących chronić się przed piekielnym wiatrem, podbiegających nierównymi zrywami ku niemieckim pozycjom. Nazajutrz tylko sześćdziesięciu ośmiu stawiło się na apelu o własnych siłach. Pośród zaginionych było trzech z wybrzeża, a każda rodzina w okolicy mogła

przyznać się do zabitego, rannego lub zaginionego bratanka, przyrodniego brata czy kuzyna drugiego stopnia.

Hannah przyszła do Domu Seliny, żeby spędzić chwilę z Ablem, żeby usiąść z nim przy stole i popatrzeć, jak oddycha. Jej śmiertelny syn, jego oczy, zęby i ręce. Wszystkie włosy na głowie policzone. – Nigdy nie sądziłam, powiedziała, że będę jeszcze dziękowała Bogu za twoją gruźlicę.

Było wczesne popołudnie, a Esther już była podpita. – Doktor Newman twierdzi, że nic mu nie dolega. Kiedy Zgromadzenie przegłosuje powszechny pobór, oznajmiła, chętnie zabiorą Abła razem z innymi.

– Związek nigdy nie pozwoli, żeby ustawa o poborze przeszła, Hannah odparła bez takiego przekonania, jakiego by sobie życzyła.

– A dlaczego mieliby na to nie pozwolić?

Hannah wykonała nieokreślony gest ręką. – Dzięki Coakerowi, powiedziała.

Esther odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem, po czym zaczęła przeklinać oszukańczy związek i Coakera, który władał nim tak, jakby był samym Panem Bogiem. Przeklinała Zgromadzenie Legislacyjne z St. John's i wojnę w Europie. Potem zaczęła przeklinać samą Europę, kraj po kraju. Abel nie widział jej jeszcze w takim stanie.

Przemaszerowała korytarzem i ciężko poczłapała po schodach na górę, wciąż miotając przekleństwa.

– Nie życzę sobie, żebyś mieszkał tu sam z tą kobietą, oświadczyła Hannah. – To nie uchodzi.

– Sama mnie prosiłaś, żebym się tu wprowadził.

– Wtedy byłeś tylko dzieciakiem, powiedziała. – Nigdy nie chciałam. Potrząsnęła tylko głową.

Kiedy matka wyszła, Abel poszedł na górę i stanął pod drzwiami sypialni Esther. Próbował odgadnąć, czy śpi. – Kto tam? krzyknęła, a on

bez słowa zszedł na dół.

Usiadł z Biblią Jabeza Trima i przez jakiś czas przepisywał wersety z Pieśni nad Pieśniami. Błąkał się po pokoju dla służby niczym więzien badający wszystkie zakamarki celi. Przesuwał meble, obmacywał listwy przy oknach i drzwiach, jakby spodziewał się znaleźć za nimi jakąś tajną skrytkę. Sięgał po puste butelki stojące na najwyższej półce i zaglądał w ich szyjki. Na górze leżała koperta z brązowego papieru. Kiedy ją otworzył, na jego łóżko wylał się wodospad zdjęć, bo na 14 cali, same portrety, chociaż zazwyczaj to nie twarz modela była w centrum uwagi. Katalog ran, blizn, zdeformowanych kończyn i spuchniętych głów. Pięć pomarszczonych twarzy, rządkiem pięciu nedorzecznie przygiętych wiekiem dziadów w dziecięcych ubrankach. Mężczyzna i kobieta, oboje łysi, chyba bez paznokci. Była też mała dziewczynka, w której nie rozpoznałby matki, gdyby nie spinająca jej rozczapierzone palce błona, na którą fotograf najwyraźniej ustawił ostrość. Jakiś błąd mężczyzna z posępnym wzrokiem, burzą bezbarwnych włosów i wypisanym na zdziwionej twarzy wyrazem dobroduszej wyrozumiałości.

– Prawie tak, jakbyś patrzył w lustro, powiedziała Esther.

Odrzucił się i zobaczył, że stoi oparta o futrynę drzwi. Nie miał pojęcia, jak długo mu się przyglądała. Skinęła brodą na zdjęcie. – Wykapany z ciebie pradziadek.

– Kto? spytał.

– Wielki Biały, odparła. – Mąż Mary Trypheny. Nikt nie opowiadał ci nic na twój temat?

– Wygląda na to, że nie.

Podniosła leżące na łóżku kartki z przepiszanymi przez niego słowami Pieśni nad Pieśniami. – Co to za wariackie zapiski? spytała, a on opowiedział jej o tym, jak natknął się na Biblię w bibliotece Patricka Devine'a, jak zaczął ją rozszyfrowywać, przepisując literkę po literce. –

Nieże z ciebie dziwadło, Ablu Devine, powiedziała. Przyglądała mu się z osobliwym skupieniem, którego ciężaru nie czuł jeszcze nigdy dotąd. Usiadła obok niego na łóżku. – Pocałował cię ktoś kiedykolwiek? Tak naprawdę?

– Nie wydaje mi się.

– Ten człowiek, powiedziała, wskazując zdjęcie, twój pradziadek, nazywał się Juda Devine. Pocałowała go, lekko rozchylając wargi. Jej oddech miał słodko-kwaśny zapach ginu. – Urodził się z brzucha wieloryba, na brzegu, w święto św. Marka. Znowu jej usta, dłoń pod koszulą, na jego nagiej skórze. – To Wdowa po Devinie rozcięła żołądek wieloryba nożem do ryb i oswobodziła Judę, powiedziała. – Była babką Mary Trypheny, wdową, niektórzy mówili, że wiedźmą.

Esther mówiła jeszcze długo, rozwijając ze szpuli wątek historii rodziny, rozbierając chłopaka, żeglując poprzez niespokojne wody żywotów kolejnych pokoleń, wiosłując powoli ku nim samym, leżącym w Domu Seliny na łóżku w pokoju dla służby, krew na krwi, na krwi. Abel przez cały czas leżał w milczeniu, gotów przyjmować każde jej słowo jak Ewangelię, dopóki jej usta wracały na jego usta, dopóki jej ręce.

Nie była pijana. Nie wypiła ani kropli od chwili, gdy wybiegła z kuchni i zamknęła się w sypialni, aby tam kipieć gniewem i wpatrywać się w koślawe kontynenty na suficie. Wszyscy chłopcy gnili gdzieś w tej niedającej się zetrzeć skazie zwanej Francją. Zeszła na dół, żeby upomnieć się o Abła, zanim ktoś go jej wydrze, a teraz przyklękła nad nim, aby pobłogosławić jego ciało oraz zamieszkującą je duszę. Pijacka myśl, chociaż była całkiem trzeźwa. Chciała osłonić go przed światem przynajmniej na tych parę chwil.

Kiedy skończyli, leżeli prawie nadzy na łóżku, uciszeni ciężarem tego, co zaszło między nimi. Abel podparł się na łokciu i popatrzył na nią z góry. – Esther, zaczął, jednak ona położyła mu palec na ustach.

Powiedziała, Abel, nigdy nie mów kobiecie, że ją kochasz.

Wpatrywał się w nią, a oczy zaszczyły mu łzami.

– To zawsze zabrzmiało jak kłamstwo, powiedziała. – Lepiej pozwól, żeby doszła do tego sama.

Przerwał im dźwięk frontowych drzwi, na korytarzu rozległ się kobiecy głos. Słyszeli narzekania kozy, która została wypchnięta na zewnątrz, stukanie kopyt na drewnianych stopniach. Abel wciągnął pośpiesznie ubrania i przeszedł przez kuchnię. Ujrzał matkę, która właśnie zamykała drzwi za kozą. Koło schodów leżała jej torba. – Usuniemy całe to paskudztwo, oznajmiła. – Możesz zanieść moje ubrania do pokoju obok sypialni Esther.

Spóźniłaś się, chciał powiedzieć, stwierdził jednak, że najlepiej będzie pozwolić, żeby doszła do tego sama.



Następnego dnia rano Eli opuścił wybrzeże i zniknął na wiele miesięcy; brał udział w posiedzeniach Zgromadzenia w St. John's lub jeździł z Coakerem do Catalina Harbour, gdzie już trwała budowa bazy operacyjnej związku. Według harmonogramu cała inwestycja miała być gotowa przed końcem 1917 roku, nabrzeża, magazyny i biura, kościół, szkoła, hotel, stocznia i przetwórnia foczego tłuszczu, bocznicza kolejowa. Magazyny o pierzei długości 135 stóp, trzy dźwigi elektryczne, na poddaszu warsztat bednarski i pracownia żaglownika.

Większość prac projektowych wykonywano w St. John's lub na miejscu, jednak Eli zatroszczył się o to, aby Tryphiemu wysyłało dość pracy, by go nasycić. Całe tuziny drobnych przedsięwzięć w elektrowni, stoczni i chłodni; telegramy od zarządcy projektu z prośbami,

specyfikacjami i poprawkami. Tryphiemu nie mieściło się w głowie, że którakolwiek z tych rzeczy mogłaby zaistnieć naprawdę. Turbiny w elektrowni wymagały wykopania kanału o długości tysiąca dwustu stóp, zainstalowania dłuższej na dziewięćset stóp drewnianej rury o średnicy sześciu stóp, wzmocnionej co sześć cali stalowymi obręczami. Spodziewał się, że całe to przedsięwzięcie lada chwila weźmie w łeb. Póki wojna trwała, ceny ryb utrzymywały się na rekordowym poziomie, a związek dysponował nieograniczonymi zasobami gotówki, dzięki którym mógł utrzymywać swoje fantazje przy życiu.

Tryphie pracował nad rysunkami projektowymi w biurach F.P.U. przez całe lato i dalej w jesień, a skomplikowane problemy inżynierskie oraz ich jasne, matematyczne rozwiązania przynosiły mu wytchnienie od nieładu, w którym pogrzyżyło się jego życie. Spędzał tak całe godziny, nie myśląc ani o stanie Esther, ani o Minnie i jej utraconym Connecticut, ani o Elim Devinie.

Pewnego ranka na początku grudnia Tryphie podniósł wzrok znad biurka i stwierdził, że na krześle pod oknem siedzi Levi Sellers. Na ten widok przeszył go dreszcz – ta kanciasta jak pudełko głowa, jastrzębi nos, okaleczone uszy ukryte pod kępami siwych włosów. Jedna strona jego twarzy ześlizgiwała się ku ziemi, zmieniając jego mowę w bełkot. Na tym upadłym świecie nie było nic, pomyślał Tryphie, co mogłoby zabić tego skurwiela. Levi skinął na wiszący na ścianie portret Coakera. – Nie przeszkadza ci, że ten tutaj gapi się na ciebie całymi dniami?

– Czego tu szukasz?

– Jak się miewa twoja Esther?

– Panie Sellers, muszę wracać do pracy.

Levi oparł się na lasce i podniósł się z krzesła. – Zamierzasz spędzić resztę życia szkicując jakieś wihajstry dla Eliego Devine’a?

– Rozważam różne możliwości.

Levi zaczął kuśtykać w stronę drzwi. Jego ruchy były tak cudaczne i karykaturalne, że trudno było uwierzyć, że zdołał się dostać do pokoju niezauważony przez Tryphiego. – Mój ojciec, powiedział. – Absalom Sellers. Był twoim dziadkiem, wiesz o tym?

– Jeśli ma pan do mnie jakąś konkretną sprawę.

– Chodzi o to, że nie będę żył wiecznie. A ty jesteś najbliższym krewnym, jakiego mam w tym kraju.

– Odwal się ode mnie, Levi.

– Jestem gotów zapisać ci należne udziały w Sellers & Co.

Tryphie wyprostował się na tyle, na ile pozwalał mu garb. – Tak z czystej dobroci serca, co?

Levi roześmiał się i pokręcił głową. – Potrzebujemy jakiegoś haka na twojego ukochanego pana Coakera.

– My?

– Ja i inni mi podobni. Ludzie o zbieżnych interesach.

– Ty i twoi ludzie o zbieżnych interesach, powiedział Tryphie, jesteście zbyt oszołomieni, żeby pojąć, że nikt poza Coakerem nie jest już w stanie niczego zmienić.

Przez stężoną maskę twarzy Leviego przebiegła iskra, która sprawiła, że przez chwilę wyglądał prawie jak człowiek. – Chyba masz rację, przyznał, po czym znowu przystąpił do ataku. – Potrzebujemy pisemnego oświadczenia, które będzie miało jakieś znaczenie dla sądu. Nie musimy tego nawet upubliczniać, wystarczy coś, czym będzie mu można pomachać przed nosem, żeby zaczął z nami rozsądnie rozmawiać.

– Czego konkretnie miałyby dotyczyć to oświadczenie?

– Tryphie, on jest pederastą. Wszyscy o tym wiedzą.

Tryphie odwrócił się z powrotem do biurka i nachylił się nad blatem.

– Trzecia część mojego majątku, powiedział Levi. – To niemal dosyć, żebyś należycie zaopiekował się córką. A wtedy może nawet żona nie

zabije cię pewnej nocy we śnie.

Tryphie odwrócił się gwałtownie, żeby cisnąć przez pokój przyciskiem do papieru, ale Levi zdążył już zniknąć za drzwiami.

Wracając wieczorem z pracy, zaszedł do Domu Seliny, gdzie zastał Hannah siedzącą samotnie w kuchni. Usiedli przy herbacie i pomówili chwilę o wojnie i o tym, czy Esther się pogarszało, czy może poprawiało. – Levi Sellers złożył mi dziś wizytę, powiedział w końcu.

A ona na to, Towarzyskie stworzenie się z niego robi.

Tryphie przytaknął, wcale nie zdziwiony. – A co tobie zaproponował?

– Nóż, powiedziała. Na jej twarzy pojawił się przelotny uśmiech, niczym płomień zapalki strząśniętej zaraz po rozpaleniu. – Dlaczego przyszedł z tym do nas?

– Tylko więzy krwi mogą nadać czemuś takiemu wiarygodność. Inaczej byłaby to tylko niepotwierdzona pogłoska. Zamierzasz powiedzieć Ablowi?

– O czym? spytała.

– O jego ojcu. O jego ojcu i Coakerze.

Fala czerwieni zalała twarz i szyję Hannah. – Nie obchodzą mnie plotki, oznajmiła.

– Prędzej czy później chłopak i tak się o tym dowie.

– Na pewno nie ode mnie, stwierdziła Hannah.

Eli wrócił na wybrzeże dopiero po Bożym Narodzeniu. Przyjechał z Coakerem w ramach zimowego objazdu, podczas którego przedstawiali sprawozdania o postępach prac nad Port Union i zachęcali mężczyzn do zgłaszania się na ochotnika do Regimentu Nowofundlandzkiego. Nic nie wskazywało na to, aby wojna miała się szybko zakończyć. W listopadzie Niemcy podpisali z Rosjanami zawieszenie broni i teraz przerzucali dziesiątki tysięcy żołnierzy na front zachodni. Przed świętami regiment poniósł dotkliwe starty, a przez cały okres świąteczny lizał rany

we Fressen, czekając na nowych rekrutów. Gdy Coaker przemówił do zebranych na publicznym spotkaniu związku w siedzibie F.P.U., tłum traktował go z szacunkiem, ale bez entuzjazmu, jak wszystkie dumy związkowców, do których przemawiał. Już teraz zostało ich w kraju tak niewiele, że z trudem obsadzali wszystkie łodzie, nikt spoza St. John's nie kwapił się więc do wojaczki.

Po przemówieniu Coaker rozpoczął pracę wśród ludzi, kierując do nich bardziej osobiste apele o zgłaszanie się na ochotnika. Eli z Ablem i doktorem Newmanem stali nieopodal, przyglądając się, jak Coaker ściska dłonie, prosi i przekonuje.

– Wydaje się podenerwowany, stwierdził Newman.

– Jeśli nie uzupełnimy regimentu, być może będziemy musieli go wycofać z frontu.

– Nie wydaje mi się, żeby zasilanie szeregów regimentu należało do obowiązków związku.

– Jeśli nie zaspokoimy zapotrzebowania na żołnierzy ochotnikami, trudno będzie zapobiec wprowadzeniu powszechnego poboru.

Doktor ścisnęła wargi. – Podejrzewam, że zbyt wam to nie służy, gdy przed Zgromadzeniem wychodzicie na bandę krętaaczy.

– Jak cię widzą, tak cię piszą.

W końcu Coaker podszedł do nich i uścisnął rękę doktorowi oraz stojącemu przy nim chłopakowi.

– Dzień dobry, panie Coaker, powiedział Abel.

– Wujaszku Willu, poprawił go Coaker. – Dobrze wyglądasz.

– Jest okazem zdrowia, oznajmił Newman. – Cudowne ozdrowienie, panie Coaker. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

Coaker przytaknął i wlepił wzrok w Abła na dłużej, niżby chłopak sobie życzył. Abel odwrócił spojrzenie, czekając, aż mężczyzna skończy mu się przyglądać. Newman przeprosił towarzystwo i ruszył w stronę

szpitala. Pozostali odprowadzili go wzrokiem, a wyglądał jak zgarbiony szkielet obleczony w ubrania.

– Ile on już ma lat, Coaker spytał Eliego, siedemdziesiąt pięć?

– Moim zdaniem więcej. A po śmierci Bride zdecydowanie zaczął wyglądać na swój wiek.

– Miała raka, tak?

– Nie wytrzymała nawet miesiąca.

– Znowu zaczął pić?

– Jest w rozpaczy, stwierdził Eli. – W takim stanie człowiek jest zdolny do wszystkiego.

Abel zaczął nerwowo szurać nogami, znowu czując się tak, jakby podsłuchiwał prywatną rozmowę. Eli odwrócił się do niego i powiedział, Odwiedź nas dziś wieczorem w Trzewiu. Miło będzie się dowiedzieć, co nowego u ciebie.

Thumy rozeszły się późnym popołudniem; Abel pomógł pozdejmować chorągiewki i odnieść stoły, po czym ruszył w stronę Domu Seliny. W drodze powrotnej zaszedł do szopy po naręczce świerczyny. Wszedł do domu przez tylne drzwi i zrzucił szczapy do skrzyni na drewno. Hannah stała przy piecu. – Zaraz będzie kolacja, powiedziała.

Abel skinął głową i strzepnął kawałki kory z kurtki. – Pójdę spytać Esther, czy jest głodna.

– Nigdy nie jest głodna.

– Pójdę spytać.

Wszedł w mrok zaciągniętych zasłon, w zapach kobiety śpiącej w ostrym, mroźnym powietrzu. Podszedł do łóżka i położył dłoń na jej twarzy. – Esther, powiedział. Słyszał podzwanianie żeliwa dobiegające z parteru, to matka dawała mu do zrozumienia, że jest w pobliżu. Mieszkali we trójkę już od roku, a Hannah robiła co w jej mocy, by wchodzić im w drogę. Abel musiał szukać różnych pretekstów, żeby spędzić z Esther

choć parę chwil sam na sam. – Esther? powtórzył.

Wymamrotała coś gardłowo w materac. Przez ostatnich parę miesięcy dla zabicia czasu uczyła go strzępów różnych języków, które znała. Nauczył się dosyć, by odróżnić jeden od drugiego. – *Guten Tag*, powiedział, po czym spytał swoją łamaną niemczyzną, czy ma ona zainteresowanie kolacji jedzeniem?

Esther obróciła się na łóżku i zakryła twarz ręką. – Opowiadałam ci już o tym, jak umarła wdowa? Wdowa po Devinie?

– A przypomnij mi, kim ona była?

– Była babcią Mary Trypheny. Twoją prapraprababcią.

Abel przysiadł na skraju materaca. Nie spali ze sobą od dnia, w którym jego matka wprowadziła się do domu, musiał więc zadowolić się tym – słuchaniem, jak kobieta, którą kochał, mówiła mu, kim był. Podejrzewał, że większość historii wymyślała na bieżąco, sam akt opowiadania miał jednak w sobie coś intymnego i nieprzyzwoitego. Jakby go powoli rozbierała, jakby zdejmowała z niego jedną rzecz po drugiej, wypełniając nagą genealogię zalotami i małżeństwami, waśniami, niechęciami i wypadkami, bezlikiem różnych okoliczności, w których ludziom przychodziło opuszczać ten świat. – Jak umarła wdowa? spytał, mówiąc jej przez to, że cały należy do niej.

– Położyła się, odparła Esther. – Pewnego popołudnia położyła się w łóżku i stwierdziła, że nie zamierza już z niego wstać. Mam już tego dość, powiedziała. To Lizzie opiekowała się nią u schyłku życia, karmiła ją, myła, czesała. Ucieszysz się, kiedy będzie już po mnie, powiedziała do niej wdowa.

– A co na to Lizzie?

– A ona na to, Ucieszę się, kiedy będę mogła coś pomyśleć, a ty nie odczytasz tego po jednym spojrzeniu.

Hannah im przerwała, wołając od schodów, że kolacja już na stole.

– Zjesz coś? spytał.

– Zejdę za chwilę, *now the once*.

Dobrze wiedział, że mogła pokazać się na dole dopiero za parę godzin, mogła też spędzić na piętrze całą noc. Zniecierpliwienie rozkwitło w jego piersi na nowo. Zawsze zakładał, że Esther opowiada te historie, aby ulżyć mu w jego obcości, aby zatrzymać go przy sobie. Zdarzały się jednak chwile, w których odnosił wrażenie, że za pomocą swoich opowieści trzyma go na dystans, że sama ukrywa się za nimi. Gdy podszedł do drzwi, zatrzymał go nagły przypływ lęku. Powiedział, Esther, nie masz chyba jeszcze dość?

– Dość czego?

– Tego, powiedział. – Nas.

– Idź już, odparła. – Ja zejdę, *now the once*.

Abel usiadł przy stole, sam na sam z Hannah. Wiedział, że po przyjeździe ojciec złożył poranną wizytę w Domu Seliny, jednak żadne z rodziców nie wspomniało mu o tym ani słowem. Teraz jedli, nie mówiąc nic o wydarzeniach tego popołudnia, o związku, czy o Elim. Kiedy kończył jeść, podniósł wzrok i zobaczył, że matka płacze. Odłożył sztućce na talerz.

– Jest od ciebie dwa razy starsza, powiedziała Hannah.

– Wiem, ile ma lat.

– I jesteś zakochany, prawda?

– Być może.

– Po co niszczyś sobie z tego powodu resztę życia?

Wstał i odniósł talerz do spiżarni, a kiedy wrócił do kuchni, twarz Hannah była już wytarta do sucha. Odsunęła swoje krzesło od stołu i stanęła przy nim, trzymając talerz. – Abel, nie płyń za ocean.

– A dlaczego miałbym zrobić coś takiego? spytał, zaskoczony nagłą zmianą tematu.

– Obiecuj, że nie popłyniesz.

– W porządku, powiedział.

Potrząsnęła głową, znowu walcząc ze łzami tak, jakby się jej wyparł.

Po kolacji wyszedł z domu, nie mówiąc matce, dokąd się wybiera. Gdy wszedł na Tolt i stanął w otwartej przestrzeni, w czystym świetle księżycy, dostrzegł zapadnięty dach domu Łazarza Devine'a, dostrzegł dom Mary Trypheny, z którego pokradziono wszystkie okna. W domu po drugiej stronie ogródka zastał ojca i Coakera rozprawiających o czymś w migotliwym blasku płomieni płynącym zza uchylonej zasuwę piecyka. Przybycie Abła najwyraźniej potraktowali jako sygnał do zapalenia lampy; Eli zabrał się do parzenia herbaty, wypytując Abła o doktora Newmana, Azariasza Trima i parę innych osób, nie wspominając jednak słowem o kobiecie, z którą żył w Domu Seliny. Potem zaczęli mówić o wojnie i o Port Union, wracając do rozmowy, którą przerwał im Abel.

Godzinę później Coaker przeprosił ich i poszedł spać; słyszeli, jak mości się w łóżku w starym pokoju Abła na tyłach domu. Były to intymne dźwięki, które zawstydziły ich obu. Eli odchrząknął, próbując je zagłuszyć. – Jak się miewa Esther? spytał.

– Nie zmieniła się zbytnio, od kiedy ostatnio ją widziałeś.

Eli pochylił się do przodu i wlepił wzrok w swoje splecione palce.

– Twoja matka, zaczął. – Mówi, że ty i Esther. Uważa, że może byłoby lepiej, gdybyś się wprowadził z Domu Seliny.

Abel wpatrywał się w drżącą poświatę na ścianie nad piecykiem. W gardle miał grudę gorącego wosku. Eli spytał, czy teraz, gdy ma już osiemnaście lat, nie rozważa może zaciągnięcia się na ochotnika do regimentu. Abel odwrócił głowę tak szybko, że ojciec uniósł rękę.

– Wujaszek Will może załatwić wszystko tak, że od razu wyruszysz za ocean.

Abel rozprostował nogi i przycisnął obcasem czubek drugiego buta,

próbując w ten sposób wyprzeć ból rozkwitający w głębi jego gardła. Skinął w stronę sufitu. – To jego pomysł?

– Spytał mnie, co o tym sądzę.

Abel jeszcze dłużej przytrzymał obcas na palcu u nogi.

– Nie musisz podejmować decyzji w tej chwili, powiedział Eli.

Abel przytaknął skinieniem głowy. – Znałeś Judę Devine’a?

Eli oparł się na krześle. – Kiedy byłem mały. Prawie go nie pamiętam.

– Esther mówi, że urodził się z brzucha wieloryba, że śmierdział zdechłą rybą.

– Esther, Eli powiedział i westchnął. – Wiesz, że Esther nie jest w pełni zdrową kobietą.

– Powinienem wracać do domu, stwierdził.

Abel ruszył przez ogród, jednak w połowie drogi do domu Mary Trypheny przystanął i się odwrócił. Tylko jedna lampa w kuchni. Stał na chłodzie, długo wpatrując się w okna. W końcu zobaczył, że lampa podniosła się znad stołu i świeciła przez krótką chwilę na zakręcie schodów na drugim piętrze; jego ojciec kładł się do łóżka.

Kiedy wrócił do Domu Seliny, w ciemnościach panujących w salonie rozległ się głos Esther. – Abel, gdzie spędziłeś wieczór?

– U ojca, powiedział, po czym zamilkł na chwilę. – Chcą, żebym się zaciągnął.

– Kto chce?

– Ojciec, powiedział. Nie potrafił się zmusić do wymówienia słów: Wujaszek Will. – Ojciec i pan Coaker.

W głębi salonu zapanowała cisza. Co prawda Hannah wyszorowała podłogi, wyprała zasłony i wywietrzyła meble już całe miesiące temu, jednak Abel wciąż czuł zapach kozy. Zaczął już podejrzewać, że Esther zasnęła. Powiedział, W jaki sposób Juda Devine dostał się do brzucha wieloryba?

– Skąd niby mam to wiedzieć?

Abel oparł się o futrynę. – Tylko na tyle cię stać?

– Może był rybakiem zmytym z pokładu przez sztormowe fale, powiedziała. – A może po wielu miesiącach spędzonych na morzu oszalał i rzucił się za burłę.

– To ciągle nie wyjaśnia, w jaki sposób skończył w brzuchu wieloryba.

– A co to za różnica?

Była pijana. Znowu poczuł narastające zniecierpliwienie. – Zupełnie cię to nie obchodzi, czy się zaciągnę, powiedział. – Masz to gdzieś, czy przeżyję, czy zdechnę.

– Abel, przestań się mazgać.

Ruszył korytarzem, a dalej przez kuchnię, po drodze ściągając kurtkę. Był przekonany, że wszystko to jedno wielkie kłamstwo, całe to życie, które mu dała, jej usta na jego ustach, jej ręce, żałosne historyjki, którymi go karmiła, chcąc, by poczuł się bardziej zadowolony na tym świecie. Czuł, że zrobiła z niego skończonego błazna.



Eli i Coaker wstali wczesnie rano, przy śniadaniu mówili tylko o interesach. Dyskutowali o sprawie rady generalnej w Port Union, o postępkach projektów ustaw w Zgromadzeniu, o tym, co się stanie z cenami ryb, gdy wojna dobiegnie końca. – Co Abel powiedział o możliwości zaciągnięcia się do wojska? spytał w końcu Coaker.

– Zastanowi się nad tym.

Coaker spojrział na niego ponad kromką chleba, którą właśnie smarował masłem.

– Wydawał się zainteresowany, zapewnił Eli.

Coaker zostawił jedzenie i ułożył ręce obok talerza. Eli odwrócił się do piecyka, nie chcąc patrzeć na panikę, którą Coaker właśnie z trudem ukrywał. Mieli już teraz tyle do stracenia, Port Union, pozycję Coakera w koalicyjnym gabinecie, nowe rozporządzenia dotyczące rybołówstwa mogące uchronić branżę przed samounicestwieniem. Tyle spraw, o które walczył związek, miało się niebawem spełnić, a Coaker już z góry obawiał się, że wszystko to pograży się w bagnie nędznych politycznych gier prowadzonych przez ich kraj. – Wiem, że proszę o bardzo wiele, powiedział Coaker, ale chłopak nie zobaczy nawet pola bitwy, przysięgam. Możemy zadbać o to, żeby został jednym z noszowych, będzie bezpieczny jak w domu.

Eli nie mógł się oprzeć wrażeniu, że to, czy Abel zgłosi się do biegania z noszami, stanowi tylko nic nieznaczącą błahostkę wobec ogólnego planu. Powiedział to nawet na głos. – To chyba specjalnie się nie liczy, czy chłopak podejmie taką czy inną decyzję, prawda?

– Wszystko się liczy, oznajmił Coaker. – Jak cię widzą, tak cię piszą.

Nie skończyli jeszcze jeść, gdy drzwi się uchyliły i do środka zajrzał Tryphie. Obaj zauważyli, że poprzedniego dnia nie przyszedł do pracy, jednak żaden z nich o tym nie wspomniał. Coaker powiedział, Tryphie, zacząłem już podejrzewać, że nas unikasz.

Eli wstał, żeby przynieść mu kubek, ale Tryphie machnął na niego ręką. Nie chciał się nawet do nich przysiąść. – Przyszedłem tylko, żeby wam powiedzieć, o ile nie zrobiła tego jeszcze Hannah. Zaszedł do nas Levi Sellers.

– Kiedy?

– Przed Bożym Narodzeniem. Szukał haka na pana Coakera.

– Jeśli chce plotek, to wystarczy, że zajrzy do gazet z St John's, oznajmił Coaker. – Wszystko tam jest, zatraceniec, stręczyciel płci pięknej, wyrodny ojciec.

– Chodziło mu o coś nieco odmiennego, panie Coaker. Zaoferował mi jedną trzecią swojego majątku w zamian za podpis pod oświadczeniem.

– A co konkretnie miało znaleźć się w tym oświadczeniu?

– Coś, co przypisywałyoby panu, Tryphie wykonał nieokreślony gest ręką, pewne występki. Występki wbrew naturze.

Coaker wpatrywał się w Tryphiego pewnym wzrokiem, jakby wyzywał go do uszczegółowienia wypowiedzi.

– Twierdził, że działa nie tylko w swoim imieniu, dodał Tryphie. – Pomyślałem, że powinniście o tym wiedzieć.

– Nie mam się czego wstydzić, oznajmił Coaker.

– Mimo to miejcie się na baczności.

– Levi poszedł też do Hannah? spytał Eli.

– Zaraz po tym, jak rozmówił się ze mną.

Eli chwycił się krawędzi stołu i wyjrzał przez okno. Ujrzał Abła biegnącego przez ogród w stronę domu. Po chwili chłopak wparował z hukiem do środka. – Chcę się zaciągnąć, powiedział. – Wujaszku Willu, tata mówił, że możesz mi w tym pomóc, zgadza się?

Coaker wstał z krzesła i zmusił się do uśmiechu. Wydawał się zadowolony ze zmiany tematu. – Może uda mi się pociągnąć za parę sznurków, oznajmił.

Niebawem doszło do wymiany serii telegramów pomiędzy Paradise Deep a paroma instytucjami rządowymi w St. John's; po południu prawie wszystko było już załatwione. Wieczorem odbyło się zebranie miejscowego zarządu związkowego, na którym Coaker wystawił Abła na pokaz i ogłosił jego zamiary przed całą grupą. Coaker oznajmił zgromadzonym, że w końcu tygodnia chłopak popłynie z nim do St. John's, aby tam się zaciągnąć. Następnie wszyscy ustawili się w kolejce, by uścisnąć prawicę Abła i życzyć mu powodzenia.

Wieści dotarły do Domu Seliny jeszcze zanim Abel zdążył pokonać

sto jardów dzielących siedzibę F.P.U. od domu. Hannah już czekała na niego w drzwiach. – Ablu Devine, obiecałeś mi coś.

– Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że pan Coaker chce, żebym wstąpił do regimentu.

– A to co, wyrok boski? Wujaszek Will dostanie wszystko, czego zapagnie?

– Sama powiedziałaś, że chcesz, żebym się wyniósł z tego domu.

Hannah chwyciła swoją kurtkę i przecisnęła się obok niego. Patrzył za nią, szła ścieżką w świetle księżycy, a w jej kroku dostrzegł jakieś obce szarpnięcia, jakby okulała ją skrywana rozpacz, i już miał do niej krzyknąć, gdy usłyszał, że na górze poruszyła się Esther.

Kiedy odwrócił się do schodów, stała na półpiętrze. – Czołem, mięso armatnie, powiedziała.

– A co cię to obchodzi? spytał.

Odwróciła się w stronę swojego pokoju, a on poszedł za nią po schodach. W kominku płonął ogień; skinieniem ręki nakazała mu, by położył się przy niej. Utkwił wzrok w zaplamionym suficie, próbując pojąć, na co się zgodził. Wszystko stało się tak szybko, że teraz mu się wydawało, że to jakiś wypadek, jakby spadł z dachu. Na myśl o tym, że miał zostawić Esther, poczuł przypływ żalu, potrzęsnał głową, próbując powstrzymać łzy. – To wszystko był błąd, powiedział.

– Abel, nie musisz tam płynąć.

– Pan Coaker właśnie rozpowiada wszystkim, że się zaciągam, powiedział. Próbował podnieść się z łóżka, ale Esther pociągnęła go z powrotem i położyła się na nim. Zaczęła się lekko kołysać na boki, po chwili znieruchomiała, a Abel był już twardy. – No chodź, powiedziała, ocierając się o niego.

– Jesteś pijana.

– A co cię to obchodzi? spytała.

Gdy zdzierali z siebie ubrania, przypominało to jakiś pojedynek, tak jakby każde próbowało rozebrać drugie do naga, jednocześnie samemu zostawiając coś w ukryciu. Obrócił Esther na plecy i podniósł kolano, by rozewrzeć jej nogi, jednak ona nie miała najmniejszego zamiaru mu na to pozwolić. Wykręciła się, wciskając w niego swój goły tyłek, i sięgnęła ręką za siebie, by pomagać jego kutasowi, gdy wyda się zagubiony. Gdy szczytował, padł na nią i nie puścił jej, dopóki się pod nim nie obróciła i nie poklepała go po policzku. – To, że zmarnujesz taki sprzęt, woła o pomstę do nieba, powiedziała.

– Niczego nie zmarnuję.

– Dorzuć do ognia, powiedziała, a on przeszedł przez pokój na nogach jak z waty. Kiedy wrócił do łóżka, Esther wskazała na słabo oświetlony sufit. – To Francja, powiedziała.

– Gdzie?

– Tam, zaraz obok Anglii.

– Nic tam nie ma, to tylko jakiś zaciek.

– Nie widzisz Włoch? spytała. – Tego kraju, który wygląda jak but?

– Zawsze potrafisz zrobić coś z niczego, co?

Esther wybuchnęła śmiechem. – Gdybym potrafiła, nie wróciłabym tutaj, powiedziała.

Oparł się na łokciu i przyjrzał się jej. – Esther, co ci się tam stało?

– Nic, powiedziała, kręcąc głową. – Wszystko, powiedziała.

Wpatrywał się w nią uparcie.

– W porządku, powiedziała.

Po raz pierwszy zdarzyło się to w Londynie. W teatrze było tysiąc pięciuset widzów, a ona stała za kulisami, wsłuchując się w pomruk gardeł ukrytych za światłami rampy. Przez cały tydzień gazety rozpisywały się o tym, że jej głos zawiódł podczas trzech ostatnich występów na kontynencie. Jej niemiecka dublerka sypiała z dyrygentem i prowadziła

wraz z nim kampanię mającą na celu zepchnięcie Perły Północy z afisza. Esther od wielu dni nie zmrużyła oka.

Wkroczyła na scenę witana grzecznościowymi oklaskami, jednak spowijał ją zapach krwi, który widownia natychmiast zwęszyła. Powiedziała, że czuła się tak, jakby śpiewała pod wodą, własny głos wydawał się jej stłumiony, brzmienie było lekkie i gęste jak melasa. Już w połowie pierwszej arii poczuła, że nadciąga ku niej coś obcego, u jej stóp rozstał się wylot czarnego korytarza, urwała w pół dźwięku i wypadła gdzieś poza ten świat. Kiedy doszła do siebie, leżała za bocznymi kotarami, a tamta dziwka, dublerka, stała już na scenie. Widziała co prawda twarze tłoczących się nad nią ludzi, ale przez dłuższy czas nie była w stanie wymówić do nich ani słowa.

– Tak jak Lizzie, stwierdził Abel.

– Dokładnie tak jak Lizzie, owszem. Esther przetoczyła się po nim, wstała z łóżka i stanęła nago przy kominku. Na jej brzuchu widniała gniewna blizna. – Potem działo się to już za każdym razem, gdy stawałam na scenie. Przepuściłam na lekarzy wszystkie pieniądze, do ostatniego centa.

– Co powiedzieli?

– Jakieś zaburzenia snu. Ich zdaniem to rodzinne. Nic nie mogli dla mnie zrobić.

– Myślałem, że wszystko to wyszałaś z palca, powiedział. – Te wszystkie historie.

– Abel, nie mam wpływu na to, co sobie myślisz.

Wyciągnął do niej rękę. – Wracaj do łóżka, powiedział.

Opuściwszy Dom Seliny, Hannah pospieszyła do siedziby F.P.U., tylko po to, by dowiedzieć się, że Eli wyruszył już w stronę Trzewia. Kiedy ich wreszcie dojrzała, byli już w ogródku i szli w stronę domu. Przebiegła ostatnie pięćdziesiąt jardów i stanęła z falującą piersią pomiędzy nimi a

drzwiami. – Dzień dobry, pani Devine, powiedział Coaker, a ona tylko pokręciła głową, jakby chciała czemuś zaprzeczyć. Coaker zwrócił się do Eliego. – Może przejdę się jeszcze na mały spacer.

Eli stał w miejscu, na wyciągnięcie ręki od żony, czekając, aż Coaker odejdzie na tyle daleko, że nie będzie mógł ich dosłyszeć. – Hannah, Abel zgłosił się na ochotnika, powiedział. – Będzie tylko sanitariuszem, pan Coaker się o to zatroszczy.

Hannah znowu pokręciła głową. – Eli, zawsze myślisz tylko i wyłącznie o sobie, ani raz w życiu nie zachowałeś się inaczej.

Eli odwrócił się i popatrzył w kierunku, w którym oddalił się Coaker. – Tryphie twierdzi, że jakiś czas temu odwiedził cię Levi Sellers.

– A co to ma wspólnego z Ablem?

– Chciałem tylko powiedzieć, że to wcale by ci nie służyło, gdyby jakiegokolwiek plotki wypłynęły w gazetach czy w sądach. – To nie ukazywałyby w zbyt dobrym świetle ani ciebie, ani Abła.

– Słuchaj, Eli Devine, powiedziała, najchętniej bym cię zabiła, klnę się na Boga.

Eli podszedł bliżej, tak by w bladej poświacie księżyca mogła dostrzec każdy szczegół jego twarzy. – Nie życzę sobie, by ktokolwiek z moich krewnych skrzywdził pana Coakera, powiedział. – Nie pozwolę na to.

Hannah zakryła dłonią usta, wstrząśnięta, że wreszcie ujrzała aż nazbyt wyraźnie to, na co przez całe życie starała się nie zwracać uwagi. Wyminęła Eliego i pobiegła przez ogródek, a on stał i patrzył za nią. Kiedy zniknęła, Coaker podszedł do niego spokojnym krokiem; przez jakiś czas stali obok siebie w ciemnościach. – Przejdziemy do środka? spytał.

Pod koniec tygodnia Abel wyruszył do St. John's, aby stamtąd popłynąć za ocean. Pomimo ziąbu przystań i brzegi zaroily się zycziwymi sąsiedziami. Związkowe proporce powiewające nad pomostem, chusta i wełniane skarpety od Women's Patriotic Association wręczone przez

Adelinę i Flossie Sellers, błogosławieństwo udzielone przez wielbnego Violeta przed wypłynięciem łodzi.

Abel stał przy relingu F.P. Union i wpatrywał się w prześlizgujące się przed nim wybrzeże jeszcze długo po tym, jak ojciec z Coakerem zesli pod pokład. Śnieg zbierał się w szczelinach na klifach Toltu, a pomiędzy zboczami wiło się niemal niewidoczne wejście do przystani w Trzewiu. Potem Devil's Cove, gdzie między śnieżnymi zaspami czerniała wyrwa kamieniołomu założonego na potrzeby budowy katedry. Wiele mil dalej Spread Eagle i Smooth Cove, a przez cały ten czas nie poczuł ani uszczypięcia mrozu. Esther nie przysłała na nabrzeże, żeby go pożegnać, a on próbował sobie wmówić, że wcale nie chciał, by postąpiła inaczej. Zanim zdążyli przepłynąć nad Zadem, nogi mu zmiękły i zaczęły się pod nim trząść. Chyba tylko dzięki temu nie zaczął głośno ryczeć. Ocierając oczy stwierdził, że wciąż ściska w ręce żałosne skarpety od Women's Patriotic Association. Schylił się i otworzył swój marynarski worek, by wrzucić je do środka. Na wierzchu odkrył Biblię Jabeza Trima, zamkniętą w jej skórzanej oprawie. Wiedział, że tylko Esther mogła ją tam włożyć, że chciała mu przez to przekazać coś, na wypowiedzenie czego była zbyt niewydarzona lub poraniona. W przypiływie dziecięcej frustracji cisnął książkę za burtę. Przez chwilę unosiła się nieopodal łodzi, a Abel przebiegł przez cały pokład, starając się nie spuszczać Biblii z oczu, wrzeszcząc na wodę. Z trudem oparł się pokusie, by rzucić się za burtę i podzielić los książki, która właśnie podskoczyła na kilwaterze i zniknęła pod powierzchnią.



Tryphie był zaskoczony tym, że Hannah nie wyprowadziła się od Esther

po wyjeździe Abla, chociaż z drugiej strony domyślał się, że musiała woleć jej towarzystwo od tego, na które zapewne byłaby skazana po powrocie do Trzewia. Co kilka dni zachodził do Domu Seliny, żeby spytać o zdrowie córki, żeby sprawdzić, czy kobiety mają dość drewna. O Ablu nie mieli żadnych wieści, a zresztą nie spodziewali się ich przez najbliższe tygodnie, jeśli nie miesiące. Hannah musiały wystarczyć spekulacje dziennikarzy z St. John's i pogłoski przekazywane przez Tryphiego czy doktora Newmana, który odwiedzał ją w niedzielne popołudnia.

Na początku kwietnia Tryphie przyniósł do Domu Seliny wieść, że Eli wrócił z St. John's.

– Kiedy przyплыł?

Tryphie strzepnął jakiś niewidzialny kłaczek z nogawki. – Wczoraj rano widziałem, jak schodził z pokładu. Nawet na mnie nie spojrzął. Teraz zadekował się w Trzewiu. Nawet się nie pokazał w siedzibie związku.

– Może słyssał coś o Ablu?

– Nie mam pojęcia, co jest nie tak. Tak sobie pomyślałem, że może będziesz chciała zobaczyć, co u niego.

Hannah pokręciła głową. – Nie, ja nie mogę tego zrobić, powiedziała.

Tryphie popatrzył w sufit i skinął głową.

Idąc przez ogródek stwierdził, że zaspas śnieżna przed domem wciąż rosła, ktoś wydeptał w niej ścieżkę prowadzącą do podestu przed frontowym wejściem. Zajrzał do środka i zawołał. Nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, wszedł i zamknął za sobą drzwi. Ogień zdążył już zmienić się w migoczące popioły, Tryphie rozniecił go więc na nowo, aby przegnać wiszący w powietrzu ziąb. – Zaparzę sobie herbaty, krzyknął. Gdy wyciągnął rękę po czajnik stojący na niedużym stoliczku przy piecu, zamarł na widok wiszącego nad nim portretu Coakera, jakby nagle dostrzegł w izbie człowieka z krwi i kości. – Jesus loves the little children, szepnął. Zdał sobie sprawę, że Eli może już leżeć martwy gdzieś

na piętrze. Gdy zmusił się do wspinaczki po schodach, znalazł Elię na łóżku w pokoju Abla.

– Cześć, Biedrona.

– Właśnie przypląnąłeś z St. John's, prawda?

– Po drodze odwiedziłem Port Union, odparł.

– Wszystko tam gra?

– A co z tą herbatą? spytał Eli.

W godzinę później Tryphie wyszedł, nie dowiedziawszy się absolutnie nic o przyczynie udreki Elięgo. Wypełnił skrzynię drewnem na opał, zakładając, że Eli nie będzie zdolny do ogrzania domu na własną rękę. – Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebował, powiedział, wiesz, gdzie mnie szukać.

Eli nie podniósł się nawet z krzesła, żeby wypuścić Tryphiego. Siedział z na wpół dopitym kubkiem zimnej herbaty na kolanach, wpatrując się w wiszący obok kominka portret. Coaker popłynął do Port Union, a on musiał zostać w St. John's jeszcze przez tydzień. Zanim wreszcie wyruszył, wysłał do Coakera telegram, w którym informował go, że odwiedzi Port Union w drodze powrotnej do Paradise Deep. Kiedy zszedł z pokładu, spędził na nabrzeżu pół godziny, robiąc obchód, potem zajrzał do biura, by się przywitać i spytać o to czy tamto przedsięwzięcie. Wreszcie ruszył wzdłuż szeregów związkowych domów w stronę rezydencji, którą zbudował sobie Coaker. Był to jedyny w całym miasteczku przejaw ostentacji, wieżyczka, mansardowe okna, na tyłach oszklona weranda. Coaker wypełnił pokoje ekstrawaganckimi sprzętami, a Eli znajdował tam nowy dodatek za każdym razem, gdy przechodził przez dom – wełniany chodnik od jednego z europejskich odbiorców związkowych ryb, krzesła z londyńskiego Harrodsa, w jadalni południowoamerykański stół, włoskie posągi. Nikt nie miał mu tego za złe, biorąc pod uwagę, że to on stworzył z niczego związek i całe miasteczko.

Bungalow był jedynym w Port Union domem, do którego nie wchodziło się bez pukania, a drzwi otwierał młody chłopak. Eli widział go raz czy dwa na nabrzeżu, nazywał się chyba Bailey. Włosy zaczesane do tyłu ponad wysokim czołem, wełniany surdut, krawat i wysoki, wykrochmalony kołnierzyk. Eli zgadywał, że młodzian nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat. Usta, które wzbudziłyby zazdrość samych aniołów. – Wujaszek Will kazał pana oczekiwać.

Miał w sobie coś z sieroty, pomyślał Eli, jakieś łaknienie, tak ponure, że wyglądał jak drapieżnik. Gramofon Coakera grał w salonie, a muzyka przepływała obok chłopaka i sączyła się na zewnątrz.

– Teraz akurat drzemie, powiedział młodzieniec. – Może pan wejść i poczekać, jeśli pan sobie życzy.

Eli zastanowił się nad tym przez chwilę i powiedział, Proszę przekazać panu Coakerowi, że zaszedłem z wizytą.

Idąc długim, betonowym chodnikiem prowadzącym do drogi, usłyszał, że drzwi zamknęły się za jego plecami. W tym momencie przystanął, wciąż próbując pojąć to, co dostrzegł w twarzy chłopaka. Lista wygód bungalowu wydłużyła się o jeszcze jedną egzotyczną błyskotkę. Ścieżką nadchodzili dwaj mężczyźni, obaj ukłonili mu się uprzejmie i odrobinę nieufnie. Spozrzegł, że minąwszy go pokręcili głowami, jakby nie byli w stanie pojąć nowych porządków panujących w bungalowie, jednak nawet tego nie potrafili mieć Coakerowi za złe.

W dwa dni później Tryphie odwiedził Eliego po raz drugi i stanąwszy na progu powiedział, że niemiecka ofensywa na froncie zachodnim zmiotła pozycje ententy. W Regimente Nowofundlandzkim pięćdziesięciu zabitych i szesnastu zaginionych. Nazwisk nikt jeszcze nie znał. Eli podniósł się z krzesła i wziął kurtkę leżącą na zielonej, skórzanej kanapie. – Odprowadzę cię, powiedział.

Nie odzywali się do siebie ani słowem, dopóki Eli nie odstawił

Tryphiego pod dom Johna Blade'a. – Wszystko z tobą w porządku? spytał Tryphie.

– Dam sobie radę.

Eli poszedł dalej, aż do biura F.P.U., gdzie oficjalnie ustąpił ze stanowiska w zarządzie związku. Następnie ruszył do placówki telegraficznej w piwnicy szpitala, skąd wysłał do St. John's i Port Union telegramy z informacją o rezygnacji z funkcji Delegata do Zgromadzenia Legislacyjnego i członka koalicyjnego rządu. Powróciwszy do Trzewia usiadł na swoim miejscu naprzeciw portretu przewodniczącego i poczekał, aż zapadnie zmrok.

Późnym wieczorem zapalił lampę i rozniecił ogień, żeby zagotować wodę w czajniku. Napełnił gorącą wodą miednicę stojącą na stoliku pod portretem Coakera i ogolił się, patrząc na swoje odbicie w szkle. Kiedy skończył, zdjął ramkę z gwoździa i odwiesił Coakera twarzą do ściany. Włożywszy najlepszą koszulę i kurtkę, wyruszył w stronę Toltu w chłodnej powodzi gwiazd. Poszedł do Paradise Deep, minął Dom Seliny i ruszył Zaułkiem Sellersów w kierunku domu kupca. Kiedy stanął na ganku, Adelina wyszła mu naprzeciw, a on przeprosił ją za najście o tak późnej porze. – Zastanawiam się, powiedział, czy mógłbym pomówić z Levim.

Jedenastego maja koalicyjny rząd Zgromadzenia Legislacyjnego Nowej Fundlandii przyjął treść nowej ustawy o służbie wojskowej przy pełnym poparciu członków zrzeszonych w F.P.U. Nagła zmiana stanowiska związku wobec powszechnego poboru nastąpiła całkiem niespodziewanie, a związkowe rady lokalne na całej wyspie zaczęły wydawać rezolucje potępiające nową ustawę oraz despotyzm Coakera, który wprowadził zmiany bez żadnych uprzednich konsultacji. W swojej odpowiedzi na łamach „The Fisherman's Advocate” Coaker opisał katusze, które cierpiał przed podjęciem decyzji o poparciu obowiązkowej

służby, opisał nieprzespane noce poprzedzające głosowanie, opisał dni, które przeżył, nie wzięwszy niczego do ust. Nie był natomiast w stanie wyjaśnić swojego toku rozumowania w sposób, który kogokolwiek by usatysfakcjonował. W tysiącach związkowych domów portrety przewodniczącego zostały odwrócone do ściany, rozbite o podłogę lub po prostu zdjęte i schowane na dobre. Zdawało się, że połowa mieszkańców kraju przebudziła się nagle z kolektywnego snu i stwierdziła, że świat nie zmienił się zbyt wiele od czasu, gdy przysnęli.



Imię Abela nie pojawiło się na opublikowanej w „Evening Telegram” liście poległych i zaginionych żołnierzy regimentu. Jego listy do Esther zaczęły przychodzić z opóźnieniem, najpierw z Anglii, później z Francji. Adresatka zawsze otwierała je na osobności i nie dzieliła się z nikim ich treścią, Hannah była więc zmuszona zakradać się do jej pokoju i odczytywać je po kryjomu, kiedy Esther hulała pijana po mieście.

Abel musiał maszerować dookoła placu apelowego z drewnianym karabinem i bagnetem. Zanim przetrzucili go przez Kanał, dostał dwudniową przepustkę, podczas której schodził pół Londynu, oglądając teatry, w których Esther rozślawiła swoje imię. We Francji za drogi robiło zamrożone błoto, a paznokcie u stóp Abela szczyrniały i poodpadały podczas ciężkiej marszruty. W regimentzie był z nim mieszaniec z Labradoru nazwiskiem Devine – nosił przy sobie ząb, który, jak twierdził, należał do Judy. Ablowi przydzielono funkcję noszowego, aby zminimalizować szanse, że przez przypadek kogoś zabije. Czekali na uzupełnienie regimentu, zostali więc wycofani z frontu i wiodli lekkie życie w roli straży naczelnego dowódcy. Przez całe lato Abel uskarżał się

na śmiertelną nudę, złożył już jednak prośbę o przeniesienie do regularnej piechoty, po powrocie na front spodziewał się więc zostać wreszcie kimś więcej niż tylko noszowym. Każdy list zamykał akapit nakreślony piśmem tak odmiennym od tego użytego w reszcie tekstu, tak staromodnym i barokowym, że zdawał się wręcz komiczny.

O jakaś ty piękna, przyjaciółko moja, o jakoś ty piękna! Oczy twoje jako oczy gołębic. Ujęłaś serce moje, siostró moja, oblubienico moja!

Gdy lato chyliło się ku końcowi, Hannah zaczęła dostrzegać w przelocie drobne zmiany w figurze Esther, jakiś przyrost w sylwetce ukrywanej pod rozlicznymi warstwami ubrań, lekką wadę postawy przywodzącą na myśl konkretną odmianę dyskomfortu. Esther najwyraźniej starała się za wszelką cenę ukryć swój stan przed światem, zakładała więc jeszcze więcej ubrań, niż miała to w zwyczaju, nie ruszała się z domu bez szala czy płaszcz, nawet wtedy, gdy żar lejący się z nieba zdawał się topić skały. Przez parę tygodni Hannah próbowała wmawiać sobie, że wszystkie dowody są tylko wytworem jej wyobraźni, jednak w końcu sierpnia nawet płaszcz Esther nie był już w stanie sprostać zadaniu. Hannah podzieliła się wreszcie swoimi podejrzeniami z Tryphiem, poruszając temat w dość pokrętny sposób, tak aby samo właściwe słowo pozostało niewypowiedziane.

– Wiedziałem, do cholery, powiedział. – Wiedziałem. Mówiałaś Eliemu?

– Chciałam się upewnić, odparła.

– Może powinniśmy poprosić doktora Newmana, żeby rzucił na nią okiem, zaproponował Tryphie. – Zanim zaczniemy niepokoić Minnie.

– Zajdź do nas w niedzielę po południu, powiedziała. – Wtedy go zapytamy.

Doktor co tydzień spędzał godzinę w Domu Seliny, sącząc zalatującą korą herbatkę, którą doprawiał rumem, kiedy zdawało mu się, że Hannah

nie patrzy. Mówił jej właśnie, że regiment wrócił na front i walczy teraz w Ypres, kiedy do izby zajrzał Tryphie. Zerkał niepewnie to na doktora, to na Hannah, próbując odgadnąć, czy zdążyli już zacząć rozmowę o Esther. Usiadł przy stole i zaczął mówić o związku zawodowym, usilnie próbując nie poruszać tematu, który najmocniej zaprzętała mu myśli.

– Ta ustawa o poborze oznacza koniec związku, zawyrokowałam Newman. – F.P.U. już nie istnieje.

– Coaker nie pozwoli, by wszystko skończyło się tak łatwo.

– Utrzyma związek przy życiu, może jeszcze nawet przez dłuższy czas, stwierdził Newman. – Ale nikt już nie uwierzy w ani jedno jego słowo. Teraz jest tylko kolejnym politykiem.

– Twierdzi pan, że związek jest skończony.

– Kiedy Coaker zniknie, nikt nie będzie już nawet pamiętał, że w ogóle istniał kiedyś jakiś związek.

– Przez cały czas odnoszę wrażenie, jakbym słuchała Bride, a nie pana, powiedziała Hannah.

Newman skinął głową. – Muszę ją jakoś utrzymać przy sobie, powiedział. Na nowo porażony stratą rozejrzał się po pokoju, walcząc o jakieś pocieszenie. – Dziękuję, że przez cały ten czas opiekujesz się Esther, powiedział w końcu.

Hannah zerknęła na Tryphiego. – Tak właśnie chcieliśmy pana spytać, doktorze. Nie zauważył pan w niej ostatnio jakiejś zmiany?

– Zdawało mi się, jakby trochę mniej piła.

– Miałam na myśl jej wygląd. Jej *kształt*.

Newman popatrzył na nią, mrużąc oczy. – W zasadzie nie zwróciłem większej uwagi. Wlepił wzrok w stół, jakby próbował wydobyć z pamięci obraz wnuczki.

– Doktorze, myślę, że zanim Abel popłynął za ocean, powiedziała Hannah. – Jesteśmy z Tryphiem w zasadzie przekonani.

Newman wciąż wpatrywał się w stół, a ona pomyślała, że nigdy jeszcze nie wyglądał starzej. W końcu podniósł wzrok i spojrzał na Tryphiego, spojrzał na Hannah. – Jesteście pewni?

– Nie sposób tego pomylić z niczym innym, powiedziała, nagle znowu ogarnięta wątpliwościami.

– Newman pokręcił głową i spojrzał pasierbowi prosto w oczy. – Tryphie, prosiła, żebym ci o tym nie mówił. W Europie zrobiła zabieg.

– Jaki zabieg?

– Kiedy wróciła do domu, próbowałem czyścić blizny. Pocięli ją jak w rzeźni.

Hannah odwróciła się od stołu i odstawiła imbryk na kuchenny blat. Na myśl, że przez cały czas była w błędzie, poczuła się przedziwnie zawiedziona.

– Może pójdę z nią porozmawiać, powiedział Newman.

Wspinaczka po schodach była niemal ponad jego siły. Na szczycie zatrzymał się na chwilę, żeby złapać oddech. Zaatakował go znienacka obraz Bride rozmontowywanej przez raka, narząd za narządem, Bride o żyłach przeświecających przez papierzystą skórę. Sztuczna szczęka w jej wymizerowanej twarzy nadawała jej wygląd zwłok leżących w łóżku, a on wolałby raczej umrzeć, niż patrzeć na katusze, w jakich odchodziła. – Mogę to zakończyć, powiedział, wiedząc, że ona i tak nie zgodzi się na coś takiego. – Kiedy będziesz gotowa.

Bride odpowiedziała ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy. – Now the once, powiedziała.

To było najdziwniejsze ze wszystkich sformułowań, które poznał na wybrzeżu. *Now the once*. To jakby powiedzieć: *już niekiedyś*. Teraźniejszość spleciona z przeszłością, a znaczy: niedługo, trochę później, w jakimś bliżej nieokreślonym czasie w przyszłości. Jakby ostatecznie i tak nie było żadnej różnicy, jakby czas był tylko jedną

chwilą nieustannie zataczającą kręgi wokół siebie samej. Bride wiecznie nieobecna i na zawsze z nim.

Newman poprawił krawat i zastukał lekko do drzwi Esther. Nie doczekał się odpowiedzi, wszedł więc do środka sam. Spała na łóżku, miała na sobie tylko koszulę nocną. Nawet od drzwi był w stanie dostrzec jej niesamowicie wydęty brzuch. Jak podejrzewał, guz wielkości co najmniej główki kapusty.

Obudziła ją obecność lekarza. Rozglądała się po pokoju, aż w końcu go znalazła.

– Witaj, kochanie, powiedział.

Położyła obie dłonie na brzuchu. – Powiedział mi doktor, że nigdy już nie zajdę w ciążę.

Wzruszył ramionami. – Medycyna nie jest nauką ścisłą.

– Nie zdawałam sobie sprawy, powiedziała, jak bardzo tego chciałam.

Newman odchrząknął. – Czasami to wystarczy. Chcieć czegoś dostatecznie mocno.

– Myśli doktor, że oszalałam, że się z tego cieszę.

– Odczuwasz jakieś bóle?

– Nic, z czym nie byłabym w stanie sobie poradzić.

Newman odwrócił się do drzwi i oparł rękę o futrynę, żeby nie stracić równowagi. – To świetnie, powiedział.

– Kiedyś myślałam, że doktor jest obłąkany, powiedziała Esther. – Żeby spędzić tyle lat tutaj, kiedy można żyć, gdzie tylko dusza zapagnie.

– Też tak kiedyś myślałem.

Uśmiechnęła się do niego bez cienia skrępowania. Sama przypominała małe dziecko. – Niczego pan nie żałuje, doktorze?

Pokręcił głową. – Absolutnie niczego, powiedział.



Regiment dostał się pod ciężki ostrzał prowadzony przez wroga ukrytego w jednym z gospodarstw, a sześciu żołnierzy wysłanych w pobliskie zarośla miało oskrzydlić budynek. Skradający się pośród rzadkiego listowia żołnierze zostali wypatrzeni, a już po chwili nieubłagane wahadło ognia karabinu maszynowego zaczęło rozszarpywać krzaki. Podczas gdy inni padali wokół, jeden po drugim, on walczył jeszcze o życie, szamocząc się i biegnąc przed siebie ile sił w nogach. Był już na rzut kamieniem od budynku, gdy usłyszał świst nadlatujących pocisków artyleryjskich. Zakrył uszy, by ochronić je przed eksplozją, której nie zdążył już zresztą usłyszeć.

Gdy doszedł do siebie, wciąż było jasno, jednak słońce zdążyło już prawie całe ukryć się za linią drzew, a to oznaczało, że przeleżał tak wiele godzin. Słyszał jeszcze wystrzały karabinów, ale zdarzały się już sporadycznie, a w końcu ustały na dobre. Żołnierze okopywali się tutaj lub wycofywali na noc do okopów pomocniczych. Ciszca, cisza, jeśli nie liczyć szumu w głowie. Spomiędzy krzaków widział gospodarstwo, patrzył, jak niemiecki żołnierz wychodzi przez tylne drzwi, żeby się odlać. Próbował odczołgać się dalej w głąb zarośli, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Kiedy do nich sięgnął, w dotyku zdawały się martwe, cielesne nie bardziej niż korzenie drzew czy sama ziemia. Za sobą usłyszał głos; jakiś inny żołnierz doszedł do siebie i jęczał, bezsilny wobec ciężkiej rany. Powłókł swoje ciało jak najdalej od jęków tamtego, aż w końcu ramiona nie były już w stanie ciągnąć go dalej. Położył się twarzą do ziemi i próbował siłą woli zmusić palce do tego, by podkurczyły się lub poruszyły w bucie.

Kiedy Niemcy pojawili się w zaroślach, szli ramię w ramię, w trzech czy czterech, szepcząc coś do siebie. Leżał z twarzą w błocie, a

oni go minęli i poszli w kierunku miarowego charczenia i jęków rannego żołnierza. Po chwili przyprawiające o mdłości dźwięki nagle ucichły. Jakiś głos przywołał grupę do kolejnego ciała leżącego kilka jardów dalej. Z ich rozmowy wychwycił akurat dosyć, by dowiedzieć się, że zdejmują ze zwłok buty, przetrząsają kieszenie w poszukiwaniu monet, tytoniu i amunicji, kradną obrączki, łańcuszki i pamiętki. Gdy próbował się ukryć, w przyпіływie paniki odczołgał się od swojej broni, a teraz był zbyt przerażony, by choćby drgnąć. Kroki szabrowników zataczały po lesie coraz mniejsze koła. Wiedział, że jego również potraktują nożem i zapewne nikt już nie znajdzie go w tych krzakach. Gdy podkradała się do niego ta anonimowa zguba, w sercu jego serca narósł śmiertelny mrok – zgroza, rezygnacja i paląca, rzewna tęsknota, jakby nostalgia, a wszystko to wezbrało w nim niczym smród upadłego świata.

Czyjaś ręka złapała go za ramię i odwróciła na plecy. Niemiecki żołnierz odsunął się, zdjęty odrazą, i zaklął pod nosem. – Ten nie żyje już od dawna, powiedział do innych. Zakrył usta oraz nos kwadratowym kawałkiem materiału i odwrócił twarz, przetrząsając po omacku kieszenie, krztusząc się przez knebel swojej chustki. Żaden z pozostałych nie odważył się podejść bliżej.

Wpatrywał się tępo w zielone sklepienie drzew, podczas gdy Niemiec wciskał rękę za jego kołnierz. Nieśmiertelniki zostały zerwane z szyi i poddane krótkim oględzinom, po których wylądowały gdzieś w ciemnościach. – Zostaw go, powiedział inny głos. – Powinniśmy wracać.

Spędził samotnie całą noc, sparaliżowany, znudzony i przerażony. Zmagał się z podejrzeniem, że może Niemiec miał rację, że może rzeczywiście leży martwy w krzakach. Że śmierć nie jest nagła i zupełna, że zabiera człowieka ze świata stopniowo, kawałek po kawałku. Poczuł ulgę, gdy na chwilę przed brzaskiem usłyszał wystrzały artylerii, gdy drgania zaczęły przebiegać przez ciało i potrząsać jego głową jak dzwonem. O

świcie setki żołnierzy zaczęły przedzierać się przez pole w kierunku opuszczonego gospodarstwa, a on wywłókł się na otwartą przestrzeń, machając do mijających go nóg. Upłynęło jeszcze wiele godzin, zanim noszowi znieśli go pół mili za linię frontu, do punktu medycznego.

– Ten musiał stracić cholernie dużo krwi, powiedział medyk.

– Nie wygląda na to, żeby krwawił, sierzancie.

– To co mu dolega?

– Nie jesteśmy w stanie wydobyć z niego ani słowa, ale wydobywa się z niego za to jakiś smród. Zapach kojarzył się z zakażoną raną; podejmowali z niego ubrania, ale żadnej nie znaleźli. Medyk znowu mu się przyjrzał. – Nawet jego rzęsy są białe, powiedział. – Nie miał identyfikatorów na szyi?

– Nie ma po nich śladu. Wiemy tylko tyle, że jest z Nowej Fundlandii.

– Jak się nazywacie, szeregowy?

Chciał odpowiedzieć, już otworzył usta, ale w końcu pokręcił tylko bezradnie głową.

– Prawdopodobnie przypadek dla psychiatry, stwierdził medyk. – Trzeba go będzie odwieźć na oddział. Lekarz pochylił się nad mężczyzną leżącym na noszach. – Spokojna głowa, powiedział, poskładamy cię do kupy.



W dwa dni później został przeniesiony do szpitala stacjonarnego w Rouen. Leżał na oddziale z trzydziestoma dwoma innymi żołnierzami, dopóki skargi na smród nie zmusiły sanitariuszy do rozstawienia namiotu, w którym mógł być przetrzymywany w odosobnieniu. Dwa razy dziennie kąpano go w karbolu i ługu, jednak paskudny zapach nie zelżał.

Pewna dziewczyna, pochodząca z Belleoram nad Fortune Bay, pracowała w szpitalu jako pielęgniarka Voluntary Aid Detachment^[13], a kiedy dowiedziała się, że mężczyzna pochodzi z Nowej Fundlandii, obrała go za swoje zadanie specjalne. Rano i wieczorem przychodziła w masce chirurgicznej do jego namiotu, by masować jego martwe nogi i opowiadać mu o domu. Wieczorki z robótkami ręcznymi, dzierganie makatek, zbieranie borówek w głębi łądu, malowanie sypialni na odcień zieleni podpatrzony na łódce Johnny’ego Lee. Wodził za nią wzrokiem, ale widziała, że nie ma pojęcia, o czym ona mówi. – Nie pamiętasz domu, co?

Pokręcił głową.

– Ale za nim tęsknisz.

Zastanowił się nad tym przez chwilę, po czym przytaknął skinieniem głowy. Przenikliwe chłody nastały jeszcze przed listopadową kapitulacją Niemców, jednak on nigdy się na nic nie uskarżał i nie okazywał najmniejszych oznak niezadowolenia z niewygody panującej w jego nieogrzewanym namiocie. Pod koniec miesiąca pielęgniarka przyniosła mu kartkę i ołówek. – Napisz, co chciałbyś dostać na Boże Narodzenie. Zobaczymy, czy uda mi się to znaleźć w Rouen.

Gapił się na akcesoria tak, jakby w życiu nie widział czegoś podobnego.

– Nie umiesz pisać? spytała. Zawstydziała się w jego imieniu, ale kiedy wyciągnęła rękę, by odebrać mu przybory, pokręcił głową. Ołówek zawisł nad kartką i dopiero po chwili zaczął kreślić słowa. *Śmierć i żywot jest w mocy języka, napisał, a kto go miłuje, będzie jadł owoce jego.*

Kiedy skończył, wzięła kartkę i podniosła ją do światła, uchyliła poły namiotu, próbując odczytać zapisane przez niego słowa. – Kto cię nauczył

[13] Voluntary Aid Detachment (VAD) – założona w 1909 roku brytyjska organizacja zrzeszająca cywilów służących na ochotnika w szpitalach wojskowych.

tak pisać? spytała, raz za razem przebiegając wzrokiem po literach. – Nie potrafię rozszyfrować nawet połowy. Chcesz owoce? O to chodzi?

Wpatrywał się w nią pustym wzrokiem.

– Owoce? spytała ponownie, a on skinął głową, chociaż na jego twarzy wcale nie odmalowało się głębsze przekonanie.

Po świętach Bożego Narodzenia został przewieziony przez kanał La Manche do szpitala dla rekonwalescentów w Anglii, gdzie lekarze wbijali mu szpilki w nogi i stopy, badali gardło i uszy, wykonywali serie testów mające na celu określenie stanu jego psychiki. Zwoływali konferencje nad jego łóżkiem, rozmawiali o nim tak, jakby był głuchy. Jego niemota i paraliż mogły być spowodowane nerwicą frontową, zalecili więc świeże powietrze i ciszę, jak również masaże elektryczne mające zahamować atrofię mięśni, dopóki nie wróci do zmysłów. Z biegiem dni, mijających bez żadnej poprawy, zaczęli jednak podejrzewać, iż wyniszczenie organizmu może być trwałe. Poza tym zapach wydzielany przez mężczyznę stanowił zagadkę, dla której nie znajdowali żadnego rozwiązania.

W połowie marca w nogach łóżka stanęła kobieta w masce chirurgicznej. – Pamiętasz mnie? spytała. Powiedziała, że czeka w Londynie na zakończenie procedury repatriacji, że wyszukuje chłopaków z ojczystych stron, którzy wciąż dochodzą do siebie. – Po prostu, żeby jakoś zabić czas, powiedziała. Usiadła na krześle pod oknem. Powiedziała, że trzynastego ma wsiąść na statek płynący na Nową Fundlandię. Przepracowała we Francji trzy lata, nie mogła się już doczekać pierwszego domowego posiłku.

Jakiś lekarz przemknął za drzwiami, a po chwili cofnął się i zajrzał do sali. – Zna pani tego mężczyznę?

Młoda pielęgniarka wstała z krzesła. – Pracowałam w szpitalu polowym w Rouen. Nadal nie pamięta, kim jest?

– Obawiam się, że to beznadziejny przypadek. Widziała pani te

wariackie zapiski?

– Co nieco, powiedziała niepewnie, odwracając się do pacjenta.

– Zastanawiamy się, jak go odesłać do domu.

Dziewczyna z Belleoram pomyślała, że to musi być jeden z kręgów piekła Dantego: nie pamiętać ani jednego szczegółu z miejsca, z którego się pochodzi. To tak, jakby wszystko, co kochał, cały jego świat, zapomniał nagle o jego istnieniu. Odwróciła się z powrotem do lekarza. – Wie pan, jestem pielęgniarką, powiedziała.

Dostał bilet na parowiec wypływający w końcu miesiąca. Dni były zimne i słotne, ale dziewczyna i tak wozila go po pokładzie rano i po południu. – Dużo świeżego powietrza, mówiła. – Zgodnie z zaleceniem lekarza. Zdawał się niewrażliwy na chłód i wilgoć, wołał siedzieć na zewnątrz nawet przy najgorszej pogodzie. Większość kwietnia spędził na rufie, siedząc w płaszczu zarzuconym na szpitalny fartuch. Póki była w stanie znieść ziąb, siadywała razem z nim, opowiadając mu o swojej rodzinie, o tym, jak w drodze za ocean odwiedziła Nowy Jork, o mężczyźnie, który miał tak chore gardło, że gdy przyjmował komunię, wino wypływało mu nosem. Coś z tego może gdzieś zaskoczy, myślała, może akurat jakiś błahy szczegół przywróci go do dawnego życia. Rzuciła mu znieńcka przypadkowe pytania, jakby mogła podstępem zmusić go, żeby coś sobie przypomniał. Masz braci albo siostry? Znasz słowa *Whispering Hope*? Byłeś kiedyś w Port Union? Jesteś katolikiem czy protestantem?

Na dzień przed tym, jak mieli przyplłynąć do St. John's, powiedziała, Czy w domu czeka na ciebie dziewczyna? Popatrzył na nią z udręczoną miną, którą zrozumiała całkiem opacznie. – Pamiętasz ją? spytała. – Wiesz, jak ma na imię?

Jednak on wpatrywał się w nią tak, jakby błagał, żeby przestała.

Nie miał pojęcia, czy w domu czeka na niego dziewczyna, a ona

sama niemal poczuła tę ziejącą w nim nieobecność, ten bezimienny i nieokreślony cień migoczący w pustce. – Wiesz, co sobie myślę? powiedziała.

– Coś ci się w końcu przypomni. Zobaczysz jakąś twarz albo łódkę, usłyszysz czyjś głos i ta jedna rzecz sprawi, że nagle wszystko wróci na swoje miejsce.

Wpatrywał się pustym wzrokiem w wodę. Poklepała go po ręce.

– Zamarzam, powiedziała. Wstała i objęła się mocno ramionami. – Chcesz tu posiedzieć jeszcze jakiś czas?

Skinął głową.

– Jutro święto św. Marka, powiedziała. – Coś ci to mówi?

Uśmiechnął się tylko na jej beużyteczny fortelik i pokręcił białą głową. Jego życie było jak coś ważnego, co zamierzał komuś powiedzieć, w końcu jednak nie potrafił sobie przypomnieć ani co chciał powiedzieć, ani komu. Patrzył, jak dziewczyna truchta po pokładzie w kierunku sali dla pasażerów bez kabin, a kiedy zniknęła, poczuł ulgę, że został sam. Bezustanne pytania pielęgniarki nadawały jedynie głębię i ostrość wszystkiemu, czego mu brakowało. Kiedy był sam, mógł odwrócić się plecami do tej pustki i spoglądać na świat tak, jakby liczyło się jedynie to, co na powierzchni, tylko bezkresna teraźniejszość. Gra światła i cieni.

Na zroszonym mżawką i owiewanym lodowatym wiatrem pokładzie nie było poza nim żywej duszy, kiedy dostrzegł wieloryba wynurzającego się z kilwaterny tak blisko, że widział blade znamiona pod płetwą ogonową, jasne, jabłkowozielone plamy przeświecające przez morską wodę. Potężny wiatrak ogona zawisł wysoko i po chwili zniknął pod powierzchnią przy wtórze śpiewu wieloryba, a on pochylił się do przodu w swoim wózku inwalidzkim i wyczekiwał, jakby już wiedział, że humbak znowu się wynurzy, że pojawi się najpierw jego pysk, że całe ciało zawisnie na chwilę nad wodą, aby znowu runąć w morze, wyrzucając w powietrze wieniec

piany. Wieloryb wyskoczył z wody jeszcze drugi raz, jeszcze trzeci, jakby próbował zwrócić na siebie jego uwagę. Coś w tym szczególnie zaskoczyło jak klucz w zamku, a opowieść wytrysnęła spiralą z nieskończonej zieleni i czerni oceanu, aby się o niego upomnieć. Pod powierzchnią mignęła mu twarz dziewczyny czekającej na niego w domu; odepchnął się od wózka, opadł na deski pokładu i powlókł swoje martwe nogi w stronę relingu. Po drodze zrzucił ubrania, powracając do siebie samego, goły jak ryba. Spadając, wyobrażał sobie dziewczynę, która będzie mu się przyglądała z drugiego końca pokoju, kiedy znowu otworzy oczy i ujrzy światło.

PODZIĘKOWANIA NIECH ZECHCĄ PRZYJAĆ

Holly Ann.

Martha Kanya-Forstner.

Anne i inni z McDermid Agency.

Poszukiwacze dziury w całym: Holly Hogan, Stan Dragland, Martha Magor, Janice McAlpine, Larry Matthews, Lynn Moore, Alison Pick, Degan Davis, Mary Lewis, Shawn Oakey, niech Bóg was ma w swojej opiece, co do jednego.

Za geografią, wydarzeniami i postaciami przedstawionymi w *Dostatku* kryją się dziesiątki lokalnych opowieści, dzienników i wspomnień, opracowań akademickich, stron internetowych, dokumentów archiwalnych, zbiorów piosenek, opowieści i podań ludowych. MKF nie pozwoli mi wyszczególnić wszystkich, poniżej wymieniam jednak niektóre spośród książek, po które sięgnąłem podczas pracy na powieścią: E.R. Searey, *Family names of the Island of Newfoundland*; Edward Chafe, *A History of Corpus Christi Parish, Northern Bay*; Robert C. Parsons, *Vignettes of a Small Town*; Robin McGrath, *A Heritage Guide to Portugal Cove-St. Philip's*; Bruce Whiffen, *Prime Berth: An Account of Bonavista's Early Years*; Mike McCarthy, *The Irish in Newfoundland, 1600-1900*; Alice Lannon i Mike McCarthy, *Fables, Fairies and Folklore of Newfoundland*; Barbara Rieti, *Making Witches: Newfoundland Traditions of Spells and Counterspells*; Sean T. Caddigan, *Hope and Deception in Conception Bay: Merchant-Settler Relations in Newfoundland, 1785-1855*; Stephen M. Nolan, *A History of Health Care in Newfoundland and Labrador; The Labrador Memoir of Dr. Harry Paddon*, red. Ronald Rompkey; Gary L. Saunders, *Doctor Olds of Twillingate: Portrait of an American Surgeon*

in Newfoundland; Carmelita McGrath, Sharon Halfyard i Marion Cheeks, *To Be My Father's Daughter*; John Gimlette, *Theatre of Fish: Travels through Newfoundland and Labrador*; *Your Daughter Fanny: The War Letters of Frances Cluett, VAD*, red. Bill Rompkey i Bert Riggs.

Fragmenty *Dostatku* powstały w czasie, gdy zajmowałem stanowisko pisarza-rezydenta w Memorial University w St. John's. Dziękuję wszystkim pracownikom Katedry Języka Angielskiego – w szczególności Danine Ferguson i Jennifer Lokash – za opiekę nade mną. Dziękuję również pracownikom Archiwum Prowincji i Markowi Fergusonowi z Muzeum Prowincji w The Rooms oraz Larry'emu Doheyowi z Archiwum Archidiecezji Rzymskokatolickiej w St. John's.

Wszystkie cytaty biblijne zaczerpnięto z Biblii Gdańskiej.

Motto-cytat z powieści *Rzecz o mych smutnych dziwkach*
G.G. Márqueza według przekładu Carlosa Marrodána Casasa.

W tekście sparafrazowano fragment sonetu *No worst, there is none* Gerarda Manleya
Hopkinsa w przekładzie Stanisława Barańczaka.